PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK DWUDZIESTY DRUGI. — TOM LXXXVI.

KWIECIEŃ, MAJ, CZERWIEC.

1905.

KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1905

†

O. HENRYK JACKOWSKI T. J.

Już drugi ze współzałożycieli tego miesięcznika zakończył swą ziemską pielgrzymkę.

O. Henryk Jackowski T. J. umarł w Chyrowie 6 marca w 71 roku życia. Szeroko znana osobistość w całej Polsce, łącząca w sobie wielkopańską szlachetność z prostotą zakonną, Jezuitów polskich kolumna i ozdoba. Pochodząc z starej rodziny Nostitz Jackowskich zamyślał zrazu poświęcić się życiu obywatelskiemu i kończył w Berlinie prawo, gdy owładnęła nim myśl wyższa, służenia Bogu i ojczyźnie jako kapłan. Więc po skończonej teologii w Pelplinie i Rzymie, wyświęcony na kapłana przez krewnego swego, sędziwego biskupa pelplińskiego (chełmińskiego) Marwicza, objął administracyę parafii w Bytowie na Pomorzu. W ciągu kilku miesięcy wskrzesił w parafii życie katolickie, wprowadził zaniechaną od 300 z górą lat procesyę Bożego Ciała po rynku, pomimo, że magistrat i większość mieszkańców Bytowa była luterską, ale właśnie ta praca iście misyonarska obudziła w nim pragnienie wstąpienia do zakonu, którego parafią świat cały.

Dnia 31 grudnia 1862 r., w 27 roku życia wstąpił do nowicyatu Jezuitów w Starejwsi, i odprawiwszy pod ś. p. O. Szczepkowskim nowicyat, podczas którego często kazał i na mniejsze misye wyjeżdżał, otrzymał rozkaz udania się do Szremu i przewodzenia misyom ludowym w Wielkopolsce, które uorganizował i prowadził

z dziewięciu misyonarzami tak świetnie, że przypomniały się czasy pierwszych wspaniałych misyj OO. Antoniewicza, Praszałowicza, Baczyńskiego, Czeżowskiego, Kamieńskiego i t. d. z lat 1852—55.

Wolne od prac misyjnych chwile obracał na pisanie nowych i wydanie dawnych dziełek religijnych dla ludu, które drukowane w Pelplinie, rozchodziły się w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy po Księstwie, Prusach, Ślązku i Galicyi.

Ale już w lipcu 1871 r. oderwano go od tej najmilszej dla niego roboty i kazano być rektorem i mistrzem nowicyuszów w Starejwsi. Był nim lat 6, i oną swoją szlachecką zacną otwartością pozyskał Jezuitom wszystką szlachtę sanocką i przemyską, zdobył serca przemyskiego kleru, zaprowadził znane w Galicyi tylko jako kara, rekolekcye dla kapłanów, dla szlachty 1875 r., misye i rekolekcye ludowe i zakończył wspaniały swój rektorat koronacyą cudownego obrazu Matki Boskiej starowiejskiej 8 września 1877 r., na którą zjechał nuncyusz. wiedeński Jacobini, przybyli biskupi, prałaci, panowie i cni bracia szlachta i przeszło stotysięczne tłumy ludu polskiego i słowackiego z Węgier.

Złożył rektorstwo w ręce O. Szczepkowskiego, gdzie się obróci, co pocznie, nie wiedziano w prowicyi. Aż tu gruchła wieść, O. Jackowski w niewoli u Moskali, w Białej na Podlasiu. Co on tam robił, co zbroił?

Oto ukaz cara Aleksandra z dnia 1 stycznia 1875 r. zniósł unię ruskiego ludu w dyecezyi chełmskiej, w gubernii siedleckiej i w części lubelskiej. Kler unicki rozegnany, galicyjscy apostaci księża ruscy przy pomocy policyi i kozaków nawracają chełmskich unitów, namową, grzywną, biciem, więzieniem, deportacyą. Lud broni się biernym oporem, czeka ratunku od Stolicy św., od księży łacińskich, cierpi, jęczy, modli się, ufa, ale gdy mijają dwa lata a zamiast pomocy i ratunku sroższe prześladowanie, poczyna chwiać się, upadać na duchu, przyjmować prawosławie. Nie zniesie tego gorące serce O. Jackowskiego, za zezwoleniem Stolicy św. i przełożonych udaje się na Podlasie jako misyonarz apostolski ale przebrany za Ślązaka handlującego płócienkami. Wnet zdradzony przez żyda, dostaje się do więzienia w Białej, ale i tam apostołuje i wzmacnia i krzepi na duchu biednych unitów, którzy naumyślnie starają się dostać do więzienia, aby pomówić z misyonarzem. Po 18 miesiącach, dzięki wdaniu się najwyżej postawionej osoby, odzyskał wolność, wrócił do Krakowa na nowe prace,

ale w unitów chełmskich wstąpił duch męstwa, czuli to, że jest ktoś, kto nimi się opiekuje, że Ojciec św. nadzwyczajne dla nich wydał łaski i przywileje.

Poświęceniem i niewolą dla wiary urósł, spotężniał już i tak silny animusz O. Jackowskiego. Objął najprzód superyorstwo nowej rezydencyi św. Barbary w Krakowie, wnet potem 18 lipca 1880 stanął na czele kolegium krakowskiego, a już 16 czerwca 1881 mianowany prowincyałem Jezuitów polskich i był nim lat 6.

Najświetniejsza to ale i najpracowitsza doba pracowitego żywota O. Jackowskiego, dźwignął i tchnął nowe życie w całą prowincyę, nakreślając jej szerokie ramy akcyi na każdem polu, a czynił to z takim spokojem i z taką swobodą, jak gdyby to były drobne, codzienne sprawy. Bóg mu widocznie błogosławił, bo i u ludzi wszystkich stanów i u władz duchownych i rządowych posiadał mir, poważanie wielkie tak dalece, że po śmierci kardynała biskupa krakowskiego Albina Dunajewskiego 1894 r., ówczesny namiestnik Galicyi hr. Kaz. Badeni proponował go na biskupstwo krakowskie i już była nominacya cesarza gotowa, gdy O. Jackowski dowiedziawszy się o tem, najprzód u samego cesarza w Ischlu starał się o cofnięcie nominacyi, potem u Leona XIII, który nuncyuszowi w Wiedniu polecił, aby kogo innego na tę godność proponowano.

Jako prowincyał stworzył 1883 r. redakcyę i wydawnictwo *Misyi Katolickich* i *Przeglądu Powszechnego,* rozszerzył zakres innych wydawnictw religijnych. Potem w głębi i na kresach Galicyi otworzył nowe domy, rezydencye w Stanisławowie, Czerniowcach i Cieszynie, zamknął za to dom łańcucki, bo połączony z parafią i tę oddał biskupowi przemyskiemu dla świeckiego kleru. Uorganizował na wielką skalę misye ludowe i rekolekcye dla inteligencyi, i pomimo zajęć prowincyalskich, sam je często dawał. Wreszcie widząc szczupłość konwiktu tarnopolskiego, przeniósł go do Chyrowa, gdzie obszerny gmach na 400 i więcej uczniów wybudował, uzyskał dlań prawo publiczności, i sam był jego rektorem od 1887—92 r.

Wskrzesił też dawne z XVI i XVIII wieku misye jezuickie w Mołdawii, w dzisiejszej Rumunii, w Jassach zwłaszcza, gdzie seminaryum i studya teologiczne pod sterem Jezuitów po dziś dzień istnieją.

Wśród tylu zajęć, z których każde jednego potrzebowałoby

człowieka, ujął w swe ręce nader ważną dla Cerkwi ruskiej w Galicyi sprawę reformy OO. Bazylianów. Sam się nią szczerze zajmował i poświęcił dla niej najtęższych Jezuitów, jak ś. p. ksiądz Szczepkowski (innych nie wymieniam, bo żyją jeszcze) z uszczerbkiem prawie dla własnego Zakonu. Na złamanie zaś moskalofilskiej propagandy w wschodniej Galicyi wysłał 9 misyonarzy, którzy w Hniliczkach i okolicy przez kilka miesięcy apostołowali.

Ale to dziesięciolecie nadmiaru pracy (1871—92) podkopało potężny organizm jego. Superyorem był po drugi raz u św. Barbary w Krakowie 1892—4, instruktorem księży trzeciej probacyi w Tarnopolu, znów superyorem we Lwowie i Cieszynie, z trudnością jednak spełniał te obowiązki, prosił, aby go od przełożeństwa zwłaszcza uwolniono, bo bystrość umysłu tępiała, siły szwankują. Wreszcie przed rokiem rozwinęła się choroba nerkowa, która go o śmierć przyprawiła. Dogorywał ostatnie tygodnie w ulubionym swym Chyrowie, otoczony opieką Braci i lekarza, cichy, spokojny, poważny a jednak raz po raz żartobliwy, wdzięczny odwiedzającym go, a odwiedzili go JKs. Metropolita Rusi Szeptycki, z ojcem swym i bratem, inni JKsięża Biskupi przysłali swe kondolencye i błogosławieństwo, boć on ich dyecezyom dobrze się zasłużył. Mszę św. odprawiał aż do ostatnich tygodni, potem Komunię św. przyjmował często; dnia 18 lutego zdawało się, że kona, modlono się przy nim; paroksyzm minął a on do otaczających rzecze z uśmiechem: rogata dusza nie chce wyjść z ciała. Wyszła wreszcie po nagrodę do Pana 6 marca.

Na pogrzeb jego zjechali JKs. Arcybiskup lwowski Bilczewski, biskupi przemyscy JKs. Dr. Pelczar i JKs. Fischer, sufragan krakowski JKs. Nowak, kilku kanoników, wielu znaczniejszych panów i szlachty, składając tem hołd cnotom i zasługom zakonnika-obywatela.

Ks. St. Załęski.

REFLEKSYE Z POWODU WOJNY ROSYJSKO-JAPOŃSKIEJ.

IV.

Właściwą podstawą rosyjskiego samodzierżawia jest legitymizm. Monarcha posiada samorodne, pierwotne prawo normowania wszystkich stosunków, a woli jego nic nie ogranicza, bo nikt nie ma żadnych własnych uprawnień. Każdy więc winien stosować się do wydawanych przez panującego dowolnie zarządzeń, wszelkie bowiem dążenie do złamania lub umniejszenia jego władzy jest bezprawiem.

Jasną jest rzeczą, że taki ustrój państwowy może się utrzymać tylko na niskim stopniu kultury publicznej. W miarę jej rozwoju zanika coraz bardziej idea nieograniczonych praw jednostki, natomiast wzrasta poczucie ogólno-ludzkich praw naturalnych, a wraz z niemi i pragnienie zerwania z systemem, w którym o losach wszystkich decyduje dowolnie jeden tylko człowiek. Absolutyzm choćby najłagodniejszy i najlepsze wydający rezultaty liczy coraz więcej nieprzyjaciół, bo przybiera charakter nieuzasadnionego przywileju dla jednych, niesprawiedliwego upośledzenia innych, staje się więc co najwyżej złem koniecznem. Niechęć wzmaga się tem łatwiej, że panujący pod naciskiem ogromnego wzrostu zadań państwowych, przelewa swą władzę na urzędników. Ludność choćby i nadal przyznawała mu samowładztwo, nie widzi przecież powodu, dla którego biurokracya miałaby korzystać z pełni praw, innym niedostępnych. Legity-

mizm i absolutyzm są to pojęcia ściśle osobiste, dające władzę tylko pewnej jednostce, czy rodzinie. Skoro ona nie może czy nie chce wykonywać jej sama, niema prawa przenieść jej na innych, lecz musi uznać naturalne uprawnienia ogółu.

Od chwili, gdy takie prądy objęły szersze warstwy ludności, zmienia się zasadniczo etyczny charakter absolutyzmu, z uprawnionej bowiem formy rządu, przechodzi w narzuconą, a więc nienawistną. Nie trzyma się już nadal legitymizmem, lecz jedynie siłą i postrachem, nie opiera się na prawie, tylko na przemocy. Rozpoczyna się więc z nim walka, na razie głucha i tajemna, w którą najpierw rzucają się żywioły najskrajniejsze i najradykalniejsze. Właściwie cała oświecona ludność należy do wrogiego mu obozu, jednakże nie mając nadziei złamania panującego systemu, obawiając się większego jeszcze ucisku w razie jakiejkolwiek opozycyi, zachowuje się biernie. Tylko ci, którzy nie mają wiele do stracenia, a bardziej od innych odczuwają ciężar więzów, stają otwarcie do boju, grupując coraz większe około siebie szeregi. Stronnictwa skrajne rosną szybko, bo stanowią jedyny czynnik społeczny, odznaczający się energią czynu; absolutyzm przeto, mając przeciwko sobie z każdym dniem silniejszego i niebezpieczniejszego przeciwnika, coraz bezwzględniejszych chwyta się środków. Otrzymuje w odpowiedzi, samą siłą rzeczy, spiski i terroryzm, stosunki więc zaostrzają się bezustannie, coraz bardziej dla wszystkich stają się nieznośne. Im mniejsze owoce wydaje represya, a żaden gwałtowny ucisk nie zdołał jeszcze złamać większego społecznego ruchu — tem większa część ludności, dotąd bezczynnie przypatrująca się tym zapasom, przesuwa się na lewo. Walka więc staje się zaciętszą; po obu stronach nie przebiera się w środkach: całe społeczeństwo żyje w ciągłym niepokoju, w chronicznej anarchii.

Tem właśnie tłomaczy się, dlaczego każde samowładztwo stanowi najpodatniejszy grunt dla rozwoju prądów najradykalniejszych, a każda klęska zewnętrzna jest dla absolutyzmu zabójczą. Stronnictwa skrajne walczą w imię praw ogółu, otacza je aureola bohaterstwa i męczeństwa. Jeżeli inni nie stają w ich szeregu, to tylko dlatego, że siła warstw rządzących przejmuje ich

lękiem, że obawiają się skutków swego kroku. Absolutyzm sieje postrach, który część społeczeństwa zmienia w masę bierną, nie wiąże jej jednak ze sobą bynajmniej. To też gdy nieszczęśliwa wojna okaże, że te obawy były płonne, że tej siły, która tak przerażająco wyglądała, właściwie niema, wszyscy stają w rzędzie jego nieprzyjaciół, bo strach ustępuje miejsca poczuciu praw własnych. A system dotąd panujący zwalcza się tem namiętniej że nie tylko wini go się za cierpiane dotąd więzy i nadużycia, lecz także za własną tchórzliwość. Nic przeto dziwnego, że każda niepomyślna wojna wstrząsała podwalinami absolutyzmu. Napoleon I w r. 1815 wydaje konstytucyjny akt dodatkowy, Prusy obiecują konstytucyę w r. 1813, Piemont staje się państwem parlamentarnem po Nowarze, Austrya po Solferino i Sadowie, nawet Rosya wchodzi na drogę wolnościowych reform po upadku Sebastopola.

Prawie konieczny ten rozwój polityczny może jednak przybrać dwojakie kształty w miarę tego, czy rząd dotychczasowy szczerze i lojalnie pragnie pogodzić się z nowym ustrojem, czy też ustępuje tylko chwilowo pod naciskiem wyższej konieczności, nie tracąc nadziei odzyskania napowrót dawniejszego samowładztwa. W pierwszym wypadku wprowadza się konstytucyę, odpowiadającą rzeczywistym potrzebom ludności, opiera się organizacyę państwową na podstawach zdrowych, mających wszelkie warunki trwałości i zdolność dalszego rozwoju. W drugim pozwala się na zwycięstwo doktrynerów, ażeby jak najprędzej zniechęcić ludność do nowych ludzi i tem samem odzyskać swój wpływ dawniejszy. Wtedy jednym skokiem społeczeństwo przechodzi ze stosunków, w których najzupełniej było skrępowane, do ustroju w formie bardzo liberalnego, który jednak w grucie rzeczy prowadzi znowu do absolutnych rządów. W reprezentacyi politycznej stanowczą przewagę uzyskują najskrajniejsi doktrynerzy, już choćby dlatego, że ich zasługą było obalenie nienawistnych stosunków poprzednich, oni więc kierują przez pewien przeciąg czasu losami narodu, nie licząc się najczęściej z życiem, tylko ze swoimi utopijnymi ideałami. Zwolennicy absolutyzmu nie krępują ich niczem, patrzą spokojnie na dalszy rozwój wypadków. Do-

piero gdy minie pierwszy zapał dla wolności, a praktyczne potrzeby życia, z któremi doktryna nie liczyła się wcale, zaczną odzywać się coraz głośniej, gdy jednem słowem ogół zobaczy, że niekoniecznie zyskał na zmianie, reakcya przystąpi do działania, w roli oswobodziciela od niepowołanych kierowników. W taki sposób zakończyła się terorystyczna epoka pierwszej rewolucyi francuskiej, na tej drodze doszedł Napoleon III do cesarstwa, tak postąpiły państwa środkowo europejskie po ruchach z roku 1848.

Wojna japońska stanowi dla Rosyi taki punkt zwrotny, który zadecyduje o zmianie państwowego ustroju. Wybuchła właśnie w chwili, gdy ogromna większość inteligentnych warstw społeczeństwa od dłuższego już czasu uważała absolutyzm za anachronizm niczem nie uzasadniony i szkodliwy, a ciągłe wahania polityki wewnętrznej, przechodzącej bezustannie od względnej łagodności ku gwałtownej represyi i bijąca w oczy sprzeczność pomiędzy słowami i czynami monarchy, wprowadziły wszystkich w chroniczny stan wysokiego rozdrażnienia. Rok wojny zdarł z samodzierżawia ostatnie resztki jego blasku. Nieprzerwany tok coraz cięższych klęsk i upokorzeń okazał w całej pełni nieudolność, deprawacyę i bezsilność biurokracyi, w ślad zaś zatem poszła zupełna dezorganizacya u góry, zanik wszelkiej przewodniej myśli, kompletna nieświadomość, co należy zrobić, jak wypada postąpić. Manifest następował po manifeście, jeden znosił drugi, wszystkie zaś były wyrazem chwilowego wpływu jednego lub drugiego człowieka na pozbawionego własnej woli i myśli cara, wszystkie nosiły wyraźne piętno nieszczerości. Monarcha zmienił się w mowcę, który odzywa się zbyt często; jego słowa mijały bez wrażenia, bo dzisiaj zmieniał i cofał to, co przyobiecał wczoraj, a własne jego czyny stały w rażącej sprzeczności z jego oświadczeniami.

Materyalne przeto i moralne podstawy samodzierżawia rozpadają się w gruzy, a żelazna konieczność zmusza absolutyzm do współdziałania przy usuwaniu pozostałych ich resztek. Wojna w Mandżuryi, po klęsce pod Mukdenem, największej od napoleońskich czasów, nie może już dla Rosyi zakończyć się pomyślnie.

Każdy dzień utrudnia jej położenie, zwiększa żądania Japonii, pogarsza warunki przyszłego pokoju. Mimo to rząd rosyjski, wbrew woli społeczeństwa, w imię własnego bytu, musi wojnę prowadzić dalej. Zawarcie pokoju dzisiaj byłoby takiem stanowczem zadokumentowaniem zupełnej niemocy, takiem upokorzeniem, że nawet sfery, które teraz głośno domagają się pokoju, wystąpiłyby z całą siłą przeciw tym, którzyby go podpisali. Pokój po przegranej wojnie stanowi zarazem przynajmniej początek końca absolutyzmu, jeżeli już nie sam koniec, więc też rząd musi prowadzić wojnę dalej, która jest rodzajem narkotyku, utrzymującego go sztucznie przy życiu. Samodzierżawie znajduje się w położeniu człowieka, którego od ruiny ma ochronić wielka wygrana losu, oddaje więc resztki swych środków, ażeby ten los zakupić.

Lecz szanse są więcej niż skromne. Armia rozprószona i zdezorganizowana cofa się pod bezustanną grozą kapitulacyi ku granicom Sybiru, przyobiecane posiłki mogą nadejść dopiero po długich miesiącach, żołnierz utracił zaufanie do swych dowódców. To też nie podobna już, nie mówię, liczyć z pewnem uzasadnieniem, lecz choćby tylko marzyć o zwycięstwie. Pokój przeto ciężki a upokarzający przyjść musi, a wraz z nim rozwój wypadków wewnętrznych w duchu konstytucyjnych reform.

Nie brakowało u nas głosów, które wskazując na stosunki pruskie, przewidywały niebezpieczeństwo wzmocnienia naporu rusyfikacyjnego w ustroju konstytucyjnym. Dla nas, mówiono, konieczne są jedynie prawa obywatelskie, zapewniające swobodę narodową, religijną i osobistą, wolność nauczania, prasy, zgromadzeń i stowarzyszeń. O ile oneby istniały wolelibyśmy absolutyzm, bo w nim staje przeciw nam do walki sam tylko rząd, podczas gdy po wprowadzeniu konstytucyi, będziemy mieć przeciw sobie cały naród rosyjski. Kto wie nawet, czy tworząc parlament, nie wykluczą nas z niego, co byłoby ostateczną klęską dla Polaków pod zaborem rosyjskim.

Całe to rozumowanie opiera się na kilku zupełnie błędnych przesłankach. Najpierw trudno sobie wyobrazić gwarancye obywatelskie w systemie absolutnym. Ustrój konstytucyjny, wprowadzający t. zw. państwo prawne, w imię własnego bytu nie

może nadużywać ustaw i norm wyjątkowych. Materyalnie, merytorycznie, może on wprawdzie wytworzyć dwie kategorye obywateli, z których jedna będzie upośledzoną; da się to przeprowadzić jednak tam tylko, gdzie takie pokrzywdzenie można ubrać w formę przepisu ogólnego. Absolutyzm nie zna tych trudności, według swego uznania a choćby i kaprysu wydaje zarządzenia, obowiązujące tylko pewne grupy ludności, okręgi, lub nawet jednostki. Choćby zrównał wszystkich wobec prawa i zapewnił jak najszersze swobody obywatelskie, może je jednem pociągnięciem pióra zmienić lub uchylić, może odebrać jutro to, co dał dzisiaj, podczas gdy w parlamentaryzmie potrzeba na to zgody reprezentacyi politycznej, a więc drugiego jeszcze czynnika, który już wskutek swego składu nie działa tak szybko, ani nie ulega w takim stopniu jednostronnym prądom. Jeżeli więc sądzimy, że prawa obywatelskie, przyniosłyby nam narodową korzyść, nie podobna lekceważyć formy konstytucyjnej, gdyż w niej tylko można je uzyskać trwale i na pewne liczyć na ich utrzymanie.

Ulegamy bardzo silnie wrażeniom chwili, nic przeto dziwnego, że eksterminacyjna polityka pruska, prowadzona od lat kilkunastu z wielką zaciętością, zachwiała naszym spokojem i sądem. Mimo to jednak, że Prusy nie cofają się przed niczem, że używają całego swego aparatu rządowego przeciw żywiołowi polskiemu, że posługują się w walce organizacyami narodowo-społecznemi, a prowadzą ją na wszystkich polach, że, gdzie tylko możliwem jest, choćby drogą karkołomnej interpretacyi, stosowania przeciw nam ustaw, tam z pewnością idą tym śladem — mimo to germanizacya używa przecież innych środków niż rusyfikacya. Udotowano kilkuset milionami komisyę kolonizacyjną, ażeby wykupić ziemię z rąk polskich, rząd rosyjski taniej i łatwiej idzie do tego celu, zabraniając po prostu Polakom nabywania ziemi w jednych dzielnicach, a zmuszając ich do sprzedawania jej wszędzie, jeżeli nie mają poddaństwa rosyjskiego. Zmarły minister Hammerstein groził ustawą, którąby wykluczyła język polski ze zgromadzeń publicznych, w Rosyi byłaby ona zbyteczną, bo zgromadzeń wogóle odbywać nie wolno

a nawet w instytucyach prywatnych urzędowym językiem jest język rosyjski. W głowach najbardziej zaciekłych hakatystów wylęgła się myśl, której nawet rząd pruski nie mógł popierać, ażeby zabronić wydawania pism peryodycznych, drukowanych tylko po polsku — Rosya od dawna już nie pozwala na żaden dziennik polski na Litwie i Rusi; urzędnicy w Księstwie otrzymują osobne dodatki, w Królestwie i krajach zabranych dzieje się to również; Polaków wstępujących do służby rządowej wysyła się w Niemczech na Zachód, w Rosyi w głąb cesarstwa.

Niepodobna przeto zrozumieć, w czemby system rosyjski miał być lepszy od pruskiego. Gdzie tylko Prusy wprowadziły wrogą nam akcyę, tam Rosya postępowała od dawna już tą samą drogą, tylko jeszcze mniej liczyła się choćby z pozorami prawa, była jeszcze bezwzględniejszą i brutalniejszą. A oprócz tego absolutyzm wydał tysiączne przepisy, których Prusy mimo najszczerszej chęci naśladować nie mogą, jeżeli nie chcą otwarcie opuścić szeregów państw cywilizowanych. Nie mogą zakazywać polskiej rozmowy, jak to było na Litwie, nie mogą księdza więzić w jego parafii, ani administracyjnie zsyłać w odległe okolice niewygodne jednostki, nie mogą karać jako zbrodni za przywiązanie do swej wiary, lub wprowadzić cenzury, nie mogą zastosować wiele innych, może bardzo ponętnych rzeczy, które obowiązują w Rosyi.

Jeżeli więc w ostatnich czasach, pod wpływem walki z Prusami, w niektórych kołach polskich poczęto system rosyjski oceniać mniej krytycznie, to tłumaczy się to tem tylko, że z jednej strony walka z naporem niemieckim jest trudniejszą i cięższa, z drugiej zaś kulturalnem stanowiskiem państwa pruskiego. Wielkopolska, mając przeciw sobie pięćdziesięciomilionowe, narodowo zwarte państwo, zazdrosnem okiem patrzy na Królestwo, większe, bogatsze, a więc i silniejsze; zmuszona do śmiertelnego boju z państwem potężnem, dobrze zorganizowanem i administrowanem, o ludności oświeconej, przewyższającej nas zamożnością, pragnęłaby może, ażeby w miejsce takiego wroga przyszedł inny, więcej barbarzyński, lecz właśnie dlatego i słabszy. Przytem łatwiej nam zrozumieć gwałtowną eksterminacyę w Rosyi, niż

w państwie niemieckiem. Tam stoi jeszcze państwo wpół-azyatyckie, wschodnie, więc też wschodnie stosuje się tam środki do swoich i obcych. Prusy natomiast, wysoko cywilizowane, które przez długie lata były wzorem dla innych, wchodząc na taką drogę, tem bardziej potępienia są godne, że niepodobna posądzić ich o to, ażeby nie wiedziały, że łamią na każdym kroku najprostsze zasady sprawiedliwości i cywilizacyi. Więc wina ich jest bez porównania większą, a stąd wniosek dość naturalny, jakkolwiek logicznie i politycznie błędny, lepszy system rosyjski od niemieckiego. I to tem więcej, że Rosya może się powołać na dawniejsze powstania i rewolucye, jako na źródło dzisiejszego ucisku, podczas gdy przeciw Prusom nie było nigdy żadnego poważniejszego ruchu. W Rosyi więc represya narodu polskiego ma charakter kary czy odpłaty, w Prusiech przyszła bez powodu, jako wyraz rasowej nienawiści.

Wszystko to prawda, lecz w życiu narodów ocenia się wypadki przedewszystkiem ze względu na ich doniosłość dla dalszego rozwoju. Ten system musimy uznać za lepszy z naszego punktu widzenia, który mniejszą przynosi nam szkodę, mniej jest niebezpieczny. Nie można przytem ograniczać się do ocenienia sił przeciwnika, należy poznać także środki obrony. A najpotężniejszej i najskuteczniejszej broni dostarcza właśnie system konstytucyjny, pozwala bowiem na zorganizowanie i prowadzenie walki otwartej, która sama przez się przyspiesza unarodowienie warstw szerokich, a tem samem opiera się o coraz pewniejsze podstawy.

Uświadomienie narodowe jest wynikiem wyższej już kultury, która postępuje stopniowo, idąc od góry w niższe a liczniejsze koła. W państwie narodowem szerzą je wszystkie instytucye publiczne, przedewszystkiem zaś szkoła, dla nas ta droga nietylko jest zamknięta, lecz co gorsza, szkoła stanowi najniebezpieczniejszy środek eksterminacyjny. Szkoła pruska germanizuje, rosyjska nie może wprawdzie zrusyfikować, lecz działa jeszcze szkodliwiej, propaguje bowiem tak obcy całej naszej kulturze specyficznie rosyjski destrukcyjny sposób myślenia. Germanizacyi ulegają nieliczne stosunkowo jednostki, gdy tymczasem niezdrowy nihilizm rosyjski przenika w pewnym stopniu całe społeczeństwo.

Stąd też w obu tych zaborach stoimy przed dwojakiem a bardzo ciężkiem zadaniem. Z jednej strony należy uświadamiać narodowo całą ludność, nie mogąc korzystać z urządzeń publicznych, z drugiej zaś wypada neutralizować zgubny wpływ szkoły, która ma charakter wybitnie wrogi i jest raczej narzędziem politycznem, aniżeli zakładem cywilizacyjnym. W systemie absolutnym jest to prawie niemożliwe, zarówno bowiem skrępowana jest prasa jak i żywe słowo, podczas, gdy konstytucya zapewnia wolność słowa w mowie i piśmie, swobodę stowarzyszeń i zgromadzeń, dostarcza wreszcie trybuny parlamentarnej, z której uciśniony może przemawiać do swego narodu. W ten sposób uświadomienie narodowe może postępować bardzo szybko, gdyż wysiłki wrogiego rządu pobudzają do tem większej energii, a naturalne, wszędzie działające poczucie etyki sprawia, że naród otoczony aureolą ucisku i męczeństwa, tem bardziej może liczyć na rozwój czynnego patryotyzmu. Gdzie natomiast państwo nie walczy z przeciwnikiem, bo swym absolutyzmem skrępowało go najzupełniej, tam ucisk wywołuje jedynie uczucie bezsilnej nienawiści i goryczy, która nie prowadzi do trwałej, systematycznej pracy, lecz tylko do gwałtownych, sporadycznych wybuchów, nie liczących się najczęściej ze skutkami. Miejsce rozwagi, niezbędnej przy każdej akcyi, zastępuje uczucie; naród słaby przechodzi bez niej do pesymizmu i pogodzenia się z losem, pełen sił życiowych do czynów, podyktowanych rozpaczą.

W końcu nie należy zapominać, że konstytucya opierająca się na parlamentaryzmie, daje jeszcze nadzieję dalszych zdobyczy, drogą układów i kompromisów. Ugrupowanie partyjne, oparte na różnicy potrzeb i zapatrywań, sprawia, że w nader licznych wypadkach potrzebne są koalicye chwilowe, dla jednej tylko kwestyi, które opłacają się ustępstwami na innem polu. Jeżeli więc pewien naród czy polityczna grupa, rozporządzają znaczniejszą ilością głosów, mogą z wielkiem prawdopodobieństwem liczyć na osiągnięcie przynajmniej pewnej części swych celów, przy odpowiedniej taktyce parlamentarnej.

Przechodząc do przyszłego ułożenia stosunków rosyjskich, wchodzimy naturalnie w sferę niepewnych konjekturalnych przy-

puszczeń. Opierając się jednak na dotychczasowym biegu wypadków, możemy z wysokiem prawdopodobieństwem spodziewać się zmian panującego ustroju, które w każdym razie byłyby dla nas korzystne. Obawy imperyalizmu rosyjskiego, t. zn. żywiołowej nienawiści do Polaków u całego społeczeństwa i wspólnych wysiłków rządu i narodu w kierunku rusyfikacyjnym są, mojem zdaniem, płonne. Idea imperyalizmu przychodzi zawsze albo jako wynik pewnych specyalnych okoliczności, albotеż jako program nowy, wstępujący w miejsce postulatów bliższych, już osiągniętych, jako wypływ utrwalonej już politycznej swobody i kultury. Imperyalizm jest niczem innem, jak tylko ekspanzyą swej narodowej indywidualności, poprzedzić go więc musi konsolidacya wewnętrzna i reorganizacya własna, tak, że dopiero po ukończeniu prac domowych, przechodzi się do działania na zewnątrz. Powołujemy się zawsze na Prusy, gdzie społeczeństwo stanęło obok rządu w walce przeciwko żywiołowi polskiemu. Nie należy jednak zapominać, że w Prusiech już przedkonstytucyjne rządy doprowadziły ludność do wysokiego stopnia rozwoju, tak, że przed parlamentem stało stosunkowo nie wiele zadań wewnętrznych, że Prusy mają wyższy interes w wynarodowieniu Polaków, aniżeli Rosya, że wreszcie dzielnice pod panowaniem pruskiem posiadają znaczniejszą ludność niemiecką, podczas gdy niema prawie zupełnie Rosyan w żadnej z części dawnej Polski, pozostających w ręku caratu. Nie od rzeczy będzie na poparcie tych wywodów, zwrócić uwagę na jedną niekonsekwencyę, której dopuszczają się ci wszyscy, których przyszła konstytucya nabawia pewnych obaw. Dzisiaj, powiadają, uciska nas tylko rząd, zostający pod wpływem Prus i biurokracyi, w systemie parlamentarnym może wystąpić przeciw nam cały naród. Lecz jeżeli tak silnie akcentuje się znaczenie Prus i biurokracyi, ażeby dowieść, że w zasadzie możnaby się pogodzić z ustrojem rosyjskim, to dlaczegóż przemilcza się o tem, że zniknie ono, albo przynajmniej bardzo zmaleje od chwili wprowadzenia konstytucyi. Wszak zwróci się ona głównie przeciw wszechpotędze urzędników, trudno więc przypuścić, że parlament ich interesy będzie przedewszystkiem uwzględniał, a można sobie wyobrażać w dowolnych rozmiarach wpływ dyplomacyi

pruskiej na Petersburg, lecz każdy chyba przyzna, że działać on może jedynie na sfery rządowe, w żadnym zaś razie na ciała reprezentacyjne. Jedno z dwojga więc: albo ucisk dzisiejszy zawdzięczamy Prusom i urzędnikom, a w takim razie każda konstytucya jest dla nas pożądana, bo odbiera im możność dalszego działania, albotež rusyfikacya powstała samoistnie, jako rezultat zasadniczej polityki rządu, a wówczas zmiana jego jest również korzystna. A należy podnieść, że imperyalizm budzi się nieraz właśnie w systemie absolutnym, jako sztuczny produkt agitacyi rządowej, która w ten sposób pragnie odwrócić uwagę społeczeństwa od własnego jego położenia, jak to było w Rosyi w r. 1863.

Imperyalizm przeto, jeżeli już mamy się z nim liczyć, może się pojawić dopiero w późniejszym czasie, na razie bowiem najbliższem następstwem zmiany formy rządu będzie niewątpliwie walka z wszechwładzą i nadużyciami biurokracyi, jakoteż dokładne obwarowanie swobód obywatelskich. Jedno i drugie posiada dla nas pierwszorzędną doniosłość. Ucisk ludności polskiej przejawia się tem silniej, im potężniejsze i mniej skrępowane są sfery urzędnicze, a jeżeli system rusyfikacyjny przynosi wogóle komukolwiek korzyści, to tylko biurokracyi, nadając jej charakter jedynej ostoi idei państwowej wśród wrogiej ludności. Jasną jest rzeczą, że Rosya, zwracając się przeciw biurokracyi, nie zechce nadal opiekować się zbytnio jej interesami, odrazu więc powstaną warunki dla rozsądnej i spokojnej oceny skutków dotychczasowej polityki antypolskiej.

Prawa obywatelskie są jeszcze nierównie ważniejsze. Dzisiaj społeczeństwo polskie pod zaborem rosyjskim może pracować nad swym rozwojem tylko dorywczo i tajemnie. Znane są zarzuty, podnoszone z pewnych stron, przeciw tajnej, nielegalnej robocie. Można na nie odpowiedzieć, że ktokolwiek chce coś zrobić, musi iść tą drogą, że opuszczenie jej odpowiada zupełnemu poddaniu się losowi, zmusza bowiem do kompletnej bezczynności. Nie ulega jednak wątpliwości, że taka forma działania przedstawia wiele braków i niebezpieczeństw. Nie może być systematyczną i ściśle celową, gdyż zamiary krzyżuje nieraz konieczność ukrywania się,

a zarazem zmusza niejednokrotnie do milczącej przynajmniej zgody na cele i środki, które w gruncie rzeczy uważa się za nieodpowiednie. Nie należy zapominać, że w tych warunkach z wszelką akcyą łączy się większe lub mniejsze niebezpieczeństwo indywidualne, które zacieśnia koło chętnych pracowników. Z natury rzeczy najwięcej pracuje tu żywiołów gorętszych, a więc przedewszystkiem młodszych, lecz nieraz mniej rozważnych, unoszących się zbytnio temperamentem. Można wprawdzie wpływać na nie uspokajająco, niepodobna ich jednak zmusić do takiej karności, ażeby we wszystkiem stosowali się do zdania wytrawniejszych przywódców. Każdy działa do pewnego stopnia na swój sposób, według własnego uznania, a choćby widziano, że tu i owdzie zbłądził, używa się go dalej, bo energiczną siłę zastąpić bardzo trudno. Indywidualne przeto i lokalne wpływy posiadają w takich stosunkach znaczenie bardzo wielkie, tak że utrzymuje się wprawdzie kierunek ogólny, lecz po za tem wpływ głównego zarządu nie może być zbyt rozległy i nieraz musi ustąpić żądaniom idącym z dołu, choćby nieuzasadnionym. Wskutek tego daje się odczuć w wysokim stopniu brak jednolitej myśli. Zasadnicza podstawa programu nie może wystarczyć, bo rzeczywistość przynosi coraz to nowe wypadki, które należy ocenić i zająć wobec nich stanowisko. Wtedy widzimy te wahania i niekonsekwencye, które tak łatwej dostarczają broni przeciwnikom. Różnica zdań co do środków taktycznych występuje na zewnątrz, idzie się, w miarę przewagi jednego lub drugiego odcienia, szybszym lub powolniejszym krokiem, jednem słowem, lawiruje się wobec piętrzących się trudności.

Z pewnością dzieje się tak samo w każdej grupie politycznej, wszędzie bowiem mamy do czynienia z zapatrywaniami indywidualnemi, które zgodne zresztą w kwestyach pierwszorzędnych, rozchodzą się czasem bardzo daleko w szczegółach. Lecz ścisła a jawna organizacya pozwala na osiągnięcie porozumienia, na zmajoryzowanie mniejszości, zapewnia więc możność jednolitego i konsekwentnego kierunku. Jednostka nie przedstawia tu takiej wartości, ażeby wszyscy musieli się liczyć z jej odpadnięciem jako ze stratą, którą powetować trudno, a czując to sama,

jest skłonniejszą do ustępstw. Tem tłómaczy się ogólnie znane zjawisko, że w okresie walki negatywnej, szczególniej gdy nie wielka jest nadzieja zwycięstwa, wysuwają się na pierwszy plan czynniki radykalne, a po dojściu do władzy ustępują miejsca żywiołom więcej umiarkowanym. Często zarzuca się takim stronnictwom odstępstwo od zasad, nieszczerość, wzgląd na egoistyczne dążenia niektórych osób. Jest to zupełnie niesłuszne, niema bowiem w gruncie rzeczy żadnej zmiany, tylko że od chwili, gdy siły się wzmogły, można było, bez nadmiernej szkody, wystąpić przeciw przejawom, które uważało się zawsze za niewłaściwe, które jednak musiało się tolerować.

Jasną jest rzeczą, że ta konieczna chwiejność, przejawiająca się w nierównomiernym wpływie na ludność, którą pragnie się zszeregować, jest szkodliwą. Jeżeli w Królestwie widzimy objawy, które zdawałyby się wskazywać na brak jednolitej myśli, na rozbicie społeczeństwa raczej na koterye, aniżeli na stronnictwa polityczne., to tłomaczy się to przedewszystkiem znaczeniem osobistem poszczególnych jednostek, o których utrzymanie w swych szeregach dbać się musi, jako też wpływem czynników lokalnych, kierujących ruchem miejscowym, który szerzy się samą siłą rzeczy i przybiera charakter zjawiska ogólnego. Podobnie jak socyaliści nieraz *ex post* dopiero solidaryzują się ze strejkiem, którego bynajmniej nie chcieli, ażeby utrzymać swe stanowisko pomiędzy robotnikami i ewentualnie opanować ruch, wzbudzony wbrew ich woli, tak musi postępować czasami każda grupa polityczna, która nie chce popełnić samobójstwa. Samo potępienie i odsunięcie się od ruchu jest tylko wtedy wskazane, gdy może się go przez to zgnieść w samym zarodku. Jeżeli brak sił potemu, właśnie w interesie ogólnym, dla złagodzenia jego niekorzystnych skutków, należy znaleźć się w nim samym, bo z wrogiego niejako stanowiska, niepodobna kierować niczem.

Konieczność takiej taktyki politycznej przynosi jednak z sobą niebezpieczeństwo dezorganizacyi społecznej. Masy ludności, idące za swymi przewodnikami, zatracają wobec tych wszystkich komplikacyi wszelką zdolność do ujęcia i zrozumienia przewodniej myśli, to też nie działa na nie program, lecz wiara

w osoby lub hasło, będące, już tylko frazesem. W tym stanie rzeczy hasło sympatyczniejsze, odpowiadające więcej temperamentowi, mniej od innych liczące się ze stosunkami, a więc prostsze i jaśniejsze, bierze górę nad innem, w społeczeństwie więc powstaje bezustanne falowanie, którego praw i rezultatów niepodobna nawet w przybliżeniu ocenić.

Prawa obywatelskie, dopuszczające organizacyi politycznej jawnej, dające cały szereg środków dla jej stworzenia, zmieniają od razu tego rodzaju stosunki. Wspomniałem już, że do walki z absolutyzmem stają niemal same stronnictwa najskrajniejsze, gdyż one tylko rozporządzają ludźmi, zdecydowanymi na wszystko i hasłami najsilniej działającemi. Swobody konstytucyjne, uchylając osobiste niebezpieczeństwo, połączone z wszelką akcyą polityczną, dostarczają natychmiast nowych pracowników, którzy dotąd trzymali się na uboczu, lub ograniczali się do działalności lokalnej i ekonomicznej. Są to najczęściej żywioły mniej energiczne, lecz za to dojrzalsze, trzeźwiejsze i dzięki swym osobistym stosunkom posiadające wpływ i znaczenie w pewnych kołach lub warstwach. Ci ludzie wzmacniają szeregi umiarkowane i stanowią odłam karniejszy od innych, już ze względu na cechy swego charakteru. Radykalizm przeto, czy to samodzielny, występujący jako odrębne stronnictwo, czy też wchodzący jako lewe skrzydło w skład wszystkich innych partyi, traci powoli swe ostrze i swoje znaczenie; ruch polityczny nie ulega już jednostronnym wpływom jednej tylko grupy, lecz staje się wyrazem wszystkich prądów, mających w społeczeństwie odpowiednią siłę.

W ten sposób rośnie kultura polityczna, bo ścierają się już zdania nie jednostki. Lecz zarazem zmienia się i cały kierunek działalności publicznej z czysto negatywnego w pozytywny. Brak uprawnień politycznych sprawia, że wszystkie wysiłki kierują się przeciw ciemiężcy, przeciw systemowi, który całą władzę zagarnął dla siebie. Unarodowienie i wykształcenie szerokich warstw ludności opiera się przedewszystkiem na odróżnieniu własnego społeczeństwa od wrogiego rządu, mało w niem znajdzie się pierwiastków stałych, pozytywnych, bo chodzi o zgrupowanie sił w sposób najszybszy i najłatwiejszy, a najodpowiedniejszą

w tym wypadku metodą jest wyzyskanie uczuć i namiętności, w pierwszej linii nienawiści. O ile taka robota może przynieść nader doniosłe owoce doraźne, o tyle obliczona jest na krótką tylko metę, tak, że z chwilą zakończenia walki nic właściwie z niej nie pozostaje. Przytem kryje się w niej jeszcze jedno niebezpieczeństwo. Wszystko opiera się na nienawiści do gniotącego, jeżeli więc uda mu się zwrócić jej wybuch w inną stronę, możemy otrzymać zupełnie inne skutki, niżeśmy się spodziewali. Wiadomo, że w ostatnich czasach co najmniej niższe organy rządowe w Rosyi chwyciły się tej polityki, która przynajmniej częściowo nie zawiodła ich nadziei, gdyż ruch, który miał być wyłącznie opozycyjnym, przybrał w wielu miejscach charakter walki klasowej, na którą rząd mógł patrzeć dość obojętnie.

Konstytucya kończy ten niebezpieczny okres. Absolutyzm, ustąpiwszy raz żądaniom ludności, nie stanowi już nadal tak potężnego przeciwnika, ażeby walka z nim mogła wypełnić całą treść publicznego życia; wstrząśnienia, poprzedzające zmianę formy rządu, zmuszają do pracy nad konsolidacyą społeczeństwa. Nastaje więc epoka pracy pozytywnej. Program, który przedtem mówił o tem, co należy usunąć, teraz wylicza, co należy zrobić, rozpoczyna się przeto praca twórcza, budująca nowe podstawy dla przyszłości narodu. Od tej chwili dopiero może postępować prawdziwe uświadomienie narodowe, oparte na samoistnych podstawach, niezależnych od stosunku do czynników obcych, a więc trwały wzrost sił narodu, tak ilościowy, jak i jakościowy.

W ten sposób szerzy się i pogłębia poczucie narodowe. Siły społeczne rosną bardzo szybko, nietylko bowiem nowe warstwy biorą czynny udział w życiu publicznem, lecz zarazem zmiana w technice działania sprawia, że czynniki dawniej rozbite, skupiają się i zaczynają ze sobą współdziałać. Jest to rzeczą zupełnie naturalną, że w sytuacyi obecnej zapanował daleko idący ostracyzm, niewątpliwie szkodliwy, lecz nieuchronny. Co chwila pojawiają się jednostki, które przyznawszy sobie prawo przemawiania w imieniu narodu, indywidualne swoje poglądy przedstawiają jako ogólno-narodowe żądania. Działa ich oczywiście równocześnie większa liczba, a każdy z nich używa odmiennej, lecz swojem zda-

niem, jedynie właściwej metody. Prowadzi to do rozbicia pracy ogólnej na szereg oderwanych wysiłków, pozbawionych jakiejkolwiek mocy, będących wyrazem osobistych tylko zapatrywań, gdyż wskutek wzajemnego odgraniczenia się od siebie, żaden z tych reprezentantów nie liczy się z prądami, panującymi w innych kołach. Wszystkie te przejawy traktuje się, o ile należy się do odmiennego obozu, jako szkodliwy rezultat nieuprawnionych pretensyi indywidualnych, stąd też zwalcza się namiętnie nietylko sam kierunek, lecz także osoby, które idą w jego duchu. Walka ta prowadzona pod naciskiem ciągłej obawy, że niewykształcone lub niezoryentowane politycznie sfery pójdą na lep potępionego programu, musi przybrać formy bardzo ostre, gdyż nie mogąc w prasie swobodnie oceniać poszczególnych punktów programu, obali go o tyle, o ile złamie wpływ osób stojących poza nim. Ostracyzm przeto staje się główną normą działania w tych stosunkach.

Społeczeństwo jednak cierpi na tem i to tem więcej, im ucisk jest większy, a mniej osób chętnych i zdolnych do pracy. Pomijając nader rzadkie wypadki narodowego odstępstwa, niema w życiu konstytucyjnem politycznej śmierci. Doświadczenie nabyte przy pracy nad organizacyą stronnictw i w ciągu parlamentarnej taktyki skłania polityków do oddzielania osób od kierunku, jakoteż do odróżniania w programach poszczególnych punktów. Przy wolności prasy, słowa, zgromadzeń i stowarzyszeń, przy reprezentacyi ustanowionej wyborami zmniejsza się obawa, ażeby ktokolwiek osobistym wpływem nie poprowadził za sobą mas po zgubnej drodze, a zarazem uznaje się uprawnienie pewnych osób do przemawiania w imieniu większych czy mniejszych kół ludności. Niema więc samozwańczych kierowników, a możność rzeczowego, publicznego rozprawienia się z przeciwnikiem łagodzi antagonizmy osobiste. Dzięki temu możliwe jest współdziałanie różnych grup politycznych we wszystkich tych dziedzinach, w których różnica zdań nie dotyczy kwestyi zasadniczych, możliwe są układy co do poszczególnych, ściśle określonych rzeczy i nawet pomiędzy najzaciętszymi wrogami. Ta suma sił społecznych, która w absolutyzmie i ucisku ściera się

w walkach wewnętrznych i ginie dla narodu, gdy pewien kierunek wysunięto poza nawias, działa użytecznie w życiu konstytucyjnem, gdyż można ją zamknąć w obrębie takiej dziedziny, w której nie może szkodzić, a da się korzystnie użyć. Jak niegdyś potężniejsze siły przyrody były największym wrogiem ludzkości, która pragnęła tylko ich zaniku, a dzisiaj opanowane pracują dla człowieka, tak i niewłaściwe prądy społeczne mogą być zużyte w swobodnem życiu publicznem, a musi się je złamać w systemie absolutnym.

Społeczeństwo więc wzmacnia się w każdym kierunku, tem więcej, że łagodzą się i różnice indywidualne, polegające w znacznej mierze na wzajemnej nieufności i braku osobistego zetknięcia się. Ludzie uczą się nawet u przeciwnika odkrywać zalety, przekonywują się, że i ich zdanie może uledz pewnym modyfikacyom, słowem uzyskują zdolność solidaryzowania się, bo nie wymagają już zupełnej unifikacyi pojęć, lecz poprzestają na znalezieniu pewnych punktów stycznych, wystarczających dla danego przedsięwzięcia. Zarazem wraz z otwarciem nowych widnokręgów znika jednostronność działania, która przedtem w absolutyzmie przejawiała się tak wybitnie w zcentralizowaniu wszelkiej energii na polu materyalnem, bo można swą indywidualność zaznaczyć i w innych kierunkach. Powstają więc brakujące dotąd ogniwa społecznego podziału pracy, tak że naród uzyskuje prawdziwą, bo wszechstronną samodzielność. Nawet umysłowość wyzwala się z dawniejszych więzów pesymizmu i intellektualnego nihilizmu, gdyż są to tylko przejawy skrępowania, które prowadzi do negacyi na każdem polu.

Jeżeliby więc nawet później, po zakończeniu takiego rozwoju, przyszedł u narodu, z którym jesteśmy państwowo złączeni, szowinizm, dążący do imperyalizmu, nie byłby on w żadnym razie tak niebezpieczny, jak ucisk obecny, gdyż społeczeństwo kulturalnie, narodowo i politycznie niewymownie wzmocnione, rozporządzałoby dostatecznymi środkami, ażeby skutecznie odeprzeć wszelki zewnętrzny napór. I właśnie dlatego życie konstytucyjne, nie dla swego parlamentaryzmu, lecz dla towarzyszących mu

okoliczności ogólno-społecznych, jest dla nas tak ważne i tak nieodzownie potrzebne.

V.

W końcu niepodobna pominąć prawdopodobnego wpływu wojny japońskiej na ukształtowanie stosunków międzynarodowych w przyszłości. Jest to dziedzina, w której ścierają się tak różnorodne prądy i tyle czynników w grę wchodzi, że z konieczności należy się ograniczyć do przedstawienia możliwych zmian na tem polu, nie próbując nawet przesądzać, która z nich w istocie się pojawi. Przedtem jednak wypada omówić jeszcze jedno zapatrywanie, nader rozpowszechnione, a nas obchodzące najbliżej, mianowicie twierdzenie, że osłabienie Rosyi wywołuje z konieczności wzrost potęgi i wpływu Niemiec.

Nie sądzę, ażeby na poparcie takiego zdania można było przytoczyć coś więcej, prócz przeciwstawienia osłabionego dwuprzymierza nienaruszonemu trójprzymierzu. Jednakże nikt chyba nie zechce uważać obu tych sojuszów za stałe, niezmienne, a choćby tylko konieczne ugrupowanie państw europejskich. Alians francusko-rosyjski od dawna już przestał być dla Francyi przymierzem, któremby entuzyazmował się cały naród i nieraz już zawiódł wyrachowania polityków, bo nie mówiąc już o stanowczem pominięciu kwestyi alzacko-lotaryńskiej, nie dopomógł jej niczem ani w sporze o Egipt, ani w sprawie Faszody. Dla Austro-Węgier układ z r. 1879, ma wartość tylko o tyle, że zabezpiecza ją w pewnej mierze przed zaborczymi zapędami Prus. Natomiast nie daje jej nic, a nawet szkodzi na Bałkanie, gdzie Niemcy liczą się z żądaniami włoskiemi, wywierając w tym duchu nacisk na politykę wiedeńską, tem silniejszy, że Włochy zawiodły się nader przykro na trójprzymierzu. Wyszło i wychodzi ono wyłącznie na korzyść Niemiec, bo zabezpieczywszy je ze wszystkich stron, szczególniej przy pomocy słynnej tajnej konwencyi z Rosyą, pozwoliło im na skuteczne rozpoczęcie polityki kolonialnej w większych rozmiarach. Podobnie wpłynął na położenie Rosyi alians z Francyą. Francya przez jego zawarcie osiągnęła tylko zadowolenie miłości własnej, uchylenie tej *capitis diminutio,* która łączyła się z repu-

blikańską formą rządu. Za to zapłaciła Rosyi nie tylko pieniądzmi, bo te ulokowano na dobry procent, lecz przedewszystkiem dyplomatycznem poparciem na wschodzie europejskim i azyatyckim, umożliwiając w ten sposób to ogromne wzmożenie się wpływu rosyjskiego we wszystkich sprawach i krajach, którego byliśmy świadkami w ostatnich dziesięciu latach. W obu więc przymierzach brali udział uprzywilejowani i wyzyskani, w obu nierówno rozkładały się ciężary i korzyści, nie można przeto uważać tego ugrupowania za ostatni wyraz doskonałej polityki, przynajmniej z punktu widzenia Francyi, Włoch i Austro-Węgier.

Rzeczywiście w ostatnich latach rozpoczął się bardzo wyraźny zwrot ku innym drogom. Wprawdzie oba przymierza obowiązują nadal, lecz utrzymała się tylko ich forma, treść natomiast wydatnej uległa zmianie. Dość zwrócić uwagę na układy austro-węgierskie i austro-włoskie, na zbliżenie się Włoch do Francyi, wreszcie na porozumienie francusko-angielskie, ażeby się przekonać, że nawet dyplomacya nie uważa już tych oficyalnych aliansów za niewzruszalne podstawy europejskiego koncertu.

Jeżeli samym biegiem zwyczajnych wypadków, bez żadnych gwałtownych wstrząśnień, okazują się głębokie rysy w najświetniejszem może dziele Bismarcka i w naturalnej na nie odpowiedzi, to tem mniej można przyjąć te kreacye za punkt wyjścia w rozpatrywaniach przyszłości, dla której niektóre przynajmniej czynniki teraz już uległy radykalnej zmianie.

Dziś już jest niewątpliwem, że Rosya wyjdzie z walki bardzo osłabiona. Czy konsolidacya jej sił żywotnych będzie wymagać dłuższego czy krótszego czasu, jest rzeczą obojętną, w każdym razie w najbliższych latach, wpływ jej ani w części nie będzie tak potężny, jakim był przed wojną. Trojaką może być myśl przewodnia dalszej jej polityki. Być może i to jest najprawdopodobniejsze, że nastąpi okres pracy wewnętrznej, który pochłaniając wszystkie siły społeczne, nie pozwoli na prowadzenie energiczniejszej polityki zewnętrznej; może zwycięży idea odwetu, wskutek czego wszelkie wysiłki skierują się ku przygotowaniu nowej wojny na dalekim Wschodzie; albo wreszcie Rosya, rezygnując stanowczo z dalszej ekspanzyi w Azyi, zwróci się ponow-

nie z całą energią ku sprawom europejskim, a więc przedewszystkiem bałkańskim. W pierwszym i drugim wypadku Francya zostaje w gruncie rzeczy osamotnioną, w trzecim Rosya staje się dla niej niebezpiecznym przeciwnikiem, albowiem opanowanie półwyspu bałkańskiego przez wielkie mocarstwo jest niezgodne z tradycyjną polityką i interesem francuskim. Stąd też tak na czas przejściowy, zanim Rosya zdoła zabliźnić swe rany, jak i na później Francya musi szukać nowego kontrahenta, ażeby utrzymać równowagę sił wobec trójprzymierza. Troska ta przebija się już dzisiaj w jej postępowaniu, a najsilniejszym jej wyrazem jest coraz większe zacieśnianie węzłów przyjaźni z Anglią, coraz zimniejsze stanowisko, które zajmuje wobec żądań i potrzeb swego, taką czcią dawniej otaczanego sprzymierzeńca. I nie można się temu dziwić. Poważny, poświęcony kwestyom politycznym miesięcznik [1], kończy artykuł poświęcony wojnie następującemi słowami: »Nous devons en conclure que, tout en appréciant la valeur de la puissante armée alliée, il faut ne compter que sur nous-mêmes pour le premier choc. La diversion russe sur la Vistule donnera de magnifiques résultats à une victoire des armées françaises. Elle risque d'arriver bien tard pour réparer une défaite«.

W słowach tych przebija się wielka gorycz, ciężkim wywołana zawodem. Francya więc nie chcąc »liczyć tylko na siebie«, co wobec innych sojuszów jest w każdym razie niebezpieczne, zaczyna szukać nowych związków. Wobec mocarstwowego jej stanowiska zmiana jej polityki musi oddziałać na całą konstelacyę międzynarodową, stoimy też wobec przyszłości, która prawdopodobnie w niedługim już czasie przyniesie nową oryentacyę stosunków międzynarodowych. Tak jak wojna turecka stworzyła trójprzymierze, tak kto wie, czy wojna japońska nie zakończy jego panowania.

(Dok. nast.).

Dr. Wł. Czerkawski.

[1] *Revue politique et parlementaire* z 10 stycznia b. r. *La guerre russo-japonaise* par Simon Robert str. 51—58.

Z NASZYCH SPRAW SPOŁECZNYCH.

NOWY PROJEKT REFORMY
UBEZPIECZENIA ROBOTNICZEGO.

»Pracując nad organizacyą naszego ubezpieczenia robotniczego — mówił świeżo w parlamencie niemieckim sekretarz stanu hr. Posadowsky — zbudowaliśmy kolos bez odpowiedniego fundamentu. Gdybyśmy dziś chcieli nasze ustawodawstwo społeczno-polityczne na nowo przebudować od fundamentu, Wysoka Izba zapewne jednego w tej mierze byłaby zdania, że należy jednolitą wytworzyć organizacyę. Dotychczas posługiwaliśmy się środkami drobnymi i dlatego właśnie cały mechanizm ubezpieczeń robotniczych skomplikował się i utrudnił tem samem kontrolę. Idzie więc o to, żeby te trzy ustawy asekuracyjne w jednolitą stopić formę. Wyobrażam sobie rozwój taki w ten sposób, że najpierw stworzymy budowę podstawową pod fachowem kierownictwem, któremuby przypadło za zadanie przeprowadzić wszystkie społeczno-polityczne ustawy asekuracyjne«. Ten sam cel i program reformy, jaki zakreślił na przyszłość minister niemiecki ustawodawstwu ubezpieczenia robotniczego, rząd austryacki dwa miesiące wcześniej w gotowym projekcie przedłożył w parlamencie. Było to ostatnie dzieło ustępującego prezydenta ministrów d-ra Koerbera, który powyższe przedłożenie razem z projektem reformy administracyjnej złożył na gwiazdkę na stole parlamentarnym. Zapewne ustawa ta z powodu rozwichrzonych naszych stosunków parlamentarnych nie prędko przyjdzie pod obrady, ale sama myśl

reformy ubezpieczenia robotniczego jest tak ważną, a zabezpieczenie robotników na starość, które projekt przynosi, sprawą tak gwałtownie naglącą, że wypada nam się pokrótce nad nim zastanowić.

Dwie rzeczy nowe przedewszystkiem przynosi projekt rządowy, które na drodze reformy i rozwoju ustawodawstwa robotniczego znaczą postęp niemały i znacznie zmieniają na lepsze stosunki warstw pracujących. Ulepszenia te odnoszą się tak do osób, ustawą objętych, jak do nowych ubezpieczeń i jednolitej organizacyi tychże.

Najważniejsze dobrodziejstwo, jakie nowy projekt przynosi, to zabezpieczenie na starość i na wypadek niezdolności do pracy.

»Wprowadzenie ogólnego zabezpieczenia na starość i w razie niezdolności do pracy — tłumaczy przedłożenie — obejmującego wszystkie warstwy pracujące przy materyalnym współudziale państwa — oto postulat z naciskiem postawiony nie tylko przez publiczne korporacye, które domagają się ulżenia ciężarów ubogich z nowej ustawy o przynależności gminnej wynikających, lecz także przez pracodawców i robotników wszystkich klas i odcieni politycznych. Brak ten opieki nad inwalidami i starcami odczuwają przedewszystkiem dzisiejsze kasy chorych i od wypadków, które tylko z trudem uchylić się mogą od coraz bardziej wzmagających się pretensyi do zapomóg, należących właściwie do zakresu takiej opieki i dlatego słusznie spodziewają się ulgi od wprowadzenia w życie zabezpieczenia na starość i na wypadek niezdolności do pracy.

Co się tyczy organizacyi, nie należy żadną miarą zapominać o tem, jak wielce doniosłą jest ta kwestya dla reformy i rozwoju ubezpieczenia robotniczego. Dowodzą tego różne żale na obecne daleko idące rozbicie w dziedzinie zabezpieczenia od choroby. Rozliczne drobne kasy są na prawdę zawadą, która powstrzymuje zdrowy rozwój ubezpieczenia od choroby. Dowodzą tego nadto skargi na brak spoistszej organicznej łączności pomiędzy ubezpieczeniem od wypadków i od choroby. Ustawodawstwo więc, chcące z gruntu zaradzić tym niedomaganiom, powinno przedewszystkiem zwrócić uwagę na uproszczenie organizacyi przez

zredukowanie o ile możności jak największe liczby kas oraz przez wytworzenie organicznej łączności pomiędzy różnymi działami ubezpieczenia«.

Takie są motywy, przytoczone przez rząd, ustawy ubezpieczenia.

Projekt rozpada się na pięć części: pierwsza część określa w 25 paragrafach ogólne zasady podstawowe organizacyi ubezpieczenia; trzy następne części poświęcone są poszczególnym działom ubezpieczenia od choroby, od wypadku i w razie niezdolności do pracy; ostatnie zaś dwa rozdziały określają państwowy nadzór nad kasami, judykaturę ubezpieczeń, różne przepisy dodatkowe i karne i postanowienia odnoszące się do przekształcenia kas.

Co się tyczy pierwszej części projektu największe trudności — czytamy w objaśnieniach przedłożenia — okazały się przy ustaleniu podstawowych zasad jednolitej organizacyi i określeniu rozciągłości obowiązkowego ubezpieczenia robotniczego.

Za konieczny warunek uproszczenia ubezpieczeń i przeprowadzenia jednolitej organizacyi uważa projekt rządowy wynalezienie jednolitej normy podstawowej, według której możnaby obliczyć wysokość zapomóg chorobowych i emerytalnych. Różne bowiem normy wymiaru sprawiają tylko niepotrzebne i »niczem nieuzasadnione komplikacye« i »utrudnienie w mechanizmie ubezpieczenia«.

Normą taką nie może być, uważa projekt, ani mniej lub więcej dowolnie określany zarobek przeciętny — jak to się dotąd praktykowało — ani zarobek indywidualny, którego przyjęcie poważne pociągnęłoby za sobą trudności administracyjne. »Trzeba wynaleźć więc jakąś normę zarobkową, któraby łączyła w sobie korzyści dwu tych systemów t. j. uwzględniła o ile możności stosunki indywidualne zarobku z jednej strony a z drugiej była dogodną dla zarządu. Dwa te warunki łączy w sobie w wysokim stopniu tak zwany klasowy system zarobków«.

Na czem polega ten system?

Celem ubezpieczenia podzielono więc wszystkich, którzy mają korzystać z ubezpieczeń, na szereg grup zarobkowych. Klas

takich zarobkowych, w granicach których ustawą określonych zamyka się zarobek przeciętny, wytworzono sześć według następującego szematu:

Klasa zarobkowa	Zarobek		
	dzienny	tygodniowy	miesięczny
I	do 0,80	do 4,80	do 20 Koron
II	0,80 do 1.60	4,80 do 9,60	20 do 40 »
III	1,60 » 2,40	9,60 » 14,40	40 » 60 »
IV	2,40 » 4,00	14,40 » 24,00	60 » 100 »
V	4,00 » 6,00	24,00 » 36,00	100 » 150 »
VI	ponad 6,00	ponad 36,00	ponad 150 »

Miarą, według której zalicza się ubezpieczonych do pewnej klasy zarobkowej jest stały zarobek w pewnym okresie czasu. Praca nadzwyczajna poza zwykłym dniem roboczym oraz nadzwyczajne uszczuplenia płacy z powodu skróconego dnia roboczego nie wchodzą tu w rachubę. Gdy płaca jest od sztuki decyduje przeciętny zarobek zwyczajnie tygodniowy albo miesięczny. Do zarobku zaliczają się również tantyemy i datki w naturze. Ustawa (§ 14) postanawia w tej mierze co następuje:

»Uwzględniając dochód w naturze, którego wartość oblicza się według przeciętnych cen lokalnych, nie można być zaliczonym do wyższej klasy jak do najbliższej, odpowiadającej płacy w gotówce. Ubezpieczeni, których zarobek w gotówce nie przekracza 50 halerzy dziennie lub 3 korony tygodniowo lub 12,50 koron miesięcznie, należą do I klasy zarobkowej.

Władza polityczna jest upoważniona w porozumieniu z wydziałami krajowymi określać według okręgów politycznych wartość poborów w naturze i decydować o zaliczaniu pewnych grup robotniczych, w obrębie których stosunki zarobkowe nie różnią się istotnie, do pierwszych klas zarobkowych. W kopalniach o wartości poborów w naturze decyduje starostwo górnicze. Co oznacza wyż przytoczone postanowienia? że władza administracyjna będzie decydowała do jakiej z pierwszych trzech klas zarobkowych ci, którzy pobierają płacę w naturze i ci, którzy nie zarabiają więcej jak 2,40 korony dziennie, należeć mają. »Tak np. będzie można — czytamy w motywach — dla służby rolnej całego

kraju lub pewnej jego części jednolitą klasę zarobkową ustanowić. Postanowienia w dwu powyższych ustępach § 14 mają ująć w odpowiednie granice ocenę świadczeń w naturze; w ten sposób będzie można zapobiedz daleko idącym dochodzeniom w ocenie tychże. Tego rodzaju dochodzenia dają obecnie w ubezpieczeniu od wypadków częstokroć powód do przykrych sporów«.

Podstawą i najgłówniejszą częścią całej organizacyi będą kasy chorych, do których zgłoszenia i wkładki dla wszystkich działów ubezpieczeń wpływać mają. W ten sposób ma się wytworzyć wspólna podstawa jednolitej organizacyi. Oczywiście będzie to możliwe tylko wtedy, gdy obowiązek ubezpieczenia we wszystkich trzech działach o ile możności do tych samych rozciągać się będzie osób. Ustalenie takie zakresu ubezpieczenia na zasadnicze nie napotka trudności, gdy idzie o ubezpieczenie od choroby i w razie niezdolności do pracy. »Ubezpieczenie bowiem w razie niezdolności do pracy skutecznie tylko na najszerszej o ile możności rozwijać się może podstawie. Włączenie więc wszystkich osób, mających się zabezpieczyć na wypadek niezdolności do pracy, do ubezpieczenia od choroby jest rzeczą możliwą i konieczną. A więc nie mamy żadnego powodu wdawać się tu w szczegółowe uzasadnienie« (str. 102). Inna rzecz gdy idzie o zabezpieczenie od wypadków. Przy wprowadzeniu bowiem powszechnego obowiązku ubezpieczenia w razie niezdolności do pracy, ubezpieczenie to odnosić się będzie tylko do osób, zatrudnionych w przedsiębiorstwach, przedstawiających znaczniejsze dla pracy rolnika niebezpieczeństwo. Ponieważ atoli przy zapisywaniu członkow do kasy chorych przedsiębiorstwa takie rzucają się w oczy, można będzie utrzymać w ewidencyi osoby, podlegające obowiązkowi ubezpieczenia od wypadków. Tak tedy według projektu podwójna będzie działalność kas chorych: naprzód w ich rękach spoczywać będzie samodzielny zarząd zabezpieczenia od choroby, a powtóre będą one spełniać funkcye organów lokalnych zabezpieczeń od wypadków i w razie niezdolności do pracy. Oczywiście zarząd kas chorych ulegnie stosownie do tego podwójnego zadania odpowiednim zmianom. Sprawy zabezpieczenia od choroby załatwiać będzie, jak dotąd wybrany zarząd autonomiczny, sprawy

zaś innych działów ubezpieczeń spoczywać będą w ręku urzędu zależnego wyłącznie tylko od zarządu tychże działów i wobec nich odpowiedzialnego. Zresztą zakłady ubezpieczenia od wypadków zachowają i na przyszłość swój ustrój terytoryalny i opierać się będą na kasach chorych, jako na swoich organach lokalnych. Kasa zaś zabezpieczenia w razie niezdolności do pracy jako instytucya rentowa stosownie do rozległego zakresu ubezpieczenia tego ma się rozciągać na całe państwo. »Kasa inwalidów będzie tak miała w ręku zabezpieczenie w razie niezdolności do pracy i będzie zarazem szczytem organizacyi ubezpieczenia robotniczego, której podstawę stanowić będą kasy chorych a pośrednimi członami będą kasy terytoryalne«.

Teraz kto podlega obowiązkowi ubezpieczenia? Kto na mocy kontraktu robotniczego lub służbowego lub jako uczeń pracuje w cudzem przedsiębiorstwie za wynagrodzeniem, zobowiązany jest ubezpieczyć się od choroby i na wypadek niezdolności do pracy. (§ 2).

Ale tu nasuwa się trudność niemała. Jak tu pogodzić teoryę, która domaga się, żeby ubezpieczenie obejmowało wszystkie zarobkujące i zawisłe osoby z praktycznemi życia wymaganiami? A tu nieodparte życia praktycznego wymagania — objaśnia projekt — domagają się, żeby wykluczyć od dobrodziejstw ubezpieczenia:

1) osoby pobierające pensyę miesięczną ponad 200 koron albo roczną ponad 2400 koron;

2) osoby pracujące nie dłużej nad trzy dni z rzędu u tego samego pracodawcy;

3) osoby zatrudnione w gospodarstwach rolnych i leśnych, nie podlegające postanowieniom ordynacyi służbowej;

4) osoby zatrudnione ubocznie tylko pracą, która za główny zawód obrana pociągałaby za sobą obowiązek ubezpieczenia;

5) osoby zatrudnione przy żegludze austryackiej, dla których osobna w tym kierunku wydaną będzie ustawa. (§ 3)

Od ubezpieczenia zaś na wypadek niezdolności do pracy wykluczone są osoby, które na mocy osobnej ustawy skądinąd mają prawo do pobierania pensyi, dalej osoby poniżej 16 i powyżej 60 lat, oraz osoby nie pobierające wynagrodzenia w go-

tówce. Nadto wykluczeni są od ubezpieczenia już niezdolni do pracy, oraz osoby, pobierające skądinąd pensyę w wysokości II-ej klasy zarobkowej (§ 4, 1—4).

Obowiązek ubezpieczenia od wypadków rozciąga się według projektu na osoby, objęte dotychczasową ustawą, wyjąwszy robotników zatrudnionych w rolniczych i lasowych przedsiębiorstwach maszynowych.

I jakiemi pobudkami kierował się rząd przy tych wyjątkach? Czy na prawdę nieodparte życia praktycznego wymagania sprawiły, że zasada rządu, żeby wszystkie osoby zarobkujące i zawisłe ubezpieczony miały byt, rozwiała się wobec tych wyjątków? Przypatrzmy się bliżej niektórym kategoryom tych robotników.

Najważniejszy wyjątek od obowiązkowego ubezpieczenia, — czytamy w motywach projektu — stanowią osoby, pracujące nie dłużej nad trzy dni z rzędu u tego samego pracodawcy i robotnicy rolni i leśni.

Obecna ustawa ubezpieczenia z chwilą rozpoczęcia pracy obowiązuje do zgłoszenia robotników do kasy chorych. Nowa tymczasem ustawa wyklucza od ubezpieczenia całe masy robotników, niemających stałego zajęcia ponad 3 dni u tego samego przedsiębiorcy. Dlaczego wprowadzono tu tak dotkliwą dla robotników zmianę? Bo robotnicy często zmieniający swoich chlebodawców — mówi przedłożenie — sprawiają dużo trudu i kłopotów zarządom kas. Przy wprowadzeniu zaś w życie nowej organizacyi trudności te spotęgowałyby się do tego stopnia, że »projektowane w ustawie uproszczenia co do zgłaszania i wpłacania wkładek tych osób stałyby się wprost iluzoryczne«. Zresztą osoby te mają prawo ubezpieczyć się dobrowolnie od choroby i na wypadek niezdolności do pracy, mają prawo do zwrotu tej części kwoty przez nich wpłaconej, którąby w czasie obowiązkowego ubezpieczenia przypadała na przedsiębiorcę. Takie są motywy rządu w tej mierze. Dla uproszczenia manipulacyi kasowych utrudniono całym masom robotników ubezpieczenie. Nam się zdaje, że wobec dopuszczenia dobrowolnego ubezpieczenia robotników niestałych i to projektowane uproszczenie będzie trochę iluzoryczne i te same

prawie trudności kasowe pozostaną na przyszłość do przezwyciężenia.

Innego zupełnie rodzaju są względy, które skłoniły rząd do uwolnienia od obowiązkowego ubezpieczenia robotników rolnych i lasowych.

Niedomaganie ekonomiczne stale dolegające rolnictwu, tłumaczy projekt, były powodem, dlaczego nie objęto ustawą odrazu wszystkich robotników rolnych i lasowych. Byłby to zbyt wielki ciężar dla rolników, gdyby mieli zapisywać wszystkich swoich robotników do kasy chorych i do kasy na wypadek niezdolności do pracy, z drugiej jednak strony »zupełne uwolnienie tychże osób od obowiązku ubezpieczenia, uważaliśmy za zarządzenie wprost sprzeczne z interesami rolnictwa«. Wystarczy tu wskazać na powszechnie znany dziś ruch ludności po wsiach, którego bezpośrednim skutkiem jest, że rolnictwo ogołocone jest z robotników. »Gdybyśmy tedy ograniczyli ubezpieczenie na wypadek nieudolności do pracy na robotników, zatrudnionych w przemyśle i robotników nierolnych, zarządzenie to mogłoby dla rolnictwa poniekąd przybrać rozmiary klęski. Głosy powołanych przedstawicieli rolnictwa zdają się dowodzić, że obawy te wcale nie są przesadzone«. I dlatego objęto ustawą tylko służbę rolną, czeladź i domowników chłopa, zwłaszcza, że ubezpieczenie tychże w kasie chorych (jako częściowo ubezpieczonych) uwolni chlebodawców od obowiązków, płynących z ustawy ordynacyi służbowej względem chorych. Tyle projekt. Żeby tylko przymusowe ubezpieczenie czeladzi chłopskiej nie przyczyniło się do powiększenia ciężarów, gniotących dziś już i tak niepomiernie chłopa i nie stało nowym, nieustającym powodem rosnącego niezadowolenia! Ale bo też naprawdę trudno orzec, kto biedniejszy, czy chłop niemogący wyżyć z ziemi, czy jego parobek? A tu sługa będzie zabezpieczony na wypadek choroby i nieudolności do pracy, pan zaś jego będzie pozbawiony tej pomocy!

Dziwnie też uderza wykluczenie od obowiązkowego ubezpieczenia robotników, zatrudnionych w maszynowych przedsiębiorstwach rolnych i lasowych, obecnie podlegających obowiązkowi ubezpieczenia. Projekt rządowy ważne co do tego wyjątku przy-

tacza racye: przyznaje on, że robotnicy maszyny rolne obsługujący, na ciężkie wystawieni są niebezpieczeństwa, raz dlatego, że chwilami tylko przy maszynach pracują, a powtóre, że z maszyną mało są obznajomieni, ale właśnie dlatego zabezpieczenie ich i łączenie z robotnikami przemysłu wielkiego, do niemożliwych doprowadziło stosunków.

»W roku 1902 zgłoszono urzędownie około 255.000 fabryk rolniczych; nie ulega wątpliwości, że faktyczna liczba tychże dużo większą była. Przeciąg czasu, podczas którego maszyny te były w ruchu — czas ten składa się z pojedyńczych dni lub godzin, co bezpośrednie stwierdzić jest wprost niemożliwem — wynosi w roku 14 do 16 dni. Otóż w tych warunkach ustawowe przepisy zastosowane do większych i stale w ruchu będących przedsiębiorstw, o zameldowaniu i odmeldowaniu fabryk i ewidencyi tychże, o obrachowaniu i wpłacaniu wkładek asekuracyjnych, faktycznie są niewykonalne. W praktyce zabezpieczenie takie jest dla rolników połączone z wielkiemi stosunkowo uciążliwościami, a dla kas z kosztami, które znaczną część wkładek asekuracyjnych pochłaniają«. Nie brakło też głosów, żeby władze gminne lub władze krajowe wzięły na siebie obowiązek płacenia wkładek i ponosiły ciężary asekuracyjne za maszyny rolne włościańskich posiadłości. Ale w takim razie po co komplikować trudności i obierać drogę przez kasy asekuracyjne, co dogodnie i łatwo inną drogą z publicznych środków pokryćby można. »Oczywista, że w ten sposób właściwie doprowadzono ubezpieczenie *ad absurdum*«..

Powtóre, zaliczając maszyny rolne do kategoryi przedsiębiorstw przemysłowych, popełniono w dodatku błąd niemały, który w znacznej mierze przyczynił się do zachwiania finansowej podstawy zakładów, zabezpieczenia od wypadków. Niedomagania bowiem zabezpieczenia robotników takich są tego rodzaju, że mimo wliczenia maszyn rolnych do klasy przedsiębiorstw, przedstawiających największe niebezpieczeństwo dla robotników, jeszcze kasy nie mogły pokryć ciężarów, rosnących z mnogich wypadków.

I wobec tych trudności, uniemożliwiających dalszą opiekę asekuracyjną, jaka obecnie robotnikom takim z prawa się należy,

co rząd zamierza uczynić? »Gdy zaś potrzeba okaże się naglącą, czytamy w przedłożeniu — trzeba będzie obrać środki i inną drogę, ażeby im przyjść z pomocą. Wprowadzenie w życie ustawy, tyczącej się rolniczych związków zawodowych, zdaje się nastręczy odpowiednią sposobność do rozwiązania tej kwestyi« (str. 109). Kiedyż właściwie w rozumieniu rządu, potrzeba taka okaże się? Wobec stosunkowo olbrzymich, krwawych cyfr wypadków, czyż nie jest obowiązkiem rządu i to gwałtownie naglącym przez odpowiednie zarządzenia wziąć w obronę życie robotnika przed wypadkami? Niech tylko cyfra krwawych wypadków zmaleje, a ubezpieczenie tej kategoryi robotników żadnych, nadzwyczajnych nie będzie przedstawiało trudności.

Nie podlegają też obowiązkowi ubezpieczenia, jak dawniej osoby zatrudnione w przemyśle domowym. Idąc za wzorem niemieckim, jak to z naciskiem pewnym przedłożenie podkreśla, upoważniono wprawdzie ministra spraw wewnętrznych do nakładania obowiązku ubezpieczenia, czy to ogólnie, czy częściowo, stosownie do różnych gałęzi przemysłu. Ale właśnie ustawa niemiecka okazała się bardzo niedostateczną pod tym względem, jak to świeżo obrady w parlamencie dowodzą. Należało więc piekącą sprawę tę na podstawie bogatego materyału statystycznego, który rząd od szeregu lat w tym kierunku nagromadził, zasadniczo w inny sposób uregulować. Idzie tu przecież o prawie pół miliona najbiedniejszej ludności, która żyje z łaski opatrzności i najwięcej tej pomocy potrzebuje. Motywy rządu w tej mierze są następujące: »Wielka różnorodność stosunków lokalnych, społecznych i innych sprawiła, że jednolite choćby w pewnej mierze uregulowanie zabezpieczenia tych osób drogą ustawową okazało się prawie niemożliwem. Zadowalniająco rozwiązać można kwestyę tę tylko stopniowo po starannem rozpatrzeniu wszystkich tych okoliczności przez egzekutywę, która zebrane przy przeprowadzeniu obowiązkowego ubezpieczenia robotniczego doświadczenia będzie w stanie spożytkować i oczywiście też spożytkuje w tym kierunku. Te uwagi uzasadniają, zdaje się dostatecznie naszą propozycyę«.

Obowiązek zgłaszania robotników do ubezpieczenia ciąży

na przedsiębiorcach, którzy każdą pod ubezpieczenie podpadającą osobę, mają zgłosić lub odmeldować najpóźniej w sobotę każdego tygodnia. To samo odnosi się także do zmian, co do wysokości zarobku, aby ubezpieczony mógł być wliczony do odpowiedniej klasy zarobkowej. Na podstawie tych zgłoszeń mają kasy chorych obowiązek utrzymywać ewidencyę członków, co do ubezpieczenia inwalidów. Wkładki, które (§ 54) są płatne za upłyniony cztero- a względnie pięciotygodniowy przeciąg czasu, płaci się zawsze za cały tydzień w pierwszą sobotę każdego miesiąca. »Postanowienia te dodaje projekt, oraz przesunięcie terminu płatności wkładek na pierwszą sobotę miesiąca każdego (§54) sprawiły, że przedsiębiorca może w nieporównanie krótszym czasie niż dotąd, oraz bez trudu spełnić obowiązki swoje meldunkowe i wkładkowe. Nawiasowo też dodać możemy, że zmiana ta daje również większą gwarancyę punktualniejszego spełnienia obowiązków«.

Przypatrzmy się teraz poszczególnym działom ubezpieczenia robotniczego.

Ubezpieczenie od choroby według projektu rozróżnia dwie kategorye członków: częściowo ubezpieczonych i członków, którzy w zupełności korzystają z wszystkich praw ubezpieczenia. Kto należy do częściowo ubezpieczonych? Osoby nie pobierające wynagrodzenia pieniężnego, dalej uczniowie, wolontaryusze, praktykanci i ci, którzy z powodu nieskończonego jeszcze wykształcenia pobierają nizkie płace, wreszcie osoby podlegające ordynacyi służbowej. Wszyscy inni, którzy podlegają obowiązkowi ubezpieczenia od choroby, mają prawo do wszystkich korzyści zabezpieczenia. Częściowo ubezpieczeni mają prawo do opieki lekarskiej i do lekarstw, a względnie do opieki szpitalnej i kwoty pogrzebowej. Zasiłków zaś pieniężnych w ciągu choroby są częściowo ubezpieczeni pozbawieni, »bo służba, terminatorzy i t. d. tłumaczy przedłożenie — i w ciągu choroby przeważnie pozostają w domu służbodawcy, a tem samem zwyczajnie owej zapomogi materyalnej, polegającej na zasiłkach pieniężnych, nie potrzebują. W wypadkach zaś, gdy domowa opieka jest niemożliwą, stosowane są przepisy o opiece szpitalnej. Ten też jest powód, dlaczego prze-

dłożenie rozróżnia pomiędzy pełnouprawnionymi, a częściowo uprawnionymi«.

Ubezpieczeni, którzy w zupełności korzystają z wszystkich praw, mają nadto prócz wyż wymienionych korzyści, właściwych częściowo ubezpieczonym, zapewnioną opiekę szpitalną i połogową, oraz zasiłki dzienne na cały przeciąg choroby. Zasiłki te w poszczególnych klasach zarobkowych są następujące:

w	I	klasie	40 hal.
»	II	»	80 »
»	III	»	120 »
»	IV	»	200 »
»	V	»	300 »
»	VI	»	400 »

Zapomogi te, gdy choroba trwa dłużej niż trzy dni, mają być od początku zasłabnięcia przez cały przeciąg choroby, aż do upłynięcia roku tygodniowo wypłacane również wtedy, gdy choroba jest wynikiem nieszczęśliwego wypadku. Kobiety po połogu, przy normalnym przebiegu słabości, mają pobierać zapomogi przez przeciąg 4 tygodni. W razie śmierci wypłaca się pozostałym, jeżeli pretensye do zapomóg jeszcze się nie wyczerpały, kwotę pogrzebową, wynoszącą trzydziestokrotność zapomogi chorobowej. Zapomogi w poszczególnych klasach zarobkowych, objaśnia projekt, tak są obliczone, że wynoszą co najmniej 60% przeciętnego zarobku, wyjąwszy pierwszą klasę zarobkową, w której zapomoga może więcej wynosić niż 60%. I to minimum przedewszystkiem zapomogi ma stanowić niemałą, zaletę i wyższość systemu klas zarobkowych nad obecnym systemem »zwyczajnego zarobku indywidualnego«, który i zapomogi mniejsze niż 40 hal. wypłacał. Niewątpliwie system klas zarobkowych, wraz z stałą zapomogą minimalną, to polepszenie znaczne w rozwoju zabezpieczenia od choroby, ale czy tych klas zarobkowych nie za mało? Nam się zdaje, że klas tych powinno być dużo więcej, aby zapomogi mogły się lepiej dostosować do zarobków indywidualnych. Obecne zapomogi wynoszą 60% zarobku, w przyszłości wynosić mają więcej, na początkowej granicy II klasy zarobkowej nawet 100%, ale uderzają tu niekiedy, zwłaszcza na granicach klas za-

robkowych, jaskrawo odbiegające od rzeczywistego zarobku zapomogi. Tak n. p., kto zarabia 6 kor. dziennie, pobierać ma 3 kor. zapomogi, a więc 50% zarobku dziennego, kto zaś zarabia $6^1/_2$ kor. pobierać będzie 4 kor., tj. prawie trzecią część więcej niż uprzednio. Wogóle w stosunku do indywidualnego zarobku zapomogi w poszczególnych klasach zarobkowych, wahają się pomiędzy 50 a 75 lub 85%, a raz nawet 100% zarobku. Najlepiej byłoby, gdyby zapomogi chorobowe równały się przeciętnym zarobkom dziennym tj. wynosiły 100%.

W sprawie szpitalnej, projekt niektóre nowe i doniosłe przynosi postanowienia. Naprzód za częściowo ubezpieczonych, w opiece szpitalnej będących, płaci przez pierwsze 4 tygodnie według najniższej taksy szpitalnej kasa chorych. Jest to proste następstwo rozszerzenia obowiązku zabezpieczenia na sługi i domowników, a zarazem wielka ulga dla służbodawcy, który według dzisiejszej ustawy ponosi przez pierwsze cztery tygodnie wszelkie koszta opieki szpitalnej za chorego sługę. Przerzucenie to wszakże kosztów leczenia na kasę chorych, a względnie na sługi, nie przyczyni się bodaj do zbliżenia sług do rodziny.

Co się tyczy innych ubezpieczonych, projekt postanawia, żeby kasy chorych płaciły koszta opieki szpitalnej, według najniższej taksy za cały przeciąg choroby i nawet wtedy, gdy kasa żadnego nie dała pozwolenia do leczenia się w szpitalu. Według obecnej zaś praktyki kasy chorych płacą tylko do 4-ech tygodni za opiekę szpitalną. Dalej według projektu, chorzy szpitalni nie mają pobierać żadnych zapomóg, tylko rodzina ich ma otrzymywać w ciągu choroby co najmniej połowę zapomóg, przypadających na ubezpieczonego. Według dziś obowiązującej zaś praktyki, chorzy szpitalni od piątego tygodnia przez cały przeciąg dalszej choroby pobierają całe zapomogi chorobowe z kasy chorych, ich rodziny natomiast otrzymują tylko przez pierwsze cztery tygodnie połowę zapomogi. Doniosłe postanowienia te motywuje projekt, odpierając przeciwne wywody w sposób następujący: Na rzecz dzisiejszej praktyki dwa przedewszystkiem przytaczają powody. Naprzód rekowalescenci po opuszczeniu szpitalu są bez zarobku i pozbawieni wszelkich środków utrzymania, a więc należy im

się szczególniejsza pomoc materyalna. A powtóre kasa chorych, płacąc tylko przez pierwsze 4 tygodnie za opiekę szpitalną, robi oszczędności na chorym, a więc i może i powinna płacić mu w ciągu dalszej choroby całą zapomogę. Otóż powody te, zdaniem przedłożenia są nikłe bardzo. »Powód bowiem ubóstwa i wtedy w całej sile, a może w stopniu jeszcze wyższym ma zastosowanie, gdy chory leczy się w domu i po wyzdrowieniu zapewne nie w korzystniejszem znajduje się położeniu materyalnem, niż rekonwalescenci szpitalni«. Drugi zaś powód sprzeciwia się »zasadzie wzajemności«, domagającej się równej opieki dla wszystkich ubezpieczonych. Pretensya zaś ubezpieczonego do oszczędności kasy, powstałych z przyczyny opieki szpitalnej, bez uszczuplenia jego praw jest bezpodstawna. Co innego rodzina chorego, która pozbawiona opieki ojca rodziny, przedewszystkiem potrzebuje pomocy. I dlatego projekt postanawia, »żeby pozostała rodzina zawsze i na cały przeciąg opieki szpitalnej, co najmniej połowę zapomogi chorobowej otrzymywała«. Tak uczyni się zadość słusznym interesom publicznych szpitali, a ubezpieczeni będą mieli tę gwarancyę, że na przeciąg czasu opieki szpitalnej żadne inne nie wpływają względy, jak tylko rezultat leczenia. I koszta opieki szpitalnej, na które dziś kasy chorych częstokroć się żalą, nie powiększą się przez to, bo kasy, co najwyżej będą płaciły oprócz zapomóg chorobowych na rzecz zarządu szpitalnego połowę zapomogi rodzinie, a więc nie więcej jak w leczeniu pozaszpitalnem, gdzie oprócz zasiłków chorobowych, trzeba opłacić lekarza i lekarstwa.

Ze sprawą szpitali łączy się sprawa lekarzy. Wiadomo, że kasy chorych od długich lat zacięte raz po raz toczą spory z lekarzami. Kasom idzie przedewszystkiem o tanich lekarzy, lekarzom o honorarya od wypadku i wolność wyboru lekarza. Izby te lekarskie również zwalczają system lekarzy kasowych dlatego, że on ogranicza ogromnie praktykę innych lekarzy. Zresztą i w interesie ubezpieczonych leży, mieć wolny wybór lekarza, według osobistego zaufania. Jak temu zaradzić? Projekt rządowy nie określa stosunku pomiędzy lekarzami a kasami chorych, pozostawiając to urządzeniu się kas. Kasy mogą przyjąć stosownie

do swego statutu, albo stałą liczbę lekarzy z góry opłacanych, albo też zostawić zupełną swobodę ubezpieczonym w obrębie terytoryum swego, co do wyboru wszystkich lekarzy, lub też określonej ich liczby. W razie atoli przyjęcia stałych lekarzy postanawia ustawa, że decyzya, czy liczba lekarzy kasowych jest dostateczna, należy po porozumieniu się z kasą i z izbą lekarską do władzy politycznej. Uregulowanie usług lekarskich, oraz określenie wysokości honoraryum pozostawia się pisemnej ugodzie pomiędzy kasami a lekarzami. Wszelako i tu ministerstwo spraw wewnętrznych ma prawo po wysłuchaniu kas i izb lekarskich ustalić obowiązujące normy, a w szczególności ustanowić minimalną i maksymalną taryfę (§ 39).

(Dok. nast.).

Ks. Leonard Lipke.

SPÓR O „BOGURODZICĘ".

Dwukrotnie na łamach tego pisma zajmowaliśmy się najdawniejszą pieśnią polską o Bogarodzicy, raz w r. 1901 z okazyi głośnej rozprawy prof. Brücknera [1], drugi raz w r. 1903 gdyśmy omówili obszerniej książkę p. Aleksandra Polińskiego: »Pieśń Bogarodzica pod względem muzycznym« (Warszawa 1903). W obu wypadkach stwierdziliśmy, że karta przyklejona do tylnej okładki rękopisu Biblioteki Jagiellońskiej nr. 1619 czyli krakowskiego I-go, odgrywa poważną rolę w badaniach nad tekstem tego czcigodnego zabytku języka naszego, który, jak dotąd, możemy nazwać z całą słusznością pierwszym polskim artystycznym utworem literackim. To też, kiedy znalazłem się na służbie tej prastarej instytucyi, która rękopis ów w murach swych przechowuje, uważałem za mój obowiązek zająć się nim i przy pomocy paleografa p. Adama Chmiela i Akademii Umiejętności postarać się o wyjaśnienie nasuwających się wątpliwości. Do badań wciągnąłem także inne najdawniejsze rękopisy a przedewszystkiem nr. 408 Biblioteki Jagiellońskiej czyli krakowski II-gi. Wynikiem dłuższej pracy była obszerna rozprawa [2], w której p. Chmiel dostarczył opisu paleograficznego kodeksu nr. 1619, a ja wydałem sam tekst na podstawie czterech najdawniejszych rękopisów i starałem się rzucić spory snop światła na kompozycyę Pieśni. Uwagi jednak

[1] *Biblioteka Warszawska* z r. 1901 zesz. za październik str. 79—106.

[2] »Uwagi krytyczne« i t. d. jako odbitka z t. XL Rozpraw Wydziału filolog. Akad. Umiej. Kraków 1904.

moje znalazły się w sprzeczności z poglądami prof. Brücknera, który też świeżo wystąpił przeciwko nim w artykule p. t. »Spór o Bogurodzicę« w *Pamiętniku literackim* [1].

Jak pierwej tak i obecnie uznaję w całej pełni śmiałą inicyatywę i zasługi prof. Brücknera, nie tylko w tej kwestyi, ale mimo to muszę obstawać przy moich wywodach, choć równocześnie oświadczam, że wszelka polemika staje się trudną z przeciwnikiem, który pomija najważniejsze argumenty drugiego a upodobnia tylko własną tezę, jak to uczynił właśnie p. Brückner we wspomnianym najświeższym artykule.

Rozprawę moją podzieliłem na dwie części. W pierwszej zająłem się dwiema pierwszemi zwrotkami Pieśni i tu doszedłem tylko do jednego pewnego rezultatu, t. j. do wyniku, że na pierwotną treść Bogurodzicy składały się jedynie dwie pierwsze zwrotki i że dalsze jeszcze z początkiem XV wieku albo wcale nie istniały albo przynajmniej nie były z pierwotnym wątkiem organicznie związane. Wynik to zresztą w ogólności zgodny z zapatrywaniami kilku innych badaczy, a także i prof. Brücknera, jak się teraz obecnie okazuje. Poza tym wynikiem w kwestyi innych szczegółów zaznaczyłem wyraźnie wbrew stanowczej pewności p. Brücknera, że na razie w braku należytych danych chodzić może jedynie o prawdopodobieństwo mniej lub więcej znaczne; zastrzegam się też i teraz wyraźnie, że tylko w obrębie tego prawdopodobieństwa przyjąć mogę odpowiedzialność.

Jako więc prawdopodobne przyjąłem, że dwie pierwsze zwrotki powstały w Gnieźnie i dopiero mniej więcej w połowie XIV stulecia. Prof. Brückner przeciwnie uważa i teraz za pewnik, że powstały one w Małopolsce, już w XIII wieku koło 1280 roku; ustępstwo czyni obecnie tylko jedno dla »zoilów« w tem, że rezygnuje obecnie ze swojej hypotezy powiązania Pieśni z Kingą i klasztorem Klarysek sądeckich.

Prawdopodobieństwo, że Bogurodzica powstała w Gnieźnie, poparłem tradycyą o autorstwie św. Wojciecha, którego zwłoki

[1] Tomu III zeszyt IV, str. 586—596.

spoczęły w tamtejszej archikatedrze, poparłem uwagą, że tam właśnie otaczano Pieśń czcią największą i że właśnie w małem miasteczku archidyecezyi gnieźnieńskiej, w Kcyni, przechował się najważniejszy i najstarszy tekst, a nadto aż trzy inne w samej katedrze. Prof. Brückner pochodzenia Pieśni małopolskiego bliżej nie uzasadnia, i nie wiem wogóle, na czem teraz twierdzenie swoje opiera, skoro wyrzekł się już Kingi i Klarysek sądeckich. A zatem »pewnik« jego przynajmniej pod tym względem muszę uważać mimo wszystko za mniej wartościowy, niż moje »prawdopodobieństwo«.

Datę r. 1350 starałem się uprawdopodobnić trzema szczegółami: Po pierwsze przekonaniem, że dziwnemby było, aby pieśń tak piękna i popularna przez stokilkadziesiąt lat przechowała się bez najmniejszej zmiany, kiedy później w czasie znacznie krótszym uległa tylu najrozmaitszym przeobrażeniom i rozszerzeniom; po drugie brakiem innych utworów, o które w XIII wieku mogłaby się oprzeć; wreszcie czechizmami, nieprawdopodobnymi dla wieku Kingi a usprawiedliwionymi w zupełności za rządów Kazimierza Wielkiego.

Prof. Brückner powiada na to, że nie zyskujemy nic ograniczając czas trwania Pieśni przed bitwą pod Grunwaldem do lat 50—60-ciu. A przecież 130 lat, to niemal półtora wieku, natomiast 50—60-ciu to jedno życie ludzkie, a więc okres czasu prawie zgodny z tym, jakiego przy ówczesnych środkach komunikacyjnych i niemożności szybszej wymiany myśli niemal potrzeba było, aby pieśń jakaś stała się własnością całego narodu.

Przytoczonych przez prof. Brücknera polskich modlitw z XIII wieku, pieśni biczowników i tłumaczenia psałterza nie znamy wcale; są o nich tylko głuche wieści w zapiskach kronikarskich i żywotach świętych. Zaznaczyłem też wyraźnie, że naród polski nie był niemym i że chyba od ustalenia się religii chrześcijańskiej, więc mniej więcej od synodu łęczyckiego, musiały być jakieś próby wyrażania prośby do Boga w ojczystym języku. Jakiego to jednak rodzaju były te próby, tego nie wiemy wcale, i np. ks. Fijałek w tymże samym ostatnim zeszycie *Pamiętnika literackieyo* (str. 662 n.) podaje w wątpliwość wyrażenie się żywo-

ciarza św. Kingi i sądzi, na podstawie tekstu Długosza, że nie chodziło tu o odmawianie całego psałterza *vulgari sermone* (a więc może nawet w węgierskim, nie polskim języku), ale raczej siedmiu psalmów pokutnych. A zatem, jak dotąd, mamy ciągle wszelkie prawo utrzymywać, iż pierwsze te próby, jako zapewne jeszcze nieudolne, nie mogły tworzyć należytego »tła i otoczenia« i Bogurodzica do XIII wieku przeniesiona, wyglądałaby w istocie, jeśli nie jak oaza na pustyni, to w każdym razie, jak wspaniała róża wśród nikłego i marnego ziela.

Co do istnienia w Pieśni czechizmów, podtrzymuję także swoje twierdzenie. Wyraz zbożny, w przeciwieństwie do szczeropolskich *composita*, pobożny, nabożny, przeszedł do nas prawdopodobnie z czeskiego języka i to przedewszystkiem właśnie za pośrednictwem pieśni o Bogurodzicy. Słowa napełnić (myśli) w znaczeniu wypełnić używa się także tylko w czeskiej mowie. Powołanie się na możliwość dosłownego przekładu łacińskiego *implere mntes* nic tu nie pomaga, gdyż zwrot łaciński znaczy również napełnić myśli a nie wypełnić, którego to znaczenia żąda przecież cały związek treści, jak sam to zresztą prof. Brückner pierwotnie w *Bibl. Warsz.* (l. c.) utrzymywał. Jeślibyśmy też w słowach sławiena i zwolena chcieli podtrzymać *e* przed twardą spółgłoską jako staropolską formę, to musielibyśmy się cofnąć chyba aż do dokumentów z XII wieku, czego znowu czynić nie wolno choćby tylko ze względu na pracę p. Polińskiego. A więc czechizm jest i tu bardzo prawdopodobny, — a wtedy aż cztery czechizmy(nie mówiąc o innych wątpliwych) w dziesięciu krótkich wierszach tekstu dają aż nadto wiele do myślenia.

A zatem, muszę powtórzyć ponownie, trudności językowe redukują się do owego iście wyjątkowego: Twego dziela Chrzciciela Bożycze, z tem jeszcze oczywiście zastrzeżeniem, że tłumaczenie pp. Franki i Brücknera nie ulega już zgoła żadnej wątpliwości. Choćbyśmy jednak, jak mniemam na podstawie tradycyi rękopiśmiennej, przyjęli je istotnie za niezbity pewnik, to przecież mimo wszystko, co prof. Brückner mówi, wyrażenia Bożyc nie można uważać za coś tak bardzo niezwykłego, kiedy mamy pełno analogicznych przykładów. Jeśli je też w prozie już XIV stulecia

z samego uszanowania religijnego wyrugował w zupełności Syn Boży, to nie wynika z tego wcale, aby go nie mógł użyć poeta, zwłaszcza jak tu dla rymu: Bożycze — człowiecze. Jeśli też dalej zaraz w następnej zwrotce mamy już Syn Boży, to albo znowu mógł tu rozstrzygnąć rym: Boży — zbożny, albo byłoby to istotnie zgodne z mojem twierdzeniem, że zwrotki III—V powstały znacznie później, niż I i II. Co się zaś tyczy twierdzenia prof. Brücknera, jakoby w bożide rękopisu krak. II widzieć należało ślad pierwotnego bożiche = Bożyce, to muszę to uważać tylko za nieuzasadniony domysł, z którym jako wydawca obecnie również nie mógłbym się liczyć. Nie będąc sam pewnym, skoro rym Bożycze — człowiecze przedstawiał dla mnie, jak wiadomo, zbyt kruchą podstawę, radziłem się w tem właśnie miejscu prof. Rozwadowskiego i poszedłem za jego radą, ponieważ według praw głosowni polskiej mogłoby być tylko albo Bożycze[1] albo jeszcze dawniej, w nader odległych już czasach Bożycu. Odpowiednio też do tego bożide w krak. II uważam za zwykły całkiem błąd i nie pojmuję, jak prof. Brückner może w dalszej linii domysł swój poczytywać za dowód nieskazitelnej poprawności tekstu krak. II-go. Cóż na to powie zaraz w drugiej zwrotce owo oddacz radzy = oddać radzi zam. a dać raczy? Co znany i prof. Brücknerowi fakt, że kopista krak. II-go myli się co chwila i to poprawia wyrazy, to znowu je powtarza i potem wykreśla? Oczywiście nie myślę przez to wcale odmawiać ważności tekstowi krak. II-mu; ważnym jest on dla nas niewątpliwie[2], tylko nie tak nieskazitelnie poprawnym!

---

[1] Przy tej sposobności muszę ponownie zaprotestować przeciw narzucaniu nam jeszcze dzisiaj form takich, jak Klonowic, Szymonowic, Zimorowic i t. d. Nikt nie przeczy, że one rzeczywiście istniały, ale już w XVII w. nastąpiło ich »odmazurzenie« i już Zimorowicz podpisując się używał raz *c* a drugi raz *cz*. Pocóż zatem narzucać nam gwałtem formy, których język nasz tak dokładnie starał się pozbyć? Czyż mamy koniecznie dzisiaj tak wymawiać, jak wymawiano w Polsce wieków średnich?

[2] Korzystając ze sposobności zaznaczam błąd, który mimo starannej korekty wkradł się do waryantów: na str. 41 w mojej rozprawie w uw. 5 czytać należy »swpomonal« nie »siopomonal«. Uszło też mojej uwagi, że tenże kopista krak. II-go w zwrotce III-ej napisał wprawdzie »prze« ale na

A zatem muszę znowu powtórzyć, że jedynym archaizmem niezwykłym dla wieku XIV pozostaje tylko słowo dziela = dla. Czy jednak to jedno słowo jest dostatecznym dowodem przeciw? Dlaczego nie mogłoby tu znaleźć zastosowanie to, co mówię obszerniej na str. 19 nast.? Dlaczego tu właśnie w poezyi religijnej nie mogłyby odegrać roli: tradycya dawnych czasów, tudzież wpływ otoczenia i warunków zgoła nam nieznanych?

Wobec powyższych okoliczności nie widzę także i teraz powodu, dla którego miałbym wyrzekać się wskazówek w mojej rozprawie przytoczonych, i mogę śmiało mniemać, że data moja dla dwu pierwszych zwrotek jest o wiele prawdopodobniejszą, niż czasy Kingi, przy których prof. Brückner z taką stanowczością obstaje.

Jak jednak powtarzam zawsze, w powyższych szczegółach mogło mi chodzić tylko o większe lub mniejsze prawdopodobieństwo. Inaczej było w drugiej części rozprawy, omawiającej zwrotki III—VIII-ej i dodatki *a—f*. Tu miałem do dyspozycyi w pierwszej linii poważne wskazówki rękopiśmienne; wytłumaczyłem je też z całą należną ostrożnością, bez naruszenia w czemkolwiek tekstu samego, zanalizowałem wewnętrzną budowę zwrotek, tak różną w częściach poszczególnych, i oparłem się o system widocznej trójdzielności, tudzież o melodyę, objaśnioną przez p. Polińskiego. Wszystko zgodziło się przedziwnie i złożyło na sporą wiązankę faktów rzeczywistych, istotnie danych. Rozumowanie moje oczywiście podlega krytyce; kto jednak jest innego zdania, ten powinien chyba rozprawić się z mymi argumentami i wykazać ich mylność. Tymczasem prof. Brückner nie uczynił tego wcale, lecz zadowolił się rzuceniem kilku konjektur i uwag przeważnie językowych, aby oświadczyć w końcu niemal gołosłownie, że wywody moje wcale go nie przekonały. Podobny sposób polemiki nie mógł mnie również z kolei przekonać; uwalnia mnie też on od systematycznej obrony przywiedzionych przezemnie

---

boku, na marginesie dodał *sz* na znak, że się pomylił. Skreślić zatem należy całą uwagę 1-ą na str. 41 a do tekstu przyjąć: Iż przez trud Bog swoj lud.

argumentów i zmusza chyba do walki dorywczej o szczegóły przez krytyka poruszone.

Najpierw jednak z przyjemnością stwierdzić mi należy, że prof. Brückner poczynił przecież dość ważne ustępstwa. Oto zrezygnował tu z kolei z czasów Łokietkowych i rzekomej jednolitości dalszych zwrotek, przyjmując dwie części składowe: pierwszą o zwrotkach 3—9 rękopisu krak. II-go, powstałą niby w połowie wieku XIV-go, a drugą, złożoną ze zwrotek 10—13 (względnie 14), pochodzącą z końca XIV stulecia lub »czasów nawet jeszcze późniejszych« t. j. prawie już zgodnie ze mną. Poza tem godzimy się od dawna w zapatrywaniu, że zwrotki w innych rękopisach a nie w krak. II-im przechowane i przeważnie do rozmaitych świętych wystosowane, są dodatkami czasów jeszcze nowszych i jako takie w grę tu prawie nie wchodzą. Godzimy się wreszcie obecnie i na to, że »k m i e ć« zwrotki VI oznacza raczej pewnego rodzaju dostojnika, a nie oracza w pocie czoła ziemię uprawiającego; różnimy się tylko w uzasadnieniu tego znaczenia, gdyż prof. Brückner w myśl swoich wywodów tłumaczy je archaizmem, a ja, wobec innych danych, w wieku XV usprawiedliwiam wpływem języka czeskiego.

Przechodząc do dalszych punktów, muszę się zastrzedz przedewszystkiem, jakobym w czemkolwiek naruszał tradycyę rękopiśmienną, »przestawiając zwrotki i przyjmując luki«. Jest to niezgodne z rzeczywistym stanem rzeczy! Przez zarzut podobny może prof. Brückner mieć chyba na myśli dodatki *a* – *f*, które w *Krak.* II-im następują dopiero po zwrotce VII-ej »T e g o ż n a s d o m i e ś c i« a w *WP.* i *Cz.* umieszczone są przed nią. Otóż udowodniwszy, że wszystkie te dodatki wzorowane na pieśni czeskiej [1] mają identyczną formę wraz ze zwrotką VII-ą i że dorobiono je najwidoczniej dodatkowo do tejże zwrotki, stwierdziłem następnie, że przesunięcie ich w rękopisach WP. i Cz. nastąpiło dopiero później dla wygody śpiewaków, kiedy te dodatki ze względu na treść śpiewano przed zwrotką »T e g o ż n a s d o-

[1] Z pomiędzy 5 wierszy zwrotki *c* nie dwa, jak chce prof. Brückner ale trzy wiersze przetłumaczono dosłownie z oryginału praskiego.

mieści«, że natomiast porządek zwrotek w Krak. II-im odpowiada dawniejszemu stanowi rzeczy i jest wyraźnym śladem późniejszego, dodatkowego dorobienia zwrotek *a—f*. Po stwierdzeniu tego i zaznaczeniu wyraźnem, że tradycya ręk. *Krak.* II-go jest lepszą, wcześniejszą i że pieśń przed dorobieniem dodatków składała się tylko z ośmiu zwrotek, było mi zupełnie obojętnem, gdzie drobnym drukiem umieszczę te dodatki, w grę tylko pośrednio wchodzące, czy po zwrotce VII-ej, jak jest w *Krak.* II-im, czy przed nią, jak czytamy w *WP.* i *Cz.* Zdecydowałem się na to ostatnie ze względów czysto typograficznych, aby zająć drobnym drukiem, przeznaczonym na dodatki *a—f*, dwie oddzielne strony 42 i 43 i w ten sposób lepiej nawet zewnętrznie uwydatnić właściwą kompozycyę pozostałych zwrotek I—VIII, zajmujących niepodzielnie całe trzy strony 40, 41 i 44. Czyż to ma się nazywać naruszeniem tradycyi rękopiśmiennej?!

Podobnie ma się rzecz z rzekomymi luk*ami* i to w liczbie mnogiej. Skoro po pięciowierszowej zwrotce VII-ej Tegoż domieści nas, następują identycznie zbudowane pięciowierszowe zwrotki *a, c, d, e, f*, a w środku między nimi napotykamy w rękopisie zwrotkę *b*, na jedną i tę samą nutę, co i tamte, śpiewaną, ale mającą tylko trzy ośmiozgłoskowe wiersze i to budową od otaczających je także ośmiozgłowych zgoła niczem nie różniące się, to wówczas nie mogę przyjąć ani odmiennego typu ani przypuścić monstrualnego błędu w kompozycyi, ale muszę stwierdzić fakt, że w przechowanych do nas rękopisach brak dwu równie ośmiozgłoskowych wierszy. Tak każe mi sama logika faktów, każą prawidła analizy filologicznej. Nie jest to więc żadne ulegające dyskusyi przyjęcie luki, ale jej koniecznością nakazane, obowiązkowe stwierdzenie. Argument, jakoby w tych trzech wierszach:

Ni srebrem, ni złotem
Nas dyabłu odkupił,
Swą mocą zastąpił

nie brakło niczego do »najzupełniejszego sensu«, nie jest żadnym argumentem. To samo bowiem możnaby powiedzieć o kilku innych

zwrotkach, w których przechowało się przecież aż pięć wierszy. Np. czyż takie trzy wiersze zwrotki *c:*

Ciebie dla człowiecze
Dał Bog przekłoć sobie
Ręce, nodze obie.

albo zwrotki *d:*

Wierzyż w to człowiecze,
Iż Jezu Kryst prawy
Cirpiał za nas rany.

albo zwrotki *e:*

O duszy, o grzesznej
Sam Bóg pieczą ima,
Dyabłu ją ot-ima.

wymagają jeszcze czegoś do »najzupełniejszego sensu«? Czyż, gdyby oddzielnie były zapisane, nie moglibyśmy powiedzieć o nich, że nie brak im niczego? — a przecież we wszystkich tych trzech zwrotkach *c, d, e,* po przytoczonych trzech wierszach następuje jeszcze czwarty i piąty, równie ośmiozgłoskowe! Niema też tu żadnej analogii do budowy zwrotek III, IV i V-ej. Prof. Brückner przeliczył się najwidoczniej i zapomniał, że ta rzekoma trzywierszowa zwrotka *b* następuje nie po dwu odmiennie zbudowanych, ale aż po trzech, VI, VII-ej i dodatku *a,* z których dwie t. j. VII i *a* mają identyczną budowę, zapomniał, że trzy przechowane wiersze tej zwrotki nie wykazują typu odmiennego, jak przystałoby na *finale,* analogiczne do utworzonego przez zwrotkę V-ą, ale są zbudowane całkowicie tak samo, jak wiersze w zwrotkach poprzednich VII-ej i *a.*

Tak więc, powtórzyć mogę z czystem sumieniem wbrew zdaniu prof. Brücknera, iż chlubię się tem, że zdołałem na podstawie rzeczywistych danych a nie domysłów wytłumaczyć tradycyę rękopiśmienną bez naruszenia jej w czemkolwiek. Równoczesnego powstania bodaj części tych dodatków ze zwrotkami III—VIII obronić już nie będzie można, gdyż sprzeciwiałyby się temu wyraźnie wskazówki rękopiśmienne — przyczem oczywiście, jak powiadam na str. 20—23 mojej rozprawy, obojętną dla nas jest rzeczą i na razie trudną do rozstrzygnięcia, czy te dodatki *a* – *f* powstały wszystkie od razu czy stopniowo lub tylko w dwu

partyach. Bądź jak bądź nie było ich jeszcze wtedy, gdy istniały już zwrotki III—VIII, które, po oddzieleniu dodatków, wykazują dwa wybitne, między sobą różniące się systemy trójdzielcze. Stąd wynika znowu logicznie, że zwrotka VIII — pomijając jej niefortunną budowę — musi być takiem samem *finale* dlo drugiego systemu trójdzielczego, jakim jest zwrotka V (Jenżeit. d.) dla pierwszego. Prof. Brückner jednakże uważa ją całą za doczepek taki do tekstu, jak owe dopiski kopistów: dum bibo piwo, stat mihi kolano krzywo, i sądzi, że do końcowego Amen dodał sobie ktoś: »tako Bog daj, bychom szli szwytcy w raj«, a dopiero ktoś jeszcze później wciągnął to wszystko do tekstu śpiewanego, powtarzając Amen siedmiokrotnie, aby tekst jakoś wyrównać i utworzyć sobie nową zwrotkę. Jest to oczywiście domysł, któremu przeczy system trójdzielności, wymagający prawdziwego *finale* a nie żadnego doczepku, przeczy melodya oddzielnie dla tej zwrotki utworzona, przeczy wreszcie znany zwyczaj powtarzania wyrazu Amen w śpiewach kościelnych. Dlatego obstaję przy mojem tłumaczeniu tradycyi rękopiśmiennej, że siedmiokrotne powtórzenie słowa Amen w rękopisach WP, i Cz. nie było bez racyi i miało na celu zapobiedz możliwym nieporozumieniom, kiedy przedtem przeciwnie wyraz Amen zaznaczano tylko raz, jak w Krak. II-im, pozostawiając już domysłowi śpiewaków, że słowo to powszechnie znane i powtarzane mają istotnie powtórzyć siedm razy aż do wypełnienia odpowiedniej części melodyi.

Czy jakiś rękopis pochodzi z r. 1420 czy 1440, tego i najbieglejszy paleograf nie mógłby oznaczyć. Moja data r. 1440 dla Krak. II-go wynikła z całego toku rozumowania a nie danych paleograficznych. Trzebaby więc najpierw owo rozumowanie obalić, a tego prof. Brückner wcale nie czyni. Uznając też przewagę tekstu Krak. II-go, nie mogłem dla samego rymu zmieniać strożej na stroży według WP. i Cz., skoro wówczas równocześnie mogły się rymować przymiotniki Boży i zbożny. Z tej samej przyczyny w zwrotce *c* nie mogłem przyjmować z WP. waryantu z boka, — choć zaznaczyłem w uwadze, że jest on równie dobrym — gdyż wyrażenie »kry świanta szła z Boga« nie

jest żadnym błędem dogmatycznym. Mówimy przecież: boskie rany, i poeta może właśnie chciał zaznaczyć, że na krzyżu zraniono Boga, nie człowieka.

Prof. Brückner przypuszcza też, że tekst Krak. II-gi w zwrotce *a* przechował nam ślad nowego archaizmu, »godnego choćby czasów Łokietkowych«. Mianowicie na początku tej zwrotki czytamy tam: »bila radosczy, bila milosczy. Otóż prof. Brückner sądzi, że nie mamy tu do czynienia z samem zmiękczeniem, ale z przypadkiem 1-ym liczby mnogiej: radości, miłości, ponieważ, jego zdaniem, tekst Krak. II-gi »miękkości« nie oznacza, a rzeczowniki te »były dawniej *pluralia tantum*». Pierwotnie też w tekście miało być: były radości, były miłości, i dopiero później »nie zrozumiano pisowni i zastąpiono liczbę mnogą czasownika pojedynczą«. Krytyk nie przytacza jednak źródeł, to też nie wiem, na czem opiera swój domysł, kiedy, o ile wiem, i dawniej i dzisiaj istnieją śliczności i śliczność, radości i radość i t. d. We wszystkich też 14 zwrotkach niema innych rzeczowników na: ość, dlatego nie można skontrolować, jakby kopista Krak. II-go znalazł się w zupełnie analogicznym wypadku; mogę jednak stwierdzić, że całkowicie znaków zmiękczenia nie unika wcale; gdzie też ma być *i*, tam albo je opuszcza albo nawet na końcu pisze wyraźnie *i*. Por. gospodzina, spuszci, krzciciela, napelni, domeszczisz, dzeczi, czirpal i t. d., choć jest równocześnie, jakkolwiek mniej częste, noszÿmi, radzÿ, syedzysz. Stałej jakiejś normy niepodobna dopatrzeć się, aby zapomocą niej można domyślać się śladów dawniejszych, zaginionych brzmień.

Ze wszystkich konjektur prof. Brücknera nęciłoby mnie najwięcej wytłumaczenie dwu pierwszych wierszy zwrotki V-ej w tekście krak. II-im: Jensze (t.j. Adam) trudi czirpal zawerne, yescze bil neprzespal zazmerne. Tylko niechętnie, nie widząc innego wyjścia, poszedłem tu, jak inni, za WP. i Cz. i przyjąłem dla pierwszego wiersza: trudy cirpiał przezmierne, a dla drugiego: nie prześpiał zawiernie. Prof. Brückner nie odstępuje od Krak. II-go i czyta: cirpiał zawiernie (czechizm = zaprawdę), tudzież nie prześpiał za-

śmiernie (od śmiara = pokora i śmierny = pokorny, a więc: nie dokonał pokornie czyli nie doszedł do końca w pokorze). Być to bardzo może, skoro kopista pisze równocześnie smierć jako zmercz. Jedyna trudność w tem, że oczywiście nie wiemy, czy od przymiotnika śmierny był w używaniu taki złożony przysłówek zasmiernie. W każdym razie już i teraz z uwagą prof. Brücknera należy liczyć się poważnie. Nie wysnuwałbym tylko oczywiście stąd żadnych zbyt daleko idących wniosków. Co znajdowało się jeszcze w Psałterzu Floryańskim, to mogło z początkiem XV stulecia znaleźć bardzo łatwo zastosowanie w poezyi religijnej. Chodzi tu przecież o zwrotkę V-ą a więc jedną z najdawniejszych części składowych Bogurodzicy.

Powyższe uwagi miały nie dopuścić do tego, by ktoś n. p. moje milczenie mógł sobie mylnie wytłumaczyć. Nie chodzi mi tak dalece o prawdopodobieństwo moich zapatrywań na czas powstania dwu pierwszych zwrotek, skoro przy obecnych danych, pewności tu żadnej osiągnąć nie zdołamy. Natomiast oświadczyłem poprzednio i oświadczam teraz ponownie, że pewność taką mieć możemy w kwestyi genezy i kompozycyi dalszych zwrotek, a to na podstawie dochowanej tradycyi rękopiśmiennej, Otóż tradycyę tę objaśniłem szczegółowo w mojej rozprawie przy pomocy dochowanych wskazówek i objaśnienie to poparłem poważnymi, jak mi się wydaje argumentami, zaczerpniętymi z melodyi i wewnętrznej budowy zwrotek. Kto więc chce sądzić inaczej, musi obalić moje argumenty i wykazać mylność mego objaśnienia. Wówczas złożę broń bez zastrzeżenia. Na razie jednak nie mam do tego jeszcze powodu.

A skoro jesteśmy już przy Bogurodzicy, nie zawadzi dodać dla zaokrąglenia całości, że w świeżo wydanym I-ym tomie »Księgi pamiątkowej Maryańskiej« na str. 137—146 dr. Wilhelm Bruchnalski zamieścił początek rozprawy p. t. »Znaczenie pieśni t. zw. Bogarodzicy w hymnologii polskiej«. Autor porównał pieśń z hymnami łacińskimi i zauważył, że obie pierwsze, najdawniejsze zwrotki nie były natury prywatnej, *officium privatum*, ale były przeznaczone do ogólnej służby publicznej, dla całego *turba fide-*

lium. Poznać to po tem, że kompozytor używa ciągle liczby mnogiej a nie pojedynczej, i mówi zyszczy nam, spuści nam i t. d. a nie zyszczy mnie, spuści mnie i t. d., jakby oczekiwać należało według ogólnie podówczas przyjętych praw hymnologicznych, gdyby pieśń pozostawała w związku z jedną tylko osobą.

Obok tej słusznej uwagi przyjmuje jeszcze p. Bruchnalski, że część najdawniejsza składa się właściwie z trzech, nie dwu zwrotek, wstawia jeszcze jedno Kyrie eleison, zmienia dowolnie tekst w kilku miejscach (np. Daj za życia zam. rękopiśmiennego A na świecie) i sądzi, że pieśń Bogarodzica »poczęła się od razu jako litania do Wszystkich Świętych« i to w formie, jaka istniała w średnich wiekach przed dzisiejszą, dopiero później usankcyonowaną. Te »trzy« pierwsze zwrotki, to tylko »początek litanii«; dalsze konieczue strofy mają się także znajdować(??) »w najstarszych rękopisach«, — w których, nie wymienia jednakże autor, przerywając na razie swe z wielką stanowczością wypowiedziane wywody. Musimy więc czekać na dalszy ciąg zapowiedzianej rozprawy i na dalsze argumenty. Możemy tylko z góry zaznaczyć, że trzeba tu będzie w istocie bardzo poważnych argumentów, aby podtrzymać tak nieprawdopodobną hipotezę, sprzeczną właśnie z tradycyą rękopiśmienną i sprzeczną także z formą i melodyą całej kompozycyi.

Wogóle musimy wyrazić przekonanie, że, co się tyczy źródeł, to należałoby jeszcze sobie życzyć, by ktoś podjął się dokładnego porównania ze średniowiecznemi pieśniami czeskiemi i łacińskiemi. Z tej strony możnaby się jeszcze spodziewać jakiegoś wyjaśnienia. Natomiast inne momenty zostały już przez licznych badaczy tak wszechstronnie i drobiazgowo opracowane, iż przy dzisiejszym stanie rękopisów praca dalsza nie może przynieść nowych, niespodziewanych wyników. Mogłoby to nastąpić tylko wtedy, gdyby odnalazł się jeszcze jakiś tekst dotąd nieznany, dawniejszy choćby tylko od Krak II-go — a na to nie zanosi się wcale.

Dr. Korneli Heck.

POD DZISIEJSZĄ APOLOGETYKĘ.

Z NOWYCH KIERUNKÓW MYŚLI KATOLICKIEJ.

(Na tle broszury prof. M. Zdziechowskiego »Pestis perniciosissima«)
Ciąg dalszy.

W znanem, breve do kard. Gibbons'a, z dn. 22 stycznia 1899 r., potępiając kierunek, *cuius summam Americanismi nomine nonnulli indicant,* pisał Leon XIII co następuje: »Nowe mniemania, o których mówimy, na takiej opierają się podstawie: By oderwane (od Kościoła) członki łatwiej doprowadzić do uznania katolickiej prawdy, powinien Kościół zbliżyć się nieco do oświaty dojrzałego już wieku, i miarkując dawną surowość, nabrać wyrozumienia względem dzisiejszych przekonań i pojęć, co, zdaniem wielu, nie tylko do stron praktycznych chrześcijańskiego życia, ale i do sfery tych prawd zastosować należy, z których składa się depozyt wiary. Uważają bowiem za rzecz wskazaną, niektóre, rzekomo mniej ważne, punkta nauki (kościelnej) celem pozyskania opornych, albo milczeniem pominąć, albo w taki sposób zmodyfikować, by utraciły znaczenie, które im zawsze Kościół przypisywał. Nie potrzeba długich dowodów ukochany nasz synu, aby wykazać jakiej nagany podobne myśli są godne[1]«...

Breve było twarde. Nie znać było po niem *le pape des grandes concessions,* jak często nazywano Leona XIII, w przeciwieństwie do autora syllabusu. Było zaś tem twardsze, że padało na umysły olśnione i rozgrzane szeregiem haseł, na pozór tak wiel-

[1] *Acta s. Sedis.* T. XXXI, str. 471.

kich i potężnych, tak ciepłych a katolickich, że się zdawały otwierać przed Kościołem nowe horyzonty, słoneczne perspektywy niebywałej świetności i tryumfu.

»Nabierzmy szerokiego, Chrystusowego serca! Bądźmy tak katolickimi jak Chrystus, mistrz i zbawca dla wszystkich i czasów i ludów! Chrześcijaństwem prawdziwem jest miłość ku wszystkim, nie zawiść, nie faryzajska duma, co w ciasnej swej sferze myśli zamknięta, dla ideałów współczesnych nic nie ma, prócz jednej tylko nienawiści i pogardy. Czas już zacząć nową krucyatę, najcudniejszą ze wszystkich: Kościół z duchem wieku pojednać, do wzajemnej wymiany myśli doprowadzić, z myśli współczesnej i katolicyzmu stworzyć wielkie, wspaniałe królestwo Boże na ziemi. Jest to błędem i illuzyą słabych, trwożliwych umysłów, drżących przed każdą nowością, że myśl współczesna jest samej ciemności wytworem. Jej język tylko brzmi po pogańsku, zasadnicze jej podstawy są dojrzałym plonem chrześcijańskiego posiewu; jej serce bije z tęsknotą dla porozumienia z Kościołem, bo działa w niej i żyje ten sam Bóg ludzkości, co działa w Kościele jako Bóg objawienia. Nie trzeba się zasklepiać w jednej epoce rozwoju Kościoła, różróżnić trzeba jego ideę i istotne przymioty od czasowego wcielenia w jednym średniowiecznym porządku. Potrzeba czynu i życia; bezwzględny konserwatyzm to czcze marzenie człowieka, co siedząc u bram cmentarnych, płacze nad grobem, zamkniętym na zawsze« [1].

»Dostroić się do ducha wieku, by pociągnąć zbłąkanych« — ta była Amerykanizmu myśl przewodnia. Odpowiadał Leon XIII: »Owszem niech wrócą, niczego nie pragniemy goręcej; niech wrócą wszyscy, co się błąkają zdala od owczarni Chrystusowej, lecz n i e i n n ą d r o g ą, tylko tą, którą wskazał sam Chrystus« [2].

---

[1] Por. głównie: *Le P. Hecker* par le P. W. Elliot, traduit et adapté de l'anglais, introduction par Mgr. Ireland, préface par l'abbé Klein. — Mgr. Ireland: *L'église et le siècle.* — Mgr. O'Connel: *L'américanisme d'après le P. Hecker.* Klein: *Nouvelles tendances en religion et en littérature.* — Schell: *Die neue Zeit und der alte Glaube* i t. d. i t. d.

[2] »Redeant, nihil enim nobis optatius; redeant universi, quicumque ab ovili Christi vagantur longius, non alio tamen itinere, quam quod Christus ipse monstravit«. Tamże str. 472.

Oto typowy przykład pozornej antynomii miłości i naukowego ekskluzywizmu. Antynomia, jak tu, tak zawsze pozorną jest tylko, bo w rzeczy samej rozumny ekskluzywizm jedynie pewna, mniej roztropna miłość wyklucza, rzeczywistą miłość tylko pewien, przesadny ekskluzywizm niweczy.

Chcąc tę myśl rozprowadzić dokładniej, oddzielić trzeba najpierw sferę objektywnej prawdy i objektywnie uważanego błędu, (błąd nigdy nie jest objektywnym w sensie ścisłym) od sfery myśli osobistej, z której błąd lub prawda wypływa. Że osobę błądzących kochać należy, nawet wtedy, gdy przewrotna wola oczy im na prawdę zamyka, że skutkiem tego nie wolno nigdy bez wyraźnych dowodów osoby przeciwnika, czy z moralnej, czy z intelektualnej strony szarpać i potępiać — to należy do fundamentalnych zasad chrystyanizmu. Jest to najpiękniejszą stroną pracy prof. Zdziechowskiego, że tak silnie i z głębi serca obowiązek miłości przypomina. Cała i rzeczywista trudność w tem leży, jak praktycznie, na polu naukowej kontrowersyi ten obowiązek wprowadzić w życie, gdy teorye i systemy, które zwalczać trzeba niemal nie dadzą się oderwać od osób, w których umysłach powstały.

W rozwiązaniu tej trudności idzie prof. Zdziechowski daleko. Zdaniem jego każdy, kto twierdzi, że panteizm jest niedorzecznością, tem samem stawia filozofa panteistę »na jednym poziomie z idyotą lub błaznem mówiącym, że dwa a dwa jest pięć«; każdy, kto twierdzi, że sumiennie badając dowody na prawdziwość objawienia chrześcijańskiego, jasno poznał niewzruszoną jego prawdę i nicość zarzutów przeciwnych, tem samem robi z ogromnej większości myślącej ludzkości, »bezmyślną, opętaną od djabła tłuszczę, ludzi moralnie lichych i złej wiary, z którymi rozprawiać byłoby tylko czas tracić na darmo«. Jeden i drugi sąd o przeciwnikach, najniewątpliwiej sprzeciwia się miłości; a więc — taka stąd wypływa oczywista konkluzya — nie wolno bez grzechu przeciw miłości nazwać panteizmu niedorzecznym błędem, wiary katolickiej niewzruszoną, jasno udowodnioną prawdą. Przy tego rodzaju pojęciach miłość może się ostać; ekskluzywizmu zaiste nie będzie ni śladu, ale też i śladu nie zostanie

jakiejkolwiek jednolitej, intelektualnej budowy, bo do jej istoty należy nieodbicie, by się wspierała na zasadach w taki sposób uznanych za prawdę, aby wszystkie zasady przeciwne, jako bezwątpienia błędne odrzucić mogła. Jednolity, świadomy siebie światopogląd bez jakiegoś ekskluzywizmu nie istnieje i istnieć nie może. Kto nie jest w stanie powiedzieć: to a to napewno jest prawdą, wszystko inne napewno jest błędem, ten oczywiście pozbył się z gruntu »dumnego ekskluzywizmu«, ale pozbył się zarazem i wszelkiej filozofii, chyba, że komuś podoba się mówić o »filozofii« pessymizmu lub sceptyki [1]. Że zaś bez jakiejś i to ściśle, przynajmniej w głównych zarysach określonej filozofii, nie istnieje ani chrześcijaństwo, ani żadna rozumna religia, ani nawet »dogmatyzm moralny«, wypływa stąd całkiem koniecznie, że jakiś rodzaj ekskluzywizmu jest nieodzownie potrzebny. Chodzi o to, by bliżej określić sposób, w jaki on się ma affirmować i granice, w jakich rozumnie affirmować mu się wolno, a może i należy.

Co się tyczy pierwszego pytania, jeśli ktoś z całą pewnością wie, że jest w posiadaniu prawdy i zdobył sobie tę pewność na objektywnej podstawie, nie na przeczuciach, nastrojach, aspiracyach duszy zbudowaną — wolno mu bez dumy i bez obrazy miłości bliźniego twierdzić, że błądzi, kto myśli inaczej. Mówię z naciskiem: jeżeli wie, że jest w posiadaniu prawdy. Nie ma w tem dumy, bo się stwierdza tylko wyższość prawdy nad fałszem, nie wyższość własnego rozumu nad intelligencyą innych. Nie ma obrazy miłości chrześcijańskiej, bo, czego nigdy dosyć przypominać nie można, affirmacya jakiejkolwiek jasno poznanej

[1] Już dawno i słusznie zauważano, że wyraz »filozofia« utracił w myśli współczesnej swe dawne, uświęcone wiekami znaczenie. Jest to jeden z symptomów, który dość wyraźnie wskazuje na radykalny brak jednolitości w nowszej myśli filozoficznej tkwiący, brak, któremu nie zaradzą wszystkie nawoływania do syntezy, wszystkie krytyczne wstępy i definicye filozofii, póki zmiana w podstawach nie nastąpi. Jeżeli filozofia ma być jakąś w system dającą się ująć nauką, musi koniecznie mieć jakieś stałe punkta wyjścia i stałe, ogólnie przynajmniej zarysowane linie, po których myśl ludzka, posuwaćby się winna, jak długo chce nosić miano myśli filozoficznej. A jeśli tak — to przecież nie można nazwą »filozofii« zaszczycać, rojenia nie wiedzieć jakich idei, albo i czucia nie wiedzieć jakich stanów psychicznych.

prawdy, ani nie jest twierdzeniem, ani nie ciągnie za sobą twierdzenia, że tylko głupota lub zła wiara do negacyi tej prawdy doprowadzić może. Czasem rzecz prosta i to się zdarza, że w złej woli albo ograniczeniu źródeł negacyi szukać należy, ale najczęściej, a pod pewnym względem prawie zawsze skądinąd przeczenie prawdy wypływa. Człowiek rozumny i dobrej woli może niekiedy prawdę nawet bardzo oczywistą[1] odrzucać, albo dlatego, że nie zna lub nie przetrawił jej dowodów, albo, że wychodzi z jakichś głębszych błędnie obranych założeń, albo, że patrzy na rzeczy pod fałszywym kątem widzenia, albo, że neutralizuje i burzy w jego umyśle wpływ oczywistości cały horyzont myśli, cała atmosfera duchowa, na którą składają się liczne i nader skomplikowane czynniki: wychowanie, środowisko, rodzaj lektury, sposób kształcenia, warunki wreszcie psychologicznej i fizyologicznej natury. A zatem, żeby rzecz wziąć konkretnie, kto twierdzi n. p., że da się jasno udowodnić zmartwychwstanie Chrystusowe, przez to samo bynajmniej nie przesądza o dobrej lub złej woli, o większej lub mniejszej intelligencyi tylu uczonych przeciwnego obozu, przeciwne mających zdanie, bo z objektywną prawdą, o którą tu jedynie chodzi, nie ma nic wspólnego inna kwestya, co mianowicie przeciwnika do negacyi nakłania. I wogóle każda, by najbardziej ekskluzywna affirmacya objektywnej prawdy, choćby błąd przeciwny ogłaszała za absurd, błąd tylko piętnuje, błędowi uwłacza, nie uwłacza umysłom, które błąd zrodziły, a tem samem nie grzeszy przeciw miłości bliźniego. Owszem przez ekskluzywność nawet najbardziej stanowczą przebijać może serdeczna miłość i żal głęboki, że prawda wymaga rozdziału i walki. W żywej polemice z prof. Baur'em, gdy ten ostatni, rozprawę o pewien punkt sporny zamknął słowami Lutra: *sic in aeternum disiungimur et contrarii invicem sumus* — odpowiada mu Möhler: *In aeternum! Mir bangt in der tiefsten Brust bei diesen Worten. In aeternum also! Das will viel, will' sehr viel sagen — in aeternum! Um keinen Preis in der Welt möchte ich also*

[1] Czemu matematyczne prawdy tu wyjąć należy, czy dlatego, że »poza sferą ilości« nie jest dopuszczalne »bezwzględnie ścisłe stosowanie praw logiki« — o tem mowa będzie niżej.

sprechen, aber du sagest es [1]. Gdyby prof. Zdziechowski był się głębiej wczytał w katolicką literaturę teologiczną i filozoficzną, może byłby w niej odczuł dźwięczącą silnie nutę miłości i bólu nad konieczną rozłąką [2]. *Non possumus* to twarde słowo. ale twierdzić ogólnie nie można, że dumne, z miłości wyzute serce wkłada je na usta, czy papieżom, czy *mutatis mutandis* filozofom i teologom katolickim.

O wiele donioślejsze jest drugie pytanie, w jakich granicach wolno lub trzeba nawet, ekskluzywizmowi naukowemu hołdować. Gdy na to pytanie odpowiemy, zdobędziemy sobie jedynie właściwy punkt widzenia, z którego osądzić będziemy mogli cały stosunek nauki katolickiej do współczesnej wiedzy.

Przedewszystkiem oddzielić tu trzeba dziedzinę filozofii i teologii jako takiej [3].

Teolog, póki się obraca w sferze prawdy albo objawionej, albo niewątpliwie wypływającej z danych przez objawienie założeń, ma za sobą zawsze, pośrednio czy bezpośrednio, gwarancyę tak absolutną, jak nieomylność i prawdomowność Boża. Jest to oczywiście przedmiotem fachowych studyów skonstatować, czy i kiedy jakaś poszczególna prawda posiada wszystkie warunki po temu, by do niej gwarancyę Bożą przywiązać można, ale jeśli te warunki istnieją, rzecz jest dla katolika skończona; granice,

---

[1] *Neue Untersuchungen...* wyd. 1894, str. 356.

[2] Jeżeli czasem, może i dość często pisarze katoliccy zdają się samym osobom przeciwników uwłaczać, to 1) sam prof. Zdziechowski przyznaje, że mogą niekiedy istnieć rzeczywiste racye, by osobę pisarza napiętnować. Tak autor, najsłuszniej w świecie, Maxa Nordaua nazywa »nędznym, robaczym umysłem«, tak, mniej słusznie, pomawia ks. Weissa o »oszczerstwo«, zatem o błąd moralny. 2) Nazwiska osób często się stają nazwami systemów. Stąd nie trzeba zawsze odnosić do samych osób myślicieli wszystkich epitetów, które systemom jako takim dostają się w udziale. 3) Kto wie jaką bezbrzeżną pogardą wielu akatolickich uczonych, wszystko, co katolickie obdarza, mniej będzie się dziwił jeśli gdzieniegdzie napotka u katolickiego pisarza ton oburzenia, szlachetnym i słusznym bólem wywołany, choć oczywiście lepiej jest zawsze na ściśle przedmiotowej dyskussyi poprzestać.

[3] Jeśli prof. Zdziechowski w tej kwestyi pod jeden mianownik sprowadza i pod jednym mianownikiem zwalcza absolutny ekskluzywizm filozofów i teologów katolickich (str. 5 i passim), musimy to uważać chyba za *lapsus calami* tylko.

w których teologia nie tylko może ale musi być ekskluzywną, sama powaga Boża zakreśla. »Nauk wierze przeciwnych«, mówi sobór Watykański, zwłaszcza, jeśli przez Kościół potępione zostały nie tylko nie wolno wiernym bronić jako rzeczywistych zdobyczy wiedzy, ale owszem obowiązani są ściśle mieć je za błędy pod złudnym pozorem prawdy ukryte« [1]. Jeżeliby zaś ktoś i tutaj, w sferze określonej przez Kościół prawdy, chciał dopuszczać »różne kierunki, odpowiadające rozmaitym ustrojom umysłów«, kierunki, z którymi się nie liczy »naiwność teologów«, stanie mu w drodze inne tegoż soboru Watykańskiego określenie: »Dogmatom to znaczenie zawsze przypisywać trzeba, które im raz przyznał Kościół, i od znaczenia tego nie wolno nigdy pod pozorem głębszego zrozumienia odstępować« [2]. Nie ulega więc najmniejszej wątpliwości, że żadnemu wiernemu, zwłaszcza teologowi nie wolno nie być ekskluzywnym w tych granicach, w których wiara ekskluzywności wymaga.

Cóż właściwie te granice obejmują?

Rozumie się samo przez się, że nie możemy wyliczać tu po szczególe wszystkich artykułów wiary i wszystkich punktów nauki katolickiej, które lubo nie są przedmiotem wiary ściśle wziętej, zatwierdzone jednak przez Kościół zostały, jako pewniki, których ruszać nie wolno. Powiemy krótko: sfera ekskluzywności teologicznej rozciąga się tak daleko, jak daleko sięga nadana Kościołowi przez Boga nieomylność [3]. Nieomylność zaś Kościoła, o ile

---

[1] »Omnes christiani fideles huiusmodi opiniones, quae fidei doctrinae contrariae esse cognoscuntur, maxime si ab Ecclesia reprobatae fuerint, non solum prohibentur tamquam legitimas scientiae conclusiones defendere, sed pro erroribus potius, qui fallacem veritatis speciem prae se ferant, habere tenentur omnino«. Ss. 3, cp. 4. Denzinger: *Enchiridion symbolorum et definitionum*. Ed. 9, 1900, n. 1645.

[2] »Dogmatum is sensus perpetuo est retinendus, quem semel declaravit Sancta Mater Ecclesia, nec unquam ab eo sensu, altioris intelligentiae specie et nomine recedendum«. Ibid. n. 1647.

[3] Nieomylność papieża, jak wiadomo, nie różni się, ze względu na przedmiot od nieomylności Kościoła. (Por. Granderath: *Constitutiones dogmaticae concilii Vaticani*. Friburgi B. 1892, str. 191). Prof. Zdziechowski, dając na str. 35 zupełnie dobre określenie nieomylności papieża *ex parte subiecti*, popełnił jednak przytem 2 błędy: 1) że »właściwe określenie nieomylności

to na razie do naszego przedmiotu należy, obejmuje głównie i w pierwszym rzędzie dziedzinę prawdy objawionej, wchodzącej w skład t. z. depozytu wiary, w drugim rzędzie i (do pewnego stopnia) ubocznie *(indirecte)* dziedzinę prawd rozumowych które, lubo wprost objawionemi nie zostały, wiążą się jednak tak ściśle z objawioną prawdą, że z niemi stoi lub upada samo objawione słowo Boże[1]. »Kościół bowiem« mówi dalej sobór Watykański »razem z apostolskim urzędem nauczania, wziąwszy polecenie strzeżenia depozytu wiary, ma nadane sobie przez Boga prawo i obowiązek potępiania fałszywej wiedzy, aby kto (z wiernych) nie popadł w sidła (rzekomej) filozofii, zwodniczej a próżnej«[2]. Stąd, jak nauczają zgodnie Pius IX[3] i Leon XIII[4] wsparci na

przypisuje biskupom szwajcarskim, jak gdyby rzecz nie była najdokładniej i daleko jeszcze ściślej określona na samym soborze, który do definicyi nie przystępuje nigdy bez wszechstronnej i długiej dyskussyi i sprecyzowania myśli, jak każdy może się przekonać biorąc do ręki akta soboru watykańskiego (*Collectio Lacensis* t. VII. Friburgi B. 1890); 2) insynuuje, że nie wszyscy teologowie katoliccy z tem określeniem się zgadzają, ale, że są »rozmaici ultrasi«, z których zdań wynikałoby logicznie, »że jeśli Bóg istnieje, to dzięki pozwoleniu papieża«. Jest to insynuacya niepotrzebna i nieobjektywna, a niejednemu umysłowi może szkodliwa. Jeżeli ks. Bonomelli zna nazwiska tych »ultrasów«, są to z pewnością teologowie z czasów przedsoborowych albo z czasów toczącej się jeszcze dyskussyi, albo wreszcie nie pod jaśniejszą urodzeni gwiazdą niż Sarda y Salvany.

[1] Jeżeli Kościół coś kategorycznie określa, w obrębie depozytu wiary np. Niepokalane Poczęcie, definicya taka jest tylko stwierdzeniem, że Bóg to a to objawił, stąd nie Kościołowi wierzymy, że np. Matka Boska poczętą jest bez grzechu, ale Bogu *(fide divina)*. Kościołowi wierzymy tylko, że Bóg tę prawdę objawił. Jeśli Kościół coś określa kategorycznie poza sferą ścisłego objawienia, naucza nieomylnie, że ta a ta prawda rozumowa jest ściśle i koniecznie związaną z objawieniem. Gdy to drugie określenie katolik przyjmuje za pewne, wprost i bezpośrednio wierzy Kościołowi *(fide ecclesiastica)*, pośrednio tylko wierzy Bogu, o ile przez to samo stwierdza prawdę objawioną, że Bóg zrobił Kościół stróżem depozytu wiary. O podobieństwach i różnicach zachodzących między wiarą Bożą czyli teologiczną w sensie ścisłym, a wiarą kościelną — por. Chr. Pesch: *Praelect. dogm.* ed. 2-a, 1900, t. VIII, n. 256.

[2] L. c., n. 1645.

[3] *Litterae ad archiep. Monacensem et Frising.* 21 Dec. 1863. Denz. l. c., n. 1531.

[4] Prawie tymi samymi słowy w Encyklice *Sapientiae christianae* 10. Jan 1890.

całej kościelnej tradycyi dawnych wieków, bynajmniej nie wystarcza katolikowi ulegać Kościołowi tylko w sferze dogmatów ściśle wziętych, ale posłuszeństwo rozumu rozciągać on musi i do tych nawet prawd rozumowych, które Kościół uznał za związane z objawieniem. Tak, żeby kilka przykładów przytoczyć z bliższych nam czasów, nie wolno katolikowi bronić nauk, czyto w syllabusie, czyto między potępionemi zdaniami Rosminiego [1] zawartych, nie wolno z tradycyonalistami [2] twierdzić, że istnienie Boga i fakt objawienia nie mogą i nie powinny być udowadniane rozumowo, że metoda scholastyczna w teologii do racyonalizmu prowadzi, albo nie odpowiada potrzebom naszych czasów i t. d. Czy to może zbyt twarde i nieubłagane, co o granicach ekskluzywności teologicznej mówimy? Jeżeli ktoś buduje wiarę swoją na nastrojach, na aspiracyach duszy — zapewne, że to jest twarde, owszem nieznośne. Jeśli ktoś tworzy sobie własny katolicyzm, może piękny i wzniosły, z ideałów własnego serca wysnuty, ale n i e o b j e k t y w n y, nie taki, jakim go zrobił Chrystus — może to być bardzo bolesnem, gdy ostre zarysy rzeczywistości przecinają linie idealnych a ukochanych konstrukcyi. Jeżeli ktoś poj-

[1] Kogo z teologów katolickich »doprowadza do wściekłości samo imię Rosminiego«, nie udało mi się odszukać. Jeżeli jednak jest ktoś, coby na punkcie ks. Rosminiego tak łatwo wypadał z równowagi, to chyba nigdy nie miał w ręku 40 zdań z pism jego wyjętych a potępionych przez Kongregacyę św. inkwizycyi i Leona XIII dnia 14 grudnia 1887 (Denzing. l. c. 1736—1775), bo »wściekłość« musiałaby ustąpić miejsca politowaniu. Że niezaprzeczona Rosminiego świątobliwość jak i pobożność Malebranche'a z ich błędami nic nie mają wspólnego, dodawać nie potrzeba.

[2] Tak brzmią tezy, na które podpisać się musiał Bautain 8. IX, 1840 i Bonnetty 11, VI, 1855: »Ratiocinatio Dei existentiam cum certitudine probare valet. Ratio cum certitudine authenticitatem revelationis... probare valet. Revelationis christianae probatio ex miraculis Christi desumpta... vim suam... non amisit. Non habemus ius ab incredulo requirendi ut Salvatoris resurrectionem admittat priusquam certae probationes ipsi administratae fuerint istaeque probationes..., per ratiocinationem deducuntur. Methodus qua usi sunt D. Thomas, D. Bonaventura et alii post ipsos scholastici non ad rationalismum ducit i t. d. Por. Denzing. l. c. n. 1488—1493 i 1505—1508. Z tem ostatniem zdaniem zestawić jeszcze należy propozycyę 13 Syllabusu: »Methodus et principia, quibus antiqui doctores scholastici theologiam excoluerunt, temporum nostrorum necessitatibus scientiarumque progressui minime congruunt«. Denzing l. c. n. 1560.

muje wiarę i to co wiara ciągnie za sobą, jako kwestyę w pierwszym rzędzie r o z u m u i r o z u m n y c h d o w o d ó w, w drugim rzędzie dopiero woli i uczucia, jeżeli r o z u m o w o wie czemu wierzy, czemu sąd swój Kościołowi poddaje — nie tylko że to poddanie nie przyjdzie mu z trudnością, ale powita je z wdzięcznością dla Boga, że rozumowo doprowadza go do wiary, a przez wiarę prowadzi bezpiecznie po drogach, gdzie rozum sobie zostawiony mógł zbłądzić i zejść na manowce[1]. I nic tu zgoła nie pomoże tłumaczyć sobie, że ekskluzywizm jest spaczeniem idei Kościoła, że dopiero wtedy, gdy świętości ubyło, chwycił się Kościół naukowego absolutyzmu i stworzył »matematykę teologiczną«; nie pomoże to nawet wtedy, gdy na rzekomy dowód przytoczy się zdania z ewangelii, żadnego z kwestyą nie mające związku, n. p. że »w domu Ojca mego mieszkań jest wiele«, że »jako chcecie, aby wam ludzie czynili, także im i wy czyńcie«, albo inne tym podobne, bo fundamentalna zasada całego katolicyzmu, czyli Chrystusowego Kościoła, zasada, według której o samej ewangelii sądzić i ewangelii wierzyć należy jest ta jedna: »Idąc nauczajcie wszystkie narody, kto was słucha, mnie słucha, bo ja jestem z wami po wszystkie dni; jeśliby kto Kościoła nie słuchał, niechaj będzie jako poganin i celnik«. Chrystus »dał pasterze i doktory, ażebyśmy się wszyscy zeszli w jedność wiary i poznania Syna Bożego, abyśmy już nie byli dziećmi chwiejącymi się i nie byli uniesieni od każdego wiatru nauki... na oszukanie błędu«[2]. Żywy, objektywny, nieomylny urząd nauczycielski, jak jest rdzeniem katolicyzmu, tak jest normą ekskluzywizmu teologicznego, nieodłącznego od królestwa prawdy. Istotą protestantyzmu był bunt przeciw tej objektywnej normie, przesunięcie jej najpierw w sferę subjektywnych natchnień Ducha św. i ewangelii subjektywnie wykładanej, potem w sferę czystego rozumu, potem w sferę uczuć

[1] »Non solum fides et ratio inter se dissidere numquam possunt sed opem quoque sibi mutuam ferunt, cum recta ratio fidei fundamenta demonstret, eiusque lumine illustrata rerum divinarum scientiam excolat; fides vero rationem et erroribus liberet et tueatur eamque multiplici cognitione instruat«. Sobór Wat. ss. 3 cp. 4. Denzing l. c. n. 1646.

[2] Mat. 28, 19. 20. Łuk. 10, 16. Mat. 18, 17. Efez. 4, 11—14.

lub projekcyi ideałów własnych. Istotą katolicyzmu jest to, co już Pismo św. nazywa klasycznym wyrazem *obedientia fidei*, poddanie rozumu i woli pod objektywną normę żywego kościelnego urzędu[1]. Jeżeli komuś to się wydaje przesadą, wymysłem »rozmaitych ultrasów« — nie tylko mu wolno, ale jest to ze wszech miar pożądane, aby »krytycznie« i najkrytyczniej zbadał tytuły, mocą których to, a nie inne stanowisko Kościół sobie przypisuje. Niech przetrawi, ale gruntownie i rozumowo te niezliczone dowody, które płyną potężną i nieprzerwaną falą od Chrystusa do Piusa X, stwierdzając zawsze tę samą prawdę: istotą katolicyzmu jest »posłuszeństwo wiary« w poddaniu żywemu, kościelnemu urzędowi. Lecz póki kto dowodów nie zbadał poważnie, niechże nie zajmuje względem Kościoła »krytycznego« stanowiska, bo i krytyka pewnych podstaw objektywnych wymaga, nie samych uczuć i ideałów; niechże tem mniej drugim, równie mało podstaw mającym, tej »krytyki« nie doradza i nie wszczepia. Jeżeli zaś komuś takie pojęcia robią wrażenie »formalistycznego biurokratyzmu«, jeżeli Kościół w jego oczach przeobraża się skutkiem tych pojęć »w policyę lub kancelaryę Bożą«, jeżeli jest w kłopocie co odpowiedzieć na zarzut, że »etyka katolicka jest wolnością grzeszenia pod warunkiem wykonywania zewnętrznych form posłuszeństwa«, — wymagałaby miłość dobrej sprawy, by najpierw dostosować do objektywnej prawdy pojęcia własne, a potem dopiero tych pojęć udzielać innym.

O granicach ekskluzywizmu w filozofii inaczej sądzić należy.

---

[1] »Auctoritas, personale magisterium authenticum, apostolica praedicatio ex una parte et respondens ex altera parte subiectio, obedientia et officium ab illis et per illos suscipiendi fidem, quae traditur fideique explicationem sunt... velut essentia physica huius religionis christianae hoc est institutae in hac determinata forma a Christo«. Tak kard. Franzelin w monumentalnym i rzeczywiście cudownie pięknym traktacie *De traditione et scriptura* (ed. 4-a, Rzym 1896, str. 26). Niezbite dowody tej prawdy zajmują większą część dzieła. Nie znaczy to oczywiście, żeby katolik nie miał innego obowiązku prócz posłuszeństwa władzy kościelnej, ale znaczy, że jego istotę jako katolika tworzy właściwy stosunek zależności od władzy kościelnej w rzeczach wiary i obyczajów, a z tej istoty dopiero, i odpowiednio do niej, ma się rozwijać cała działalność nadprzyrodzona rozumu, woli, uczucia, czynu-

Filozof jako taki ma jednę tylko pozytywną normę badania, mianowicie oczywistość objektywnej prawdy. Jeżeli ten filozof jest katolikiem, obowiązuje go nawet na polu filozofii, ale jako norma negatywna tylko i zewnętrzna, to wszystko w czem teologia ekskluzywność swoją affirmuje [1]. Obowiązuje go jako norma negatywna, bo jej nie wciąga w założenia swych badań, tylko do niej wyniki badań przymierza, aby się przekonać czy nie zbłądził; obowiązuje go jako norma zewnętrzna, bo leżąca poza sferą prawd rozumowych w sensie ścisłym. Że ten wzgląd na objawienie, wolności filozofa bynajmniej nie krępuje, wynika z tego samego, na co już wielokrotnie zwracaliśmy uwagę, że samo przyjęcie wiary jest i być powinno aktem rozumu. W jednym tylko zakresie wolno filozofowi katolickiemu całkowicie, lecz metodycznie od objawienia abstrahować, mianowicie gdy naukowo samą prawdziwość objawienia udowadnia [2]. Tu normą badania zupełnie wyłączną jest jedna jedyna oczywistość prawdy.

Nie byłoby o tym przedmiocie wiele do mówienia, powiedziećby można krótko, na co zdrowa filozofia zgodzić się musi, że sama norma filozoficznego dociekania, jaką jest oczywistość, fałsz oddzielając od prawdy, zarazem i granice ekskluzywizmu filozofii zakreśla, gdyby nie jedno zdanie, krótkie wprawdzie, ale w konsekwencyach niezmiernie doniosłe, którem prof. Zdziechowski zupełnie zasadniczo burzy podstawy ekskluzywizmu, chcę wierzyć, że filozoficznego tylko. Rozróżnia on mianowicie zakres ilości, który jest polem badania matematyki i zakres jakości

[1] Por. zdania Syllabusu 14, 10, 11. »Philosophia tractanda est, nulla supernaturalis revelationis habita ratione. Cum aliud sit philosophus, aliud philosophia ille ius et officium habet, se submittendi auctoritati, quam veram ipse probaverit, at philosophia, neque potest, neque debet ulli se submittere auctoritati. Ecclesia non debet in philosophiam umquam animadvertere, verum etiam debet ipsius philosophiae tolerare errores, eique relinquere ut ipsa se corrigat«. Denzing: l. c. n. 1561, 1557, 1558.

[2] Akatolik badający prawdziwość religii katolickiej może, owszem powinien rzeczywiście, nie metodycznie tylko od niej abstrahować. Katolikowi, który raz wiarę przyjął, rzeczywiste o niej powątpiewanie dozwolonem nie jest i nigdy od grzechu nie jest wolnem. Przeciwne zdanie Hermesa potępione zostało przez sobór Watykański. Ss. 3, cn *De fide* 6· Denzing. l. c. n. 1662.

(sic!), obejmujący oczywiście wszystko, co ilością nie jest, a zatem pole wszystkich nauk niematematycznych. Otóż »naiwność filozofów i teologów« na tem polega, że prawa logiki chcą równie ściśle do obu zakresów stosować, gdy tymczasem »bezwzględnie ścisłe stosowanie praw logiki« tylko w zakresie ilości, a więc w matematycznych naukach jest możliwem, bo w »zakresie jakości i jakościowych ograniczających się wzajemnie lub wykluczających określeń mogą istnieć kierunki rozmaite, odpowiadające rozmaitym ustrojom umysłów« (str. 5).

Jest to zdanie idące tak daleko, że w jego świetle przestaje dziwić wszystko inne, choć dziwne samo przez się, co *Pestis perniciosissima* przyniosła.

Że w sferze jakości, aby już używać terminologii prof. Zdziechowskiego [1], mogą istnieć rozmaite kierunki myśli, to rzecz absolutnie niewątpliwa, bo doświadczeniem codziennem stwierdzona. Chodzi o to tylko, czy ten fakt niezaprzeczony ma i może mieć, jak chce prof. Zdziechowski, jakikolwiek związek z kwestyą ekskluzywizmu filozoficznego. Mogłoby tak być w trzech wypadkach. W cytowanem wyżej zdaniu, albo chce wyrazić autor, że sfera jakości nie dopuszcza absolutnej oczywistości objektywnej, albo, że myśl ludzka w tej sferze jest wogóle od oczywistości niezależną i sama sobie prawdę tworzy, albo wreszcie, że w sferze jakości, choćby oczywistość objektywna była możebną, trzeba mimo to uznawać i szanować różne »kierunki myśli«. Do tej ostatniej suppozycyi zastosować trzeba rozróżnienie, które daliśmy wyżej: szanować i uznawać trzeba myśl osobistą, dążącą do prawdy, uznawać nie można objektywnie uważanego błędu, jeżeli oczywistość przemawia przeciw niemu. Dwie pierwsze suppozycye otwierają wrota na oścież skrajnemu subjektywizmowi lub sceptyce, a z tego trzęsawiska, przez niekonsekwencyę, tylko moralne aspiracye wybawić mogą myśl religijną. Na żaden sposób więc nie można się zgodzić na wspomniane zdanie prof. Zdziechowskiego. Nie jest to »naiwność filozofów«, ale podstawa wszel-

[1] Biorąc rzecz filozoficznie, czy to według kategoryi Kanta czy Arystotelesa czy jakichkolwiek innych, »zakres jakości«, nie może oznaczać tego, co ma oznaczać w myśl prof. Zdziechowskiego.

kiej, zdrowej, a przedewszystkiem chrześcijańskiej filozofii, że umysł ludzki we wszystkich zakresach zdolny jest do poznania objektywnej prawdy, byle prawda przemówiła doń oczywistości światłem, że prawa logicznego myślenia są istotnie niezmienne jak objektywna prawda, że nie mały zakres prawd i empirycznych i historycznych i myślowych, nawet w sferze »jakości« jest nam *de facto* oczywistym, zwłaszcza tych prawd, co tworzą podwaliny religii, że wreszcie z tego powodu na wielu punktach wolno filozofowi owszem i trzeba ścisły ekskluzywizm zachować, jeśli nie chce rezygnować zupełnie z jednolitego, rozumowego na świat poglądu. Jest wprawdzie rzeczą pewną, jak mówiliśmy wyżej, że poza matematyką [1], wiele prawd istotnie oczywistych, może dla jakiegoś umysłu oczywistość swoją utracić pod wpływem różnorodnych czynników, i to uprawnia do sądu, że panteista n. p. nie jest koniecznie »błaznem, szubrawcem czy idyotą«, nie uprawnia do sądu, żeby panteizm był dopuszczalnym i uznania godnym kierunkiem myśli.

To jednak mówiliśmy zasadniczo tylko, dla usunięcia nieporozumień z wymienionem zdaniem prof. Zdziechowskiego związanych, mamy bowiem przekonanie, że on sam, przyznając często potrzebę potępiania błędu, nie każdy ekskluzywizm w sferze jakości wyklucza, lecz głównie ma na myśli potrzebę oddzielania fałszu od prawdy, by razem z plewami dobrego ziarna nie odrzucać.

W teoryi oczywiście nic słuszniejszego. W praktyce jednak przychodzi pierwsza kwestya, co jest ziarnem, co plewą: druga — jak tę selekcyę przeprowadzić. Przypatrzymy się obu kwestyom bliżej i konkretniej, gdy już z ogólnych uwag o granicach filozoficznego i teologicznego ekskluzywizmu, przejdziemy do

---

[1] W matematyce niema, przynajmniej w bliższych i przystępniejszych zagadnieniach, różnicy zdań, czyli »różnych kierunków myśli«, z tego prostego powodu, że abstrakcya matematyczna zawsze mając pomocnicę w wyobrażeniu *(phantasma)*, silniej przemawia do umysłu, niż abstrakcya zupełna, operująca samem pojęciem, którego żadne odpowiednie wyobrażenie nie wspomaga. Dokładniejsze tej rzeczy uzasadnienie zawiodłoby nas za daleko.

praktycznego ich zastosowania odnośnie do współczesnej myśli filozoficznej.

Prof. Zdziechowski widzi tę myśl w barwach nie o wiele mniej różowych niż zwolennicy amerykanizmu, których słowa cytowaliśmy wyżej. Zdaniem jego w filozofii dzisiejszej nietylko, że są pierwiastki zdrowe, czego oczywiście zaprzeczać nie będziemy, ale są pierwiastki tak zdrowe, tak chrześcijańskie, takie znamię ducha Chrystusowego noszące, że mogą stać się bodźcem do żywszego ruchu w Kościele, rzucić silniejsze światło na prawdę ewangelii, przyczynić się do pełniejszego oświetlenia prawdy chrześcijańskiej. To coś pięknego i wielkiego, co tkwi w duchu wieku »mogłoby oczywiście być w niezgodzie z urzędową w danej chwili polityką Kościoła, zmuszoną rachować się z warunkami czasu i miejsca, ale nie przestaje pomimo tego być chrześcijańskiem«.

Ażeby załatwić się krótko z tem, co w powyższych słowach formalnym jest błędem, konstatujemy całkiem summarycznie, że w kwestyach doktrynalnych, o które tu chodzi, nie istnieje taka, lub inna polityka[1] Kościoła, zależna od warunków miejsca i czasu, że zwłaszcza z tą »polityką« doktrynalną nic nie może być w niezgodzie, coby znamię ducha Chrystusowego nosiło[2], że

---

[1] Inna jest kwestya, że niekiedy roztropność Kościoła wymaga, by potępienie błędu odwlec lub przyśpieszyć, w tej lub innej formie uskutecznić. Że w samą treść doktrynalnych orzeczeń polityka wchodzić nie może, stąd już wynika, że Kościół zawsze stanowczym swoim decyzyom naukowym absolutną i nieodmienną wartość przypisuje. »Dogmatum is sensus perpetuo et retinendus, quem semel declaravit Ecclesia«. L. c.

[2] Oczywiście, że Bóg nie opuszcza całkowicie ludzi poza Kościołem stojących, »że działa w świecie ten sam Bóg ludzkości, co działa w Kościele, jako Bóg objawienia«, ale działa tylko, by świat ratować od zguby przez Kościół, nie by Kościół wzbogacać dorobkiem myśli akatolickiej. Wszystkie bowiem skarby siły i światła nadprzyrodzonego złożył Bóg w Kościele, któremu przez apostołów, jak już mówił św. Ireneusz, a za nim cała tradycya »quasi in depositorium dives, plenissime contulit omnia quae sunt veritatis«. Migne: *P. G.* t. VII, col. 855, bo tylko apostołom i ich następcom obiecany jest Duch św., aby ich nauczył wszelkiej prawdy. Może więc być coś w duchu wieku, co nosi znamię ducha Chrystusowego, ale to coś zapożyczone jest od Kościoła, i w Kościele istnieć musi znacznie silniej i czyściej. Ogólnie zawsze jest prawdą, co mówił św. Augustyn: »De spiritu Christi non vivit nisi corpus Christi«. Migne: *P. L.* t. XXXV, col. 1612.

wreszcie do pełniejszego oświetlenia prawdy chrześcijańskiej s a m e j w s o b i e, n e g a t y w n i e tylko i z e w n ę t r z n i e dać może o k a z y ę, nie p o z y t y w n y przyczynek myśl akatolicka, poza Kościołem istniejąca [1].

To więc pominąwszy, przypatrzmy się tym »zdrowym i silnym pierwiastkom«, które w filozofii dzisiejszej prof. Zdziechowski upatruje.

W szeregu »mędrców, których przywykliśmy czcić, którzy uczciwą i nieraz pełną zaparcia się pracę życia poświęcili sumiennemu dążeniu do prawdy«, na pierwszem miejscu występuje rzecz prosta człowiek, który wywarł na myśl współczesną wpływ zupełnie przeważny — Emanuel Kant. »Zdrowem ziarnem jego myśli, ziarnem, które kiełkuje i przyczynia za dni naszych zwrot w teologii bardzo obiecujący«, ma być wedle prof. Zdziechowskiego »podniesienie pierwiastka moralnego w człowieku«. »Nie było myśliciela, któryby tak głęboko jak Kant był przejęty majestatem prawa moralnego«. »Willmann i inni Kanta nieprzyjaciele przeinaczają jego myśli, robią z jego systemu obrzydliwą karykaturę indywidualistycznego egoteizmu, gdy tymczasem Kantowski autonomizm był wejściem w głąb siebie, wydobyciem stamtąd głosu powinności, który jednakowo dźwięczy w każdem sumieniu, był bezwarunkowem, ascetycznem poddaniem się powinności«.

Cóż sądzić o tej gorącej apologii moralnego systemu Kanta? Nie ulega wątpliwości, że królewiecki myśliciel wielkie około etyki położył zasługi przez to, że wbrew antymoralnym zasadom ma-

[1] »Neque minori certe fallacia... isti divinae revelationis inimici, humanum progressum summis laudibus efferentes, in catholicam religionem temerario plane, et sacrilego ausu illum inducere vellent, perinde ac si ipsa religio non Dei sed hominum opus esset aut philosophicum aliquod inventum, quod humanis modis perfici queat. In istos tam misere delirantes percommode quidem cadit, quod Tertullianus sui temporis philosophis merito exprobrabat: »qui stoicum et platonicum christianismum protulerunt«. Et sane cum sanctissima nostra religio non ab humana ratione fuerit inventa... quisque facile intelligit religionem... ab humana ratione... perfici numquam posse«. Pius IX, enc.: *De fide et ratione* 9, XI, 1846. Mowa jest właśnie o myśli akatolickiej, bo że k a t o l i c k a myśl może pozytywnie rozwinąć, nie samo objawienie lecz jego zrozumienie, to naucza sob. Wat. ss. 3, cp. 4. Denzing. n. 1647 Por. n. 1496 i nast.

teryalizmu zaakcentował bardzo silnie i poważnie absolutność moralnego obowiązku. Byłoby to więc błędem niezaprzeczonym, gdyby filozofowie katoliccy na tym punkcie nie oddali mu sprawiedliwości i nie powitali go jako sprzymierzeńca w walce przeciw grubszym zboczeniom myśli etycznej. Tego błędu jednak filozofii katolickiej zarzucić nikt nie może, kto choć trochę jest obeznany z jej literaturą [1].

Jak wogóle idealizm Kanta, tak w szczególności etyczne jego zasady podnosi każdy, jako zwrot ku prawdzie i uznania godną reakcyę przeciw brudnemu epikureizmowi Diderot'a, Helvetius'a, Holbach'a, Lamettrie, Volney'a, Condillac'a i innych, przeciw rozmaitym odcieniom utylitaryzmu od Hobbes'a do Jeremiásza Bentham. Lecz z drugiej strony, stojąc na gruncie filozofii chrześcijańskiej, a trzymając się przytem zupełnie słusznej zasady prof. Zdziechowskiego, że »nie wolno jednostronnie patrzeć na jakąkolwiekbądź filozofię, nie wolno czepiać się jednego

[1] Przytaczamy na dowód kilka ustępów z dzieł tej właśnie szkoły, którą prof. Zdziechowski o niewłaściwy ekskluzywizm pomawia: »Wir verkennen keineswegs das Verdienst, welches Kant als einem scharfen Denker gebührt, der durch seine Analysen zur Schärfung der Begriffe vielfach anregte. Auch wollen wir die Redlichkeit seines Forschens nicht in Zweifel ziehen... Er behauptet das Sittengesetz mit allen seinen Privilegien, mit seiner unbedingt verpflichtenden Kraft nicht weniger als die Scholastiker es gethan«... Th. Meyer: *Die Grundsätze der Sittlichkeit und des Rechtes.* Freib. im Br. 1868. Str. 56. »Kantius consentit nobis — pisze ten sam autor w monumentalnem dziele: *Institutiones iuris naturalis* (Frib. B. I t. 1885, II t. 1900) — 1) asserens legem morum in natura rationali fundatam et naturaliter cognitam, universalem et perfecta vi obligandi praeditam... 2) agnoscens rationem humanam finitam esse et creatam. Nam Kantius neque atheismum neque pantheismum admittit... et sane legis rationis formam imperativam soli voluntati creatae accomodatam esse diserte dicit«... l. c. t. I, n. 254. »Was an der Moral Kants Anerkennung verdient ist die energische Betonung der Pflicht und der Nothwendigkeit der Pflicht oft alle irdischen Vortheile zum Opfer zu bringen... Damit hangen zwei andere Vorzüge der Kantschen Ethik zusammen... Kant betont mit Recht dass der wahre sittliche Werth des Menschen allein im guten Willen besteht... Kant ist bemüht den alles überragenden Werth des sittlich Guten zum Ausdruck zu bringen... Das ist ein wahrer und fruchtbarer Gedanke. ...Es verdient endlich hervorgehoben zu werden dass Kant die unumstössliche Giltigkeit der sittlichen Urtheile der gemeinen Menschenvernunft offen anerkannte«... V. Cathrein: *Moralphilosophie.* Freib. im B. 3 wyd. 1899, t. I,

tylko w niej punktu«, ale chcąc sąd o niej wydać, ogarnąć trzeba cały rzut myśli w systemie jakimś wcielonej — nie można powiedzieć inaczej, tylko, że prawo moralne u Kanta pojęte zostało w sposób równie antyfilozoficzny jak antychrześcijański.

Ponieważ filozofia ze swej natury jest poznaniem rzeczy w ich ostatnich przyczynach, systemom filozoficznym nie nadaje charakteru affirmacya, by też i najprawdziwszych f a k t ó w, w system wciągniętych, ale ten punkt jedynie, w którym łuki myśli zbiegają się i wiążą, jakby w sklepienie, w pojęcie ostatecznej p r z y c z y n y. Jak Hartmann, mimo że się trzyma chrześcijańskiej idei celowości w naturze i doskonale jej broni, nie przestaje być filozofem z gruntu antychrześcijańskim, ponieważ p r z y c z y n ę faktu celowości, nie w pozaświatowym Bogu zakłada, ale w niedorzecznej fikcyi *des Unbewussten,* tak Kant stokroć radykalniej, bo w punkcie daleko ważniejszym, z gruntu burzy etykę chrześcijańską i rozumową i objawioną, gdy do f a k t u istnienia

---

str. 214. »Es ist nicht zu leugnen — mówi T. Pesch o etyce na Kancie opartej — dass manche der modernen Moral- und Tugendvorschriften in ihrer Anwendung mit Vorschriften des Christentums zusammenfallen«. *Die moderne Wissenschaft betrachtet in ihrer Grundfeste.* Freib. im Br. 1876, str. 68. »Die ernste und nachdrückliche Hervorhebung des Pflichtgedankens ist anerkennenswerth und das Beste in der Kantschen Ethik«. v. Hertling: *Wetzer und Welte's Kirchenlexikon,* wyd. 2, t. VII, 1889, str. 88.

Żeby nie cytować wielu innych podobnych zdań, które przeszły i w katolickie podręczniki szkolne etyki (por. np. Cathrein: *Philosophia moralis* n. 159, wyd. II, Frib. B. 1895) i w popularną literaturę (por. np. *Magazin für volkstümliche Apologetik,* IV Jahrg. 20, I, 1905. *Katholisches aus Kant.* Dr. K. Weiss), wspomnieć jeszcze można Weiss'a i Willmann'a. »Der Forderung Kants — mówi pierwszy, który mimochodem zresztą o Kanta potrąca, a w wyczerpującą krytykę się nie wdaje — liegt eine Wahrheit zu Grunde... In richtiger Mässigung hat die christliche Schule dieselbe allezeit festgehalten. Est ist wirklich die erste Thätigkeit des Gewissens, die des Gesetzgebers«. *Apol.* t. I, str. 100, wyd. 2, 1888. Willmann powiada: »Kant erhebt sich über die englische Philosophie aber auch über die wolffsche. Mit der stärkeren Betonung der Freiheit tritt der Begriff... des Gesetzes weil bestimmter als in dieser hervor... Der kantische Tugendheld ist weit enfernt davon... in seinen Empfindungen zu schwelgen... er bewundert die Stimme der Pflicht in seinem Herzen...« *Geschichte des Idealismus* t. III, 1897, str. 382, 398. — Że po podobnych wyrażeniach muszą koniecznie następować znacznie dłuższe i dobitniejsze słowa nagany dla błędów etyki kantowskiej, to zaraz wykażemy.

etycznego obowiązku wiąże jako p r z y c z y n ę autonomię ludzkiego rozumu. »Majestat prawa moralnego«, który prof. Zdziechowski u Kanta podziwia, jest czczym frazesem tylko, jeżeli za niem nie stoi, nie jako »p o s t u l a t« i to luźnie przypięty [1], ale jako p r a w o d a w c a i P a n człowieka — Bóg majestatu. Kant tymczasem tak dalece Boga wyklucza ze sfery moralnego prawodawstwa, że według niego posłuszeństwo woli Bożej byłoby niemoralnem, nieetycznem, bo wprowadzałoby heteronomię istocie prawa moralnego przeciwną. Nie możemy się tu wdawać ani w teologiczną [2], ani w filozoficzną krytykę systemu moralnego Kanta, choć do tej ostatniej zaprasza całe mnóstwo słabych stron i formalnych sprzeczności, żeby już o błędnych założeniach nie wspominać, które ten system kryje w swem łonie [3]. Wystarczy

[1] Boga, wolność woli, nieśmiertelność duszy wprowadza Kant jako »postulaty« moralnego porządku. Ale prócz nicości dogmatycznej tych pojęć zasadniczych (Kant bowiem rozwiał je w mgłę w »Krytyce czystego rozumu«) »uderza jeszcze luźność ich nawiązania z całą teoryą etyczną Kanta. Na cóż bo doprawdy one tu przychodzą, kiedy cała konstrukcya tej etyki zbudowana jest i stoi niezależnie od nich? Prawo moralne nie pochodzi od Boga... obowiązek nie jest zawarunkowany ani Bogiem ani szczęściem. Słowem te wielkie postacie wchodzą w grę, nie z konieczności rzeczy, ale naciąganym sposobem... Za czasów Kanta ateizm jeszcze nie był w powietrzu, w duszy Kanta coś się domagało miejsca dla Boga, chociaż więc jego etyka tak samo, jak jego metafizyka obchodzi się logicznie bez Boga, szukał on jednak jak Boga do swego systemu nawiązać i nawiązał go jak się udało. Kant więc nie jest ateuszem, lecz etyka jego jest w gruncie rzeczy ateistyczną. Stąd też uczniowie Kanta mogli od razu i bez nielogiczności odciąć ten przydatek t. j. Boga, nieśmiertelność, wolną wolę i t. d. i została im w ręku czysto bezwyznaniowa kantowska etyka«. Ks. M. Morawski: »Podstawy etyki i prawa«. Kraków 1891, zesz. I, str. 81 i n.

[2] Por. Syllabusa prop. 56: »Morum leges divina haud egent sanctione minimeque opus est, ut humanae leges ad naturae ius conformentur aut obligandi vim a Deo accipiant«. Denzing l. c. n. 1604. Zresztą nie ulega żadnej wątpliwości, że system moralny Kanta tylko dlatego herezyą nazwany być nie może, że z samego gruntu zasady chrześciańskie obala. Nie wspominamy już wcale o zapatrywaniach Kanta na religię objawioną.

[3] 1) Sprzecznem jest w pojęciach, aby istota skończona i stworzona była sobie samej celem, »Zweck an sich«. 2) Sprzecznem jest, by rozum praktyczny wprowadzał jako postulat, co rozum spekulatywny rozwiał w transcendentalną illuzyę. 3) Sprzecznością jest absolutny obowiązek moralny tą samą wolą ludzką nałożony, która przeciw temu obowiązkowi się buntuje. 4) Niezgodnem jest z naturą ludzką działanie na czysto deontologicznych

powiedzieć, że »nie było myśliciela«, któryby tak radykalnie, jak Kant i z takimi pozorami naukowej metody[1], przyłożył rękę do zburzenia teokratycznego porządku w nauce i w życiu. Materyalizm wprawdzie dawno już, ale niezgrabnie i grubo stanął był u tego celu. Nie widział on innej drogi do wyłamania się z pod prawa Bożego, jak negacyę praw moralnych, bo do tego czasu były to dwa nierozdzielne pojęcia: prawo Boże i przyrodzony zakon etyczny. Kant wyzwolił myśl ludzką z pod tej alternatywy: albo Bogu się poddać, albo wraz z rozumem odrzucić moralny obowiązek, dał jej to, o czem dotąd marzyć nie śmiała, że nawet dobrą etycznie mogła się już poczuć bez Boga. Aż do Kanta, choć Boga kto odrzucił jako Stwórcę, jako pierwszą przyczynę, choć zdeptał jego prawo i bytu mu nawet zaprzeczył, nie mógł się pozbyć z głębi serca cichego lecz strasznego głosu sumienia, co poniżał jego dumę samowiedzą spodlenia moralnego przez nieposłuszeństwo Bożemu prawu. Kant dał mu możność upojenia się bez Boga, rzekomo wzniosłą, stoicką cnotą własną, zwalił ostatnią zaporę, co nie pozwalała człowiekowi całkowicie sobie samemu wystarczać, pozwolił mu nawet w świętym

motywach oparte. 5) Niemożliwem jest działanie moralne, jeżeli nie mamy prawa postawić sobie pytania: dlaczego tak działać? Już zaś u Kanta występuje kategoryczny imperatyw jako fakt, którego wyjaśnienie jest niemożliwe. »Wir begreifen zwar nicht die praktische unbedingte Nothwendigkeit des moralischen Imperativs, wir begreifen aber doch seine Unbegreiflichkeit«. Pomijamy mnóstwo innych możliwych zarzutów.

Nikt nie twierdzi, że sam kategoryczny imperatyw jest u Kanta »kaprysem lub anarchistyczną samowolą«, o ile w etycznym systemie Kanta pozostajemy. Ale przechodząc na pole porządku jurydycznego, prawnego, spotykamy się z zasadami, które ulubionego Kantowi autora *Contrat social,* w rewolucyjnym charakterze daleko zostawiają za sobą. Wiadomo powszechnie jak gorącą i stałą sympatyą obdarzał królewiecki myśliciel rewolucyę francuską.

[1] »Die Darstellung Kants ist trocken und pedantisch... eine täuschende Hülle für die exzessiven und grundstürzenden Gedanken, welche den Nerv seiner Philosophie bilden. Ansichten, denen die Form... einer revolutionären Streitschrift besser anstünde werden hier schulmässig steif und behaglich breit vorgetragen... das gellende Nein, der orgiastische Aufruf zur Selbstanbetung sind in ein langatmiges Musikstück mit altmodischen Trillern und Kadenzen auseinandergezogen. Es ist die Revolution mit Puder und Perrücke die uns hier entgegentritt«. Willmann l. c. str. 406.

przybytku sumienia usiąść na miejscu Bożem, *ita ut in templo Dei sedeat ostendens se tamquam sit Deus.* (2. Thess. 2, 4).

Kiedy prof Zdziechowski chce Kościół wzbogacać dorobkiem Kantowskiej myśli etycznej, żeby użyć słów jego własnych: »mimowoli ogarnia niepokój, wciska się ból, gdy się patrzy na objawy takiego zaślepienia, wśród tak niepospolitych umysłów«. Wciska się ból rzeczywisty i głęboki. Bo czy to jest prawdą, czy to ma choć pozór prawdy za sobą, że teologia katolicka nie miała dość uznania dla moralnego pierwiastka, dla prawa moralnego, wypisanego na ludzkiem sumieniu? Św. Tomasz rzeczywiście udowadnia istnienie Boga na innej drodze, bez porównania przejrzystszej i pewniejszej, niż ta, co wychodzi z poczucia obowiązku, ale raz wyprowadziwszy istnienie Boga i określiwszy stosunek jego do świata, zarysowuje porządek moralny w tak olbrzymich, a tak cudownie pięknych liniach [1], że wobec niego, system Kanta maleje i niknie, jak licha i arbitrarna konstrukcya umysłu ludzkiego, wobec dzieła mądrości i dobroci Bożej [2].

Nie, Kościół katolicki i jego teologia nie pójdzie w szkołę Kanta uczyć się od niego »majestatu prawa moralnego« i »uwewnętrznienia religii«, choćby w tem widział prof. Rudolf Eucken [3]

---

[1] Głównie *Summa theol.* 1, 2, q. 90—97. Myśli przewodnie a czasem i słowa zapożyczył św. Tomasz od drugiego umysłu, co wiekom całym zakreślił słoneczne drogi prawdy — od św. Augustyna. Por. np. Migne: *P. L.* t. XXXII, col. 1229, t. XLII, col. 418, 1052.

[2] Nie łudzimy się bynajmniej nadzieją, żeby te słowa miały jakiegoś przeciwnika scholastyki przekonać, bo dotąd nie znalazła niestety posłuchu mądra rada O. M. Morawskiego: »Zamiast rzucać na wiatr te wszystkie skargi, trzeba było przeczytać choć pierwszą kwestyę Summy teologicznej św. Tomasza. »Filozofia i jej zadanie« wyd. I, 1877, str. 220. O Blondel'u np., na którym głównie, jak się zdaje, znajomość scholastyki prof. Zdziechowski opiera, tak pisze poważny krytyk: »Was Blondel überhaupt von der Scholastik sagt, zeugt von einer wirklich naiven Unkenntniss der allersten Grundsätze jener Lehre, die er mit solcher Uberzeugung für eine Todte erklärt«. Chr. Pesch: *Alte und neue Apologetik.* Str. 112.

[3] Notabene pomijając to, co u Eucken'a jest błędne i mgliste mógł nawet prof. Zdziechowski nauczyć się od niego większego dla scholastyki uznania, wyrażonego w dziełku: *Die Philosophie des Thomas von Aquino und die Cultur der Neuzeit.* Halle 1886. Mimo, że ostateczny sąd wypada tam uje-

zadatek odrodzenia życia kościelnego. Że kilka płytkich umysłów francuskich, jak dało się usidlić protestanckiej, racyonalistycznej biblice, tak weszło nieostrożnie w siatki pajęcze filozofii Kanta, jest to rzecz smutna i już dziś płodna w zgubne dla duchowieństwa francuskiego owoce [1], nie jest to żaden »zwrot w teologii obiecujący wielkie i dobroczynne następstwa«. Leon XIII usilnie, choć niestety nie całkiem skutecznie starał się temu »zwrotowi« zapobiec.

Nous réprouvons de nouveau — pisał on 8 września 1899 roku w encyklice swojej do francuskiego kleru — ces doctrines, qui n'ont de la vraie philosophie que le nom, et qui, ébranlant la base même du savoir humain, conduisent logiquement au scepticisme universel et à l'irréligion. Ce nous est une profonde douleur d'apprendre que, depuis quelques années, des catholiques ont cru pouvoir se mettre à la remorque d'une philosophie, qui, sous le spécieux prétexte d'affranchir la raison humaine de toute idée préconçue et de toute illusion, lui dénie le droit de rien affirmer au delà de ses propres opérations, sacrifiant ainsi à un subjectivisme radical toutes les certitudes que la métaphysique traditionelle, consacrée par l'autorité des plus vigoureux esprits, donnait comme nécessaires et inébranlables fondements à la démonstration de l'éxistence de Dieu, de la spiritualité et de l'immortalité de l'âme, et de la réalité objective du monde extérieur. Il est profondément regrettable que ce scepticisme doctrinal, d'importation étrangère et d'origine protestante, ait pu être accueilli avec tant de faveur dans un pays justement célèbre par son amour pour la clarté des idées et pour celle du langage. Nous savons Vénérables Frères, à quel point vous partagez là-dessus Nos justes préoccupations et Nous comptons que vous redoublerez de sollicitude et de vigilance pour écarter de l'enseignement de vos séminaires cette fallacieuse et dangereuse philosophie, mettant plus que jamais en honneur les méthodes que Nous recommandions dans Notre encyclique précitée du 4 août 1879 [2]. *(Aeterni Patris).*

Żeby ocenić wartość »dogmatyzmu moralnego«, jednego z licznych poglądów teologicznych, ciągnących się *à la remorque*

---

mnie, nie brak dla filozofii św. Tomasza sprawiedliwych i spokojnych słów pochwały. I wogóle jako piękny rys duszy Eucken'a podnieść należy wielkie umiarkowanie w sądach i szerokość umysłowego horyzontu.

[1] Dokładniejszy pogląd na obecne kierunki teologiczne, filozoficzne i biblijne we Francyi wymagałby obszerniejszego studyum. Takie studyum rzuciłoby niewątpliwie sporo światła na głębsze przyczyny dzisiejszego stanu katolicyzmu w tym kraju.

[2] *Acta s. Sedis*, t. XXXII, str. 199 i n.

filozofii Kanta, wystarczy najzupełniej przeczytać z zastanowieniem następujące zdanie, którem prof. Zdziechowski za Laberthonnière'm istotę jego określa: »Dogmatyzm moralny... (jest to) wynik skojarzenia dwóch metod: krytycznej i ascetycznej. Krytycyzm to umiejętność rozróżniania między fenomenem a noumenem, mówiąc prościej, między zmiennem i znikomem zjawiskiem a wieczną istotą rzeczy; ascetyzm to pogoń za tem, co wieczne, to wyzwolenie się od świata zjawisk, od jarzma zmysłów, to odszukiwanie w swej wyzwolonej duszy obrazu Boga i zjednoczenie się z Nim«. Kto spokojnie rozważy, ile w tem krótkiem zdaniu kryje się błędnych, mglistych, nieokreślonych pojęć, bez trudności znajdzie odpowiedź na pytanie, »czemu w dogmatyzmie moralnym nie uznać uzupełnienia św. Tomasza« — ale mniej łatwo może wytłumaczyć sobie potrafi, jak prof. Zdziechowski ma odwagę *Essais de philosophie religieuse* polecać jako »drogocenną książkę, któraby powinna znaleźć się w ręku każdego, komu nie są obce zagadnienia religijne«.

Wreszcie, żeby już skończyć tych kilka uwag o filozofii Kanta, badając wpływ zasad jego moralnych na rozwój myśli religijnej XIX w., może prof. Zdziechowski znaleźć niejaką odpowiedź na pytanie, które zupełnie słusznie dotyka go boleśnie: jak to być może, żeby przeciw Kościołowi podnosić mogła »zarzuty moralne, nie tylko płytka, płaska, głupia, bezwyznaniowa gawiedź«, ale niemała liczba »ludzi głębszych i szukających prawdy«.

Tak jest istotnie. Podnosi przeciw Kościołowi cały szereg zarzutów moralnych, nie tylko »gawiedź« drugo- i trzeciorzędnych dziennikarzy, co jak roje much zlatują się w mgnieniu oka do każdego cuchnącego, prawdziwego lub zmyślonego f a k t u, byleby Kościół zohydzić błędami jednostek, lecz często dają się słyszeć i dość poważne głosy z a s a d n i c z o potępiające moralność katolicką. Mówią jedni, że Kościół zbyt silny kładzie nacisk na eudemonologiczne motywa etycznych czynów; mówią drudzy, że nauka kościelna na korzyść skoncentrowania życia katolickiego w posłuszeństwie dla władzy duchownej patrzy przez palce na wszystkie moralne upadki, byleby kto zewnętrzne formy posłu-

szeństwa zachowywał[1]; inni, a nie rzadko spotkać się z tem można u najlepszych zresztą katolików, widzą okazyę do demoralizacyi, do zmiękczenia charakteru w zbyt łatwem i częstem dopuszczaniu do sakramentów św. i mnożeniu zewnętrznych praktyk religijnych; inni wreszcie (świeżo odezwały się te głosy nawet w samym katolickim obozie) potępiają w zasadzie sam system moralny, którego się trzyma przeważna część katolickich teologów. »Mniej formalistyki, mniej biurokratyzmu, mniej zewnętrznych objawów; więcej ducha, więcej wewnętrznej pobożności, szczerej a silnej, dobrej woli« — tak się dadzą zreasumować wszystkie powyższe zarzuty, jeśli pominiemy różne, fałszywe, lub nawet przewrotne dodatki.

Gdyby tego tylko żądano od Kościoła, a niczego więcej, nie byłoby w tych zarzutach nic takiego, czegoby sam Kościół ustawicznie nie głosił i wiernym swoim i duchowieństwu. Bo życie Kościoła jest wieczną reformą w duchu, wiecznem dążeniem do cnoty i świętości, a to wszystko nie na literze, nie na formach i zewnętrznych praktykach polega, ale na nadprzyrodzonem odnowieniu ducha, obudzeniu szczerej, serdecznej, dobrej woli. Kościół się brzydzi, jak brzydzi się każdy prawy charakter, czyto sofistyczną kazuistyką sumienia, co liczy się i targuje z Bogiem, czyto zachowaniem form katolicyzmu bez jego ducha, czyto mnożeniem dewocyi zewnętrznych bez gruntownej odmiany serca. Kościół boleje nad tem, jeśli gdzieś płytka zewnętrzność górę wzięła nad duchem.

Zazwyczaj jednak jest w tych zarzutach coś więcej.

---

[1] Harnack charakteryzuje moralność katolicką jako: »die Befreiung der Moral von der Moral... im Namen der Moral«; o największym moraliście, którego Kościół doktorem ogłosił i na ołtarzach postawił, mówi bez ogródki: »Der vollendete ethische Skepticismus ist durch Liguori in der Moral aufgerichtet worden«. *Dogmengeschichte* tom III, wyd. 3, 1897, str. 673, 677. Podobnie w szkolnym podręczniku historyi dogmatów wyd. 3, 1898, str. 370. Ustawicznie czyta się podobne zdania po pismach protestanckich i liberalnych i pokrewnych duchem obozowi Döllingera: »Die katholische Ethik ist die möglichste Erleichterung der gewöhlichen sittlichen Pflichten zu Gunsten einer desto strengeren Verpflichtung der kirchlichen Anstalt gegenüber«. *Realencyklopädie f. prot. Theol. und Kirche* 3 wyd. 1901, t. X, str. 121 i passim.

U protestanckich pisarzy całkiem wyraźnie, u katolickich mniej jasno i świadomie snują się tu myśli na pniu tej potężnej rośliny zrodzone, która tysiącem splotów objęła i przerosła na wskróś umysły współczesne, a czerpie swe soki z »krytyki praktycznego rozumu«. Cnota? — owszem, stoiczna nawet, ale tylko przyrodzona; dobra wola? tak, ale na autonomii oparta; czysta moralność? tak, ale niezależna; kult Boga? tak, ale tylko w duchu, bez zewnętrznych objawów kultu; religijność? tak, ale bez rozumowego uzasadnienia na podstawie objektywnej prawdy; pobożność? ale bez poddania, czyto Bogu, czy tem mniej Kościołowi; uczciwe życie? ale bez żadnej pomocy, ani ze strony Boga przez objawienie i łaskę, ani ze strony Kościoła przez wszystkie instytucye ekonomii zbawienia. Otóż tego Kościół nie przyjmie i przyjąć nie może; podobne myśli tępić musi aż do ostatnich korzeni, bo tu gra rolę antychrześcijański z gruntu pierwiastek subjektywizmu, autonomizmu, rozkiełznanego indywidualizmu w religii, pierwiastek, co tworzy istotę samą t. z. reformacyi protestanckiej, wcielony i do zenitu doprowadzony u Kanta[1]. W jaki sposób, jak cudownie i całkowicie zawarował Bóg w Kościele szlachetny i czysty indywidualizm ludzkiej jednostki, o tem mówić będziemy na innem miejscu. Teraz z największym naciskiem powtórzyć tylko musimy, że chrześcijańska ekonomia zbawienia tak, jak przez Chrystusa założoną została, jest na wskroś objektywną, to znaczy, że w religijnych dążeniach czyni człowieka zupełnie zależnym od objektywnego Boga, jako celu, od objektywnego prawa i prawdy przez Boga objawionej, od objektywnej instytucyi Kościoła, co obejmując całego człowieka ze strony rozumu i woli prowadzi go, przerabia, przetwarza zapomocą łaski i światła nadprzyrodzonego, których źródła nigdy nie wysychające, biją w Kościele. Stąd musi Kościół głównie i w pierwszym rzędzie kłaść nacisk na złączenie, zespolenie ze sobą ludzkiej jednostki przez posłuszeństwo ro-

[1] Nie tylko katoliccy pisarze mieli to przeświadczenie, że »in E. Kant hat der Protestantismus sein Riesenkind geboren«, ale sami protestanci wielbią myśliciela z Królewca jako krew z krwi i kość z kości protestanckiego żywiołu. Por. np. Paulsen: *Philosophia militans.* 1901.

zumu i woli, bo tylko na tym gruncie istotę katolicyzmu tworzącym, rozwinąć się może normalnie roślina nadprzyrodzonego życia. Dlatego to Kościół nie może przebaczać żadnym usiłowaniom nadwątlenia tego zasadniczego stosunku do siebie, bo przez pobłażanie na tym punkcie pozwoliłby zburzyć to, co jest podwaliną całego budynku zbawienia [1]. Natomiast, jeżeli ten punkt szczerze, prawdziwie jest zachowany, może Kościół, i na wzór Chrystusa musi otworzyć szeroko serce miłości, przebaczenia dla błędów, wyrozumiałości pełne, co razić może jedynie ludzi, pod wpływem Kantowskiej teoryi stojących, o cnocie wzniosłej (teoretycznie przynajmniej) ale niezależnej. Tej cnoty nie chciał i nie chce ani Chrystus, ani Kościół. Choćby więc myśl akatolicka chełpiła się dumnie, że nawet na polu etyki potrafiła swoją świątynię ducha przystroić w ornamenta czystsze od stylu wielkiej świątyni Bożej, Kościół nie zmieni swego stanowiska, w wielkiem, codziennem dziele reformy moralnej, czyli uświęcenia, nie będzie się wspomagał zasadami czystej etyki przez Kanta stworzonej.

Każda reforma Kościoła, przedewszystkiem ta, o którą tu chodzi, reforma w życiu wewnętrznem, zaczynać się musi, jak pięknie mówił biskup Keppler [2] od wewnątrz, nie od zewnątrz, od głębszego wniknięcia w te pierwiastki światła i siły, które w łonie Kościoła zawsze sprawuje nieśmiertelny Duch świętości i prawdy. Do tego zmierza to dawne hasło, które na nowo podnosi Pius X *instaurare omnia in Christo.* Prof. Zdziechowski, któremu jak wszystkim katolikom zabiło serce radośnie na dźwięk tego hasła powinien był jednak zauważyć obok gorących słów

[1] Prof. Zdziechowski błędnie zarzuca katolickiej teologii, jakoby twierdziła optymizmem przejęta, że »niema poco płakać na ziemi, gdy Bóg powierza człowieka kapłanowi, aby go w każdej niedoli pocieszył, nauczył, podniósł i Kościołowi przez swe rządy, darzącemu świat szczęściem«. Nie Kościół jako Kościół, i nie kapłan jako kapłan dać może szczęście i zadatek szczęścia wiecznego, ale Bóg w Kościele i przez kapłana; ziemia zawsze jest i będzie »padołem płaczu«, bo padołem wyrobienia, zasługi w walce i pracy, bo Bóg tu się nie udziela tak, jak kiedyś udzieli się w niebie. Ale Bóg, który jest szczęściem zawsze i wszędzie jedynem, udziela się normalnie i w pełności tylko w Kościele i przez Kościół, stąd prawdziwe szczęście tylko w Kościele znaleźć można.

[2] *Wahre und falsche Reform.* Freib. im B. 1903, str. 7.

zagrzania do świętości i miłości i następujący ustęp również nieodłączny od wszystkich planów reformy kościelnej. »Starać się będziemy jaknajusilniej, by nikt z duchowieństwa nie popadł w sidła nowej a złudnej wiedzy, która nie ma woni Chrystusowej«; »pamiętni bowiem na nasz urząd apostolski, musimy zwalczać i potępiać nowe filozoficzne mniemania, które losy świata kierują na tory, prawem odwiecznem wzbronione [1]«.

Reszta »zdrowych ziarn« z myśli współczesnej wybranych, a przez prof. Zdziechowskiego zaleconych, przedstawia się mniej jasno. Czytamy tam jeszcze o utylizacyi »pozytywizmu«, lub nawet »pessymizmu« dla celów apologetycznych, czytamy, że nie było »nigdy i nigdzie człowieka, któregoby obrzydliwość grzechu takim nieskończonym wstrętem przejęła, któryby to oburzenie i przerażenie swoje z taką wymowną, wstrząsającą gwałtownością wyraził«, jak Lew Tołstoj; nie wiem wreszcie, czy »piękne« wyrażenie Secretana o zasadzie przyczynowości, w myśl autora także ma należeć do tej kategoryi.

Tu już odpowiemy krótko.

Wiadomo, że Bóg najróżniejszemi drogami pociąga dusze ku sobie. Pod wpływem łaski Bożej może i pessymizm, o ile oznacza pewien nastrój duszy, nie skonsolidowany system jakiegoś Schoppenhauer'a czy Hartmann'a, dopomóc do wprowadzenia człowieka na drogę Bożą. Owszem, pod wpływem tej samej łaski z nieba, może i błędne jakieś zdanie filozoficzne popchnąć umysł ku prawdzie, jak to n. p. miało miejsce z Brunetière'm, żeby innych przykładów nie wspominać. Stąd rozumny kapłan, mający do czynienia z jednym ściśle zdeterminowanym umysłem, może i powinien prowadzić go powoli ku światłu, prostując ku dobrym konkluzyom błędne sądy i niejasne pojęcia, dostrajając

---

[1] »Diligentissime providebimus ne homines sacri cleri ex insidiis capiantur novae cuiusdam ac fallacis scientiae, quae Christum non redolet«. *Acta s. Sedis* t. XXXVI, str. 135.

»Recentioris philosophiae, civilisque prudentiae decreta quibus hodie humanarum rerum cursus eo impellitur, quo legis aeternae praescripta non sinunt, ea Nos refellere et redarguere, memores apostolici officii debemus«. *Alloc. consist.* 9, XI, 1903. L. c. str. 197.

się do stanu duszy, działając na serce, aby przez serce z Bożą pomocą zdobyć powoli rozum. Ale żądać ogólnie, żeby apologetyka czy apologia katolicka, która z natury rzeczy do ogółu się zwraca i w sferze objektywnej prawdy przebywa, zapożyczała myśli od filozofii współczesnej, uczyła się jej mowy, dostrajała się do jej pojęć — albo jest czczym frazesem albo błędem. Nie chcąc zanegować samej siebie, nie może nauka katolicka wyrzec się ekskluzywizmu, co do tych filozoficznych i teologicznych podstaw, na których wznosi się cały jej gmach. Że do tych podstaw należy objektywność zasady przyczynowości, to żadnej wątpliwości nie ulega. W kwestyi tych podstaw nie istnieje przymierze, choćby się to wydać miało — dla jednych dumnym absolutyzmem, dla drugich obskurantyzmem średniowiecznym.

Poza tą sferą, jeżeli nauka katolicka napotka w myśl współczesnej nowe jakieś prądy, zwiastujące zwrot ku religii prawdziwej, wita je z radością, nie jako wskazówki i nabytki dla siebie, ale jako zadatek lepszej przyszłości dla świata. W ten sposób, może aż zanadto optymistycznie, zapatrywał się n. p. Ks. M. Morawski na działalność Lwa Tołstoja, lub inne, temu podobne objawy. Jeżeli wiedza współczesna porobi nowe a rzeczywiste zdobycze na polu nauk historycznych i przyrodniczych, chętnie idą katoliccy uczeni w szkołę tych samych ludzi, których na innym terenie zwalczają, bo mają najmocniejsze przekonanie, że prawda dopomoże zwycięstwu prawdy. Ale na polu filozofii i związanej z nią religii objawionej, lubo konstatuje z radością, że myśl współczesna głęboko i szeroko przeorała niwę ludzkiej wiedzy, na której tem bujniej wznieść się może posiew *philosophiae perennis* nie może nauka katolicka dzisiejszego swego stanowiska opuścić. Główne linie filozofii chrześcijańskiej wytyczają tę drogę do objawionej prawdy, na którą wzywał świat Leon XIII i zawsze wzywa Kościół. »Redeant, nihil enim nobis optatius, redeant universi, non alio tamen itinere, quam quod Christus ipse monstravit«.

(Dok. nast.).

Ks. J. Rostworowski.

WAGNERYANIZM I WAGNERZYŚCI.

Mówi się dużo za dni naszych o upadku wiary, o przewadze nad nią rozumu krytycznego. Wszelako wobec niektórych objawów współczesnego życia duchowego możnaby też coś powiedzieć o nadmiarze bezkrytycznej wiary, o niedostatku trzeźwej, racyonalnej krytyki,

Pierwszy objaw widzimy zazwyczaj w dziedzinie spraw nadziemskich, boskich — drugi występuje na czysto ziemskich poziomach w sprawach ludzkich, jakby powiedział Nietzsche. W miarę, jak słabnie wiara w Boga, wzmaga się wiara w człowieka, wzmaga się ze wzrastającą wciąż w epoce nowożytnej szybkością, w coraz liczniejszych i coraz jaskrawszych swych objawach.

Dowodem rosnąca wciąż ilość nazw, utworzonych od imion znakomitych ludzi, a służących do oznaczenia różnych kierunków życia duchowego, które oni pobudzili. W początkach epoki nowożytnej, za czasów reformacyi były to nazwy chrześcijańskich sekt religijnych, jak luteranizm, kalwinizm. Później w XVIII w. zapanował wszechwładnie wolteryanizm, występujący pod postacią rozległego systematu filozoficzno-przeczącej myśli, przeciwko chrześcijaństwu zwróconej. Później, jeszcze w ciągu wieku XIX, jak grzyby po deszczu poczęły się pojawiać przeróżne izmy z wielkich, a czasem tylko z rozgłośnych imion powstałe, a ogarniające coraz ciaśniejsze, coraz bardziej wyłączne sfery dążeń ludzkich. Takim jest n. p. saint-simonizm, fourieryzm w sferze gospodarczo-

społecznej, darwinizm w dziedzinie nauk przyrodniczych, wreszcie nowszymi czasy wagneryanizm w dziedzinie artystycznej.

Czy przedstawiciele tych kierunków saintsimoniści, darwiniści, wagnerzyści są to gorliwi ich badacze, lub choćby entuzyastyczni wielbiciele? Nie, zaiste. — Zachodzi tu ściślejszy stosunek, na wierze bezkrytycznej oparty, oznaczający nieomal religijno-sekciarską przynależność do danego kierunku. Można znać gruntownie i uznawać w całej rozciągłości olbrzymie zasługi Darwina w naukach przyrodniczych, a nie być wcale darwinistą. Można wielbić w Wagnerze jednego z największych geniuszów sztuki współczesnej, a nie być przez to wagnerzystą. Owszem, ludzie, noszący te i tym podobne miana, nie odznaczają się zazwyczaj dokładną znajomością dzieł i dążeń swych mistrzów. Właśnie brak znajomości rzeczy staje się tu powodem sekciarskiej zaciekłości w propagandzie pewnych idei poza przyrodzoną ich sferą, pewnych doktryn wątpliwej wartości, pewnych zadań o nader utopijnym charakterze.

Sekciarze przeróżnych i z m ó w nowoczesnych nie odróżniają w nich zdrowego ziarna jakiejś wielkiej, genialnej myśli twórczej od plewy marzeń jałowych i kąkolu fałszywych doktryn, biorą wszystko bez braku, co od mistrzów pochodzi, a uzupełniając nieraz te nabytki swemi przywidzeniami, rozszerzają je na cały obszar własnego życia i jako bezwzględne zasady życiowe usiłują je narzucać innym ludziom w tych dziedzinach nawet, którym one zupełnie powinnyby być obce. I tak darwinista nie popoprzestanie na badaniu i poznaniu teoryi rozwoju. Często nawet naukowa jej strona mało go obchodzi, ale za to zastosowania jej praktyczno-życiowe niezmiernie go zajmują, służą mu za podstawę nowego światopoglądu, nowej religii ateistycznej i nowej materyalistycznej moralności. Podobnie sfanatyzowany wagnerzysta często nic zgoła, albo nie wiele ma do czynienia we właściwej muzykalno-artystycznej sferze mistrza, w której brak mu odpowiednich uzdolnień, wiedzy i wrażliwości, ale za to poza obrębem tej sfery, w dziedzinie mglistych idei, bałamutnych doktryn i nieokreślonych aspiracyi, czuje się w swoim żywiole i buduje sobie tam różne świątynie i świątyńki, w których jako kapłan nowego

kultu w gronie swych współwyznawców składa hołdy uwielbionemu bożyszczu.

Tak jest. Epoka nasza coraz bardziej wyrzekając się Boga, tem skłonniejszą okazuje się do tworzenia sobie b o g ó w i tworzy ich z ludzi, w których wierzy jako w rzeczników i zwiastunów jakichś bezwzględnych prawd życiowych. Jest to jeden ze znamiennych bardzo objawów zwyrodnienia uczuć religijnych, które niezniszczalne w swej istocie, aż nadto często pod działaniem otaczającej atmosfery społeczno-kulturalnej podlegają różnym chorobliwym zboczeniom.

Jedno z nich, ujawniające się w kulcie genialnego mistrza i reformatora sztuki współczesnej, postaram się tu pokrótce zarysować w charakterystycznem jego znaczeniu dla życia i rozwoju duchowego naszej epoki.

Nazwę wagnerzystów rozciągają czasem zupełnie niewłaściwie na wszystkich wogóle wielbicieli genialnego muzyka dramaturga. Gdyby to było słuszne, należałoby podobne nazwy utworzyć od imion wielu znamienitych twórców, którzy nie mniej od Wagnera wzbudzali zachwytów. Mielibyśmy wtedy dantystów, szekspirzystów, getystów, miekiewiczystów i t. p. Dlaczego nikomu do głowy nie przyjdzie posługiwać się takiemi nazwami? Niekiedy wprawdzie zowią dantystą badacza i znawcę bogatej literatury dantejskiej, a szopenistą lub beethowenistą doskonałego wykonawcę odnośnych mistrzów. Ale to zupełnie co innego.

Tutaj mowa o zagłębieniu się w samą istotę twórczości geniuszów — tam (u wagnerzystów i podobnych im sekciarzy sztuki lub wiedzy) widzimy oszołomienie jakąś doktryną, ubocznie tylko z genialnych natchnień twórczych wysnutą. To też nie ma wcale dantyzmu, ani szopenizmu, ani beethowenizmu, a jest wagneryanizm, czyli system idei, pojęć i dążeń doktrynerskich, w które jak w ewangelię wierzą zacietrzewieni wagnerzyści. Stopień zacietrzewienia w tej wierze różny bardzo być może, różny też bywa stopień jej szczerości, różne bywają pobudki, które dusze i serca ludzkie ku niej zwracają. Czasem wynika ona z bardzo szlachetnych, jednostronnie wybujałych porywów, czasem z mglisto-ma-

rzycielskich aspiracyi, a często też z oszołomienia szumnemi hasłami, z prostego pędu owczego, z mody, ze skłonności naśladowczej.

Pierwszą przyczyną tego rozgłośnego kierunku artystycznego, biorącego swe miano, treść swoją i cały swój charakter od genialnej osobistości mistrza bayreuckiego, jest nietylko siła i wielkość, ale także bezprzykładna pono w dziejach sztuki odrębność tej przepotężnej, a tak wielostronnej indywidualności twórczej.

Któż nie wie, że Ryszard Wagner był zarazem wielkim muzykiem i poetą dramatycznym, niezrównanym organizatorem i kierownikiem instytucyi teatru, oraz śmiałym a głębokomyślnym jej reformatorem. Nie każdemu wszakże jasno się przedstawia wzajemny stosunek tych różnych sfer działalności mistrza, a szczególnie stosunek reformatorskich jego dążeń do całej jego indywidualności twórczej. Istnieją w tym względzie bardzo różne, często wprost sobie przeciwne, a zarówno fałszywe wyobrażenia.

Fanatyczni wagnerzyści skłonni są uznawać w mistrzu nieomal wysłańca stref nadziemskich, przybywającego do nas z wyższą misyą, nieomal Zbawcę *(der Erlöser)* — jak się ośmielają nazywać, mającego przez sztukę podnieść i wybawić popadłą w zwyrodnienie ludzkość współczesną. Niemniej fanatyczni w swych uprzedzeniach antywagnerzyści wpadają w wprost przeciwną ostateczność: jednego z największych i najszczerszych geniuszów sztuki wszechświatowej, poczytują nieomal za szarlatana na wielką skalę, który powodowany wygórowaną ambicyą osobistą, niezadawalając się laurami wielostronnego artysty-twórcy, sięgał zuchwale po aureolę reformatora ludzkości.

Jakże dalekie są od prawdy te dwie krańcowe opinie! Jeśli Wagner nie był naprawdę jakimś zbawcą w swoich reformatorskich na polu sztuki dążeniach, to z drugiej strony pewnem jest, iż powodował się w nich nierównie głębszymi i szlachetniejszymi pobudkami, aniżeli ambitna chęć własnego wyniesienia się, własnej apoteozy. Pobudki te przychodziły wogóle nie z zewnątrz, z jakichśkolwiek postronnych wpływów, lecz z wewnętrznej istoty artysty, z odrębnej, a tak niezwykłej jego indywidualności twórczej.

Urodzony muzyk i poeta-dramaturg, a przytem człowiek i wielkiego serca, żyjący pełnem życiem swej epoki, odczuwający wszelkie jej pragnienia, wstrząsany wszelkimi jej prądami — jakżeż miał on wypowiedzieć się w sztuce, odtworzyć w niej cały nawał dążących do wszechstronnego ujawnienia uczuć, pragnień, idei?

Zrazu sądził, że w operze znajdzie odpowiedni po temu organ. Ale czyż opera mogła się stać naprawdę rzeczniczką jakichś jednolitych i poważnych dążeń twórczych?

To też nawet zdrowego sensu nikt w niej nie szukał — cóż dopiero mówić o idei, uczuciu, o szlachetniejszych dążeniach myśli, o wyższych serca porywach. Jakież musiało być zdumienie, skoro naraz zjawił się poeta-muzyk, który formy operowe począł wypełniać przebogatą treścią swej duszy. A jak ciasno, jak nieswojsko było w tych formach jego natchnieniom twórczym! Potrzebowały one szerszych przestworów sztuki, czystszego, swobodniejszego powietrza. Pragnąc zdobyć dla nich te warunki, powodowany nieprzepartym zapędem samoistnej swej twórczości, rozerwał artysta ustalone oddawna granice twórczości dramatyczno-muzycznej i poza ich obrębem jął tworzyć swe dramaty, które, prócz najbardziej elementarnych swych materyałów: tonu, słowa, ruchu i obrazu scenicznego z dawną operą nic zgoła nie miały wspólnego.

Ale na tej nowej drodze artysta-reformator potrzebował poparcia moralnego i materyalnego. Sztuka jego zakwitnąć mogła jedynie wobec licznej, życzliwie dla niej usposobionej publiczności, a sceniczna jej realizacya ogromuych wymagała kosztów. Ongi przed laty artyści korzystali z poparcia monarchów i wielkich panów, w zamian za co musieli im palić kadzidła w swych dziełach. W naszej epoce przemysłowo-handlowej wytwórczość artystyczna, jak wszelke inna reguluje się przeważnie stosunkiem podaży do popytu. Artysta, o ile powodzenie tylko ma na widoku, dostarcza swego towaru na publiczny rynek sztuki i tem większem cieszy się powodzeniem, im lepiej chce i umie przystosować się do panujących na nim zapotrzebowań.

Wagner w swych zapędach reformatorskich nie myślał ko-

rzystać ani z pierwszej, ani z drugiej formy poparcia zewnętrznego. Pragnął on je osiągnąć wraz z uznaniem szerszego ogółu za pośrednictwem czynnika czysto moralnego, który dotąd. nigdy w podobny sposób nie był stosowany; — za pośrednictwem szczeroludzkiej miłości, łączącej serca w dążeniu do wspólnego ideału. Sądził, że skoro w jej imieniu, w sprawie wielkiego zadania kulturalnego, jako człowiek do ludzi z pełni duszy i serca przez twórczość swą przemówi — znajdzie odgłos w ich sercach i tłumy za sobą pociągnie.

Jakie szczególne złudzenie! Można powiedzieć, jaka dzika pretensya! Przecież miłość w realnym swym objawie dobra jest wtedy tylko, gdy łączy się z używaniem zmysłowem, lub gdy w gronie rodzinnem pozwala ludziom przytulić się do siebie, aby im wszystkim było cieplej. Ale miłość na szerokich przestworach dążeń wszechludzkich, miłość jako harmonia wyższego ludzkiego życia — ta dobra jest w teoryi, w słowach, na papierze, mówić o niej można i trzeba nawet jaknajwięcej, jaknajgoręcej — ale budować na niej w życiu, ale posługiwać się nią, jako realnym czynnikiem życiowym: — toż najutopijniejsza z utopii!

A jednak Wagner na takiej podstawie chciał wznieść olbrzymi gmach swej sztuki. Co za dziw, że doznał zawodu. Co za dziw, że uznany został przez jednych za niepraktycznego marzyciela, przez innych za ambitnego szarlatana. Całe jego dzieło reformatorskie zawisło w powietrzu, wszystkie jego wysiłki w sprawie tego dzieła podjęte, zdawały się iść na marne.

Ale w przyrodzie nic nie ginie. I w sferze ducha prawo to się iści. Szczere uczucia ludzkie nie przepadają zupełnie bez śladu: zawsze gdzieś, jakiś, bodaj najsłabszy znajdują odgłos. Znalazły go też z idei szczero-ludzkiej, poczęte i ku ideałowi sztuki zwrócone uczucia Wagnera: — znalazły w sercach kilku czy kilkunastu blizkich mu duchem artystów i myślicieli, jak Liszt, Bülow, Nietzsche, którzy z całą gorliwością, niekiedy z zaparciem się siebie, reformatorskie jego dążenia jęli popierać.

A była to właśnie chwila, w której jakiekolwiek z zewnątrz poparcie stanowiło poprostu kwestyę życia i śmierci dla idei wagnerowskiej. Po dotkliwych niepowodzeniach w pierwotnych do

realizacyi jej dążnościach, przekonał się mistrz, że wśród istniejących stosunków artystycznych, urzeczywistnić jej niepodobna. Te stosunki zaś uznał za wynik całego układu politycznego danej epoki, wykluczającego możliwość wszelkich szerszych, szczeroludzkich prądów życiowych. Skoro przeto w r. 1848 zmurszały ten układ zdawał się zagrożony przez świeże powiewy i gromy rewolucyjne słynnej »wiosny ludów« — porwany został Wagner urokiem powszechnej nadziei wiosennej, stanął po stronie rewolucyi, wziął udział w rozruchach drezdeńskich, a po rychłem nad nimi zwycięstwie reakcyi, zmuszony został z kraju uchodzić i przez dziesięć lat jako wygnaniec polityczny na ziemi szwajcarskiej musiał przemieszkiwać.

Przez cały ten czas, pozbawiony bezpośredniej styczności z ojczyzną, z jej życiem społecznem, kulturalnem i artystycznem, nie mógł myśleć nawet o realizacyi swej idei; wszelka możność po temu raz na zawsze zdawała się przed nim zamknięta. Wobec wynikającego stąd przygnębienia tylko moralne (a niekiedy materyalne) poparcie wiernych przyjaciół ratowało go od zupełnego upadku ducha i w sercu jego lepszą budziło otuchę.

Ci przyjaciele byli to pierwsi wagnerzyści, jeśli tę nazwę weźmiemy w wyjątkowem jej znaczeniu, określającem wniknięcie nie w doktrynę, lecz w samą istotę twóczości mistrza. Niebawem wszakże pojawili się wagnerzyści innego, bardziej rozpowszechnionego, a mniej szlachetnego typu, który powstał i rozwinął się na gruncie doktryny wagneryanizmu, będący płodem różnych nader niekorzystnych warunków działalności mistrza. W tejże samej epoce wygnania, uległa ta działalność doniosłej zmianie, a raczej rozdwojeniu. Artysta-twórca stał się rozumującym estetykiem i idee, które poprzednio odtwarzał w swych dziełach muzyczno-dramatycznych, usiłował teraz rozwinąć w teoretycznych swych pismach. Był to wynik istniejącego położenia. Na skutek wewnętrznego swego rozwoju nie mógł już teraz Wagner wcielać swych pomysłów twórczych w formy operowe, a otaczające warunki wykluczały wszelką możność dramatu muzycznego, zdolnego jedynie pomysły te w pełni wyrazić. Stąd konieczność propagandy teoretycznej, mającej wyjaśnić istotne zadania artysty-

reformatora, oraz przygotować grunt pod przyszłą ich w dziedzinie sztuki realizacyę.

Tutaj wszakże ujawniło się ujemnymi swymi skutkami zasadnicze przeciwieństwo tej dwoistej, twórczej i teoretyczno-agitatorskiej działalności. Wagner niewątpliwie głębokim był myślicielem, ale myślicielem-artystą. Kreacye swoje napełniał zawsze bogatą treścią ideową dążenia swe rozwijał na tle rozległej, głęboko ujętej i logicznie przeprowadzonej idei, ale w tych i tamtych silny był nie rozumowaniem oderwanem, lecz bezwiedną intuicyą twórczą. Z niej wysnuł zasadniczy pomysł swego dramatu muzycznego, z niej brał pobudkę do wszystkich swych reformatorskich na polu sztuki zapędów. Reforma sztuki dramatycznej była dla niego nie teoretycznem lub czysto praktycznem zagadnieniem. Jak dalece szedł on drogą praktyki i niepowodował się z góry powziętą teoretyczną doktryną, dowodem daremne jego wysiłki, mające na celu przystowanie do swej twórczości form operowych. Dopiero nieprzeparta konieczność zmusiła go do tworzenia nowszych form dramatu muzycznego, nieodzownych dla bogatej treści jego natchnień. Ale wtedy właśnie odjęta mu została wszelka możność, a nawet wszelka nadzieja rzeczywistego ich w dziedzinie sztuki teatralnej uprzedmiotowienia. Zmuszony do milczenia jako twórca, począł przemawiać jako myśliciel, począł w teoryi snuć idee, których w praktyce, z powodu przeszkód zewnętrznych, nie mógł zrealizować. W teoryi owej rozwinęła się stopniowo doktryna wagneryanizmu, zawierająca obok wielkich prawd, będących odbiciem wewnętrznego życia artysty, wielkie złudzenia i błędy, powstałe z przywidzeń marzyciela.

Nie mam tu oczywiście miejsca na wyczerpującą jej charakterystykę. Poprzestać muszę na bardzo ogólnym zarysie. Zaznaczam naprzód, że oprócz nader wygórowanych, czasem niemożliwych zgoła postulatów, »sztuki przyszłości«, zawiera owa doktryna mnóstwo pojęć, wyobrażeń, mniemań i poglądów, w których najrozmaitsze i najzawilsze zagadnienia życiowe z niezmierną podejmowane są śmiałością i rozwiązywane w nader wątpliwych hypotezach, podawanych nieraz przez samego mistrza, a częściej

jeszcze przez sfanatyzowanych jego wielbicieli za niewzruszone pewniki.

W estetycznej swej teoryi mówi Wagner o zjednoczeniu przyszłem wszystkich sztuk pięknych na gruncie doskonałego dramatu. Nie tylko muzyka i poezya, lecz także taniec, jako ruch rytmiczny działających osób, rzeźba i malarstwo w obrazach scenicznych, budownictwo w pomnikowych gmachach teatralnych mają iść całkowicie w służbę owej idealnej dramaturgii przyszłości. Jakkolwiek wyraźnie nie jest to powiedziane, z wielu jednak poglądów mistrza wnosić należy, że poza obrębem sztuki dramatycznej, żadnej innej samoistnej sztuki w przyszłym rozwoju artystycznym nie dopuszcza. Wszelkie dotychczasowe ujemne strony tego rozwoju mają być skutkiem rozdziału poszczególnych gałęzi; złączenie ich jaknajściślejsze jest najpierwszym warunkiem przyszłego odrodzenia.

Nie mniej krańcowe i bezwzględne są teorye Wagnera, dotyczące artystów przyszłości. Mają oni jednoczyć się dla wykonania wspólnymi siłami zamierzonego dzieła sztuki na gruncie czystej, szczero-ludzkiej miłości. Ludzie różnorodnych uzdolnień twórczych czy wykonawczych: poeci, muzycy, aktorzy, rzeźbiarze, malarze, architekci z poświęceniem swych ambicyi i widoków osobistych, nawet swych odrębnych indywidualności mają się całkiem podporządkować wspólnemu dziełu. Wogóle zniknie wszelka różnica uzdolnień i umiejętności zawodowych w dziedzinie sztuki. Każdy człowiek pełen umiłowania dla jakiejś wyższej treści życiowej, stanie się artystą. Przez to umiłowanie zbudzi się w nim geniusz twórczy, geniusz przyswajania i odtwarzania owej treści w doskonałym czynie sztuki, przy współudziale innych ludzi, których serca w jednem solidarnem gronie artystycznem, współczującem uderzać będą tętnem. Kto najlepiej umiłuje, ten najdoskonalej będzie tworzył, oraz najliczniejsze i najdzielniejsze skupi dokoła siebie grono współtwórców. Jednem słowem twórczość będzie udziałem nie artystów zawodowych, lecz całego ogółu ludzkiego, całego ludu, który ujawnioną przez miłość wyższą treść swego życia duchowego w sztuce zjednoczy i znajdzie w niej ujście dla wszystkich poruszeń wewnętrznych swego jestestwa.

Piękna i wzniosła jest ta wagnerowska teorya »przyszłego dzieła sztuki« *(des Kunstwerks der Zukunft)* ale czyż nie jest ona li tylko pięknem marzeniem głębokomyślnego i wzniośle czującego artysty? — czyż znajdzie jakąkolwiek podstawę, nie mówię o obecnej, lecz i we wszelkiej możliwej, znanej nam z dziejów, rzeczywistości artystycznej?

Niemniej a może bardziej jeszcze bezpodstawne i marzycielskie są rozwinięte w związku z nią przeróżne teorye społeczne, polityczne, religijne, fizyologiczne, antropologiczne, ogólno-filozoficzne. We wszystkich znaleźć można dużo głębokich myśli, bystrych spostrzeżeń, wspaniałych uogólnień, ale w całości niepodobna im przyznać wyższego znaczenia. Wszędzie znać genialnego artystę, który zawsze prawdziwie odczuwa i odtwarza życie, ale zazwyczaj fałszywie o niem rozumuje. Zresztą nie u jednego Wagnera to widzimy. Wspomnijmy pewne poglądy Mickiewicza, pełne takich prawd głębokich i natchnionych i takich marzycielskich przywidzeń.

Tak wygląda w najgrubszym zarysie doktryna wagneryanizmu, która licznych w Niemczech a częściowo i poza ich obrębem znalazła apostołów i wyznawców. Ci, co nie zawsze zdolni byli wniknąć w artystyczną twórczość mistrza, tem gorliwiej przejmowali się jego teoryami, do przyswojenia których nie trzeba było żadnych szczególnych uzdolnień muzycznych ani poetyckich, nie każdemu danych. A tyle w owych teoryach było rzeczy nowych, niezwykłych, nadzwyczajnych, tyle one dostarczały karmi rozmarzonej wyobraźni, zatapiającej się w sobie myśli, rozczulającemu się nad sobą samym uczuciu. Były to zaś czasy, gdy w Niemczech wszystkie młode dziewice, zanim stały się praktycznemi gospodyniami, obowiązkowo przez czas pewien marzyć musiały, a wszyscy młodzi i starzy obywatele, o ile nie byli pochłonięci przez swe praktyczne interesy, rozmyślali chętnie o rzeczach wiecznych, wzniosłych i mglistych. Co za dziw, że owe marzące i myślące Niemcy porwane zostały przez genialnego artystę-myśliciela, który otwierał przed nimi takie rozległe przestwory wyobraźni, takie bezdenne otchłanie idei zalane nieprzejrzanemi mgłami metafizyki. Co za dziw, że poszli za nim ci

wszyscy, co sami ani marzyć ani myśleć samodzielnie nie zdolni, chętnie przybierają postawę marzycieli i myślicieli, skoro po temu odpowiednie znajdą wzory.

Z takich to żywiołów powstały zastępy wagnerzystów, które niebawem, w określonym tutaj na wstępie duchu epoki, zapominającej o Bogu, a skłonnej ubóstwiać człowieka, przybrały jakby charakter sekty religijnej i poczęły wznosić mistrzowi liczne ołtarze czci bezwzględnej. Kult ten wzmógł się do najwyższego stopnia, skoro mistrz z niezłomną energią i z genialnem w sobie zaufaniem, idąc za swą ideą nie tylko w myśli lecz i w czynie, zdołał dla swej sztuki wznieść w Bayreuth wspaniałą świątynię. Warunki zewnętrzne, wśród których dokonane zostało to wielkie dzieło Wagnera ułatwiły rozpowszechnienie się i utrwalenie wagneryanizmu. Potrzebując olbrzymich środków na budowę swego teatru, zwrócił się mistrz z wezwaniem o poparcie materyalne do narodu niemieckiego. Wierny zawsze swej idei chciał, aby zamierzona przezeń instytucya artystyczna była dziełem wspólnych uczuć nie wspólnego interesu, aby stworzył ją w duchu szczeroludzkiej miłości naród niemiecki dla całego człowieczeństwa.

To też odrzucił wielokrotnie ofiarowaną sobie pomoc spekulantów, którzy w dziele bayreuckiem zwietrzyli dobry interes, i walcząc z niezmiernemi trudnościami, ze składek publicznych i ofiar prywatnych przy poparciu króla bawarskiego Ludwika II budowę swego teatru w r. 1875 pomyślnie zakończył i byt jego utrwalił.

W owych to czasach w widokach materyalnego i moralnego popierania wielkiego przedsiębiorstwa poczęły się tworzyć w różnych miastach niemieckich towarzystwa wagnerowskie, które stały się głównemi ogniskami wagneryanizmu. W samem założeniu tych związków leżała zasada jak najgorliwszej propagandy idei mistrza, a sposób, w jaki wywiązywały się z tego zadania uwarunkowany był przez panujący w nich nastrój charakterystyczny. Na wytworzenie go złożyły się dwa różne uzupełniające się nawzajem czynniki: bezpośredni czy pośredni wpływ mistrza oraz usposobienie tych żywiołów społecznych, z pośród których rekrutowali się uczestnicy związków. Wagner żądał od swych zwolenników nie tylko

zrozumienia dla swych dążeń artystycznych i dla dzieł z nich powstałych, ale także miłości dla swej osoby, entuzyazmu dla ideału sztuki przyszłości, do którego tak wytrwale dążył. Domagał się tych uczuć, bo wierzył, w duchu określonej powyżej swej idei, że tylko przy ich współdziałaniu dzieło jego będzie mogło być dokonane, zadanie jego życia spełnione.

Pod hasłem tych postulatów mistrza powstawały i działały związki jego zwolenników i odpowiedni nastrój uczuciowy w nich się rozwijał. Cała ta organizacya wagneryanizmu, ogarniająca siecią mniejszych i większych związków wszystkie kraje niemieckie, a w Bayreuth mająca swoje główne ognisko, miała stanowić niejako przygotowanie tego powszechnego zjednoczenia serc ludzkich w sztuce, które Wagner poczytywał za nieodzowny warunek przyszłej realizacyi jej ideału najwyższego.

Wśród uczestników stowarzyszeń wagnerowskich nie brakło chęci i zapału do postępowania we wskazanym przez mistrza kierunku, do wzniesienia się ku jego wyżynom, ale, niestety, brakło odpowiednich po temu warunków w usposobieniach i uzdolnieniach ludzkich. Wystąpiły tu żywioły przeważnie bardzo nieartystyczne, pozbawione dobrego gustu i wyższej kultury estetycznej. Pamiętajmy, że działalność Wagnera przypadała głównie na czasy ogólnego i bezprzykładnego obniżenia tej kultury w Europie, na czasy panowania prądów realizmu i naturalizmu, które z brutalnem zuchwalstwem zwalczały wszelkie aspiracye wyższe w sztuce, a nawet kwestyonowały samodzielny jej byt poza obrębem czysto-utylitarnych zadań życiowych. Ogół inteligencyi mieszczańskiej, z której głównie rekrutowały się zastępy wagnerzystów, nie mógł się wznosić wysoko ponad przeciętnym nader nizkim poziomem artyzmu współczesnego, to też i w obrębie związków wagnerowskich artyzm prawdziwy nie kwitnął wcale, ludzie dobrego gustu stronili od nich, rej w nich wiedli ludzie, którzy o sztuce takie mieli pojęcie, jak wilk o astronomii. Teoretycznych o niej wiadomości nie brakło wprawdzie nieraz tym kapłanom wagneryanizmu, ale głębszego jej odczucia, subtelniejszej na jej działania wrażliwości bardzo mało zazwyczaj posiadali. Tem bardziej przejmowali się estetycznemi teoryami mistrza,

z tym większym zapałem głosili jego doktrynę, oraz tem mniej okazywali miary i gustu dobrego w objawach swego dlań entuzyazmu, swej czci bałwochwalczej. Na zebraniach swych rozpamiętywali i komentowali z nabożną i oczywiście zupełnie bezkrytyczną żarliwością niby święte kanoniczne teksty nie tylko artystyczne dzieła mistrza, nie tylko jego pisma teoretyczne, ale często najdrobniejsze z nich urywki, zdania, maksymy. Pewien zacietrzewiony wagnerzysta, jeden z najwybitniejszych i najbardziej wpływowych wśród całego bractwa, autor najobszerniejszego życiorysu mistrza, ułożył tak zwaną Encyklopedyę wagnerowską *(Wagner-Encyklopädie)*, w której w alfabetycznym porządku, jako najistotniejszy wyciąg mądrości wszechludzkiej, podane są wyciągnięte z pism mistrza zdania i myśli o najrozmaitszych przedmiotach, a on sam wyraźnie zbawcą jest nazwany. Jest tam nawet mowa o «świętem wzgórzu« bayreuckiem, na którem spełniają się najwznioślejsze tajemnice ludzkości.

Nie skończyłbym dzisiaj gdybym się chciał rozwodzić nad przeróżnemi cudactwami zfanatyzowanych (lub jak niektórzy mniej grzecznie się wyrażają) zwaryowanych wagnerzystów. Byli tacy pomiędzy nimi, co dla okazania swej żarliwości w kulcie wagnerowskim piesze odbywali pielgrzymki do świątyni swego proroka w Bayreuth. Inni, niewolniczo we wszystkiem go naśladując, jak on stawali się antysemitami, wegetaryanami, najdrobniejsze jego przyzwyczajenia i uprzedzenia nawet poczytywali za nieomylne, bezwzględnie obowiązujące wskazówki życiowe. Inni jeszcze zawieszali w mieszkaniach swych portrety jego za zasłoną odkrywaną tylko dla wtajemniczonych współwyznawców kultu.

Wszystkie te wybryki sprawiły, że jakkolwiek związki wagnerowskie na razie oddały pewne usługi sprawie, której służyły (szczególnie przez systematyczne zbieranie funduszu na teatr bayreucki), na ogół jednak więcej szkody aniżeli pożytku przyniosły jej, kompromitującymi ją nieraz swymi zapałami, i tryumf jej ostateczny raczej opóźniły aniżeli przyśpieszyły.

Jakże zachowywał się sam mistrz wobec objawów tej czci wygórowanej, ku niemu zwróconej. — Trudno o tem stanowczo

rozstrzygać. Zdaje się, że z właściwym sobie zmysłem praktycznym (który u niego w dziwny sposób łączył się z wybujałym idealizmem), Wagner zużytkowywał nieraz wzbudzony przez swą osobę entuzyazm na dobro swej idei i swego dzieła bayreuckiego. W przeprowadzeniu tego ostatniego ów zmysł praktyczny szczególnie dobitnie się ujawnia. Niewątpliwie dalekie, bardzo dalekie, było ono od ideału reformatora. Czynił on ogromne ustępstwa z zasady na rzecz praktyki, przystosowywał się do okoliczności i stworzył dzieło godne podziwu zapewne, poważne i wielkie, ale zawierające w sobie tyle pierwiastków obcych a nawet wrogich ideałowi sztuki, któremu miało służyć.

Odczuł to żywo i boleśnie Fryderyk Nietzsche, jeden z najgorliwszych wielbicieli i przyjaciół Wagnera, jeden z owych wagnerzystów pierwszego, wspomnianego poprzednio typu, nie w doktrynie, a w geniuszu mistrza rozmiłowanych. On, który był heroldem idei bayreuckiej, który na cześć jej wygłosił istny dytyramb w prasie — teraz gdy ujrzał jej realizacyę, tak daleką od idealnego pierwowzoru, stał się zawziętym przeciwnikiem Wagnera i wagneryanizmu. Inne zupełnie wrażenie uczyniło dzieło bayreuckie na ogóle doktrynerskich zwolenników i wyznawców mistrza. Ci widzieli przedewszystkiem w Bayreuth fakt spełniony, a fakt, jakikolwiek on jest, imponuje zawsze ogółowi, szczególnie, gdy otoczony jest blaskiem, jaki teatrowi wagnerowskiemu nadawał niezwykły zarazem narodowo-niemiecki i kulturalno-wszechświatowy jego charakter. To też główny zastęp sekty wagneryańskiej z entuzyazmem uznał Bayreuth za swoją Mekkę i począł odbywać pobożne pielgrzymki na święte wzgórze, niosąc hołdy ubóstwianemu mistrzowi i prorokowi.

I najtęższe nawet głowy ulegają czasem odurzeniu od zbyt gęstych dymów kadzidlanych. Być może, że odurzały one czasem genialną głowę mistrza bayreuckiego, że przybierał on niekiedy postawę proroka czy bóstwa — to pewna jednak, że w zasadzie odtrącał ten kult bałwochwalczy, protestował przeciw nazwom wagneryanizmu i wagnerzystów od imienia swego utworzonym, żądał, aby hasłem wspólnych dążeń ku ideałowi sztuki przyszłości, była nazwa Bayreuthu, jako miejsca, gdzie one po raz pierwszy

zbliżyły się do swej realizacyi; chciał być poczytywany tylko za przewodnika na drodze tych dążeń, przewodnika, który do wzniosłego ich celu najbardziej się zbliżył, największy zastęp współwyznawców ku niemu zwrócił, bo najgoręcej go umiłował, najwięcej dlań poniósł trudów i ofiar.

Zresztą jeśli dążność artystyczna mistrza w ciągu całego jego życia konsekwentnie w jednym postępowała wciąż kierunku, związana z nią ściśle życiowa jego dążność znacznej uległa przemianie. Wagner rozwijał się duchowo w epoce zrodzonego z przewrotów rewolucyjnych bezwzględnego antychrześcijańskiego humanitaryzmu — w nim widział najwyższy ideał życiowy: ideał doskonałego człowieczeństwa w czysto ziemskim jego zakresie. Później poznał zasadniczą fałszywość tego kierunku i przez pesymistyczne zwątpienie »Trystana« i »Nibelungów« doszedł w »Parsifalu« do wiary w nadludzki i nadziemski ideał chrześcijański.

Jak się zachowali wagnerzyści wobec tego zwrotu w duchowym rozwoju swego mistrza? Czy zrozumieli, czy odczuli całą jego doniosłość? — Objawił się on nie w teoryach, nie w doktrynach artysty, lecz w natchnieniach jego twórczych, objawił się najwyższem natężeniem i wygórowaniem religijnego ich tonu, który już poprzednio w »Tannhauserze« i w »Lohengrynie« tak potężnie nieraz się odzywał. Owóż wagnerzyści karmili się zawsze nie tyle natchnieniami Wagnera ile doktrynami wagneryanizmu, a w tych po dawnemu snuły się zawiłe rozumowania, mgliste idee, niekiedy zgoła fantastyczne przywidzenia, które przyjmowane ze ślepą bezkrytyczną wiarą przez zacietrzewionych sekciarzy w mętnych ich umysłach większemu jeszcze ulegały zamąceniu. I wagneryanizm do końca kwitnął bladem kwieciem marzycielskich doktryn, odurzał się dymem kadzideł na cześć mistrza palonych, tonął w mgłach metafizycznych aż wreszcie rozpłynął się i ulotnił w przestworach nieokreślonych swych aspiracyi.

Dzisiaj w znacznej części należy on już do przeszłości. Dzisiaj inne nastały czasy, inne zabrzmiały pieśni. Zamiast hymnów humanitarnych, głoszących przyszły tryumf najwznioślejszych pragnień ludzkości, w całych Niemczech słychać bojowe marsze

nacyonalistyczne, wzywające do walki przeciw wszelkim obcym żywiołom. Bujający w tak idealnych i górnych, choć tak mglistych przestworach wagneryanizm zastąpiony został w Niemczech przez stąpający, niekiedy pełzający po najniższych poziomach realnych hakatyzm. Niemieckość, marząca ongi o przepojeniu całego człowieczeństwa ambrozyą najczystszych swych ideałów, przemyśliwa teraz o tem jakby wszystkie jego soki żywotne wciągnąć w siebie i nasycić nimi olbrzymie swoje cielsko państwowe.

Zresztą nietylko w Niemczech ten kanibalizm nacyonalistyczny rozpościera się tak przemożnie za dni naszych; wszędzie on prawie zajął obecnie miejsce humanitarnego braterstwa ludów, o którem tak wzniośle marzyli jeszcze nasi ojcowie. Ale czy obok zasadniczych przeciwieństw niema pomiędzy tymi kierunkami jakiego ubocznego związku, mogącego wyjaśnić tak szybkie ich po sobie następstwo? — Humanitaryzm poprzedniej doby ubóstwiał człowieczeństwo w jego czysto ziemskim zakresie, w odosobnieniu od wszelkich nadziemskich jego zadań. Bóstwo jakiś czas unosiło się wzniosłe i promienne w obłokach idealnych marzeń, skoro jednak zstąpiło na poziomy rzeczywistości, aby na nich żyć i działać, okazało się tem, czem jest samo w sobie, nie rozjaśnione światłem ideału nadludzkiego: — ciemną żywiołową potęgą własne nasycenie jedynie mającą na celu. Takim ono ich przedstawia w obecnym nacyonalizmie, takim pozostanie zawsze, dopóki nie wzniesie się do przyrodzonej swej ojczyzny: prawdziwego chrześcijańskiego humanitaryzmu.

Twórca »Parsifala« w rozwinięciu swych genialnych natchnień po wielu błądzeniach drogę do tej ojczyzny duchowej odnalazł i wskazał. Jego czciciele zamiast uwielbić ten niewątpliwy tryumf jego sztuki, wielbili przeważnie aż nadto wątpliwe tryumfy jego doktryny.

Walery Gostomski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z poetyckiej niwy.

St. Wyspiański: »Achilleis«. Sceny dramatyczne. Kraków 1903. — Tenże: »Akropolis« Dramat w 4 akt. Kraków 1904. — Tenże: »Noc listopadowa«. Sceny dramatyczne. Kraków 1904.

Nie pamiętam, który niemiecki estetyk powiedział, że musi się ożywić i zmodernizować martwą przeszłość, jeśli się chce ją wyczarować przed oczy obecnego pokolenia. Nie wystarczy ujęcie jej w obrazy tak, żebyśmy widzieli przesuwającą się przed oczami nakształt światłocieni latarni magicznej, nakształt rzewnych lub smutnych wspomnień, lecz trzeba tchnąć w nią drgnienie bezpośrednich odczuwań i niepokój dyszący obecności, lecącej wartkim pędem w przyszłość. Twórca ujmuje przeszłość niby cząstkę gorączkowo z toni wyłaniającego się życia; pogrąża się w niem całą siłą myśli, gdyż musi jego dążenia jako własne uświadomić, jego tęsknoty jako własne wyczuć. Tak czyni w historycznych dramatach swoich Stanisław Wyspiański, O ile w dramacie dzisiejszym symbolizuje wichrowe porywy społecznej duszy, o tyle w dramacie dziejowym z nadzwyczajną pomysłowością przeistacza, zbliża, unaocznia przed dzisiejszymi ludźmi odległą przeszłość.

Takie są sceny dramatyczne p. t. Achilleis. Dobył je poeta po części z Iliady, którą wybornie zna i lubi, a której bohatera wyobrażał w rycinach, niezwykle pomyślanych, po części zaś z poetów cyklicznych, uzupełniających szczegółami Iliadę, zwłaszcza jej losy po

zabiciu Hektora. Akcya, poczęta w obozie greckim na boisku przed namiotami, przenosi się z kolei do Achillesa i całego szeregu bohaterów greckich, następnie do Troi i znów wraca do obozu. Rezos i Pentezilea ciągną Trojanom z odsieczą. Odyss niweczy plany Amazonek, gasi ducha mężnych obrońców grodu, tępi tłum ofiarników, chytrze czyni wywiady szpiegowskie, wszędzie jest inicyatywą, pomysłem i wynalazcą narzędzi czynu. Godzi się to zresztą z mytem i historyą. Ale nie wszystko odmalował poeta według przekazów przeszłości. Achilles nie jest prostolinijnym wizerunkiem siły i szalonego rozmachu. I tutaj przekłada on czyn nad wymowę i wykręty, mając za »kpów tych, co szukają duszy na języku«; i tutaj sarka na Nestora«:

Gdy ze mnie pożar bije, ten językiem miele,
Tak pies kręci się w kółko, gdy barłog swój ściele —

ale czyn jego nie bywa aktem popędu, lecz niejakiego rozmysłu, jak gdyby głosu sumienia. Wie on, że zbroja, przez Hefaista wykowana, będzie mu w boju pomocną, dopóki zła nie zechce. To też i z Trojanami nie bije się, nie z powodu gniewu ku Atrydzie — jak w Iliadzie, lecz dlatego, że wśród nich znalazł się człowiek, który przerósł innych: Hektor. Wodzów zaś greckich ostro karci: chciwi są łupu, nie dbają o lud, »co gruz orze«. Ma on nawet moment roztkliwienia, kiedy siedzi na urwistym brzegu Skamandru, zasłuchany w szumy fal, które mu szepczą cudownie poetyczne obietnice, przestrogi i pociechy. A wówczas z fal wynurza się martwe ciało Pentezylei. Achilles bierze je w objęcia i mówi:

O luba dałbym moje życie,
Gdyby to życie dało tobie;
Przyjm pocałunek, boskie dziecię:
Miłość zakwita na grobie.

Nie jestże to Filon, gdy do trupa Aliny woła:

»O mój Aniele, ty śmierci kochanka!
O jak miłośnie twoja ręka biała
Ujęła czarny dzbanek«...

Nie jestże to Jerzy Ausrispa w nowożytnym romansie d'Annunzia *Trionfo della morte,* gdy rozmyśla: »Umarła Hipolita stałaby się przedmiotem dla myśli czystym i idealnym. Z istnienia zależnego i niedoskonałego wstąpiłaby w istnienie doskonałe, porzucając na zawsze stałe, zależne i zbyteczne ciało. Zabić ją, aby posiąść. Dla tego, kto

szuka niezależnej miłości, niema innego sposobu«. Że nasz poeta świadomie zmienił duszę greckiego bohatera, dowodzą przemiany innych postaci. Odyss Wyspiańskiego gorszy od Homerowego Odyssa, nie mówiąc już o bohaterze Odyssei. Ten z Achilleidy chytry jest a nikczemny i krwawy. Dyplomata — więcej kryje, niż wyjawi. Kryje zarówno pobudki, jak końcowe węzły zamiarów. Działa rękami innych. Achiles, otrzymawszy odeń surową besztaninę, śle za nim słowa:

To jest ten człowiek, z którego oblicza
Fałsz czytam zawdy, ilekroć fałsz knuje.
Ale to człowiek jest, co patrzy w duszę
I wzlot mój każdy jasno przewiduje.

Dwaj ci ludzie posiłkują się w sprawach publicznych, aczkolwiek pierwszy odlany z metalu szlachetniejszego — i piękniejszy o wiele. Z innych bohaterów Menelaos kulturalnie wyżej postawiony, niż w Iliadzie. Pożera go tęsknota do ojczyzny, gdyż »jest dotknięty chorobą tęsknoty«. Wróży sentymentalnie, że »wszyscy wielcy, półboże olbrzymy we wichrze zdarzeń zwieją się jak dymy«; prosi Dzeusa, by »dał trupom sławę«, a pozwolił wrócić choćby z niczem. Bardzo interesująco pojęci są Diomedes i Aias: obaj zazdroszczą wielkości Achillesowi, obaj mają moc bez geniuszu. Jednakże u Aiasa pierwiastek dobroci widoczniejszy niż Diomedesa, który cały jest siłą fizyczną. W obozie trojańskim zmieniony korzystnie Parys. Dzierży on berło mocą swej inteligencyi. Priam nazywa Hektora »prostakiem tępym«, sam zaś Parys o sobie mówi: »łatwiej mię uciąć, niźli zrównać głową«, »ofiarę duszy niosę wam w ofierze«.

W rzędzie tych odstępstw od Iliady nie jedyne są zmiany, dotyczące postaci. Poeta nasz przemyślnie i artystycznie dostroił wszystko do jednego poziomu. Przez to ozdobił on znacznie dzieło szatą nowości. Przed widzem snuje się parami na sposób dawnej tragedyi greckiej wprowadzony poczet ludzi, szkicowanych świetnie zwięzłymi rysami, obdarzonych nie tylko odrębną fizyonomią, ale też inną duszą. Ludzie ci żyją, a niezwykłe, często wielce dramatyczne sytuacye, wśród których działają — tchną czarem baśni, wstrząsają efektami grozy, smutku lub bólu. Nikt ze współczesnych, a chyba jeden Słowacki z dawnych naszych dramatycznych poetów potrafi z taką siłą targnąć za wyobraźnię lub uczucie widza, jak Wyspiański — skupiwszy odpowiednie efekty i środki sceniczne. Liczy się on z historyą, jeżeli ma zamiar zobrazować moment dziejowy? Zapewne liczy się, ale zgoła nie niewolniczo, jak widzieliśmy w »Achilleis«, jak widzimy w później wy-

danej »Nocy listopadowej«. Przeznaczeniem teatru — mówi w dedykacyi »Hamleta« autorom polskim — dawniej i teraz było i jest służyć niejako za zwierciadło naturze, pokazywać cnocie — własne jej rysy, złości — żywy jej obraz, a światu i duchowi wieku postać ich i piętno«. Stąd wynika,że piętno ducha wieku powinno znamionować historyczny dramat. Ale nic nadto — i trzeba wyznać — słusznie. Jeśli sięgniemy w przeszłość i pomyślimy, jaki ton dźwięczał w duszy narodowej, w owej pamiętnej nocy listopadowej 1830 r., to przyznamy, iż był to entuzyazm. Ale obok entuzyazmu Warszawa owej nocy trzęsła się gwałtownymi porywami niepokoju, trwogi, niepewności o jutro, niezdecydowania, podobnie jak i ludzie miotali się w tę i ową stronę — nieco bezwładnie a gwałtownie, czyniąc pozór istot, którym odjęto kierowniczy ster roztropności. Przytem pamiętać wypadnie, że noc ta wywołana pospiesznie zapałem młodych. »Rewolucya wybuchła w Warszawie — pisał ironicznie generał W. Krasiński — przez pięciu akademików, czterech podchorążych zaczęta i trzech poetów, jak oficerów tyleż«! Szereg scen Wyspiańskiego przedziwnie maluje wszystkie powyższe znamiona nocy. Pierwsza scena rozgrywa się w szkole podchorążych: Wysocki porywa stu sześćdziesięciu młodych rycerzy i z bronią pędzi na Solec, a stamtąd do Arsenału, który ma zdobyć Zaliwski. Druga scena przenosi nas do Belwederu, gdzie W. Książe szaleje w półobłędzie, majacząc wciąż o lwiej, rycerskiej naturze Polaków, o swych zamysłach przeciw carowi, a współcześnie gryzie go namiętna żądza zmysłowa i dzika podejrzliwość. Szpieg Makrot ostrzega go przed spiskiem na Świętojańskiej w »ulicznej kloace« (58). Wspaniała scena trzecia zaznajamia widza z Goszczyńskim, który na czele belwederczyków pod posągiem Sobieskiego czeka chwili, aby porwać lub zabić W. Księcia. W dalszym ciągu napad na Belweder, obrona Joanny i dumne jej słowa:

Ja Polka — i jeżeli Bóg miłość rozpali,
To ja kocham i bronię, choć dwór mój się pali.

Dalsze sceny najdramatyczniejsze, najciekawsze, najżywsze: w teatrzyku łazienkowskim, w mieszkaniu Lelewela i na ulicy. W pierwszym Chłopicki występuje w roli naczelnej, ujawniając moc dyktatorską lecz wizya przyszłości odsłania mu końcową klęskę; w drugim Lelewel w momencie potężnie choć poprostu oddanym, chwieje się pomiędzy powinnością dla ojczyzny, a obowiązkiem syna, bo ojciec właśnie kona, nareszcie na ulicy widzi się zamęt i przygodność chwili, w któ-

rej oddziały spieszą, co moment wre walka, tłum pełni egzekucyę, zabija wprawdzie szpiega Makrota, ale bez sądu zabija młodego Gendre'a, bez sądu zabija Potockiego, przez omyłkę zabija generała Nowickiego zamiast Lewickiego. Pod koniec jeszcze raz wracamy do Belwederu, do teatru łazienkowskiego, nareszcie do Alei ujazdowskich, gdzie w końcowej scenie przeciwstawia się Krasiński, jako duch kompromisu — z Łukasińskim, wynędzniałym w mękach ślepcem, którego W. Książe nazywa polskim Prometeuszem, a który wygłasza uroczyste:

Witaj—Jutrzenko—swo—bo—dy——
za—to—bą—zba—wie—nia—Słoń—ce. (Str. 201).

Sceny te celują niezwykłemi zaletami dramatycznego talentu Wyspiańskiego: wybornie malują duszę zbiorową Warszawy w tej pamiętnej nocy, wybornie w zwięzłym a plastycznym profilu stawią przed naszą wyobraźnią szereg ludzi żywych w działaniu i ruchu: Wysocki, Zaliwski, Nabielak, Goszczyński, Bronikowski, Czartoryski, Potocki, Krasiński, Chłopicki, W. Książę, wielu podrzędniejszych pojęci może niezawsze w roli swej zgodnie z ich rolą dziejową, ale w duchu swym tak, jak w istocie. Skrócenia fizyognomii duchowej niekiedy są wprost genialne; np. Czartoryski w scenie VII wygłasza wszystkich słów dwanaście, a jednak w tych dwunastu słowach charakteryzuje się niezrównanie. Nie brak też chwil i scen wstrząsających, pełnych grozy lub podniosłości. Jedna atoli właściwość »Nocy listopadowej« wydaje mi się wątpliwą, bo za szeroko traktowaną: wprowadzenie do scen w tych rozmiarach postaci mitologicznych. Pół Olimpu wyludnił Wyspiański i przeniósł na mróz i niepogody z owej błogosławionej góry, gdzie śnieg nie pruszy i niebo nie okrywa się chmurami. Jest więc Pallas, i Ares, i Eros, i Hermes, i Demeter, i Kora, i Kery, i Satyrowie, i Nike jedna, druga, trzecia, dziesiąta...

Wprawdzie kultura nasza tego czasu w istocie lubuje się w powoływaniu na świadki bogów Olimpu, przefiltrowanych przez cywilizacyę rzymską i francuską, ale nie myślę, żeby którykolwiek z ówczesnych literatów lub artystów brał owe bóstwa w rozumieniu innem, niż jako ozdobę czyli dekoracyę formalną. Najbliższy świata rzymskiego, niepośledni łacinnik Kajetan Koźmian z niemałym zapewne podziwem widziałby Nike czy Palladę, latającą z Pałacu Podchorążych do Arsenału lub Łazienek, stającą za lub nad bohaterami i naszeptującą im swą wolę; a cóż dopiero mówić o lowelasowskich zalotach Aresa do Joanny albo o Satyrach, szczebiocących wiersze francuskie. Rola bóstw

tych przestaje być dekoracyą: jest ona niemal naczelną; niepodobna zupełnie ani do roli szatanów w Kordyanowem Przygotowaniu, ani do roli Strachu czy Imaginacyi w scenie piątej aktu III »Kordyana«, ani do duchów z »Dziadów« III części. Bezwątpienia zjaw sił nieziemskich najświetniej umiał artystycznie motywować i uprawdopodobnić Słowacki za pomocą trzech środków: widza lub czytelnika nastrajał, gromadząc rysy grozy; wizyę samą malował realistycznie, o ile tylko się dało; duszę osoby, która miała wizyę natężał do stanu psychopatyi. Tak uczynił z Balladyną, której jawi się w czasie uczty Alina z oczami »dziwnie błyszczącemi« i z dzbankiem na głowie, pełnym »czegoś, co się rusza«. Tak samo uczynił w »Kordyanie« z owym Strachem i Imaginacyą. W żadnym atoli razie nie przeciągnął struny prawdopodobieństwa. Tymczasem tu kroku nie stąpisz, abyś się nie natknął na Nike i t. p. Czyżby w istocie noc owa — niewątpliwie w dziejach naszych pełna wzniosłego entuzyazmu — zaroiła się ni stąd ni z owąd chmurą komparsów olimpijskich, czasem zbyt gadatliwych, jak na noc czynu, czasem kłótliwych jak sroki, czasem znów śmiesznie nadymających się, ale ani na chwilę niezdolnych przejąć nas do głębi serc, bo nam się zdaje, że nurt, który dla nas wówczas płynął życiem, krwią lub śmiercią, — dla nich miał pustkę. To też jak ostra ironia wygląda owa gra o los w karty pani Nike z Chłopickim, jak szyderstwo zjadliwe brzmią jej ostatnie słowa: »Przegrałeś! Addio amore!«

Na ogół mam wrażenie, że ta partya scen dramatycznych nie udała się Wyspiańskiemu. Nadzwyczaj zajmująco tłumacząc Hamleta, mniema Wyspiański, że Szekspir wprowadzał duchy jako dekoracye i przyozdoby. »W całym rozwoju Szekspira nie było miejsca na wiarę w świat duchów inną, niż w Makbecie, inną, niż później będzie w Burzy« (str. 19). Ale zanadto generalizując rzecz — myli się Wyspiański. Uznaję ja za nadzwyczaj przemyślny wykład powstawania Hamleta, godzę się na to, że u Szekspira czasem duchy bywają przyozdobą, jak i owe boginie w »Nocy listopadowej«, jeno nie zawsze. Innej natury jest wizya Banka, innej Ariel w »Burzy«. Ten może być dekoracyą, tamten jest cząstką duszy Makbeta: a to są dwie wcale różne rzeczy. Zupełnie czemś innem jest w »Balladynie« Goplana — niż zjaw Aliny, chociaż obie nie żyją w rzeczywistym bycie. Gdyby tedy poeta w »Nocy listopadowej« o tyle ograniczył rolę bóstw mitologicznych, żeby one były tylko dekoracyą — trzebaby się z tem zgodzić. Ale tak niestety nie jest: zawiele ich i zanadto się we wszystko wtrącają, pozując na siły naczelne.

W »Akropolis« też niema ani źdźbła rzeczywistości, wszystko jest wizyą i symbolem. Zatytułował poeta wyraźnie »Akropolis — dramat w czterech aktach«, Rzecz odbywa się w noc przed zmartwychwstaniem Zbawiciela w katedrze wawelskiej w Krakowie. Nabożeństwo skończone. Wielki moment czasu stał się w chwili, gdy północ ozwała się z wieży. Aniołowie, dźwigający srebrną trumnę, zmożeni »strasznem trumniskiem« — wracają do życia. Miłość ich budzi, do miłości też budzą się inne postaci, po grobowcach śpiące: niewiasta z pomnika Ankwicza, Amor, Aniołowie, Pani, Klio, Włodzimierz Potocki. Drugi akt maluje powstanie do życia osób na gobelinie trojańskim. Snują się tedy znane sceny u bramy Skajskiej, pożegnanie Hektora i Andromachy... Ale jakże to wszystko odmieniło lice przez długi pobyt w Krakowie. Ten poczciwy Priamus starowina, nieco rozmarzony, zakłopotany tem, co przyjdzie, — i ta Hekuba, co przeszłością żyje i cieszy się dziećmi i wnukami w godzinie ocknienia; ten Parys z Heleną — para zajęta sobą i oddana zmysłowemu używaniu; »tacy, co na roli pracują — i wojenni, i w rzemiośle, i najemnicy dzienni, i zupełnie boscy, spokojni i beztroscy; ten nareszcie witeź Hektor, uosobienie siły, obowiązku, rycerskiej przemocy: — wszyscy aż do lutnistów i panienki z okienka — wyłaniają się z kart dramatu przemienieni i przebrani — rzekłbym — po słowiańsku czy po polsku. Przedni, nad wszystkich potężny — jak przystało — Hektor. On porzuca żonę, porzuca rodziców, bo »siłę jeno naród ma w cenie«, więc «musi ostąć przy czynie«. Zginie »za ojczyznę, za dworzec i żonę, za swe dzieci i bratów i syny«. Otóż tu wszystko się znajduje: rycerski animusz, miłość sielankowa, młodzieńcza, miłość małżeńska, miłość przeistoczona długiem życiem w przyjaźń dozgonną. Niby to wyjęte z Troi bohaterskiej, w istocie owiane tchnieniem miasteczka poczciwego, jak nasz »gród prastary«. Zaprawdę: obraz polskiej Troi... Kończy grozą przejmująca scena: Kassandra i Krucy gonią Andromachę. Hektor nie wróci...

Ożywia się potem drugi gobelin i wstają postaci z historyi biblijnej: Izaak — Rebeka, Ezaw — Jakób, Rachela — Lia, Laban, aniołowie i słudzy. Rozgrywają się na nowo sceny podstawienia zamiast Ezawa Izaakowi Jakóba, powtarza się błogosławieństwo:

Będziesz nad inne wszystkie stawion,
Bądź błogosławion na długi żywot;

odnawia się i ów sen o złotej drabinie, po której idą aniołowie i o walce

z aniołem i o służbie u Labana, i o powrocie, oraz pogodzeniu się z Ezawem. Ezaw jednak przedstawia się piękniej, rycersko, szlachetnie i wspaniałomyślnie. Kiedy zbogacony Jakób z sowitymi darami śpieszy, błagając go o przebaczenie, wówczas Ezaw kończy: W niepamięć zbrodnia się grąży, uściskiem zmaże się wina. Będę ja owo zgody chorąży, co wielkich krzywd zapomina.

Nareszcie w czwartym akcie Dawid-Harfiarz śpiewa szereg psalmów, Aurora ze swym orszakiem nadbiega i zapowiada, że mnogi lud czeka na jego harfę, lud go woła; daje się wśród gromów słyszeć głos Salwatora, wjeżdża Apollo na rydwanie i wygłasza wspaniały hymn o zmartwychwstaniu:

Zbudzę stulecia jednej doby,
W obliczu Boga wstałem.
Bóg: Żywe słowo zszedł nad groby,
Uczciłem go chorałem.
Hej, pieśń skończona, pieśń Wawelu,
Gdzie nieśmiertelna Sława,
Na zdruzgotany głaz kasztelu
Bóg wpisał swoje prawa.

Ten koniec zdaje się wiązać »Akropolis« z »Wyzwoleniem« i »Weselem«. Oczywiście związek formalny do uchwycenia nietrudny. »Wesele« zapowiada przeniesienie akcyi na Wawel; w »Wyzwoleniu« zaś i »Akropolis« nie tylko akcya odbywa się na Wawelu, ale podobną rolę ma Apollo, jak się zdaje, symbol pieśni. »Akropolis«, podobnie jak dwa poprzednie utwory wyraźnie przez poetę oznaczona napisem d r a m a t, należy do rodzaju poezyi symbolicznej. W »Prolegomenach« w szkicu p. t. »Znaczenie symbolizmu w sztuce«, poeta Żuławski mówi: »Dla umysłów, pewną intuicyą obdarzonych, symbolów sztuki objaśniać nie potrzeba, gdyż mają one dla nich same przez się wartość i znaczenie; ale wogóle symbole wykładać można — i to zazwyczaj w sposób wieloraki». »Wszelkie wartości, w stosunek wstawione, będą tu równie dobre, jeśli tylko tak utworzona synteza danemu symbolowi, jako wykładnikowi swemu, odpowiadać będzie«. Zasada, na ogół wziąwszy, mylna, bo licznych wielkich symbolów, jak np. »Prometeusz rozpętany« Shelley'a absolutnie nie można wielorako wykładać, w tym wypadku, w zastosowaniu do »Akropolis« rozgrzesza próby. Otóż motyw zmartwychwstania snuje się przez cały ciąg dramatu. Świątynia napełnia się rozgwarem zmartwychwstałych postaci, do życia wstają nie tylko figury, ale i sceny — aż do końcowego zjawu Zbawiciela, aż do chorału Apollina, aż do

rzeszy, wzywających Harfiarza. Motyw ten służy łącznikiem pierzchających rysów drobnych. Drugim takim łącznikiem jest może miłość, która wybitną gra rolę w trzech aktach. W pierwszym akcie schodzą się i rozbiegają w miłosnem upojeniu pary, w drugim akcie miłość ukazuje się w licznych postaciach, jako czynnik kulturalny i uspołeczniający, w trzecim akcie upatrywać można objawu miłości braterskiej pomiędzy ludźmi tak różnych stanów jak przemyślny i rolniczy Jakób i rycerski Ezaw. Czy te dwa motywy: miłość i zmartwychwstanie można układać w stosunku przyczyny do skutku — pozostawiam woli czytelnika. W taki sposób pojęty dramat stanowiłby w istocie ostatnie ogniwo w pieśniach o Wawelu Wyspiańskiego w myśl słów końcowych: Hej, pieśń skończona, pieśń Wawelu. Nie przeczę, że klucz do rozwiązania symboliki dramatu niejasny. Stanowi to rys ujemny dzieła. Każdy akt »Akropolis« mógłby tworzyć dla siebie osobną całość i jak owe gobeliny lub pomniki znalazły się w katedrze w sposób przypadkowy, usunięte z niej i przeniesione na inne tło będą się równie dobrze tłumaczyły, tak też i w dramacie nie uzyskały one silnej spójni ani przez końcową apoteozę ani przez jedność miejsca i czasu, ani wreszcie przez skalę uczuciа, szeroko rozpostartą, ale dlatego właśnie nieuchwytną i zamało czytelną. Dramat jednakże ma niektóre szczegóły niepospolitie piękne: uroczą jest śpiewka pazia i Polikseny, wspaniała muzyka zegarów i dzwonów krakowskich, wzniosłe końcowe śpiewy Harfiarza i Apollina, pełną grozy straszliwa pogoń kruków i Kassandry za Andromaką.

Pomimo tych szczegółów atoli dramat nierówny »Weselu« i »Wyzwoleniu«. Sam autor wszelako kroczy wciąż na czele dramatycznych poetów, których coraz przybywa, jak przybywało »strun« w grze Jankiela. Gdyby też »rozpierzchłe tony« połączyły się i związały w akordy«, a zgodzonymi dźwięki w takt postępowały — ale tego stwierdzić w naszej produkcyi dramatycznej niesposób.

Antoni Mazanowski.

Polska literatura agrarna w XX wieku.

IV [1].

Włodzimierz Spasowicz i Erazm Piltz: »Potrzeby społeczne w Królestwie Polskiem«. — Napiórkowski: »Parcelacya wobec komasacyi i racyonalne kolonizowanie«. — Jeziorański: »Potrzeby stanu włościańskiego w Królestwie Polskiem«. — Stanisław Skarżyński: »O reformach prawodawczych pożądanych dla rolnictwa krajowego«. — »Die Vererbung des ländlichen Grund besitzes im Königreich Preussen«. Bd XI, XIII u. XIV. — Czeraszkiewicz: »Spadkobranie i działy majątkowe wśród włościan w Królestwie Polskiem«. — Jeziorański: »Spadkobranie u włościan«. — Franciszek Górski: »Prawo spadkowe a własność ziemska w Królestwie«. — Dr. Jan Hupka: »Włości rentowe a parcelacya«. — Julian Tałasiewicz: »Wskazówki dla włościan w sprawach spadkowych i opiekuńczych«. — Piotr Szufnara: »Pogadanki o prawie spadkowem«. — Grünberg: »Studien zur österreichischen Agrargeschichte«. — Jeziorański: »Stowarzyszenia rolnicze«. — Stanisław Piotrowski: »Towarzystwa i stowarzyszenia rolnicze w Danii«. — Posner: »Drogi samopomocy społecznej«. — St. Woyczyński: »Wrażenia z wystawy miechowskiej«. — Stefan Jankowski: »Handel i sklepikarstwo w spółkach włościańskich«. — Dr. Zofia Golińska: »Spółki rolnicze i handlowe«. — Stefan Kozłowski: »Zasady kooperacyi«. — Gustaw Steingraber: »Związek handlowy producentów spirytusu«. — Karol Turski: »Biura rachunkowe rolnicze w Niemczech«. »Kilka uwag o rachunkowości i biurze rachunkowem rolniczem«, »Biura rachunkowe rolnicze«. — Stanisław Dzierzbicki: »Stowarzyszenia rolnicze w Królestwie Polskiem«. — Ks. Leonard Lipke: »Nowe kierunki społeczne i ideały przyszłości«. — Edwin A. Pratt: »The organization of Agricultur. Poland«.

Jedną z głównych przyczyn silnego ruchu parcelacyjnego na ziemiach polskich jest niewątpliwie znaczny wzrost ludności, która nie znajduje dostatecznej sposobności zarobkowania w zawodach przemysłowych i handlowych, a oczywistem następstwem tego stanu rzeczy zwiększenie się popytu o ziemię, *eo ipso* coraz to bardziej drożejącą, bez czego parcelacya w tak wielkich rozmiarach nie dałaby się pomyśleć. Znaczny wzrost ludności wpływa także w inny sposób na zmniejszanie się jednostek gospodarczych, podział realny ojcowizny między liczne potomstwo zwiększa liczbę małych przedsiębiorstw rolnych kosztem zagród kmiecych. Do najbardziej ujemnych stron tych coraz to liczniejszych drobnych osad włościańskich należy ich wadliwe zaokrąglenie, sprzeczne z wymogami racyonalnej techniki rolniczej, liczba parcel katastralnych zwiększa się znacznie szybciej, jak liczba gospo-

[1] Por. *Przegląd Powszechny* za listopad 1904, styczeń 1905 i marzec 1905.

darstw włościańskich, głównie z powodu wielkich różnic w jakości gruntów, nawet blizko siebie położonych.. Ojciec, posiadający kilka parcel, dzieli je między dzieci w ten sposób, że każdemu w każdej wyznacza cząstkę, ażeby go nie pozbawić kawałka urodzajnego gruntu ornego, lub dobrej łąki. Nasuwa się zatem problem skupienia rozrzuconych parcel, (komasacya) ewentualnie w drodze ustawodawczej; dalej sięgają projekty reformy prawa spadkowego, dążące do usunięcia zbytniego rozdrobnienia gruntów przez ograniczenie realnego podziału ojcowizny. Także i assocyacya przeciwdziała pośrednio ujemnym stronom małych przedsiębiorstw rolnych przez tworzenie między nimi połączeń dla lepszego urzeczywistnienia wspólnymi siłami specyalnych celów gospodarczych. Zastanowimy się zatem po kolei nad poglądami, zawartymi w nowszej literaturze na te trzy doniosłe problemy agrarno-polityczne.

W Prusiech komasacya jest oddawna ustawodawczo uregulowaną i w znacznej mierze przeprowadzoną, ustawa dla Galicyi, sankcyonowana przeszło rok temu, jeszcze nie weszła w życie, w Królestwie prawodawca nie zajął się jeszcze zaokrągleniem gruntów, to też sprawa komasacyi najczęściej omawianą jest właśnie w piśmiennictwie tamtejszem. Powiedzenie, że niema ustawy komasacyjnej w Królestwie nie jest zupełnie ścisłem, ale jak przekonywująco wykazują Włodz. Spasowicz i Erazm Piltz w swej pracy zbiorowej[2], prawo z 29 grudnia 1876 r., wydane w celu ułatwienia zaokrąglenia gruntów nie weszło w życie, z powodu szeregu niedostatków w niem zawartych, a pochodzących z nieznajomości stosunków miejscowych. W drugiej części rozprawki autorowie wykazują przyczyny, dla których rozpowszechnienie się komasacyi dobrowolnej jest nadzwyczaj utrudnione, chodzi tu oczywiście głównie o potrzebę jednomyślnej zgody wszystkich włościan, zamieszkujących daną gminę. W końcu autorowie podają za-

---

[1] Wzrastający ruch parcelacyjny daje pohop do daleko sięgających kombinacyi. W pewnych kołach żydowskich zastanawiają się poważnie nad projektem osiedlenia ludności żydowskiej, nie znajdującej dostatecznego zarobku w drobnym handlu i rzemiośle na rozparcelowanych obszarach dworskich (por. Bertha Pappenheim, dr. Sara Rabinowicz *Zur Lage der jüdischen Bevölkerung in Galizien*. Frankfurt am Main 1904, str. 98. Ta sama broszura zawiera kilka uwag o żydowskiej szkole rolniczej w Słobódce leśnej i o żydowskiej gminie rolniczej, Czerniejów).

[2] »Potrzeby społeczne w Królestwie Polskiem«. Tom I. Kraków 1902, str. 189. »Komasacya gruntów drobnej własności«, str. 127—140.

sadnicze postanowienia, które ustawa powinna zawierać, oraz przedstawiają najgłówniejsze korzyści komasacyi. Mimo znacznych trudności, które musi przezwyciężyć dobrowolna komasacya zdarza się w Królestwie stosunkowo często. Nie posiadamy dokładnych wiadomości o tym nader pomyślnym objawie, bardzo rzadkim także i w dziejach rolnictwa zagranicą.

Zadowolnić się musimy kilku interesującymi szczegółami w rozprawie p. Napiórkowskiego [1], który słusznie podnosi, że jeżeli mimo wielkich trudności przeprowadzenia dobrowolnej komasacyi, zdarzają sie wypadki dojścia do skutku zaokrąglenia gruntu na tej drodze, jest to najwymowniejszym dowodem szkodliwości szachownic (str. 166). Autor wymienia okolice, w których dobrowolna komasacya najczęściej jest praktykowaną, ale nie podaje bliższych wiadomości o jej rozmiarach. Z drugiej jednak strony parcelacye dokonywane za pośrednictwem banku włościańskiego przyczyniają się niepomiernie do rozpowszechniania w kraju nieracyonalnego rozkawałkowania gruntu. Bank włościański uważa się za instytucyę wyłącznie kredytową, zadowalnia się udzielaniem pożyczek, a nie dba o dalsze losy osad powstałych przy jego pomocy. Pan Napiórkowski uważa tę bierność banku za objaw niepożądany, domaga się, ażeby bank dawał pożyczki tylko na osady dobrze zaokrąglone, dotychczas praktyka parcelacyjna jest wprost odmienna. Chłopi dzielą między siebie majątek »jaknajsprawiedliwiej«. Tak, jak przy podziałach spadkowych, w każdem polu różnej jakości każdemu wyznaczają cząstkę. Nawet w nieużytkach wymierzają każdemu t. zw. przymiarki, co zresztą ma i tę niekorzyść, że podnosi koszt pomiarów parcelacyjnych.

Za potrzebą ustawodawczej komasacyi przemawiają także pp. Jeziorański [2] i Stan. Skarżyński [3] w swoich broszurach, zawierających krótki pogląd na najważniejsze postulaty agrarno-polityczne Królestwa.

W Galicyi sankcyonowanie ustawy komasacyjnej wywołało pojawienie się kilku rozprawek, których przeznaczeniem jest rozpowszechnić znajomość ustawy wśród interesowanych, oraz wydawnictw, zawie-

[1] »Parcelacya wobec komasacyi i racyonalne kolonizowanie« (»Prace sekcyi rolnej« w I. półroczu 1902, str. 164—187). Warszawa 1902.

[2] »Potrzeby stanu włościańskiego w Królestwie Polskiem«. Warszawa 1902, str. 58.

[3] »O reformach prawodawczych, pożądanych dla rolnictwa krajowego«. Warszawa 1901, str. 31.

rających dokładny tekst ustaw wraz z uzupełniającymi ustawami i rozporządzeniami.

Ażeby wyrobić sobie uzasadnione zdanie o potrzebie reformy prawa spadkowego, należy zapoznać się z istniejącymi zwyczajami spadkowymi. W granicach obowiązujących ustaw sposoby dzielenia ojcowizny ukształtowały się odmiennie w miarę różnic w miejscowych stosunkach gospodarczych lub w charakterze rolników. Są okolice, gdzie przeważa zwyczaj realnego podziału, w innych rodzeństwo otrzymuje spłaty od najstarszego lub najmłodszego, który obejmie całe gospodarstwo. Ustawodawcze przeciwdziałanie realnemu podziałowi jest oczywiście łatwiejszem tam, gdzie zwyczajowo jest przestrzeganą niepodzielność gruntu w wypadkach spadkobrania. Badania tego rodzaju mają zatem znaczenie zarówno teoretyczne, jak praktyczne.

Systematyczne prace w tym kierunku posiadamy tylko dla zaboru pruskiego, i to w języku niemieckim. W roku 1884 rząd pruski wezwał władze polityczne i sądowe, do przedłożenia sprawozdań o zwyczajach spadkowych ludności. Opracowanie całego materyału, dokonane pod kierunkiem i na odpowiedzialność prof. Seringa, nie jest dotychczas ukończone, brak zapowiedzianego ostatecznego opracowania, osiągniętych rezultatów, ukazały się jednak tomy, poświęcone badaniu stosunków w Poznańskiem, w Prusiech Zachodnich i na Śląsku[1]. Urzędowe sprawozdania uzupełniano w miarę potrzeby dochodzeniami na miejscu lub przeprowadzaniem korespondencyi. Każdy tom zawiera kolorową mapę, przedstawiającą graficznie przewagę pewnego typu zwyczajów spadkowych w danej okolicy. Autorowie starają się wytłumaczyć powody powstania tych, a nie innych zwyczajów spadkowych i ich związek z rozwojem prawa i stosunków gospodarczych, ich skutki ekonomiczne i społeczne.

Wedle zgodnego zdania Grossmana, Buscha i dr. Doyé realny podział ojcowizny jest u Polaków, Kaszubów i Wendów (autorowie rozróżniają starannie te trzy narodowości) daleko częstszym, jak u Niemców, objaw ten występuje najsilniej w przemysłowych okolicach, najsłabiej w Prusiech Zachodnich, tłumaczą go właściwościami narodowego charakteru Słowian. Teoryi dotychczas powszechnie przyjętej

[1] *Die Vererbung des ländlichen Grundbesitzes im Königreich Preussen* XIII *Provinz Posen* von Dr. Grossman. Berlin 1897. XI *Provinz Westpreussen* von Dr. Busch. Berlin 1898, str. 102. XIV *Provinz Schlesien* von Dr. Doyé mit einer Einleitung von H. Grandke u. einem Schlusskapitel von Prof. Sering. Berlin 1900, str. 123.

przeciwstawił prof. Sering w zakończeniu tomu, zawierającego opracowanie stosunków śląskich nowy pogląd na przyczynę częstszego u Polaków realnego podziału ojcowizny. Zdaniem prof. Seringa nie leży szukać przyczyny w właściwościach narodowych, lecz raczej społecznych (str. 76 [2]).

Polacy są w gorszem ekonomicznem położeniu, mieszkają na ziemiach mniej urodzajnych, stosunki poddańcze były dla nich niekorzystniejsze, jak dla Niemców, mieli mniej gruntu, a więcej ciężarów pańszczyźnianych, ich prawo własności było mniej ustalone, to też nie cenili sobie dostatecznie znaczenia zagrody, jako samoistnej jednostki gospodarczej, byli raczej robotnikami rolnymi, jak włościanami, których podstawą bytu własne gospodarstwo. Uzupełniałaby te wywody uwaga Grossmana o małych nakładach, łożonych przez Polaków na budowę domu, co oczywiście ułatwia realny podział. Dalszym ujemnym skutkiem tego stanu rzeczy jest zbyt wczesne oddawanie gruntu na wymowę dzieciom, wprawdzie spłaty rodzeństwa są nizko wymierzane, ale mimo tego obejmujący gospodarstwo może wyjść na swojem tylko wtedy, gdy rodzice nie żądają zbyt ścisłego wykonania umowy — w polskich okolicach nadzwyczaj są częste procesy, których tłem stosunki z wymowy powstałe. Jakim sposobem gorsze położenie gospodarcze wpływa na zwyczaj zbyt wczesnego oddawania gruntu dzieciom, tego nam prof. Sering nie tłumaczy; nasuwa się tu myśl, czy to nie jest przypadkiem skutkiem gorszego odżywiania, przez co ludność stawała się szybciej do pracy niezdolną. Dr. Busch stwierdzając podobny stan rzeczy w Prusiech Zachodnich (str. 60), przypisuje go lenistwu polskich rolników, zwłaszcza Kaszubów. Dr. Grossmann w pracy o zwyczajach spadkowych hannowerskich, w tym samym zbiorze wydanej, zauważył podobny objaw u tamtejszych Wendów.

Nieco światła na zwyczaje spadkowe w Królestwie rzuca rozprawa p. Jana Czeraszkiewicza [2], który uważa realny podział ojcowizny za nader rozpowszechniony, a na poparcie swego twierdzenia powołuje się na roczne wykazy sądów gminnych za cztery lata od 1895 do 1898 włącznie, podające ilość spraw o podział osad włościańskich w drodze spadku na 34.796. Oprócz tego p. Czeraszkiewicz przytacza, że z 627

---

[1] Pan Stanisław Grabski broni podobnych zapatrywań w przytoczonej rozprawce o parcelacyi, poglądy te nawzajem się uzupełniają.

[2] »Spadkobranie i działy majątkowe wśród włościan w Królestwie Polskiem« (*Ateneum* z czerwca 1901, str. 799—824).

osad gminy Kotlice (pow. tomaszowski gub. lubelskiej) wydzielonych w r. 1864 aż 535 uległo podziałowi w następnych 34 latach i powołuje się na »podobne fakta, zawarte w rocznikach Wisły«, oraz na swoje doświadczenia, zyskane w długoletniej praktyce sądowej. Realny podział wywołuje nadmierne, a jego zdaniem, szkodliwe rozdrobnienie gruntów, tem szkodliwsze, że tą drogą szachownice stają się coraz zawilsze i uciążliwsze, albowiem włościanin posiadający grunt w kilku kawałkach (parcelach) wyznacza każdemu z dziedziców udział w każdym z kawałków. Pogarsza się położenie przez zwyczaj dzielenia gruntów w paski wzdłuż celem zapewnienia dostępu do drogi i wyrównania urodzajem na wyższych miejscach, wymoków i strat na niższych.

Wszystkie trafne uwagi autora o powstających przy realnym podziale szachownicach i o ich zgubnych skutkach, świadczące o znajomości stosunków znajdą niezawodnie uznanie u czytelnika. Natomiast poglądy na rozpowszechnienie realnego podziału i sądy p. Czeraszkiewicza o tych faktach, nasuwają wątpliwości. To, co autor pisze o zwyczajach spadkowych, dowodzi pewnej dążności do unikania podziałów nieracyonalnych, aczkolwiek jej autor zaprzecza. Pan Czeraszkiewicz uważa za charakterystyczne dawanie córkom spłat pieniężnych, a nie gruntu, »faworyzowanie i wyróżnianie jednych dzieci kosztem drugich z widoczną krzywdą tych ostatnich lub z zupełnem ich pominięciem«. Widocznym celem tych urządzeń jest utrzymanie niepodzielności gruntu, o ile to w danych warunkach jest możliwem, a dopatrywanie się w nich wyłącznie »osobistych względów« (str. 802), jest sprzecznem z powszechnością tego zwyczaju, stwierdzoną przez autora. W kilku przytoczonych rejentalnych aktach spadkowych szacunek gruntu jest dość nizki. Celem ułatwienia spłat, obejmującemu ziemię, spadkodawca szacuje nie wedle miejscowych cen osiąganych w wypadkach kupna, sprzedaży, ale bierze widocznie dochody za podstawę rachunku. Także i stwierdzony przez autora wzrost liczby bezrolnych jest poniekąd dowodem pośrednim, że część rodzeństwa musi zadowalniać się spłatami, które z pewnością tworzą poważną część sum obracanych przez włościan na parcelacyjne zakupno obszarów dworskich. Trudność przeprowadzenia tego sposobu podziału spadku na większą skalę tkwi głównie w braku należytej organizacyi kredytowej, to też często podział następuje w ten sposób, że wypłata spadku młodszemu rodzeństwu uskutecznia się częściowo odleglejszymi kawałkami gruntu, częściowo pieniądzmi, a jedno z dzieci, zazwyczaj najstarsze dziedziczy osadę wraz z większą częścią przyległych gruntów.

Wobec tego sam fakt podziału osad nie jest dostatecznie przekonywującym, albowiem nie każdy podział równoznaczny jest z zupełnem rozbiciem pierwotnej całości gospodarczej.

Aczkolwiek p. Czeraszkiewicz pesymistycznie zapatruje się na rozdrobnienie wywołane podziałami spadkowymi (przytacza między innemi, że spory prowizoryalne i szkody polne są najczęstsze w guberniach, w których zwyczaj podziału jest rozpowszechnionym), przecie nie przemawia za zmianą obowiązującego prawa spadkowego, przeciwnie w imię zasady równości gani uprzywilejowanie jednego ze spadkobierców, popada jednak w sprzeczność z własnymi wywodami, oświadczając się za wolnością rozporządzania swem mieniem, której naturalnem następstwem jest niejednokrotnie utrzymywanie całości gospodarczej przez spadkodawcę. Pan Czeraszkiewicz zadowalnia się żądaniem ustawowej komasacyi, uważając dobrowolną za niewystarczającą.

Inni autorowie poszli znacznie dalej, gdy rząd utworzył przed dwoma laty komitety gubernialne dla wydawania opinii o środkach, zdolnych podźwignąć rolnictwo, ozwały się liczne głosy w Królestwie za potrzebą zmiany przepisów spadkowych; podzielone jednak są zdania co do rozciągłości odrębnego spadkobrania: p. Jeziorańskiemu [1] wystarcza reforma, obejmująca włościan, Franciszek Górski [2] radby cały stan rolniczy podporządkować projektowanym przepisom. Pan Jeziorański wykazuje, że uposażenie spłatami nie jest równomierne z nędzą wbrew rozpowszechnionemu przekonaniu i że odpowiada zasadom sprawiedliwości, przytacza zarazem głosy trzech włościan z Piotrkowskiego, którzy stwierdzili dążność wśród włościan do utrzymania całości zagrody.

Franciszek Górski chciałby reformę prawa spadkowego oprzeć o ile możności na rozszerzeniu wolności rozporządzania swem mieniem na wypadek śmierci i ograniczeniu części obowiązkowych, większych wedle zasad kodeksu Napoleona, jak wedle ustawodawstwa austryackiego lub niemieckiego, nie mówiąc już o angielskim, pod tym względem bardzo liberalnym; ale bardzo słusznie nie radzi czekać z urzeczywistnieniem tego programu na postanowienie ustawodawcy, lecz odwołuje się do samopomocy, wykazując, jak niebezpiecznym jest dla

---

[1] »Spadkobranie u włościan« (»Prace sekcyi rolnej« za II półrocze 1902 r. str. 80—93) oraz l. c.

[2] »Prawo spadkowe a własność ziemska w Królestwie« (*Biblioteka Warszawska* I kwartał, 1903, str. 276—298).

utrzymania się przy ziemi zbyt wysokie szacowanie ojcowizny w postępowaniu spadkowem, przemawia za jedynie słuszną zasadą kapitalizowania dochodu, a przeciw obliczaniu wedle tego, ileby można uzyskać w drodze kupna i sprzedaży.

Częściowym sposobem osiągnięcia celu zakreślonego przez reformę prawa spadkowego jest projekt ustawy o włościach rentowych, uchwalony niedawno przez sejm galicyjski, a który przewiduje »tworzenie rolnych jednostek gospodarczych średnich rozmiarów, nabywanych za cenę kupna uiszczaną nie w naraz zapłaconej kwocie, lecz w rozłożonej na długie lata, peryodycznie opłacanej rencie umarzającej, przy zastrzeżeniu niepodzielności tych gospodarstw na tak długo, aż obowiązek opłacania renty nie ustanie« [1]. A zatem dopóki obowiązek płacenia renty nie ustanie, realny podział włości także i w wypadkach spadkobrania jest wykluczony. Z powodu zwlekania rządu z przedłożeniem ustawy do sankcyi jeden z jej głównych inicyatorów, poseł Hupka wystąpił z artykułem, wykazującym potrzebę wprowadzenia jej w życie jak najrychlej, oraz bezpodstawność zarzutów, przemawiających przeciwko zatwierdzeniu; autor dowodzi, że rzekome dążności osadnictwa mazurskiego na Rusi, czego niektórzy dopatrywać się chcieli w ustawie, nie są zgodne z rzeczywistymi zamiarami większości sejmowej. Prawo o włościach rentowych miałoby także ważne znaczenie dla rozpowszechnienia taniego kredytu hipotecznego, przewiduje bowiem konwersyę dotychczasowych, nieracyonalnie wysokich długów, na nizko oprocentowane pożyczki, spłacalne w annuitetach, a udzielane w formie papierów nowego typu: listów rentowych.

Cenne prawdziwie uwagi o szkodliwości rozdrobnienia gruntów zawiera przeznaczona dla włościan rozprawa p. Juliana Tałasiewicza, wydana przez Towarzystwo Kółek rolniczych [2]; autor ostrzega przed dzieleniem realnem przy spadkobraniu i radzi grunt oddawać dziedzicowi dopiero po zaspokojeniu spłat, a tymczasem ustanawiać osobny zarząd na wspólny rachunek wszystkich interesowanych, co uważam za proceder zbyt zawiły. Pan Tałasiewicz na podstawie długoletniego doświadczenia sędziowskiego wykazuje, że sąd przy postępowaniu spadkowem może niejednokrotnie przyczynić się do uniknięcia realnego po-

---

[1] Dr. Jan Hupka: »Włości rentowe, a parcelacya« (*Przegląd Polski* za III kwartał 1903 r., str. 351—371).

[2] »Wskazówki dla włościan w sprawach spadkowych i opiekuńczych«. Lwów 1902. str. 135.

działu dziedzictwa ściśle wykonując obowiązujące ustawy. Pan Piotr Szafnara, c. k. sekretarz sądu, wyraża podobne zapatrywania w swej popularyzującej rozprawce: »Pogadanka o prawie spadkowem (Kraków 1904, str. 63), wydanej w »Bibliotece Prawdy«. Dla Galicyi jest pytaniem spornem, czy realny podział spadkowy był już rozpowszechnionym przed r. 1868 wbrew nakazom wówczas obowiązujących ustaw, Karol Grünberg [1] odpowiada twierdząco.

W ciągu ostatnich kilku lat założyli rolnicy w Królestwie szereg towarzystw rolniczych, rozwijających się pomyślnie, skutkiem czego wzmógł się ruch literacki, stawiający sobie za cel opracowanie tego przedmiotu. Przedewszystkiem chciano sobie uprzytomnić, co zdziałała zagranica na tem polu. Pan Józef Jeziorański [2] rozróżnia »towarzystwa i stowarzyszenia« rolnicze: »jedne kładą nacisk główny na rozkrzewienie nabytków wiedzy i doświadczenia w rolnictwie, drugie dążą do osiągnięcia dla uczestników bezpośrednich korzyści gospodarczych i społecznych« (str. 336). Podział ten nasuwa pewne zastrzeżenia terminologiczne i merytoryczne. Cała rozprawa zatytułowana jest »stowarzyszenia rolnicze«, która to nazwa służy równocześnie dla określenia jednego z poddziałów — tok myśli byłby jaśniejszym, gdyby można było uniknąć tego dualizmu. Także i merytorycznie podział nie jest zupełnie ścisłym, ponieważ towarzystwa rolnicze, opisywane przez p. Jeziorańskiego część swej działalności poświęcają bezpośrednim korzyściom członków na równi ze stowarzyszeniami. Towarzystwo rolnicze niemieckie prowadzi im rachunki gospodarskie, dostarcza planów budowli (stajen, obór), pośredniczy w nabywaniu nawozów, nasion, maszyn, pasz koncentrowanych, a Tow. angielskie utrzymuje laboratoryum chemiczne. Podział na towarzystwa i stowarzyszenia jest bardzo rozpowszechniony, ponieważ uwzględnia łatwo uchwytne prawnicze znamiona, stowarzyszenia dają wierzycielom większą majątkową gwarancyę, podczas gdy członkowie towarzystw nie odpowiadają za długi instytucyi, podział ten jednak nie wyraża ekonomicznego i społecznego charakteru zawodowych związków rolniczych, jest niedostatecznym zwłaszcza wtedy,

---

[1] *Studien zur österreichischen Agrargeschichte.* Leipzig 1901, str. 281, w szczególności *Bestiftungszwang und bauerliches Erbrecht* vor 1868 in Galizien, str. 217—223.

[2] »Stowarzyszenia rolnicze« (*Biblioteka Warszawska* tom I, za I kw. 1901, str. 336—364 i 513—555. (Artykuły te autor przedrukował z małemi zmianami w X tomie »Encyklopedyi rolniczej«).

gdy kryteryum podziału — wedle intencyi autora — odnosi się właśnie do znamion ekonomicznych i społecznych.

Pan Jeziorański przedstawia kolejno szereg wiadomości o Królewskiem Towarzystwie rolniczem angielskiem, francuskiem, niemieckiem i duńskiem, w drugiej części pisze o stowarzyszeniach niemieckich, francuskich i duńskich. Rozpatrzenie się i należyte wykorzystanie obfitego materyału utrudnia brak systematycznego ugrupowania wedle celów, których urzeczywistnieniem zajmują się poszczególne związki. Gromadząc znaczną ilość faktów, autor nie zawsze zastanowił się nad ich właściwem znaczeniem, to też część jego informacyi jest mylną. Stowarzyszenia hodowlane nazywa »wytwórczemi«, na co nie mógłbym się zgodzić, ponieważ działalność ich ma przeważnie inny charakter; utrzymują na wspólny koszt instruktora, prowadzą książki rodowe, ułatwiają sprzedaż bydła; czynności te ułatwiają produkcyę, ale nie wystarczają do nazwania tych stowarzyszeń wytwórczemi. Zupełnie błędną jest informacya, że stowarzyszenia hodowców większej własności nazywają się *Herdbuchgenossenschaften* a drobnej *Zuchtgenossenschaften*. Związki hodowlane drobnej własności, gdy dojdą do pewnego stopnia rozwoju, prowadzą także wspólne księgi rodowe. Prócz tego znalazłem jeszcze kilka innych mylnych wiadomości.

Najwięcej wzmianek spotykamy o assocyacyi rolniczej duńskiej. Pan Stanisław Piotrowski [1] streścił wywody rosyjskiego pisarza Kriukowa, p. S. Posner w swych barwnych szkicach: »Drogi samopomocy społecznej« (Warszawa 1903, str. 361) poświęca kilka kartek »walce z wydmą piaszczystą« (str. 50—58), prowadzoną przez duńskie towarzystwa dla zalesiania nieużytków. Danię poczytuje także dr. Zofia Golińska [2] za kraj, w którym spółki rolne doszły do znaczenia większego, jak gdzieindziej; jest to broszura popularyzująca wiadomości o kooperacyi rolniczej, o związkach, przynoszących bezpośrednią materyalną korzyść członkom, Rozprawka p. Stefana Kozłowskiego, dyrektora działu handlowego w Towarzystwie rolniczem kieleckiem [3], podaje wiązankę dość luźnych szczegółów o artelach, kasach Reiffeisena, stowarzyszeniach spożywczych angielskich i o wielu innych najrozmaitszych formach assocyacyi.

Bardziej specyalny charakter ma broszurka prof. G. Steingra-

[1] »Towarzystwa i stowarzyszenia rolnicze w Danii«. *Ekonomista* 1901, om I, str. 115—133.

[2] »Spółki rolnicze i handlowe«. Warszawa 1904, str, 72.

[3] »Zasady kooperacyi«. Kielce 1904, str. 33.

bera [1]. przedstawiająca pomyślne wyniki imponującego zrzeszenia niemieckich właścicieli gorzelń, którzy zdołali wspólnymi siłami zapobiec grożącej hyperprodukcyi spirytusu i nieuchronnej zniżce cen. Pan Karol Turski, pierwszy kierownik biura rachunkowego, założonego przed kilku laty przy krakowskiem towarzystwie rolniczem, wydał szereg pouczających rozprawek [2] o związkach rolników niemieckich, mających na celu udoskonalenie i prowadzenie ksiąg rachunkowych w gospodarstwach swych członków.

Zwięzły, a przejrzysty obraz szybkiego rozwoju assocyacyi rolniczej w Belgii zawiera rozprawka ks. Leonarda Lipkego T. J. [3]. Autor streszcza dzieje związku flamandzkiego, założonego głównie staraniem ks. Mellaertsa, oraz zapoznaje czytelnika ze statystyką spółek kredytowych i asekurujących bydło.

Szereg ważnych wiadomości, skądinąd niedostępnych, zawiera praca p. Stanisława Dzierzbickiego [4]. Autor przedstawia usiłowania podejmowane w Królestwie od r. 1874 celem zakładania związków rolniczych, powołanie do życia w roku 1886 sekcyi rolnej i jej zakres działania, natomiast nie wspomina o krótkotrwałych spółkach rolniczo-handlowych, zakładanych w początkach dziewiątego dziesięciolecia zeszłego wieku na wzór dawnych »Domów zleceń dla spraw rolniczych«. Na podstawie ustawy normalnej z roku 1897 powstały w latach 1899—1901 towarzystwa rolnicze w każdej z 10 gubernii Królestwa, których działalnością zajmuje się druga, obszerniejsza część pracy p. Dzierzbickiego. W chronologicznym porządku zakładania związków zapoznaje nas autor z liczbą członków, ze stanem funduszów zakładowych, z wynikami działów handlowych za r. 1900 i 1901, zakupujących dla członków maszyny, nasiona, nawozy, wspomina o dyskusyach przeprowadzonych na posiedzeniach, o podaniach do rządu w sprawie poprawy stosunków rolniczych, o tworzeniu specyalnych związków hodowlanych, kierowanych przez stale płatnych urzędników (instrukto-

---

[1] »Związek handlowy producentów spirytusu«. Lwów 1903, str. 24.

[2] »Biura rachunkowe rolnicze w Niemczech«. Kraków 1900, str. 12, »Kilka uwag o rachunkowości i biurze rachunkowem rolniczem«. Kraków 1902, str. 22. »Biura rachunkowe rolnicze« w »Pracach sekcyi rolnej« za I półr. 1904. Warszawa 1904, str. 48—71.

[3] »Nowe kierunki społeczne i ideały przyszłości«. Kraków 1904, str. 292. »Z ruchu agrarnego w Belgii« str. 192—228.

[4] »Stowarzyszenia rolnicze w Królestwie Polskiem«. Ekonomista 1902, tom II, str. 88—103 (cz. I) i 72—116 (cz. II).

rów hodowli) i t. d, Niestety zakończenie nie podaje ogólnego zestawienia dla wszystkich towarzystw, dowiadujemy się tylko, że r. 1902 towarzystwa sprzedały towarów za przeszło $1^1/_2$ miliona rubli. Ilość członków za rok 1901 obrachowałem na z górą $2^1/_2$ tysiąca; towarzystwo warszawskie przoduje zarówno wielkimi obrotami w dziale handlowym, jak znaczną ilością członków (500).

Edwin A. Pratt [1] wyraża się pochlebnie o działalności towarzystw rolniczych w Królestwie na podstawie sprawozdań angielskiego, jeneralnego konsula w Warszawie, w dziele, w którem omawia współczesne związki rolników na obu półkulach. Zwraca uwagę angielskich fabrykantów maszyn rolniczych na możność zbytu za pośrednictwem towarzystw rolniczych. *Dr. A. Krzyżanowski.*

Klasztory Karmelitanek Bosych w Polsce, na Litwie i Rusi. Ich początek, rozwój i tułactwo w czasie rozruchów wojennych w XVII w. Rzecz osnuta na kronikach klasztornych. Kraków: I. Klasztor św. Marcina. II. Klasztor S. M. Teresy i św. Jana od Krzyża. W Krakowie. 1904.

Pięknem, nie tylko staranną i kosztowną edycyą, naśladującą papierem i drukiem dawne wydania, ale podniosłym duchem św. Teresy naznaczonem dziełem, MM. Karmelitanki Bose, na Łobzowie, rok jubileuszowy zaznaczają! Dziewice Karmelu z poza klasztornej kraty podają społeczeństwu dzieje swojego Zakonu, odkąd stanęły pierwsze córki św. Teresy, z Niderlandów przybyłe, na polskiej ziemi.

Tom III-ci, który mamy przed sobą, opowiedziawszy w krótkości, jak się OO. Karmelici osiedlili w Krakowie, w miejscu, gdzie obecnie szpital św. Łazarza i ogrody przy nim, zajmuje się od razu pierwszemi, z wielkim animuszem i weselem ducha ponoszonemi »turbacyami« zakonnic obcych i nieznających obyczaju ani mowy polskiej. Uderza w tym, naiwnie nieraz robionym opisie, połączenie dziecinnych często i drobnych relacyi z rzeczami niemal dziejowej wartości. Możnaby powiedzieć czytając, że dla tych dusz czystych nic niema wielkiego i nic małego, prócz chwały Bożej.

Wdzięcznem i pokornem sercem przyjmują od Boga próby i utrapienia niezliczone, towarzyszące budowie pierwszego klasztorku przy kościele św. Marcina (dziś zborze luterskim), wdzięcznem i pokornem przyjmują od ludzi pomoc i pociechy w owych utrapieniach. Społe-

[1] *The Organization of Agriculture* London 1904, str. 403. *Poland* str. 215—220.

czeństwo polskie upodobało sobie prędko córy św. Teresy, której pisma przełożone na nasz język przez ks. Sebastyana Nuceryna (Orzeszkę) więcej może znane były dawnym, niż teraźniejszym Polkom, wnet też budzą się powołania zakonne i każdy stan, od stopni tronu aż do słomianej strzechy, swoje lilie na Karmelu składa.

W owych czasach rycerstwa i ascezy, dla kobiety, jak to pięknie wyraziła Deotyma, dwie tylko były mody: Albo habitowy len — Albo rąbek panny młodej — Bierz panienko, ten, lub ten!... Wykaz dziewic, poświęconych modlitwie i umartwieniom pokuty, podaje nam nazwiska córek książęcych i magnackich, szlacheckich i mieszczańskich i dwie włościańskie dzieweczki; wiek zwykły powołania między 17—25 rokiem życia, dwie młodziutkie za dyspensą 14—15 lat. Starsze między 40—55 wdowy i jedna 60 lat panna. Imiona zakonne tak Ojców Karmelitów, wplecionych w tok opowiadania, jak i Matek, powtarzają się, prawie jedne i te same, w długim lat szeregu. Jak te barwne szkiełka w kalejdoskopie, co jedne i te same, za każdem potrząśnięciem, w coraz nowe układają się wzory. Wstrząśnień nie brakło w owych burzliwych czasach, i czytając tę kronikę, widzimy też, coraz nowe wzory: pokory, pogodnego ducha, z weselem znoszonych utrapień tułactwa, w czasie morowej zarazy i szwedzkiego najazdu, zniszczenia ukochanego klasztoru i utraty wszelkich ozdób domu Bożego. Prosto, szczerze i naiwnie, jak dzieci, opowiadają te dziecięce w Bogu dusze, jak gdzie jechały, kto się o nie troszczył, kto przyjął życzliwie, a kto odpędził od progu, co jadły, jak i gdzie spały i mieszkały. Za dobre obejście wdzięczne, za złe nie krzywe, bo wszystko z ręki Bożej i na chwałę Bożą.

W przypiskach przy końcu kroniki kl. św. Marcina znajdujemy notatkę historyczną o pragnieniu chwilowem królewicza Jana Kazimierza do przywdziania habitu karmelitańskiego. Pociągnął go przykład ciotecznej siostry: ks. bawarskiej, której podobiznę wraz z portretem Matki założycielki spotykamy w tym tomie.

W dalszym ciągu dzieła czytamy dzieje założenia drugiego klasztorku, św. Teresy na Wesołej. Na samym początku 5 tablic, odnoszących się do fundacyi, dalej dokładne opisanie placu i nazwy ówczesne różnych realności, z których powstał, oraz właścicieli. Prosty a barwny opis założenia kamienia węgielnego a następnie poświęcenia domu i kościoła w obecności fundatorów, Jana Szembeka, kanclerza w. koronnego i małżonki jego Ewy Szembekowej. Ta pani kanclerzyna, wielkiego widać ducha osoba, 18-toletnia mężatka, piękna,

miła i pociągająca, zadziwia i zniewala świątobliwe Matki swoim rozsądkiem i pobożnością. Oprócz bogatych złotych i srebrnych naczyń kościelnych, całą swoją przepyszną wyprawę — wspaniałe suknie, płótna i koronki na aparata kościelne oddaje, (spis tych darów czytamy w kronice) a sama skromne, szare odzienie przywdziewa. Pierworodną córeczkę oboje kanclerstwo na zakonnicę ochotnie przeznaczają i pragną, aby i druga tęż samą wolę okazała. Bóg jednak zrządza inaczej; po paru tygodniach życia, maleństwo w habitku karmelitańskim, wstępuje — ale w groby Karmelitanek, co, według listu pobożnej młodej kobiety, jest jej jedyną w tem strapieniu pociechą: bo potem w życiu, kto wie, jakby być mogło...

Spis Matek tego klasztoru więcej szlacheckich i mieszczańskich panienek podaje, więcej i włościańskich; wiek powołania, czem dalej w XIX stulecie tem późniejszy, a spis do XX doprowadzony. Zamyka się książkę z pociechą i głębokiem uznaniem dla wybranych dusz, o których się czytało, z wdzięcznością dla tych, co ją nam podały i z życzeniem, żeby duch św. Matki Teresy, nowe wzory przyszłym pokoleniom podawał. *A. Rejowicz.*

Z piśmiennictw obcych.

Doctrina Russorum de statu iustitiae originalis. *Dr. Georgius B. Matulewicz.* Cracoviae, 1903, str. 236.

Mało jest znaną na Zachodzie teologiczna literatura wschodnia, zwłaszcza z nowszych czasów, z tego zdaje się powodu, że odnośne prace prawie wyłącznie piszą się w niedostępnym dla teologów zachodnich języku rosyjskim. Stąd bardzo daje się czuć potrzeba prac, któreby zaznajamiały ogół katolickich teologów ze stanem obecnym dogmatyki wschodniej i z jej poglądami na poszczególne kwestye. Potrzebie tej zaradza po części praca d-ra Matulewicza, której tytuł przytoczyliśmy. Jest ona rozprawą doktorską, przedstawioną w uniwersytecie fryburskim. Treścią rozprawy, jak głosi napis, jest nauka teologów rosyjskich o sprawiedliwości pierwszego człowieka, która to kwestya, jak wiadomo, wielkie posiada znaczenie w całości dogmatyki.

Przedmiotem studyów ks. Matulewicza byli rosyjscy teologowie ostatnich lat 60-u, których długi szereg wylicza autor przy końcu swej pracy. Dlaczego nie uwzględnia prac dawniejszych? Dlatego, że i sami

teologowie rosyjscy ostatniego okresu mniejsze im przypisują znaczenie, jako pracom zbyt scholastycznym i stojącym pod wpływem zachodniej teologii, podczas gdy hasłem nowszych autorów jest otrząsnąć się z naleciałości scholastyki i teologię wschodnią oprzeć na samodzielnych podstawach.

Praca ks. Matulewicza jest więcej informacyjną niż polemiczną. Idąc śladem rosyjskich teologów w rozkładzie i podziale materyi, daje autor w każdej poszczególnej kwestyi najpierw treściwy zarys ich poglądów, poparty odpowiednimi a dosyć licznymi cytatami, następnie opinie wschodnie zestawia z odnośnymi punktami teologii katolickiej, zwraca uwagę czytelnika na zachodzące różnice i od czasu do czasu krótkimi argumentami odpiera zarzuty katolikom czynione, lub zbija twierdzenia strony przeciwnej. W ten sposób przechodzi traktat o stanie pierwszego człowieka, o jego przeznaczeniu i zdolności osiągnięcia celu, o Opatrzności Bożej względem Adama, tak przed jak i po jego upadku. Nadto w przypiskach często potrąca o inne pokrewne kwestye, jak o pochodzeniu duszy, o stanie jej po śmierci, o czyścu i t. d.

Wskutek zupełnego rozbratu ze scholastyką, język, terminologia, sposób przeprowadzania rzeczy i argumentacyi u teologów rosyjskich różni się znacznie od zachodniej teologii pod względem przejrzystości. Wszystko to musi sprawiać niemałą trudność dla zachodniego teologa, przywykłego do szkolnej algebry i gotyckiego wykończenia prac scholastycznych. Wielbiciel gotyki i matematycznej ścisłości w pojęciach musi naraz oryentować się i doszukiwać myśli pod fantastyczną ornamentyką secesyi teologicznej. Przezwyciężył jednak te trudności ks. Matulewicz i z mnóstwa najoryginalniejszych szczegółów wybrał najbardziej charakterystyczne rysy, zgrupował je zręcznie i tym sposobem dał dosyć dokładny obraz poglądów teologii rosyjskiej na kwestyę stanu pierwotnej sprawiedliwości. Informacyjna strona rozprawy udała się autorowi tak dobrze, że trudno coś na jej niekorzyść powiedzieć. To jedno chyba można zauważyć, że autor, zapewne w pogoni za jesnością, po kilka razy powraca do tych samych kwestyi. Tak n. p., o celu człowieka czytamy najpierw we wstępie, potem poświęca autor temu przedmiotowi cały paragraf w rozdziale trzecim, wreszcie, pomimo zupełnego wyczerpania tematu, jeszcze raz wraca on pod pióro autora w obszernym dodatku.

Oceniając w kwestyi pierwotnej sprawiedliwości poglądy teologii rosyjskiej, autor znalazł wielkie jej podobieństwo, niemal identyczność z systematem teologicznym belgijskiego teologa XVI stu-

lecia Michała Du Bay'a. W dodatku czwartym zestawił, w celu uwidocznienia tego podobieństwa, wyciąga z rosyjskich teologów z licznemi propozycyami bajańskiemi. Pomimo jednak bijącej w oczy tożsamości wyrażeń, ośmielamy się zakwestyonować identyczność nauki rosyjskiej z nauką Bajusa. Ten ostatni, wychowany w zachodniej szkole, podkładał technicznym wyrażeniom teologicznym ogólnie znane na Zachodzie pojęcia, podczas gdy rosyjscy teologowie całą terminologię wysadzili niejako ze znanego na Zachodzie położenia, przesuwając ją w kierunku innych pojęć. Stąd przy ocenie dogmatycznej wartości ich nauki za sprawdzian nie można brać zgodności lub niezgodności w wyrażeniach z teologią katolicką. Zdarza się bowiem, że wtedy się różnią od nas zasadniczo, kiedy zgodnie z nami przemawiają, jak znowu niekiedy, walcząc z katolikami, w gruncie rzeczy wyznają ich naukę.

Żeby nie wpaść w błąd zawodowych polemistów przeciwnego obozu, którzy w teologii łacińskiej na każdym kroku spotykają błędy, dlatego że terminologii jej nie zrozumieli, musi i teolog katolicki zwracać uwagę nie tyle na wyrażenia teologów wschodnich, ile raczej na wzajemny stosunek pojęć i ich stanowisko w całości systematu. To mając na względzie, przytaczamy parę przykładów, gdzie, zdaniem naszem, dałyby się zatuszować upatrzone przez ks. Matulewicza różnice dogmatyczne między teologią rosyjską, a katolicką, jak również podobieństwa nauki Rosyan z teoryą Bajusa.

Teologowie rosyjscy, zgodnie z nami, najwyższy i istotny element szczęścia, dla którego człowiek został stworzony, upatrują w widzeniu Boga twarzą w twarz; różnica w tem tylko, że katolicy cel ten nazywają nadprzyrodzonym, podczas gdy podług Rosyan jest on naturalnym dla człowieka, stworzonego na obraz i podobieństwo Boże. Ta kapitalna różnica między jedną a drugą teologią odbija się następnie na całym niemal systemacie dogmatyki. Czy jednak różnica owa nie jest tylko pozorną, powstałą z innego znaczenia wyrazu »natura« u rosyjskich teologów, niż jakie ma ten wyraz w teologii zachodniej? Sądzimy, że tak. Katolicy, określiwszy najpierw zdolności i wymagania natury ludzkiej, o ile ją można poznać samym rozumem, i zestawiwszy z przeznaczeniem człowieka, znanem z Objawienia, widzą, że przeznaczenie to przekracza wymagania czystego rozumu, czyli jest nadprzyrodzonem, a zatem i środki doń wiodące, a dane nam przez Boga, stoją poza pojęciem porządku naturalnego. W ten sposób zrozumiałą się staje dla katolika potrzeba łaski, tak mocno zaakcentowana w piśmie św. i tradycyi. Rosyjscy zaś teologowie używają innej metody

w ocenie celu i sił człowieka, metody raczej historycznej niż filozoficznej. Opisują oni odrazu człowieka, jakim według biblii był on stworzony od Boga, i mniemając słusznie, że taki człowiek odpowiadał myśli Bożej, nazywają stan jego normalnym, naturalnym. Następnie doszedłszy samym rozumem do pojęcia celu nieokreślonego bliżej, po dokładne jego określenie uciekają się znowu do biblii[1], a zdobywszy je, cel nazywają również naturalnym, jako odpowiadający zamiarom Boga i proporcyonalny do wszystkich zdolności stworzonego człowieka. Tym sposobem wyrazy »natura, naturalny« użyte są przez nich nie w filozoficznem, lecz historycznem znaczeniu. Jest to stan, odpowiadający myśli i woli Bożej względem faktycznego, nie zaś czysto możliwego człowieczeństwa. Nic dziwnego, że stanąwszy raz na tej wysokości, rosyjscy teologowie pomijają kwestyę elewacyi natury. Natura, przez nich pojęta, jest już podniesioną ponad poziom, na jakimby stała nasza *natura pura,* a zatem elewacyi nowej nie potrzebuje. Tem się tłumaczy, dlaczego teologowie rosyjscy bardzo mało, albo wcale nic nie mówią o łasce habitualnej, uświęcającej pierwszego człowieka. Oni wkluczyli ją pomiędzy składniki tego staru, który nazywają naturą. Rzadko wprawdzie napotkasz wyraźną wzmiankę o łasce, jako jednym z elementów pierwotnego stanu; zwykle figurują tylko rozum, wola i uczucie; obecności jednak łaski wywyższającej każą się domyślać wszystkie ustępy, gdzie jest mowa, że te władze pierwszego człowieka przed upadkiem były proporcyonalnie nastrojone do swego wysokiego celu oglądania Boga, lub gdzie się nastawa na tem, że człowiek był stworzony na obraz Boży, co tylko w hypotezie usynowienia człowieka Bogu przez łaskę, zdaniem wielu Ojców Kościoła, jak św. Atanazego, otrzymuje swoje pełne znaczenie. Obecność łaski, wynoszącej człowieka ponad jego naturę, wziętą czysto filozoficznie, dosyć wyraźnie suponuje nawet najbardziej radykalny, w mniemaniu ks. Matulewicza, teolog Świetłow, gdy pomiędzy skutkami grzechu pierworodnego wymienia śmierć duchowną, czyli utratę łaski, zgodnie z katechizmem Filareta, który znowu pod tym względem jest w zgodzie z katolicką teologią (Курсъ аполог. богосл. Кіевъ 1900, str. 198). Nadto teologowie rosyjscy mówią często o zarodku w czło-

[1] Nie tworzą w ten sposób sylogizmu o 4-ch terminach, jak im zarzuca ks. Matulewicz, lecz treść ogólną, niezdeterminowaną przesłanki wyższej, poczerpniętej z jednego źródła, określają bliżej treścią, znaną z innego źródła. Rozum i biblia nie są tutaj terminami sylogizmu, lecz źródłami poznania.

wieku życia duchownego, n a s i e n i u doskonałości, któremu pierwszy człowiek miał dawać wzrost w sobie. Ks. Matulewicz nie wie, jak owo n a s i e n i e przetłómaczyć na język scholastyki. Zgoda, że wcale ono nie podobne do tak zw. *potentia oboedientialis*, ale nic nam nie przeszkadza widzieć w owym zarodku czy nasieniu naszej łaski habitualnej, wraz ze wszystkiemi cnotami wlanemi, które wzięte w chwili ich udzielenia przez Boga są niczem innem, jeno zarodkiem względem tego stopnia doskonałości, który może się stać udziałem człowieka, pracującego wraz z łaską Bożą. Nic nie znaczy, że rosyjscy teologowie nie kładą tego nasienia r ó w n o l e g l e z władzami człowieka, lecz w s a m y c h w ł a d z a c h je upatrują, gdyż i łaska i cnoty wlane ostatecznie nie są czem innem, jeno pewną j a k o ś c i ą samej istoty i władz duszy, wprowadzającą duszę w inny stosunek z Bogiem, aniżeli ten, jaki byłby w hypotezie czystej natury. Taką zaś jakość i taki stosunek wyższy uznaje teologia wschodnia, skoro widzi proporcyonalność pomiędzy władzami człowieka pierwszego i jego w y s o k i e m przeznaczeniem. Jeśli rosyjscy teologowie czynią nam zarzuty z powodu nauki naszej o cnotach wlanych, to dzieje się z nieznajomości pojęcia, jakie dogmatyka katolicka podsuwa temu terminowi, lub z prostej niechęci dla scholastyki. Wyrazy: c n o t a, ś w i ę t o ś ć, d o s k o n a ł o ś ć i t. p. straciły na Wschodzie to znaczenie, jakie mają w scholastyce, zachowując tylko myśl, jaką zwykły wypowiadać w codziennym języku. Wszak nikt, kto nie obeznany z językiem szkoły, nie nazwie świętem, cnotliwem, moralnie doskonałem dziecka ochrzczonego, lecz spoczywającego jeszcze w kołysce, jakkolwiek nie przeczy realnej w niem zmiany, sprawionej przez wodę chrztu świętego. Cnotą Rosyanie nazywają obecnie tylko pewien stan, czy stopień doskonałości n a b y t e j, sądząc zaś, że to jest jedyna, możliwa definicya cnoty, przeczą temu, aby taka cnota mogła być wlaną człowiekowi bez jego współudziału. Samą zaś rzecz, noszącą u nas miano darów wlanych, oznaczają nazwami nasienia, zarodka cnoty, obrazu Bożego i t. p. Lecz o nazwy nie warto kruszyć kopii. W kwestyi sprawiedliwości pierwotnej, rosyjscy teologowie wtedy dopiero popełniliby błąd dogmatyczny, gdyby wyraźnie zaprzeczali istnienia łaski poświęcającej, lub z celu człowieka wykluczali widzenie istoty Bożej, lub wreszcie przeczyli filozoficznej możliwości czystej natury, po naszemu pojętej. Tymczasem pierwsze i drugie nie ma miejsca: rosyjska teologia uznaje to samo, co i my, tylko mówi różnym od naszego językiem; co się zaś tyczy trzeciej kwestyi — możliwości natury czystej — wcale się nią niezajmuje. Mają

za złe rosyjscy teologowie papieżowi, że potępił 55 propozycyę Du Bay'a, lecz sam ks. Matulewicz zgadza się na to (str. 126), iż zarzut w tym razie polega na nieporozumieniu. Myślą, że my pod nazwą czystej natury rozumiemy dzisiejszy stan upadłej ludzkości, ze wszystkimi jego brakami, a bez tych Bożych pomocy, któreby otaczały człowieka w stanie czystej natury. Jeżeli więc sądzi autor, że nie robionoby nam zarzutu z tego powodu, gdyby zrozumiano naszą terminologię, to znaczy, że w gruncie rzeczy obie strony są ze sobą w zgodzie.

Inna wielka różnica między teologią wschodnią a katolicką polega, zdaniem ks. Matulewicza, na tem, że teologowie wschodni nie znają wiedzy wlanej Adama. Zapewne, że zagalopował się Świetłow i inni, czyniąc Adama dzieckiem, lecz krańcowość ta równoważy się poglądami innych teologów, przypuszczających *scientiam infusam*, tylko unikających tej nazwy. Przypisując Adamowi taką siłę intelektualną, że przy pierwszem wejrzeniu na jakiś przedmiot odgadywał jego własności i istotę, dosyć wyraźnie przyznają w Adamie to, co my nazywamy *habitus infusus scientiae*. Unikają zaś tej nazwy zapewne dlatego, że sądzą, jakoby pod nią kryło się pojęcie aktualnego posiadania całej nieskończoności pojęć i to uprzednio do zetknięcia się z przedmiotami poznania. Lecz takiej wlanej wiedzy nikt nie ma potrzeby przypisywać Adamowi. Gorsze jest przechylanie się niektórych teologów ku tradycyonalizmowi, w kwestyi nabycia pierwszych pojęć religijnych i moralnych.

Nie chcemy zbytnio rozszerzać niniejszej recenzyi i dlatego pomijamy inne punkta, roztrząsane przez autora, któreby dały się wyłożyć w znaczeniu katolickiem. Przedewszystkiem możnaby pozostawić rosyjskich teologów w spokojnem posiadaniu pewnych oryginalnych koncepcyi, co się tyczy metody, podziałów, terminologii i t. p. Tak naprzykład, co zaszkodzi dogmatowi potrójny podział władz duszy? Wydzielmy z działalności woli to, co nazywamy *appetitus innatus* i będziemy mieli trzecią władzę — uczucie. Można upatrzeć podstawę i do tego rozróżnienia, które czynią teologowie rosyjscy między stanem natury, a stanem łaski, rozumiejąc pod pierwszym stan człowieka przed upadkiem, a pod drugiem stan jego po upadku. Łaska bowiem udzielona człowiekowi w tym ostatnim stanie podwójnie godną jest tego miana, daje się bowiem podmiotowi pozytywnie niegodnemu, podczas gdy łaska Adama ozdabiała podmiot negatywnie tylko niegodny swego wywyższenia. To samo, mniej więcej, da się powiedzieć o rozgraniczeniu pojęć działalności twórczej Boga, a jego Opatrzności; działania

przyrodzonego i nadprzyrodzonego i innych. O łasce aktualnej i pomocy Bożej *(concursus)* naturalnej nie piszemy, gdyż przedmiot ten nie należał wprost do pracy ks. Matulewicza.

Jedną z osobliwości teologii rosyjskiej przedstawia tłumaczenie ustępu Genezy: *Uczyńmy człowieka na wyobrażenie i na podobieństwo nasze.* Wyobrażenie ma tu znaczyć wszystko to, co Adam otrzymał w dniu swego stworzenia; ziszczenie zaś podobieństwa do Boga jest dziełem pracy całego żywota przy pomocy Bożej. Ze stworzeniem otrzymał człowiek tylko zarodek tego podobieństwa. Ta dystynkcya jest kanwą całego traktatu o stanie pierwszego człowieka. Ks. Matulewicz zapytuje, dlaczego p o d o b i e ń s t w o ma oznaczać doskonałość powoli nabytą, a o b r a z — dary naraz otrzymane, skoro tak o jednem jak drugiem zarówno Bóg wyrzekł: U c z y ń m y? Odpowiedział już na to św. Grzegorz Nysseński. Opowiadając o c e l u zamierzonym przez Stwórcę, Biblia używa dwóch wyrazów: obrazu i podobieństwa pouczając zaś nas o tem, co Bóg rzeczywiście s a m uczynił, zaraz w następnym wierszu, Geneza powiada: *I stworzył Bóg człowieka na wyobrażenie swoje.* Opuszczając wyraz »p o d o b i e ń s t w o«, ma nas pouczyć Pismo święte, że zdobycie jego jest rzeczą naszej własnej woli i pracy. *Unum in creatione, alterum in electione positum est* [1]. Czy wykład trafny, czy nie, mniejsza o to; można jednak teologów rosyjskich pozostawić przy nim, skoro mają za sobą powagę wielkiego doktora Kościoła. Takie i inne jeszcze pomysły teologów rosyjskich, jak np. drobiazgowe opisy rajskiego życia lub psychologiczny rozbiór upadku pierwszych rodziców, być może, że nie dałyby się przeprowadzić i udowodnić w ściśle szkolnych traktatach, lecz w teologiach o tak parenetycznej formie, jak prace rosyjskich uczonych, są one zupełnie na miejscu.

Nie tu miejsce badać źródła niechęci teologów rosyjskich do wszelkich nabytków scholastyki zachodniej, widocznym jest jednak fakt, że niechęć ta istnieje i sprawia rozdział między obiema stronami do tego stopnia, że z trudnością zaledwie mogą się one wzajemnie rozumieć. Stąd również pochodzi, że nowsi teologowie rosyjscy, mając za złe katolikom ewolucyę dogmatyczną, sami zdają się wpadać w to, co ks. Matulewicz trafnie nazwał *regressus in fide.* Lecz jak katolicki postęp nie polega na zmyślaniu *ex nihilo* nowych dogmatów, co nam niesłusznie zarzucają, tak i strona przeciwna w swem cofaniu się nie

[1] Migne t. XLIV, col. 274.

pozbyła się jeszcze objawionego dogmatu, przynajmniej w kwestyi sprawiedliwości pierwszego człowieka. Ona tylko niepotrzebnie odrzuca nabytki szkolnej pracy tylu wieków, wspaniałe drzewo teologicznej nauki usiłując napowrót wtłoczyć w ciasną łupinę żołędzia, z którego wyrosło. Miejmy nadzieję, że z czasem żołądź na nowo rozwinie się w dąb rozłożysty. Tak, zdaniem naszem, rzecz się ma z większą liczbą spornych kwestyi, których długi wykaz przytoczył ks. Matulewicz we wstępie swej książki. Teolog, z którego został wyjęty ów katalog, nie jest znowu taką znakomitością, aby jego zapewnieniom przydawać wielkie znaczenie. Nie można też twierdzić, że te różnice i zarzuty przeciw katolikom stały się przedmiotem powszechnej i publicznej wiary Rosyan (str. 3). Świadomość dogmatyczna, o ile dochodzi w Rosyi do szerszych mas, opiera się na pewno nie tyle na traktatach nowszych teologów, lecz raczej na katechizmie Filareta, który doczekał się przeszło 70 wydań i cieszy się niemal symboliczną powagą. Temu zaś katechizmowi obcemi są subtelności nowszych dogmatyków i ich niechęć do zachodniej scholastyki. Zresztą różnice te nie mogą stać się przedmiotem wiary choćby z tego powodu, że nie zostały określone na żadnym z pierwszych 7 soborów, jedynie autoryzowanych na Wschodzie. Taka nawet kapitalna kwestya, jak o ewolucyi dogmatów, począwszy od Wł. Sołowiewa, jest przedmiotem gorących sporów rosyjskich teologów, i bynajmniej nie wszyscy rozwiązują ją w duchu antykatolickim.

Ks. dr. Matulewicz bardzo często w przypiskach swej książki wskazuje na rozmaite kwestye z teologii rosyjskiej, którymby warto było poświęcić osobne prace z naszej strony. Mamy przekonanie, że najlepiej uskuteczni to sam autor pracy, której poświęciliśmy naszą uwagę, i tem przysłuży się innym zachodnim teologom. Zanim to nastąpi, dziękujemy za pierwszą pracę, którą też gorąco polecamy wszystkim chcącym się bliżej zapoznać z poglądami, duchem i metodą teologii rosyjskiej. *Ks. Jan Urban.*

Les systèmes socialistes et l'évolution économique. Par *Maurice Bourguin.* Paris. Colin 1904. Str. 498.

Ktokolwiek zajmuje się kwestyą społeczną — a któryż człowiek rozsądny n i e powinien nią się zajmować? — znajdzie w tej książce uczonego profesora uniwersytetu paryskiego wskazówki, doskonale oryentujące w lesie literatury socyalistycznej i dużo cennych wiadomości o rozwoju gospodarczym narodów oświeconych. A trzeba było zadać

sobie pracy niemało, żeby tak jasno uporządkować wszystkie, nasuwające się tu zagadnienia, ocenić wykonalność przeróżnych projektów reformatorskich i usunąć zamieszanie pojęć, wywołane przez najwybitniejszych teoretyków socyalizmu: Marxa, Engelsa, Kautskyego, Jaurèsa i t. d. Pomijając utopistów dawniejszych, zaczyna autor od krytyki kolektywizmu i wykazuje błędy zasadnicze tej doktryny: narzędzia pracy (fabryki, kopalnie, ziemia) mają stać się własnością zbiorową społeczeństwa, które będzie kierowało wszystkiemi robotami w sposób dla dobra publicznego pożyteczny i będzie wytwory pracy rozdzielało sprawiedliwie, uwzględniając wielkość trudu każdego robotnika i ilość godzin, którą każdy pracuje. Wartość zaś każdej rzeczy ma być oceniana według czasu, przeciętnie obliczonego, którego jej wytworzenie wymaga. Natenczas każdy obywatel będzie otrzymywał od zwierzchności wynagrodzenie, na które sobie zasłuży, a które równać się będzie wartości jego wytworu (po odciągnięciu pewnej części, która ma być zużytą na zaspokojenie potrzeb zbiorowych całego społeczeństwa). Wtedy nie będzie już kapitalistów i najmitów, nikt nie będzie wyzyskiwał pracy drugiego na swoją korzyść, nie będzie wymiany towarów ani żadnego handlu pomiędzy osobami prywatnemi i t. d. Autor jednak dowodzi w sposób przekonywujący, że po 1-e ta teorya wartości jest pomysłem utopijnym, a po 2-e, że urzeczywistnienie myśli przewodniej kolektywizmu napotkałoby na nieprzezwyciężone trudności. Trzebaby utworzyć olbrzymią machinę biurokratyczną, która musiałaby się troszczyć o równowagę produkcyi i potrzeb (jest to zagadnienie zasadnicze wszelkiej organizacyi społecznej), przepisywać rolnikom, ile mają dostarczać w roku zboża i jarzyn, fabrykom, ile mają wytwarzać i jakiego obuwia, ile sukien, sprzętów i t. d. Trzebaby także wyznaczać każdemu pracę, zastosowaną do jego zdolności i do potrzeb społeczeństwa, przyczem nie obeszłoby się bez środków przymusowych, bo można przewidywać, że brakowałoby ochotników do robót ciężkich i niezgodnych z wrodzonemi ludziom skłonnościami. Najlepsi urzędnicy nie podołaliby temu zadaniu, nie mogliby dogodzić wszystkim obywatelom a choćby tylko znacznej mniejszości.

Trudności te zaczynają już i sami kolektywiści coraz lepiej pojmować i dlatego nie chcą rozwijać szczegółowo planu organizacyi przyszłego państwa socyalistycznego, lecz wolą poprzestawać na zapowiedziach i obietnicach niejasnych, nieuchwytnych, a tylko budzących w duszach robotników nieokreśloną bliżej nadzieję lepszej przyszłości. Wielu stara się nawet przysłonić właściwy i ostateczny cel swojej

partyi, a zwłaszcza w czasie agitacyi wyborczej, kiedy chodzi o pozyskanie włościan i rzemieślników: wtedy mówi się dużo o całkiem innych projektach, które można słusznie uważać za wyparcie się kolektywizmu; przyrzeka się bowiem ochronę drobnej własności chłopskiej i warsztatów rękodzielniczych, które przecież w ustroju kolektywistycznym nie dałyby się utrzymać. Ta jednak nieszczerość może wprawdzie chwilowo okazać się dla kandydatów socyalistycznych korzystną, ale w dalszych swoich następstwach musi zaszkodzić ich stronnictwu.

W dalszym ciągu ocenia autor najwybitniejsze z pomiędzy nowszych projektów kolektywistycznych a mianowicie Jerzego Renarda, Gronlunda i Sulzera, pomysły oznaczone nazwami: »socyalizm państwowy«, »socyalizm komunalny«, »socyalizm korporacyjny«, — systemy Paepego, Malona, Broussea, Antoniego Mengera (którego dzieło przełożono niedawno na język polski, a który oświadcza się za komunizmem municypalnym), Hertzki (którego myśl stworzenia »Freilandu« spróbowano już urzeczywistnić, ale z niepomyślnym skutkiem) i t. d.; poczem przechodzi autor w części drugiej do faktów rozwoju ekonomicznego, stając na gruncie »realizmu historycznego« (str. 128) i szuka na podstawie tych faktów odpowiedzi na pytanie: czy społeczeństwa nowoczesne zbliżają się do urządzeń kolektywistycznych czyli też przyszłość należy do zasady indywidualizmu? Wiadomo, że według twierdzenia wielu pisarzy socyalistycznych zbliżamy się już dzisiaj szybkim krokiem do urzeczywistnienia ich programu, ponieważ wielka produkcya fabryczna wypiera coraz bardziej przemysł drobny i średni, wielkie przedsiębiorstwa opanowują kopalnie, huty żelazne, przędzalnie i t. d., ponieważ dalej rośnie liczba najmitów a wreszcie gminy i państwa prowadzą już wiele przedsiębiorstw we własnym zarządzie. Otóż autor wykazuje, że to wszystko nie zbliża nas do celu, wskazanego przez socyalistów. Po pierwsze bowiem przemysł drobny nie jest wcale, jak wnoszą socyaliści z faktów, na które się powołują, zupełnie zagrożony ruiną, ale raczej postęp dobrobytu i jemu wychodzi na pożytek (str. 191), liczba drobnych warsztatów wzrasta (str. 177), równie jak i liczba właścicieli ziemskich (str. 199, 201, 209). Niektóre tylko rzemiosła a zwłaszcza szewskie, okazują w Niemczech ubytek majstrów samodzielnych (str. 186) i coraz trudniej im walczyć z produkcyą fabryczną, ale to nie uprawnia jeszcze do wniosków tak pesymistycznych, do jakich dochodzi między innymi Sombart (w dziele swojem: *Der moderne Kapitalismus* t. I, str. 615—618). Po drugie:

t. zw. »socyalizm municypalny« i »państwowy« różni się oczywiście w punktach najważniejszych od kolektywizmu, którego urzeczywistnienie musiałoby sprowadzić przewrót zupełny stosunków. Może to być rzeczą dla dobra publicznego bardzo pożyteczną, kiedy gmina lub państwo wykupuje od spółek prywatnych koleje, kopalnie i t. p., ale to niema nic wspólnego z programem, żądającym, żeby społeczeństwo przywłaszczyło sobie wszystkie bez wyjątku narzędzia pracy, żeby wartość wszystkich produktów nie była zawisłą od stosunku podaży do popytu (jak była dotąd zawsze i wszędzie), żeby ją raczej mierzono czasem, potrzebnym do wytworzenia każdej rzeczy, żeby zwierzchność wzięła w swoje ręce całą produkcyę, całą organizacyę wszystkich gałęzi pracy i wymianę towarów. Dzisiejsze przedsiębiorstwa państwowe i gminne nie zabijają prywatnych, nie odbierają jednostkom wolności i środków potrzebnych do pomnożenia majątku, tylko zmniejszają w pewnej mierze zyski kapitalistów prywatnych (na czem ogół obywateli dobrze wychodzi) a zarazem dają utrzymanie stałe licznym zastępom urzędników i innych funkcyonaryuszy. W republice zaś kolektywistycznej nie byłoby miejsca ani dla inicyatywy prywatnej ani dla swobodnego rozwoju jednostek. Nie ulega też wątpliwości, że gdyby ta utopia dała się gdziekolwiek urzeczywistnić, to w każdym razie nie dałaby się długo utrzymać, bo na każdym kroku stawałyby jej w drodze niepokonane przeszkody: na jakiejże np. zasadzie mogłaby się oprzeć zwierzchność przy oznaczaniu ceny towarów albo pomieszkań? Ile godzin musiałby pracować robotnik fabryczny lub rolny dla uzyskania kwitka, za któryby mógł dostać kilogram mięsa wołowego? Jaka ilość godzin pracy zapewniałaby mu mieszkanie o dwóch pokojach suchych, słonecznych, w śródmieściu stolicy a jaka byłaby potrzebną dla otrzymania skromnej izdebki poza obrębem miasta? Ale tu zaraz nowa nasuwa się kwestya: czy wogóle znajdą się wtenczas ludzie, którzy nie będą domagali się od zwierzchności mieszkań wygodnych, obszernych, położonych przy ulicach najpiękniejszych, którzy zechcą osiedlać się dobrowolnie gdzieś na uboczu albo w cichych wioskach, nie posiadających ponęt wielkomiejskich? Można być pewnym, że chyba wyjątkowo znajdzie się robotnik, który podda się chętnie wyrokowi władzy, kiedy ta władza każe mu uprawiać ziemię albo innej, jednostajnej a żmudnej oddawać się pracy.

A więc społeczeństwo dzisiejsze nie zbliża się wcale do celu, który mu wytykają kolektywiści; nie zanosi się też na to, jak wykazuje dalej autor (str. 312 i dalsze), żeby do tego celu miała nas do-

prowadzić wielka rewolucya społeczna, którą zapowiadają zwolennicy Marxa: ani lud wiejski nie okazuje się do niej skłonnym, ani robotnicy, zajęci w przemyśle domowym (którzy nie biorą udziału w agitacyi proletaryatu fabrycznego), ani też dobrze płatni najmici wielkiego przemysłu. Szczególnie w Anglii i Stanach Zjednoczonych dowodzą wielkie związki robotnicze, całem swojem postępowaniem, że potęga i dojrzałość klasy robotniczej nie usposabia jej wcale do przejęcia się duchem rewolucyjnym. Można raczej przewidywać, że dalszy rozwój stosunków gospodarczych będzie się odbywał bez gwałtownych przewrotów, że porządek dzisiejszy nie ulegnie zmianom radykalnym. Autor nie bawi się w proroka, ale stara się wysnuć w sposób ostrożny i zgodny z wymaganiami nauki pewne wskazówki na przyszłość z faktów, wysnuwających się dzisiaj na pierwszy plan w dziedzinie ekonomii społecznej.

I tak przypuszcza on najpierw, że administracya publiczna wydoskonali się w przyszłości i będzie mogła nowe usługi wyświadczać społeczeństwu, ale zarazem będą mnożyły się i potężniały stowarzyszenia (spółki wytwórcze, syndykaty rolne i t. d.), które nie zechcą wyrzec się swojej samodzielności i poddać się kierownictwu władzy państwowej (str. 336). Rozwój tych stowarzyszeń nie będzie postępował, równie jak dotąd, i w przyszłości w myśl socyalizmu (str. 344). Dalej przewiduje pewne ulepszenia w organizacyi pracy najemnej na korzyść robotników i reformy ustawodawcze na rzecz stowarzyszeń zawodowych. Wielką przyszłość mają przed sobą syndykaty, które łączą w krajach przemysłowych coraz większe zastępy robotników i dążą do zabezpieczenia im pomocy na wypadek choroby lub bezrobocia. Mogą one zdobywać coraz wyższe płace dla swoich członków przy ugodach z syndykatami pracodawców, tym zaś sposobem ułożą się i na kontynencie stosunki w sferach robotniczych na modłę angielską. Potężne i kierujące się rozumem stowarzyszenia robotnicze będą czuwały nad wykonaniem ustaw, regulujących pracę, będą przyczyniały się skutecznie do przeprowadzenia reform potrzebnych w stosunkach pomiędzy pracą a kapitałem a tem samem do usunięcia powodów niezadowolenia, które dziś wywołują widmo rewolucyi socyalnej. Prawodawstwo powinno wziąć w opiekę swoją i te kategorye pracowników, które dziś z niej wcale nie korzystają (jak np. u nas najmici, przewożący towary, którzy od wczesnego ranka do późnej nocy pracować muszą za bardzo lichem wynagrodzeniem, — stróże kamieniczni, mieszkający w wilgotnych podziemiach a nie pobierający często żadnej

zapłaty za swoje usługi i t. d.). Nie bez słusznej także przyczyny dążą dziś stowarzyszenia zawodowe do ustalenia płac przez kontrakty zbiorowe, obowiązujące na pewien czas wszystkich pracodawców w każdej gałęzi przemysłu (362 i 365) i t. d.

Mało stosunkowo miejsca poświęca autor działalności społecznej katolików i demokracyi chrześcijańskiej (str. 357—361) i wogóle zamało uwzględnia czynnik religijny w dziele reformy społecznej, ponieważ widocznie wpływu tego czynnika nie umie należycie ocenić. Demokraci chrześcijańscy są według niego w programach swoich równie śmiali, jak reformatorzy socyalistyczni, i dążą, równie jak ci, do wzmocnienia stowarzyszeń i rad zawodowych do obowiązkowego ubezpieczenia robotników i żądają dla nich ustaw opiekuńczych. Katolicy zaś konserwatywni liczą tylko na swobodną inicyatywę pracodawców, opiekujących się swoimi robotnikami z pobudek religijnych i filantropijnych. Te jednak usiłowania pracodawców nie wywierają zamierzonego wpływu na robotników, nie zyskują sobie nawet z ich strony wdzięczności; robotnicy chcą dzisiaj być samodzielnymi i przywiązują się tylko do dzieł, które sami stworzyli. I w tym ustępie książki znajdują się uwagi trafne, jednakowoż jest rzeczą widoczną, że autor nie pojął jeszcze zadania, jakie ma spełnić religia w dziedzinie pracy społecznej. *Ks. Aleksander Pechnik.*

Mohammed und die weltgeschichtliche Bedeutung Arabiens. *Hubert Grimme.* München. Kirchheim. 1904. Str. 91.

Przed laty powstało stowarzyszenie, — mające na czele: Franciszka Kampersa, profesora historyi w Wrocławiu, Sebastyana Merklego, profesora historyi kościelnej w Würzburgu i Marcina Spahna, równie też wykładającego historyę powszechną we wszechnicy strassburskiej, przy współudziale licznych, poważnych współpracowników, — które za zadanie sobie położyło: »den Gebildeten aller Art, dem Studenten wie dem Manne im Berufsleben, einen Ueberblick über den gesammten Werdegang unser arischen Völkerschaften in knappen, markigen Zügen, in anschaulicher, schöner Form, in strenger Sachlichkeit und von praktischen Gesichtspunkten aus zu geben«.

Takich *Charakterbilder* wyszło dotąd dziesięć: zaczęto od żywota Chrystusa Pana, potem nastąpili: Homer, Cyrus, św. Augustyn, król Asoka i kultura Indyi, Napoleon I, Chateaubriand, Cavour, Ryszard Wagner i wielki kurfirst pruski...

Przyszła kolej na Arabię i Mahometa, chociaż może to nie leżało

w pierwotnem wydawnictwa planie. Ten nowy *Charakterbild* został opracowany przez d-ra H. Grimmego, profesora uniwersytetu we Fryburgu szwajcarskim.

Prof. Grimme już dawniej zajmował się tym przedmiotem i owocem jego studyów było dzieło, wydane w Monasterze w 1892—1895, w dwóch tomach, o Mahomecie; jest to praca opracowana z erudycyą ogromną, gruntownie i wszechstronnie, ale napisana ciężkim stylem, bez przejrzystości i jasności.

Też same przymioty i mniej dodatnie strony dają się dostrzedz i w tej jego pracy nowej, o której słów kilka zamierzamy powiedzieć.

Wiadomą jest rzeczą, że dr. Grimme dobrze posiada semickie języki, zna dokładnie historyę Wschodu i śledzi gorliwie za wszystkiemi nowemi zdobyczami naukowemi, dotyczącemi się przeszłości Arabów i pokrewnych im ludów wschodnich.

Dotąd zwykle mniemano, że przed Mahometem panowała w Arabii ciemnota i brak wszelkiej kultury dawał się uczuć; przyzwyczailiśmy się na Mahometa patrzeć przez Koran i tradycyę muzułmańską; tymczasem, gdy się przeszłość dziejowa Arabii w ostatnich czasach rozjaśniła, gdy na tem polu mamy już dosyć zdobyczy naukowych, możemy za pomocą tego wszystkiego wytłumaczyć sobie dokładnie zjawiska w naturze i charakterze zakonodawcy arabskiego, zrozumieć jego posłannictwo religijne, uniewinnić nawet nieco jego słabości; jednem słowem prorok z Medyny pokazuje się nam z innej, nieznanej strony, a dzieje Arabii przed wystąpieniem Mahometa nabierają więcej znaczenia kulturalnego, w historyi ludów semickich wybitne zajmują stanowisko.

Wykazanie tego wszystkiego na podstawie najświeższych wyników naukowych, zapoznanie nas z przeszłością Arabii przed Mahometem i ze stanowiskiem jej w rodzinie ludów semickich — jest zasługą d-ra Grimma.

W pierwszym rozdziale, Arabia przed Mahometem. Znajdujemy pomiędzy innemi ciekawe szczegóły o mieszkańcach Arabii w dawnych wiekach; o stanowisku Semitów afrykańskich względem azyatyckich; o Afryce, jako ojczyźnie Semitów i wędrówkach ich dalej na Wschód; przeszłość historyczna Meluchchy t. j. półwyspu synajskiego, późniejszego Midyan'a i Magan'a czyli wschodniej Arabii, wyjaśniona należycie; dzieje królestwa Saby i Maan, pobyt Persów i Etyopczyków w południowej Arabii, jako też i Żydów zawierają w sobie bardzo wiele interesujących i nowych wiadomości.

Drugi rozdział: Kultura dawnej Arabii — stosunki państwowe w królestwie Saby i w Arabii północnej; religia semicka; Żydzi i inni monoteiści na południu i północy Arabii; arabskie i babilońskie religijne wierzenia, sztuka u Arabów, budownictwo, pismo i t. d.

W trzecim rozdziale udatnie przedstawiona młodość Mahometa; powołanie jego podług tradycyi i Koranu i w świetle nowych zdobyczy naukowych; opowiedziano o poprzednikach Mahometa i pierwotnym Islamie, o Koranie, o pierwszej gminie; o stosunkach Mekańczyków do Islamu; o pierwszej Hedżirze i środkach przeciw Haszemidom, potem zaznaczona pewna stagnacya w Islamie i przerzucenie się Mahometa do Medyny; dalej opisana teologiczno-etyczna strona Islamu; predestynacya, etyka i t. d.

W czwartym mamy obraz zmian w kulcie Islamu; jest tu mowa o potrzebie zemsty u Mahometa, sporach z Żydami, o uformowaniu gminy w Medynie, o rozprawach różnych wojowniczych już wyznawców Mahometa, o oblężeniu i zdobyciu Meki, o politycznem Islamu stanowisku i o ukończonej formie nowego wyznania mahometowego.

Ostatni rozdział poświęcony szerzeniu się mahometanizmu na zewnątrz Arabii: wyprawa do Tabuku, walki z Persami, zawojowanie Syryi i Babilonii; zetknięcie się z Grekami i t. d.; urządzenie pierwszych kalifatów; islam za czasów Omejadów i w epoce Abbasidów naostatek autor mówi o upadku Arabii i ewentualnej jej przyszłości.

Mapa dokładna Arabii i 60 rycin (pomiędzy niemi dużo podobizn różnych dawnych napisów) zdobią to piękne i pouczające wydawnictwo. *Wołyniak.*

Der gregorianische Gesang. Eine Studie über die Echtheit seiner Tradition. *P. Coelestin Vivell, O. S. B.* Graz, Styria. 1904. VI, 205 S.

Autor, Beuroński Benedyktyn (z Seckau), stara się, jak to już widać z tytułu rozprawy, udowodnić autentyczność gregoryańskiego śpiewu, co do czego nie mamy już prawie żadnych wątpliwości wobec badań OO. Benedyktynów (z Solesmes) i prof. Piotra Wagnera (z Fryburga szw.), których rezultaty wykazałem w czerwcowym zeszycie *Przeglądu.* Zasługą autora jest pogląd na działalność papieży w zakresie rozwoju gregoryańskiego śpiewu, i to od najdawniejszych czasów aż do Piusa X. Najwartościowszym jest rozdział (III) p. t. *Die Aesthetik des gregorianischen Gesanges* (str. 121—174). Widać jak na dłoni, że autor jest praktykiem bardzo wytrawnym, znającym najwidoczniej zasługi wyżej wymienionych badaczy. Wprawdzie wiele kwe-

styi zawiłych, wyjaśnionych zostało już przedtem, ale niemniej wiele kwestyi dopiero przyszłość rozwiąże, gdyż materyał jest — mało powiedzieć — kolosalny. I to mocowanie się z tym materyałem znać na rozprawie O. Vivella. Dość łatwo i z pewną dozą niechęci przechodzi autor do porządku dziennego nad dziełem Fleischera *Neumen-Studien,* dziełem niezwykłej erudycyi i znawstwa epoki, o którą właśnie się rozchodzi. Słuszną natomiast jest polemika autora przeciw Dechevrensowi i jego teoryi przyznającej pewne formy rytmiczne (taktowe) gregoryańskiemu śpiewowi, a zawartej w dziele *Du rhythme dans l'Hymnographie latine* (1895, Paryż). Jest kilka zasadniczych błędów, wynikających u Vivella wskutek anachronizmu cytat z autorów starożytnych i średniowiecznych, dalej widoczna nieznajomość muzyki średniowiecznej polifonicznej, odmawianie Guidonowi d'Arezzo zasług, których wiele posiadał, a co wykazały nowe badania, ignorowanie książki Jacobsthala p. t. *Chromatische Alteration im liturgischen Gesange der abendländischen Kirche* (1897). Autor cytuje nieraz zdania badaczy średniowiecznych, których nazwiska otoczone są co prawda aureolą zasług, ale też badania najnowsze uczyniły wiele modyfikacyi, jakoś niedostępnych Vivellowi. Posługiwanie się dziełami Gerberta *De cantu et musica sacra* (1774), Meiboma (XVII wiek) i Fabriciusa (*Bibliotheca latina mediae et infimae aetatis* 1734—46), udawadnianie istnienia chromatyki w VII wieku na podstawie dzieł z III wieku po Chrystusie nie doprowadziło autora do pozytywnych rezultatów. Wielką część dzieła wypełnia polemika autora przeciw Gwidonowi d'Arezzo i przyznanie mu t. zw. *Tractatus correctorius,* którego autorem Guido absolutnie nie był. Tak zwany *Micrologus* nie pochodzi z IX lecz z XI wieku i nie jest częścią »Traktatu z Monte Casino«. Udowodnił to już Fleischer w *NenmenStudien* (I, 36). Przyznawanie chromatyki gregoryańskiemu śpiewowi jest z gruntu fałszywe, jak i mylnem jest przyznawanie wpływu starszej średniowiecznej polifonii na gregoryański śpiew, jakkolwiek rzecz miała się — naodwrót, gdyż bez znajomości śpiewu gregoryańskiego trudno jest zdać sobie sprawę z polifonii z wczesnego średniowiecza. Razi w końcu mnogość ostrych wyrażeń używanych przez autora na badaczy współczesnych *(Wissensstolz der modernen Hypokritiker etc).* *Adolf Chybiński.*

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Pius X o niezależnych demokratach chrześcijańskich.

Pewne zdziwienie u tych szczególniej, którzy katolickiego ruchu socyalnego we Włoszech bacznie nie śledzą, wywołał ostatni list Piusa X do kardynała Svampy, arcybiskupa Bolonii. W liście tym przypomina papież, że na mocy rozporządzenia z 28 lipca ubiegłego roku, kościelny ruch demokratyczny we Włoszech stać ma pod kontrolą biskupów. Niezależni demokraci chrześcijańscy w fałszywem pojęciu wolności wyłamują się z pod tego prawa, dążą do niebezpiecznych nowości, których Kościół zatwierdzić nie może i stają w sprzeczności z najwyższą powagą kościelną. Należy więc żałować, że tylu młodych ludzi do tego stronnictwa należy i że nawet katolickie gazety pozwalają sobie na ostrą krytykę biskupów. Dlatego też nie wolno katolikom brać udziału w przygotowującym się w Bolonii kongresie »niezależnych«; księża, którzyby mimo to tam się zjawili, ulegną karom kanonicznym.

Co właściwie spowodowało to stanowcze wystąpienie papieża? Na czele katolickiego ruchu społecznego we Włoszech, opartego od samego początku o Kościół, stał długie lata hr. Paganuzzi. Pod jego rządami, pełnymi wprawdzie entuzyazmu dla dobrej sprawy, ale nie rozumiejącymi dzisiejszych prądów, nastąpiło

rozdwojenie; nowy, przez »młodych« wywołany ruch, zainicyował ks. Murri. Kongres obradujący w Bolonii od 10—14 listopada 1903 r. miał pogodzić powaśnione strony, nie osiągnął jednak tego celu, owszem Paganuzzi musiał ustąpić miejsca hr. Grosoli'emu, »młodzi« zwyciężyli — w następstwie tego zajścia pojawiło się znane *Motu proprio* Piusa X z 18 grudnia 1903 r. dążące do nadania ruchowi pewnej jednolitości, wykreślające wprost z jego programu mieszanie się do polityki i kładące szczególny nacisk na zwierzchnictwo biskupów w akcyi. Do pogodzenia różnych pierwiastków, w łonie organizacyi się znajdujących, nie doszło, wpływowe sfery nie zrozumiały głębszych myśli Stolicy św. i nie poddały się im. Hr. Grosoli podał się do dymisyi, a ponieważ utrzymywano ogólnie, że nie można połączyć surowego konserwatyzmu minionych dni z nowemi ideami dzisiejszego czasu w jednej organizacyi, rosło coraz więcej zniechęcenie do demokracyi chrześcijańskiej, wcielonej w pięć grup *Opera dei Congressi,* aż Ojciec św. pismem okólnem, wystosowanem 29 lipca z. r. do wszystkich biskupów włoskich, zniósł *Opera dei Congressi,* z wyjątkiem drugiej, na polu ekonomicznem względnie wiele działającej sekcyi, której kierownictwo powierzono hr. Medolago-Albani.

Ten krótki pogląd na sprawę, o której obszerniej pisaliśmy w *Przeglądzie* w lutym i wrześniu zeszłego roku, wydawał się nam koniecznym dla lepszego zrozumienia nowego kroku Piusa X. Celem akcyi katolickiej we Włoszech miało być w myśl papieża, jak to równocześnie wynika z różnych artykułów, ogłaszanych w *Civiltà Cattolica,* utworzenie socyalnego centrum, z którego z czasem wyłoniłaby się organizacya polityczna. Dla tego celu dotychczas nic prawie nie zdziałano; jedyną pozytywną w tym kierunku czynnością był udział pewnej części katolików w wyborach zeszłego roku. Watykan ociągał się z jakimśkolwiek krokiem stanowczym, ponieważ polityka zupełnego powstrzymywania się od życia publicznego aż do zwrotu kościelnego państwa, liczy w sferach watykańskich wielu zwolenników, nawet między kardynałami; ponadto braknie katolikom włoskim na doświadczonych wodzach politycznych, a ci, którzy istnieją, nie posiadają jeszcze

tego politycznego wykształcenia, któreby ich potrafiło uchronić od różnych błędów, samej sprawie szkodzących.

W takich jednak warunkach nie trudno zrozumieć, ile papieżowi zależeć musi na jedności, któraby cały ruch cechowała; tę jedność rozrywali niezależni chrześcijańscy demokraci. Jeszcze przed rozwiązaniem *Opera dei Congressi* założyli niektórzy z nich związki obwodowe, które później zostały do drugiej sekcyi wcielone; po rozwiązaniu *Opera* ogłosili się oni niezależnymi od władzy kościelnej czyli autonomicznymi i nosili się z myślą utworzenia wielkiego związku narodowego, który miał się ostatecznie ukształtować na kongresie, mającym się odbyć w Bolonii 26 i 27 marca b. r.

Postępowaniu »niezależnych« trzeba było wiele zarzucić. O ile z jednej strony każdy ich krok charakteryzowała niezłomna energia i wytrwała praca, o tyle z drugiej strony szli w swych aspiracyach stanowczo za daleko. Ks. Murri zwrócił się po ostatnich wyborach do izby przeciwko papieżowi; drażnił go wzrost elementu konserwatywnego w izbie, wolałby na jego miejsce socyalnych demokratów. Sympatye dla socyalistów są wogóle słabą stroną stronnictwa ks. Murri'ego i nie powinno też nikogo zadziwić, że Pius X w tej sprawie takie a nie inne zajął stanowisko. Na postępowanie papieża wpłynęła jeszcze i ta okoliczność, że ks. Murri należy do tych krańcowych, modnych reformatorów, których nikt nigdy zadowolnić nie może, a którzy żądając ze strony Kościoła ciągłych ustępstw, sami o żadnych nie myślą. Tylko więc zła wola lub ignorancya mogą papieżowi podsuwać myśl, że dąży on do stłumienia nowego ruchu w demokracyi chrześcijańskiej; nie o stłumienie ruchu, który Ojciec św. sam do życia powołał, tu chodzi, ale o usunięcie przeszkód, które temu ruchowi zagładą grożą. »Papież — pisze *Lega Lombarda* — nie zobowiązał katolików, aby zachowali się biernie w sprawach publicznego życia, chciał tylko do porządku przywołać tych, którzy się przeciwko powadze biskupiej buntowali. W kwestyach administracyjnych i politycznych zostawia im pełną wolność, byle tylko szli ręka w rękę z biskupami«.

Wogóle wywarł list papieża dodatnie wrażenie; niektóre

stowarzyszenia rozwiązały się i stopiły się z komitetami dyecezalnymi. Stanowisko całego stronnictwa nie jest jeszcze jasnem. Zdaje się jednak, że i ono zrezygnowało już z swej niezależności, gdyż na zgromadzeniu centralnego komitetu w Medyolanie położyło główny nacisk nie na autonomii, ale na socyalnym programie, który się jednak różni od programu drugiej sekcyi; dlatego też dąży komitet centralny do utworzenia politycznej organizacyi i do założenia stronnictwa narodowego, któreby te socyalne różnice wyrównało.

List papieża wywołał jeszcze i ten dodatni skutek, że wreszcie druga sekcya *Opera dei Congressi* przemówiła. Dziesiątego marca b. r. zebrał się w pałacu arcybiskupim w Medyolanie wydział sekcyjny i postawił socyalny program, który ma przyjść pod obrady przyszłego generalnego zebrania drugiej grupy w dniu 5 kwietnia; główne punkty tego programu dotyczą organizacyi robotników, ich wsparcia i mieszkań, instytucyi dobroczynnych, odpoczynku niedzielnego, jednem słowem uregulowania stosunków socyalnych. Tym sposobem podłożono kamień węgielny pod przyszłe centrum socyalne, a jeżeli tylko nie zabraknie na wytrwałości, jeżeli szczególnie ustąpi dawne rozdwojenie a jego miejsce zajmie jedność, można się będzie w swoim czasie spodziewać pewnych jego owoców.

Przyczynek do obecnych stosunków francuskich.

Wypadki we Francyi rozwijają się ciągle, ale bardzo powoli, dla tego nie chcąc informować czytelników samymi tylko ułamkami, odkładamy obszerniejsze sprawozdanie z kulturnej walki francuskiej do jednego z późniejszych numerów, nie możemy jednak pominąć milczeniem pewnego faktu, który aczkolwiek w sobie pojedynczy i konkretny, jest mimo to wysoce znamiennym i wiele tłumaczy. *Siècle* wysłał jednego ze swoich współpracowników do biskupów francuskich, by zebrał ich zbiorowe sądy i zapatrywania na sprawę rozdziału Kościoła i państwa. Po drodze zetknął się korespondent w okolicy Séez z jakimś pasterzem owiec i postanowił go interwiewować. Pasterz zdziwił się trochę widząc tak niespodziewanego gościa, niebawem jednak pokazał mu, że i on ma

w tak ważnej kwestyi swe osobiste zdanie. »Musimy mieć zawsze księży dla dzieci, handlu i przemysłu. To mogę spokojnie powiedzieć, gdyż sam nigdy do kościoła nie chodzę. Moim kościołem to moja trzoda. Ale chcę mieć księdza dla moich dzieci. Gdy byłem małym, nie lękałem się ani ojca ani matki, ale bałem się Boga i dyabła. Dzieci są jeszcze zawsze takiemi, i dlatego potrzebujemy księdza, aby ich pouczał o dyable i o Panu Bogu. Inaczej mordowałyby swoich rodziców. Z chwilą przeprowadzenia rozdziału nie mielibyśmy tam kapłanów, gdzie są najpotrzebniejsi, to znaczy na wsiach, gdzie nabożeństwa podtrzymują handel. W niedzielę trzeba się wystroić, aby iść na Mszę św. a na to wyda pojedyncza rodzina zawsze około 20 franków. Dla ludu wiejskiego jest msza teatrem; daje ona jedyną rozrywkę. Lepiejby było, gdyby poznoszono księży w miastach, gdzie ludność ma zawsze pieniądze i może do teatru uczęszczać. Na wsiach nudzilibyśmy się jeszcze więcej i upijali. Niech rząd, jeżeli już tak chce, przeprowadzi rozdział, ale niech też równocześnie zmusi miasta, by płaciły księży po wsiach, które tego uczynić nie mogą«.

Gazety francuskie wyprowadzają z tego rozumowania polityka od trzody wnioski, że trudno będzie dokonać rozdziału po wsiach; my z naszej strony wyciągniemy ten wniosek, że cały ten fakt niesłychanie smutnie świadczy o stosunkach katolickich we Francyi. Ten pasterz ze swoimi oryginalnymi poglądami nie jest tylko oderwanem zjawiskiem i wyjątkiem, jest on typem i dowodem, jak dalece lud wiejski od Kościoła się odstrychnął. Jeżeli dzisiaj w wielu parafiach mężczyzna wogóle w kościele się nie pokazuje, jeżeli parafie liczące kilkanaście tysięcy dusz wykazują po kilkadziesiąt a najwyżej kilkaset spowiedzi wielkanocnych, jeżeli kapłan we Francyi jest tylko urzędnikiem, z którym porządny Francuz cztery jedynie razy w życiu się styka: przy chrzcie, pierwszej Komunii św., ślubie i, jeżeli się uda, przy śmierci, to już łatwo pojąć, że Francya musiała zajść tam, dokąd zaszła. Przyczyn na wytworzenie takiego stanu dużo się złożyło a nie najmniejszą i nie ostatnią, jest postępowanie kleru. Ten kler, sam w sobie zacny i godny, stracił cały swój wpływ. Ogranicza się on do kościoła i zakrystyi, nie troszczy się o prądy so-

cyalne, zerwał wszelki kontakt z ludem, nie zbliża się do niego, lecz każe mu do siebie przychodzić, a to się nie udaje. I dzisiaj jeszcze wielkiej części kleru francuskiego i kół katolickich brakuje zrozumienia obecnej sytuacyi. Włochy dały w ostatnich miesiącach dowód, że potrafią się zastosować do wymagań czasu, a Francya? Katolicka *Vérité Française* gorzko się skarży na włoską *Civilt'ę* za jej artykuły, o których pisaliśmy w zeszycie marcowym i z boleścią stwierdza, że organ rzymskich Jezuitów, który dotychczas zawsze głosił »czystą naukę« wystąpił obecnie w obronie »modnych idei«, które nie dadzą się z sylabusem pogodzić i sprzeciwiają dawnej tradycyi. Wobec takich zasad i poglądów wypada się na prawdę dziwić, że dzisiaj jeszcze we Francyi nie gorzej.

Z Holandyi. Liberalne stronnictwa w Holandyi, niezadowolone z konserwatywnych rządów Knijpera, dążą do obalenia gabinetu i dlatego nastąpiła między niemi koncentracya: staro-liberali, liberali, wolnomyślni demokraci i socyaliści połączyli się z sobą. Jakiż będzie skutek tego związku? Staro-liberali nie chcą nic słyszeć o powszechnem głosowaniu, ich organy przyznają, że sobie takiego prawa nie życzą, że uważają je za szkodliwe i niebezpieczne. Socyaliści, choć do ligi przystąpili i choć ten ich krok trudno zrozumieć, także nie są zachwyceni. »Dążą znowu, pisze *Voorwaarts*, do utworzenia wielkiego antyklerykalnego stronnictwa, aby tak gabinet Knijpera obalić. Że takie polityczne bawienie się w ciuciubabkę nie zaprowadzi nas ani o krok dalej i że wobec takiego postępowania liberałów rząd Knijpera rzeczywiście na pierwszeństwo zasługuje... jest i pozostanie naszem głębokiem przekonaniem. Robotnicy nie powinni bynajmniej zapominać, że za czasów liberalnego gabinetu Borgesius-Pierson'a strzelano do strejkujących i że Cort van der Linden przygotował projekt prawa o łączeniu się w stowarzyszenia, wobec którego wszelkie inne, wolność hamujące prawa, były istną zabawką dziecinną«. Jeżeli ta koncentracya, spotykając się już teraz z tak ostrą krytyką, nie przyniesie liberalnemu stronnictwu wielkich korzyści, to niemniejsze rozczarowanie sprawiła mu deklaracya tak zwanej

partyi narodowo-historycznej na zgromadzeniu w Hadze. Partya ta orzekła, że nie staje wprawdzie na stanowisku wyznaniowem, ale też nie życzy sobie bynajmniej popierać stronnictw idących razem ręka w rękę na zasadzie antyklerykalizmu lub współdziałać w przeprowadzeniu programu liberalnej koncentracyi. »Chcemy dążyć w interesie kraju do współdziałania różnych umiarkowanych grup«. Za to holenderski odłam »Związku ewangelickiego« judzi i w Holandyi, choć nie znajduje tam bardzo podatnego terenu. Nie tak dawno żądał on zniesienia nuncyatury w Hadze, teraz wydał manifest do wyborców, by głosowali na takich tylko kandydatów, którzy do upadłego z Rzymem walczyć będą. Odpowiedź, jaką na ten manifest częściowo odebrał, musiała mu jednak na długi czas humor popsuć. Utrechtski związek studentów, któremu również ten manifest wręczono, ogłosił ze swej strony, że ubolewa nad tem, iż »Związek ewangelicki« rozsiewa nienawiść religijną, protestuje więc przeciwko pamfletowi. Ten protest przyjęto na ogólnem zgromadzeniu studenckiego stowarzyszenia dnia 15 lutego b. r.

Knijper idzie tymczasem naprzód po wytkniętej drodze. W drugiej izbie ma poddać pod obrady zarys prawa o szkołach wyznaniowych. Szkoły te utrzymywali dotychczas protestanci lub katolicy; nowe prawo chce im przyznać utrzymanie państwowe. Rozumie się, że liberali, socyaliści i wolnomyśli wypadają z równowagi na myśl, że prawo to, mając w izbie zapewnioną znaczną większość, przejdzie. Szczególniej nauczyciele szkół państwowych, należący w przeważnej swej części do socyalistów, agitują przeciwko projektowi; niedawno jeden z nich pozwolił sobie w pewnym dzienniku na wyrażenie takiego głębokiego zapatrywania: »Katolickie szkoły są złe, gdyż wychowują katolików; protestanckie szkoły są złe, gdyż wychowują protestantów; rządowe szkoły są dobre, gdyż wychowują ludzi«. Równocześnie obradowano w drugiej izbie nad projektem wyższych szkół; nowy projekt pozwala katolikom i protestantom na zakładanie własnych uniwersytetów z prawem nadawania akademickich godności i stopni. Prawo przeszło już w roku zeszłym w izbie drugiej, nie przyjęto go jednak w izbie pierwszej. Wtenczas Knijper rozwiązał izbę

a nowe wybory zapewniły mu większość także w izbie panów; izba druga nowe prawo już przyjęła a z tej okazyi wygłosił Knijper piękną mowę, w której z wielkiemi pochwałami wyraża się o liście pasterskim biskupów austryackich, omawiającym założenie wolnej, katolickiej wszechnicy w Solnogrodzie.

Wszystko więc przemawia za tem, że tak znienawidzony przez liberalne stronnictwa gabinet Knijpera, mimo tylu wysiłków, nie prędko jeszcze upadnie.

Z ruchu religijnego w Anglii.

W kraju różnych ekscentryczności, w Anglii, powstają dzień po dniu nowe jakieś prądy na tle religijnem; niedawno starali się tam o wywołanie żywszego ruchu wędrowni amerykańscy misyonarze. Próba się nie udała, więc obecnie dążą do tego samego celu duchowni kościoła anglikańskiego i pokrewnych mu sekt; chcą oni zainicyować ruch narodowy, którego celem byłoby ożywienie ducha religijnego w kraju. Obaj anglikańscy arcybiskupi, prawie wszyscy biskupi i wielka część kleru oznajmili swą gotowość popierania nowego prądu wszelkiemi siłami. Na konferencyach zwracają uwagę, że trzeba sumienie narodu rozbudzić, póki nie będzie za późno. W pierwszej linii chodzi tu o tak bardzo dziś zaniedbane w Anglii święcenie niedzieli; dawny zwyczaj, który nakazywał w tym dniu w domu pozostać, ustąpił nowym zwyczajom, tak, iż Anglicy doszli dziś do tego, że w ich kraju mniej święcą niedzielę, jak na lądzie stałym. »Wstydem to dla nas, wyraził się jeden z mowców, że wyższe towarzystwo, które cały tydzień nic nie ma do roboty, jeszcze niedzieli musi używać dla gonienia za rozrywkami«. Szkoda, że ten mowca nie zna stosunków naszych!

W tym samym jednak czasie dąży jeden z przywódców liberalnego stronnictwa w izbie wyższej, Lord Spencer, do wprost przeciwnego celu a mianowicie do zniesienia szkół wyznaniowych i do zupełnego skasowania nauki religii w szkołach publicznych; na pochwałę jednak Anglików trzeba powiedzieć, że projekt ten spotyka się z wielką opozycyą i na razie prawdopodobnie wszystko zostanie przy starem.

A znowu na krańcach wielkiego imperyum brytańskiego, na

dalekim Ceylonie, wyłania się nowy prąd między budystami. Tamtejsi katolicy założyli osobny związek katolicki, budyści wstąpili w ich ślady i zwołują kongresy, których wyłącznym celem walka przeciwko rządowi i chrześcijaństwu. Pod pozorem budzenia w ludzie ducha religijnego judzi się nieoświecony naród i podburza. I tu pojawia się dziwna ekskluzywność, właściwa tym wszystkim ludom, które stoją na stanowisku chrześcijaństwu wrogiem. Wszelkie ich wysiłki dążą do tego, by miasto Anuradhapura zamknąć dla niebudystów. »Miasto Anuradhapura, wołał jeden z wodzów ostatniego kongresu, jest świętem dla 500 milionów budystów w Chinach, Japonii, Mongolii, Tybecie, Syamie i Birmie... Jak Jerozolima świętą jest dla chrześcijan, Meka dla Mahometan, tak to miasto świętem jest dla wszystkich budystów. Chrześcijanie, Mahometanie, wogóle niebudyści nie mają prawa tu przebywać... Miasto Budy do Budy należy, a nie do rzeźników i handlarzy świec, nie do katolików, nie do urzędników cłowych i nie do obcych religii«. Równocześnie ostro występują budyści przeciwko wysyłaniu dzieci do szkół chrześcijańskich i grożą rozmaitymi karami tym rodzicom, którzy ich głosu nie usłuchają. Skutek nie dał długo na siebie czekać a misye chrześcijańskie w Indyach, w szczególności zaś katolickie, ciężkie obecnie przechodzą chwile.

Z Japonii. Kiedy oczy całego świata zwracają się ku wypadkom rozgrywającym się na dalekim Wschodzie, jest zrozumiałem, że prasa katolicka zajmuje się stanem Kościoła w Japonii. O tej, dziś tak aktualnej sprawie, umieszcza warszawski *Przegląd* ciekawe artykuły, tam też odsyłamy żądnych bliższych szczegółów czytelników; w piśmie naszem ograniczymy się tylko do podania kilku dat odnoszących się do stanu tamtejszego Kościoła w ubiegłym roku. Liczba katolików w Japonii, wyłączając jednak Formozę, dochodzi do 58.797 dusz; dla nich pracuje przeszło 400 misyonarzy i katechetów. Owoc ubiegłego roku przedstawia się pozornie nie najgorzej; chrztu św. udzielono 1208 dorosłym 2774 umierającym i 1747 dzieciom chrześcijańskich rodziców. Mimo to wzrosła liczba katolików tylko o 711 członków, raz z po-

wodu zwiększonej śmiertelności i emigracyi, skutkiem której kilkaset katolików wywędrowało do Chin, Korei, Australii i Ameryki, powtóre z łatwo zrozumiałego powodu wojny. Nie można wprawdzie powiedzieć, że wojna usposobiła na ogół nieprzychylnie dla katolicyzmu Japończyków, ale przykuła ona do siebie uwagę wszystkich tak, że nie pozostawiła czasu na zajmowanie się religią.

Pojedyncze wypadki odstępstwa od Kościoła z powodu wojny zdarzały się sporadycznie; tak np. wyrzekło się swej wiary kilku chrześcijan, ponieważ misyonarz odwiedzał jeńców polskich, przebywających w niewoli, i niósł im pociechy duchowne. Charakterystycznym dla japońskich stosunków jest też fakt, że zarzucano chrześcijanom, iż czczą oni tego Boga, którego wzywają w pomoc wojska rosyjskie, i który dlatego japońskim żołnierzom błogosławić nie może, bo ci do Niego się nie uciekają, ani Go znają. Trzeba było dopiero długich rozpraw na temat, że Bog jest Ojcem wszystkich — wtenczas burza się uspokoiła.

Mimo wszelkich starań ze strony katolików nie pozwolił rząd japoński, aby na pole bitwy wysłać kilku księży dla katolickich żołnierzy. Nie pomogły nic zapewnienia, że nie chodzi tu wcale o propagandę religijną, ale o pomoc dla rannych lub umierających chrześcijan — rząd nie ustąpił. Wojna wykazała jednak, że Japonia, znana przeważnie ze swego materyalizmu i ateizmu, w gruncie rzeczy ma podstawę religijną, spoczywającą w duszy każdego człowieka. Dawna jej wiara ożyła a świątynie pogańskie napełniły się tłumami, wzywającymi pomocy bogów w ciężkiem obecnem położeniu.

Ze spraw szwajcarskich.

O utworzeniu katolickiego związku ludowego myślą na seryo w Szwajcaryi. Jak zwykle widzą w nim protestanci zainicyowaną walkę przeciwko protestantyzmowi; odpowiada im na to *Gazette de Lauzanne,* że nie chodzi tu bynajmniej o walkę katolików przeciwko protestantom, ale o stawienie tamy niebezpiecznym prądom socyalistycznym, materyalistycznym i ateistycznym. »Protestanci nie mają żadnego powodu lękać się ruchu katolickiego lub zwalczać tenże, powinni tylko jedno zrobić: naśladować katolików i skupiać wszystkie swe siły do odparcia

wspólnego, wszystkim zagrażającego niebezpieczeństwa«. Katolicy poznali się na niebezpieczeństwie, »czas już, by i protestanci do tego samego przekonania doszli«. Chociażby zresztą katolicy w swojej działalności dali się protestantom trochę we znaki, znaczyłoby to tylko, że odpłacając się pięknem za nadobne, bronią własnych interesów. W kraju, w którym wielką część mieszkańców tworzą katolicy, są oni na każdym kroku narażani na najrozmaitsze trudności. Niedawno jeszcze wódz radykalnego stronnictwa, Donini, wywiesił hasło: »dla księży niema pardonu«, a przecież wielka część narodu stoi wiernie przy Kościele i księżach; nawet więc agresywne postępowanie katolików szwajcarskich byłoby tylko aktem słusznej obrony własnej.

Ks. Wiktor Wiecki.

Arcybiskup między młodzieżą.

W salonie już może niejednym, pośród ozdobnych wydawnictw na stole, ściąga oczy książeczka w wytwornej okładce, gdzie z pośród deseni i liści, różyczek i zamorskich kwiatów wygląda u góry hasło:

Młodości! Ty nad poziomy
Wylatuj!

Pod tem hasłem widnieje niezwykły nagłówek wykwintnej książeczki: List pasterski ks. arcybiskupa J. Bilczewskiego do młodzieży. I niejeden może zdziwiony niewidywanym dotąd rodzajem listów biskupich i niespotykaną ich postacią w zgrabnej książeczce i osobliwym napisem: »Do młodzieży«, sam się zapyta: Co to znaczy? Czy już do młodzieży biskupi zaczynają listy pisywać? Co robić ma u nas arcybiskup między młodzieżą? Czy z nią już tak źle, że rodzice sami już nie wystarczą?... Byłyby smutne widoki dla nas na jutro!

Nad smutnym widokiem nikt nie lubi oczu zatrzymywać. Daremnie straszne liczby w zapiskach dziennikarskich pokazują, że szkolna u nas młodzież oddycha powietrzem niezdrowem dla duszy. Na wszelką groźbę społeczeństwo ma odpowiedź: Nie tak to jeszcze okropnie! Wszędzie na świecie bywa rozmaicie: u nas nie najgorzej!

Taką odpowiedź łatwo zawsze z góry dać, ale nie myśliciel ją na szczęście tak da bez rozwagi. Ksiądz metropolita Bilczewski nie należy do ludzi gotowych powiedzieć sobie z góry, że wszystko idzie dobrze bez ich wysiłku. Wielu o socyalizmie mówiło, że z tej chmury wielkiej spadnie w Polsce mały deszcz: ks. arcybiskup Bilczewski przemówił inaczej i od jego słów dzieje Kościoła w Małopolsce rozpoczęły nowy okres pracy społecznej. Na widok zarazy wśród ducha młodzieży nie słyszymy z ust arcybiskupich obietnicy: jakoś to będzie! widzimy arcybiskupa pośród młodzieży; słyszymy z ust jego słowa odpowiedzi na pytania o Bogu i duszy i o podwalinach żywota obyczajnego. Pytania te niewątpliwie wyszły z ust młodzieży szkolnej, takie one jeszcze nieprzetrawione rozumem a natchnione żądzą wiedzy: drżą siłą młodzieńczego zapału dla prawdy, już widzą przed sobą widnokrąg daleki, już przeczuwają potrzeby społeczne, już sięgają nad poziom. Tylko na ustach młodzieńczych arcybiskup pochwytał te zwroty i takie poglądy: bywa pośród naszej młodzieży. Kto jej nie zna i jej rozmów nie słyszał, kto nie widział, jak ona kipi i wre, kto nie dopuszcza do siebie i z pałaców i z podziemi, synów bankiera i zarobnika, córki stróża i wyrobnicy, tych młodych czytelników Sofoklesa z obowiązku a Darwina z żądzy własnej: ten pojęcia niema o prawdzie rzeczywistej i o potędze ducha, zdolnej odrodzić potomne po nas społeczeństwo; pojęcia niema o strasznej potędze, która, jeżeli źle obierze kres pracy, zdoła zaprzepaścić dziedzictwo nasze i zgładzić do szczętu nasze imię dziejowe, ledwo nam przyjdzie spocząć w mogiłach.

Miał o tem wszystkiem pojęcie ks. arcybiskup Bilczewski. Widocznie stanął nie dopiero teraz pierwszy raz pośród młodzieży: podchodzi do niej już jako znajomy, powiernik.

Żaden biskup nie wydał, za ludzkiej pamięci, na początku postu listu pasterskiego do młodzieży szkół średnich. Żadnym przepisom zwyczajów nie pozwoliła nad sobą przewodzić swoboda apostolskiego pasterza, który do młodzieży przychodzi z listem w ręku a na ustach z hasłem o wzlocie młodości ponad poziomy! Mąż zdolny tak po drodze apostolskiej kruszyć wszelkie przeszkody przyjętych ruchów, obrotów i zwrotów, zdoła pewnie głosem świeżym, swobodnie do tej duszy młodzieńczej przemówić, do której zwyczaj dziś starodawny mówi... mówi tylko, a nie przemawia.

Najprzód z promieniem nadziei staje arcybiskup wśród młodzieży, z otuchą w jutro weselsze niż mroczne dziś. Dziś społeczeństwo nasze

»już nadpsute« wygląda jak jabłko, które wystarczy strącić na ziemię, aby je roztłuc. Ale nie przepadło jeszcze całkiem to społeczeństwo nasze; »to jabłko ma jeszcze zdrowe ziarna... To nasza młodzież!« Więc od słów: »Młodzi moi przyjaciele!« zaczyna arcybiskup tok listu a właściwie pogadankę ojca, przyjaciela z ukochaną cząstką swojej dyecezyi, z kwiatem i szlachetną dumą Kościoła, jak mówi święty Augustyn, z nadzieją narodu, jak z naciskiem podkreśla sam arcybiskup. Nie zwątpił sam o społeczeństwie już nadpsutem: chce podnieść przynajmniej te jego odrośle, które jeszcze nie przyrosły do złego.

Pogadanka to zupełnie poufała. »Co słychać między wami, młodzi przyjaciele? Co u was mówią o życiu i o naszem posłannictwie na ziemi?«: tak, zdaje się z uśmiechem życzliwym na twarzy, arcybiskup zagaduje; i już zebrał przy sobie i przytrzyma łagodnym wyrazem oka, niby brat starszy, tę młodszą brać, która przyciszonym głosem przed rodzicami i w salonach i w podziemiach i pod dachami rozwiązywała sobie sama zagadki żywota i posłannictwa człowieka na ziemi; teraz znajdzie powiernika.

I już powiernik jej, nie jak niedostępny władca metropolii, ale jak przyjaciel starszy powtarza ich młodociane pomysły, ich fałszywe teorye życia. Jakby pozwolił paniczykowi z salonu rozwinąć swoje zasady, tak je zna i streszcza w tym przystępnym dla młodzieży opisie epikureizmu, jakim natchnąć nie umie wiedza tylko książkowa, nie zetknięta z ludźmi.

I już po epikurejczyku z salonu zaraz młody pesymista może z wilgotnego podziemia, wylał przed takim przyjacielem duszę, i ledwo skończył, już agnostyk, gimnazyasta czy seminarzysta, rozwinął swoje zasady; i arcybiskup je bierze pod uwagę spokojnie i tak z nich zdaje sprawę, że żaden z młodych filozofów, choćby z niższego gimnazyum, nie powie: ten arcybiskup mnie wyklnie bez długich zachodów; każdy czuje, że ten arcybiskup z nim będzie rozmawiał.

Mówi też do nich arcybiskup dalej tym samym językiem i kiedy streścił ich zwyczajne dziś teorye, zapytuje ich z duszy: »Młodzieży ty moja serdeczna! Na co ja tobie to wszystko mówię i w jakim celu roztaczam te smutne, te tak ubogie w treść i na tak kruchych podstawach spoczywające teorye życia?«...

I znowu obrazek uchwytny, i znowu przykład namacalny utrzymuje uwagę skupioną młodzieży, którą zgromadził przy sobie pasterz. Pasterz prawdziwy zdrową paszą karmi swoje owieczki. Odpowiedzi arcybiskupie na pomysły epikurejskich dzieci dzisiejszych albo pesy-

mistów czy agnostyków uderzają teraz nie tylko dostępną, obrazową mową ojca do synów, ale także doborem głębokich dowodów. Ten pasterz nie grozą odpędza od złego, ale z rozumnymi gimnazyastami rozmawia: ceni ich zawiązki rozumu i umie podać im zręcznie tę strawę prawdy, która i dojrzałych nasyci.

Ze straceńcem niema rady: to prawda; na upór niema lekarstwa. Ale na setki tysięcy zawieruszonych głów młodych można znaleźć radę: tego dowodzi dalszy ciąg niezwykłego listu pasterskiego. Po rozdziale o fałszywych teoryach życia, arcybiskup rozjaśnia przed młodzieżą znaczenie życia w świetle chrześcijaństwa.

W poprzednim rozdziale listu łatwo było zejść na zgryźliwe wycieczki przeciw niedowiarkom: przyjaciel młodzieży szczery unikał słowa, któreby mogło złośliwym dźwiękiem zakłócić pogodę poufnej rozmowy. Teraz w drugim rozdziale, rzadko kto powściągnąłby pióro od krasomowczego opisu tych promieni, któremi chrześcijańskie światło życie ozłaca. Pogadanka nie wpada na tor krasomowstwa i dostojnik Kościoła pośród młodzieży przemawia dalej z siłą prawdy spokojnej, pewnej zwycięstwa.

Miłość... Miłość nie pomna na swoje wygody... Miłość gotowa rzucić własne szczęście pod stopy brata, aby je uchronić od obrazy o kamień... Miłość ta stanowi istotę pojęcia chrześcijańskiego o życiu i jego znaczeniu. I ze słów swojego arcypasterza młodzież zdoła tę myśl jasno wyczytać.

Trzeci rozdział rozwija przed okiem młodzieży ideały religijne. I znowu nie suchą rozprawę słyszy gimnazyasta czy seminarzystka. Śladami Danta idzie w krainy wieszczego zachwytu, leci w lazur niebieski za orłem złotopiórym, odczuwa z poetą dreszcze jego serca i żary gorące i płomienie, które płoną nad wszelką duszą młodzieńczą.

I uboczny słuchacz takiej gawędy arcybiskupa z młodzieżą staje zdumiony tym żywotnym duchem Kościoła, który zdoła jego sługom nasuwać na usta słowa tak wzięte żywo z pojęć młodzieży, tak przejęte żywo tętnem ich krwi i barwnie okraszone blaskami ich mrzonek, aby ich językiem przemówić, ich skrzydłem z nimi lecieć i zwrócić ich dusze do prawdy: pokazać im ich ideały. Bóg najwyższym ideałem... Jezus Chrystus, jako myśl zdolna ześrodkować w sobie wszelkie odruchy i porywy duszy młodzieńczej... Matka Boska, najdoskonalszy ze stworzonych obrazów Bożych... Kościół katolicki jako krzewiciel ideału społeczno-politycznego, jako opiekun spokoju i praw obywatelskich, jako ten, który wzorem Chrystusa uczy nas miłować oj-

czyznę: oto główne ideały prawdziwego katolika, więc tem samem człowieka najbardziej nowoczesnego i najbardziej postępowego w najszlachetniejszem pojęciu tego wyrazu.

Zostało jeszcze na rozdział czwarty słów kilka o obowiązkach stanu młodzieży szkolnej. Tu, jak wszędzie, głęboka myśl z prostem, jak najprostszem słowem w parze przypomina ideały ucznia-katolika. A więc najprzód nauka! Nie od namowy do modlitwy zaczyna arcypasterz, bo nie o porządku swoim zwyczajowym pamięta w rozmowie z chłopcem szkolnym, ale żyje jego sercem, któremu najciężej może dokucza obowiązek nauki. Więc najprzód o tej nauce przemawia i przyprowadza do młodzieży różnych świadków na dowód, że trzeba się uczyć po Bożemu: wezwany głosem arcybiskupa przychodzi ze świadectwem swojem i Apostoł Paweł, i Brodziński poeta, i Augustyn biskup, i Tomasz à Kempis, i Ampère i inni, których osobiście znał arcybiskup i przywołał do tej rozmowy.

Po słowach o ideale w nauce przechodzi dostojny przyjaciel młodzieży do jędrnej wzmianki o obowiązkach religijnych i niebawem opisuje drugi ideał: cnotę. Niejeden czytelnik zdumiony gotów zauważyć: Cóż to za ideały? Nauka, cnota i już tylko brakuje trzeciego: ojczyzna, a będziemy mieli w liście arcybiskupim polecone właśnie trzy hasła filaretów! Otóż właśnie nie brak i trzeciego hasła. Ksiądz metropolita Bilezewski zupełnie świadomie poleca te ideały katolickiego ucznia, które filareci wszechnicy wileńskiej wyrazili, kiedy obrali hasło potrójne: naukę, cnotę, ojczyznę! »Otóż ideały filaretów niech będą także waszymi ideałami!« — wzywa wyraźnie swoich młodych przyjaciół w liście arcypasterskim na dowód, jak następca apostołów może wszystkiem dla wszystkich się stawać, i filaretem dla młodzieży, aby wszystkich pozyskiwać Chrystusowi.

Taka treść tych słów ojca, przyjaciela, powiernika naszej młodzieży.

A koniec tej rozmowy?

Ustęp z dziejów Kościoła męczeńskiego, gorące słowa a krótkie z zachętą do obrony ideałów choćby krwią, i znowu poufale chwycone z przyjacielskiej rozmowy obietnice młodzieży: »Ojcze i Pasterzu nasz, bądź spokojny! Nigdy ideałów się nie zaprzemy!« i pełne apostolskiej prostoty słowa pożegnalne: »Niech wam, dzieci, Bóg za przyczyną Królowej naszej błogosławi!« Oto koniec listu pasterskiego, który sam w sobie więcej mówi, niż o nim dzisiaj ktobądź zdoła napisać.

Dziś umiemy już w Polsce wysławiać tych i owych, iż dości-

gnęli wzorów cudzoziemskich i dźwigają nasze społeczeństwo z upadku pod tym względem i owym. Dziś umiemy już przepowiadać dobre skutki pracom wszczętym na drogach utorowanych już i zbadanych. Ale jeszcze nie umiemy oceniać mężów, którzy widzą w naszem społeczeństwie mnóstwo zarodków cnoty takich, jakie nie wschodzą nigdzie. Tacy mężowie do serca naszego idą drogami, któremi nikt nie szedł przed nimi. Nie można im w tym razie powiedzieć, że przynoszą nam plony równie pożądane, jak nieśli Dupanlowie Francuzom, Ketelery Niemcom, Newmanowie Anglikom. Nie! w znane ślady niczyje nie poszedł ksiądz metropolita Bilczewski, kiedy zamiast do starszych, do młodzieży szkolnej napisał list pasterski, a napisał takiem piórem, że połączył i głęboką naukę biskupią, i zwroty mowy młodzieńczej, i prawdę wiecznie niezmienną, i pojęcia najświeższe wieku dwudziestego. O skutkach takiego listu nic nie można przepowiadać na podstawie wypadków bywałych.

Zapytać się przecie można, czy ten list, zarówno jak ów o socyalizmie, w kilkudziesięciu tysiącach odbitek nie pójdzie w nasz naród?

Przeczuć nadto coś można po tym liście arcypasterskim; u księdza metropolity Bilczewskiego słowa nie zwykły dźwiękiem pustym przebrzmiewać: pociągają za sobą jakiś czyn nowy i dzieło doniosłe. List pasterski o socyalizmie dał początek całemu ustrojowi nowemu prac społecznych; list do młodzieży pewno rozpocznie cały ciąg środków ochronnych przed zarazą, w której młodzież przepada. Zbyt silnie przemówił tu arcypasterz, aby nie dać po sobie poznać, że szczerze zamyśla z naszego społeczeństwa ocalić na jutro przynajmniej cząstkę jego niezarażoną, przynajmniej kilka ziarn tego jabłka już nadpsutego. Tak, ono nadpsute, to prawda, ale społeczeństwo, w którem tak biskup, metropolita umie do młodzieży przemawiać, jeszcze nie wyczerpało zapasu ogromnego sił duchowych.

Ks. K. Czaykowski.

Pogadanka artystyczna.

O przeszłości zamku krakowskiego i sprawie jego restauracyi.

(Dokończenie).

Złoty wiek Zygmuntowskiej epoki rozlał strumienie blasku artystycznej inwencyi na zamku krakowskim. Geniusz włoskich architektów

zabarwił się okrasą gotyckiego zdobnictwa i wzniósł charakterystyczny i niewymownie piękny gmach Odrodzenia. Budowali go synowie Kazimierza Jagiellończyka i Elżbiety, a wychowankowie Długosza gotyku poplecznika i Kallimacha krzewiciela renesansu. Skoro i słusznie nazywamy kaplicę Zygmuntowską perłą renesansu, to pomnąc na przeszłość, jakim był zamek, i widząc jego wspaniałe szczątki dekoracyjne i imponujące linie architektoniczne śmiało powiedzieć można, że był on najpiękniejszym brylantem w dyademie architektonicznym Wawelu. Nie odrazu pałac odrodzenia zbudowano, nie jednego artysty jest on dziełem. Renesans w Polsce zrodził się na Wawelu, równocześnie w katedrze, jak w murach zamkowych jeszcze za Aleksandra panowania, ale promotorem nowego stylu był nie kto inny, jak królewicz Zygmunt. Za życia jeszcze Olbrachta, na dworze węgierskim zetknął się Zygmunt I osobiście z włoskimi mistrzami z Ferrary i wchłonął w siebie świeży, ciepły powiew nowych idei. Przejął on i umiłował jasne i proste proporcye sztuki odrodzenia: więc wesołe i pragnące jak najwięcej światła i powietrza przestrzenie, zamknięte od góry łukami półkola sklepień i gurtów, przeprute ściany szerokiemi ościeżami okien i podwoi. Były te warunki i wymogi wprost przeciwne mistycznym liniom ostrołukowym, zamykającym przestrzenie strzeliste, lecz półmroczne. Zygmunt stawszy się bezwzględnym zwolennikiem nowożytnych pragnień poniósł do Polski płomień zapału dla nowej formy — i poczęło się u nas świtanie przepięknej epoki renesansu.

Po śmierci Olbrachta powrócił Zygmunt w r. 1502 na dwór polski, a równocześnie z nim przybył do Krakowa artysta włoski imieniem Franciszek, nazwisko jego przepadło dla historyi bez wieści. Na zamku tymczasem po pożarze w r. 1499 leżały w ruinie mury gotyckie, a niedopalone zgliszcza i opuszczenie wołały prędkiej pomocy. Zygmunt przybył z planami zakupionymi na Węgrzech i wpływ jego odbił się natychmiast na pierwszej zamkowej odbudowie. Powstało wtedy skrzydło zachodnie dzisiejszego pałacu, z obszerną bramą wjezdną, z kasetonami na łękach sklepień i napisem sentencyi wypowiedzianej przez cesarza Lotara I *Si Deus nobiscum, quis contra nos.*

Sień niska, sklepiona uderza pewną szerokością stylową, chłodną ornamentyką i klasycyzmem, których znamion już inne części renesansowego pałacu nie posiadają. Wspaniały wykusz wsparty na widzialnych dotąd w ścianach krokształynach kończył skrzydło pałacu. Zwrócony ku dziedzińcowi, ożywiał linie fasady podwórzowej na wzór pałaców Włoch północnych. W wykuszu loggia o weneckim trójdzielnem oknie

przesklepionem wewnątrz łukiem półokrągłym z kasetonami przybranymi w rozety. Z zewnątrz zdobi wykusz czarujący wykwitnym smakiem ornament kuty w kamieniu. Od góry na fryzie herby na tarczach: rakuski Elżbiety matki królewicza Zygmunta i króla Aleksandra, pośrodku Orzeł polski, z prawej Pogoń; potwierdzają one epokę powstania budowy. Z boków widzimy pilastry z wyrzeźbionemi panopliami, wiszącemi na sznurach. Ornamentyka tego fragmentu pałacowego, jakby wzięta z palazzo ducale w Urbino, a równa się pięknością, jak mówi Essenvein, z pierwszorzędnemi dziełami włoskiemi. Zdobiny tego samego kształtu powtarzają się jeszcze na odrzwiach i sąsiedniem oknie.

Budowę zachodniego skrzydła prowadził wspomniany powyżej architekt włoski Franciszek, a zajmował się nią Zygmunt i Bona, nie posiadała onu jeszcze owych wspaniałych arkadowań, które zamkowi nadały imponujący wygląd i liczyła się nadto z budynkami, które otaczały dookoła i wypełniały częściowo dziedziniec.

Nadarneńska stolica Medyceuszów, owo miasto kwiatów, rzeźb i pałaców, dała nam artystę Franciszka della Lora, który nakreślił wspaniały, jednolity plan budowy renesansowej pałacu królewskiego na Wawelu. Della Lora opuścił Florencyę w r. 1509, by udać się na dwór polski Zygmunta Starego. Artysta zużył według wszelkiego prawdopodobieństwa r. 1510 do wygotowania planów i założenia fundamentów, oraz organizacyi wielkiego przedsięwzięcia artystycznego. Przybył on do Krakowa z sześciu włoskimi towarzyszami. Już w następnym roku wyjeżdża na Węgry, by tam szukać podatne do dekoracyi marmury i sprowadzić dwóch zręcznych kamieniarzy włoskich. Zygmunt wyznaczył na budowę 30.000 czerw. zł. rocznego wydatku, a do pomocy dał tłum jeńców tatarskich. Wnet pod kierownictwem Loriego powstała tedy część północna, naprzeciw ulicy Kanoniczej, tudzież przekształcone stósownie do nowego założenia architektonicznego skrzydło zachodnie z bramą wjezdną. Przekształcenie skrzydła zachodniego okazało się dla jednolitości stylowej koniecznem, bo brakowało mu arkad. Tymczasem od północy przeważną część skrzydła wyciągnął Lori od posad, wciągając w nie tylko reszty gotyckiej budowy od strony Kurzej Stopy. Siedm mieszkań przyozdobionych »kolumnami, malowaniami, kwiatami złoconymi i lazurem«, urządził w swej budowie della Lora; nadto postawił on w zachodnim trakcie kuchnie królewskie i stajnie, oraz podniósł mury forteczne i baszty. Dotknięty galicką chorobą, zmarł znakomity artysta w r. 1516.

Król po śmierci Loriego niezwłocznie zwrócił się do Florencyi i zażądał przysłania zdolnego zastępcy. Niebawem też przybył do Krakowa twórca kaplicy Zygmuntowskiej i kontynuator budowy zamkowej Bartłomiej Berecci rodem z Val de Sieve. Zadanie jego architektoniczne było już uproszczone: zastał bowiem gotowe plany, dwa wykończone skrzydła pałacu, oraz przygotowane potrzeby budowlane. Budowa kaplicy Zygmuntowskiej przy katedrze spowodowała przerwę w budowie pałacu aż po r. 1521, w czasie którym poczęto stawiać skrzydło pałacowe od wschodu słońca między Kurzą stopą a wieżą Lubranką, pozostawiając wielkie zręby gotyckiej budowy. Od r. 1522 prowadził Berecci budowę z pomocą innego florentczyka, nazwiskiem Mikołaja Castiglione, rzeźbiarza i architekty (zm. r. 1545). Wreszcie w dniu 21 lipca 1530 r. założono posady pod ostatnie południowe skrzydło.

Gdy już wspaniały pałac stanął w całości, zniszczył go wielki pożar 17 października 1536 r., mianowicie spłonęło dzieło Loriego, skrzydła wschodnie i północne. Niestrudzony Zygmunt w pracy nad uświetnieniem królewskiej rezydencyi, polecił Bonerowi w marcu następnego roku zawrzeć z Bereccim umowę o odbudowę spalonych skrzydeł. Nie danem jednak było Berecciemu dokonać tego dzieła, bo w noc sierpniową tegoż roku, mściwa, skrytobójcza dłoń włocha przerwała pasmo życia genialnego artysty na rynku krakowskim.

Jeszcze lat kilka trwały budowy i uzupełnienia na zamku krakowskim, jeszcze w r. 1540 ciągły się prace około wielkiej izby, naprzeciw klasztoru Bernardynów. W r. 1549 ogień zniszczył znów skrzydło południowe, a król Zygmunt August przywrócił je do pierwotnej świetności.

Spojrzyjmyż teraz, poznawszy dzieje budowy renesansowej, na jej architekturę, na urządzenia wnętrza w tej najpiękniejszej z epok na Wawelu. Stanęła teraz niemal jednolita budowa wspaniała, jakiej w Polsce równej nie było, a za granicami w tym okresie daleko szukać było potrzeba. Ale patrzmy nań nie biorąc go w dzisiejszym jego opuszczonym i odartym stanie, pogrubionym w proporcyach i nędznym, a starajmy się uzmysłowić budowlę w czystości pierwotnej bez przydatków i zmian późniejszych.

Z zewnątrz budowa odznaczała się regularnością i wymiarami uderzającymi wielkością. Okna trójdzielne rozczłonkowały ją symetrycznie. Wieże pałacowe, pozbawione znaczenia fortyfikacyjnego, usadowione w węgłach pałacu, zbudowane zostały później i tworzyły dekoracyjne

narożniki. Gmach nakrywały dachy zdobne deseniem, palonych i polewanych dachówek kominami i dymnikami. Na tle nieba odcinała się sylweta zamkowa, imponująca ogromem. Dopiero architektura dziedzińca arkadowego, zabudowanego w olbrzymi kwadrat, posiadła ten wielki czar, który w zachwyt wprowadzał wszystkich współczesnych i potomnych. Przez wspomnianą już powyżej sień wchodziło się jak dzisiaj na dziedziniec zamkowy, z którego z lewej strony wiodą na piętra szerokie marmurowe schody. Mniej okazała i ozdobna klatka schodowa mieściła się w skrzydle wschodniem pałacu. W proporcyach i rytmie arkad, które dźwigają sklepienia krzyżowe i galerye, obiegające z trzech stron dziedziniec, roztoczyli dell Lora z Bereccim całą poezyę architektonicznych linii. Licząc się z klimatem rozpiął artysta włoski ku południowemu i zachodniemu słońcu zwrócone, piętrzące się nad sobą przez dwa piętra smukłe arkady, pełne światła i powietrza. Na drugiem piętrze dochodzą one niebywałego w renesansie lotu, bo dodać na tem miejscu trzeba, wypełnioną dzisiaj murem przestrzeń międzysłupia była do XIX wieku pusta, przejrzysta, a cienie kolumn słały się na białe ściany krużganków. Nadzwyczaj śmigłe i charakterystyczne kolumny drugiego piętra dźwigały jak we florenckiem palazzo Strozzi, pułap drewniany, rzeźbiony w złociste rozety, nakryty wspólnym, nakrywającym gmach cały dachem. Z pozostałej jednej konsoli, przybranej przepyszną, wypukłą ornamentyką, widać, że strop galeryi podpierały tutaj w odstępach olbrzymie krokształty. Wiotkie kolumny odznaczają się swemi przewiązkami w połowie wysokości dla umocowania ankrów żelaznych i połączenia ich ze ścianami, a u góry koszyczkami kamiennymi, używanymi w renesansie w przypadku, gdy kolumny miały unosić strop drewniany.

Kolumnady pałaców włoskich są zazwyczaj niższe i ścianami wypełnione. Tutaj słupy monolitowe strojne są w kapitele jońskie w przeciwieństwie do włoskich, gdzie głowica koryncka lub kompozyt przeważa. Tradycye gotyckie ujawniły się zwłaszcza w parterowych obramieniach ościeży drzwi i okien, ale nie rażą one, lecz owszem zlewają się w przepiękną typową całość. Do pewnego stopnia można jeszcze w smukłości linii drugopiętrowych dopatrywać się także wpływu ostrołuku na pierwsze wielkie dzieło odrodzenia architektury świeckiej w Polsce.

Niesłychanie interesujące są szczegóły tej budowy. Olbrzymie weneckie, trójdzielne okna z poziomą, kamienną belką działową, dają światło salom od strony galeryi. Węgary ich wykute z piaskowca myślenickiego, rzeźbione są w stylu gotyckim, z przecinającymi się

krągłymi wałkami, to znów w duchu renesansu ozdobione wijącymi się splotami roślinnymi, lub dorycko-renesansową strukturą zdobne, o rowkowanych pilastrach, architrawie, fryzie i gzymsach. Prześliczne wszędzie odrzwia złociste niezwykłej fantazyi z gotyckiemi laskowaniami, niekiedy z włoską pogiętemi fantazyą, zapraszają do przestąpienia progu rozległych sal. Na nadprożach czytamy sentencye, zaczerpnięte raz z listów św. Pawła do Rzymian, gdzieindziej wzięte z rzymskich autorów, — pozdrawiają one przychodnia, wchodzącego w królewskie podwoje i głoszą, że powstały w humanizmu dobie. Długi szereg wspaniałych, wysokich sal, pokoi, tu i owdzie z przysionkami wiódł naokół i tworzył perspektywiczne enfilady. Królowe z fraucymerem zajmowały skrzydło zachodnie, najbliższe kościoła, król mieszkał w skrzydle północnem. Różnie się zwały te izby królewskie: sala jadalna, zwana srebrną, wsparta na dwóch słupach, mieściła kredens ze srebrem stołowem, był pokój zw. szklanym i sala przyjęć. Na drugiem piętrze były wielkie sale audyencyonalne, radne: senatorska i słynna poselska.

Wnętrza sal lśniły od bogactwa i artyzmu, szły w zawody z siedzibą włoskich książąt. Z rzeźbionych stropów zwieszały się pająki snycerskiej roboty, z syrenami i tarczami herbowemi. Na polichromiach ściennych, dokonanych w części przez Hansa Dürera, widać było malowane postacie, lub *exercitia* wojenne, jak w sali senatorskiej. W sali astrologicznej z napisem *Signa Hermetis* ściany pokrywały dziwolągi, jakie Hindowie mieli dla uzmysłowienia gwiazdozbiorów. Malarz trzymał się w nich ściśle wzorów, podyktowanych traktatem Albumazara: *De magnis coniuctionibus planetarum,* wydanym w XV wieku w Norymberdze. W niej zapewne przesiadywał ostatni po mieczu z Jagiellonów, rozmiłowany w astrologii i magii, pragnący przeniknąć zasłonę przyszłości. Gdzieindziej ściany pokoju ożywiały ptaki, więc izba ptaszkową się zwała.

Prócz sprowadzonych z Włoch i Flandryi obrazów pierwszorzędnych mistrzów, zwieszały się na ścianach sal królewskich słynne arrasy w liczbie 24 z przedstawieniem scen z księgi Rodzaju, przezwane »Potopem«, gdyż najwybitniejsza ich część odnosiła się do historyi Noego. Z nich sztuk 15 zdobią dzisiaj ściany pałacu carskiego w Gatczynie. O innych trzech wiemy, iż zawiózł je Ossoliński w darze papieżowi Urbanowi VIII. Sprawił zaś arrasy za 100.000 czerw. zł. król Zygmunt August. Jeden z »wielkich mistrzów epoki rozkwitłego odrodzenia« rysował do nich kartony, pełne wielkiej, nieporównanej

piękności w rysunku i kolorycie. Tkali je najbieglejsi tkacze flandryjscy.

Stropy sal zaległy profilowane kształtnie belki kładzione w poprzek. Z utworzonych kwadratowych pogłębień t. zw. kasetonów, wyłaniały się subtelnie rzezane, złociste różyce. Najokazalszą ze wszystkich była sala drugiego piętra w skrzydle wschodnim, w rogu zwróconym ku klasztorowi OO. Bernardynów. Była ona właściwą salą tronową dla uroczystych przyjęć czy to wysłańców państw obcych, czy też wracających z wojny zwycięskich hetmanów lub posłów, skąd poszła późniejsza nazwa izby poselskiej. Rozciągała się ona wzdłuż na $16._6$ m a szeroką była na $12._2$ m, okna jej wychodziły na 3 strony. Drzwi, które do niej prowadziły wyłożone były w deseń kosztownem drzewem, perłową macicą i kością słoniową. Z kasetonów rzeźbionego pułapu wyglądały znakomicie modelowane, w drzewie lipowem rznięte naturalnej wielkości najrozmaitsze głowy ludzkie, barwnie malowane. Jeszcze w r. 1739 liczono ich 200. Przedstawiały, jak sądzić można z pozostałych w domu imienia Matejki, oraz u hr. Stanisława Tarnowskiego, najrozmaitsze typy kobiece i męskie, jakby dygnitarzy, paziów, rycerzy, dzikich puszcz mieszkańców, lub wreszcie klasycznych głów bogiń. Prócz nich wisiały u stropu godła królewskie na tarczach heraldycznych. Życie panowało w tym stugłowym pułapie i jakiś dziwny przenikał nastrój fantastyczny, który zwłaszcza o szarej zmierzchu godzinie podnosił jeszcze tajemniczość, pod której wrażeniem chorobliwemu Zygmuntowi Augustowi, przechodzącemu samowtór salę zdało się, że jedna z głów w głos wyszeptała *Rex Auguste, iudica iuste.* Było to dzieło nadwornego snycerza, frankońskiego zda się pochodzenia. Pośrodku sali zwieszał się ogromny pająk brązowy, ze lwem, dzierżącym herby królestwa. Zaś na ścianach malowane postacie królów przypominały sławne dzieje Polski i jej władców.

W rzeźbionych marmurowych kominkach płonęły zimową porą polana i rzucały nocą snopy światła na pokój i połyski czerwonawe na złoceń płaszczyzny. Na pokojach królewskich i po krużgankach snują się na tem okazałem tle błyskotliwe i barwne orszaki dworzan i pań, pancernych rycerzy, senatorów, uczonych i artystów. Wszędzie rozgwar przeróżnych języków z przewagą mowy Cycerona i Horacego.

Takim był zamek aż po koniec XVI w., takim zastał go Zygmunt III po kądzieli potomek Jagiellonów. Przybył ze Szwecyi ten ukoronowany artysta epoki baroka w Polsce, malarz, złotnik i alchemik, mało przywiązany do Krakowa, wiecznie tęskniący i zapatrzony

ku zorzy północnej, ku rodzinnemu krajowi. W dniu 25 stycznia 1595 próby alchemiczne Zygmunta wznieciły pożar i spłonęła powtórnie północna połać od Kurzej Stopy po kościół katedralny. Zygmunt III wezwał też najcelniejszych architektów, między nimi nadwornego Jenrika, tudzież medyolańczyka Jana Maryę Bernardone, którzy w latach 1596—1609 wybudowali nową wieżę przy Kurzej Stopie i spaloną część pałacu. Według mniemania współczesnych, Zygmunt III »daleko pałac królewski wspanialej wyreperował, miedzią pokrył, bramę zaś i pokoje zamkowe tak przyozdobił, że piękniejszych i wspanialszych, nie łatwo gdzie widzieć można«. Za Władysława IV stronę północną zamku domurowaniem drugiej wieży, stojącej obok kapitularza katedralnego, uzupełniono rozpoczętą przez jego ojca przeróbkę. Wieżę tę stawiał budowniczy królewski Piotr Beber. Wczesny barok wprowadzony przez Zygmunta III w skrzydle północnem zaznaczył się zewnętrznie od strony dziedzińca stiukowemi ozdobami około obramień ościeży. Tak samo i wewnątrz mamy wspaniałe kominki marmurowe ze snopem Wazów na tarczach herbowych, obramienia odrzwia n. p. w Kurzej Stopie z czerwonego marmuru, ale najpiękniejsze są izby po dawnej kaplicy i zakrystyi, z nader bogatą ornamentyką stiukową o motywach muszli i kiści kwiatów. Zygmunt III wprowadza zamiast pułapów, sufity z lustrowymi, prostokątnymi powierzchniami, ujętymi w ramy sztukatorskiej roboty. Niewątpliwie, że były w ramy sufitów ujęte malowidła, bo wspominają o nich lustracye, ale nie zostało po nich ani śladu.

Z chwilą, gdy ostatecznie dwór opuścił Kraków, pałaców królewskich zaczął się powolny upadek, punkt ciężkości przeniósł się do Warszawy. Wiek XVII przyniósł z sobą straszną epokę najazdów szwedzkich, w których pałace królewskie i ich urządzenia stawały się pastwą wrogów ojczyzny. A zawsze jednak drogą była dla społeczeństwa ta opustoszała spuścizna przeszłości. Jan Sobieski zalecał w r. 1689 sekretarzowi swemu Janowi Zacherlemu, aby się zabrał do poratowania »struktury zamkowej, skłaniającej się do ruiny« i wyliczył na jego restauracyę 10.000 zł. Było to chwilowe tylko powstrzymanie od ruiny, przyszła bowiem straszna chwila powtórnej inwazyi szwedzkiej. Karol XII zajął Kraków, a 15 września 1702, gdy butne żołdactwo roznieciło ognisko na posadzce pokojów królewskich, wszczął się pożar, od którego przez tydzień cały gorzał zamek. August II nie tylko nie przyszedł z pomocą, lecz nawet zabrał z miedzianych zapadłych dachów blachę i przetopił na armaty. Lat 27 sterczały ruiny pałaców królewskich, aż wreszcie sejm grodzieński uchwałą swoją z r. 1726 wyznaczył

na reperacyę zamku rocznie 30 tysięcy złp. Biskup Szaniawski zajął się wypełnieniem uchwały sejmowej i w 1729 poprawiono mury i sklepienia, dano dach nowy i pokryto dachówką, a wieże blachą.

Ostatni z królów Stanisław August, gdy 1787 powziął zamiar odwiedzenia starej stolicy wysłał do Krakowa na zamek architekta swego Dominika Merliniego, aby przysposobił dlań mieszkanie na Wawelu, kosztem 83.000. zł. Po rozbiorze Polski uległ zamek dwom rabunkom Prusaków w r. 1795, następnie Austryaków w r. 1796, poczem za Rzeczypospolitej krakowskiej zajęło część zamku Towarzystwo Dobroczynności. W roku 1846 rząd austryacki zajął zamek dla załogi wojskowej i zaprowadził koszarową w pałacu gospodarkę. Co chwila padał pod uderzeniem kilofów starożytny budynek, rąbano w salach marmurowe obramienia, wywożono słupy i pułapy, burzono baszty i kościoły, nawet katedra nie miała się ostać pożądliwości agresywnej wojskowości, która pragnęła z niej zrobić kościół garnizonowy. Wojskowość stała zawsze na przeszkodzie badaniu naukowemu królewskiej rezydencyi, to też każdy opis musi niedomagać i zawierać błędne poglądy, dlatego i ten krótki tutaj skreślony obraz przeszłości zamku, z powodu braku swobodnego dostępu, nie może być dokładnym ni wyczerpującym.

Dwie kwestye wyłoniły się w sprawie zamku na Wawelu z chwilą zbliżania się momentu opróżnienia go z wojska, mianowicie kwestya restauracyi i przeznaczenia. W sprawie odbudowy zamku, opinia publiczna sądziła, że kierownictwo artystyczne robót restauracyjnych powierzy Wydział krajowy istniejącej w tym celu i kompetentnej instytucyi: Gronu konserwatorów Galicyi zachodniej, zaś sam prowadzić będzie część administracyjną. Nie znamy powodów, dla których Wydział krajowy nie poszedł za głosem opinii publicznej, więc też nie możemy bliżej zastanawiać się nad motywami wyboru odmiennego stanowiska. Wydział krajowy złożył komitet restauracyjny z ludzi, którzy mu się zdawali najodpowiedniejszymi do sterowania tem wielkiem przedsięwzięciem architektonicznem, a imiona ich częścią znane z prac na polu historyi sztuki, innych wielce szacowne i pożądane z tytułu ich urzędowego stanowiska. Skład obecny komitetu przedstawia się jak następuje: przewodniczącym komitetu jest marszałek krajowy hr. Stanisław Badeni, członkami: pp. dr. Bołoz Antoniewicz, hr. Edward Chołoniewski, Karol Kucharski, dr. Juliusz Leo, hr. Karol Lanckoroński, dr. Władysław Łoziński, hr. Leon Piniński, namiestnik

hr. Andrzej Potocki, dr. Maryan Sokołowski, dr. Stanisław Tomkowicz dr. Bolesław Ulanowski i dr. Józef Wereszczyński.

Z komunikatu komitetu ogłoszonego po pierwszem posiedzeniu w dniu 10 marca b. r. wynika, że komitet ma właściwie tylko głos doradczy, a Wydział krajowy nie potrzebuje się wcale krępować uchwałami i orzeczeniami komitetu, że więc całą odpowiedzialność za kierownictwo tak artystyczne, jak administracyjne wziął na siebie Wydział krajowy i uznał siebie pod każdym względem wyłącznie kompetentnym organem. Naturalnym wypływem tego stanowiska było uchwała tajności obrad. Na tem pierwszem posiedzeniu uchwalił też komitet dwa wnioski doradcze w następującem brzmieniu:

»Restauracya zamku na Wawelu rozpocząć się ma od usunięcia najnowszych, przez wojskowość wzniesionych ścian i przepierzeń, od gruntownej naprawy i ubezpieczenia dachów, od troskliwego uwydatnienia i utrwalenia tego, co się dotąd w rzeźbach i ornamentach zachowało i od restauracyi pierwotnego kształtu arkad podwórza — a to wszystko na podstawie studyów nad architektonicznym rozwojem zamku«.

Następnie powziął komitet następującą uchwałę:

»Komitet zastrzega sobie w toku robót zasięgać rady artystów polskich i innych sił fachowych«.

Uchwałą tą wskazał komitet na słabą stronę swego składu, w którym nie czytamy ani jednego imienia architekty w sprawie czysto architektonicznej, ani jednego imienia artysty, gdy czeka komitet rozwiązanie doniosłej kwestyi dekoracyjnej, wreszcie, gdzie strona archeologiczno-konserwatorska nie posiada dostatecznie silnego zastępu przedstawicieli.

W pierwszej uchwale komitetu, sądzę zbyt pospiesznej a obywającej się bez współudziału architekty, jest mowa o konserwacyjnych pracach budowniczych, nad dachami, burzeniu i o restauracyi szczegółów. Już ś. p. Łuszczkiewicz zwrócił w swym opisie budowli zamkowych uwagę na zmiany w układzie renesansowych dachów w XVIII stuleciu po ich spaleniu. Chodzi więc o dachy, mające znaczenie raczej przejściowe, dachy z konieczności, a nie zaś monumentalne, jakie pokrywały pierwotnie budowę. Toż samo wszelką uchwałę o burzeniu murów, o rekonstrukcyi subtelnych szczegółów architektonicznych przed właściwą restauracyą, przed studyum architekty i archeologa uważałbym za rzecz przedwczesną, nie dosyć dojrzałą. Nie mam nareszcie zaufania w bezpieczeństwo odpowiedzialności Wydziału krajowego

w rzeczach sztuki i archeologii, którego zakres działania i kompetencya na innych leży polach działalności społecznej. Musiałaby tutaj rozstrzygać wola jednostki i powtórzyłyby się nieuniknienie smutne doświadczenia, iż pomnik wspaniały, architektoniczny nie byłby odrestaurowany, jak każe nauka i artyzm — ale rozstrzygnie błędne o kwestyi pojęcie.

We wszystkich dotąd wypadkach, gdzie rozchodziło się o restauracyę pomników architektury czy innych, a kraj dawał na nią pieniądze, Wydział krajowy powierzał przeprowadzenie kontroli artystyczno-archeologicznej w myśl zasad istniejących przepisów konserwatorskich Gronu konserwatorów bądź to Galicyi zachodniej, bądź też, gdy objekt leżał we wschodniej części kraju, Gronu lwowskiemu. Nie było to żadną anomalią, bo podobnie postępuje rząd, zlecając kierownictwo podobnych robót w licznych krajach austryackich Komisyi centralnej dla konserwacyi zabytków w Wiedniu. Tak było dotąd i nie było nigdy powodu do nieufności w kompetencyę Grona, tymczasem w chwili, kiedy chodzi o najważniejszy pomnik architektury w okręgach Grona konserwatorów Galicyi zachodniej Wydział krajowy sprzeniewierza się wyznawanej dotąd zasadzie i nie troszcząc się o opinię Grona tworzy dla siebie komitet doradczy. Dlaczego się tak stało nie wiemy.

Stanowisko Wydziału krajowego pociągnęło za sobą dalszą konsekwencyę, dla sprawy niekorzystną: siedzibą komitetu restauracyjnego, jakkolwiek Wawel leży w Krakowie, jest Lwów. Ktokolwiek miał do czynienia z restauracyą zabytków, ten wie, jak konieczną jest potrzebą, by komitet był w miejscu, by czuwał ciągle, każdej chwili mógł się zebrać na naradę. Wydział krajowy wyborem członków komitetu, ludzi znakomitych stanowiskiem i wpływem, ale mieszkających przeważnie w miejcowościach o kilkaset kilometrów odległych od Wawelu, obniżył znaczenie organu doradczego, jaki stworzył.

Uważam sobie za obowiązek obywatelski wytknąć obecnie ujemne strony powyżej omówionego stanowiska Wydziału krajowego, zanim sprawa wejdzie na praktyczne tory, zanim zacznie się robota restauracyjna. Wypowiadam zarzuty moje otwarcie i tem śmielej, że mężowie, którzy stanęli na czele przedsięwzięcia, życiem swojem dowiedli, że byli zawsze duchem miłości rzeczy publicznej przejęci. Kierując się zasadą *audiatur et altera pars* i bacząc na dobro sprawy wierzę, że każdy głos krytyczny i rzeczowy będzie Wydziałowi krajowemu pożądany, że chętny da posłuch innemu zdaniu i rozważy zarzuty czy słuszne, a jeśli tak, zrobi jak sumienie i słuszność każą.

W styczniu przed trzema laty postawiłem na posiedzeniu Grona konserwatorów umotywowany wniosek wydania obszernej monografii o zamku na Wawelu. Wniosek został przyjęty, a po długich staraniach sejm w roku zeszłym uchwalił na wydawnictwo potrzebne fundusze. Myśl o restauracyi była głównym motywem mego wniosku, pragnąłem nim ubiegnąć możliwość niewłaściwej, historycznie nieuzasadnionej przebudowy pałaców królewskich. Wychodziłem wtedy jak i dzisiaj z założenia, że chcąc restaurować jakikolwiek zabytek, należy poprzednio dokładnie go poznać, a w projektach nie opierać się na niewczesnych domysłach i predylekcyach, ale przystąpić do rozwiązania zadania z całą ścisłą znajomością przedmiotu. Tak bywa w społeczeństwach kulturalnych, a nie chciałem byśmy w tej sprawie zajęli zamiast kulturalnego inne stanowisko. Zadanie podjęcia monografii na taką skalę, z całym wielkim aparatem illustracyjnym i archiwalnym nie tylko potrzebuje kilkunastu tysięcy koron, ale nadto wymaga żarliwej pracy i wielkiego zapału. Autorami jej będą dr. Stanisław Tomkowicz, znany badacz zamków polskich i konserwator zabytków Krakowa, tudzież p. Adam Chmiel sumienny znawca rękopiśmiennych źródeł i autor wielu rozpraw z przeszłości Krakowa. Wyprzedzanie odbudowy zanim pojawi się zamierzona publikacya, byłoby ryzykownem przedsięwzięciem, które żadną miarą chwalićby niepodobna.

Zanim odbudowa zamku się rozpocznie, należy co do przeznaczenia jego mieć również zupełną pewność. Kwestya musi być dlatego stanowczo rozstrzygniętą, bo od tego będą zależały zmiany, jakieby trzeba w projekcie restauracyjnym uwzględnić. Sprawa ta wywołała żywą wymianę zdań w dziennikach, która sytuacyę znacznie wyjaśniła. Zainaugurował ją dr. Stanisław Tomkowicz w *Czasie* z 26 września 1904 roku i poruszył wiele ważnych i interesujących kwestyi. Między innemi oświadczył się przeciw doraźnemu burzeniu, nawołuje do zastanowienia, czy przez zburzenie tych budynków, samych dla siebie bez znaczenia artystycznego, atoli strzelających wysoko w górę i razem nadających wzgórzu zamkowemu sylwetę wyniosłą, nie zmniejszy się jego wyniosłość, nie zatraci część jej piękności. Nie ulega też wątpliwości, że razem wzięte, przyczyniają się do spotęgowania wrażenia masy i powagi. Bez nich powiada dr. Tomkowicz, góra od strony Wisły zmaleje i płaską się stanie. Jak widzieliśmy powyżej, komitet wprost odmienne zajął stanowisko. Następnie zastanowił się dr. Tomkowicz nad przeznaczeniem zamku i zalecał trzymanie się brzmienia uchwały sejmowej z 8 lutego 1897 r., która przeznaczała go na re-

zydencyę cesarską, ale równocześnie zastrzegł się, że restauracya nie może być inną, jak historyczną i z pietyzmem zachować ma wszystkie ślady przeszłości bez różnicy epok. Wreszcie dr. Tomkowicz odrzucił stanowczo możliwość przeznaczenia zamku na Muzeum narodowe, które jeszcze przed wielu laty proponował b. kustosz p. Teodor Ziemięcki.

Nic naturalniejszego, iż odezwał się teraz dyrektor Muzeum narodowego dr. Feliks Kopera i w dwóch numerach petersburskiego *Kraju* (Nr. 1165 i 1166 z r. 1904) wygłosił twierdzenie, że przerobienie zamku na wygodną rezydencyę nowoczesną, odpowiadającą wszelkim wymogom komfortu nie da się połączyć z pietyzmem i konstrukcyą budowli XVI w. Stawia za przykład zamek Rosenborg w Kopenhadze, w którym urządzono bez ujmy przeszłości muzeum królów duńskich i na wzorach muzeum zagranicznych dowodzi, że zamek na Wawelu wybornie nadawałby się do użycia na muzeum, które mogłoby nabrać charakteru dawnych mieszkań królewskich. Dr. Kopera twierdzi wreszcie, że obok muzeum możnaby śmiało, podobnie jak w Malborgu, urządzić mieszkanie cesarskie, przeznaczone na chwilowy pobyt tutaj monarchy, lub członka jego rodziny. Wskutek takiej dyspozycyi zamek mógłby zachować wszystkie swoje cechy starożytności i być dostępnym dla ogółu.

Pan Ludwik Puszet w *Słowie Polskiem* (z 11 i 12 października 1904 roku) żąda pozostawienia zamku na cele wyłącznie muzealne, a zbudowania natomiast osobnego pałacu na rezydencyę cesarską. W końcu zbrał głos hr. Leon Piniński i w grudniowych fejletonach *Czasu* (Nr. 296—299) rozstrząsnął wszechstronnie sprawę i wyjaśnił ostatecznie, iż propozycya d-ra F. Kopery, aby w odrestaurowanym zamku znalazły się obok siebie mieszkania cesarskie i sale muzealne ma wszelkie za sobą dane i łatwo da się przeprowadzić. Pozostaje nam obecnie cierpliwie odczekać na dyecyzyę monarszą, niemniej ufamy, że zamek królewski stanie się w niedługim już czasie skarbnicą narodowej sztuki, pod której tchnieniem wróci jego dawna świetność, ożyją wspomnienia i będzie dla nas polską Alhambrą, w której piękno i cześć dla przesłości na stałe zamieszkają.

Leonard Lepszy.

Listy z Warszawy.

I.

Powoli uspokaja się Warszawa.

Przeżyła biedna, wystraszona kilka tygodni, które przetrwają długo w jej pamięci. Strejk powszechny robotników i pracowników wszelkiego rodzaju przeszedł, jak burza, nad miastem i krajem, powstrzymując zwykły ruch życia powszedniego.

Był to obraz ciekawy dla psychologa społecznego.

Wracam pierwszego dnia strejku do domu około południa, spotykam kogoś na ulicy, który mówi: jeżeli nie masz w spiżarni zapasów na jakiś czas, pośpiesz się z zakupami, bo za dwie, trzy godziny będzie za późno. — Cóż znowu? Byłożby to możliwe, aby tak wielka maszyna, jak Warszawa, miała nagle stanąć? Nie chce mi się wierzyć w taki eksperyment. Wierz albo nie wierz, ale kupuj zawczasu najkonieczniejsze materyały spożywcze, jeśli nie chcesz pościć.

Nie wierzyłem, nie usłuchałem. Bo nie chce się wierzyć w coś, czego się nigdy nie widziało, nie doświadczyło.

Aż tu nagle pod wieczór wpada do mnie moja kucharka cała zaperzona, zadyszana i woła:

— A mówiłam panu... Mówiłam, że trzeba kupić chleba, mąki, cukru, krup i t. d., ale pan toby tylko siedział w tych swoich papierzyskach i kiwał się nad niemi, jak rabin. Niech pan sobie teraz je owe papiery; wszystkie sklepy zamknięte.

— Żartujesz?

— O la Boga, jaki też to z pana niewierny Tomek! Niechno pan sam zobaczy.

W istocie! Wychodzę na miasto i zastaję wszystkie sklepy zamknięte, jak na komendę. Nigdzie światła, ulice puste, cisza, głusza... Cóż się stało? — Odpowiada mi policyant: piekarze zastrejkowali. — Bardzo dobrze, ale dlaczegóż w takim razie pozamykano sklepy kolonialne, piwiarnie, winiarnie, wędliniarnie i t. d. — Bo tak nakazali oni. — Jacy oni? — Policyant wzruszył ramionami: a ci...

Oni, ci? Któż to taki: oni, ci? Cóż to za jakaś cudotwórcza siła, która przemogła chciwość handlu, głód zarobkowania? Gdyby nieprzyjaciel miasto bombardował, nie pozamykałaby dziatwa Merkurego swoich kramików.

Wtem dochodzi mnie brzęk tłuczonych szyb. Jakiś cukiernik nie

poddał się rozkazowi owych »onych« i wybito mu za to okno wystawowe. Zalepił dziurę papierem i zamknął czemprędzej »budę«.

I tak wszędzie. Ktokolwiek ośmielił się (niewielu znalazło się tak odważnych) oprzeć się woli Jego Mości pana Tłumu, dostawał kamieniem w szyby. I milionowe miasto przestało pracować, kupczyć, ruszać się, oddychać swobodnie.

Kto nie widział Warszawy w dniach strejku, ten nie ma wyobrażenia o potędze strachu, teroru. Bo strach pozamykał wszystkie sklepy, wstrzymał ruch ulicy, teatrów, sal koncertowych, miejsc publicznych.

Zdawałoby się, że tłum stutysięczny wyległ z bronią w ręku na ulice i zmusił miasto do posłuszeństwa. Wcale nie. Tłum stutysięczny strejkował, rajcował, wiecował, stawiając pracodawcom swoje żądania, targował się z nimi, a na ulicy gospodarowała gromadka awanturników, najczęściej gołowąsych śmiałków. Do drukarni, w której pracuje kilkuset zecerów, przychodzi pięciu, dziesięciu wyrostków i mówi: prosimy zamknąć zakład, fajerabend! i pryncypał rozpuszcza natychmiast »towarzyszów«. Czapkamiby zecerzy zarzucili panów nieletnich »delegatów« a oni opuszczają posłusznie pracowite ręce i świątkują. Przed swoim sklepem stoi rzeźnik, olbrzym z łapami słonia; podchodzi do niego jakiś obdarty chłopczyna mizeraczek, chudziaczek, dmuchnąć, to się przewróci, i rozkraczywszy się na cienkich nóżkach, zadarłszy głowinę z butną miną, skrzeczy; »zamkniesz ty zaraz tę swoją podłą budę, ty taki owaki synu, bo ci majchrem (nożem) kiszki wypruję« ... Wystarczyłoby żeby olbrzymi rzeźnik dotknął swoją słonią łapą chuderlawego wysłannika, a nakryłby się nogami, ale olbrzym uśmiecha się dobrotliwie i zamyka sklep.

Oto tak wygląda strach, przygotowany plotkami, krążącemi od kilku tygodni po mieście: a będą rznąć kapitalistów, kupców, burżoazyę, inteligencyę, a będą rzucać bomby i t. d.

Co kilka dni nowy strejk. Zaczęli piekarze, śladem ich poszli rzeźnicy, dalej służba kolejowa i tramwajowa, zecerzy, golarze, robotnicy fabryczni wszystkich odcieni, w końcu służba domowa. Nic dziwnego, że spokojna dotąd w tym kierunku Warszawa straciła głowę, że uległa gorączce strachu.

Po raz pierwszy wystąpił robotnik polski pospołu z rosyjskim z uporem uświadomionych żądań, z solidarnością niezwykłą, nieznaną w naszej rasie i dopiął swego. Bo pracodawcy ustąpili prawie wszędzie, przychylając się do żądań pracowników: zmniejszono godziny

pracy, podwyższono płacę. Nikt nie opierał się, nie starał się przekonywać, uspokajać strejkujących. Strach zdziałał w przeciągu kilku tygodni więcej, aniżeli uczone gadaniny socyologów przez całe lata.

Jak zwykle w chwilach takiej czy owej zawieruchy wypluły na ulicę dziury i nory przedmiejskie wszystkie swoje szumowiny, które każde wielkie miasto wytwarza.

Warszawę niepokoiła w latach ostatnich banda przeróżnych wyrzutków, złodziejów, rabusiów, skrytobójców, którzy, uzbroiwszy się w nóż, gospodarowali po mieście z zuchwalstwem włoskich brygantów. Codziennie czytaliśmy w dziennikach o zabójstwach, dokonanych przez »nożowców«, o ich napadach nie na samych tylko przedmieściach. »Nóż« stał się postrachem dla wszystkich, wracających o porze spóźnionej do domu.

Rozumie się, że tej czarnej bandzie spodobały się bardzo nieporządki uliczne. W takim rajwachu można broić łatwiej, bezkarniej, można »zarobić«. Więc wmieszali się nożowcy skwapliwie pomiędzy strejkujących robotników i »demonstrowali« po swojemu. Oni to głównie rozbijali, rabowali sklepy, korzystając z zamieszania, oni rzucili na miasto ten terror, który przeraził nawet odważnych. Było wprost upokarzającem patrzeć, jak kilku drapichrustów rozbijało w jasny dzień drzwi u sklepów i rabowało najspokojniej. W pierwszym dniu nieporządków nie śmiał im nikt przeszkadzać.

Ten strach paniczny minął nareszcie. Prasa, w pierwszej chwili tak samo przerażona, jak publiczność, ocknęła się pierwsza. Posypały się artykuły wytrzeźwiające, uspokajające.

Gazeta Polska odezwała się:

— Żyjemy w czasach takiego podniecenia nerwowego, iż ludzie stają się łatwowiernymi aż do naiwności. W najdrobniejszych zdarzeniach widzą symbole, w każdym szepcie słyszą zapowiedź złej wróżby. Powstają najdziwaczniejsze plotki i szerzą się i znajdują wiarę i jeszcze bardziej denerwują tych, którzy im uwierzyli dlatego tylko, że byli zdenerwowani. Jest to stan niezdrowy, z którego społeczeństwo powinno się jak najprędzej otrząsnąć we własnym interesie. Pamiętać należy, że nawet wtedy, kiedy się na prawdę stoi wobec niebezpieczeństwa, rzeczą niebezpieczniejszą od samego niebezpieczeństwa, jest panika. A cóż dopiero, kiedy niebezpieczeństwo jest urojone. Wtedy poddawanie się nastrojowi panicznemu, podwójnie pozbawione jest sensu, ale też i podwójnie szkodliwe. W życiu zbiorowem stwarza ono grunt dla kroków fałszywych, bo bez potrzeby pozbawia ludzi tej równowagi

duchowej, która jest zawsze cenna, a szczególnie pożądana w chwilach przeobrażeń.

Goniec oświadczył:

— Czujemy się w prawie powiedzieć prosto i otwarcie, że obecny nieład żądań ekonomicznych uważamy za pozbawiony wszelkich zdrowych podstaw, że nawoływania do wystąpień gwałtownych poczytujemy za występek przeciw interesom narodowym, że wykolejenie się z programu spokojnej i konsekwentnej pracy nad lepszą przyszłością jest w oczach naszych dowodem słabości społeczeństwa, która, gdyby się utrzymała, groziłaby nam zacofaniem i odsunęłaby nasze dążenia do uzyskania lepszych warunków bytu na czas bardzo daleki. Przed nami leży rozległe pole działania a horyzonty pracy są nieskończone. Niepodobna uwierzyć, aby to wszystko miało być stracone w opłakanym zamęcie haseł zarzuconych i czynów marzycielskich.

Tak samo mniej więcej przemówiły gazety: *Słowo, Dziennik dla wszystkich, Kuryer Warszawski* i *Codzienny*. Wszystkie nawołują do opamiętania, do spokojnego zastanowienia się nad położeniem chwili, do powrotu do pracy i t. d. Mimo jednak tych słusznych i rozumnych nawoływań, kto może, kogo obowiązki nie przykuwają do miejsca i komu środki na to pozwalają, pakuje manatki i opuszcza Warszawę, kraj.

Karnawału nie mieliśmy tego roku w Warszawie a post będzie smutniejszy, cichszy, niż zwykle. Ludzie zamożniejsi uciekają w świat, a z nimi ucieka zarobek dla legionu pracowników i kupców, żyjących z owych zamożniejszych. Upartsi fabrykanci lub ci z pomiędzy nich, którzy, obliczywszy się ze swoimi środkami, przekonali się, iż nie mogą się bez własnej ruiny zgodzić na żądania robotników, zamykają warsztaty, wskutek czego rośnie z każdym dniem zastęp, i tak już dość liczny, nędzarzów bez dachu i chleba. Spotyka się na ulicach ciągle żebrzących robotników, czego dawniej nie było, spotyka się także drapichrustów, proszących o jałmużnę takim głosem i z takiem spojrzeniem, iż głównie kobiety oddają czemprędzej ze strachu wszystkie pieniądze, jakie mają przy sobie.

Okazało się po raz tysiączny, iż tam, gdzie tłum zaczyna przemawiać lub działać, traci słowo rozumne, rozważne, spokojne wszelkie znaczenie, a zaczyna panować frazes. Widziało się w Warszawie w czasie powszechnego strejku, jak bezsilną jest w chwilach zawieruch społecznych sfera, zwąca się inteligencyą. Głos jej jest głosem przemawiającego do ścian pustych, jej rady i wskazówki są jako

brzęczenie pszczół, na które nikt nie zwraca uwagi. Pierwszy lepszy z werwą gestykulujący frazesowicz pobije z trybuny ludowej największego mistrza logiki i argumentacyi.

Nie ulega wątpliwości, że pracy nie dzieje się zawsze dobrze, że należy jej się hojniejsze wynagrodzenie i nieco więcej wypoczynku za jej krwawy trud i pot, uregulowanie jednak stosunku między kapitałem a pracą możnaby załatwić spokojniej, bez wrzawy i nieporządków, bez teroru i gwałtów. Ale do tego potrzeba, aby ludzie wprowadzili do stosunków społecznych trochę więcej bojaźni Bożej.

Bojaźni Bożej?... Uśmiechną się na tę receptę inteligenci warszawscy, dla których wszystko, co potrąca o religię, jest równoznacznikiem przesądu, wstecznictwa, głupoty. »Wstyd człowiekowi kulturalnemu przyznawać się do uczuć religijnych, do bojaźni Bożej« — mówi, wierzy u nas pierwszy lepszy kantorowicz, któremu się zdaje, że stoi na wyżynach kultury nowoczesnej.

Na ten szczególniejszego rodzaju »wstyd« złożyło się kilka powodów. Nasamprzód zostawała Warszawa za długo, przez lat trzydzieści, pod rządami pozytywizmu. Chociaż pokolenie najmłodsze wyzwala się powoli z pod tego wpływu, bezwyznaniowość pozytywistyczna pokutuje jeszcze w tak zw. inteligencyi. A potem... W ostatnich czasach wtargnęła do inteligencyi warszawskiej liczna gromada »cywilizatorów«, złączonych dotąd bardzo luźno z tradycyami naszego społeczeństwa. Są to Żydzi, rozebrani w pierwszem pokoleniu z hałatów, i protestanci Niemcy, polszczący się dopiero. Inteligentny Żyd, chrzczony i niechrzczony, lekarz, adwokat, dziennikarz, literat, oderwawszy się od swojego pnia, od wielowiekowych tradycyi swojego narodu, wisi w powietrzu. Prawowiernym Żydem już nie jest, bo odczepił się od Talmudu i mądrości chederów, członkiem społeczeństwa chrześcijańskiego jeszcze nie jest, bo nie miał czasu zlać się z niem, przejąć się jego pojęciami i zwyczajami. Najwygodniej dla niego opierać się na t. zw. ideach humanitarnych, stać poza kołem wyraźnie określonych wyznań, być bezwyznaniowcem. I gdyby nim był, gdyby się zadowalniał bierną obojętnością... Ale on wnosi do kultury chrześcijańskiej bezwiedną, atawistyczną nienawiść swojej rasy do chrześcijaństwa wogóle a do katolicyzmu po szczególe. Jako dziennikarz i literat wnosi on wszędzie dość często nieświadomie »tę dzisiejszą nienawiść i rozsiewa truciznę bezwiary« płaskiego, zdawkowego ateizmu.

A Niemiec-protestant? długi czas zachowywali się nasi »lutrzy« spokojnie, rozumiejąc, że propaganda protestancka nie może liczyć na

powodzenie w kraju katolickim. Dopiero w latach ostatnich podniósł nasz protestantyzm bardzo głowę i peroruje *Los von Rom.* Robota ta polega na systematycznem obniżaniu katolicyzmu. Za mało zwraca się u nas uwagę na tę robotę szkodliwą.

Echa pozytywizmu, bezwyznaniowość inteligentnych Żydów, agitacya protestantów — wytworzyły chaos pojęć, obojętność religijną, ów śmieszny wstyd przyznania się do bojaźni Bożej. Przeciętnemu inteligentowi warszawskiemu zdaje się, że człowiek kulturalny ośmieszyłby się, zblamował, gdyby się ukorzył jawnie przed Bogiem.

A jednak jest bojaźń Boża nie tylko początkiem wszelkiej mądrości, lecz podstawą wszelkiego porządku społecznego — podstawą trwalszą, silniejszą od najgenialniejszych wskazań socyologicznych. Wystarcza zastosować w życiu ewangelię, a złagodzą się same przez się, bez gwałtów i terorów, wszystkie spory między kapitałem a pracą.

Teodor Jeske-Choiński.

Druk ukończono 31 marca 1905 r.

REFLEKSYE Z POWODU WOJNY ROSYJSKO-JAPONSKIEJ.

(Dokończenie).

Imponujące przedzierzgnięcie się drobnego elektoratu brandenburskiego w pierwszorzędne mocarstwo w ciągu ostatnich dwu stuleci, nasuwa mimowolnie pytanie, w jaki sposób zdołali władcy tego małego skrawka ziemi, podnieść tak szybko i tak znacznie swoją potęgę. Przyczyn należy szukać w trzech okolicznościach nader rozmaitej wartości etycznej, w rozwinnej pracy wewnętrznej, w cynicznej polityce i w wyzyskiwaniu na swą korzyść stanowiska Rosyi.

Od połowy XVIII wieku pracuje się w Prusiech niezmordowanie nad konsolidacyą sił wewnętrznych. W czasie, gdy w innych państwach, wojny dynastyczne i polityka dworska pochłaniają niemal całą uwagę, nie szczędzi się w Prusiech kosztów i trudów, ażeby tylko wzmocnić społeczeństwo, a przez to i państwo w każdym kierunku, tak ekonomicznie, jak cywilizacyjnie i militarnie. Szereg monarchów i mężów stanu, od wielkiego elektora do Fryderyka II, idzie bezustannie po tej drodze, z roku więc na rok Prusy rozwijają się tem wyraźniej, że u sąsiadów widać coraz większe wyczerpanie. Jest to niewątpliwie piękna a pouczająca karta w dziejach Hohenzollernów, która wskazuje, w jaki sposób zmieniono skąpo przez przyrodę uposażone ziemie w kraj zamożny, co osiągnięto pracą, wytrwałością i zdolnościami, pomimo stosunków geograficznie i politycznie niekorzystnych.

Zanim można było skorzystać z owoców tej pracy, nawet

zanim ją rozpoczęto, państwo brandenburskie jeszcze w ciągu wojny trzydziestoletniej chwyciło się polityki, która trwa do dzisiaj. W stosunkach politycznych panuje wszędzie interes i egoizm, wszędzie znajdujemy czyny, które zasługują na jak najostrzejsze potępienie. Nigdzie jednak nie wyeliminowano wszelkich pierwiastków etycznych z akcyi politycznej tak dokładnie jak w Prusiech. Traktaty, przymierza, uroczyste zobowiązania, familijne układy deptano bez najmniejszego skrupułu, skoro tylko można było coś na tem skorzystać. Nie szukając zbyt daleko widzimy, jak wielki elektor łączy się kolejno z miastami pruskiemi przeciw Szwecyi, potem z Karolem Gustawem, w końcu znowu z Polską, jak mimo formalnego uznania sankcyi pragmatycznej, Fryderyk II napada na Austryę, jak później Prusy wbrew sojuszowi z sejmem czteroletnim idą razem z Rosyą, a w pierwszej wojnie koalicyjnej zawierają pokój z Francyą, opuszczając bez namysłu swych sprzymierzeńców. To samo powtarza się i później. Pierwszy kontyngent pruski zwraca się po wyprawie rosyjskiej przeciw Napoleonowi, używa się pomocy austryackiej do zdobycia dla Prus Schleswigu i Holsztynu, ażeby potem wbrew układom zagarnąć wszystko dla siebie, fałszuje się depeszę o przyjęciu ambasadora francuskiego, aby popchnąć Napoleona III do wojny. W sferze dyplomatycznej panuje ta sama metoda. Trójprzymierze neutralizuje tajna konwencya z Rosyą, traktat co do Chin z Anglią, tłumaczy się w sposób pozwalający Rosyi na zabór Mandżuryi, daje się zabraniem okręgu Kiao-Tschao pierwszy impuls do zaborczej polityki w Chinach, słowem stawia się wszędzie siłę przed prawem, a interes ponad sprawiedliwość i etykę.

Takie postępowanie przynosi znaczne korzyści, ale do czasu. Zaskoczeni nieprzygotowani sąsiedzi ulegają naporowi, lecz nie godzą się z losem. Jeżeli dzisiaj nie ma może na świecie państwa bardziej i powszechniej znienawidzonego niż Prusy, to zawdzięczają to właśnie temu systematycznemu podeptaniu wszelkiego poczucia prawa. Na żadnej ich granicy nie ma państwa i narodu, któryby nie doznał ciężkiego pokrzywdzenia, nigdzie więc nie znachodzi się przyjaciół, wszędzie widzi się wrogów, słabszych może, gdy są rozdzieleni, lecz nader niebezpiecznych,

gdyby się połączyli razem. Dlatego Prusy zbroiły się i zbroją od dwu wieków wiedząc, że swe *per fas et nefas* uzyskane posiadłości siłą tylko utrzymać mogą. Mimo największych jednak militarnych wysiłków, własna ich potęga nie zawszeby mogła wystarczyć. Należało więc koniecznie poszukać pomocy zewnętrznej i to tak wielkiej, ażeby samym swym ogromem powstrzymywała pokrzywdzonych od wszelkich prób odwetu. Pomocy tej szukano i znaleziono w Rosyi, która taką grozą przejmowała całą Europę i tutaj właśnie odkryto trzeci, może najważniejszy czynnik swej potęgi.

Nader ciekawy i charakterystyczny jest stosunek Prus do Rosyi. Dziś nawet, gdy Berlin ma pretensyę, ażeby z Wilhelmstrasse kierować całą europejską, a może i wszechświatową polityką, w stosunku do Rosyi kurczy się i płaszczy, występuje jak dawniej w charakterze prawie pupila, co najmniej przyjaciela młodszego i uboższego wobec starszego i bogatego. Od czasu do czasu pokazuje się wprawdzie pazury, jak podczas kongresu berlińskiego, w chwili ogłoszenia traktatu z Austryą, lub w dniach walki o ruble rosyjskie, lecz na to tylko, ażeby wpoić w carat przekonanie, że i ten skromny przyjaciel może się przydać i potrafi szkodzić. Potem wraca wszystko do dawnych stosunków; Prusy idą ostentacyjnie na rękę Rosyi, nie kryjąc się bynajmniej ze swem poszanowaniem dla jej wielkości i potęgi.

Równocześnie wewnątrz caratu Niemcy utrwalili swój wpływ od wieków. Znana jest anegdota o piśmie, wystosowanem jeszcze do Piotra Wielkiego przez jednego Rosyanina, który upraszał o zamianowanie go Niemcem. Mimo, że upłynęło już lat dwieście, mimo że naród rosyjski co najmniej tak samo sympatyzuje z Niemcami jak reszta Europy, mimo osobistej do nich niechęci Aleksandra III, wpływ ich w Rosyi nie tylko nie zmniejszył się, lecz kto wie, czy nie rośnie. Znaczna część najwyższych stanowisk cywilnych i wojskowych znajduje się w ich ręku, tak że Rosya jest może jedynym krajem, w którym wbrew całej polityce unifikacyjnej, obcy żywioł, co najwyżej zewnętrznie tylko zrusyfikowany, doszedł do tak wielkiej potęgi. Jasną jest rzeczą, że Niemcy rosyjscy przynajmniej tam, gdzie nie będzie to sprzeczne

z interesem państwa, któremu służą, poprą interesy mocarstwa reprezentującego dawniejszą ich ojczyznę, a ponieważ obecnie wysunęły się na to stanowisko Prusy, więc interesy pruskie.

Obie te okoliczności: własną swą politykę względem Rosyi niejednokrotnie wprost upokarzającą i wpływ niemiecki w rosyjskim rządzie, umiały Prusy doskonale wyzyskiwać do swoich celów. Na oko szły one za Rosyą, w istocie rzeczy prowadziły ją tam, gdzie im to w danej chwili było dogodne, a mając zawsze poparcie tak potężnego sąsiada, czuły się wobec innych zupełnie bezpieczne. Dzięki temu, począwszy od Aleksandra I-go carowie uważali się za łaskawych protektorów małego królestwa pruskiego, Prusy zaś rosły, gdy Rosya uchodziła za potężną, malały, gdy wiedziano, że jest słabą. Stosunek ten pochlebiał próżności rosyjskiej a przynosił pozytywne korzyści zachodniemu sąsiadowi, trwał więc bez przerwy i trwa dzisiaj jeszcze i doprowadził do złamania Austryi i Francyi i do utworzenia nowego cesarstwa niemieckiego. Lecz właśnie dlatego, że Prusy wyzyskiwały przedewszystkiem potęgę rosyjską, znajdowały się zawsze w kłopotach, skoro tylko carat był na razie bezsilny. Wtedy Prusy zwracają się ku innym państwom, szukając z nimi związków, jakoby ze względu na niebezpieczeństwo rosyjskie. Taka była polityka podczas wojny krymskiej, w ten sposób przyszło do skutku przymierze z Austryą po kampanii tureckiej. Przecież niepodobna utrzymywać na seryo, iż Bismarck dlatego zawarł układ gasteiński, że obawiał się odwetu Rosyi za kongres berliński. Rosya wyczerpana zupełnie nie była dla niego straszną, lecz jej niemoc pozbawiała go nader użytecznego poparcia i dlatego poszukał go na pewien czas w Austryi. Potem, gdy rany zadane wojną zabliźniły się już częściowo, przyszła słynna konwencya z Rosyą, a więc powrót do dawnych stosunków.

Obecnie wewnętrzne i zewnętrzne stosunki rosyjskie są tego rodzaju, że przypominają dzieje Francyi w ostatnich latach przed wielką rewolucyą. Rachować na pomoc rosyjską nie można, bo brak tam sił zupełny, więc i Prusy znalazły się w położeniu dosyć nieprzyjemnem. Prawda, że pokrywa się swój niepokój pewną zuchwałością, lecz nie może się to przydać na wiele a to

tem bardziej, że w szereg państw Niemcom niechętnych weszła i Anglia, patrząca niechętnem okiem na rozwój niemieckiego handlu i wzrost wojennej floty. Występy tego rodzaju, jak teatralne odwiedziny Tangeru, prowadzą jedynie do tem wyraźniejszego zaznaczenia osamotnienia niemieckiego cesarstwa, a groźby wkroczenia do Królestwa na wypadek rozruchów spotykają się z tym pobłażliwym uśmiechem, z jakim przyjmują się niewykonalne przechwałki. Boć przecież jasną jest rzeczą, że Prusy mogły ograbić Danię i małe państewka niemieckie wtedy, gdy same na pozór słabe, nie wzbudzały u wielkich mocarstw obaw, a poza sobą miały życzliwe poparcie Rosyi. Lecz dzisiaj rozszerzenie granic cesarstwa niemieckiego miałoby zupełnie inną dla Europy doniosłość niż w r. 1866. Zabór Kaliskiego i Piotrkowskiego, z ich górnictwem, przemysłem i znaczną ludnością niemiecką, dałby Prusom taki wzrost sił, że na to nie mogłoby pozwolić żadne inne państwo. Wiedzą o tem doskonale w Berlinie, to też wieści o korpusach stojących w gotowości nad granicą mają jedynie okazać, jak troskliwi są tam o dobro Rosyi, nic więcej.

Nic więc dziwnego, że zmieniło się bardzo wyraźnie i stanowisko Niemiec w trójprzymierzu. Oburzenie prasy niemieckiej na Austryę i na nas, gdy wytknięto nietakt Rheinbabena, dowodzi, jak drażliwi są w Berlinie na wszystkie objawy tego rodzaju. Austrya miała odwagę zażądać od Prus wyjaśnień, miała odwagę wyprosić sobie wycieczki na temat wewnętrznych jej stosunków. Tyle już razy pozwalano sobie na takie mowy w Niemczech, tyle razy Prusy okazywały niedwuznacznie swe niezadowolenie z polityki wewnętrznej sojusznika, to pomijając ostentacyjnie hr. Taaffego przy deszczu orderów, to znowu wchodząc w ścisłe stosunki z niektóremi stronnictwami przez hr. Eulenburga. Austro-węgierski urząd spraw zagranicznych nie dawał, choćby tylko skrzywieniem po sobie poznać, że go to niemile dotyka; Berlin zarządził, w Wiedniu godzono się z losem. A teraz mała napaść na Galicyę wywołała taką burzę! To zły znak, to jakby zapowiedź, że po extra-turze Włoch może przyjść kolej na podobny taniec Austro-Węgier. Tem właśnie tłumaczy się to wiel-

kie oburzenie niemieckiej prasy, które towarzyszyło niezwyczajnej uprzejmości i ustępliwości sfer rządowych.

Na razie jest to rzecz drobna bez dalszych konsekwencyi, lecz w połączeniu z naturalnem dążeniem Francyi do zastąpienia sojuszu rosyjskiego układem praktyczniejszym, ma w każdym razie znaczenie niepokojącego symptomu. Nie tak to dawno, jak ks. Schwarzenberg, najlepszy dyplomata, którego posiadała Austrya w ostatnich czasach, dążył do przymierza monarchii austro-węgierskiej z obu zachodniemi mocarstwami. Śmierć zaskoczyła go, zanim myśl swoją mógł zamienić w czyn, a nieudolny jego następca chwiejnem swem stanowiskiem w czasie wojny krymskiej, wzbudził tylko nienawiść w Rosyi, a niechęć u Francyi i Anglii. Lecz nie należy zapominać, że idea przymierza francusko-austryackiego nie jest nowa, ani awanturnicza, że była to pierwsza myśl Napoleona i Talleyranda, że w Austryi wrócono do niej po pół wieku znowu, że przed wojną z r. 1870 przejawiła się ona po raz trzeci w ciągu jednego stulecia. W tych czasach napotykano jeszcze na jedną nieprzełamaną prawie trudność, dziś już nie istniejącą. Austryacka polityka pragnęła utrzymać swą hegemonię we Włoszech, Francya i Anglia były za oswobodzeniem półwyspu apenińskiego z pod wpływu Wiednia. Obecnie odpadło to, a tem samem łatwiej niż kiedykolwiek doprowadzić do takiej konstelacyi, bo obok identyczności interesów w wielu bardzo dziedzinach, niema nigdzie radykalnej ich sprzeczności. Dla Austryi układ z mocarstwami zachodniemi przedstawia co najmniej równe bezpieczeństwo jak z cesarstwem niemieckiem, nie wykluczając przytem na wypadek wojny możliwości odzyskania pewnej części dawniejszych swych posiadłości, dla Francyi już on korzystniejszy od sojuszu rosyjskiego, bo uchyla potrzebę liczenia się z aspiracyami Petersburga na Wschodzie bliższym i dalszym, Anglii wreszcie jest w każdym razie sympatyczny, jako ciężka groźba wisząca nad Niemcami, nad ich flotą, handlem i koloniami.

Gdyby przyszło do takiego ugrupowania, Prusy znalazłyby się albo osamotnione, o ile Rosya zajęłaby się sprawami wewnętrznemi, Azyą, lub połączyła się z tamtemi państwami, albo w najlepszym razie szłyby razem z Rosyą. W pierwszym wy-

padku wpływ ich w Europie, a wiemy wszyscy jak bardzo niekorzystny, zmniejszyłby się natychmiast niewymownie, w drugim również nie byłoby o wiele dla nich lepiej, bo wobec stosunków rosyjskich, przewaga po stronie przeciwnej byłaby przygniatająca i to tem bardziej, że Niemcy nie posiadają obronnych naturalnych granic.

Ściślejsze połączenie Niemiec i Rosyi byłoby, na ogół biorąc, dla nas niezbyt szkodliwe, a z pewnego punktu widzenia nawet wprost korzystne. Niebezpieczeństwo polegałoby tylko na tem, że wpływ Prus paraliżowałby każdy ruch Polakom przychylniejszy, nie należy jednak zapominać, że dzieje się to i dzisiaj w bardzo szerokich rozmiarach, tak że trudno o jakąś zmianę na gorsze. Jak długo w Rosyi panuje biurokratyczny absolutyzm, a polityka rusifikacyjna stanowi dla licznych czynowników kwestyę chleba, akcya antipolska jest bardzo łatwa, o ile chodzi o utrzymanie obecnego ucisku, a bardzo trudna, gdy pragnie go powiększyć, gdyż doszedł już niemal do szczytu represyi. W systemie konstytucyjnym natomiast wpływ zagranicy na ukształtowanie stosunków wewnętrznych redukuje się zawsze niemal do zera, można bowiem znieść upokorzenie niejedno w cztery oczy i pozwolić rządzić obcym ambasadorom, gdy wie o tem jeden lub drugi minister, niepodobna jednak przyznać się do takiej abdykacyi z własnowolności z trybuny parlamentarnej. Wystarcza wtedy publiczne stwierdzenie obcej ingerencyi, ażeby uniemożliwić jej uwzględnienie, a przytem w parlamentaryzmie należy się liczyć z całym szeregiem czynników, tak zasadniczych jak taktycznych, które zmuszają do ustępstw, choćby nie chciało się ich zrobić pod żadnym warunkiem.

Ze względu przeto na nasz stosunek do Rosyi, najściślejsze choćby połączenie Prus z caratem jest dość obojętne. Absolutyzm, jak długo się trzyma, nie da żadnych realniejszych narodowych ustępstw, a ponieważ przeprowadził represyę w jak najszerszych rozmiarach, więc nie chcąc jej ulżyć, a nie mogąc już powiększyć, doszedł do punktu martwego, którego nacisk pruski przesunąć nie może. Konstytucya prowadzi do samorządnego kierowania wewnętrznemi sprawami państwa, bez względu na stosunki zagra-

niczne, przy utrzymaniu samodzierżawia przeto Prusy nic nie mogą zrobić, bo mają wszystko, co da się osięgnąć, w ustroju parlamentarnym nie mogą nic dostać, bo zanika zupełnie siła ich nacisku.

Natomiast korzyść i to nie mała z takiego ugrupowania polegałaby na tem, że raz już wyszlibyśmy z owego naiwnie błędnego koła, w którem obracają się liczne sfery naszego społeczeństwa, szukające bądź pomocy rosyjskiej w walce z Niemcami, bądź to, jak dawniej, niemieckiej w obronie przed Rosyą. Rosya nam potrzebna, bo największym wrogiem są Prusy, a jedynie on może stanowić dostateczną przeciwwagę, słyszeliśmy i czytaliśmy w początkach wojny. Zapomniało się przytem, że Prusy i Rosya to jedna ręka bez względu na pozory i zewnętrzny układ mocarstw, że jeżeli wpływ pruski, którym tłumaczono całą rusyfikacyę był tak potężny w czasie aliansu z Francyą, to chyba jest on czynnikiem stałym, którego nic nie wykorzeni. Widziało się tylko Prusy i Rosyę w dwóch obozach i stąd ten rozłam duchowy w naszem społeczeństwie, który tak bardzo ułatwił robotę ugodową. Gdy się to raz skończy, gdy Berlin i Petersburg złączyłyby się otwarcie przeciw reszcie Europy, najzapaleńsi nawet zwolennicy tej doktryny przejrzeliby, coby przyniosło cenną sanacyę naszych stosunków partyjnych. Wtedy Polacy mieliby drogę wyraźną: z jednej strony w najgorszym razie obojętnych, z drugiej wrogów, wybór więc byłby łatwy. Dziś jest to samo, lecz przymierza zaciemniają ten obraz, a dojrzenie prawdy bardzo nam jest potrzebne.

Gdyby natomiast Rosya przyłączyła się do Europy zachodniej, rozwiązanie dylematu prusko-rosyjskiego przyszłoby na innej drodze. W tym wypadku mielibyśmy ugrupowanie wszystkich wobec osamotnionych Niemiec. Jeżeli dzisiaj pomimo trójprzymierza i francuskiego sojuszu stosunki rosyjsko-niemieckie są nader ścisłe, to tłumaczy się to tym prostym faktem, że tak Niemcy jak Rosya zapewniały sobie pomoc nie przeciw sobie, lecz przeciw innym państwom. Francya służy Rosyi przeciw Austryi i Anglii, Austro-Węgry i Włochy Niemcom przeciw Francyi i Wielkiej Brytanii, natomiast między dwoma kierującemi pań-

stwami panuje przyjaźń, niczem nie zamącona. Inaczej byłoby, gdyby na gruzach trójprzymierza powstał związek anti-niemiecki. Wtedy jedynym celem byłoby osłabienie Niemiec, więc też albo Petersburg nie przyłączyłby się do tej grupy, albo musiałby zerwać nici, łączące go z Berlinem, inaczej bowiem cała polityka jego byłaby bezcelową, a więc bezmyślną.

Trudno przewidzieć w jaki sposób oddziałałby na nasze stosunki koniec przyjaźni prusko-rosyjskiej. W każdym razie zniknąłby wpływ pruski, a być może nawet, że biurokracya musiałaby się pogodzić z pewnemi ulgami wobec tego, że w dziedzinach polskich, jako nadgranicznych, należałoby postarać się o zmniejszenie panującego tam niezadowolenia. Albo więc przyszłyby pewne pozytywne zmiany, a więc skorzystalibyśmy istotnie, albo też mimo notorycznego usunięcia nacisku niemieckiego, ucisk panowałby jak dotąd, a w takim razie przejrzelibyśmy i zobaczyli dowodnie, ile warte są usprawiedliwienia polityki rosyjskiej zgubnym wpływem pruskim.

Zmiana w ugrupowaniu mocarstw nie może być przeto w żadnym razie dla nas szkodliwą, w każdym wypadku przyniosłaby pewne korzyści.

VI.

Od roku 1848 nie było już nigdzie takich anarchicznych stosunków, jakie od pół roku panują w Rosyi. U góry brak kierunku, stanowczości, zrozumienia sytuacyi i lojalności, u dołu brak jednolitej myśli, wytrwałości i ciągłości. Najprzeróżniejsze prądy i wpływy krzyżują się bezustannie, a właściwie nikt nie zdaje sobie jasno sprawy z tego, czego pragnie i do czego dąży. Rząd zaskoczony wypadkami, które tak namacalnie stwiedziły kompletne bankructwo biurokracyi, pragnąc za wszelką cenę utrzymać dotychczasową swą wszechwładzę, od czasu do czasu rzuca obietnice nieokreślone, które w dalszej dopiero przyszłości mają być spełnione, a tymczasem siłą wojskową łamie wszelkie ruchy. Monarcha słaby, zdaje się pozbawiony wszelkiej własnej myśli i woli, stał się powolnem narzędziem w rękach kamaryli biurokratyczno-dworskiej, która w miarę chwilowego zwycięstwa ży-

wiołów reakcyjnych czy reformatorskich, uzyskuje podpis na manifestach lub aktach akcentujących absolutyzm lub przyrzekających wolnościowe zmiany. To, co się wypowiedziało dzisiaj, cofa się jutro; do zapowiedzi oczekiwanych reform dodaje się równocześnie oficyalny komentarz, burzący wszystko, co obiecywały ustępy poprzednie; w dzień po manifeście, stojącym na niewzruszalnym gruncie samodzierżawia, przychodzi drugi, o duchu przynajmniej przez pół-konstytucyjnym. A co najgorsza, nigdzie nie powiada się daję, tylko dam później, nigdzie nawet nie mówi się co się da w istocie, lecz zbywa się rzecz całą ogólnikami, które w pozytywną formę ma ubrać dopiero komitet ministrów, t. zn. biurokracya.

Jasną jest rzeczą, że podobna metoda nie może przynieść dodatnich rezultatów. Rząd, odmawiający wszelkim żądaniom, naraża się na natychmiastową walkę z ludnością, lecz z drugiej strony okazuje swą siłę i stanowczość. Może on doprowadzić do rewolucyi, w każdym jednak razie społeczeństwo, widząc jego decyzyę, musi się zastanowić, czy walka otwarta z przeciwnikiem na wszystko gotowym przedstawia dostateczne szanse powodzenia. Skoro już do niej przyjdzie i jakkolwiek się zakończy, nie będzie trwała długo; wkrótce rozstrzygną się losy jednego i drugiego obozu i kraj powraca do normalnego życia. Przytem ma się do czynienia z przeciwnikiem lojalnym i otwartym, którego zwalcza się wprawdzie najusilniej, nie odmawiając mu jednak szacunku. To też gdy rewolucya zwycięży, okres przejściowy represyi politycznej, kończy się prędko; gdy ulegnie, zwycięski system wychodzi bez umniejszenia swej powagi i aureoli, nie naraża się przeto na niedalekie powtórzenie walki. Jeżeli natomiast miarodajne czynniki przyszedłszy do przekonania, że obecne stosunki nadal utrzymać się nie dadzą, godzą się za reformą, zatrzymują najpierw w swem ręku możność oznaczenia ich rozmiarów i sposobu ich przeprowadzenia, a zarazem nie dopuszczają, ażeby społeczeństwo opanowała nienawiść do rządu, jako takiego. Przejście z absolutyzmu do konstytucyi odbywa się bez żadnego przewrotu, zmienia się forma rządu, ustępuje kilku ludzi i na tem koniec. Państwo i idea monarchiczna nie ponoszą żadnych strat

i owszem, dzięki zgodnemu załatwieniu sporu, ich siła i stanowisko jeszcze się podnosi.

W Rosyi trzymają się innej metody. Nie mając dość odwagi, ażeby mimo wszystko odrzucić wszelką zmianę systemu, a nie chcąc dać niczego, rząd pragnie społeczeństwo znużeniem odstręczyć od wolnościowego ruchu. W tym celu, nie szczędząc obietnic mglistych i ogólnikowych, stosuje do nich wszystkie finezye biurokratycznego przewlekania, skoro chodzi o ich bliższe określenie i jasne sformułowanie. O praktycznem i ustawodawczem przeprowadzeniu nie ma na razie mowy; przy takim samym sposobie postępowania wypadałoby chyba czekać na to lat dziesiątki, jeżeli żadna z zasad nie mogła jeszcze doczekać się ustalenia po tylu miesiącach. Użyte środki są dosyć proste. Manifest obiecuje zmianę na lepsze ogólnikowo, powierzając wypracowanie szczegółów komitetowi ministrów. Tam po długich naradach dochodzi do uchwały, że należy częściowo znieść takie a takie ograniczenia, ustawy lub zarządzenia administracyjne. W tym celu ma opracować odpowiednie ministerstwo projekt ustawy i przedłożyć go znowu komitetowi i radzie ministrów. Uchwałę tę car potwierdza i cała sprawa przenosi się do sekcyi ustawodawczej odnośnego ministerstwa, które oczywiście rozpoczyna nader gruntowną pracę, bada wszystkie nadesłane projekty, tworzy komisye, żąda opinii gubernatorów i t. p., a na to wszystko potrzebuje bardzo wiele czasu. Tymczasem zaś pozostają nienaruszone dawne przepisy i będą obowiązywać tak długo, dopóki ów urząd nie ukończy swojej syzyfowej pracy. Równocześnie komitet ministrów przystępuje do obrad na drugą, trzecią i dalszą kwestyę i wszystkie załatwia w taki sam sposób, nie dający absolutnie niczego. Po prostu każdą sprawę krytykuje się, lecz nie potępia się pod żadnym warunkiem w całości przepisów do niej stosowanych. Wskutek tego powstaje potrzeba bliższego jej rozpatrzenia, utrzymania pewnych norm, uchylenia innych. Które jednak mają być zniesione i co wprowadzić w ich miejsce nie tak łatwo powiedzieć, stąd płynie konieczność odesłania całej rzeczy do ministerstwa, gdzie się ją ostatecznie grzebie samym ogromem badań.

Rządowi zdaje się, że w ten sposób potrafi ludność omamić. Naród przeczytawszy w urzędowych enuncyacyach, że sam rząd uznaje braki dotychczasowej praktyki, że najwyżsi urzędnicy uchwalają zasady, przejęte duchem sprawiedliwości i wolności, nabiera nadziei, że wkrótce będzie korzystać z tych dobrych przepisów. Czeka cierpliwie, a tymczasem słyszy o postanowieniu drugiem, równie pięknem, równie wiele obiecującem, skoro tylko minister opracuje projekt ustawy. Za tem idzie trzecie, czwarte, dziesiąte, a każda rzecz nowa, pociągająca swą treścią, usuwa z pamięci poprzedzającą, o której wykonaniu już więcej nie słychać. W ten to sposób obie strony mają być zaspokojone: ludność ma dostać zasady, biurokracya utrzymać nadal rządy, niczem nie skrępowane, prowadzone według swego tylko uznania. A gdy po pewnym czasie okaże się, że bez względu na jakość tych zasad praktyczny system nie uległ żadnej zmianie, społeczeństwo, zawiedzione w nadziejach, porzuci swe dzisiejsze żądania, bo dowodnie przekonane o ich bezsilności, powróci do dawniejszej rezygnacyi.

Takie jest stanowisko sfer rządowych u góry, o ile istnieje tam jakaś idea przewodnia. A należy przyznać, że jasny program posiada jedynie grupa reakcyjna, podczas gdy żywioły reformatorskie są chwiejne, niezdecydowane, słabe. Gdyby zaś była jakaś wątpliwość co do tego, czy rzeczywiście takie są cele rządu, to rozwiałaby ją niedawna wiadomość, że rząd miał zażądać od subwencyonowanych dzienników, ażeby pisały w duchu liberalnym. Przewlekłość obrad komitetu ministrów przy równoczesnem zwalczaniu idei wolnościowych przez półurzędową prasę wzbudza podejrzenie, jeżeli jednak pisma, notorycznie zależne od rządu, przyłączają się do grupy reformatorskiej, to widocznie stoją na tem stanowisku i miarodajne czynniki. Nie można już wątpić o dobrej ich woli, należy cierpliwie wyczekiwać rezultatów ich pracy, a tymczasem znosić nadal ucisk, w którym przecież żyje się już od wieków.

Równocześnie nie zapomina rząd i o innym, może jeszcze skuteczniejszym środku. Stosunek ludności do panującego ustroju politycznego jest nader różny w miarę tego, czy uwzględnimy

więcej czy mniej oświeconą część społeczeństwa. Dla jednostek o pewnej kulturze sam fakt, że o ich losach decyduje się bez najmniejszego ich współudziału, że chociaż są członkami narodu, nie mogą mieć żadnego wpływu na jego losy, sama możliwość nadużyć, wobec których jest się zupełnie bezbronnym, są ciężące i nienawistne. Warstwy, stojące cywilizacyjnie nizko, nie posiadają tych, można powiedzieć, teoretycznych uczuć, ich zdaniem, forma rządu jest złą lub dobrą w miarę tego, czy w rzeczywistości działa dla nich szkodliwie, czy użytecznie, a raczej czy tę działalność wystawiają sobie jako dodatnią, czy ujemną. Dlatego to właśnie wszystkie rządy despotyczne opierały się zawsze na nieoświeconych szerokich masach, wystarczało bowiem pozostawić je w pewnej lokalnej swobodzie, choćby najzgubniejszej, nie mieszać się do drobnych spraw autonomii wiejskiej, ażeby być pewnym ich poparcia. Tak postępował rząd rosyjski i z tego co najmniej niższa biurokracya pragnie dzisiaj skorzystać.

Ruch konstytucyjny prowadzą w Rosyi sfery inteligentne i robotnicze. Najniebezpieczniejszą wydaje się inteligencya miejska i wiejska, albowiem jej żądania są czysto polityczne i trudno, ażeby jakakolwiek akcya socyalno-ekonomiczna mogła ją skłonić do zmiany zajętego stanowiska. Robotnicy, wiążąc kwestye prawno-polityczne z postulatami gospodarczymi, umożliwiają rządowi uwzględnienie jednej części, dla niego dość obojętnej programu; inteligencya nie żąda nic innego, jak abdykacyi biurokratyzmu z jego dotychczasowej wszechwładzy. Zarazem ruch robotniczy przejawia się w formach, które dopuszczają gwałtownej represyi, przynajmniej chwilowo skutecznej, nie podobna jednak strzałami i szarzami odpowiedzieć na uchwały ziemstw, adwokatów, rad gminnych, lekarzy i techników. Lecz powszechnie wiadomą jest rzeczą, że właśnie te sfery przeraża najbardziej wszelka anarchia społeczna, że zarazem najłatwiej przeciw nim podburzyć nieoświecone masy, poprowadzić przeciw »panom« ciemny lud wiejski i szumowiny miejskie, obiecując im wyraźniej lub oględniej zmiany stosunków własnościowych i grając na jego namiętnościach i chęci używania życia czy dobrobytu. To też równorzędnie z zabagnianiem reform w komitecie ministrów idzie w Ro-

syi ruch agrarny i rozruchy przeciw warstwom wyższym po miastach, a rząd patrzy na nie pobłażliwem okiem, jakby chciał powiedzieć: oto jedyna wolność, którą otrzymacie.

Tak postępują sfery rządowe. Przeciw nim zwraca się opozycya, domagająca się reform konstytucyjnych. Działalność jej jednak, jakkolwiek w samem założeniu i w swych celach bardzo sympatyczna, w praktycznem przeprowadzeniu chroma również bardzo wyraźnie. Ruch, który rozpoczął się przed pół rokiem z taką na pozór siłą, robi dzisiaj wrażenie akcyi nie dość przygotowanej i przemyślanej, sporadycznej nie planowej, wybuchającej nagle i równie szybko gasnącej. Zamiast iść coraz potężniej naprzód, rozpłynął się w szeregu gwałtownych mów i rezolucyi inteligencyi, a militarnie zgniecionych lokalnych zaburzeniach robotniczych, tak, że pozostał wprawdzie ferment, panuje wzburzenie, niepewność i anarchia, lecz wszystko to tylko szkodzi, bo wytwarzając stosunki nieznośne, nie prowadzi wcale do czynu. Co gorsza cała akcya zeszła na manowce, z jednej strony doktrynerskich postulatów organizacyi, do której państwo nie dorosło swą kulturą, z drugiej znowu teroryzmu, walczącego sztyletem i dynamitem. Rzeczywiście trudno, ażeby człowiek trzeźwo na rzecz patrzący, mógł się w Rosyi entuzyazmować powszechnem, równem i tajnem głosowaniem, o którem czytamy we wszystkich niemal rezolucyach. Socyaliści pod żadnym warunkiem nie chcą odstąpić od tego żądania, które stanowi jeden z punktów międzynarodowego ich programu, nie należy jednak zapominać, że socyalizm powstał na Zachodzie, gdzie cywilizacya stoi bez porównania wyżej, gdzie więc można krytykować podobny ustrój wyborczy, nie podobna go jednak *a limine* odrzucić. Inna rzecz w Rosyi, w której jak wskazują wypadki ostatnich tygodni, policya i czynownictwo umie poprowadzić ciemne masy wiejskie jeszcze lepiej niż najzręczniejsi agitatorowie, nie mówiąc już o na wpół barbarzyńskich mieszkańcach wielkich obszarów wschodnich i północnych. Powszechne głosowanie dałoby tam prawdopodobnie pewną ilość posłów socyalistycznych z centrów przemysłowych, resztę zaś w gruncie rzeczy zamianowałby rząd, tak jak to się dzieje w okolicach zapadłych nawet krajów na ogół bardzo cywilizowanych. Na

dalszą metę nawet ze stanowiska socyalizmu nie jest to zbyt korzystne. Doświadczenie uczy, że ludność miast, skupiających przemysł, rośnie znacznie szybciej, aniżeli zaludnienie wiejskie. Najsprawiedliwszy przeto rozdział mandatów w początkach, po pewnym czasie krzywdzi miasta, a więc okręgi, na które socyalizm liczyć może. Zdobyć nowy podział wyborczy jest prawie niepodobieństwem właśnie tam, gdzie miasto i wieś zbyt wybitnie różnią się partyjnie, gdyż nie pozwalają na to stronnictwa, opierające się o lud wiejski, a posiadające liczebną przewagę w krajach, które w chwili wprowadzenia ustawy wyborczej były przedewszystkiem rolnicze. Dość zwrócić uwagę na Niemcy, ażeby się o tem przekonać. W r. 1871, gdy zaprowadzono do parlamentu powszechne głosowanie, przyjęto za podstawę okręgu wyborczego ludność stutysięczną, wskutek czego Berlin otrzymał sześć mandatów. Dzisiaj, wskutek wzrostu ludności, na jednego posła przypada średnio 140.000 mieszkańców, w Berlinie jednak 300.000, w gminach przedmiejskich nawet pół miliona. Została dawniejsza norma, a zmieniły się stosunki, na czem naturalnie utraciły przedewszystkiem okolice przemysłowe, a z niemi socyalizm.

Zamachy terorystyczne, nie mówiąc już o ich wartości etycznej, politycznie są jeszcze szkodliwsze, bo odstręczają od stronnictwa, posługującego się podobnymi środkami. Społeczeństwo, choćby nawet najostrzej potępiało jedną lub drugą jednostkę, nie może jednak zgodzić się na zabójstwo, jako na przyjęty środek represyi czy odwetu. Tak zwane organizacye bojowe były zawsze i muszą być izolowane, a tem samem mogą wprawdzie pozbawić życia jedną lub drugą osobę, nie mogą jednak osiągnąć trwalszych rezultatów, bo niebezpieczne dla jednostek, są przecież bezsilne wobec ogółu i systemu. Rachuba, że rząd czy biurokracya przerażą się, musi zawieść. Zapewne, że znajdą się i tacy, którzy zastraszą się wyrokiem śmierci lub wiadomością o zamachach. Lecz gdy takie rzeczy zaczną się powtarzać, w miejsce strachu wejdzie obojętność, bo natura ludzka przyzwyczaja się z łatwością do wszystkiego. Ani nihiliści w Rosyi, ani anarchiści w całym świecie nie dokazali niczego, bo po pierwszem przerażeniu, przyszła refleksya, że z atentatem nie możemy się tak samo liczyć,

jak z trzęsieniem ziemi lub wypadkiem kolejowym. W skutkach więc teroryzm doprowadza jedynie do osłabienia własnego stronnictwa, które traci jednostki najtęższe i najlepsze, etycznie i politycznie potępiające ten sposób walki, a więc w Rosyi do osłabienia opozycyi.

Wszystko to złożyło się razem, ażeby poważnie zachwiać wiarę w zdolność rosyjskiego społeczeństwa do skutecznej walki o konstytucyę. Nie idzie za tem bynajmniej, ażeby dzisiejsze samodzierżawie mogło się długo utrzymać. I owszem, brak myśli i woli i nielojalność z góry, nieuczciwość, brutalność, a częściowo i nihilizm niższych sfer biurokratycznych, podkopują może skuteczniej jeszcze podwaliny panującego ustroju, aniżeli rewolucyjne ruchy społeczeństwa. Sądzę jednak, że ostateczne załatwienie rachunków przyjdzie dopiero po zawarciu upokarzającego pokoju, który ponownie nada rozpędową siłę opozycyi, tak jak walki petersburskie przyszły po kapitulacyi Port-Arthura. Wtedy wracający żołnierze, rozgoryczeni klęską, przyniosą niezadowolenie do każdej gminy, a spotęguje je brak tych wszystkich, którzy z winy rządu utracili życie, do czego przyłączy się jeszcze przesilenie ekonomiczne, spowodowane wojną. Im bardziej okaże się wojną słabość rządu, tem silniejszy będzie nań napór; im więcej okazał on złej woli w swych reformatorskich pracach, tem większa będzie nienawiść i represya. Konstytucyę swoją Rosya może zawdzięczać tylko Japonii i tem właśnie tłumaczy się prawdopodobnie upór biurokracyi, prowadzącej dalej walkę, prawie zupełnie beznadziejną. Lecz koniec wojny, to co najmniej początek końca jej władzy, to też dziś już wojska Liniewicza nie bronią pól Mandżuryi tylko bytu biurokracyi.

VII.

Wypada jeszcze poświęcić kilka słów Japonii. Podziw, który przebieg wojny mandżurskiej wywołał w całym świecie, jest zupełnie zrozumiały. Wszak od czasów świetności tureckiej po raz pierwszy naród azyatycki nie tylko dorównał, lecz nawet przewyższył w dzielności, energii i wytrwałości europejskiego przeciwnika i to takiego, przed którym drżała cała Europa. Po prostu

więc dziś jeszcze, po piętnastomiesięcznej walce nie umiemy sobie wytłumaczyć tego nadzwyczajnego zdarzenia; Japonia, można powiedzieć, rozbiła nie tylko wojska rosyjskie, lecz zarazem i liczne państwowo-polityczne wyobrażenia nowoczesne.

Przecenianie potęgi rosyjskiej i niedocenianie zewnętrznie nawet widocznych sił japońskich były niewątpliwie jedną z poważnych przyczyn mylnych sądów, wydawanych w początkach wojny. Nikt nie powiedziałby, że Rosya z łatwością zgniecie wielkie mocarstwo europejskie, tymczasem czterdzieści osiem milionów Japończyków traktowano tak, jak gdyby rozchodziło się o małe państewko, coś na kształt państw bałkańskich lub co najwyżej skandynawskich. Ta łatwość, z jaką Anglia lub Francya w parę tysięcy ludzi podbijały Indye lub zwalczały Chiny, doprowadzała do wniosku, że jeżeli setki milionów ludności nie mogą stawić skutecznego oporu kilku lub co najwyżej kilkunastu pułkom, tem mniej prawdopodobnem będzie zwycięstwo narodu mniejszego, nad potężną europejską armią. Lecz jeden ten błąd nie tłumaczy jeszcze wszystkiego. Gdyby on tylko tkwił w pierwotnych sądach, wypadki dowiodłyby, że niesłusznie lekceważono Japonię, że siły jej są większe, niż myślano, że walka z nią trudniejsza, lecz ostateczny rezultat byłby odpowiedział przypuszczeniom; Rosya trudniej i powolniej, lecz równie pewnie odniosłaby zwycięstwo nad swym przeciwnikiem. Jeżeli okazało się coś wręcz przeciwnego, jeżeli Rosyanie nie mogą się pochwalić żadną szczęśliwą bitwą, a choćby tylko poważniejszem starciem, to przyczyny tego są głębsze. Nie można ich szukać w samej liczebnej sile ludności, lecz należy zwrócić uwagę także na jej przymioty wewnętrzne.

Wiadomą jest rzeczą, że niejedno już państwo pozaeuropejskie reorganizowało swą armię na sposób europejski. Wszędzie jednak, z bardzo małymi wyjątkami, rezultaty takiego postępu były bardzo nieszczególne; wojsko traciło wszystkie swe zalety dawniejsze, nie zyskiwało żadnych przymiotów żołnierza europejskiego. Nic w tem dziwnego, bo najczęściej przyjmowano tylko broń, z którą żołnierz nie umiał się obchodzić i zewnętrzną formę podziału armii, munduru, stopni i t. d., podczas gdy treści i ducha europej-

skiej dyscypliny i poczucia obowiązku wpoić nie zdołano. Brakło do tego albo cywilizacyjnego podkładu, albo dostatecznej tęgości charakteru, którą zastąpiła już zniewieściałość i bezwładna rezygnacya, spowodowana warunkami przyrody, wiekowym despotyzmem i fatalistycznym, podnoszącym do ideału brak woli i czynu systemem religijnym.

Japonia, przekonawszy się w r. 1858, że nie może się oprzeć atakowi jednego okrętu angielskiego, wprowadza również przed laty czterdziestu reformy europejskie. Zastają one jednak stosunki zupełnie inne, grunt właściwy i podatny, to też nie naruszając bynajmniej indywidualności narodowej, przynoszą rezultaty istotnie zdumiewające. Trzy przedewszystkiem należy podkreślić tu czynniki: siłę charakteru, cywilizacyę i miłość ojczyzny.

Japonia nie reformuje się w czasach upadku, lecz w okresie prawdziwej żywotności. Wyobraźmy sobie średniowieczne rycerstwo, wyposażone we wszystkie zdobycze naszej cywilizacyi i techniki a będziemy mieli dość blizki obraz teraźniejszych stosunków japońskich. W Europie, pomiędzy epokę rycerstwa i feudalizmu a okres dzisiejszy, wcisnęły się długie stulecia formacyi państw nowożytnych, wypleniające pozostałości rycerstwa, dążące do jego zmiany w sfery dworskie i wojska najemne. U nas buduje się ustrój nowożytny na gruzach dawniejszego, na jego ruinie, która pochłonęła nie tylko braki, lecz i zalety średniowiecza. W Japonii przychodzą zmiany najbardziej nowożytne w czasie, gdy życie rycerskie bije żywem tętnem, nowa przeto organizacya otrzymuje od razu materyał doskonały, znający swe obowiązki względem ojczyzny, posiadający w wysokim stopniu zdolność do poświęcenia własnego ja na rzecz ogółu, wyposażony w dzielność i odwagę osobistą. Armia japońska przeto składa się z rycerzy, rozporządzających naszymi środkami i umiejących ich używać.

Powiadamy, że Japonia przed laty czterdziestu weszła w szeregi państw cywilizowanych. Jest to przesada, która tłumaczy się jedynie naszą ekskluzywną próżnością. Jak niegdyś u Greków wyraz król oznaczał władcę Persyi, tak dzisiaj, używając słowa cywilizacya, myślimy tylko o sobie i o tych, którzy nas naśladują.

Trzeba jednak pamiętać, że Japonia posiadała kulturę tysiącletnią, bardzo znaczną i szeroką, że panowała tam od wieków oświata rodzima, odmienna wprawdzie od naszej, lecz niemniej głęboka i powszechna. To też przyjęcie zdobyczy, przedewszystkiem technicznych z Europy nie ograniczyło się tylko do pozorów, nie pozostało na powierzchni. Naród przyzwyczajony do myślenia, oświecony, rozumiejący doniosłość cywilizacyi, wszedłszy raz na tę drogę, przyswoił sobie rzeczywiście te nowe dziedziny i formy, które przybyły z Zachodu. Podobnie jak człowiek naukowo pracujący, jakkolwiek ogranicza się do jednego działu, rozumie metodę wszelkiego badania i w stosunkowo krótkim czasie może zapoznać się z innemi dziedzinami wiedzy, tak i Japończyk nie przyjmował cywilizacyi, bo ją posiadał, tylko pewną jej część, dotąd wprawdzie mu obcą, lecz zasadniczo identyczną z każdą prawdziwą kulturą, a więc i z jego własną. Stąd też nie uzyskano w Japonii manekinów i bezmyślnych naśladowców Europy nie zatrzymywano tam na wieczne czasy europejskich instruktorów, wojskowych, urzędników i profesorów, lecz po pierwszych latach pracy i nauki doprowadzono do samodzielności, bo poznawszy szczegóły, a mając cywilizacyę od wieków, zrozumiano w istocie ducha tych nowości. Dziś przeto Japonia stoi kulturalnie wyżej od niejednej krainy europejskiej, oświata bowiem jest tam powszechniejszą i ogólniejszą, a przeniesione na tamtejszy grunt zdobycze europejskiej myśli, dały jej naszą rozmaitość i wszechstronność. Jak w kwestyi wojskowej przeto, tak i na tem polu, narodowe zalety pozostały nadal, a do nich przyłączyły się dodatnie strony kultury obcej.

Wreszcie widzimy w Japonii ten wysoki poziom etyczny, który przejawia się w miłości ojczyzny i w nieograniczonem niemal dla niej poświęceniu. Mimowolnie przypominały się dzieje klasyczne, gdy się czytało, o tych żołnierzach, strzelających jeszcze, jakkolwiek bezbronny ich statek już tonął, o tych marynarzach, którzy szli na pewną zgubę, gdy próbowali zamknąć wjazd do Port-Arthura. Słyszeliśmy, że Japonia jest uboga, a jednak najznaczniejszą część sum, potrzebnych na prowadzenie wojny, uzyskano w drodze dobrowolnych pożyczek krajowych; przepowia-

dano wyczerpanie kraju, a cała ludność oświadcza się za prowadzeniem wojny, aż do zupełnego złamania Rosyi. Liczne inne szczegóły potęgują jeszcze tylko ten obraz, tak że śmiało można powiedzieć, że wielka, szlachetna myśl patryotyzmu i ojczyzny przyświeca tam wszystkim i jest tym czynnikiem moralnym, który prowadzi Japonię od zwycięstwa do zwycięstwa.

To są główne rysy, które okazała Japonia w ciągu obecnej wojny. Jeżeli przeciwstawimy je objawom, dostrzeżonym po stronie rosyjskiej, dochodzimy do rezultatu, który stwierdziłem już na wstępie. Rosya przegrywa, bo brak jej sił materyalnych a przedewszystkiem moralnych, bo deprawacya, idąca od rządu, odebrała patryotyzm ludności, despotyzm i ucisk utrzymał naród w ciemnocie, a wszechwładza i samowola zabiła w biurokracyi wszelkie uzdolnienie i poczucie obowiązku. Japonia zwycięża, bo przewyższa przeciwnika nieskończenie właśnie swą stroną moralną, charakterem, cywilizacyą i miłością ojczyzny. Jeżeli więc z pewnem uczuciem przykrości niektórzy patrzyli na klęski rosyjskie, widząc zwycięstwo Azyi nad Europą, to można im odpowiedzieć: Geograficznie pobitą jest Europa, duchowo jednak ona tylko zwycięża, bo jeżeli mamy pojmować Europę, jako środowisko cywilizacyi, postępu i szlachetniejszych uczuć, to na polach mandżurskich reprezentują ją Japończycy, łamiąc siłę azyatyckiego systemu, doprowadzonego przez Rosyę do szczytu swego znaczenia. To też śmiało można powiedzieć, że od dawna już nie było wojny, w którejby zwycięstwo szło tak stanowczo z narodem lepszym i wyższym, dawno już nie święciła takich tryumfów nawet w dziedzinie brutalnej siły armat i karabinów moralna i cywilizacyjna strona naszego jestestwa. Zwycięstwa Japonii przedstawiają się rzeczywiście jako zwycięstwo ducha nad materyą i dlatego działają tak ożywczo i uszlachetniająco, dlatego posiadają tak wielką doniosłość dla całej ludzkości.

Dr. Wł. Czerkawski.

KILKA UWAG LEKARZA

W SPRAWIE WYCHOWANIA.

Potężną jest dusza ludzka, ale ona koniecznie potrzebuje ciała, aby na zewnątrz ujawnić się mogła, podobnie jak para wodna i elektryczność tylko przez pośrednictwo odpowiednio urządzonych maszyn mogą siłę swoją rozwinąć. I jak od jakości i stopnia doskonałości maszyny zależy efekt działania utajonej dotychczas siły elektrycznej lub siły pary wodnej, tak podobnież stan ciała ludzkiego wywiera niewątpliwy wpływ na przejawy duszy ludzkiej. Dość wskazać na doświadczenie, które poucza, że bardzo często zacni i w obejściu mili ludzie zmieniają się do niepoznania w usposobieniu i w swem postępowaniu wskutek cierpień lub niedomagań fizycznych albo wskutek zadziałania takich wpływów zewnętrznych, które upośledziły funkcyę ich mózgu i nerwów i wytrąciły ich władze umysłowe z równowagi (alkohol). A skoro u ludzi dojrzałych zaburzenia prawidłowych czynności ciała sprowadzają wyraźne zaburzenia czynności psychicznych, o ileż silniejszym musi być ten wpływ w wieku rozwoju u dzieci i młodzieży? Ujawnia się on istotnie w okresie tym w ostrych przypadkach o wiele jaskrawiej, w przewlekłych zaś trwałe sprowadza następstwa. Żadna tresura dobrego wychowania nie powstrzyma dziecka od płaczu, gdy go ząb lub brzuszek boli; o tem wie każdy, mniej atoli osób pamięta o tem, że niemal każde chroniczne zboczenie w stanie fizycznym, choćby nawet wyraźnych nie sprowa-

dzało dolegliwości, odbija się w stanie psychicznym dziecka. I tak nie uda się żadnemi sposobami rozwinąć prawidłowo władz umysłowych dziecka obarczonego znacznem wodogłowiem, którego mózg podlega nadmiernemu uciskowi i nieprawidłowo się odżywia; u wielu dzieci umysłowo upośledzonych stwierdzić można jako jedyną przyczynę upośledzenie słuchu lub, co rzadziej się przydarza, wzroku, skutkiem czego wrażenia od zewnątrz nie dochodzą w pełnej mierze do świadomości dziecka i kształcić go nie mogą. Traci pamięć, zdolność skupienia myśli i nie postępuje w naukach młody chłopak, który złymi, nieobyczajnymi narowami przedrażnia mózg i nerwy albo poraża je przedwczesnem używaniem napojów wyskokowych. I pod względem etycznym rozwijać się może dziecko zupełnie prawidłowo tylko w takim razie, gdy jest wolne od wszelkich fizycznych dolegliwości i ułomności; w serce dziecka zaniedbywanego i głodnego żadne nauki moralne nie wszczepią miłości do opiekunki, raczej żal i niechęć; znaną jest ogólnie wielka popędliwość u głuchoniemych, znanem jest też powszechnie, że kalecy od dzieciństwa rzadko kiedy dochodzą do zupełnej równowagi moralnej, pozostaje im zazwyczaj na życie całe pewna zgryźliwość i niechęć do prostych i zdrowych obok równoczesnego przeceniania swej wartości wewnętrznej.

Na związek ten między stanem ciała a rozwojem władz duszy zwracam uwagę dlatego, gdyż wcale nierzadko widzieć można, iż rodzice tłumaczą fałszywie przyczynę uporczywych wad spostrzeganych u dzieci w kierunku umysłowym lub moralnym; bardzo często nie przychodzi im nawet na myśl szukać tej przyczyny w stanie fizycznym dziecka, lecz upatrując ją w zboczeniu woli, moralizują dziecko lub karzą je niesłusznie. W podobnych przypadkach przedewszystkiem na czynności ciała dziecka zwrócić należy uwagę a bardzo często staranne badanie wykryje, że jakieś zboczenie chorobowe dotychczas nieznane lub lekceważone jest właściwą przyczyną wady psychicznej i czego usunąć nie zdołały groźby i kary, to usunie właściwe leczenie. Znając ten związek winna też każda matka pamiętać o tem, że w wychowaniu fizycznem nie rozchodzi się tylko o ochronę dziecka od chorób i utrzy-

manie go przy życiu, lecz również o prowadzenie tego wychowania w taki sposób, iżby on rozwojowi władz duchownych nie tylko nie przeszkadzał, ale mu dopomagał.

To zadanie nie jest łatwe i wymaga obok szczerego oddania się dziecku znajomości higieny, której przekroczenia odbijają się stokroć dotkliwiej na młodym organizmie, niż na człowieku dojrzałym. A tu niech mi będzie wolno oświadczyć na podstawie mego doświadczenia, że u nas we wszystkich warstwach mało znajomości higieny a natomiast wiele fałszywych pojęć i wiele uprzedzeń. Prostować wszystkich tu nie mogę, ale poruszę niektóre, które najwięcej mają związku z wychowaniem umysłowem i moralnem.

Najpierw mówić będę o niemało rozpowszechnionym u nas zwyczaju podawania dzieciom i młodzieży napojów wyskokowych. Nie będę mówił o pojeniu dzieci lub młodzieży dorastającej wódką; jest to w wysokim stopniu karygodne, ale na szczęście u nas mało rozpowszechnione; często natomiast widzimy, że matki podają dzieciom codziennie przy obiedzie lub nawet i przy wieczerzy wino celem wzmacniania organizmu lub piwo dla lepszego odżywiania. Otóż najpierw zaznaczyć muszę, iż nauka wykazuje niezbicie, że wyskok (alkohol) nie ma żadnej wartości ani jako pożywka ani jako środek wzmacniający ustrój. Wódka i wino podniecają chwilowo, ale nie wzmacniają trwale a piwo najpożywniejsze zawiera w jednym całym litrze ledwo 25 gramów białka, t. j. ledwo tyle, ile go zawiera czwarta część małego kotleta lub jedna bułka. Natomiast i doświadczenie i nauka stwierdzają, że wyskok jest trucizną i to nie tylko w dawce takiej, która upaja, ale i w tej małej, która wyraźnych objawów podniecenia nie sprowadza. Szkodliwe następstwa używania wyskoku jak: *delirium tremens,* choroby serca, wątroby i nerek, zboczenia w sferze umysłowej lub etycznej, pojawiają się nie tylko u pijaków znanych jako takich, lecz również u tych, którzy niby miernych używają ilości i których pijanymi się nie widzi. Bo wyskok jest trucizną, której działanie się kumuluje i która sprowadza trwałe zmiany w tkankach, — a między innemi trwałe, mikroskopem stwierdzić

się dające zmiany w komórkach mózgowych i nerwowych. Zmiany te wystąpią oczywiście tem łatwiej, im delikatniejszy i mniej oporny jest system nerwowy, więc łatwiej u dziecka i u młodzieńca, niż u człowieka starego, — i to oczywiste, że u młodych o wiele mniejsze dawki wystarczają do sprowadzenia wielce szkodliwych zmian. To tłumaczy też, dlaczego małe nawet ilości piwa lub wina dzieciom codziennie podawane bardzo szkodliwie się odbijają na ich zdrowiu i umyśle. Organizm dzieci takich staje się mniej odpornym przeciw wszelkim chorobom ostrym (śmiertelność pijących do niepijących ma się jak 3 : 1); w każdej szkole do najsłabszych uczniów należą ci, którzy codziennie używają napojów wyskokowych a między uczniami celującymi takich prawie niema, bo szkodliwe działanie wyskoku objawia się w młodych organizmach przedewszystkiem w sferze umysłowej, którą obniża, niejako poraża. Sprowadza on wreszcie wyraźne podniecenie erotyczne, co przecież nie jest obojętne dla dojrzewającego młodzieńca, któremu i bez tego pohamowanie burzących się popędów nie łatwo przychodzi. Więc za obowiązek poczytuję sobie przestrzedz przed podawaniem napojów wyskokowych dzieciom tak młodszym jak starszym w jakiejkolwiek formie i choćby w najmniejszych dawkach. Sprawa ta winna być kwestyą sumienia dla rodziców. Alkohol winien być uważany za lekarstwo i tylko jako taki może być podawany z ordynacyi lekarza w ilości i w formie przez niego wskazanej.

Z trwogą zapisuje matka swe dziecko do szkoły; niepokoi ją myśl, że odtąd ze szkołą dzielić musi opiekę nad swem dzieckiem, że nie wiadomo, w jakie wpadnie ono towarzystwo; trwoży się myślą o stosunkach higienicznych szkoły i obawą, jak dziecko wymaganiom szkoły odpowie. I trwoży się słusznie, bo dziecko wchodząc do szkoły wstępuje w zupełnie odmienne a nieraz gorsze warunki, niż je w domu posiada. Nie będę się nad niemi rozwodził, znają je dzieci i rodzice, a aczkolwiek przyznać trzeba, że rząd, kraj i gminy w ostatnich latach dużo dla szkolnictwa zdziałały, to przecież warunki te wiele pozostawiają jeszcze do życzenia i sprawiają, że uczęszczanie do szkoły — ogólnie biorąc — zdrowiu dzieci nie sprzyja. Zauważa się to zresztą wszędzie, nawet

i tam, gdzie liczba uczniów w klasach znacznie bywa mniejszą, niż u nas. Doświadczenia zebrane na podstawie starannych pomiarów i większych liczb wykazują, że roczny przyrost ciężaru i wzrostu dzieci i młodzieży większy bywa u tych, którzy do szkoły nie chodzą, niż u uczniów szkolnych; dalej wykazuje obserwacya, że o wiele więcej uczniów kończy rok szkolny w stanie niezdrowia, niż go rozpoczyna, a mianowicie stwierdzono w Niemczech, że średnio wchodzi do szkoły z anemią 4% chłopców i 12% dziewcząt, kończy zaś rok szkolny 24% chłopców anemicznych i tyleż dziewcząt w klasach niższych, w klasach zaś wyższych odsetek dziewcząt anemicznych przekracza częstokroć 50%. — Powszechnie zmniejszają się skłonności do ostrych chorób zakaźnych i częste niedomagania u chłopców w 14 roku życia i mniej więcej w tym samym czasie u dziewcząt, u młodzieży szkolnej zaś, zwłaszcza u tej, która się pilnie nauce oddaje, opaźnia się ten okres wyraźnie nawet poza 16 rok życia. Ponieważ uczennice są zazwyczaj wątlejsze a zarazem pracowitsze, niż chłopcy, pojawiają się u nich o wiele częściej i wydatniej ujemne następstwa uczęszczania do szkoły jako bóle głowy, nerwowość, bezsenność, krwotoki nosowe, blednica, wzrok krótki i skrzywienia kręgosłupa, które wielokrotnie aż u 20% uczennic stwierdzono. Do tych objawów chorobowych przyłączają się jeszcze zaburzenia w sferze psychicznej, jak brak wesołości, przygnębienie, niechęć do pracy i do zabawy, gnuśność umysłowa, roztargnienie i t. p. wskutek przeciążenia umysłu, jeżeli uczeń aby podołać wymaganiom szkoły lub z powodu zajęć ubocznych poświęca więcej czasu i wysiłku nauce, niż to odpowiada jego wiekowi i siłom. Niejednokrotnie ustępują te zaburzenia po dłuższym wypoczynku i stosownem leczeniu, często jednak podkopują zdrowie na zawsze.

Co wobec tego mogą i powinni robić rodzice?

Przedewszystkiem dbać o to należy, by młodzież pozostawała w domu w jak najkorzystniejszych warunkach higienicznych i by higieniczne życie poza szkołą prowadziła. Wskazówki ku temu zwięźle ale dobrze zebrane podają broszurki d-ra L. Burgersteina, osobno dla rodziców i osobno dla młodzieży wydane

p. t. »Przepisy zdrowotne«, które matkom przedewszystkiem do odczytania i uwzględnienia zalecam [1].

Pilnować należy, by młodzież równo pilnie przez cały rok szkolny oddawała się nauce, bo mniej wysila i więcej wyrabia umysł praca jednostajna, niż dorywczo prowadzona.

Dbać koniecznie należy o to, by młodzież spała właściwą dla swego wieku ilość godzin. Między 7 a 13 rokiem życia spać powinny dzieci 10 do 11 godzin, starsza młodzież ucząca się nie mniej niż 9 godzin.

Młodzieży, która ledwo zdoła podołać obowiązkom szkolnym, nie wolno odrywać od obowiązków dla jakichkolwiek względów światowych, dla wizyt, koncertów, widowisk teatralnych i t. p. — również nie godzi się zaprzątać taką młodzież naukami pozaszkolnemi, jak nauką obcych języków, muzyki, robótek ręcznych dziewcząt i t. d. To należy pozostawić tylko uczniom, którzy się szybko i łatwo uczą.

Do szkół średnich i wyższych należy posyłać tylko młodzież umysłowo należycie rozwiniętą i zdrową na ciele; odnosi się to zwłaszcza do dziewcząt. Nie należy też przepychać do klasy wyższej ucznia, który materyału naukowego klasy niższej nie przetrawił. Pozostawienie dziecka rok drugi w klasie wpływa często bardzo korzystnie na umysł i na zdrowie jego.

Pilnować trzeba, by uczeń w domu nie pracował więcej, niż to odpowiada wiekowi jego. Na podstawie badań naukowych przyjęto w Niemczech za zasadę, że bez szkody dla zdrowia może uczeń w domu pracować w 10 i 11 roku życia nie więcej jak $1^1/_2$ godziny dziennie, w 12 i 13 roku życia 2 godz., w 14 i 15 roku życia $2^1/_2$ g., w 16—18 roku życia nie więcej jak $3^1/_2$ g. Uczeń, który w tym czasie nie może podołać wymaganiom szkoły, jest uczniem niezdolnym lub jest chorym.

Celem przeciwdziałania przeciążeniu umysłowemu i następstwom długiego siedzenia przy książkach koniecznem jest, by młodzież poświęcała codziennie 2—3 godzin ćwiczeniom cielesnym.

---

[1] Broszurki te mają opuścić prasę w najbliższym czasie w tłumaczeniu polskiem, nakładem Wydawnictwa książek szkolnych w Wiedniu.

Tylko w ten sposób można utrzymać harmonię między rozmaitemi czynnościami młodego organizmu ludzkiego.

Chronić wreszcie potrzeba młodzież od tego wszystkiego, co samo przez się szkodliwie wpływa na ciało i umysł jej, a więc od używania napojów wyskokowych, od rozpusty i od palenia tytoniu [1].

A teraz mówić będziemy jeszcze o jednej bardzo ważnej sprawie, której się w towarzystwie zwykle nie omawia, o której u nas i rodzice zazwyczaj z dziećmi nie mówią, pozostawiając to służbie lub kolegom. Mam na myśli sprawę płciową. Niech to nikogo nie przeraża, gdyż już starożytni Rzymianie powiedzieli, że *naturalia non sunt turpia,* to znaczy, że sprawy przyrodzone nie są brzydkie, idzie tylko o to, w jakim celu i w jaki sposób o nich się mówi. A fałszywa, dotychczasowa pruderya doprowadziła do tego, że nie tylko w narodach ościennych ale i u nas w Polsce, w Poznaniu i we Lwowie, ludzie bardzo poważni i dbali o dobro młodzieży założyli osobne towarzystwa celem ochrony młodzieży od chorób płciowych.

Sprawa ta winna właściwie nabierać aktualności dopiero w okresie dojrzewania młodzieży, — na nieszczęście dzieje się inaczej i o sprawie tej częstokroć myśleć się musi mając dziecko przed sobą, szczerze bowiem mówiąc trzeba stwierdzić, że równie brzydki jak szkodliwy narów samogwałtu bardzo jest rozpowszechniony. Poddają mu się o wiele częściej chłopcy dorastający niż dziewczęta, ale nieraz bardzo nawet małe dzieci podlegają temu zboczeniu; w takich przypadkach niekiedy leży przyczyna w chorobie (mózgu lub pęcherza moczowego) albo w świądzie wywołanym obecnością robaków w kiszce stolcowej, o wiele częściej szukać jej trzeba w niegodziwości zdeprawowanej bony lub niańki albo w głupocie zepsutych koleżków. Następstwa wielce

[1] Tytoń nie jest nigdy używką zdrową, szkodzi zaś najwięcej młodzieży fizycznie nierozwiniętej; więc przed skończonym 18 r. życia nie powinien uczeń palić. Gdyby jednak ukradkiem nawykł do tego, to lepiej to tolerować i pozwolić w domu palić — oczywiście nie wiele, niż dopuszczać by skrycie palił tytoń najgorszy w najtańszych i najgorszych tutkach.

bywają szkodliwe tem bardziej, iż odzwyczajanie nie łatwo przychodzi. Podupada całe odżywianie chłopca, najwięcej zaś cierpi mózg i system nerwowy; chłopak nie tylko traci siły, wygląd zdrowy i wesoły humor ale równocześnie traci pamięć (zwłaszcza do nazw i liczb), staje się bardzo roztrzepanym, nie może skupić swych myśli i podać w bodaj krótkich słowach treść lekcyi, w której brał udział; najwięcej uderza wielkie znużenie rano po śnie, które dopiero wśród dnia powoli ustępuje.

W wieku dojrzewania — nowe objawy, nowe pokusy i nowe niebezpieczeństwa. Budzące się samowolnie pokusy podsycają złe towarzystwo i zła literatura, życie uliczne i w dodatku rozpowszechniona między młodzieżą a wręcz fałszywa gadka, że wstrzemięźliwość szkodzi zdrowiu. I oto coraz częściej spotyka się młodzież przedwcześnie dojrzewającą, młodzież już zepsutą choć się jeszcze fizycznie nie rozwinęła, młodzież, która postępkami swymi kazi duszę, niszczy ciało a nadto naraża je na chorobę, która nie tylko jednostkę trawi, ale rodzinie i pokoleniu zagraża.

Co wobec tych niebezpieczeństw wypada czynić matce, rodzicom?

1. Zdaniem mojem przedewszystkiem raz już trzeba zerwać z okłamywaniem dzieci bajką o bocianie i zacząć dzieciom mówić prawdę: mama cię urodziła. Tę wiadomość przyjmie dziecko, jak wiele innych za rzecz zupełnie naturalną a im wcześniej o niej się dowie, tem mniej będzie ją roztrząsało, tem mniej będzie nią swój umysł zajmowało. Bajka taka miałaby tylko natenczas jaką taką podstawę racyonalną, gdyby była nadzieja, że się uda dziecko aż do zupełnego dojrzenia w nieświadomości i niewinności utrzymać. To atoli jest obecnie przy wspólnej nauce dzieci w szkołach i w pensyonatach niemożliwe i śmiesznem jest łudzenie się rodziców pod tym względem, wątpić bowiem nie można, że już w szkole ludowej każde dziecko zostaje uświadomione przez kolegów, jeżeli wcześniej jeszcze służba go o stanie rzeczy nie pouczyła. I w tem właśnie tkwi wielkie zło, wielkie niebezpieczeństwo. Dziecko przedewszystkiem traci bezwzględne zaufanie do rodziców; widząc, że rodzice mają swoje przed niem tajemnice

i ono z czynnościami i myślami swemi ukrywać się zaczyna; tajemniczość sprawy tak starannie ukrywanej budzi w dziecku tem większe dla niej zainteresowanie i odtąd poświęca ono jej wiele myśli i wiele fantazyi ze szkodą dla strony moralnej; co zaś jest najgorsze, to to, że kolega uświadomiciel bardzo rzadko kiedy ogranicza się do teoretycznego przedstawienia rzeczy, ale najczęściej łączy z niem praktyczną demonstracyę, — i w ten sposób rozszerza się wstrętny narów, o którym powyżej mówiłem. Dziecko dobrze w domu wychowane i uświadomione z pewnością nie dopuściłoby do takiej demonstracyi, — dziwić się natomiast nie można dziecku oszołomionemu tem, co po raz pierwszy ze zdziwieniem słyszy. Więc uświadamiać w domu należy dzieci i to im wcześniej tem lepiej, rodzicom zaś, którzy chcieliby mieć wskazówki, jak się wobec dzieci nieco starszych zabrać do tego, zalecam odczytanie dziełka p. t. *Beim Onkel Doktor auf dem Lande* Maxa Oker-Blom (tłumaczenie niemieckie Burgersteina).

Jest jeszcze drugi okres w życiu, w którym — zdaniem mojem — ojciec z synem rozmówić się powinien odnośnie do kwestyi, którą omawiamy; mam na myśli chwilę, gdy z objawów zewnętrznych wnioskować wypada, że chłopak wstępuje w okres dojrzewania. Nieusprawiedliwioną byłaby obawa, że rozmowa taka właśnie rozbudzić może uczucia i myśli dotychczas nieznane, gdyż pamiętać należy, że natura ma swoje prawa i równocześnie z postępującym wiekiem pokusy coraz natarczywiej odzywać się będą. Rozsądne i serdeczne słowo przestrogi może być natenczas nie tylko bardzo potrzebne, ale i skuteczne; a w najgorszym razie nie będzie ojciec robił sobie wyrzutów, iż obowiązku swego względem syna nie dopełnił. Samo przez się rozumie się, że podobnie rozmówić się powinny matki z dorosłemi córkami, którym bez siebie i bez należytej opieki wyjeżdżać w dalekie strony na kursa zezwalają.

Uświadamianie przez nauczycieli w szkole, do czego niektórzy zachęcają, uważam za niestosowne i niebezpieczne.

2. Konieczne, by rodzice nie zaślepiali się miłością ku dzieciom, ale czuwali nad niemi okiem trzeźwem, pamiętali o niebezpieczeństwach, jakie im grożą i ochraniali je rozsądnem postę-

powaniem. Wskazówki ku temu znajdą w wymienionych powyżej broszurkach.

3. Nastrój domu i całego życia rodzinnego powinien być swobodny ale poważny. Gdzie młodzież jest, tam wykluczone być winno wszystko, co pobudzać może fantazyę w kierunku erotycznym; więc żadnych dwuznaczników, żadnych książek i dzienników o nieznanej treści i ostrożnie z wyborem przedstawień, na które się młodzież do teatru prowadzi. Wczesne wprowadzanie dorastających chłopców w stosunki towarzyskie, na wieczory i tańce nie sprzyja ich rozwojowi moralnemu.

4. Trzeba się koniecznie starać rozbudzić życie duchowe i rozniecić w młodzieży zamiłowanie do ideałów; najlepszy to sposób odwrócenia fantazyi od spraw zmysłowych.

5. Najlepszą sposobność wyładowania nadmiaru energii życiowej dostarczają młodzieży ćwiczenia fizyczne — a z pomiędzy tych nadają się dla młodzieży najwięcej w lecie gry i zabawy ruchowe oraz gimnastyka, w zimie zaś ślizgawka i praca ręczna. Spacery po ulicach i w ogrodach publicznych wystarczają starszym osobom, nie mogą atoli młodzieży zastąpić ćwiczeń wymienionych, zresztą wałęsanie po ulicach i z wielu innych względów nie jest właściwem ani korzystnem dla młodzieży dorastającej.

6. Dobry stan zdrowia ułatwia młodzieży panowanie nad sobą, przeto i ze względów etycznych pożądane jest prowadzenie życia w warunkach higienicznych. Napojów wyskokowych nie powinna młodzież dorastająca używać.

Oto sposoby, którymi można młodzieży panowanie nad sobą ułatwić.

Czy to jednak wystarczy? Zdaniem mojem: niezupełnie. Trzeba jeszcze od najpierwszej młodości chować dzieci tak, aby ukochały cnotę, czystość, niewinność i wszystko, co dobre i szlachetne. Trzeba umieć wzbudzić w niej wstręt do złego i obrzydzenie do grzechu. Trzeba umieć wzniecić i własnym przykładem utrzymać nastrój religijny w młodzieży; spowiedź jest nieoszacowaną pomocą w walce z pokusami świata i ciała. Trzeba wreszcie umieć w młodzieńcu wzbudzić szlachetną ambicyę dążenia do do-

skonałości a równocześnie bojaźń Boga, ową szlachetną bojaźń, która nie dozwala Go obrażać.

W ten sposób syna wychowawszy mogą matki spokojnie patrzeć na jego życie i jego przyszłość. Gdyby nawet temperament wziął górę nad jego zasobem moralnym, to będzie to upadek chwilowy i przejściowy; nie ugrzęźnie on w błocie, powróci do cnoty i życia poważnego.

Dr. Henryk Jordan.

Głos Cerkwi Ruskiej o plutokratycznym liberalizmie.

Zwierzchnik duchowny Rusi przemówił uroczyście do swojego duchowieństwa o kwestyi socyalnej, a przemówił słowami, które zaznaczają śmiały zwrot w ruchu demokracyi chrześcijańskiej: wzywa jakby tylko ubocznie do obrony Kościoła przeciw zabiegom demokracyi czerwonej, a głównie do walki przeciw kodeksowi liberalnej plutokracyi.

Znaczna część, część nawet przeważna chrześcijańskich myślicieli sądzi, że socyalna demokracya w obozie swoim gromadzi głównych, najniebezpieczniejszych wrogów Kościoła. Wszak, dowodzą, najotwartszy żywioł rokoszu i najruchliwszy czynnik przewrotu musi odciągać lud utrapiony niedolą i odwodzić młodzież z pod chorągwi posłuszeństwa, rozwiniętej nad Kościołem; musi demokrata, zawzięty przeciw wszelkim kodeksom, na księgę praw chrześcijańskich napadać zacieklej, niż na wszelkie inne ustroje społeczne, jako na nieprzepartą przeszkodę w pochodzie pod chorągwią zemsty; musi silniej uderzać w Kościół demokrata czerwony, niż biją inni przeciwnicy wiary, bo ci idą albo za hasłem mniej skrajnem, albo na czele tłumu mniej namiętnego.

Kościół tedy przez usta albo piórem swoich przedstawicieli mówić o socyalnej demokracyi powinien, ale zgoła nie pobłażliwie, tylko jako o najcięższym napastniku, o tym, któremu opór stawiać trzeba najwytrwalej.

Głos ten pospolicie znajduje zwolenników bezwzględnych.

A jednak jeden z najpoważniejszych dostojników w Kościele występuje z pismem o socyalizmie, w którem wyraża sąd jakby odmienny. Nie tyle w zabiegach socyalnej demokracyi, aby przeciągać do swojego obozu odstępców od Kościoła, ile wprost w nacisku plutokracyi liberalnej daje spostrzedz głównego sprawcę winnego, iż znaczna część młodzieży i roboczy naród odstępuje od Kościoła z jego chorągwią posłuszeństwa, iż lud niezadowolniony i rozgoryczony ustrojem stosunków majątkowych nie znajduje pociechy u księży z ich nauką: znoś krzywdę cierpliwie — iż rzesza w rozpaczy nie widzi przed sobą żadnej drogi, jak tylko przewrót pod chorągwią czerwoną.

Czerwona demokracya tylko przygarnia do siebie zbiegów od Kościoła, których jej napędza liberalna plutokracya: więc ta, jak ją nazywają, żółta arystokracya, szkodzi Kościołowi jako wróg dziś najpierwszy.

Tem jaśniej można wypowiedzieć taki pogląd, im mniej wątpić można o oczywistej prawdzie, której nikt nie zaprzecza; nikt przynajmniej nie zaprzecza otwarcie wypadku dziejowego, że kodeks praw wolnomyślnych poznosił w gospodarce społecznej mnóstwo przepisów, które krępowały silnych pieniężnie, słabych chroniły; taki to kodeks nowoczesny zapewnił równą swobodę silnemu i słabemu, uprawnił wszystkich jednakowo do współzawodnictwa w zarobku: w następstwie sprawił, że wolno puszczeni na gonitwy poszli razem możnowładcy pieniężni z chudopachołkami, ale bogate trzosy złota prześcigały prędko jedną po drugiej sakiewkę z miedziakami i doprowadziły do dzisiejszych stosunków; każdy pieniądz wielki może powsysać w siebie dokoła wszystkie małe pieniążki; dla dziesięciu tysięcy wybrańców zbytek płynie strugami, dla chmary wydziedziczonych wolnomyślny kodeks nie opatrzył miejsca na ziemi.

Duch chrześcijańskiej swobody nie poprzestaje na tem, żeby kodeks tylko ze swojej strony wszystkim, równo słabym jak mocnym, zapewniał wolne ruchy; wymaga nadto, żeby ustawa skutecznie zapewniała wolne ruchy słabym także ze strony silnych na posadzie społecznej, żeby zabezpieczała wszystkim tę

swobodę nie tylko w ogólnikowej zasadzie nieuchwytnej, ale także sprawnie i namacalnie wobec ucisku, wywieranego na warstwy zależne majątkowo przez liberalnych mocarzy pieniężnych. Chrześcijański duch żąda wolnego, rzeczywiście wolnego czynu, a nie wolnego tylko w zasadzie; usuwa przeszkody uchwytne i ciężkie istotnie a nie targa, nie szarpie więzów w dziedzinie polotu czczej myśli wolnościowej. Przeciwnie postąpił duch wolnomyślny w ustroju gospodarki społecznej. Duch ten tak wypieścił, ozłocił, uskrzydlił swoją myśl wolnościową, że w kodeksie swoim nie krępuje jednostek w zabiegach o majątek, nie wiąże ich względami na dobrobyt ani ogółu ani nawet rodziny najbliższej, nie przeszkadza im w drodze, gdzie dostatek i zbytek poszczególnych bogaczy wyróść może i wybujać z wszelką swobodą; wydziera miliardowych panów z łona rodziny, pozostawionej w niedostatku, i tę rodzinę ich pozbawia pomocy członka przedsiębiorczego i zasobnego; zniża nawet przeciętną miarę dostatku dla ogółu obywateli, kiedy wszelki dochód omija małe sakiewki a pędzi do worów ze złotem. Duch ten tak skwapliwie ułatwiał zarazem wzrost niepomierny majątków poszczególnych i spadek ich przeciętnej miary u ogółu, jak gdyby przynosił jakieś wielkie dobrodziejstwo rodowi ludzkiemu, jak gdyby w społeczeństwie zwiększał siłę i dobrobyt gospodarczy, iż mnożył liczbę panów milionowych; ziścił złoty sen niejednego miliardera, ale z poziomu zamożnych przeciętnie obywateli strącił milion ludzi za milionem, niezliczony już tłum na szczebel żywota ostatnich zarobników.

I przedstawiciele narodów, w dobie wolnomyślnego prądu ducha, powitali radośnie kodeks, na którego podstawie oparci plutokraci, zepsuli równowagę w stosunkach gospodarki społecznej.

I dziś chcieć potępiać tę zasadę wolnego współzawodnictwa, która wzywa baranki do wyścigów ze słoniem, chcieć wracać do pętów rodzinnych i względów ogólnych, dawniej nakładanych wzrostowi poszczególnych majątków: ktoby śmiał? Zabrać głos w sprawie tłumów zubożałych dochodami wybrańców i stanąć w obronie ich nie tyle przed nauką czerwonych demokratów, ile przed niewolą żółtych arystokratów... przypomnieć naukę Pana o jarzmie nie tylko własnem, ale i cudzem, w którem także chrze-

ścijanin ma chodzić... chwycić za rękę przedsiębiorców, aby nie gromadzili skarbów z uszczerbkiem bliźniego, aby nie podrywali nikomu zarobku niezbędnego: do demokratycznego w tej mierze przestępstwa wobec plutokracyi kto ma odwagę?

I dlaczego popełniać to przestępstwo? Czyż tam jakimś demokratom krzywda? Czy nie dobrodziejstwo dla chudopachołka, iż w obliczu ustawy równy mocarzowi może z nim iść w zapasy na polu gonitw, przystępnych dawniej tylko dla świetnych kół wielkopańskich? We wszelkie prawo wstępu zawsze i wszędzie zaopatrzony, niech idzie w zawody z poszukiwaczami złota... widzi przed sobą ciepłe jeszcze ślady miliarderów w Ameryce: ci wydają dziś córki za królów prawdziwych, chociaż bez ziemi, a wczoraj wychodzili z przytuliska bezdomnych szukać zarobku. I wyszukali miliardy. Więc komuż krzywda, iż puszczony wolną jednostką w świat, może sięgać po blask choćby królewski? Niekrzywdzony i niezagrożony krzywdą od nikogo, każdy syn demokracyi może dziś podejść do miejsca, gdzie spokojnie zasiada potomek najdawniejszej arystokracyi, i krótko powiedzieć: usuń się stąd, żebym miał gdzie siedzieć. I czy to dla demokracyi źle? i dla niej czyż trzeba zmian w stosunkach? czyż więcej jeszcze arystokracya zrobić może, kiedy już do równych ze sobą praw obywatelskich dopuściła ulicznikow!

Nie! Ludzie porządku, stronnicy ładu prawowitego, nie mogą trzymać więcej strony pospólstwa, rzesz ludu, gawiedzi, tłumów odartych. Kogo ród wyróżnia, kto w Kościele wschodzi po coraz wyższych szczeblach na najwyższe dostojeństwa, ten powinien stać wiernie w rzędzie jednym z obrońcami ładu dzisiejszego, a nie rzucać okopów świętej Trójcy, i nie podawać ręki Pankracemu, i z chłopomanami na wieczornice i wiece nie chodzić! Tam droga warstw najniższych, ludzi wykolejonych, czerwonych demagogów!

Takie słyszymy zasady wśród kół, do których sam wstęp już zaszczyt stanowi. Mimo tych zasad i mimo powagi kół, w których je głoszone słyszymy, spostrzegamy w Kościele wybitne jednostki, wysokich jego przedstawicieli, których nie powstrzymuje arystokracya, choć do niej należą rodem, nie krępuje kościelne stanowisko, choć na niem szybko zajmują stopnie coraz

wyższe: przecie w obecnej zawierusze społecznej stanowczo występują pod demokratyczną chorągwią.

Tacy, jak Principe Massimi, we Włoszech, do wyjątków nie należą. Równych im sług demokracyi żywotem a arystokratów rodem dość liczy Hiszpania. Ze wszystkich tu ludów przechodzić imion nie można. Tylko dość wspomnieć jeszcze o potomku naszych królów, dziś słudze ubogich księdzu Maksymilianie saskim; innych, którzy koronę arystokratyczną biretem pokryli przed naszymi oczyma i przodują w pracy o hasłach demokratycznych, wymieniać tu nie miejsce.

Niemniej jak do nas po przodkach należy Maksymilian saski, owszem bliżej nas stoi ten pasterz owczarni Chrystusowej na Rusi, który od pierwszego swojego listu biskupiego w wielu następnych aż do ostatniego o kwestyi socyalnej zajął i zatrzymał wybitne stanowisko obrońcy Kościoła pod chorągwią z ręku Leona 13-go wziętą dla chrześcijańskich demokratów.

Ksiądz metropolita Szeptycki nie miałby żadnego powodu działać inaczej, niż wymagają zasłużone, zacne koła zachowawcze, gdyby dzielił ich poglądy na porządek społeczny. Miałby przy sobie i przed sobą w różnych krajach wzory, jak można coraz wyżej w świeckie i duchowne zaszczyty róść, a wyznawać doniosłym głosem zasadę, że wszelka demokracya wywija tylko koziołki na ogonie socyalizmu i na nim skończy jedynie. Głosy te nie szukają kryjówek: bez żadnych względów na nikogo brzmiały tuż przy Leonie 13-tym. Występować śmiało z hasłami demokratycznemi nie potrzebuje nikt, kto właśnie demokratycznych zasad sam nie wyznaje, albo woli je tylko dwuznacznie wyrażać.

W liście pasterskim już pierwszym ówczesny biskup stanisławowski zaraz wystąpił ze słowem niedwuznacznem. Postawił wręcz zasadę sprzeczną z duchem wolnomyślnego ustroju gospodarki społecznej.

Otwarcie wypowiedział prawdę, że »nauka Jezusa Chrystusa nie tylko dla jednostek, ale i dla całego społeczeństwa jest drogą do dobrego bytu, jest najlepszą podstawą ekonomicznej siły społeczeństwa, którą to siłę stanowi nie suma majątków, ale przeciętna zamożność wszystkich.

»Tylko to społeczeństwo bogate i silne« — mówi biskup dalej, a cały ten ciąg jego myśli dalszych rozwija jedną zasadę, —

»tylko to społeczeństwo bogate i silne, w którem wszyscy, lub prawie wszyscy, odpowiednio do swego położenia, są zamożnymi. Nie wiele przydadzą się bogactwa społeczeństwa, gdy zbyt nierównomiernie rozłożone na wszystkie warstwy i o ile to być może na wszystkie jednostki. A takie równomierne rozłożenie jest niemożliwe bez prawa moralnego, które na równi wszystkich obowiązuje.

»A to mówię do Was, co szukacie siły ekonomicznej bez moralności, bez zakonu Bożego. Nie możliwy jest byt ekonomiczny bez moralności, bo jest niemożliwym bez społecznego ładu; a ładu społecznego niemasz, gdzie niema równowagi praw i obowiązków — a tej znów równowagi niema, gdzie brak etyki.

»Również niemożliwym jest byt ekonomiczny, oparty na etyce, którąby się pojmowało jako sprawę prywatną każdego z osobna, bo taka etyka jest u każdego, albo prawie każdego, przedewszystkiem różna, a do tego nie posiada ona dosyć siły, aby utrzymać równowagę w społeczności. Ludzie nawet najuczciwsi z taką etyką będą nieraz przekonania swoje naginać do swojej potrzeby i nie potrafią sami dla siebie postawić granic egoizmu; bo przy wszystkich swoich ideałach — łatwo staną się materyalistami, bo osobiste ich dobro będzie często, jeśli nie zawsze, wydawać się im sprawą najważniejszą; nie potrafią podnieść się ponad siebie samych i pod wpływem namiętności niczem nie skrępowanych, krom bezsilnem prawem świeckiem, opuszczą niewygodne zasady, ideały, które wymagają poświęcenia, i staną się często zamkniętymi w sobie — brzydkimi samolubami.

»Moralność, potrzebna do dobrego bytu ekonomicznego, musi być taka, żeby nie była zależna od ludzi i ich samowoli, żeby wszystkich jednakowo obowiązywała, żeby miała swoją sankcyę wyższą nad trybunały świata, żeby jej naruszenie było niezmiennie karane przez jakąś sprawiedliwość bewzględną, jakiej na tym świecie niema. Jednem słowem: Moralność potrzebna do zachowania ładu społecznego, a przeto do dobrego bytu ekonomicznego, musi być zakonem Bożym.

»Niema więc i nie będzie pod słońcem nauki, którąby była odpowiedniejszą drogą do ładu i siły ekonomicznej, jak Ewangelia Jezusa Chrystusa, bo niema i nie będzie nauki, którąby w równej mierze, jak Ewangelia zachowywała równowagę praw i obowiązków ludzi względem siebie, oznaczała granicę egoizmu a miłości bliźniego, rozwiązywała tak lekko trudności społecznego życia«.

Tak jawnie potępia biskup wówczas stanisławowski nowożytną gospodarkę plutokratyczną, niczem nie skrępowaną, krom bezsilnem prawem świeckiem, zależną od ludzkiej samowoli a nie opartą o powagę wyższą nad trybunały świata.

Jakżeż zdobyć inny ustrój stosunków społecznych? Jak

przerobić te stosunki, aby w nich ewangelia przywróciła równowagę praw i obowiązków, oznaczała kres samolubstwu i rozprzestrzeniała pole miłości, rozwiązała trudną zagadkę a żywotną dla rzesz głodnych w rozpaczy?

Czego dokazały rządy wolnomyślnych teoretyków, w tem do dzieła naprawy wystarczy samoistna potęga chrześcijan praktycznych. Potęga ta nie potrzebuje rozpaczliwie utyskiwać, iż rządy poznosiły przepisy ochronne dla przeciętnego majątku społeczeństwa: potęga ta zdoła na nowo wprządz ludzi w jarzmo miłości uczynnej, względów na potrzeby wzajemne, w jarzmo usunięte swobodą i ustawą wolnomyślną. Tę potęgę trzeba gromadzić: zbierać ją wśród ludzi dojrzałych, rozwijać śród młodzieży. Więc do wychowawców dostojny pasterz mowę zwraca i upomina, żeby zaprawiali młodzież zawczasu do chrześcijańskiej pracy na polu gospodarki społecznej.

»Wy, co pracujecie bezpośrednio nad wychowaniem młodzieży, starajcie się o oświecenie ich rozumu, ale niemniej o ukształcenie dobre ich serc. Dawajcie młodzieży taką oświatę, któraby ich nauczyła nie tylko teoryi, ale także i praktyki życia. Uczcie ich żyć. Zwracajcie ich starania i ochotę do tego, co jest podstawą bogactwa i siły narodowej. Niechaj już młode dzieci uczą się kochać swoją ziemię, niechaj uczą się lepiej przy niej pracować. Niechaj przyszłe pokolenia wezmą w swoją rękę handel i przemysł, bo słabą zawsze jest społeczność, która swego przemysłu nie ma, ubogą społeczność, w której obce żywioły handlują. Nie ta społeczność szczęśliwa i bogata, która licznych ma teoretyków, ale ta, która w każdem zawodzie sama sobie wystarcza. Wyrabiajcie w młodzieży samodzielność, indywidualność, uczcie ich więcej na siebie samych liczyć niż na drugich, nie oglądać się na pomoc rządu i kraju, ale własną inicyatywą dorabiać się samodzielnego bytu«.

Według tych wskazówek wychowana młodzież wyróść powinna na bojowników demokratycznych pod chrześcijańską chorągwią.

Aby »głębiej zakorzenić drzewo społecznej siły i społecznego szczęścia«, ksiądz biskup w jednym z najbliższych następnie listów opisuje rodzinę chrześcijańską, i o posłuch prosi tak chrześcijan dobrych, jak i »socyalistów, którzy rodzinie odbierają cechę świętości«. Przeciw nim czcigodny pisarz stawia zasadę, że

»rodzina chrześcijańska, że porządek w rodzinie jest podstawą całego ładu społecznego, że nauka Chrystusowa nie zajmuje się wyłącznie duszą każdego człowieka z osobna, ale i porządkiem, ustrojem całego rodu ludzkiego: jest doktryną zasadniczą ładu społecznego... I zdaje się, że więcej pożytku do tego, co dobre na tym świecie, nie mogłaby przynieść, choćby jej przeznaczeniem było tylko podnieść i zabezpieczyć dobra żywota tego śmiertelnego... A daremna to praca chcieć dla ogółu zapewnić dobrobyt, a nie dbać o rodzinę... Dlatego i Chrystus od rodziny zaczął porządek, jakiego chciał między ludźmi«.

Mało kto kładł dotąd tyle nacisku na związek wzorowej rodziny ze stosunkami społecznymi. Demokrata chrześcijański widzieć jednak może ten związek, kiedy uważa, jak rodzinę obie dziś główne potęgi poza Kościołem podkopują: i wolnomyślny kodeks nowoczesny, i socyalista otwarcie przeciwny jednożeństwu nierozerwalnemu. Gdzie obowiązki względem rodziny krępowałyby swobodę jej członków i przeszkadzałyby im w drodze do milionów, tam tych względów rodzinnych nie zna ustawa wolnomyślna: niczyjego majątku nie obciąża i wzrostu jego nie wstrzymuje przez obowiązki pomocy, którąby sama ustawa przypisywała bogaczowi względem jego rodziny choćby najbliższej, choćby w niedostatku zupełnym. Węzły rodzinne stanowią jedną z pierwszych i najskuteczniejszych tam do rozwoju samolubstwa i do wzrostu milionów szkodliwego dla równowagi w gospodarce społecznej: węzłów tych nie otacza opieką prawną dzisiejsze ustawodawstwo, nie szanuje socyalizm otwarty na Zachodzie, nie może z uwagi wypuścić i nie cenić demokrata chrześcijański.

Odczuta wśród rodziny chrześcijańskiej spójnia zgromadzi najprzód jej członków w zabiegach o majątek a następnie wpłynąć może na koła coraz szersze przyjaciół i sąsiadów, wykazać może po gromadach wiejskich pożytek spółki i związkowych przedsiębiorstw gospodarczych. Tego ducha spójni i chrześcijańskiej miłości budzi wielebny pasterz w pożegnalnym liście, w jednym z najpiękniejszych, napisanym już przy przenosinach na lwowską archidyecezyę. Wyjawia przytem, że zamyśla dla wiernych greckiego obrządku założyć rodzaj bractwa ze zadaniem społecznem, podobnie jak święty Franciszek z Assyżu założył w łacińskim Kościele.

Wprowadzony już na halicką stolicę ksiądz metropolita nie zwlekał z pismem do duchowieństwa, aby pomówić z niem najprzód o obowiązkach, z ich stanem złączonych zawsze i wszędzie; następnie dodaje, że:

»krom pracy, do której sam urząd obowiązuje duchowieństwo, ma Kościół w czasach zwłaszcza naszych ważne spełnić posłannictwo wychowawcze i społeczne. Musimy Przewlbni Ojcowie na całej linii zbliżyć się do narodu... będziemy musieli już jako obywatele, a tem więcej jako pasterze popierać każde dzieło bądź z dziedziny oświaty, bądź społeczne, do którego ludzie nasi rwą się. Według sił musimy wywoływać ruch, wieść ludzi do oświaty i poddawać im wszystkie możliwe, a nie sprzeczne z nauką Chrystusową sposoby, jakby poprawili dobrobyt doczesny, udzielać ludziom tego przewodnictwa i dawać ustrój tej pracy, a jednak przytem podwoić gorliwy wykład ewangelii dla narodu... Pierwszy krok do budowy sklepów, śpichlerzy i kas gromadzkich powinien także wychodzić od duchowieństwa: powinni księża wprawiać ludzi do tych przedsiębiorstw i nimi się zastępować«...

Następnie wspomina arcypasterz także wobec duchowieństwa o zamierzonem bractwie z zadaniem gospodarczo-społecznem.

W tymże roku wyszedł list o ustroju seminaryum duchownego, gdzie między innemi przestrogami dla przełożonych czytamy także:

»W naszych czasach nieodzownie potrzeba, by duchowieństwo pracowało nad ludem i rozumiało potrzeby jego i z doczesnej strony życia: zatem kleryków w seminaryum i do tej pracy trzeba przygotowywać«.

Wkrótce po tym liście przemówił arcybiskup w piśmie pasterskiem do inteligencyi ruskiej, aby zwrócić jej uwagę na to, jak Jezus Chrystus pociąga ludzi do swojej wiary i swojego zakonu, i jak ludzi, przejętych Jego nauką prowadzi w żywocie codziennym, gromadzi w ustrój społeczny.

Pod tym względem ostatnim przypomina dostojny pisarz, że:

»nauka Chrystusowa wywiera wpływ doniosły nie tylko przez zachętę do cierpliwej pracy dla niezamożnych, a do miłosierdzia dla majętnych, ale i przez to, iż jednoczy miłością ludzi i wszystkie warstwy społeczne w jedno ciało, więc daje potężny popęd do wszelakich przedsiębiorstw obmyślanych, aby dźwignąć uboższych i słabszych... Gdzie tylko znajdzie się choć kilku chrześcijan, istotnie gotowych spełniać zasady wyznawane, tam wszędzie musi znaleźć się pod przewodem

Cerkwi silna i solidarna organizacya i akcya społeczna... Cerkiew obudza i wywołuje prywatną inicyatywę... Człowiek, przejęty duchem chrześcijańskim, samoistnie, własnym domysłem, trudem i nieraz majątkiem i zdrowiem przyczynia się do dzieła społecznego... W takiej społecznej akcyi związkowej tak inicyatywa jak i całe przewodnictwo może spoczywać w rękach ludzi świeckich: duchowieństwo tylko przyświeca nauką Chrystusa... Rozumiemy, że trzeba nam osobliwszą uwagę zwrócić na stan rolników, których straszliwy pauperyzm i ciemnota wyglądają na nieprzełamaną przeszkodę do postępu. Musimy podnieść i zabezpieczyć na każdem miejscu prawdziwą oświatę, z którąby ten naród mógł zdobyć lepszy byt.

»Musimy używać wszystkich sposobów możliwych, aby dźwignąć przemysł, bez którego ledwoby można jeszcze utrzymać w naszych czasach rolnictwo. Musimy wszędzie bez wyjątku wziąć w ręce kupiectwo, organizować po wszystkich siołach te różnorodne instytucye, które jakimkolwiek sposobem pomagają ludziom żyć i pracować«.

W roku następnym papieski jubileusz natchnął zwierzchnika Cerkwi ruskiej opisem ludowym rządów Leona 13-go. Oczywiście w tym liście pasterskim było trudno pominąć naukę Leona 13-go i apostolskie przepisy, dane dla demokracyi chrześcijańskiej. Czytamy tedy:

»Socyaliści widzą tak jak i my, że bywają ludzie na świecie w ubóstwie skrajnem i w bogactwach niezmiernych. Więc by było dobrze, tak wszyscy mówimy, gdyby ubodzy mogli bogacieć. Trzeba szukać sposobu, jakby im pomóc.

»Na to Cerkiew daje taką radę: przedewszystkiem napomina i uczy bogatszych, żeby na żaden sposób nie śmieli krzywdzić ubogich i żeby oddawali im wszystko, co należy się im. Boska ustawa, którą głosi Cerkiew, podaje to za jeden z grzechów, które wołają o pomstę do nieba, kiedy kto zatrzymuje robotnikom zapłatę. Dalej upomina Cerkiew bogatszych, żeby z prawdziwą miłością chrześcijańską i miłosierdziem pomagali uboższym i starali się osłodzić im dolę i poprzeć ich, aby dźwignęli się z nędzy. Aby do tego dojść, szuka Cerkiew różnych dróg i żadnych wskazówek nie szczędzi, ani pracy nie żałuje, aby zwiększyć dobrobyt ubogim. A Leon XIII w osobnem piśmie postawił taką zasadę, że wierni chrześcijanie wszyscy mają przyłożyć rąk, każdy jak może, do tego dzieła.

»Cerkiew zawsze stoi po stronie uboższych i zawsze opiekuje się tymi, którzy potrzebują opieki, i broni tych, co nie umieją sami się bronić. I nawet wtedy, kiedy przestrzega ubogich przed zazdrością, nienawiścią i krzywdą względem bogatszych, robi to z miłości dla uboższych i dla ich dobra. Nienawiść, zazdrość i wszystko, co przeciwi się bożemu zakonowi, nie pomoże uboższemu, a jeszcze zaszkodzi«.

Zasadom tedy tak dotykanym w różnych listach zamierzył ksiądz metropolita dać wyraz zbiorowo i zawodowo w osobnym liście o demokracyi chrześcijańskiej. Ale list ten, zaczęty, jak na ostatniej stronie czytamy, przed laty już trzema, znajdował ciągłe przeszkody w sprawach niezwłocznych. Tymczasem wyszedł list do Polaków obrządku greckiego. W drugiej jego części znajdujemy wykład zasad zdolnych naprawić społeczną budowlę, a podwaliną jej ma być duch chrześcijański w ustroju rodzinnym i pracy wychowawczej nad dziećmi. Czytamy tu:

»Pracując nad uświęceniem rodziny, przez to samo pracować będziecie nad tak pożądanem dla polskiego narodu uzdrowieniem stosunków społecznych...

»W równej mierze i społeczne wychowanie dzieci zależy od społeczno-chrześcijańskich zasad rodzinnego życia... Spełnianie obowiązków, praca dla dobra ogólnego, poświęcenie własnej wygody i korzyści, stałość i hart zasad: wszystko to cnoty społeczne, które już w dzieciach róść i rozwijać się winne, a które w rodzinnych cnotach i zasadach, w życiu rodziny, w duchu, jakim jest przyjęta, początek i wzrost snadnie przyjmują; bardzo (tego) doniosłe znaczenie społeczne wzrasta w naszych czasach zagrożonych błędnemi zasadami socyalizmu.

»Katolik nie może obowiązków społecznych zaniedbywać bez grzechu. Tam, gdzie pracą swoją może przyczynić się do uchrześcijanienia społeczeństwa, dotąd niestety jeszcze tak mało chrześcijańskiego, jest do tego ściśle obowiązanym. Te zaś obowiązki społeczne w pierwszym rzędzie odnoszą się do rodziny. Rodzina, to pierwszy teren akcyi społecznej każdego chrześcijanina«...

* * *

Nakoniec chwila wolniejsza od spraw nagłych pozwoliła czcigodnemu dostojnikowi dokończyć listu pasterskiego o socyalizmie. Spotykamy w liście tym od razu w pierwszych słowach myśl wypowiedzianą bez żadnej ogródki, że ruch demokratyczny — oczywiście nie każdy bez różnicy, ale ten

»Demokratyczny ruch, który w całej Europie pod sztandar obrony ubogich i skrzywdzonych powołuje wszystkich szlachetnych i sprawiedliwych, nie jest dla Kościoła obcym, przeciwnie, jest dla duchowieństwa wszystkich krajów sympatycznym, bo i duch Chrystusowej Ewangelii jest duchem szczerze i szeroko demokratycznym. Opieka nad ubogimi i obrona tych, którzy sami siebie bronić nie umieją, braterstwo ludzi — to tylko prawo sprawiedliwości i miłości bliźniego, na którym oparty jest cały ewangeliczny zakon«.

«Ten zakon każe duchowieństwu stać na straży praw ubogich, i więcej dbać o tych, którzy więcej pomocy potrzebują«.

Tej pomocy bardzo dziś potrzebują ludzie pracy wobec przewagi pieniężnictwa, »przy kapitalistycznej teoryi liberalnej z jej ustawodawstwem; wszyscy dziś zdajemy sprawę z niesprawiedliwości tego stanu; nikt nie zaprzeczy, że w naszym ustroju społecznym ubogim krzywda nieraz się dzieje«.

Jakąż wobec tych stosunków postawę zająć ma duchowieństwo?

»Stojąc na straży społecznej moralności, musi stawać w obronie tych, którzy nie umieją siebie samych bronić, musi ujmować się za nimi, choćby z narażeniem własnego dobra.

»Nie możemy solidaryzować się z interesami jakkiejkolwiek klasy społecznej, nie wchodzimy w sojusz z żadną partyą; przy przeciwnych jednak interesach warstw bogatszych i uboższych stajemy po stronie uboższych, aby chrześcijańską i legalną akcyą polepszać ich dolę.

»...Musimy pracować nad poprawą ich materyalnego bytu, starać się podnosić wartość ich pracy, szukać dla nich nowych sposobów zarobkowania, organizować prawną pomoc przeciw możliwym nadużyciom opodatkowania, usilnie pracować nad podniesieniem ich gospodarki domowej i rolnej. Musimy uczyć ich na całej linii pracy i oszczędności, nadawać jej kierunek jak najkorzystniejszy dla prawdziwego postępu ekonomicznego. Musimy bronić ich przed wyzyskiem handlu i według możności szukać zbytu dla produktów ich pracy...

»...Sami też własnem postępowaniem musimy bogatszym dawać przykład sprawiedliwości i miłości, uboższym przykład cierpliwości i tego ubóstwa duchem, które dobrami świata gardzi, a przedewszystkiem szuka prawdy Bożej i Bożego Królestwa.

»...Musimy w pierwszym rzędzie stać na straży tych etycznych zasad Bożego objawienia, bez których cała praca społeczno-ekonomiczna będzie prowadzić nasz naród na zagładę«.

Pod chorągwią demokracyi chrześcijańskiej staje tedy ksiądz arcybiskup Szeptycki nie tylko otwarcie, ale owszem samoistniej i bardziej pod pewnym względem stanowczo, niż niejeden z jego poprzedników na dostojeństwach kościelnych w różnych narodach.

(Dok. nast.).

Ks. K. Czaykowski.

Z NASZYCH SPRAW SPOŁECZNYCH.

NOWY PROJEKT REFORMY
UBEZPIECZENIA ROBOTNICZEGO.

(Dokończenie).

Organizacya kas powiatowych jest następująca: w każdem mieście powiatowem ma być kasa chorych, licząca co najmniej 1000 członków. Do określenia innego terytoryalnego podziału kas, o ile szczególne tego domagać się będą stosunki upoważnione jest ministerstwo spraw wewnętrznych (§ 33). Zarząd kasy powiatowej, który składać się ma na równi z członków kasy i chlebodawców, wybiera walne zgromadzenie. Połowa co najmniej przedstawicieli ubezpieczonych w zarządzie, należeć ma do kategoryi pełno ubezpieczonych. Członkami zarządu mogą być obywatele austryaccy, którym przysługują prawa wyborcze do rady państwa (§ 40).

Walne zgromadzenie składa się na równi z delegatów członków kas i delegatów chlebodawców. Liczba delegatów wynosić ma najmniej 30, a najwyżej 90 członków (§ 42). Sprawy kasowe prowadzić mają zaprzysiężeni urzędnicy, kierownika zaś mianuje i opłaca rząd, tj. centralna instytucya rządowa ubezpieczeń, w porozumieniu z zarządem kasy (§ 41).

Kasy powiatowe są uprawnione do zakładania filii lub stacyi płatniczych dla wszystkich lub niektórych kategoryi osób w obrębie jednej lub kilku gmin. Filiom tym mają przysługiwać następujące prawa:

1) przyjmowanie meldowań i wymeldowań
2) pobieranie wkładek
3) udzielanie zapomóg
4) pełnienie kontroli nad chorymi
5) przeprowadzenie wyboru delegatów w swoim okręgu.

Filie takie ma obowiązek założyć kasa powiatowa, jeśli tego domaga się gmina, zobowiązująca się bezpłatnie dostarczyć lokalu i lekarza gminnego. Powtóre polityczna władza powiatowa ma prawo zarządzić, żeby wyż wymienione sprawy, dotyczące robotników rolnych i leśnych, częściowo lub całkowicie powierzono utworzonym w myśl ustawy z 27 kwietnia 1902 (Nr. 91 D. u. p.) zawodowym korporacyom rolników. Spory wynikające z dwu wyż pomienionych postanowień ma rozstrzygać powiatowa władza polityczna (§ 56, 57).

Doniosłe postanowienia te mają na celu w ramach nowej organizacyi przeprowadzić pewną decentralizacyę ubezpieczenia robotniczego, odpowiadającą »niewątpliwie istniejącym potrzebom ludności«. A powtóre w ten sposób gminy, a przedewszystkiem korporacye rolnicze, zyskają znaczny wpływ na przeprowadzenie wyboru delegatów i całą działalność kas.

Projekt rozróżnia w dziedzinie ubezpieczenia chorych analogicznie do obowiązującej ustawy 4 główne kategorye kas: kasy powiatowe, kasy fabryczne i brackie, kasy korporacyjne i kasy stowarzyszeniowe. W zasadzie więc organizacya kas chorych pozostała ta sama. Odpada tylko kasa budowlana, która zresztą nigdzie żywotnego nie okazała rozwoju. A więc rozdrobnienia i rozbicia dotychczasowej organizacyi kas chorych, za którą wlecze się cały szereg wad administracyjnych i finansowych, projekt nie usuwa. Dlaczego? Robotnicy domagają się od szeregu lat pewnej centralizacyi w tym kierunku. Centralizacya taka łatwoby dała się uskutecznić przez zlanie wszystkich kategoryi kas z kasą powiatową, przez przekształcenie kasy powiatowej na kasę jedyną, przymusową. Tymczasem rząd poprzestaje na nieznacznem ograniczeniu liczby kas różnych. »Bo obecnie, tłumaczy projekt, radykalna zmiana systemu organizacyjnego, który przez więcej niż jedno dziesięciolecie się rozwijał na zdrowej bez wątpienia pod-

stawie, odpowiadającej ekonomicznym i społecznym stosunkom, nie zdaje się być wskazaną. To też uważaliśmy raczej za odpowiednie... obecny system organizacyjny uwolnić tylko od drobnych a tem samem niezdolnych do rozwoju żywotnego organizacyi«.

»Rozwiązanie takie jeszcze z innego specyalnego punktu widzenia doniosłej jest wagi: jak wiadomo od długiego już czasu znaczna część robotników domaga się zupełnego zniesienia kas fabrycznych. Należy tu bez ogródki wyznać, że niejedna kasa chorych, należąca do tej kategoryi, nie jest wolna od tych wad, na które robotnicy się uskarżają. Doświadczenie wszelako wykazuje, że są to przeważnie drobniejsze kasy, a więc właśnie te, których usunięcie projekt proponuje. Przy takich kasach wystąpiły na jaw wady, które podobnie jak przy drobniejszych kasach chorych innych kategoryi najgłówniejszą przyczynę mają w tem, że kasy te są za słabe pod względem ekonomicznym, żeby się utrzymać mogły. Większe atoli kasy fabryczne wolne są wogóle od zarzutów, podniesionych przeciw takim instytucyom. Działalność przeważnej części takich kas jest zupełnie zadawalniającą. Częstokroć kasy te powstały przy współudziale szczególniejszym i pełnym ofiarności pracodawców, i posiadają zarządzenia, które umożliwiają im świadczenia, przechodzące znacznie ustawą określone wymiary minimalne. Żeby więc zupełnie znieść kasy fabryczne, które nadto mają i tę korzyść przed innemi, że administracya ich jest bezpłatna, nie widzimy wystarczających powodów«.

Teraz jakim zmianom według projektu rządowego ulegnie organizacya kas chorych. Naprzód kasy ubezpieczenia przymusowego od choroby mają prawo łączenia się w wolne związki. Dotychczasowe zaś związki przymusowe kas chorych znosi projekt rządowy. »Związki te bowiem nie spełniły nadziei — mówi przedłożenie — jakie w nich pokładano i nie utorowały drogi do organicznego połączenia ubezpieczenia od choroby i od wypadków. Kasy też powiatowe chorych uważają dotychczasowe, ustawą określone kierownictwo tych związków, będące w ręku instytucyi ubezpieczenia od wypadków, za uciążliwe ograniczenie wolności autonomicznej. To też związki wśród trudnych tych stosunków ograniczały się ściśle do zakresu działania, ustawą im przepisanego.

O żywotnej działalności związków, wychodzącej po za ramy poruczonego im zadania żadnej nie ma mowy«.

Pod względem terytoryalnym kasy chorych rozciągać się mają na powiaty polityczne, a nie na okręgi sądowe. Również wymagana jest ustawą minimalna liczba członków. Kasy powiatowe muszą liczyć najmniej 1000 zamiast 100 członków, inne zaś kasy najmniej 500 członków. Wyjątek stanowią tylko kasy brackie. »Nie ulega wątpliwości, że te zasady organizacyjne starczą za rękojmię, iż obecne kasy powiatowe przekształcą się w organizacye dużo silniejsze«.

Projekt rządowy spodziewa się, że w ten sposób znacznie umniejszy się liczba kas. Ubytek ten przedstawiałby się według liczb statystycznych z roku 1902 w sposób następujący: Z 561 kas powiatowych ubyłoby licząc ściśle 293 kas. Wliczając atoli służbę rolną i domową, przydzieloną do kas powiatowych, liczba ta znacznie się zmiejszy. Z 1303 kas fabrycznych ubyłoby 1034 kas. Z 876 kas korporacyjnych ubyłoby 134 kas. »Jak konieczne zaś jest właśnie przy kasach korporacyjnych usunięcie drobnych a tem samem nieżywotnych kas wynika już stąd, że pomiędzy 876 kasami było 316 takich, które mniej liczyły niż 100 członków. Pomiędzy ostatniemi było i dużo takich, które nie więcej niż 10 liczyły członków«. Tylko i tu trzeba wziąć w rachubę zakres ubezpieczonych, który w kasach korporacyjnych znacznie się rozszerzy. Według projektu bowiem osoby zatrudnione u członków korporacyi, a podlegające obowiązkowi ubezpieczenia, a więc i służba domowa i terminatorzy, należący obecnie do kas powiatowych, należeć mają do kas korporacyjnych. Z 164 kas stowarzyszeniowych ubyłoby 81 kas; brackich zaś kas ze względu na ich specyalną naturę i rozwój historyczny nie obejmuje postanowienie o minimalnej liczbie członków.

Co się tyczy osób ubezpieczonych w kasach chorych ważniejsze zmiany czy ulepszenia, jakie projekt rządowy przynosi, są następujące: członkom, pozbawionym zarobku, choć nie płacą wkładek, przysługiwać ma i na przyszłość prawo do zapomóg przez pewien przeciąg czasu. Przeciąg ten atoli nie ma wynosić jak obecnie 6 tygodni, lecz zależeć ma od długości uprzedniego

zatrudnienia, objętego ubezpieczeniem. »Postanowienie to ma na celu usunięcie jaskrawego przeciwieństwa, jakie według obecnej ustawy nie rzadko zachodzi pomiędzy wkładkami a świadczeniami kasy. mianowicie, gdy ubezpieczony przed utratą zarobku, krótki tylko czas miał zatrudnienie, podczas którego był ubezpieczonym i drobną tylko kwotę wkładkową wniósł do kasy. Dysproporcyę tę właśnie kasy powiatowe odczuwały jako wielki ciężar«. N. p. ubezpieczony, który przez przeciąg 6 tygodni albo dłużej płacił wkładki, traci zarobek. Jak długo ma prawo do pobierania zapomóg chorobowych, mimo że wkładek nie płaci? przez przeciąg 6 tygodni. Tak jest również według obecnej ustawy, ale projekt właśnie to prawo ogranicza: oto ów ubezpieczony robotnik po dwutygodniowem bezrobociu znajduje pracę na tydzień i następnie znowu popada w bezrobocie. W tym wypadku prawo do zapomóg będzie trwało tylko przez 5 tygodni »mianowicie 4 tygodnie jako reszta sześciotygodniowego prawa pierwotnego, którego wykorzystać nie mógł, oraz tydzień na nowo zdobytego sobie prawa podczas drugiego tygodniowego zarobku«.

Ale jest jeszcze inna różnica pod tym względem pomiędzy obecną ustawą a projektem rządowym. Obecna ustawa zastrzega ubezpieczonym podczas bezrobocia, gdy wkładek nie płacą, przez przeciąg 6 tygodni wszystkie prawa przysługujące innym członkom. Projekt rządowy natomiast przyznaje takim robotnikom wyłącznie tylko prawo do zapomóg, odmawiając im wszelkich innych praw n. p. wyborczych. »Niezgodne to bowiem z uporządkowaną administracyą, żeby osoby były członkami, o których z braku bliższych dat co do miejsca zamieszkania i zatrudnienia zwyczajnie nie wiadomo, czy rzeczywiście są członkami«. Odmiennie też do obecnej ustawy postanawia projekt, żeby zarząd kasy powiatowej w ramach statutu decydował o tem, czy osobom niepodlegającym obowiązkowi ubezpieczenia, a dobrowolnie zgłaszającym się do kasy przyznać należy prawo do pobierania zapomóg chorobowych. »W ten sposób, mówi przedłożenie, kasy się najskuteczniej ochronią przed częstemi nadużyciami ze strony osób nie podlegających obowiązkowi ubezpieczenia«.

Zasadnicze znaczenie co do wysokości wkładek ma § 45

projektu, pozwalający na stopniowanie tychże stosownie do osób i warunków pracy. Rodzaj pracy i rodzaj przedsiębiorstwa i płeć należy uwzględnić przy określaniu statutem wkładek kasowych. W szczególności dla osób zatrudnionych przy budowie dróg, kolei żelaznych, kanałów i przy pracach wodnych statut wyższe może określić wkładki. Zabronione jest tylko stopniowanie wkładek co do wieku ubezpieczonego. »Postanowienie to, tłumaczy przedłożenie, nie ma na celu wdrożyć daleko idącą klasyfikacyę niebezpieczeństw, zagrażających zdrowiem według wzoru ubezpieczenia od wypadków, ale ma na oku wyłącznie tylko praktyczne sprawy. Potrzebę różniczkowania wkładek kasowych i obecna ustawa uznaje, uwzględniając wyraźnie przedsiębiorstwa groźne dla zdrowia. Dalsze rozwinięcie tej zasady, które projekt proponuje, sprawi, że kasy powiatowe będą w możności przeprowadzenia ubezpieczeń, połączonych z wielkiem ryzykiem bez nadmiernego obciążenia innych ubezpieczonych. W ten sposób też będą mogły kasy powiatowe objąć rozwiązane kasy budowlane bez zachwiania swojej równowagi finansowej«.

Co się tyczy wkładek kasowych, opłata ma być rozłożona w połowie na pracodawcę i na robotnika, podczas gdy obecnie pracodawca tylko $^1/_3$ część, a robotnik $^2/_3$ wkładki wnosi do kasy. Odpowiednio do opłaty idą zmiany w składzie zarządu, »który na przyszłość we wszystkich kategoryach kar, wyjąwszy kasy stowarzyszeniowe, ma się składać pół na pół z reprezentantów ubezpieczonych i reprezentantów pracodawców. Przedłożenie bowiem trzyma się zasady w obecnej ustawie wyrażonej, żeby ilościowy stosunek opłaty kasowej był normą dla podziału kompetencyi administracyjnej, pomiędzy interesowanemi stronami ubezpieczenia od choroby«.

Doniosłą w skutki zmianę tę motywuje przedłożenie w sposób następujący: »Wprowadzenie w życie obecnego stosunku reprentacyjnego ($^2/_3$ ubezpieczonych, a $^1/_3$ pracodawców) nie odpowiedziało oczekiwaniom. Spodziewano się, że pracodawcy zasiadający w mniejszości w zarządzie kas chorych będą pracowali w kierunku pokojowym *im Dienste des sozialen Friedensamtes* (patrz sprawozdanie komisyi przemysłowej w radzie państwa, tyczące się ów-

czesnego projektu rządowego o ubezpieczeniu robotników od choroby) i nadzieja ta wogóle zawiodła. Co więcej w ostatnich przedewszystkiem latach pojawiły się pod tym względem pożałowania godne prądy, które nadawały wyborom do kas chorych coraz więcej charakteru i znaczenia wyborów politycznych, owszem postawiono sobie formalnie za cel, żeby »zdobyć« kasy chorych dla partyi. Że w takich warunkach nie może być mowy o spokojnem współdziałaniu wszystkich interesowanych, co jest niezbędnie potrzebne do korzystnego rozwoju kas chorych, nie potrzebuje tłumaczenia«.

W trzeciej części omawia przedłożenie rządowe ubezpieczenie na wypadek niezdolności do pracy. »W osiągnięciu tego celu mówi projekt od szeregu lat i głosy robotników i miarodajni przedstawiciele sfer przemysłowych i rolniczych jednego w tej mierze są zdania. Daleko idące różnice zdań dopiero występują tam, gdy idzie o ukształtowanie takiego ubezpieczenia, o zakres osób, do których to ubezpieczenie ma się rozciągać i o środki finansowe potrzebne do ubezpieczenia«.

Przystępując do praktycznego rozwiązania problemu, różne państwa różne w tej mierze obrały kierunki. W Danii ubezpieczenie to ma charakter rozszerzonego prawa ubogich. Głównym celem przy wprowadzeniu tego ubezpieczenia było tam oprzeć prawo ubogich na podstawie nowoczesnej i odjąć mu charakter bądź co bądź upokarzający.

Na odmiennym stanowisku stanęły inne państwa, ale i tu różnice wielkie co do ubezpieczenia, mianowicie czy należy przeprowadzić ubezpieczenie przymusowe, czy też pozostawić wolne pole inicyatywie prywatnej i tę inicyatywę środkami państwowymi popierać. Typowym przykładem tego kierunku są Włochy i Belgia. Działalność państwa ogranicza się tam na tem, żeby inicyatywę prywatną środkami państwowymi w mniejszym lub większym stopniu popierać i kasy oprzeć na pewnej podstawie, a względnie państwowemi instytucyami uzupełnić. Zakres ubezpieczonych rozciąga się tam nie tylko na robotników, ale na wszystkich obywateli do pewnej granicy dochodu. System ten wszelako nie osiągnął spodziewanych rezultatów. I to jest zapewne

główna przyczyna, dlaczego Francya, ojczyzna subwencyonowanej asekuracyi prywatnej, skłania się w ostatnich latach coraz więcej do zasady przymusowego ubezpieczenia.

»W Austryi, mówi projekt, zasady przymusowego ubezpieczenia robotniczego nikt prawie nie atakował. I co warto nadto zaznaczyć... wzoruje się ono nie tylko w głównych zarysach, ale nawet i w szczegółach na niemieckiem ubezpieczeniu na wypadek niezdolności do pracy i na starość«.

Oto główne zasady, na których według przedłożenia rządowego ubezpieczenie na wypadek niezdolności do pracy i na starość mają się opierać.

Naprzód co dają nowe te ubezpieczenia robotnikom?

Ponieważ idzie tu, tłumaczy przedłożenie, o wprowadzenie w życie zupełnie nowej instytucyi, której wpływ nie wiedzieć jak daleko sięgać będzie na całe gospodarstwo społeczne, świadczenia jej muszą się ograniczyć na minimum egzystencyi tj. na tem, co niezbędne jest do utrzymania życia. Ze względu na znaczne koszta nie było można dołączyć do ubezpieczenia inwalidów i na starość ubezpieczenia wdów i sierót. Zamiast ostatniego ubezpieczenia przedkłada projekt ubezpieczenie miernego kapitału na rzecz pozostałych, jak to obecnie w prywatnych instytucyach asekuracyjnych się praktykuje.

Powtóre z powodu różnych stosunków zarobkowych i warunków życiowych w poszczególnych krajach i zawodach renta ta nie może być z góry oznaczoną. Wysokość renty zależeć będzie w pierwszym rzędzie od wysokości zarobku, a więc konsekwentnie od poszczególnych klas zarobkowych, a następnie i od czasu ubezpieczenia. Podnoszenie się renty równolegle z czasem przynależności do kasy ma tę korzyść, że z każdą wkładką łączy się świadomość osiągnięcia wyższej emerytury.

Na czem polega ubezpieczenie na starość i czem się różni od ubezpieczenia na wypadek niezdolności do pracy? Jedno i drugie ubezpieczenie jest w gruncie rzeczy to samo. Tylko, że przy ubezpieczeniu na starość, emerytura rozpoczyna się bez uprzedniego udowodnienia niezdolności do pracy, według projektu od 65 roku życia. Ubezpieczenie zaś na wypadek niezdolności do

pracy nie jest przywiązane do wieku i wymaga udowodnienia niezdolności do pracy.

Kto ma prawo do emerytury?

a) Do emerytury z powodu niezdolności do pracy, kto przez 200 tygodni płacił wkładki;

b) do emerytury na starość, kto przez 1200 tygodni płacił wkładki;

c) do zapomogi dla pozostałej rodziny, kto przez 40 tygodni płacił wkładki, czyli licząc na lata prawo do pierwszej emerytury ma każdy po $4^1/_2$—5 lat przynależności, do emerytury na starość po 27 do 30 lat, a do zapomogi dla pozostałej rodziny po roku przynależności do kasy.

Prócz określonego czasu przynależności do dostąpienia emerytury inne jeszcze wymagane są warunki. I tak: do emerytury na wypadek słabości mają prawo tylko ci, którzy wskutek starości, choroby lub innych ułomności nie są w stanie zarobić sobie choćby $^1/_3$ tego, co człowiek zdrowy przy równem wykształceniu fachowem i w podobnych warunkach mógłby sobie zarobić. Do emerytury zaś czasowej w razie słabości mają nadto prawo pełnouprawnieni członkowie kas chorych, opartych na podstawie projektowanej ustawy, od chwili, gdy kasa zaprzestanie po upływie ustawą przepisanego terminu płacić zasiłki chorobowe. Inni natomiast członkowie mają prawo do pobierania renty podczas słabości, gdy niezdolność do pracy ciągnie się bez przerwy dłużej niż pół roku. Prawo do emerytury mają również inwalidzi, a względnie czasowo niezdolni do pracy wskutek wypadku w przedsiębiorstwach (§ 83, 84).

Renta z dwu składa się części: z renty zasadniczej i rosnących dodatków. Renta zasadnicza ma wynosić rocznie:

w	I	klasie	zarobkowej	120 K
»	II	»	»	150 «
»	III	»	»	180 »
»	IV	»	»	210 »
»	V	»	»	240 »
»	VI	»	»	270 »

Przy obliczaniu reszty zasadniczej wchodzą zawsze w rachubę 500 tyg. przynależności do kasy. Brakujące wkładki do 500 tygodni oblicza się według pierwszej klasy zarobkowej. Gdy ubezpieczony do różnych należał klas zarobkowych, reszta oblicza się według pierwszej klasy zarobkowej. Rosnące dodatki wynosić mają $^1/_5$ sumy wszystkich w ciągu całego ubezpieczenia opłaconych wkładek (§ 86). Wysokość wkładek wynosi tygodniowo:

w	I	klasie zarobkowej	10 hal
w	II	» »	20 »
w	III	» »	30 »
w	IV	» »	40 »
w	V	» »	50 »
w	VI	» »	60 »

Z chwilą pobierania renty gaśnie obowiązek płacenia wkładek (§ 102, 103). Wkładki płacić mają na równi robotnicy i przedsiębiorcy. Państwo bierze na siebie koszta administracyi kasy inwalidów (obliczono na 2 miliony) oraz płacić będzie przy każdej rencie na starość, lub na wypadek niezdolności do pracy rocznego zasiłku 90 kor. Według obliczeń, suma tych zasiłków w ciągu 70 lat wynosić ma 45 milionów koron.

Żeby robotnik miał ustaloną pretensyę prawną, sam musi się przyczynić do wytworzenia renty, mówi przedłożenie. Ponieważ zaś siły jego są zbyt słabe, żeby sam sobie poradził, muszą mu przyjść z pomocą i pracodawca i państwo. Pracodawca, bo on bezpośrednio ciągnął korzyść z jego pracy, państwo we formie subwencyi, bo ono w wytworzeniu takiej instytucyi istotny ma interes i ono jedno tylko — siły pracodawców i robotników tu nie wystarczą — może ją oprzeć na pewnej podstawie finansowej. Tak uzasadnia projekt znaczny współudział państwa w ubezpieczeniu w razie słabości i na starość. Względną wysokość subwencyi 90 koron w porównaniu do subwencyi 50 marek w Niemczech przy każdej rencie, tłumaczy przedłożenie odmiennymi stosunkami zarobkowymi i niższą płacą w Austryi. Roczna subwencya ta ma ten skutek, że w niższych klasach zarobkowych stosunkowo dużo mniej płacić potrzebują i pracodawcy i robotnicy niż w wyższych.

Ale kto ma robotnikom przyznawać renty? Urząd to nie-

zmiernie ważny, wymagający ze strony robotników wielkiego zaufania, a więc niezawisłości, a z drugiej strony i wszechstronnej i objektywnej znajomości rzeczy i stosunków. Tu biurokracya nie da sobie rady, tu potrzeba pewnej decentralizacyi. Projekt dwa pod tym względem rozróżnia stadya: przygotowanie materyałów i sam wyrok. Przygotowanie materyałów wymaga dokładnej znajomości lokalnych stosunków i ekonomicznych, w których robotnik, ubiegający się o rentę żyje, oraz bezpośredniego stykania się z robotnikami. Do załatwienia tych czynności powołane są kasy chorych. Do decyzyi atoli — suponując staranne przygotowanie materyałów — zdaniem projektu powołane będą ze względu na oszczędność i jednolitość wyroków terytoryalne komisye rentowe, *(Invaliden- Rentenkomissionen)* urzędujące w zakładach ubezpieczeń od wypadków. Komisye te składać się mają z trzech osób, z przewodniczącego, którego mianuje władza krajowa i z przedstawicieli pracodawców i robotników.

Ubezpieczenie od wypadków ulega również w ramach projektu pewnym zmianom, z których najważniejsze zmierzają do usunięcia głęboko zakorzenionych w tym dziale ubezpieczeń niedomagań finansowych a inne do wytworzenia jednolitej organizacyi.

Najważniejszem nowem postanowieniem w tym kierunku — mówi projekt — dotyczącem pretensyi ubezpieczonych, jest przesunięcie terminu leczenia, po ukończeniu którego dopiero ubezpieczeni rentę pobierać mają. Obecnie obowiązująca ustawa brzmi: Jeżeli ubezpieczony doznał uszkodzenia ciała i czasowo lub całkiem stał się niezdolnym do pracy, należy mu w ciągu miesiąca przyznać rentę (§ 35). Renta ta ma być płaconą od początku piątego tygodnia od wypadku przez cały czas niezdolności do pracy. Postanowienie to zmienia projekt w ten sposób: Jeżeli ubezpieczony doznał uszkodzenia ciała, należy mu bezpośrednio po ukończeniu leczenia a najpóźniej po upływie roku podczas niezdolności do pracy płacić rentę. Częściowo ubezpieczonym należy się renta ta najpóźniej po upływie pierwszego półrocza. Termin zaś leczenia to dzień, z którym prawo do pobierania zapomóg chorobowych gaśnie (§ 138). Najgłówniejszem następstwem tego po-

stanowienia jest to, że instytucya ubezpieczenia od wypadków ma mieć charakter instytucyi ściśle rentowej. Obecnie wydarza się raz po raz, że przyznaje się rentę na dni kilka po wygaśnięciu czterotygodniowego prawa do zapomóg chorobowych. Oczywiście koszta obliczenia renty są w takim razie większe, niż sama renta i to utrudnia i czyni ogromnie drogą całą administracyę instytucyi zabezpieczenia od wypadków. Ale na zmianie tej, kasy chorych a względnie robotnicy ucierpią. Tak, ale projekt mniema, że robotnicy tu opierać się nie będą ze względu na dużo wyższe cele, jakie im nowa organizacya ubezpieczenia robotniczego przyznaje. Zresztą mają oni znaleźć pewną kompensatę w tem, że na przyszłość cały ciężar opłaty asekuracyjnej od wypadków ciążyć będzie na pracodawcach, a powtóre, że i opłata zabezpieczenia od choroby według projektu ma przypaść w połowie na pracodawców.

Na korzyść ubezpieczonych postanawia dalej projekt, że wypadki, które się nie wydarzyły w samem przedsiębiorstwie, ale w pewnym z fabryką stoją związku, podpadają pod ubezpieczenie (§ 137).

Wymiar renty w razie niezdolności do pracy dla pozostałej rodziny ulega również według projektu zupełnej zmianie już to z powodu wprowadzenia jednolitej miary do wszystkich trzech działów zabezpieczenia, już to z powodu klas zarobkowych.

Wielkiej przedewszystkiem doniosłości są tu postanowienia, odnoszące się do oceny niezdolności do pracy według pewnych kategoryi oraz postanowienia, pozwalające na jednorazowe odszkodowanie zamiast renty, jeżeli zdolność do pracy wskutek wypadku nieznacznego tylko doznała uszczerbku. Kto zaś zupełnie niezdolnym jest do pracy i potrzebuje obcej opieki i pielęgnowania renta jego ma być o połowę wyższą, niż zwyczajna. Dzieci nieślubne po śmierci matki mają to samo prawo do renty jak dzieci ślubne. Wymiar maksymalny renty dla osieroconej rodziny ma równać się pełnej rencie i t. d.

Nader ważne też w następstwa jest postanowienie, żeby zakłady ubezpieczenia od wypadków miały wpływ na leczenie dotkniętych wypadkiem.

»Nie ulega wątpliwości, mówi przedłożenie, że metoda leczenia okaleczonego często decyduje o stanie zdrowia, że okaleczony często dlatego tylko obciążony jest przez całe życie kalectwem, że nie doznał racyonalnej opieki podczas leczenia. Dla wielu zatem dotkniętych wypadkiem niezmiernie ważną jest rzeczą, żeby byli od samego początku rozumnie leczeni. Kasom chorych nałożyć pod tym względem większe ciężary nie uchodziłoby, instytucye zaś ubezpieczenia od wypadków są w stanie podjąć się we własnym interesie leczenia okaleczonego, choćby to z większymi połączone było kosztami.

Paragraf 142 określa, jakie prawa przysługują ubezpieczonym, gdy renta od wypadków zbiega się z rentą w razie niezdolności do pracy. Obie renty te nie mają nigdy przekroczyć wymiaru renty całkowitej, a względnie mogą być najwyżej o połowę większe od renty całkowitej (przy zupełnej nieudolności). W danym więc razie prawo do pobierania renty od wypadku gaśnie po odpowiedniem unormowaniu renty. Przykład najlepiej objaśni postanowienie to: Pewien robotnik, należący do III klasy zarobkowej, stał się ofiarą nieszczęśliwego wypadku. Przyznano mu rocznie odpowiednio do niezdolności jego do pracy $^2/_5$ z całkowitej renty t. j. 144 K. Robotnik ten później staje się niezdolnym do pracy. Należy mu się renta w wysokości 267 K. na mocy ubezpieczenia na wypadek niezdolności do pracy. Ile więc robotnik ten otrzyma razem? Obie renty razem wzięte wynoszą $144 + 267 = 411$ K. Całkowita zaś renta w III klasie zarobkowej wynosi 360 K. Otóż według § 142,1 suma obu rent przekracza o 51 K rentę całkowitą, należy więc odjąć kwotę tę od renty od wypadków czyli ubezpieczony otrzyma z kasy ubezpieczenia od wypadków 144—51=93 K, z kasy inwalidów 267 K, razem 360 K, tyle bowiem wynosi renta całkowita.

Wogóle przyznać należy, że projekt rządowy stosownie do potrzeb i niedomagań finansowych ubezpieczenia od wypadków na odpowiednie i, zdaje się, skuteczne wskazuje środki zaradcze, któreby zdołały usunąć wszystkie nieporządki, jakie w tym dziale od szeregu lat się wyrobiły. A to tem bardziej, że stan finansowy tych zakładów nie jest tak rozpaczliwy — przedłożenie to wyka-

zuje jasno i z naciskiem zaznacza — jak to zwyczajnie się przedstawia.

W końcu jeszcze słów kilka o nadzorze państwowym i rozstrzyganiu sporów — ta bowiem jest treść piątego i najważniejszego rozdziału przedłożenia rządowego. Właściwie nie można mówić o żadnym nadzorze państwowym, jak w przedłożeniu czytamy, skoro projekt wszystkie ubezpieczenia prawie wyłącznie oddaje w ręce rządu. W ubezpieczeniach na starość i na wypadek niezdolności do pracy, w ubezpieczeniu od wypadków robotnicy prawie żadnego nie mają wpływu ani udziału. Ani na ubezpieczenie ani w zarządzie instytucyi czyli innemi słowy rząd buduje sobie znowu nową i olbrzymią twierdzę biurokratyzmu. I to jest najgłówniejszy zarzut, jaki podnieść należy przeciwko nowemu projektowi. Jeżeli kasy chorych wskutek wadliwej organizacyi stały się szańcami obronnemi socyalizmu, to rzeczą ustawodawstwa i rządu będzie osadzić je na gruncie neutralnym, żeby mogły wszystkim służyć i dbać o dobro wszystkich. Przedłożenie też zdaje się mieć to na myśli, gdy mówi w motywach ustawy: »Utorować drogę do (pokojowego) współdziałania jest właśnie zadaniem autonomii w dziedzinie ubezpieczenia robotniczego. Zadaniu temu, jak się spodziewać należy, władza autonomiczna w wyższym stopniu odpowiedzieć będzie mogła, gdy równe grupy interesowanych, przy załatwianiu wszystkich spraw z konieczności zmuszone iść razem, dojdą do przekonania, że dobroczynna praca społeczna to grunt neutralny, na którym mimo wszystkie przeciwieństwa partyjne, wspólna i spokojna praca jest możliwa«. Ale też wytworzenie warunków, zapewniających równowagę grupom interesowanym i umożliwiającym im wspólną pracę, oraz czujna kontrola nad tem, żeby instytucye te stosownie do statutu wyłącznie tylko dobro własne i ogółu miały na oku — oto wszystko, co rząd w tym kierunku uczynić może i powinien.

Co się tyczy judykatury projekt rozróżnia sprawy publiczno-prawnej i prywatno-prawnej natury. Pierwsze rozstrzygać mają władze polityczne, drugie sądy rozjemcze. Sfery zaś kompetencyi rozgranicza projekt w ten sposób, że wylicza wszystkie wypadki podpadające pod jurysdykcyę sądów rozjemczych. Władze poli-

tyczne rozstrzygają spory w obrębie zakresu władzy swojej według organizacyi ubezpieczeń. I tak starostwa rozstrzygać będą sprawy wchodzące w zakres kas chorych bez względu na to, czy sprawy te dotyczą ubezpieczenia od choroby, od wypadków czy też ubezpieczenia na starość. Analogicznie rozciąga się kompetencya namiestnictwa i ministerstwa spraw wewnętrznych.

Ale oprócz spraw publiczno-prawnych przydzielono jeszcze starostwom z dziedziny spraw prywatno-prawnych sporne pretensye dotyczące zapomóg chorobowych. Decydującemi były tu przedewszystkiem dwa powody, mówi projekt. Naprzód wydaje się nieodpowiedniem sprawy drobne i wymagające szybkiej decyzyi poruczać sądom rozjemczym. A powtóre władza polityczna wskutek znajomości lokalnych i osobistych z jednej strony dużo łatwiej się zoryentować a z drugiej wskutek prawa nadzorczego nad kasą tem prędzej sprzeczne interesy wyrównać może. Wyroki te nadto jako pochodzące od władzy nadzorczej i będące równocześnie dyrektywą dla kasy na przyszłość sprawią i to, że liczba sporów pomniejszać się będzie. Rozumowanie najsłuszniejsze, gdyby tylko władza polityczna była niezawisłą władzą sądowniczą.

Sądy rozjemcze, które mają rozstrzygać we wszystkich działach ubezpieczenia w sporach pomiędzy ubezpieczonymi a instytucyami, składać się będą z sędziego i dwu assesorów, mianowanych z pomiędzy przedsiębiorców i robotników. Sądy te zastąpić mają autonomiczne sądy rozjemcze przy kasach chorych. Oprócz powiatowych sądów rozjemczych ma nadto w Wiedniu urzędować sąd wyższy, składający się z przewodniczącego i 4 sędziów. Brak sądu takiego już oddawna dawał się dotkliwie we znaki robotnikom w sprawach rentowych, to też niewątpliwie strony interesowane powitają go z radością. Ale bo też »istnienie wyższej instancyi — mówi przedłożenie — daje zwyczajnie rękojmię gruntowniejszego rozstrząśnienia i rozeznania sprawy w pierwszej instancyi a z drugiej strony i jedyną możność naprawienia materyalnej krzywdy w konkretnym wypadku. Wyroki zaś zapadłe w wyższej instancyi służyć będą w przyszłych kwestyach spornych za dyrektywę i przyczynią się do ujednostajnienia i unormowania judykatury«. *Ks. Leonard Lipke.*

KONSTANTYN I METODYUSZ.

Ciąg dalszy.

IV.

Stara kościelna tradycya mówiła, że pierwszym, który zasiadał na biskupiej syrmijskiej stolicy był Andronik, jeden z siedemdziesięciu uczni Chrystusa. Jego następcą był teraz Metodyusz. Wrócił on z Rzymu w samych początkach 870 roku do pannońskiego księcia Kocela, znanego nam już żarliwego obrońcy słowiańskiej liturgii.

Pannonia zdawna już chrześcijańska nadawała się przedewszystkiem na siedzibę nowego arcybiskupa, w niej też zatrzymał się Metodyusz i jak sądzę, teraz dopiero zajął się wprowadzeniem na szerszą skalę rzymskiej, słowiańskiej liturgii [1], lu-

[1] Niestety nie dochowały się księgi liturgiczne ani greckie, ani łacińskie, przekładania obu naszych apostołów. Najstarsze kościelne słownictwo słowiańskie wiąże się jeszcze z dawniejszą niemiecką działalnością misyjną wśród Słowian w Karyntyi i Pannonii, mógł go więc już zużytkować Metodyusz. Co się tyczy t. z. Fragmentów Kijowskich, to z licznych, filologicznych hipotez, których ilość, wyznaję, może historyka wprowadzić w pewne zakłopotanie i wzbudzić sceptycyzm, sądzę, że najpewniej jeszcze będzie wybrać tę, według której Fragmenty owe powstały w X w. w Pannonii lub Dalmacyi. Ze swej strony tylko historyk musi zwrócić uwagę, że w X w. w Pannonii z pewnością nie mogła się już utrzymać msza słowiańska, w Dalmacyi zaś, jak wiemy ze źródeł, była ona w użyciu, por. Srjeznjesvkij Svědĕnija etc. Sb. Otd. rus. jazyka. T. XIV. 1876, str. 529 oraz Yagić Arch. XX, 1898.

dność bowiem Pannonii już była przyzwyczajoną do łacińskiego, zachodniego obrządku, zależało zaś nowemu pasterzowi, aby nie zrywać z tą dawną tradycyą. — I jeszcze o ważniejszej sprawie musiał obecnie myśleć Metodyusz i mieć ją na oku. Arcybiskup bez podległych mu biskupów nie tworzy jeszcze prowincyi kościelnej, należało tedy w najbliższej przyszłości wśród uczni ich wybrać, przysposobić i po niejakim czasie po sakrę z nimi razem do Rzymu podążyć.

Obaj słowiańscy książęta, a przedewszystkiem sam Metodyusz myśleli, że się już spełniają wszystkie dane ich i gorące pragnienia. Było przecież do tego tak blizko. Rzeczywistość tymczasem umie być bezwzględną i umie niweczyć najlepiej obmyślane plany i zamiary, bezwzględną się też okazała wobec mądrze obmyślanego i przeprowadzonego planu wznowienia niezależnej pannońskiej dyecezyi. Rozbiła ona wszystko szybko i bez wielkiego wysiłku. Dlaczego się tak stało? Zaraz zobaczymy.

To co się dotychczas działo, działo się oczywiście wbrew woli i bez wiedzy króla Ludwika i do żywego dotkniętych i rozjątrzonych biskupów bawarskich, z arcybiskupem salzburskim, Adaliuszem, na czele.

Hadryan II, Metodyusz, Rościsław i Kocel działali tu sami i na własną rękę — inaczej być nie mogło. Książę Kocel po powrocie »arcybiskupa« Metodyusza z Rzymu, był pewniejszym siebie i spokojniejszym — stała przecież za nimi Stolica Apostolska — a kto wie zresztą czy podówczas właśnie nie snuł Kocel planów, że się wyzwoli z pod ciążącej na nim niemieckiej zwierzchności. To czego pragniemy gorąco, często się nam bliższem wydaje. Coś podobnego mogło się stać z Kocelem, w rzeczywistości bowiem niezawisłość ta była dalszą niż się na razie mogło wydawać. Tymczasem Rościsław, władca rozległego państwa, był już oddawna niezawisłym faktycznie; on więc z konieczności musiał się stać podporą i ostoją nowego słowiańskiego kościoła. Bądź co bądź z nim się naprawdę liczył król Ludwik i u niego Metodyusz zawsze mógł znaleść skuteczną opiekę i schronienie, jeśliby zaszła kiedy tego potrzeba. Opiekę moralną, dawał Hadryan i potężne jeszcze, jak się zdawało papiestwo, ale opieki materyal-

nej mógł Rościsław tylko użyczyć, on jeden bowiem mógł jeszcze stawić czoło groźnemu przeciwnikowi Ludwikowi Niemieckiemu. Groźny ten przeciwnik nie pojawiał się jakoś dotychczas, to też na razie bawarscy biskupi siedzieli cicho i przygotowywali na wszelki przypadek obronę — pisali memoryał do Stolicy Apostolskiej dowodzący praw Salzburga do Pannonii, który to memoryał jeszcze posiadamy [1]. Ta cisza, która pozornie panowała, była, jak często bywa, pozorną. Zbierała się groźna burza nad nowym słowiańskim kościołem, pojawienie się Ludwika i bawarskich biskupów miało być hasłem jej zerwania.

Nie zaraz wszakże do tego przyszło. Pytaliśmy się już kiedyś zdziwieni, jakim sposobem Kocel powolny i potulny lennik króla Ludwika mógł w ciągu 866 i 867 roku tak jawnie i otwarcie zrywać z arcybiskupem salzburskim i stać się opiekunem dwóch greckich intruzów, którzy nieśli z sobą niepraktykowane i nieuznawane kościelne zwyczaje? Odpowiedź na to mogły dać tylko ówczesne polityczne stosunki. Pan i zwierzchnik księcia Kocela, Ludwik Niemiecki, był podówczas gdzieindziej i czem innem zajęty. Walczył i godził się z buntującymi się synami, Kocel więc miał wolniejsze ręce. Podobnie rzeczy się miały w 869 r., kiedy znowu Metodyusz do Pannonii wrócił. Najpierw zaprzątała króla Ludwika sprawa przewidywanego podziału państwa Lotara, a oprócz tego powstanie Słowian: Obotrytów, Czechów i naszego Rościsława. Walka ze Słowianami okazała się trudną a jej wynik nie tak znowu dla Ludwika stanowczy, a w każdym razie

---

[1] De Conversione Bogoariorum. M. G. H. SS. XI ed. Wattenbach. Wzgląd że Metodyusz nazwany jest tam »quidam Graecus« nie przeczy bynajmniej temu, że ów memoryał mógł być wówczas redagowany. Piszący mógł wyrażać w ten sposób swe lekceważenie. Zwrot ten zresztą odnosi się widocznie do czasu, kiedy Metodyusz nie był jeszcze biskupem. Nasunie się też uwaga co do »Libellus de Conversione«, a mianowicie: jest ono jakby niedokończonem. Po słowach: Hoc enim ibi observatum fuit usque dum nova orta est doctrina Methodii philosophi, możnaby oczekiwać opowiadania co zaszło dalej, tymczasem na tem wszystko się urywa, może dla tego, że nie było to już potrzebnem? Zwracam też uwagę, że wzmianka o Metodyuszu jako wynalazcy pisma słowiańskiego w rozdziale XII-ym musi się odnosić do Konstantyna.

drogo okupiony [1]. Na domiar złego Ludwik w sierpniu 869 r. obłożnie zachorował, dzielił już nawet między różne klasztory swój królewski skarbiec — co było złym znakiem. Wojnę też z Rościsławem kończyć musieli synowie — ale i oni stanowczym wynikiem poszczycić się nie mogli. Dopiero w początkach 870 r. zaczął się Ludwik podnosić z owej ciężkiej choroby, ale zaraz czekały go nowe trudy i nowe zawikłania. Choroba istotnie wyjątkowo złą wybrała chwilę! Właśnie w 869 roku nastąpił dawniej przewidywany zgon Lotara. O jego spuściznę Lotaryngią wybuchł spór między Ludwikiem Niemieckim a Karolem Łysym, który chciał sam wszystko zagarnąć. Cesarz Ludwik znowu, za którym stał papież Hadryan II, dopominał się o jej zwrot, był bowiem bratem zmarłego. Ludwikowi Niemieckiemu tak o pośpiech chodziło i tak chwila była ważną, Karol Łysy bowiem wszystko już zagarniał, że choć w lipcu 870 r. złamał Ludwik dwa żebra, przecież musiał zdrowego udawać i dopiero w sierpniu poddał się ciężkiej i niebezpiecznej operacyi! Czyż się więc wobec tego wszystkiego dziwić można, że Kocel odważył się pannońskiego arcybiskupa i papieskiego legata »ad gentes« nie tylko na swym dworze gościć, lecz uważać za swego kościelnego zwierzchnika, wszędzie popierać i swą opieką otaczać?

Istotnie, trudno było wymarzyć nieledwie pomyślniejszy zbieg wypadków. Umożliwił on to co się stało dotychczas, ale niestety, nie zapewniał przyszłości, to bowiem, że król Ludwik był chory lub sprawą lotaryngską zajęty, było dobrem na bieżącą chwilę ale nie przesądzało, czy później, skoro wyzdrowieje i wszystko pomyślnie załatwi, nie wyrośnie odrazu na groźnego przeciwnika,— a co wtedy nastąpi?

Odpowiedź na to pytanie zależała od tego czy Metodyusz, Kocel i Rościsław zdołali się zabezpieczyć i do walki nieuniknionej przygotować. Musieli ją bowiem przewidywać! Otóż nie tylko że się nie wzmogli na siłach, lecz przeciwnie, ponieśli klęskę, utracili bowiem Rościsława. Właśnie w 870 roku na wiosnę nagle i niespodziewanie nastąpił jego upadek wśród tragicznych

[1] Annales Hincmari ed. ad usum schol: str. 106.

okoliczności. Rościsław padł ofiarą jednej z tych częstych domowych waśni w młodych państwach słowiańskich. Było zwykłą a krótkowidzącą polityką dzielnicowych książąt wiązać się z wrogiem zwierzchniego księcia, choćby ten sprzymierzeniec był i wrogiem własnym. Tak i Świętopełk, synowiec Rościsławów, począł wchodzić przeciw stryjowi w tajemne konszachty z Karlomanem, synem króla Ludwika Niemieckiego, poddał mu się nawet niepomny, że sam niedawno za niezależność Moraw wojnę z nim prowadził. Snać chciał Rościsław grożące niebezpieczeństwo uprzedzić i zgotował synowcowi jakąś zasadzkę, której on wszelako uniknął. Mniej atoli szczęśliwym był sam Rościsław, wpadł bowiem w ręce Świętopełka, który go nie omieszkał wydać Karlomanowi, — ale się przeliczył w swych rachubach! Stracił na zdradzie a nic nie zyskał! Karloman bowiem wkroczył w maju 870 r. na Morawy, które bez oporu zajął i wcale ich nie myślał Świętopełkowi oddawać, czemu się dziwić tak dalece nie można. Nie był to bowiem zbyt pewny sprzymierzeniec i stronnik. Co więcej pozbawił go Karlman własnej dzielnicy, na swój dwór sprowadził i przetrzymał w tej przymusowej gościnie.

Do ostatecznej walki o kościół słowiański stanęli tedy Metodyusz, za którym stał papież, — Kocela już nawet liczyć niepodobna, — i Ludwik Niemiecki wraz z episkopatem bawarskim. Wybuchła ona z chwilą, kiedy Ludwik wrócił do Bawaryi, co nastąpiło jesienią 870 roku, wracał zaś silniejszy niż kiedykolwiek. Mimo bowiem protestów krzywdzonego cesarza Ludwika oraz jego protektora papieża Hadryana II podzielił się on z Karolem Łysym Lotaryngią. Teraz przyszła kolej na kościelne stosunki bawarskie i sprawę więzionego Rościsława. Biskupi bawarscy dawno już do żywego poruszeni przekroczeniem granic salzburskiej dyecezyi zawezwali Metodyusza w listopadzie 870 r. na synod do Regensburga, dokąd podążył król Ludwik i liczni świeccy panowie [1]. Metodyusz się nań także stawił. Żywot ogólnie tylko o tem wszystkiem wspomina. Oto wiecznie zazdrośny wróg ludzi i prawdy, — oczywiście dyabeł, podburzył serce wroga króla,

[1] Dümmler. Op. cit. II². str. 300.

Moraw t. j. Ludwika, istotnie Rościsławowego wroga, i wszystkich biskupów [1] przeciw Świętemu. Zaczęli mu oni czynić wyrzuty, że w ich granicach naucza, na co im Metodyusz odpowiedział: gdybym był wiedział, że tak jest, odszedłbym, lecz w dziedzinie świętego Piotra nauczam, a jeśliście wy, chciwością wiedzeni, przeciw dawnym kanonom dawne granice przekroczyli, baczcie i uważajcie na to pilnie, abyście nie stali się podobni tym, którzy chcą przebić swem ciemieniem z kości górę żelazną. Spór był długi i zacięty; obie strony nie jednakich wszelako używały argumentów. Metodyusz walczył, jak zwykle walczą ci, którzy mają słuszność za sobą i których siła polega na tem przeświadczeniu. Biskupi bawarscy zgoła inaczej sobie poczynali: dla nich sprawa była z góry przesądzoną, o tem nie wątpili, mieli w każdym razie materyalną siłę za sobą; ale jak to często bywa, chcieli i przekonać, a raczej wymusić przyznanie się do winy tego, którego bezprawnie sądzili. To im się jednak nie udawało. Argumenty teologiczne Metodyusza były bądź co bądź lepsze i silniejsze i wiedza głębszą, a co ważniejsze: nie dał się on zastraszyć i, jak mówi żywot, czekał ze spokojem niesprawiedliwego wyroku, wszystko przenieść gotowy. To jego zachowanie musiało doprowadzać do ostateczności biskupów bawarskich, miotali się też oni mimo siły — bezsilni! Jeden z nich nawet — ów niedoszły misyonarz Bulgarów Ermanryk Passawski chciał się rzucić na Metodyusza z batem, który widocznie przywykł był w każdej okazyi zawsze z sobą nosić. Wreszcie Adalwin arcybiskup salzburski, ów Ermanryk i Anno Fryzyngeński oraz zdaje się biskup z Seben (Brixen) poszli na ostateczną naradę. Nim Metodyuszowi ogłoszono wyrok, długo musiał nań czekać na śniegu i mrozie, aż wreszcie doczekał się jego obwieszczenia: został on skazany

[1] Żywot § IX. Tekst ma: vůzdviže sirdice vragou moraviskago Korolja na ni sů vsjěmi ěpiskoupy. Że tu mowa o Ludwiku a nie o Świętopełku nie ulega dla mnie kwestyi. I ów wróg morawskiego króla i biskupi są wymienieni razem. Są to więc biskupi Ludwika, innych przecież być nie mogło. I ów docinek, aby już nie dręczyli dłużej Metodyusza, bo się poci, jak gdyby był w piecu, także do Ludwika odnieść najłatwiej. Świętopełk wówczas nie panował zresztą nad Morawami.

na zamknięcie w klasztornem więzieniu a tem samem i na odsunięcie od sprawowania funkcyi kościelnych. Na tem samem zgromadzeniu król Ludwik, panowie świeccy — i obecni Słowianie, oczywiście z Moraw, skazali na śmierć Rościsława, Ludwik jednak litością wiedziony kazał go tylko oślepić i zamknąć w klasztorze, gdzie też zapomniany życia dokonał.

Taki sąd, jaki się nad Metodyuszem odbył i taki wyrok jaki nań zapadł, muszą być zawsze niesprawiedliwe. To jasne! Lecz o jedno zapytać się godzi: czy miał on choć pozory prawa przynajmniej? Otóż i to nawet nie! Sąd nad Metodyuszem nie był wcale odosobnionym wypadkiem, mamy więcej podobnych przykładów z tej epoki i to bardzo głośnych. Pierwszy z nich jest to słynna depozycya biskupa Soissons Rothada, drugi, depozycya Hinkmara biskupa z Laon. Poruszały obie te sprawy cały Zachód ówczesny. Stolica Apostolska, słynny arcybiskup z Reims Hinkmar, Karol Łysy, wszyscy brali czynny w nich udział, miały one bowiem ogólne znaczenie i budziły ogólny interes. Chodziło papiestwu wtedy o rzecz tak doniosłą, jak o złamanie praw i uroszczeń metropolitów, i o zapewnienie sobie juryzdykcyi nad biskupami. Walkę toczyli potężni przeciwnicy: z jednej strony ten sam arcybiskup Hinkmar a z drugiej Mikołaj I i jego następcy. Ośm lat ciągnęła się pierwsza sprawa. Napróżno żelaznej woli i niepospolitego rozumu Hinkmar zwoływał dwukrotnie synody, na których deponował Rothada, napróżno go więził czas jakiś, przecież Mikołaj postawił na swojem; Rothad w Rzymie u świętego Piotra uroczyście został uniewinnionym, papież sam wstąpił na ambonę i miał do zebranego ludu kazanie, w którem wyłuszczył rzecz całą. Sprawa druga Hinkmara z Laon rodzonego synowca arcybiskupa trwała dłużej jeszcze, — nie po myśli jednak Rzymu się skończyła. Dlaczego? Rzecz prosta: Mikołaj I umarł a Hinkmar został, przeczekał i rozpoczął walkę na nowo z większymi widokami powodzenia. I tym razem synod dwukrotnie skazywał Hinkmara z Laon, który się do Rzymu odwołał. Hadryan II rozpoczął tak samo jak jego poprzednik i z tą samą wyniosłością groził i wzywał przeciwników do uległości, w końcu jednak ustąpił i to, jak zobaczymy nie bez podejrzeń, że po-

dwójną grę prowadził. Jan VIII nawet wyrok zatwierdził; oślepiony Hinkmar z Laon umarł w więzieniu klasztornem. O ileż więc nawet Metodyusz mógł się czuć szczęśliwszym!

Stosy listów papieży i Hinkmara, całe traktaty, pisane to przez arcybiskupa z Reims, to przez oskarżonych, pozwalają wglądnąć bliżej w obie te sprawy. Jak czasem bywa obydwie strony powoływały się na te same świadectwa i niemi walczyły. Trzy kanony synodu w Sardica, który się odbył w 344 roku, były główną bronią papieży [1]. Według najczęstszej interpretacyi Stolicy Apostolskiej w IX wieku synod prowincyonalny (z jednej prowincyi kościelnej) mógł sądzić biskupa, ale biskup miał zawsze prawo odwołania się do Rzymu, a biskupi obowiązek przedłożenia sprawy, Papież zaś sądził sam nie odsyłając zazwyczaj apelującego po raz drugi do generalnego synodu (z kilku prowincyi), a wreszcie aż do roztrzygnięcia sprawy przez sąd ostatniej instancyi wyrok nie miał być prawomocnym. Kanony te wszakże przedstawiały wiele wątpliwych punktów, inaczej je też interpretowali przeciwnicy [2]: według nich o apelacyi decydowali sami biskupi zasiadający na prowincyonalnym synodzie, ci sami sędziowie mogli zasiadać w drugim sądzie, nakoniec od sądu, wybranego przez obie strony, nie było apelacyi. Papieża zawiadamiano i przesyłano mu wyrok [3]. Wyrok zaś miał być prawomocnym t. j. miał być wykonanym, np. jeśli o depozycyą chodziło. Tak się przedstawia bardzo pobieżnie przedstawiony materyał prawny, na którym się obie strony opierały pomnażając go jeszcze ile się dało. Hinkmar np. przytaczał uchwały synodu Kartagińskiego z 414 roku, papież różne depesze dawniejszych papieży. Jedno wszakże w tem wszystkiem uderza: oto ani papież nie przeczył

---

[1] Mansi III, str. 10 i 23. Can. III, IV, V, VII. Hefele: Conciliengeschichte, T. I, str. 555. Duchesne. Liber Pontificalis I, str. 162. Uznaję kanony synodu w Sardica za autentyczne, choćby wszakże nawet nimi nie były, to dla nas nie ma to znaczenia, były bowiem uznawane za takie.

[2] Hefele. Op. cit I, str. 564.

[3] Tak było przynajmniej w sprawie Rothada i Hinkmara z Laon. Por. Migne. CXXVI, str 29. str. 62, 63, str. 234, 47 i 48, str. 306. Mansi XV, str. 681 i 685, a także i Schrörs: Hinkmar w Reims 1884. str. 343.

temu, że synod prowincyonalny ma prawo sądzenia biskupa [1] ani Hinkmar nie przeczył w zasadzie przynajmniej prawa apelacyi do papieża, różnymi tylko wybiegami i prawnymi kruczkami starał się ją zawsze udaremnić [2].

Z tego widać jasno, że przenosząc się nawet na stanowisko Hinkmara biskupi bawarscy popełniali bezprawie sądząc tak Metodyusza jak sądzili, nie zwoływali bowiem po raz drugi synodu, nie dopuścili też do apelacyi i zdołali nawet tak go gdzieś ukryć, że nikt w Rzymie nie wiedział, gdzie się on znajduje. Cały sąd więc powinien się był inaczej odbyć, jeśliby Metodyusz był tylko biskupem, a on był przecież arcybiskupem, metropolitą, przez papieża wyświęconym, i to zmieniało rzecz całą.

Istotnie, gdyby Metodyusz był biskupem, kruczki prawne byłyby się mogły znaleść np. tak ważna kwestya prawomocności wyroku była, jak wiemy, odmiennie interpretowaną, słowem, sąd nad nim byłby był zawsze bezprawiem lecz mniejszem, ponieważ zaś był on arcybiskupem, więc i cienia prawa sąd ów i wyrok nie mógł mieć za sobą! Dlatego też widzimy, że Jan VIII tak wielki nacisk na to kładzie.

Sąd nad metropolitami należał bezspornie do papieża, jako do najwyższej instancyi; temu i sam Hinkmar nie mógł zaprzeczyć i nie zaprzeczył też, jak wiemy, wcale. Zasłaniał się on np. skoro chodziło o Rothada, że sprawy między biskupami nie należą do spraw ważniejszych, nie są t. z. »causae majores« [3], a więc tem samem do papieża jako patryarchy przedewszystkiem należą

[1] Mansi XV, str. 400. Ep. Nicolai p. ad Ludovicum Imperatorem. Robił tylko papież czasem zastrzeżenia co do liczby biskupów, którzy mieli sądzić, miało ich być mianowicie co najmniej dwunastu. Por. Mansi XV, str. 394, n. 22. Nicolai pp. Epistola ad Salomonem Regem Brittonum. Przyjmował to i Hinkmar.

[2] Migne CXXVI. P. L. Hincmari Rhemensis. Ep. Opera str. 28, 234, 306. Podobnie Schrörs str. 263 i 347 i biskupi na Synodzie w Doozy 871 r., nie zaprzeczają Hinkmarowi z Laon prawa apelacyi do Stolicy Apostolskiej. Mansi XVI, str. 642. Piszą tylko że: irregulariter sedem apostolicam apellavit, omawiają sposób samej apelacyi. Mansi XVI, str. 642 i 680 por. też Migne CXXIV. P. L. Hincmari Laudunensis Episcopi Opera str. 1048. Mansi XV Libellus proclamationis Rothadi str. 681—701,

[3] Mansi XV, str. 697.

sprawy toczące się między arcybiskupami, bo te były przecież największej wagi [1]. W całym też sporze o jurysdykcyą biskupów, metropolitów i papieży hierarchiczność odgrywała pierwszorzędną rolę. W interesie samego Hinkmara np. leżało, aby ją zachować nienaruszoną, sąd zaś nad Metodyuszem był jej zupełnem i jawnem pogwałceniem, a co zatem idzie i większą jeszcze dla Stolicy Apostolskiej zniewagą [2].

Razem z Metodyuszem i Rościsławem nagle, za pierwszem silnem wstrząśnieniem runął odrazu cały mądrze obmyślany niezależny kościół słowiański. Nie wytrzymał on pierwszej próby i upadł jednocześnie z pierwszem znaczniejszem słowiańskiem państwem — Morawami. Kocel zalękniony musiał teraz poddać się czemprędzej salzburskiemu arcybiskupowi i wszystko wróciło znowu do dawnego stanu: w jednym tylko klasztorze bawarskim przebywał zamknięty oślepiony Rościsław władca Moraw a w drugim Metodyusz, arcybiskup Pannonii i legat papieski. W tym nagłym upadku Metodyusza jedno wszakże dziwnie zastanawiać musi: tak wiele mówiliśmy o potędze, o znaczeniu i sile moralnej papiestwa — jakże więc się to stać mogło, że duchowieństwo bawarskie podniosło teraz rękę na wyświęconego w Rzymie arcybiskupa? Zrozumiałem jest, że Ludwik Niemiecki mógł sobie tak łatwo poradzić z księciem Kocelem, że go do porządku przywołał, dobrze jeszcze, że księstwa nie pozbawił i nie skazał na wygnanie! Ale jakimże sposobem Ludwik i jego biskupi targnęli się

---

[1] Migne CXXVI, str. 29. A także Schrörs 264.

[2] Hauck w swojej Kirchengeschichte Deutschlands II, str. 702 zupełnie dowolnie przypuszcza, że obie strony apelowały do Rzymu, utrzymuje też, że wyrok synodu »konnte nicht zweifelhaft sein(!). Method wurde in aller Form abgesetzt«. Takim wywodom wręcz przeczą źródła. Arcybiskup Adalwin wcale nie apelował, zupełnie się to jasno okazuje z Commonitorium a jeszcze wyraźniej z listu Jana VIII do Annona. Oto słowa papieża: Quin etiam petente illo, sacris canonibus edocentibus, ipsius sancte sedis iudicium concedi minime permisisti, sed in eum — quasi sententiam protulisti. Ten sam Annno przecież podczas swojej bytności w Rzymie wyparł się nawet, że zna Metodyusza! Papież mu zarzuca: sed Rome, cum super eo interrogaveris a nostris, te illum nosse mentiendo negasti.

na Metodyusza, którego osądzili bezprawnie i do więzienia wtrącili? Otóż tu kryje się właściwy powód upadku Metodyusza.

Bezsilne a w znacznej mierze podbite już Morawy i słabe lenne księstwo Kocela dostateczną obroną dla Metodyusza być nie mogły — to rzecz jasna. Po raz pierwszy może zemścił się na Słowianach brak silniejszej organizacyi państwowej, na którą zdobyć się nie mogli, ale przecież zostawało papiestwo — czy i ono więc okazało się teraz za słabe, aby obronić przed episkopatem bawarskim i Ludwikiem Niemieckim arcybiskupa Metodyusza? Kocel i Metodyusz głównie, a nawet jedynie opierali się na Stolicy Apostolskiej, na jej znaczeniu i powadze. Przecież Metodyusz dumnie odpowiadał swym oskarżycielom i sędziom, że chcą przebić ciemieniem górę żelazną, do której przyrównywał papiestwo.

Obaj twórcy słowiańskiego kościoła zawiedli się widocznie. Ów niespożytej siły czynnik, papiestwo nadspodziewanie okazało się bezsilne — tego zaś przewidzieć i obliczyć ani Metodyusz, ani Kocel nie mogli. Co więcej, sądzę że nie przewidział sam papież Hadryan II, który nie zdał sobie należycie sprawy, że podejmuje dzieło doniosłe i ważne, ale że przeprowadzić go nie zdoła, bo na to sił mu już nie starczy. Wszyscy więc, rzec można, przeliczyli się a odpokutował tę pomyłkę przedewszystkiem Metodyusz! Tego zwrotu i tej zmiany i najlepsi politycy nie byliby w stanie przewidzieć. Były to pierwsze lata rządów Hadryana II. Następca Mikołaja z jego przewodnią myślą, z jego zasadami nie zrywał, przeciwnie prowadził je i snuł dalej. Wrogiej reakcyi przeciw pamięci Mikołaja I-go oparł się zwycięsko [1]. Na zewnątrz wszystko też pozostało niezmienionem, ale przecież zmianom uległo i to bardzo ważnym. Zabrakło wielkiego papieża, o którym pisał podziwu pełen współczesny kronikarz, że od czasów Grzegorza Wielkiego żaden papież równy mu w Rzymie nie zasiadł na Piotrowej Stolicy. Papież ów, ciągnie on dalej, królom i tyranom rozkazywał i wynoszony był nad nich jakoby władca

[1] Mansi XV, str. 453.

nad ziemskim okręgiem[1]. Miało się wszakże pokazać, że choć w spuściźnie zostało jego dzieło, przecież utrzymać je na tych wyżynach niezmiernie było trudno, dzieje też papiestwa po zgonie Mikołaja I-go są dziejami powolnego, lecz stałego chylenia się do upadku. Wschód mimo depozycyi Focyusza poczynał zawodzić. Bardzo powoli lecz stale cesarstwo wschodnie oddalało się od Rzymu i od Zachodu. Była to dziejowa konieczność, której trudno było zaradzić. Pierwszorzędnej wagi sprawa nawrócenia Bulgarów niekorzystny wzięła obrót dla Rzymu zaraz na synodzie w Konstantynopolu 870 roku. Sam Borys-Michał za Carogrodem się oświadczył, nawet patryarcha Ignacy zawiódł oczekiwania Hadryana II-go, co prawda, dodać wypada: nie bardzo mógł inaczej postąpić.

Na Zachodzie coraz to trudniej przychodziło papiestwu opanować zmienne i powikłane stosunki. Dla Lotara okazał się Hadryan nadspodziewanie wyrozumiałym, to jego postępowanie nie licowało z postępowaniem Mikołaja I-go, który pozorną obietnicą zerwania z Waldradą nie byłby się był nigdy zadowolnił. I po śmierci Lotara wiemy, że nie powiodło się Hadryanowi według swej myśli pokierować sprawą podziału Lotaryngii — protegowany papieża cesarz Ludwik II musiał z niczem odejść. Jedynie lepiej się powiodła Hadryanowi II-mu polityka wobec Karola Łysego, do którego się ostatecznie zwrócił papież z obawy przed królem Ludwikiem Niemieckim, który chciał posiąć koronę cesarską po przewidywanym bezpotomnym zgonie cesarza Ludwika II-go. Papież obrał tu właściwą drogę: zwrócił się do francuskiej linii Karolingów przeciw starszej niemieckiej. Polityka taka była dobra, szkoda jednak, że nie mógł uniknąć i tutaj upokorzenia, które mu co prawda, w znacznej mierze mądry i przebiegły Hinkmar zgotował. Sędziwy i bogobojny Hadryan walczył w imię zasad Mikołaja, których był wiernym i stałym wyznawcą, ale walczył nieszczęśliwie. Prawie zawsze w ostatniej chwili, kiedy wypadało skupić wszystkie siły i powziąć ostatecznie postano-

[1] Reginonis Chronicon rok 868.

wienie, zbrakło mu energii, chwiał się nieraz i cofał, a w tych razach cofać się nie wolno.

To położenie papiestwa jest kluczem sytuacyi, jeśli o Metodyusza chodzi. Dziwić się też nie będziemy, iż i w tej sprawie Hadryan na swojem nie postawił. I po nieprawnem skazaniu i uwięzieniu Metodyusza słał sędziwy papież posłów i listy [1], nie zdołał go przecież wydobyć z więzienia. Znaczną rolę odegrały w tem i polityczne stosunki, naprężone jak wiemy, a nawet często nieprzyjazne między Ludwikiem a Kuryą rzymską, która Karola Łysego popierała.

Szczęśliwszym był dopiero następca Hadryana II-go Jan VIII, który w listopadzie 872 roku został obrany papieżem. I teraz znowu polityka odegrała bardzo znaczną rolę. Na wiosnę tego samego (872) roku, a więc jeszcze za życia Hadryana II-go cesarz Ludwik umawiał się z królem Ludwikiem Niemieckim o włoską sukcesyą [2]. Bezdzietny cesarz pragnął mieć spadkobiercą jednego z synów Ludwika; chodziło o pozyskanie dla tych planów papieża, z którym należało się liczyć. To też w polityce Ludwika Niemieckiego względem Stolicy Apostolskiej musiał się objawić korzystniejszy zwrot — a z nim zaświtała i nadzieja uwolnienia Metodyusza. Istotnie zaświtała lecz nie zaraz zajaśniała! Widocznie Jan VIII nie przestawał się bardzo energicznie upominać o bezprawnie uwięzionego arcybiskupa Pannonii. Przedkładał w osobnem piśmie Ludwikowi Niemieckiemu i dowodził, że dyecezya pannońska należała zawsze do Rzymu i nie przestała należeć [3], pisał również Jan VIII i do arcybiskupa Adalwina polecając, aby on, za którego przyczyną Metodyusz był złożony, teraz go napowrót do dyecezyi wprowadził. Wszystko się to działo w początkach 873 roku, w każdym razie przed śmiercią arcybiskupa salzburskiego, która nastąpiła w połowie maja tego roku [4].

---

[1] Commonitorium: apostolicam sedem per ipsum triennium plurimis minis et epistolis proclamantem.

[2] Dümmler. II², 340.

[3] Pastrnek. n. 2, str. 250. Commonitorium. G. Friedrich n. 13 i 18.

[4] Zwracam wszelako uwagę, że wiadomość o niej mogła dojść do Rzymu o jakieś trzy do czterech tygodni później.

Biskupi bawarscy musieli się wdać tym razem w jakieś rokowania z Kuryą — okazali się skłonniejsi do zgody. Energiczne wystąpienie papieża odniosło skutek, bądź co bądź nie można było dłużej wszelkim prawom Stolicy Apostolskiej urągać — i Ludwik Niemiecki zresztą nie stał już za nimi tak silnie i on się teraz okazywał bardziej pojednawczym z przyczyn, które znamy, a które oddziaływać nie przestały [1]. Dla ostatecznego załatwienia sprawy Metodyusza i pannońskiej dyecezyi wysłał papież legata Pawła biskupa z Ankony z daleko sięgającą władzą i pełnomocnictwem, które legat wiózł z sobą do Bawaryi. Na krótko przed jego przybyciem a może nawet i z niem równocześnie, Metodyusz został wypuszczony z więzienia, legat go zaś przywrócił do dawnej godności. Lecz zaszła jedna bardzo ważna zmiana. Nie wrócił on już więcej do księcia Kocela do Pannonii, grozili mu bowiem Niemcy: »jeśli u ciebie osiędzie Metodyusz, nie wyjdzie ci to na dobre« [2]. Umarł zresztą wkrótce ten jego wierny przyjaciel, księstwo zaś pannońskie zostało do Karyntyi wcielone.

Gdzież tedy miał osiąść Metodyusz?

Jasnem jest, że ani arcybiskup salzburski, ani król Ludwik Niemiecki do oddania Pannonii Metodyuszowi w żaden sposób dopuścić nie mogli — to byłaby zupełna przegrana — a na to byli za silni! Papież sam zresztą polecił swemu legatowi, aby odpowiedział biskupom bawarskim, gdyby chcieli wszcząć spór o granice dyecezyi [3]: nie po to tutaj przybyłem, aby rozsądzać spór o dyecezyę, lecz aby uwolnić i do godności przywrócić Metodyusza, któregoście przez trzy lata wbrew kanonom więzili [4].

---

[1] Dümmler II², str. 374. Zjazd w Weronie z 874 roku tego dowodzi. Był na nim obecny i Jan VIII. Nie sądzę tylko, aby wówczas omawiano sprawy kościelne Moraw jak chce Dümmler, były już one bowiem podówczas załatwione.

[2] Żywot § X. Nie sądzę, aby nawet .przez krótki czas Metodyusz mógł był bawić u Kocela. Według słów Żywotu Niemcy z góry mu przyjęcia Metodyusza wzbronili.

[3] Był on zresztą kłopotliwym dla samej Stolicy Apostolshiej. Por. Dümmler II², str. 378. Biskupi bawarscy mieli za sobą podstawy prawne.

[4] Commonitorium. Wiadomość Żywotu, który podaje dwa i pół lat, jest dokładniejszą choć się to dziwnem wydać może. Licząc mianowicie od

Widocznie do ostatecznego rozstrzygnięcia sprawy w Rzymie miała ta kwestya pozostawać w »formalnem« zawieszeniu. Być wszelako może, Jan VIII przewidywał, że rzecz cała nie pójdzie łatwo i że sama Pannonia będzie musiała odpaść od pannońskiej dyecezyi. Sądzę nawet, że musiał z góry już obmyślić i ułożyć plan dalszego działania. Widać to z listu, który pisał do księcia serbskiego Muntimira przed majem 873 r., w którym mu polecał i radził, aby powrócił do pannońskiej dyecezyi [1], ale to były dalsze i niepewne rzeczy! Najpilniejszem zaś było to: gdzie ma przenieść Metodyusz swoją stolicę, gdzie osiąść i działać? Na to była jedna tylko odpowiedź: oczywiście na Morawach, które należały przecież do pannońskiej dyecezyi. Papież już ten plan był ułożył w Rzymie, skoro w swej Instrukcyi poleca Pawłowi z Ankony, aby nie dawał wiary biskupom bawarskim, którzy utrzymują, że wojna i niepokoje »ani tobie ani Metodyuszowi nie pozwolą udać się do Świętopełka«, miał więc wyraźny z góry już ułożony zamiar tam Metodyusza osadzić. To zniewala nas do przypuszczenia, że już w Rzymie przed majem 873 r. prowadzono rokowania i obmyślano wszystko. Ale kto je prowadził, od kogo zapoczątkowanie wyszło? Świętopełk, do którego legat papieski wraz z Metodyuszem mieli się udać, był teraz w wojnie z Niemcami. Od chwili upadku Rościsława przechodził on różne koleje. Z początku jak wiemy przyjaciel Karlomana, później pozbawiony przez niego dzielnicy a nawet do więzienia wtrącony, dzięki nieopatrzności tegoż Karlomana, postawiony na czele bawarskiego wojska, które miało stłumić powstanie na Morawach, Niemców zdradził i Morawami zawładnął — a co ważniejsza w kraju zdołał się utrzymać. Nic nie sprawiła wyprawa 872 roku w maju. Niemcy wrócili z niej pobici. Świętopełk pozostał księciem dalej — trzeba się było już z tem zgodzić — obie zaś strony pragnęły pokoju. Pierwsze rokowania 873 w kwietniu się rozbiły wszakże i wojna trwała dalej [2], o niej to mówj Instrukcya papieska; do-

listopada 870 roku do maja 873 roku wypadnie dwa lata i sześć miesięcy. Por. też Huber: Geschichte Oesterreichs I, 106[1].

[1] Jaffe-Wattenbach: Regesta I n. 2973.

[2] Dümmler, II[2] str.

piero w maju 874 roku w Foraheim pokój został zawarty. Czy Świętopełk po owej szczęśliwej wojnie sam z własnej inicyatywy zwracał się do papieża z prośbą o przysłanie Metodego? O tem, wyznaję, bardzo wątpię. Prędzej Jan VIII zasięgnąwszy informacyi np. od księcia Kocela, który przecież musiał przewidywać wszystkie trudności, z tą propozycyą wystąpił, nim jeszcze Metodyusz wolność odzyskał. Świętopełk zaś w złych stosunkach z Niemcami, bez księży łacińskich t. jest niemieckich, których z kraju wypędził lub którzy sami z niego uszli, rad tę myśl pochwycił i papieża o przysłanie Metodyusza prosił. I Metodyusz znowu się na Morawach znalazł, wysłany przez papieża a z radością i czcią wielką znowu przez Morawian i samego Świętopełka przyjęty [1].

Nie było to wszakże zakończeniem sprawy! Pozostawał przecież sąd w Rzymie, na który wzywał Jan VIII biskupów bawarskich i Metodyusza — tam miały się obydwie strony bronić i tam wyrok ostateczny miał zapaść. Wszakże o to właśnie chodziło papieżowi, aby założona przez Metodyusza apelacya jeszcze na owym synodzie w 870 roku choć późno przecież została w czyn wprowadzoną. Zgodnie z kanonami, opierając się na Pseudo-Izydorze [2] żądał, jak wiemy, papież, aby pierwej przywrócono arcybiskpa Metodyusza do sprawowania kościelnych czynności i aby mu oddano jego dyecezyę. To przeprowadził jak wiemy — ale pozostawała jeszcze sprawa granic dyecezyi, — ów najsłabszy punkt zresztą w całej sprawie Metodyusza — z góry już niejako przesądzony, i oczyszczenie się z zarzutów stron obu.

---

[1] Tak interpretuję wiadomość Żywotu (§ x), który mówi, że Morawianie posłali do papieża po Metodyusza. Z punktu widzenia autora tak być mogło, z pewnością bowiem Świętopełk prosił papieża o niego, tylko według mnie była to już odpowiedź na propozycyę papieża. Na antagonizm z Niemcami nie kładłbym wyłącznego nacisku. Świętopełk przecież już w kwietniu 873 roku skłaniał się do pokoju z Ludwikiem i sam pośrednictwa szukał.

[2] Langen: Geschichte d. röm. Kirche III, str. 175. Zwracam uwagę, że w sporze o zasądzenie Rothada i Hinkmara Pseudo-Izydor nie odgrywał zbyt znacznej roli. Mogło się i w tym wypadku obejść bez niego. Por. Schrörs str. 266. Hauck. Op. cit. II², str. 542.

Jan VIII nie żartował. Legat Paweł z Ankony doręczył listy papieskie obu znanym nam już biskupom [1]. Ermanryk biskup passawski i Anno Fryzycyngeński mieli się stawić w Rzymie, aby odpowiadać za wszystko, czego się dopuścili względem Metodyusza. O wszystkiem Jan VIII pamiętał i wszystko wyliczał po kolei: rzucenie się na niego z batem, grożenie biciem, trzymanie na mrozie i śniegu, nie dopuszczenie do apelacyi ku zniewadze Stolicy Apostolskiej, jawne kłamstwo, którego się był Anno dopuścił — wszystko to papież wypominał i to wypominał z oburzeniem, nazywając wszystko po imieniu. Są w jego listach takie zwroty jak: srogość zwierzęca i złość i głupota. Ale co najważniejsza jest i następna klauzula: W razie nieposłuszeństwa wezwaniu mieli oni być obaj wyklęci [2] i to przez tyle lat, ile Metodyusza trzymali w więzieniu. I Metodyusz, w którego obronie Jan VIII sprawę podjął i którego bronić musiał, otrzymał także pismo papieskie [3]. Snać biskupi bawarscy musieli podnosić zarzuty już na synodzie przeciw mszy słowiańskiej, skoro teraz Jan VIII zabraniał mu jej odprawiać w języku barbarzyńskim, słowiańskim a nie po łacinie lub po grecku. Wszystkie te ważne sprawy czekały na rozstrzygnięcie w Rzymie. Potępienie bawarskich biskupów i uniewinnienie Metodyusza było pewnem — ale groziło mu teraz wznowienie raz już przecież rozstrzygniętej sprawy mszy słowiańskiej, a rzecz to była dla niego pierwszorzędnej doniosłości i wagi.

Każdy po tem wszystkiem zapytać musi: kiedyż skarżący i oskarżeni stawili się w Rzymie — co tam za wyrok zapadł — co ostatecznie postanowiono? Otóż ku wielkiemu zdziwieniu nic się nie stało: energiczne pisma papieskie pozostały pismami, czyn po nich nie nastąpił żaden. Żadna ze stron obu w Rzymie się

---

[1] Pastrnek str. 251, nn. 3 i 4. S. Friedrich 1, n. 19 i 21.

[2] List do Ermanoryka: Communione Chrisi misteriorum et consacerdotum tuorum te privamus. Do Annona: communicandi nullam habeas licentiam.

[3] Ep. Johannis p. ad Methodium n. 6. Friedrich n. 23. Unde iam prohibuimus litteris nostris per Paulum episcopum Anconitanum tibi directis ne in ea lingua (i. e. slavica) missarum solemnia celebrares.

nie stawiła, i nie zapadł tam żaden decydujący wyrok. Dlaczego się tak stało? Otóż dziwny zbieg okoliczności nie uniemożliwił, lecz wielce utrudnił wydanie wyroku. Umarł najpierw sam arcybiskup Adalwin, jak wiemy, następnie umarł w końcu 874 roku i ów zbyt krewki biskup Ermanryk, zabrakło więc dwóch oskarżonych. Jan VIII mógł wprawdzie pociągnąć do odpowiedzialności biskupa Annona, mógł sprawę mszy słowiańskiej rozpatrzeć ponownie i uznać ją lub potępić, wobec jednak i śmierci i prawdopodobnie dłuższej choroby owych dwóch biskupów traciła ona bądź co bądź na znaczeniu. Pozostawał wszelako Anno biskup Fryzyngeński. Dlaczego on z Metodyuszem się nie stawił? Na to jest odpowiedź. Papież mianowicie w swym liście do Annona mówi: Masz się stawić w Rzymie. Inaczej p o m i e s i ą c u w r z e ś n i u tak długo będziesz wyklęty, jak długo w nieposłuszeństwie względem nas trwać będziesz. Dlaczego od września ma to dopiero nastąpić? Inny list Jana VIII pisany przed wrześniem tegoż roku (873) do tegoż samego biskupa Annona pośrednio nas w tej mierze objaśnia. Papież posiadał w Bawaryi majątki [1], którymi zarządzał ten sam Anno i z których był obowiązany składać corocznie rachunki. Otóż w owym liście Jan VIII przypomina biskupowi, że ma sposobność stwierdzenia czynem swej wierności, o której w listach tylokrotnie zapewniał. Czyn ów to przysłanie zaległych dochodów, które Anno zebrał, jak sam donosi. Papież uprzedza, że już pisał do króla Ludwika oraz do książąt i biskupów włoskich, aby czuwali nad przewiezieniem owych pieniędzy. Wreszcie papież dodaje: możesz je przesłać lub sam przywieść w m i e s i ą c u w r z e ś n i u [2] przy-

[1] Riezler: Geschichte Bayerns I, str. 274 Köpke Dümmler: Otto der Grosse str. 332. W 972 przynosiły te majątki rocznie trzy funty srebra. Za Jana VIII o wiele więcej!

[2] Jaffe-Wattenbach, n. 2980. Migne CXXVI. Epistolae p. Johannis VIII n. 1. nihilque aliud superesse cognoscimus nisi ut aurum aliasque species quas te collegisse fateris simul cum praeteritae indictionis — sub omni plenitudinae nobis per totum septembrem futurae VII indictionis aut per temetipsum deferas aut transmittas, sciens quia si hoc condicto tempore redditus nobis non venerint nullius alterius, nisi tuae morosae negligentiae specialiter imputandum.

szłego roku. Sądzę że w tem również tkwi w znacznej mierze przyczyna dla której ostatecznie Jan VIII zatrzymał się i nie poszedł do samego końca w sprawie Metodyusza. Anno miał papieża w znacznej mierze w rękach, to też z pewnością ani przed wrześniem 873 r. ani przed wrześniem następnego roku nie był on sądzony, jeśli nawet sam ze swym złotem w Rzymie się zjawił. Papież podobnie zresztą jak w sprawie arcybiskupa kolońskiego, którego również bardzo energicznie do Rzymu wzywał, — ustąpił. Mógł on zresztą sobie mówić: najważniejsza rzecz się już stała. Metodyusz został uwolniony i w okrojonej co prawda dyecezyi pannońskiej znowu rządzi, a owych zatrzymanych nieprawnie dochodów potrzeba! Jan VIII obrócił je z pewnością na zbrojenia przeciw coraz groźniejszym Saracenom, przeciw którym musiano się koniecznie bronić. Myśl ta zresztą nie opuszczała już Jana VIII do końca życia pełnego zawodów. To były przyczyny, dla których niedoprowadzona do końca sprawa pozostała w zawieszeniu i co do granic dyecezyi — i co ważniejsze co do mszy słowiańskiej — że na tem zyskiwali bądź co bądź biskupi bawarscy a tracił Metodyusz, każdy łatwo odgadnie.

Lata przebyte w więzieniu w jakimś zapadłym bawarskim klasztorze były dla Metodyusza latami przełomu. Miał on nad czem rozmyślać i miał co rozpamiętywać. Upadek jego był tak nagły i tak niespodziewany i to właśnie w chwili, kiedy się zdawało, że wszystkie trudności są już pokonane, iż każdy musi się pytać zdziwiony, co było tego upadku przyczyną? Przedewszystkiem on sam musiał się nad tem głęboko zastanawiać. Wiemy, na kim się Metodyusz opierał, i wiemy, co go zawiodło. Wyszło na jaw, że Hadryan II — to nie Mikołaj I i że Stolica Apostolska nie jest w stanie obronić tego, którego wzięła pod swoją opieką. Wróg okazał się silniejszym; bawarscy biskupi i król Ludwik Niemiecki ostatecznie zwyciężyli, a on sam znalazł się w więzieniu. Teraz nastały wprawdzie pomyślniejsze czasy. Legat papieski wprowadził Metodyusza na Morawy i zda-

wało się, że przerwane dzieło znowu jak dawniej będzie można w pokoju prowadzić. Ale czy Metodyusz mógł przypuszczać że Stolica Apostolska będzie zawsze dość silna, aby się na niej oprzeć, jak na niewzruszonej »żelaznej opoce«? O tem należy wątpić. Niedawno przebyte koleje mocno podkopały tę wiarę u Metodyusza, a powiedzmy odrazu, taka bezwzględna wiara za czasów Jana VIII byłaby złudzeniem. Chylącego się coraz bardziej do upadku papiestwa nikt nie był w stanie podźwignąć. Czasy Mikołaja I wrócić już nie mogły. Z tego musieli sobie współcześni zdawać sprawę. Różnica była dla wszystkich zbyt widoczną.

Papiestwo pozostaje wówczas czynnikiem wielkiego znaczenia szczególniej na Zachodzie — ale się samo nie ma bardzo na kim oprzeć. Jan VIII popiera zawsze linię francuską Karolingów przeciw niemieckiej — i słusznie! Ale cóż kiedy ani jedna ani druga nie była dość silną, nikomu też podporą być nie mogła. Cesarstwo obu Karolów: Łysego i Otyłego obronić Rzymu nie jest w stanie. Zagrażają mu też Saraceni a dopuszczają się gwałtów włoscy książęta. Pokazało się, że osłabienie państwa frankońskiego po śmierci Karola W. umożliwiło papiestwu zajęcie dominującego stanowiska, ale zupełny upadek Karolingów, pociągnął za sobą i samo papiestwo. Wschód grecki wcale nie myślał trwać dłużej w tej roli, którą za Mikołaja I-go w znacznej mierze przybrał tylko wobec Rzymu. Bazyli Macedoński potężny i ufny w swe siły przywraca Focyusza po śmierci Ignacego, Jan VIII go zaś uznaje. Co więcej synod t. z. fociański 879 roku jest jaskrawym przykładem, jak dalece papież ustępuje ledwie ratując pozory a i to nie zawsze! Napróżno też śle on list za listem do króla Borysa, Bulgarya jest już bezpowrotnie straconą! Lepiej się mu powodzi w Kroacyi, gdzie rywalizuje z Grekami, ale i tam polityczna przewaga cesarstwa wschodniego nie dozwala utrwalić się rzymskim wpływom kościelnym. Jan VIII mimo tych wszystkich trudności w walce nie ustaje, wszystkiemu stawia czoło, ze wszystkiemi przeciwnościami się boryka, często zwycięża, ale częściej od nich jest zwyciężonym. Ostatecznie górować nad wypadkami i ludźmi już nie może, schodzi do nich

i coraz bardziej miesza się z nimi. A to miało po wszystkie czasy zawsze jedno niebezpieczeństwo a mianowicie: w takiej walce trzeba jednakiej broni co i przeciwnik używać. Jan VIII też zbyt wielu czyni obietnice. Bozon król prowancki, Karlman i brat jego Ludwik, acz niechętnie, wszyscy się po kolei zjawiają po to, aby się stać czas jakiś papieskimi kandydatami do cesarskiej korony. Za złe mu tego bardzo brać nie można, bezwątpienia taka taktyka była odpowiednią — tylko w tem tkwiło złe, że była taktyką! Jan VIII okazał i wiele rozumu i wiele odwagi, dawny cel Mikołaja I widział jeszcze jasno i zdążał do niego, tylko nie spostrzegł, iż walcząc za sprawy kościelne bronią świecką chciał z sobą sprzęgać to, co się sprzęgać nie dało. Wskutek tego wynikły częste ustępstwa to na rzecz polityki, to na rzecz kościoła — częstsze wszelako, niestety, na rzecz polityki. Każdy łatwo oceni, że przy takiem postępowaniu chwytanie się to jednego to drugiego środka obrony i chwiejność są nieuniknione.

Z niepokojem musiał Metodyusz śledzić te oznaki upadku papiestwa, bez którego na Morawach obecnie jak przedtem obejść się nie mógł. Teraźniejszość nie zdołała rozwiać już tych gorzkich a tak niedawno nabytych doświadczeń. A przecież ta krucha podstawa okazała się jedyną, którą Metodyusz miał jeszcze! Inna rzecz, czy się to nie działo wskutek pomyślnej konjunktury politycznej i czy zawsze ta użyczona pomoc była taką, jakiej było trzeba? Jak zobaczymy Jan VIII nie umiał czy nie mógł być bardziej stanowczym: zachowywał i nadal tę samą taktykę, którą już znamy z okazyi uwolnienia Metodyusza, taktykę odsuwającą rozstrzygnięcie, a zatem chwiejną. Próżno też chciał i próbował nawiązać to, co przeciąć należało.

Pannońska dyecezya po roku 873 musiała się cofnąć ku Wschodowi. Straciła ona swą świeżą zdobycz: państwo Kocela, obecnie tylko państwo Swiętopełka — Morawy jej zostawały i do nich musiała się ograniczyć. Serbia oczywiście nie wróciła do niej mimo listów papieża do księcia Sedeslawa! Frankońscy biskupi mogli nie bez słuszności powiedzieć: odebraliśmy Pannonię, którąśmy pierwsi nawracali i która należała zawsze do nas. Z pewnością występowali oni z tej zasady — ale odebrać swoje

lub co się za swoje uważa, zgoła nie przeszkadza sięgnąć i po cudze. Tak się stało i w naszym wypadku. Bawarskie duchowieństwo odzyskawszy Pannonię dążyło do odzyskania i swej dawnej sfery wpływów, którą stanowiły Morawy. I powiedzmy odrazu ze stanowiska konieczności historycznej dążyć nawet do tego musiało. Oczywiście środków walki wcale nie zmienili biskupi bawarscy, bo tych się nie zmienia tak łatwo, osobliwie jeśli wypróbowane, pożądany skutek odnoszą. Ludwik Niemiecki, jego syn Karlman, a wreszcie jego wnuk Arnulf, wszyscy jak są, zgnieść się starali Morawy, walka wszakże zawrzała naprawdę między Arnulfem i Świętopełkiem, długa, zacięta i nieubłagana. Prócz tej walki orężnej, duchowieństwo łacińskie prowadziło walkę inną niemniej zaciętą i doniosłą, starało się wszelkiemi siłami i wszystkimi środkami wyprzeć Metodyusza i z tej części dawnej pannońskiej dyecezyi, która mu została. Że w tych zapasach grały pierwszorzędną rolę narodowe antagonizmy — to więcej jak pewna. Nie chodzi nawet w tym razie jedynie o zawsze świadomą celu politykę lecz o ten cały zapas poglądów i zapatrywań, uprzedzeń, niechęci i zawiści tłumionych zwykle lub nieukrywanych, który się przez długie lata nagromadził i który miał już na zawsze dzielić słowiańskie Morawy od niemieckiego państwa Karolingów.

Dawna przewaga, którą daje zawsze siła i starszeństwo kultury, wyrobiła i ustaliła u Niemców aż nadto poczucie, że Morawy się im również należą, król wysyłał tam przecież swoje wojska często zwycięskie — a biskupi wysyłali swoich misyonarzy. A zresztą, z całą otwartością biskupi bawarscy powoływali się na to, że Morawy należały do państwa Karolingów, że uznawały ich zwierzchność, że z pod niej tylko bezprawnie a zuchwale wyłamać się chciały. Dzielili oni pod tym względem, jak zresztą pod wielu innymi, przekonanie swych władców królów wschodnio-frankońskich. Uroszczenia państwowe i kościelne szły tu ręka w rękę i rozdzielić się nie dawały — nikomu zresztą ta myśl ani na chwilę przez głowę nie przeszła.

Przyznać jednak trzeba, że nie był to wzgląd jedyny! Wspomniałem już kilkakrotnie, że kościół frankoński szedł

często dalej od samego Rzymu. Ciaśniejszy, bezwzględniejszy ale za to i bardziej konsekwentny t. j. nie cofający się przed ostatecznymi wnioskami musiał być więcej radykalnym. Wyjątkowo tylko wznosił się któryś z jego członków wyżej i ogarniał szersze horyzonty. Inaczej Rzym. Ten z natury rzeczy musiał być uniwersalnym, musiał obejmować kościół cały, powszechny; stracić go z oczu znaczyło to wyrzec się istotnego zadania. A przytem pamiętajmy: W Rzymie zawsze ceniono politykę i, jak było trzeba, umiano być dobrymi politykami. Kurya działała też zazwyczaj z większą rozwagą i bardziej oględnie, umiano tam przeczekiwać i odkładać rozstrzygnięcie sporów, jak nie można było inaczej. Episkopat frankoński tego nie umiał, sam tak mało pojednawczy parł zawsze nie do zgody z kościołem wschodnim, lecz przeciwnie do zerwania. Wobec tych stosunków cóż dziwnego, że duchowieństwo frankońskie musiało do Greka Metodyusza czuć nie tylko niechęć ale nienawiść. Dla niego był on już odszczepieńcem, podczas kiedy nie był on nim jeszcze dla Rzymu. Tego nigdy nie należy tracić z uwagi a właśnie to tracą prawie wszyscy [1].

Samego Metodyusza i nowy kościół słowiański można było bardzo łatwo zaczepić. Miał on łączyć obie połowy powszechnego kościoła, był z pochodzenia i nauki greckim a Rzymowi podległym, tymczasem jak często w takich razach bywa właśnie wskutek tej »pośredniości« wychodziły bardziej na jaw różnice. Najważniejszą była naprawdę kwestya pochodzenia Ducha Świętego, owo sławne »filioque«, i dziś jeszcze dzieląca dogmatycznie oba kościoły. Oczywiście obaj soluńscy bracia nauczali zawsze według teologii greckiej. Konstantyn z pewnością był tu pod wpływem Dyonizyusza Areopagity i jego mistycznej, pokrewnej neoplatonizmowi nauki. Metodyusz może się tak głęboko nie zapuszczał w filozoficzną stronę kwestyi, ale stał bardzo twardo przy swojem. Według niego jedynie prawowierną nauką o pochodzeniu Ducha Świętego była tylko grecka, innej nie tylko

[1] Przedewszystkiem prof. Brückner w swych badaniach nad Cyryllem i Metodyuszem.

nie uznawał, ale potępiał. W tym razie jego stanowisko było zupełnie jasnem — a stanowisko jego przeciwników? Łatwo je odgadnąć: nieprzejednane duchowieństwa bawarskiego, oględniejsze Rzymu. Tak było istotnie.

Nauka zachodniego kościoła o pochodzeniu Ducha Świętego daleko wstecz sięga i wiąże się z nauką Św. Augustyna o Trójcy [1]. Była też ona zawsze na Zachodzie wyznawaną, ale rzecz dziwna w VIII i IX wieku nie Rzym lecz kościół frankoński ją podniósł. Już synod w Akwizgranie 791 roku ostro wytknął błędną naukę kościoła greckiego. Słynny Alcuin pisał traktat o pochodzeniu Ducha Świętego a patryarcha Aquilejski, Paulinus, jeden z wybitniejszych ówczesnych teologów 791 r. wprowadzał nawet filioque do symbolu wiary [2]; Rzym ciągle milczał. Dopiero w 809 roku musiał i on głos zabrać, choć niechętnie, a to z powodu sporu w Jerozolimie mnichów frankońskich z greckimi, ci ostatni zarzucali znowu łacinnikom herezyę. Zobaczymy jednak, że mimo wszystkiego papież nie ogłosił wówczas »filioque« za dogmat. Owi zakonnicy frankońscy z Góry Oliwnej odwołali się do Leona III [3], ten zaś, rzecz dziwna, odesłał ich pismo Karolowi W. Karol W. zaś na synodzie w Akwisgranie postanowił wraz ze zgromadzonymi biskupami wcielić »filioque« do symbolu wiary. Pojechali z tą uchwałą do Rzymu wysłańcy od synodu z zawiadomieniem o niej i z prośbą o uznanie. Stała się wszakże rzecz na pozór dziwna. Leon III oświadczył wprawdzie, że i on zarówno jak jego poprzednicy i cały kościół rzymski uznaje, że Duch Święty od ojca i syna pochodzi [4], mimo to przecież nie zgodził się na wprowadzenie tego dodatku do nicejskiego symbolu, nie chciał go »uzupełniać« w myśl uchwały synodu z 809 roku. Kazał nawet

---

[1] Harnack: Dogmengeschichte II³, str. 273. Pargoire. L'Eglise Byzantine de 527 à 847, 1905, str. 289.

[2] Mansi XIII, str, 830. Mon. Germ. Hist. Epistolarum Karolini Aevi II n. 139. r. 798.

[3] Epist. II, n, 7, r. 809.

[4] Mansi XVI, str. 978. Symbolum Fidei Leonis pp. omnibus orientalibus Ecclesiis. W wyznaniu wiary papieża oczywiście Duch Św. pochodzi od Ojca i Syna. Por. też Hefele. II², str. 11.

w czas jakiś wyryć dawny symbol po grecku i po łacinie na dwóch tablicach i w bazylice Św. Piotra umieścić [1]. Zrobił to Leon III po części, aby zaznaczyć swoją niezależność, a po części, aby nie doprowadzać do zerwania z Grekami. Kościół frankoński, Karol W. i jego teologowie za daleko poszli w tej mierze, można też o nich śmiało powiedzieć, że chcieli oni być *„plus catholique que le pape“*, ma też słuszność jeden z najznakomitszych historyków niemieckiego kościoła kiedy mówi, że chodziło wówczas ni mniej ni więcej tylko o to czy i w kwestyach dogmatu ma rozstrzygać nadworny kler cesarza i Akwizgran czyli też Rzym i papież? [2]. Obydwie strony wytrwały i później na tem stanowisku; Rzym okazał się tutaj więcej zachowawczym i bardziej oględnym. Była to jego nauka uznawana i powszechna, ale przecież dogmatem się jeszcze nie stała ani w IX w. ani w X w. mimo nawet wzrastającego coraz więcej rozdwojenia [3].

Przyznać wszelako trzeba, był to punkt słaby i drażliwy zarówno dla Metodyusza jak i dla Rzymu. Metodyusz, jak wiemy, zupełnie otwarcie nauczał według teologii greckiej. Rzym mógł jedynie nie poruszać tej drażliwej kwestyi i mógł ją, powiedzmy, ignorować do pewnego stopnia. Mógłby ktoś wszakże zapytać: a wyznanie wiary, które Metodyusz musiał składać przy wyświęceniu na biskupa i przy u d z i e l e n i u p a l i u s z a? Otóż ratowała sytuacyę okoliczność, że »filioque« nie było wcielone do symbolu, Metodyusz więc podobnie jak inni metropolici przysięgali i składali owe »litterae synodicae« na symbol nicejski i sześć powszechnych koncyliów. Czemużby np. papież od Metodyusza miał innego wymagać wyznania niż od arcybiskupa z Vienne [4]? Nie było do tego powodu. Tych rzeczy zresztą tak się łatwo nie zmienia. Formalnie tedy wszystko było zakończone »poprawnie«, w rzeczywistości wszelako istniało tu bądź co bądź zarzewie, które się pod po-

[1] Duchesne. Liber Pontificalis. II, str. 26. Był to oczywiście symbol dawny nicejski.

[2] Hauck. II², str. 333.

[3] Brehier: Le Schisme Oriental du XI siècle. 1899. str. 17. Norden: Das Papsthum u. Byzanz 1903. str. 16.

[4] Mansi XV, str. 470 r. 863. Papież mu przypomina sześć konsyliów.

piołem tliło, a które rozdmuchać zawsze było można. Tego podjęło się właśnie duchowieństwo frankońskie, które zupełnie inaczej na całą tę kwestyę patrzyło. Co rzadko się zdarza: jego przekonanie i polityka były w tym wypadku w najzupełniejszej zgodzie. Biskupi bawarscy umacniając swoje kościelne wpływy na Morawach, ratowali według siebie dusze od fałszywej i zgubnej greckiej nauki.

Wiemy z czasów jeszcze pierwszej misyi Morawskiej Konstantyna, jak bardzo duchowieństwo bawarskie powstawało przeciw językowi słowiańskiemu — i tutaj znowu było ono więcej niż Rzym łacińskie, — obecnie stanowiska wcale nie zmieniło, to też nową walkę należało przewidywać. Wprawdzie papież Hadryan II uznał ów język barbarzyński za liturgiczny, do milczenia to jednak nie zmusiło wcale biskupów bawarskich. Hadryan II umarł, wytoczyli więc oni skargi przed jego następcą i uzyskali nawet, jak wiemy, pismo Jana VIII wzbraniające Metodyuszowi odprawiania mszy w innym nie łacińskim lub greckim języku do czasu ostatecznego rozsądzenia całej sprawy w Rzymie. Wiemy, że do tego nie przyszło — ale zakaz bądź co bądź pozostał i wisiał nad głową Metodyusza — zależało więc teraz wszystko, czy się on wyrzeknie dzieła Konstantyna i swego własnego — czy istotnie zaprzestanie odprawiać mszy słowiańskiej? Było to dla Metodyusza, jak każdy łatwo pojmie, ciężkie zadanie — które należało rozwiązać pod argusowem, zawistnem okiem niemieckiego duchowieństwa.

Istotnie położenie Metodyusza, wobec tego cośmy dotąd powiedzieli, było nie tylko już ciężkiem lecz wprost rozpaczliwem: Rzym chwiejny, a do tego nie zawsze w stanie nakazać dla siebie posłuszeństwo, biskupi bawarscy zacięci i w walce niestrudzeni, zawsze gotowi pochwycić w lot i wyzyskać każde niepowodzenie. Oto, z czem Metodyusz miał do czynienia wkrótce po wstąpieniu w granice Świętopełkowego państwa na Morawach. A sam Świętopełk, każdy zapytać musi? Jak się on zachował wobec Metodyusza i słowiańskiego Kościoła? Oto pytanie, od którego rozwiązania zawisły przyszłe losy i samego Metodyusza i słowiańskiego kościoła, nie było się bowiem co i łudzić: wobec tego położenia,

które znamy, stanowisko, jakie zajmie ówczesny władca Moraw, Świętopełk, musiało być decydującem.

Jakże się więc stało?

Stanowisko to, które powinien był zająć Świętopełk, dziś, dla każdego jest jasnem: powinien był podjąć dzieło Rościsława, skorzystać z pomyślnej chwili i ręka w rękę pójść z Metodyuszem. — Tak nawet zdawało się, że będzie, pierwsze kroki zrobił on już ku temu — tymczasem później Świętopełk się cofnął i stał się — on także wrogiem Metodyusza, tak że i z tej strony zamiast poparcia spotkał nowego arcybiskupa zawód i to może najcięższy. Bezwątpienia był to ciężki błąd ze strony władcy Moraw, lecz historya zna tyle różnych błędów i umie je objaśnić, że objaśni i ten ostatecznie.

Świętopełk znalazł się w podobnem położeniu jak niegdyś ów król anglo-saski Oswi z VII wieku, który musiał rozstrzygać, do jakiego ma należeć Kościoła: rzymskiego czy celtyckiego? Nie tak zaś dawno król Bogorys-Michał musiał wybierać znowu między Rzymem a Carogrodem, papieżem a cesarzem i patryarchą. Zadanie to było trudne i ciężkie — a jednak każdy z nich musiał je rozwiązać! Zapewne, szczególniej w ostatnim wypadku wielką rolę odgrywały względy polityczne — ale myliłby się stanowczo ten, któryby przypuszczał, że książęta owi ponieważ nie byli teologami, więc ich te spory zgoła nie obchodziły. Zapewne, teologami nie byli ale wcale a wcale z tego nie wynika, aby ich spory owe teologiczne, kościelne bardzo żywo i bardzo bezpośrednio nie dotykały. Myśleć inaczej — to nie sięgać głębiej! Proszę sobie wyobrazić stan duszy człowieka, który wie, że od rozwiązania jakiegoś zagadnienia ciemnego i trudnego, tak trudnego, że napróżno stara się objąć je i przeniknąć swym słabym rozumem, zależy rzecz dla niego tak bezpośredniej, istotnej, wielkiej wagi — jak jego własne życie przyszłe i zbawienie! Taki człowiek będzie się chciał wszelkiemi siłami dowiedzieć, za kim pójść, co przyjąć a co odrzucić? W średnich wiekach zazwyczaj tuż obok siebie spotykamy: subtelność teologiczną i zupełną niezdolność do abstrakcyjnego myślenia. Ów król anglo-saski pytał się z całą grubą, materyalną ale naiwną wiarą biskupów irlandzkich: kto ma klucz

od raju — św. Piotr czy św. Kolumban? A gdy usłyszał od nich, że święty Piotr, bez wahania za Rzymem się oświadczył. Wierzył on bowiem święcie, że się ten raj zamyka i otwiera na żelazne lub drewniane wrzeciąża, jak jego własny dworzec królewski. Podobnie było i ze Świętopełkiem. Pochodzenie Ducha świętego — to była jedna z najbardziej zawiłych teologicznych kwestyi — oczywiście nie rozumiał jej Świętopełk, lecz wiedział, że to może mu zamknąć przystęp do nieba, więc się o nią pytał. Mówiono mu także i to, że msza niełacińska lub nawet niegrecka lecz słowiańska nie jest mszą, że słuchając jej popełnia świętokradztwo, że pościć w sobotę to ciężki grzech, mówiono mu wiele wiele innych rzeczy — a on słuchał, lękał się, wahał i niepokoił! Nie zapominajmy też o jednem jeszcze: Silny i potężny wróg, z którym się ciągle walczy, musi wpływ wywierać. Tym silnym wrogiem dla Świętopełka byli Niemcy. Walczył on z nimi, ale musiał sobie wysoko ważyć ich siłę, rozum, bogactwa i naukę, był przecież sam między nimi czas dłuższy, przyzwyczaił się tam do ich obyczaju i mimo wszystkiego wiele z niego musiał przejąć. Z pewnością dla niego ten Kościół niemiecki, łaciński, który znał i do którego należał, był tym »prawdziwym« Kościołem, a msza odprawiana tak jak w Regensburgu przed królem Ludwikiem, tą prawdziwą mszą, może nawet »lepszą« od innych. Prawda, i Kościół słowiański był prawowiernym, rzymskim, wszakże sam legat papieski Metodyusza na Morawy z sobą przywiódł i pieczy Świętopełka powierzył — wszystko to prawda, ale zawsze, dla niego jak dla ludzi ówczesnych, tak do zewnętrznej strony obrządku przywiązanych, był to jakiś Kościół inny, niż te dwa znane i uznane t. j. łaciński i grecki, dwie części jednego powszechnego, o czem wiedzieli tylko ludzie, którzy się ponad materyalne różnice kultu wznieść mogli i chcieli. Ta odrębność właśnie musiała Świętopełka niepokoić i mogła nawet wzbudzać pewien rodzaj lekceważenia, że już nie powiem pogardy. To właśnie, co Kościół ów miał swego własnego, słowem, jego odrębność i nowość, to się na nim teraz mścić zaczynało. Owa, wspomniana już jego »pośredniość« okazywała się coraz trudniejszą do utrzymania!

Na to wszystko możnaby wszelako jedno jeszcze odpowie-

dzieć: a względy polityczne, państwowe? Czyż Świętopełk nie wiedział i nie zdawał sobie z tego sprawy, że Kościół słowiański, dawał mu gotową, niezależną kościelną hierarchię, że arcybiskupstwo pannońskie, to była broń niemałej wagi w jego ciągłej walce z Niemcami, w której wszystkie siły należało wytężyć, nic nie pominąć a wszystko wyzyskać? Otóż tego właśnie nie czuł i nie rozumiał Świętopełk. Może dla tego, że zbytnio orężowi tylko zaufał, jemu wierzył i na nim się opierał, może dlatego, że go ten oręż nie zawodził i że bądź co bądź był on od Rościsława silniejszym, mógł tedy inne sprawy mniej sobie ważyć? Być to wszystko może, wszelako wszystko to do jednego zawsze musi prowadzić. Oto Świętopełk potrafił dla swego kraju orężem niezawisłość wywalczyć i utrzymać ale go nie umiał zabezpieczyć. Nie należał on nigdy do liczby tych, wielkich budowniczych państw, których spotykamy w zaraniu dziejów różnych ludów. Umiał on tylko z tego materyału budować, który miał pod ręką, sięgnąć po dalszy, choćby on był tuż obok i z niego skorzystać, do tego nie był już zdolny. Myśl jego dalszych kręgów zatoczyć nie mogła. Nie budował dla przyszłych pokoleń i organizatorem nie był.

Tam, gdzie się tak stosunki nie można powiedzieć »układają« lecz »wikłają«, do starcia przyjść musi. Jest ono nieuniknionem. Jego wybuch, późniejsze walki i wynik ostateczny — to już tylko zewnętrzna historya, tych głębiej tkwiących wewnętrznych przeciwieństw, zależna od rozmieszczenia sił działających. Z kolei owem zewnętrznem przebiegiem walki o Kościół słowiański zająć się należy.

Metodyusz udał się na Morawy do Świętopełka w drugiej połowie 873 roku. Biskup Paweł z Ankony, legat Jana VIII, który go odprowadzał, niebawem go opuścił, arcybiskup pannoński pozostał tedy sam w swej nowej dyecezyi. Żywot mówi: i począł Metodyusz na Morawach nauczać znowu i wiara święta za jego sprawą krzewić się poczęła, państwo zaś morawskie rosnąć w znaczenie i siły. Że tak było nie można wątpić. Lud zawsze pozostał

wiernym słowiańskiemu nabożeństwu, a Świętopełk i jego wielmoże »spostrzegli«, jak mówi Żywot, iż księża niemieccy, którzy byli u nich, na zdradzie im stoją, przeto wygnali ich precz »od siebie« [1]. Były to oczywiście skutki owej wojny, którą był podjął zbuntowany Świętopełk. Jak długo ona trwała, Metodyusz był zupełnie swobodny, księża niemieccy opuścili na prawdę Morawy i omijali je z daleka. Zmieniło się jednak położenie skoro w Foraheim 874 roku Świętopełk zawarł z Ludwikiem pokój i uznał nominalne jego zwierzchnictwo. Pokój ten wprawdzie nie był trwałym, o panowaniu bowiem Swiętopełka śmiało powiedzieć można, że wypełniała je całe nieustanna wojna, przerywana tylko rzadkimi latami pokoju. Mimo to przecież nie wróciły już dawne stosunki. Księża niemieccy powoli zaczęli wracać, coraz ich więcej na Morawy przybywało — i oczywiście zaczęła się owa nieunikniona walka, do której tyle już było nagromadzonych materyałów. W takich wypadkach zawsze się prawie znajdzie człowiek, który ją podejmuje i prowadzi, znalazł się też i obecnie. Kościół łaciński niemiecki znalazł rzecznika i obrońcę w jakimś duchownym ze Szwabii, Wichingu. Skąd i dlaczego zjawił się on na dworze Świętopełka? Co go tam przywiodło: własna jego wola czyli też cudza namowa lub rada? Nic tego nie wiemy, dosyć, że się tam znalazł. Był to zaś nie pierwszy z brzegu intrygant: wytrwały, zacięty, niezrażający się niepowodzeniem, a przytem usłużny, giętki i co najważniejsza nieprzebierający w środkach i nie cofający się przed żadnym, nic dziwnego, że swego dopiął, on też a nie Metodyusz ostatecznie zwyciężył. Jak zaś tego dokazał, zaraz zobaczymy.

Wiele cnót zdobiło Metodyusza, brakowało mu wszakże stanowczo jednej: oto nie był on — oportunistą. — Prawda, zazwyczaj święci tej »cnoty« nie posiadają, brak im tego klejnotu w ich niebieskiej koronie, a klejnot to o cudownych własnościach i cudownej sile: kto go ma, tego w życiu nie dosięże ludzki gniew, na czas się bowiem przed nim uchyli, a co wyminąć trzeba wy-

[1] Żywot § x. Oczywiście: »Morawianie« Żywotu, to Świętopełk i jego panowie rady a nie lud morawski — tak też objaśniam ten zwrot.

minie. Metodyusz wszelako, który dwa lata przeszło przesiedział w więzieniu dając prawdzie świadectwo, teraz do żadnych ustępstw nie był skory. — Niezłomny, stały a nawet twardy, nie umiał się do okoliczności stosować, nawet tam gdzie istotnie, bez wielkiego uszczerbku mógł to był uczynić. Duchowni greccy zresztą, mieli także bez kwestyi wiele przywar, ale żyjąc wśród społeczeństwa zdawna już kulturalnego i co za tem idzie wśród stosunków uporządkowanych, nie byli przyzwyczajeni do tego bezładu i do tych wybuchów samowoli, na Zachodzie tak częstych. Nie umieli się z tem liczyć, tolerować i co prawda »patrzeć na wiele rzeczy przez szpary«. A było to potrzebnem szczególniej u tak jeszcze świeżych chrześcijan jak Morawianie. — A tymczasem ta sama miara, te same zasady musiały być stosowane bezwzględnie w państwie Świętopełkowem, co w Tessalonice lub Carogrodzie. Prędko też bardzo nowy arcybiskup swą surowością musiał sobie zrazić samego Świętopełka i wielu znacznych panów z jego otoczenia, którzy jako możni tego świata, przyzwyczajeni byli do większej pobłażliwości i uważali, że ta im się z prawa należy. Był to niejako ich przywilej. Za czasów Metodyusza sprawa nierozerwalności małżeństw była tą sprawą, o którą cały Kościół walczył od papieży począwszy, a na bardziej gorliwych proboszczach miejskich skończywszy. Sprawa bigamii króla Lotara z Waldradą nie była wcale wyjątkową. Listy papieskie, uchwały synodów świadczą o tej walce aż nadto wymownie. — I Metodyusz znalazł się w tem położeniu na świeżo nawróconych Morawach. Staczał on i tam walki o niezawieranie małżeństw między krewnymi zgoła nie bacząc, kto je zawierał. Bez oporu nie mogło się oczywiście obejść. Jeden z wielmożów morawskich, przyjaciel Świętopełka, nie chciał opuścić żony wdowy po bracie mimo próśb i gróźb Metodyusza. Gdzieindziej byłby to spór, jakich było podówczas bardzo wiele, tu się jednak zaostrzył. Duchowieństwo łacińskie, niemieckie, »fałszywi słudzy Pana Boga«, korzystali ze wszystkiego, aby Metodyuszowi szkodzić, zachęcali tedy owego możnego pana do oporu. Doszło do tego, że ich Metodyusz wyklął [1]. Z pewnością w tym

[1] Żywot § XI.

zatargu i Wiching maczał ręce i podbudzał Swiętopełka, i bronił winnego. Świętopełk zresztą sam dla siebie potrzebował wyrozumiałości i to bardzo daleko idącej, nie należał on bowiem w tym względzie do chwalebnych wyjątków [1]. Metodyusz znowu wcale a wcale i wobec niego do żadnych ustępstw nie był skłonnym.

Z pojawieniem się Wichinga i księży niemieckich wybuchły również i teologiczne spory: za sprawą dyabelską, jak utrzymuje autor Żywotu, ci którzy na hiopaterską chorobę cierpią t. j. księża łacińscy, którzy według zachodniej nauki wierzą, że Duch święty od Ojca i Syna pochodzi, jedni jawnie, drudzy skrycie zaczęli przeciw Metodyuszowi podburzać i przeciągali słabszych na swoją stronę mówiąc, »jako papież im dał władzę a nakazał Metodyusza usunąć i naukę jego potępił« [2]. I nie tylko o pochodzenie Ducha św. w tym sporze chodziło — chodziło niemniej i o mszę słowiańską, przeciw której znowu z całą gwałtownością występowali teraz duchowni niemieccy. A więc Metodyusz odprawiał mszę słowiańską? Oczywiście, odprawiał, i tu wyszła na jaw owa tak bardzo drażliwa kwestya. Jak wiemy Jan VIII — wzbronił mu jej w piśmie, które doręczył Metodyuszowi legat Paweł z Ankony [3]. Metodyusz mógł mszę odprawiać po łacinie lub po grecku, byle nie w tym barbarzyńskim języku. Bezwątpienia do wydania tego zakazu skłoniły Jana VIII skargi biskupów bawarskich, którzy wytrwali na swem dawnem wrogiem stanowisku. Papież Hadryan II uznał wprawdzie język słowiański jako liturgiczny, ale z tego niewiele oni sobie robili, z pewnością już na onym synodzie 870 r. Metodyusz słuchał ich wyrzutów. Nic więc dziwnego, że teraz po śmierci Hadryana II-go próbowali oni obalić dawniejsze uznanie, co znowu niemożliwem nie było. Trudno tylko przypuścić, aby Jan VIII zaocznie wydawał w tej sprawie wyrok, tem bardziej, iż musiał

---

[1] Wyraźnie to zaznacza grecki żywot św. Klemensa Bułgarskiego. Pastrnek str. 280.

[2] Żywot § XII.

[3] Pastrnek n. 6. G. Friedrich I, n. 23. Audimus etiam, quod missas cantes in barbara, hoc est in Sclavina lingua, unde iam litteris nostris, per Paulum, episcopum Anconitanum tibi directis, prohibuimus, ne in ea lingua sacra missarum solemnia celebrares.

przecież wiedzieć o przyzwoleniu swego poprzednika. Wprawdzie mógłby ktoś powiedzieć: Jan VIII się tem bardzo nie krępował, czego dowodem uznanie Focyusza wbrew klątwom Mikołaja I i Hadryana II, które wprost za niebyłe uznał. To prawda, ale przecież nie sądzę, aby swe panowanie rozpoczynał od łamania uchwał świeżo zmarłego poprzednika. W każdym razie przypuścić można, że papież zabronił mszy słowiańskiej jedynie do czasu, kiedy Metodyusz wraz ze swymi oskarżycielami stawi się na sąd w Rzymie i cała sprawa się wyjaśni. To się jednak nie stało. Wiemy, że Jan VIII miał powody, dla których wolał zbyt się nie kwapić z tym sądem. Bądź co bądź prawa Stolicy Apostolskiej do samej Pannonii były więcej niż wątpliwe[1], a prócz tego — i owe, dochody, o których wspomniałem, rolę tu odegrać musiały — i to znaczną! Swoją drogą i Metodyusz także zbytnio nie pragnął może wytaczać kwestyi pochodzenia Ducha świętego w Rzymie w obecności papieża i biskupów bawarskich. Papieżowi zaś postawienie tej drażliwej kwestyi na ostrzu miecza wcale się, jak sądzę, nie uśmiechało, choćby ze względu na stosunki z Grekami. Dość, że, jak wiemy, z tych lub innych jeszcze powodów do sądu w Rzymie nie przyszło między Metodyuszem a bawarskimi biskupami, — miałże więc ów zakaz mimo to stale go obowiązywać? Otóż to była kwestya nielada! Metodyusz być może powinien się był trzymać i nadal litery zakazu papieskiego, ale mógł także interpretować go na swoją korzyść, mógł wnioskować, że skoro sąd w Rzymie do skutku nie przyszedł, on faktycznie może się uważać za zwolnionego. Zapewne, była to interpretacya nie bez zarzutów, ale także nie bez podstawy. Bronić ją było można, a kto wie czy i nie obronić? A zresztą i stosunki, które w Rzymie panowały ośmieliły go do tego, że tak a nie inaczej postąpił[2], a że tak postąpił, że dalej odprawiał mszę po słowiańsku, on i wszyscy jego uczniowie, czyż się dziwić można? Msza słowiańska, to przecież było zadanie życia niegdyś ich obu, a teraz Metodyusza — wyrzec się jej znaczyło wy-

[1] Dümmler II², str. 381.
[2] Jagić str. 30.

rzec się wszystkiego, Metodyusz tego nie uczynił i mszę słowiańską odprawiał dalej.

Można sobie łatwo wystawić, jaki to wszystko wywoływało zamęt na Morawach. Skargi do Rzymu musiały iść bez ustanku. Kłótnie, spory teologiczne, zarzuty, obmowy, potwarze, sypały się jak z rogu obfitości — złego. Skarżący i wyzywający byli duchowni niemieccy a przedewszystkiem sam Wiching. Świętopełk wobec zdań sprzecznych, szarpany to w jedną to w drugą stronę, ale jak wiemy zawsze przechylający się na stronę niemieckich duchownych, chciał przecież raz rzecz całą rozwiązać lub przeciąć a w każdym razie zakończyć. Dziwić bardzo mu się niema i co. Skoro raz usłuchał podszeptów Wichinga i wpuścił niemieckie łacińskie duchowieństwo w granice swego państwa, inaczej być nawet nie mogło. – Były to już tylko następstwa tego kroku. Posłał tedy 879 r. w maju lub czerwcu Świętopełk Jana z Wenecyi, duchownego, którego używał już poprzednio do Rzymu do różnych rokowań dyplomatycznych, z zapytaniem i prośbą do papieża, aby go objaśnił: jak i komu ostatecznie miał wierzyć?

Znamy tylko odpowiedź papieża.

Jan VIII zapewnia Świętopełka o swej ku niemu ojcowskiej miłości i mówi tak: słyszałem przez księdza Jana [1], iż o prawdziwej wierze wątpisz [2], przeto polecam Waszej Miłości, abyś zawsze wierzył, w co święty Kościół rzymski po wszystkie czasy wierzył a odrzucał i za fałszywe miał to, co tej nauce się sprzeciwia. A ponieważ ku wielkiemu naszemu zdziwieniu usłyszeliśmy, że Metodyusz nasz arcybiskup, którego Hadryan wyświęcił, inaczej naucza, niż to słowem i pismem przyrzekł Apostolskiej Stolicy, przeto, ciągnie papież dalej, wezwałem go bez wszelakiego omieszkania przed oblicznośc naszą, aby własnymi usty wyznał i powiedział czyli tak naucza, jak był przyrzekł albo nie? A więc Metodyusz, którego przed Stolicą Apostolską widocznie już o herezyę pomawiano, dostał wezwanie stawienia się w Rzymie! Do-

[1] Był ów ksiądz Jan z Wenecyi posłem papieskim do Kroatów i do Bułgarów, posłował również i od Kroatów do Jana VIII. Por. Migne CCXXVI str. 842, n. 230.

[2] didicimus, in recta fide dubitetis.

chowało się i samo to wezwanie. — Pisze w niem Jan VIII co następuje: Słyszeliśmy, że nie tak jak Stolica Apostolska nauczasz, przeto powierzony twej pasterskiej pieczy lud do błędu przywodzisz. Rozkazujemy ci więc pismem tem bez wszelakiej zwłoki stawić się w Rzymie, abyśmy się dowiedzieć mogli z własnych ust twoich, czyli tak nauczasz, jakeś to Stolicy Apostolskiej pismem i słowem przyrzekł. Poczem następuje owa wzmianka o mszy słowiańskiej i powołanie się na dawniejszy zakaz jej odprawiania. Nadeszła więc dla Metodyusza chwila stanowcza. Nieprzyjazne mu i wrogie łacińskie, niemieckie duchowieństwo dopięło swego: oskarżyło o herezyę i sprawiło, że go papież wezwał, aby się usprawiedliwił z zarzutów — ono więc skarżyło, a on był obwinionym. Miało duchowieństwo niemieckie wiele za sobą: najpierw księcia Świętopełka, który uległ ich podszeptom i który ostatecznie im a nie Metodyuszowi bardziej wierzył i ufał, bo gdyby ufał, nie byłby wysyłał swego posła do Rzymu — to jasne. Wiemy wszakże, iż miało w zanadrzu i ważny teologiczny zarzut: owo »filioque«, którego Metodyusz, jako Grek, nie uznawał. W Rzymie to było ważniejszem, niż stanowisko Świętopełka w całej tej sprawie i o to, jako o kwestyę bardziej ogólną a nie o mszę słowiańską, nawet mogło się wszystko rozbić i Metodyusz mógł być za heretyka uznany.

A jednak heretykiem nie został.

List Jana VIII i wezwanie otrzymał Metodyusz w lipcu [1] 879 roku. Nie zaraz wszakże stawił się on w Rzymie. Dopiero wczesną wiosną 880 roku, jak się zdaje, musiał się tam pojawić — ale nie sam! Świętopełk wysłał z nim razem Wichinga oraz Ziemimysła, jednego ze swych doradców. Najpewniej w kwietniu lub maju Jan VIII zawezwał obie strony: oskarżyciela Wichinga i oskarżonego Metodyusza przed siebie i przed biskupów, więc przed jakiś synod [2]. Była to chwila doniosła dla arcybiskupa Mo-

[1] Noszą one oba datę 14 czerwca 879 roku Zwykle oznaczano 30 dni jako termin stawienia się w Rzymie po odebraniu wezwania, tyle więc podróż np. z Francyi musiała wynosić. Por. Jaffe-Wattenbach I, n. 2723 i n. 2986.

[2] Na początku roku 880 (lub w końcu 879) był Jan VIII w południo-

raw; od niej zawisły bowiem znowu losy słowiańskiego Kościoła a zatem i jego własne. Mógł on znowu stracić wszystko. Jaki był przebieg owego sądu — nie wiemy, znamy tylko wynik. Pokazuje się z niego, że Metodyusz zwyciężył. O tem jego zwycięstwie świadczy list Jana VIII do Świętopełka wydany w czerwcu 880 roku [1]. Długie to pismo rozpoczyna papież od zapewnienia statecznej ku Świętopełkowi miłości, wychwala go, iż wzgardziwszy przykładem innych tego wieku książąt, jak dobry syn wraz ze wszystkim ludem Stolicę Apostolską swym obrońcą i opiekunem uczynił. Za to zlewa na głowę jego i ludu morawskiego błogosławieństwa i zapewnia, że w modlitwach swych zawsze ich Bogu poleca. Po tym wstępie przechodzi Jan VIII do rzeczy i mówi co następuje: pytaliśmy się twojego arcybiskupa Metodyusza wobec biskupów braci naszych: czy wyznaje prawowierny symbol wiary i czy go przy mszy świętej odmawia, tak jak go wyznaje święty Kościół rzymski i jak na sześciu powszechnych soborach wedle Chrystusowej nauki przez Ojców Kościoła podany i ogłoszony został? Metodyusz zeznał, że tak wierzy i tak przy mszy symbol odmawia, jak uczy Ewangelia i Apostołowie oraz święty Kościół rzymski i jak od Ojców Kościoła przekazane jest [2]. Papież uznaje go tedy we wszystkiem prawowiernym i ponownie go księciu poleca nakazując z należną czcią i chętnie go przyjąć. Nie na tem jeszcze koniec: Jan VIII w temże samem piśmie pochwala pismo słowiańskie przez Konstantyna Filozofa wynalezione, przypomina że nie tylko w trzech językach Pan Bóg chce być chwalonym, powołuje się na psalmy i na zesłanie Ducha świętego a wreszcie na list św. Pawła do Koryntyan; z zastrzeżeniem wszelako, jak już wiemy, że ewangelia ma być czytaną we wszystkich Kościołach naprzód po łacinie a potem dopiero po słowiańsku, jak się to dzieje w niektórych.

---

wych Włoszech. Langen III, str. 242. Wielka szkoda, że z pierwszej połowy 880 roku (do czerwca) nie mamy listów papieskich.

[1] Pastrnek n. 8. G. Friedrich I, n. 24.

[2] Ille autem professus est, se iuxta evangelicam et apostolicam doctrinam, sicuti sancta Romana ecclesia docet et a patribus traditum est, tenere et psallere.

Wątpliwem jest, czy Świętopełk i Wiching oczekiwali takiego wyroku, a jeszcze bardziej jest wątpliwem, czy byli z niego zadowoleni. Śmiało nawet powiedzieć można, że nie! Z pewnością nie po uniewinnienie i nie po uznanie mszy słowiańskiej posyłał Świętopełk Metodyusza do Rzymu z Wichingiem! Nadzieja depozycyi wszakże zawiodła — z tem należało się pogodzić. Rodzi się jednak pytanie, dlaczego papież wydał taki wyrok?

Musimy się znowu teraz uciec do stosunków politycznych, one rzucą nam niejakie światło na to, co w Rzymie zaszło.

(Dok. nast.).

Karol Potkański.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z poetyckiej niwy.

St. Kobyliński: »Ironia«. Tragedya. Kraków 1905. — Tenże: »Beati«. Tragedya. Kraków 1905. — A. Kallas: »Nędza«. Dramat w 3 akt. Kraków 1905. — Tenże: »Wśród swoich«. Sztuka ludowa w 4 akt. Kraków 1905. — Kazimierz Przerwa-Tetmajer. »Poezye V«. Warszawa 1905. — Ardens. »Ognie i błyski«. Poezye. Kraków. 1904. — Jan Szczerota. »Bożymir«. Utwór sceniczny wierszem. Brody 1905. — Marya Sandoz. »Legendy z życia Najświętszej Maryi Panny«. Kraków 1905. — Denker Jerzy. »Z młodego serca«. Kraków. 1904. — Tatarówna Stefania. »Poezye Buddha«. Kraków 1903. — Jan Pietrzycki. »Refleksy światła«. Lwów 1905.

I.

Różne wpływy, różne pojmowania sztuki i dramatu wywołują różnorodność dzieł; pośród kierunków zaś dwa najwidniejsze: jeden hołduje hasłu »sztuka dla sztuki«, drugi w sztuce odzwierciedla prądy społeczne. Do pierwszego rodzaju należą dwie tragedye p. Stanisława Kobylińskiego p. t. »Ironia« i »Beati« (Kraków 1905). W obu ojcem chrzestnym Przybyszewski. Bolesław w »Ironii« należy do związku nihilistów, którzy pragną niszczyć dla rozkoszy niszczenia. Cały ten związek — to są Przybyszewskiego «Dzieci szatana«, a Gordon zmienił tylko nazwisko, jak to oni zwykli często się przebierać i dekorować. Otóż Władek wprowadził Bolesława do swej rodziny i siostra Władka Alina zapałała ku niemu żądzą, nadarmo jednak, bo Bolesław czysty — i »kobieta jest mu zbyteczna«. Wtedy Alina mści się: zostaje żoną Zygmunta. Ma dziecię, ale męża nienawidzi, gardzi nim, nazywa go

»karzełkiem« — i z nienawiści kłamie wobec niego, że ojcem dziecięcia nie on, lecz Bolesław. Zygmunt oburza się, wzywa mniemanego ojca, by zabrał sobie Alinę i dziecko. Bolesław przybywa, oboje miotają się na Zygmunta, lżą go — mianując »nędznym«, »łajdakiem«, »karzełkiem«, ale kiedy Bolesław bierze do siebie Alinę — ta zabija jego i siebie. W motywach widoczne analogie do dramatów Przybyszewskiego, zwłaszcza »Dla szczęścia«. Ale żądza zmysłowa, jako czynnik, który nad duszą Aliny niepodzielnie włada, nadaje tragedyi cechę osobliwostki psychopatycznej nie bez interesu, chociaż dziwactwo i ryzykowność sutuacyi gwałci wszelkie oznaki prawdopodobieństwa. Co moment czytelnik spotyka jakąś niespodziankę. Bolesław czysty, oddany czynowi niszczenia – ale kompromisowo romansuje; potem zrzeka się czynu i jedzie po Alinę, choć go nic nie obowiązuje, boć wie, że nie on ojcem dziecięcia. Alina wybiera dziwny sposób zemsty względem człowieka, który jej nie kocha: — idzie za mąż i oddaje się innemu, którego nienawidzi. Powiedziała mężowi, że dziecię nie męża, a mąż... uwierzył — i dlatego »karzełek«. Wszystko też prawdziwie odwrotnie się szacuje — i Bolesław, błędny marzyciel i Alina występna, uważają się za nadludzi, a Zygmunt pospolity wprawdzie, lecz bez winy, uważa się za »karzełka«. Kompozycya jednak tragedyi jaśniej, prościej wywija się z wątka, niż u mistrza Przybyszewskiego. Przemian psychicznych brak i postaci posuwają się po scenie, jak gdyby objęte snem somnambulicznym, jak gdyby uśpione i zaklęte jedną myślą, jedną żądzą. Gry pierwiastków, władz myśli w nich nie widać, a stąd dramat jest na wskróś liryczny i akcyi w nim nad pojęcie skąpo. Toż samo w tragedyi »Beati«. I tu jest n a d c z ł o w i e k Maurycy, który dziwacznym i niezdrowym kaprysem, analizowaniem pełnem rozgoryczenia siebie i żony — dręczy ją, przykuwa do siebie Stefę kuzynkę, rani dotkliwie młodą duszę swej córki Ani.

Kobiety te wielbią dziwaka, ale też są to banalne, nierozwinięte, bezwłasnowolne istoty. I tu jest »przekora« — jak tam Zygmunt — Bogu ducha winien, cokolwiek szorstki i jak to mówią gruboskórny, a ten zalewa wybrańcom sadła za skórę i rad sobie, choć nim gardzą i na nim ostrzą sobie dowcip. To Anatol. Czego właściwie chce Maurycy? Kto zgadnie? Z miłości ożenił się z Maryą, ale miłość pierzchła, trwa rozgoryczenie. Mówi:

> Przezwyciężyć siebie — wynijdź z koła doczesności —
> Rozkoszy bolu skosztuj i doświadczaj siebie.

Bardzo, bardzo zagadkowe. Czyżby kosztowaniem rozkoszy bólu była owa scena ze Stefą w czwartym akcie? Osobliwsza też i Marya, raz rozżalona, że utraciła miłość męża, a w akcie czwartym oddana pieszczotom Anatola. Maurycy przypomina swojem sięganiem w sfery pozaziemskie, swojem pseudo-czarnoksięstwem Manfreda, albo raczej może wątłe dziecię wielkiego ojca: — »Axela« de Villiers de l'Ile Adam; jednakże obaj tamci w swych praktykach nie gną się i nie drżą, a biedny Maurycy boi się...

»A strach taki zimny,
Jak trup — piszczele kładzie na ramiona« (40).

Ale i ta tragedya pomimo wszelkich znamion ujemnych świadczy, że młodemu poecie nie brak talentu. Sam wiersz tragedyi »Beati« chlubnie potwierdza sąd ten. Umie przytem poeta bardzo ładnie obmyśleć scenę: uczynić ją odpowiednią do duszy i nastroju osób, umie grozę dusz połączyć z grozą zjawisk świata zewnętrznego, targnąć równocześnie za uczucia i za wyobraźnię widza. Dyalog jego osób nie bywa doskonały, ale bywa zajmujący. Wygląda to tak, jak gdyby garstka osób wciąż kłuła się nawzajem zlekka igiełkami ostremi; zlekka raniona, wskrzykiwała i nawzajem znów zadawała sobie lekkie ukłucia, a tak wciąż, ale dobrowolnie, dla jakiegoś niepojętego kaprysu czy swawoli [1]. W potoku krótkich zdań, pytań i odpowiedzi widać, że każda osoba ma po za słowami coś utajonego w myślach, co usiłuje ukryć, ale czyni pozór, że pragnęłaby, aby w niej inni odgadli to lub wyczuli. Jestże to dyalog dramatyczny? Mógłby być, ale za wiele w nim kwasu, jako środka artystycznego, za wiele zagadek, za wiele pauz i przemilczeń.

Marek (odważając). Tęsknię... Wszakże i w tem jest bodaj szczątek woli —

Bolesław Nie mam słów — — Tęsknię bez żadnego wysiłku w kierunku posiadania przedmiotu tęsknicy — — Nie wiem — gdyby: — zapewne, byłoby może i lepiej — »ocean szczęścia, prawdy — piękna« — a jeśli nie — to jedno — — Wszystko przyjmuję — — Błogosławię złudzenie — —

Jeż. I skąd się wziął u ciebie ten kwietyzm? — —
Przecież tyś się czemś obłąkał! — —
Takie rebusy mają stanowić dyalog dramatyczny. Godzi się tu

[1] Zob. str. 45, 46, 47.

przypomnieć, jak szczegół ten rozumieli nasi klasycy. Pierwszy nasz reformator dramatu J. Korzeniowski, tak bardzo ceniony przez Mickiewicza i Słowackiego, pisze w swej poetyce w 1823 roku: »Można sobie wyobrazić, że przemiany wewnętrznego stanu duszy albo już się stały i minęły, albo się dopiero w tejże chwili dzieją. W pierwszym razie będzie zawsze opowiadanie, choćby forma dyalogowa, lecz jeżeli przemiany powstają i rozwijają się w czasie rozmowy i przez nią — wtenczas dopiero jest dyalog dramatyczny«. Da się to wybornie uwidocznić na przykładzie. W trzeciej części »Dziadów« Mickiewicza w scenie więziennej, na początku dyalog epiczny przeistacza się w dramatyczny ku końcowi, odkąd w grę wchodzi Konrad — i dosięga najwyższego napięcia dramatyczności w improwizacyi wielkiej. W dzisiejszym przeważnie lirycznym dramacie oczekiwaćby należało dyalogu dramatycznego. Tymczasem ani lirycznem nie jest to rozjątrzenie postaci względem siebie, to kłucie się nieustanne i nienasycone, ani dramatycznością nie jest, bo nie ujawnia rozwoju namiętności, władającej nad sceną. Niekiedy zaś bywa nieco za dużo w dramacie żywiołu powieściowego. Oto dwa dramaty autorki, piszącej pod pseudonimem A. Kallas: »Nędza« — w trzech aktach (Kraków 1905) i »Wśród swoich« — w czterech aktach (Kraków 1905). Oba utwory tendencyjne, oba ilustrują moment z naszego życia społecznego. Pierwszy przedstawia losy rodziny zubożałej, rzuconej na bruk miejski. Ojciec strwonił majątek, a teraz nie umie, nie chce, może nie zdoła pracować; matka, »pani z panów«, puszczała pieniądze przez palce, teraz ani rządzić domem nie potrafi, ani znieść spokojnie niedoli: narzeka, nienawiścią ściga męża, sarka na dzieci. Dzieci pracują: Marynia zarabia lekcyami 70 koron, Oleś — ośmioklasista 40 kor., Zosia — szwaczka tyleż. Nie byłoby nędzy, gdyby się znalazło męstwo ducha, umiejętność ograniczenia się, gdyby się znalazły podpory moralne. Znaleźćby je powinni starzy: ojciec i matka. Słusznie mówi Marynia: »my nie tylko biedni. Jesteśmy nędzarze. Nasza moralna nędza większą jest od biedy materyalnej« (36). Zanik godności ludzkiej doprowadza ojca aż do upodlenia się, matce odejmuje wszelką równowagę duszy; jak prostaczka policzkuje dorastające dzieci. One zaś niewątpliwie pod względem energii czynu wyżej stoją od rodziców: pracują. Ale bieda, swar, widok znikczemnienia duszy złym się okazuje doradcą. Oleś zostaje socyalistą, opuszcza dom rodziców i na chwilę odwiedzając chorą matkę, snuje jałowe tyrady o wyższości socyalizmu, a upadku rodziny; Zosia idzie na utrzymanie do malarza, który obiecuje

ożenić się z nią; jedna Marynia dzieli i nadal nieszczęsny los rodziny. »Zrodzone w nienawiści, wychowane wśród przekleństw i złorzeczeń, zwiędłe w cieniu troski, lęku i wstydu«: oto z pnia tego młode pokolenie. »Nędza« nie jest dramatem duszy. W szeregu zręcznie pomyślanych, biegłem piórem w dyalog ujętych obrazków, w szeregu silnie akcentowanych momentów życia garstki ludzi oświetla autorka chorobę społeczną, która nie jest może nagminną w tej właśnie sferze, jaką wprowadza, ale niezawodnie dotyka warstwy o stopień niższej. Nazwaćby można to zło nowotworem jadowitym, wyrosłym z zepsucia soków wielkomiejskich. Czyby w »Nędzy« ukazywały się groźne symptomaty rozkładu rodziny? Czyby i u nas, jak w społeczeństwie rosyjskiem, rysowanem w dramatycznych obrazach Gorkiego, Czechowa, Najdienowa — rozkład ten widniał bodaj w oddaleniu? Czy »Nędza« nie jest zbyt pesymistyczną? Czy nie wypadało w tym steku podłostek, nieudolności, miałkiego cynizmu, braku wszelkich zasad — czy nie należało Maryni dać silnej duszy, zrobić jej niewiastą mężną, bohaterską, którąby się stała fundamentem zdrowia rodzinnego? Czy na gnojowiskach nie może wyrosnąć kwiat piękny i pełen krzepiącej woni?

Już to samo, że dramat roznieca myśli i zniewala do zastanowienia — zaleca go i wyróżnia z pośród wielu. Nie mniej wart uwagi i drugi, odznaczony na konkursie wydziału krajowego. »Wśród swoich« jest sztuką ludową. Na wsi pod Krakowem głównie dwie rodziny włościańskie objęte akcyą: Ptak i jego rodzina: zamożny, świątobliwy, wyrozumiały i dobry człowiek. Stąd i rodzina jego przeważnie dodatnio się przedstawia. Druga partya Wielgusów chciwa na mienie i nie przebierająca w środkach, byle je posiąść. Ale ludzi łączy lub odstręcza już nie tylko interes majątkowy, nie tylko ogólno ludzkie sympatye, lecz i polityka. We wsi wyraźnie zarysowują się dwie partye: konserwatywna i postępowa. Jak wszędzie, tak i tu starzy pragną zachować dawny stan rzeczy, młodzi chciwem łowią uchem rozgwar życia miejskiego i pragną nauki. Stary wójt zacofaniec boi się cienia własnego, a cóż dopiero wszelkiej władzy, ale że chciałby nasycić wilka i owcę ocalić, przeto przez palce patrzy na grę w karty i udaje, że nic nie wie o tem. Poza Ptakiem i wójtem — rzesza pijaków ciemnych, ogłupiałych, niedołężnych, jak Wielgus lub Grocholski, który zubożał i zalewa gorzałką nędzę, bo »wzieni djabli konie, to niech i wóz bierą«. Młodzi lepsi. Na czele Franek: »do kościoła w każdą niedzielę chodzi, posty są — to suszy; dzień święty przestrzega, jak się

patrzy; grzechu, kiej może unika, ale naukę i myślenie we wsi zaprowadzić pragnie. W pierwszym jednak rzędzie chłop jest, ziemi się trzyma i na roli pracuje« (27). Podobny doń Michał, podobny Kazimierz, nawet dumny skrzypek Wojtuś. Młode pokolenie wie, że świat nie ogranicza się przełazem zagrody lub wrotami wioski, pragnie wyrwać się ze swej spleśniałej skorupy, choć jeszcze nie ujawnia wyższych ponadto aspiracyi. Frankowi atoli nie poszczęściło się wśród swoich. Zawinił i oddala się, aby oczyścić duszę pracą i tęsknotą — wśród obcych.

Obu dziełom Kallasa przyznać trzeba wielką łatwość dyalogu, zdolność tworzenia postaci, szczęśliwą pomysłowość w odnalezieniu zajmującego przedmiotu, w którym tętni interes życia. W obu atoli wątek powieściowy góruje ponad żywiołem dramatycznym — ponad widokiem duszy we walce. Sięgnąć do dna cierpiącej duszy spółczesnej, roztoczyć widok siły moralnej, siły społecznej, siły artystycznej w zapasach, rozwidnić pęd, w którym podąża zbiorowa dusza narodu ku przedświtom lepszej doli — to zadania dramatu wyższe ponad szarą rzeczywistość, ponad drobne nędze, drobne wymagania, drobne zmartwienia, drobne urazy i krzywdy.

Zgodnie z tradycyą naszej literatury — dramat powinien podług mego zdania głęboko rozorywać glebę duszy jednostkowej lub zbiorowej, powinien górne brać loty i po ugorach nie szukać bezwonnych chwastów. To sięganie po głębie lub po szczyty należy się naszemu dramatowi, jeśli chce stać się godnym takiej spuścizny, jak »Odprawa«, »Barbara«, »Dziady«, »Kordyan«, »Irydion«, »Warszawianka« i »Wyzwolenie«.

II.

W bieżącej literaturze najwięcej zajęcia u ogółu budzi dramat, ale i liryka zachwyca formą, czaruje nastrojami. Nową, piątą seryą swoich poezyi obdarzył czytającą publiczność Kazimierz Przerwa-Tetmajer. Na czele poemat p. t. »Podczas wiatru z Tatr«. Jak niegdyś Shelley chmurę, tak Tetmajer wiatr wielbi. Największy to dla niego skarb duszy. Otwiera on państwo snów, ukazuje światło, przestrzeń i ciszę. On dał poecie nieugięte uczucia, wrażenia gwałtowne, z których wybucha

»jakieś poznanie takiej duchowej swobody,
Że się z tego religia własna rodzi z ducha,
wołana przez tęsknoty, przez sny niewymowne«... (8)

Wiatr rozwijał duszę poety, że się zdała spływać z mgłami i mgieł melodye na górach słyszała. Wiatr — to struna natury, na której gra ruch, wszechbyt, czas i przestrzeń wieczna. Dusza gubi się w tym szumie, pełna melancholii. Porównałem poemat do Chmury. Różnica jest ta, że chmura sama o sobie i swej roli w przyrodzie opowiada, poeta nasz natomiast wielbi wiatr, jako siłę przyrody, dla ducha twórczego wielce dobroczynną. Podobnie gwebrowie wielbili ogień, podobnie Manfred Byrona pełnemi hołdów usty opiewa słońce. Pośród tych listków, przez wiatr zawianych, znajdzie się niejeden piękny, ale zdaje mi się, że na kanwie zimnego wiatru nanizał poeta za wiele gorących inwokacyi, uwielbień, myśli i uczuć; skutkiem tego żywioł obojętny, chłodny, często wrogi i groźny — wystawiony jako dodatnia potęga. W dalszym ciągu liryków daje poeta szereg fragmentów liryczno-refleksyjnych o pierwiastku złego w duszy, o pragnieniu i tęsknocie do wieczności, o śmierci i wiośnie — i znów wraca do motywów tatrzańskich i zamyka książkę opowieściami o Janosiku. Dowie się stąd czytelnik, jakto Janosik mści się na dwunastu węgierskich magnatach w czasie turnieju — za krzywdy niewiast góralskich, jakto atamana zbójeckiego odpycha kasztelanka, bo »chłopski syn z chłopskiego plemienia«, ona zaś grafa córka. Potem ulega mu, a gdy ją ojciec kazał żywą zakopać, jak Janosik burzy zamek i odkopuje trupa.

Nareszcie i sam hetman ginie dzięki zdradzie Hanki z Kokawy. Motywy te, opracowane w taki sposób, jak w książkach »Na skalnem Podhalu«, różnią się jeno wierszową formą. Próbą onomatopecznego poematu jest tryptyk p. t. »Dzwony«, przypominający pod tym względem »Dzwony« Ed. Al. Poe'go. Zasobem pomysłów nie jest ta piąta serya cenionego poety bogatsza od dawnych; owszem, uważałbym w powtarzaniu się motywów, w szukaniu efektów niejaką sztuczność i oziębłość żyły poetycznej. Czy nie jest to skutkiem unikania struny patryotycznej, skutkiem zbyt wyłącznego ograniczenia się do Podhala w strunie ludowej, skutkiem zobojętnienia dla struny religijnej i społecznej? Przybyszewski, jak wielu naszych *minorum gentium* poetów, tak zdołał zatruć z większych talentów Tetmajera. Wyzwolił się i własnemi drogami poszedł Wyspiański, wyzwolił Kasprowicz; tymczasem niegdyś pierwszy na polskim parnasie, niegdyś przedsłannik smutnego apostoła modernizmu — trwa do dziś, jak z tomiku piątego widać, w sceptycyzmie, w obserwacyi subtelnej wprawdzie ale czczej dosyć — rozpływaniu się duszy we mgłach wszechprzyrody, w malowaniu złych najczęściej stron górali... »Chcemy, żeby nasi poeci mówili nam o du-

chu narodowym, o dziejach domowych, o uczuciach jeszcze żywych w sercach i pojęciach przyrodnich« — tak wołał w 1828 r. do romantyków Michał Grabowski w swych »Myślach o literaturze polskiej«. Wiele się od owego czasu zmieniło, a jednak i dziś można dosłownie powtórzyć tę prośbę czy wołanie.

Mam przed sobą parę tomików, w których żywo tętni i dzwoni nuta, obca poetycznemu talentowi Tetmajera: gorąca nuta religijna i patryotyczna. Dzieje literatury naszej dowodzą częstego spływu tych uczuć; można prawie powiedzieć, że z pośród poetów naszych — ci religijni kochali gorącem uczuciem Polskę: tak Kochowski, Sarbiewski, Zaleski i trzej najwięksi. Dlaczego nasi nowi romantycy uważali strunę religijną za niegodną liry swej? Mija to, może minęło. Coraz częściej i głośniej brzmi ona w takiem właśnie z patryotyczną połączeniu. Wszak nienadaremnie Kajsiewicz uważał narodowość za obraz wpity, wrośnięty w mur katolicyzmu. Ardens w książce, p. t. »Ognie i błyski« (Kraków 1904) wyczerpuje skalę uczucia religijnego w licznych odcieniach i różnorakiem napięciu tonu. Widocznie to głęboko religijna i pobożna dusza; czuję ona bole doczesnego bytu dotkliwie, ale podporą i pociechą jej: głęboka wiara w kierunek boski, szczera nadzieja w wieczność zagrobową, zaufanie w wartość ascezy, miłosny zapał dla nauk Zbawiciela, niecenie ciągłe w duszy swej miłości chrześcijańskiej i świętej tęsknoty do nieba. Powiedział raz Słowacki tak pięknie o Ellenai: »Serce jej od ciągłej modlitwy stało się pełne łez, smutków i niebieskich nadziei, i wypiękniało na niej ciało«. I u Ardensa pomimo wszelkich tchnień żaru religijnego, smutek z kart wieje; i u niego niemasz wcale cielesnych pokus, zgryzot i walk. Uduchowienie »Ogniów i błysków« świadczy chlubnie i wymownie o górnym wzlocie nastroju religijnego u autora. Na jeden ziemski wyraz nie zdrętwiała wrażliwość poety, na wyraz: ojczyzna. Utwory takie, jak: »Do mego narodu«, »Mickiewiczowi«, »Socyaliści«, »Marsz robotników katolickich«, »Zapaleńcom«, *Quousque tandem* wskazują, że autor płomiennie kocha ojczyznę i Boga. We formie utworów widnieje wielka łatwość wierszowania. Najtrudniejsze strofy płyną swobodnie, najdobrańsze rymy znajdą się pod ręką. Ale ta łatwość mści się na poecie. Nie zadaje on sobie trudu, aby tworzyć nowe kombinacye obrazów, aby wyszukać śród przenośni te, które nie są zbyt pospolite. Nie dość dba o konkretność słownictwa, a siłę obrazów, zestrojoną z żarem uczucia. Najlepsze skutkiem tego wierszyki elegijne, jak n. p. »Wieczorny dzwon«, lub »Wiodę życie smutno«.

Poczciwe, proste, czasem rzewne są »Legendy z życia Najświętszej Maryi Panny«. Książeczka, przeznaczona dla »młodego wieku«, nie ma zapewne pretensyi do wzniosłości poetycznej. Wiersz gładko płynący, rymy niezbyt wybredne, w części gramatyczne, obrazy nie misterne, nie mącą prostoty i przejrzystości szeregu epizodów, przypisywanych Matce Bożej przez tradycyę chrześcijańską. Nie należąc do dzieł poetycznie znaczących, »Legendy« mogą stać się miłe tym, którym je autorka ofiarowała. Nie można wszakże powiedzieć tego o utworze scenicznym p. J. Szczeroty (Brody 1905). Bożymir, wieszcz, smutny, przechadza się po leśnej polance, pełnej kwiatów. Ulega on czarom dziewicy Lilii, spotyka potem pielgrzyma, który namową odwraca uwagę wieszcza od miłości osobistej, a kieruje ją ku pracy, mającej odrodzić ojczyznę. Spotyka się też z pustelnikiem: i ten popiera rady pielgrzyma. Wtem nieznajomy w rodzaju Mefistofelesa kusi się porwać wieszcza na manowce; uczyniłby to, gdyby nie pustelnik. Utwór dyalogowany, pisany nader lichym wierszem, co zadziwia w obecnej dobie, kiedy już trudno znaleźć rymy kiepskie. Nie mam zamiaru znęcać się nad autorem przez szczegółowe wykazywanie ułomności utworu. Powiem jeno, że nie można dzisiaj ogłaszać takich rymów, jak: ciszy — kołyszy, pieśni — boleśnie, świątyni — minie, śmiało — ideału, stanie — przystani, kiju — żyją, braci — znacie, sokole — powoli, uścisku — igrzysko, dzieci — gniecie, stało — szału, bezcześci — wreszcie, jakim — znakiem, się sroże — dopomoże...

Takie zaniedbanie formy rzadkiem dziś zjawiskiem. Daleko częściej spotyka się zwłaszcza w liryce udoskonalenie jej. Oto pierwsze tomiki młodych poetów: p. Stef. Tatarówny p. t. »Buddha« i p. Jerzego Denkera p. t. »Z młodego serca«. W pierwszym na początku zapewnia autorka, że kwiatki są w wiośnie życia pozbierane. Na tle dziejów duszy »Buddhy« rozsnuwa szereg melodyjnych poemacików, »hołd mu grając cichą piosenką«. Jest to przeważnie »cicha piosenka« — i jeżeli jaki tej liryce zarzut uczynićby należało, to właśnie ten, że za wiele rozmyślania, za wiele uczuć zwykłych, za mało zaś głębokich uczuć i głębokich myśli i potęgi słowa. Niekiedy w lirze odzywa się nawet nuta wiejskiego zawodzenia, nuta sielskiej piosenki, która w zastosowaniu do tematu brzmi prawie, jak dyssonans.

Oj matulu rodzona, oj mój ojcze rodzony,
Kołysałeś mię w złotej kolebce,
Omamiłeś mię, królu, blaskiem swojej korony,
Syn twój teraz jak nędzarz — łzy chłepce (44).

A tymczasem tonem głównym tomiku są rozmyślania na tematy najwyższych zagadnień ludzkości. Autorka włada mową poetyczną biegle, wynajduje najtrudniejsze kombinacye zwrotkowe i swobodnie igra z trudnościami, pokonując je bez mozołu; niektóre cząstki n. p. »W lasach Uruvela« albo w »Kapilavastu« wypadły bez zarzutu. Życzyćby należało, aby się do rodzinnych zwróciła dziedzin i poświęciła narodowej duszy swe pieśni. W zbiorku p. Denkera zjawiskiem powszedniem jest różnorodność form poetyckich, miar wierszowych, wyrobienie formy; rzeczą zajmującą wyobraźnia poetycka, czuła na wrażenia świata i czary przyrody, ale przeważa znów nad plastycznym pierwiastek refleksyjny. W sonetach dźwięczy dalekie echo Krymskich Mickiewicza, w grupie wierszy »Wśród łez« przeplata się uczucie miłości i bólu, słodkich uniesień idealnej duszy i melancholli, płynącej z poznania ogólno-ludzkiej niedoli. W poemacie »Modlitwa« skarży się boleśnie na rozterkę duszy:

Gdzieżeś zniknęła, o wiaro dziecinna,
Co białe lilie kładłaś mi na łonie?
Szukam cię tęskny i żałosny w sobie,
W bezmiernej, głuchej zatopion żałobie.
O wróć...

Znajdzie się tu i prolog do fantastycznego dramatu p. t. »Z tajników duszy«, nieco przypominający świat fantazyi, czy Byrona, czy Szekspira — i przez to właśnie mniej cenny. My pragniemy, ażeby nasze duchy miały narodowy charakter, jak wszelkie znamiona rodzimości mają Goplana, Skierka i Chochlik. Tymczasem u. p. Denkera muszą być dekoracye morza, gór i t. p. W poezyi autora »Z młodego serca« obok formalnego wyrobienia, obok odczuwania i uświadamiania stanów duchowych zaznaczyć trzeba smętek, poszukiwanie oparcia dla serca, umiłowanie ojczyzny i tęsknotę do Boga, ale zresztą mnóstwo uczuć rozwiewnych, nieskrystalizowanych, wiele narzekań, które powracają, nie znalazłszy ukojenia. Pomysły przelotnych i minionych walk, ujęte w kształty wierszowe, ale echa tych walk jeszcze nie przebrzmiały, ostateczny ich rezultat niepewny, przeto w książce razi migotliwość wrażeń i nieustalenie się charakteru uczuciowego. Wygląda zbiorek tak, jakby poeta gromadził po drodze życia okruszyny wrażeń, doświadczeń i uczuć, wszystko bez braku wsnuwając w tkaninę wzorzystej poezyi. Ale młode życie cichym płynęło strumieniem. »Namiętność niepogód groźnych nie wzburzała«. To też nie zawsze i bole dadzą się wytłumaczyć.

Powiedział niegdyś Teofil Gautier we wierszyku *L'art:*

Les dieux eux — même meurent,
Mais les vers souverains
Demeurent
Plus fort que les airains.

Dobrze to wróży książeczce p. Jana Pietrzyckiego p. t. »Refleksy światła« (Lwów 1905). Właściwie refleksów światła jest tu tylko trochę na początku, a dalej idzie r o n d o k o l o r o w e, potem p o s ą g i, f r a g m e n t y i urywki z poezyi japońskiej. W pierwszej grupie same prawie sonety: »Potok«, »Staw«, »Sad«, »Majowa legenda«, »Leśny moczar«, «Święto palm« i t. d. O ile są te refleksy dostrzeżone w przyrodzie, o ile niekiedy tchnie z nich nastrój, o ile są one nasycone barwami, pełnemi przepychu, o tyle sonety opisowe piękne, w doborze wykwintnych i trudnych metafor podobne do uroczych figurek nowego stylu, zdobiących marmury eleganckiego budoaru. Czy atoli warto biedzić się nad cyzelowaniem sonetu na puhar z winem, spijanem z dziewczyną (19), lub na różowe meble w alkowie, (22) albo na »słodki menuet«, »pochylenia dworskie, korne«?... Przypomina mi to szumne ody na butelkę od króla Stanisława przysłaną, na sanie pięknej pani, wiersze do azorków i filusiów. Nie lepsze niestety »Rondo kolorowe«. Drobne i liche ułudy rozkoszy zmysłowej, maluchne kropelki, zabłąkane w goryczy pełnej czarze, przelotne iskry hulaszczego omamienia czy upojenia — wszystko poecie wydaje się drogocennem, a wszystko w istocie świadczy o nizkim poziomie natchnień. Wśród »Posągów« parę zajmujących motywów, ale we »Fragmentach« znów na płytką, miłosną melodyjkę stroi swoją lirę. A jednak żal, bo z takich poemacików, jak »Staw«, »Po deszczu«, »Dzwon« widać, że nie tylko umie on dźwięczne składać rymy i barwami jaskrawemi malować, ale potrafi też wyczuć głęboką i tajemną spojnię pomiędzy ludzką duszą a przyrodą, potrafi w zadumaniu śledzić ruchy własnego serca. Jest to więc niewątpliwie poeta z Bożej łaski, tylko wyszedł z tegoż gniazda, co autor tragedyi »Beati« i »Ironia«.

Dwa nazwiska powtarzały się w niniejszym przeglądzie kilkakrotnie: Wyspiański i Przybyszewski. Drugi sam dziś prawie nie pisze, a jednak żyje w naśladowcach, pierwszy co parę miesięcy darzy nas wielce zajmującem, nieraz świetnem dziełem, a jednakże brak mu naśladowców, choć wielbicieli ma tłumy. Droga, jaką dramatowi wskazał Wyspiański, jest dla słowiańskiego i polskiego dramatu jedyną.

Prawdziwa fatalność w tem, że młode talenty poetyczne zawsze wolą, choćby na początku — manowce...

Antoni Mazanowski.

Przyczynki do słownictwa polskiego. *Aleksander Brückner.* Kraków 1903 (odbitka; także w 38 tomie Rozpraw Wydziału filozoficznego Akademii Umiejętności, Kraków 1904, str. 280—397).

W sprawozdaniu z jednego z dzieł prof. Brücknera, ks. Fijałek nazwał go podobnym ewangelicznemu człowiekowi gospodarzowi, który wyjmuje z skarbu swego nowe i stare rzeczy. Porównanie trafne i zręczne. Istotnie prof. Brückner zdaje się jakby posiadał skarbiec niewyczerpany notat, zapisków, materyałów, odnoszących się przedewszystkiem do historyi języka i literatury polskiej, do historyi polskiej kultury w przeszłych wiekach. Skarbów zaś swoich nie trzyma pod korcem, udziela ich hojnie. Ma, co prawda, przytem jednę właściwość, dla obdarowanych tj. czytelników mniej ponętną. Nie lubi swoich materyałów porządkować. Drukuje je tak, jak je zapisał i zgromadził. Nie zadaje sobie trudu zbytniego ich opracowania. Stąd większa część jego prac, to zbiór materyałów a nie rozprawy, nie dzieła. Jest to już właściwość pisarza, na którą nie ma widocznie rady. Pozostaje więc nam trud czytania i porządkowania. Ale ostatecznie nie wymagajmy za wiele; skoro autor zebrał materyały tak bogate i tak ciekawe, to w zamian za to niechże i czytelnik nieco się potrudzi.

Stały to refren w ocenach prac prof. Brücknera; zaczyna się on nawet odzywać wśród szkoły lwowskiej (jeżeli można użyć tego określenia), najpracowitszej, najcierpliwszej i najdrobiazgowszej na całym obszarze ziem polskich. Można go też zastosować do pracy »Przyczynki do słownictwa polskiego« w całej pełni, ze słusznością większą, niż gdziekolwiek indziej. Nie jest to bynajmniej rozprawa, studyum, jest to bardzo luźny zbiór rozmaitych notatek; można je też czytać urywkami, zacząć gdziekolwiek i gdziekolwiek przerwać. Właściwie słowo »czytać« jest tu może eufemizmem — jak niepodobna »czytać« słownika, tak jeszcze więcej niepodobną jest rzeczą czytać te notatki. Można tylko w razie potrzeby do nich zaglądać, naturalnie gdy będzie do nich dodany indeks.

Niemniej jednakże, mimo tych impedimentów, warto się z Przyczynkami zapoznać, w sprawozdaniu zaś z nich najciekawsze dla ogółu rzeczy wyłowić i podać.

Autor obrał sobie za przedmiot badania kilka rozmaitych ksią-

żek z różnych czasów i wypisuje, co w nich znalazł godnego dla polskiego słownictwa; naturalnie nie jest to tylko wykaz, ale zarazem tłumaczenia i objaśnienia (historyczne, etymologiczne, fonetyczne i t. d.). Ale na tej dziedzinie się nie ogranicza. Robi ekskursy na pole czysto literackie (tak n. p. mówi dość obszernie o Kromerowych »Rozmowach mnicha z dworzaninem«; szuka źródła dla znanego wiersza Kochanowskiego »Trudna rada w tej mierze« w jednem zdaniu Terencyusza — czego mu się zresztą nie udało dowieść), w dziedzinę folkloru (wypisuje znaczny poczet przysłów z inkunabułu polskiego z r. 1545), w dziedzinę historyi kultury wogóle (zwłaszcza w ustępie, omawiającym nazwy roślin).

Pierwszem z dzieł, służących badaniu autora za podstawę, jest ów inkunabuł z 1545. Są to sentencye, zdania, frazesy z Terencyusza wybrane i zaopatrzone przekładem polskim przez mistrza Walentego z Kęt. Ważne między innemi dla paremiografii polskiej. Bardzo wiele przysłów i zwrotów przysłowionych polskich tam się znajduje jako przekład sentencyi Terencyusza — i tu widzimy ich łacińskie pochodzenie — albo jako ekwiwalent zwrotu łacińskiego. Z dzieła tego czerpał, jak prof. Brückner wykazuje, Rysiński. Oto kilka przykładów tych przysłów i zwrotów.

Znany jest dzisiaj zwrot: mówić, pleść trzy po trzy. W tej formie u Rysińskiego. W naszym Terencyuszu jest starsza postać: nie wiem kędy trzy — *nullius consilii sum.*

Łacińskie: *hic de grege illo est*, oddano przez: to z tego płotu kół.

Spem pretio emere: kupować kota w worze.

Lupus in fabula: wilka mienią, wilk w sieci (dzisiaj: o wilku mowa, a wilk tuż).

Verba fiunt mortuo: mów wilku (wilkowi dat.) pacierz, a wilk woli kozią macierz.

Ten Terencyusz polski miał więcej wydań; trzecie wyszło w r. 1586. Porównanie pierwszego z trzeciem pokazuje bardzo interesujące szczegóły, jak język literacki polski przez ten czas się zmienił. W okresie dawniejszym, w pierwszej połowie XVI wieku i w początkach połowy drugiej, język ten nie jest jeszcze zbytnio wypolerowany, powtarzają się u autorów częste prowincyonalizmy (dla nas dzisiaj bardzo cenne); z czasem jednakże język ten wygładza się coraz więcej, przystosowuje do normy krakowskiej, stającej się coraz bardziej normą języka literackiego *par excellence*. Prof. Brückner twierdzi, że ta tendencya doprowadziła do zubożenia języka polskiego; że jest taką samą, jak

puryzm pisarzów Stanisławowskich i klasyków warszawskich. Poglądu tego niepodobna dzielić; puryzm klasycystyczny był zupełnie inny, a zubożenia języka w drugiej połowie XVI wieku niełatwo dostrzec; wątpić wolno, czy n. p. język Kochanowskiego jest uboższy od Gliczner a. Zamiast tedy o zubożeniu, lepiej mówić o zmianie języka literackiego. Prof. Brückner pokazuje te zmiany na trzeciem wydaniu Terencyusza: zamiast »natuchnął mię«, w 3 wyd. jest »upomniał mię«; hadrunk (1): warchoł (3); blekot: błazen; gębuśku!: duszenko!; potrzeb: potrzeba i t. p. Te zmiany objawiają się także u pojedynczych pisarzów; tak Gliczner w książkach o wychowaniu dzieci, r. 1558, ma dużo wyrażeń gwarowych, prowincyonalizmów, i słów przestarzałych, których się wystrzega w późniejszych swoich pismach.

Omawia następnie prof. Brückner Kromerowego »Mnicha«; podaje dokładny rozbiór treści; zwraca uwagę na stanowisko tego dzieła w polemicznej literaturze religijnej owych czasów; mówi o niem: »Wstrzemięźliwość wysłowienia, odbijająca tak korzystnie od ówczesnych swarów i wyzwisk, nadzwyczajna jasność, logiczność, gruntowność wykładu, stałość przekonań, pewność siebie, wielka wiedza, sprawiają i na dzisiejszym czytelniku wrażenie bardzo korzystne«; omawia wreszcie język tego dzieła, ciekawy przez to, że »kusił się Kromer o wydanie rzeczy, których po polsku nie pisywano, i walczył z niejedną trudnością, formował wyrazy (p o w s z e c h n y) i próbował nowej terminologii (n. p. h a s ł o, zamiast s k ł a d apostolski).«

Inne stare druki służą autorowi przedewszystkiem do gromadzenia materyałów dyalektologicznych. Prof. Brückner jeden z najwcześniejszych rozpoczął studya »Z przeszłości gwar polskich«, obecnie pomnaża je i bogaci wyciągami z dawnych autorów. Nie potrzeba dodawać, jak wielkie mają znaczenie dla dyalektologii polskiej takie właśnie przyczynki; przeszłość gwar polskich znaną nam jest bardzo mało, każdy więc drobiazg nawet z tej dziedziny wzbogaca faktyczny stan naszej wiedzy w tym względzie. Prof. Brückner wypisuje wyrazy gwarowe z takich pism, jak Anonima fraszki z lat 1562—1568; właściwości gwarowe nie są tu zbytnio zlokalizowane: jest wiersz p. t. »O krzcinach grubą chłopską mową«, pełen »grubych, chłopskich«, ale ogólnie-chłopskich wyrażeń. Za to w innych pismach, badanych przez autora, objawiają się już zdecydowanie umiejscowione prowincyonalizmy. Przytacza n. p. prof. Brückner wyjątki z »Informacyi krótkiej, że najjaśniejszego elektora brandenburskiego żołnierzowi intromissyej miasto Elbiąg roku 1698 zabronić nie mogło. Roku 1700« —

z pisma obfitującego w prowincyonalizmy pruskie. Najwięcej jednak materyału zyskuje historya narzecza śląskiego. Autor przegląda w tym celu dzieła »fararza Kluczborskiego», Adama Gdacyusza, który starał się pisać polszczyzną ogólną, literacką, unikał prowincyonalizmów, ale ustrzec się ich zupełnie nie potrafił, i najciekawsze w tym przeglądzie dziełko, ważne, nieocenione po prostu dla poznania narzecza śląskiego z końca wieku XVIII: *Der Hoch- und Platt-Polnische Reise-Gefehrte für einen reisenden Deutschen nach Südpreussen und Ober-Schlesien.* Breslau und Leipzig 1804. Jest to praktyczny podręcznik do nauki języka polskiego literackiego *(hochpolnisch)* i narzecza śląskiego *(platt-polnisch)*, ułożony w formie rozmówek, więc podręcznik, jakich wiele. Znaczenie jego dla nas właśnie w tekście śląskim (napisanym dwukrotnie: pisownią polską, i niemiecką dla Niemców). Z przykładów, podanych przez prof. Brücknera, widać, jak przez sto lat narzecze to nie zmieniło się — czytając je, ma się wrażenie, jakby się czytało wydane niedawno teksty śląskie, zapisane przez śp. prof. Malinowskiego.

Od przyczynków gwarowych autor przechodzi do słownictwa średniowiecznego, do nazw roślin. Biorąc za podstawę materyały, zebrane i objaśnione przez prof. Rostafińskiego, poddaje je rozbiorowi filologicznemu; wynosząc wysoko ich wartość, podaje w wielu razach swoje, odrębne wyjaśnienia, tam mianowicie, gdzie botanikę zawiodły wiadomości językoznawcze. Więc n. p. nazwę rośliny l i c z y d ł o prof. Rostafiński wyprowadza stąd, jakoby ona dawała szczęście w nabywaniu, liczeniu pieniędzy. Ta sama roślina ma także nazwę b i e l i d ł o. Otóż prof. Brückner tłumaczy, że jedna i druga nazwa znaczą to samo, w dawnej polszczyźnie l i c z y ć znaczy to samo, co kreślić, upiększać płeć. Wiele etymologii prof. Rostafińskiego »Przyczynki« wywracają; dowodzą n. p., że rzekomo z niemieckiego lub z czeskiego wzięte nazwy są rodzimemi: s z e s z u ł a i s z e s z e l i n k a, prastary termin, nie z niem. *Schale*; d z i e g i e ć, rzecz i nazwa, nie przyszły do nas z Litwy; s z c z y r trudno wywodzić z niem. *Stier, stür*, wobec faktu, że jest ten wyraz we wszystkich językach słowiańskich, więc raczej pierwotny, rodzimy; s t o i a c z e k w jednym z rękopisów, to nie nazwa czeska, lecz polskie s t o j ą c z e k; bagno albo p o r e j *(ledum palustre)* R. wywodzi z niem. *porst*, natomiast prof. Brückner zwraca uwagę, że z p o r s t nie może się wywodzić p o r e j, jest to nazwa zachodnio słowiańska, istnieje nazwa miejscowa P o r e j nad Łabą, a więc najprawdopodobniej — bagno; wywód p o k r z y w y od kropienia (jakoby z pierw. formy kropiwa — kopriwa — koprzywa), powtórzony

przez prof. R. za Rozwadowskim, nasz autor zwalcza, uważając formę k o p r i w a za pierwotną, i łącząc ją bliżej z koprem. Tak i wiele innych pozycyi prof. Brückner prostuje, wyjaśnia inaczej, aniżeli pierwszy wydawca.

Przyczynki swoje autor podawać będzie i później — korzystanie z nich jednak możliwem będzie dopiero wtedy, gdy będzie do nich dodany indeks bardzo szczegółowy i sumienny. Tak jak jest obecnie, nie jest to książka do ciągłego czytania, tylko zbiór materyałów. Dodajmy jednak: materyałów bardzo ważnych i bardzo ciekawych.

St. Dobrzycki.

Analiza psychologiczna objawów woli. Napisał *dr. Władysław Witwicki.* Lwów 1904. (Str. 123).

Jest to pierwsza, (o ile wiem) rozprawa, drukiem ogłoszona, młodego jeszcze autora, który ma widocznie zdolność i zamiłowanie do badań filozoficznych, a nawet zdobywa się już w pierwszej pracy swojej na poglądy poniekąd nowe i oryginalne. Czy można mu przyznać słuszność, to inne pytanie, ale już samo dążenie do samodzielności i sama śmiałość, z jaką próbuje rozstrzygnąć kwestye bardzo zawiłe, każe się spodziewać, że z czasem stanie on w szeregu myślicieli wybitniejszych, byleby tylko wystrzegał się zbytniej pewności siebie i nie przeceniał swej bystrości, co mu dziś jeszcze muszę zarzucić, a zwłaszcza jego krytyce teoryi Arystotelesowej o naturze woli. Według autora Arystoteles nie tylko nie ma słuszności, kiedy rozróżnia wolę od sądu, ale co więcej, on popełnia grube, oczywiste błędy przeciwko prawidłom logiki, której sam jest twórcą! Byłoby to odkrycie niemałego dla dziejów logiki znaczenia, gdyby argumentacya p. Witwickiego dała się utrzymać i trzebaby się tylko dziwić, że nikt dotąd przed nim nie zauważył tych mniemanych błędów. Analizując rozumowanie filozofa, zawarte w etyce Nikomachejskiej, a stwierdzające, że postanowienie nie jest ani żądzą, ani afektem, ani pragnieniem, ani mniemaniem (czyli sądem), usiłuje autor wykazać, że jest to tylko szereg paralogizmów. Oto próbka jego krytyki (nie mogę bowiem zbijać wszystkich jego wywodów): Według Arystotelesa postanowienie nie jest żądzą ani afektem, ponieważ nie można go przypisywać stworzeniom nierozumnym, które tylko czują i pożądają. W zdaniu tem rozpoznaje p. Witwicki sylogizm następujący (str. 10): »1-e) Żadne stworzenie bezrozumne nie postanawia; 2-e) wszystkie stworzenia bezrozumne (a przynajmniej niektóre) do-

znają pożądań i afektów, przeto żadne pożądanie nie jest postanowieniem i powinnoby (? tu zakradł się widocznie jakiś błąd) stąd wypływać: przynajmniej postanowienia nie są pożądaniami. Jednakże po bliższem przyjrzeniu się temu wnioskowi, pokazuje się, że z przesłanek, które autor przytacza, absolutnie nie wypływa fałszywość twierdzenia przeciwnego. Bo mimo dopuszczalnej prawdziwości sądów obu: 1-e), że żadne bezrozumne stworzenie nie ma postanowień, i że 2-e) nawet wszystkie stworzenia bezrozumne posiadają pożądania i afekty — nic a nic stąd nie wypływa dla stosunku pojęć postanowienia i pożądania, albowiem równie dobrze mogą w tym razie wszystkie postanowienia leżeć w zakresie pożądań i afektów, mogą tylko niektóre postanowienia być pożądaniami i żadne postanowienie może nie być pożądaniem. Gdyby rozumowanie autora ubrać w formę sylogizmu, otrzymalibyśmy figurę trzecią, gdyż termin średni: »stworzenia bezrozumne« rozpoczyna *(sic)* obie przesłanki, a przytem trójcę sądów e, a, e, czyli następstwo dopuszczalne tylko w figurze pierwszej jako Cesare, albo w drugiej jako Celarent« (*sic* — tu znowu przydarzył się autorowi *lapsus calami*).

Czyż jednak trzeba było na to sylogizmów i kółek (które w tem miejscu zakreśla p. Witwicki), żeby dojść do tego wyniku? Ktokolwiek uczył się logiki elementarnej, będzie widział odrazu, że sylogizm, sformułowany przez p. Witwickiego, nie jest prawidłowy. Ale mnie przynajmniej wydaje się rzeczą oczywistą, że Arystoteles wnioskuje według trybu Baroco: 1. Pożądania i afekty mogą istnieć bez rozumu. 2. Postanowienie (προαίρεσις) nie może istnieć bez rozumu — a więc postanowienie nie jest pożądaniem ani afektem. Podobnie ma się rzecz z całym szeregiem innych rzekomych paralogizmów, które według autora miał popełnić Arystoteles; różnica pomiędzy postanowieniem a żądzą widoczna jest dalej (ta jest niewątpliwie myśl Arystotelesa) w postępowaniu ludzi wstrzemięźliwych i niewstrzemięźliwych: pierwsi nie powodują się bez zastanowienia pożądaniem, kiedy zaspokajają swe potrzeby cielesne, ale decydują się na to z rozwagą — drudzy zaś idą bezmyślnie za popędem żądzy, więc nie można im przypisywać postanowień. Nie mają też według Arystotelesa racyi i ci, którzy postanowienie uważają za pewien rodzaj sądu czy mniemania (δόξα), bo 1-e) sąd może odnosić się do wszystkich rzeczy możliwych i niemożliwych, a postanowienie tylko do rzeczy, będących w naszej mocy; po 2-e) sądy dzielimy według tego, czy zgadzają się z prawdą, czy nie, a przy ocenianiu postanowień pytamy się raczej o to, czy są

dobre czy złe. Jest to różnica istotna i oczywista: sądy wydajemy o wszystkiem, o istnieniu Boga, o poezyi, o twierdzeniach matematycznych, o kwadraturze koła i t. d.; nikt zaś nie postanawia wykonywać rzeczy, o których wie, że absolutnie wykonać się nie dadzą. A dalej każdy sąd jest aktem umysłowym, w którym uważamy coś za prawdę lub nieprawdę i każdy musi być zgodny albo niezgodny z rzeczywistością; postanowienie zaś jest aktem woli, który istnieje zawsze na prawdę, jeżeli rzeczywiście czegoś chcemy, i który uznajemy za zgodny lub niezgodny z prawem moralnem.

Autor jednak usiłuje różnicę tę zatrzeć i wykazać, że postanowienie nie jest właściwie niczem innem, jak tylko sądem o naszem własnem, przyszłem działaniu. Otóż ta kwestya nie da się rozwiązać przez samo układanie sylogizmów: kto chce koniecznie uważać postanowienia za pewien rodzaj sądów, temu nie można wprost dowieść, że zapatrywanie jego jest błędne; tu możemy jedynie stwierdzić na podstawie własnego przeświadczenia wewnętrznego, że jest różnica istotna między aktem woli a sądem, że chcenie jakiejś rzeczy, świadome swych pobudek i celów, które nas skłania do pewnych postanowień, nie jest tem samem, co sąd, dający się wyrazić słowami: »mniemam (lub: jestem przekonany), że tak a nie inaczej uczynię«.

Oprócz Arystotelesa ocenia autor jeszcze poglądy trzynastu innych myślicieli z czasów nowszych, a mianowicie: Herbarta, Lotzego, Volkmanna, Wundta, Külpego, Laasa, Baumanna, Ehrenfelsa, H. Schwarza, Pfändera, Brentana, Lippsa i Ribota. Nie było jego zamiarem (jak sam pisze na str. 96) »omówić wszystkich teoryi, jakie tylko na temat woli powstały«, sądzę jednak, że w monografii, poświęconej temu przedmiotowi, należało uwzględnić w pierwszym rzędzie filozofów najsławniejszych, nie było zaś rzeczą potrzebną streszczać tak obszernie rozpraw mniejszego znaczenia (tak n. p. dużo stosunkowo miejsca zajmuje tu polemika Erenfelsa ze Schwarzem). Niejeden też zarzut wywołuje analiza, której autor poddaje monolog kochanki Fausta, objaśniając tym przykładem swoje twierdzenie, że pragnienia są pewnego rodzaju »sądami przedstawionymi«. Czyni to wrażenie poniekąd komiczne, kiedy autor wywodzi, że »w duszy Małgosi budzą się rozkoszne przedstawione sądy o istnieniu Henryka przy niej« (str. 104); inny psycholog nie znajdzie tu żadnego sądu, tylko tęsknotę dziewczyny, która sobie wyobraża postać kochanka, jak gdyby go już widziała przy sobie.

Wysłowienie autora nie jest wolne od germanizmów i innych zwrotów rażących, jak n. p. »cierpiący na braki formalne« (str. 12);

»nic nie przeszkadza, żeby uznawać« (str. 40); »ze zwyczajnem używaniem języka« (*Sprachgebrauch* str. 52); »suggerowano mu to przekonanie (str. 90); »żywić pogląd« (ib.) i t. d.

Ks. Aleksander Pechnik.

Wspomnienia o Słucku. Wydał *B. J. K.* Gniezno 1905. (W 8-ce, str. 112).

W słowie wstępnem od wydawcy taki sąd o tych Słucka wspomnieniach znajdujemy (pag. 5): »Znaczenie pamiętnika nie jest zbyt wielkie. Ani on obszerny, ani przedmiot wyczerpujący. O wiele więcej rzeczy zajmujących byłby podał dalszy jego ciąg, mający mieścić w sobie opowiadanie o rodzinach i osobach znamienitych w Słuczczyźnie, ale sędziwy autor nie wykonał powziętej z razu myśli. Wszakże i to, co się niniejszem w druku ukazuje, godnem jest ocalenia od zaguby, jako rys społeczności polskiej w dalekich okolicach dawnego województwa nowogródzkiego, które było także ojczyzną Adama Mickiewicza«.

Kto jest autorem tych pamiętników, wydawca nie mówi, zaznaczając tylko, że umarł w jednem z wielkich miast rosyjskich prowincyonalnych związanych z życiem Mickiewicza dnia 19 lipca s. s. 1890 r. i jeszcze cytuje przy tej okoliczności znany wiersz Mickiewicza, widocznie w związku z nazwiskiem autora pamiętników zostający:

Imię było niemieckie: dusza litewską została.

Otóż tyle tylko dowiadujemy się o autorze tych pamiętników...

Sam pamiętnik wydrukowany od str. 10 do 100; autor jego naprzód mówi o przeszłości dziejowej Słucka i o kniaziach Olelkowiczach, rzeczach wogóle znanych oddawna, a nawet teraz jeszcze dokładniej, gdy tyle nowych wydanych akt i dokumentów, nieznanych wcale autorowi pamiętnika; potem opisuje Słuck, jak wyglądał za jego czasów, t. j. w drugiej przeważnie ćwierci XIX stulecia; to są rzeczy dość interesujące; dalej opowiada o pobycie w szkołach słuckich, o kolegach, o niektórych wybitniejszych osobistościach, podając przytem niekiedy ciekawe przyczynki biograficzne, nakoniec wspomina o swoich podróżach w Mozyrskie i do innych okolic tamtejszych.

Pamięć jednakże autorowi nie zawsze dopisywała, a także często nie zebrał dobrych informacyi, więc nie zbadał dostatecznie przedmiotu. Tak np. (p. 94) przy opisie klasztoru Bernardynów w Słucku twierdzi, że fundatorem jego był Samuel Oskierko, za czasów Jana Kazimierza, co jest rzeczą problematyczną: o istnieniu tego klasztoru w XVII wieku jakoś głucho, a więcej mamy świadectw, że dopiero

w XVIII w. powstał (Gerwazy — Ludwik Oskierko, kasztelanic nowogrodzki, poczytywany jest zwykle za fundatora z r. 1739). Wtedy, na miejscu, możnaby było o tem się dowiedzieć napewno. Dalej powiada, że po spaleniu się ten kościół w 1817 r. już był na nowo wymurowany, a z oficyalnej wizyty szkół słuckich przez Twardowskiego (Archiw. do dziej. hist. i ośw. t. X) w r. 1819 wiemy, że w tym czasie jeszcze nie był ukończony Kościół i nabożeństwo się tam nie odprawiało jeszcze; pan A. Jelski, w »Słowniku geograficznym«, także podaje, że dopiero w 1820 r. budowa tej świątyni ukończona.

Na str. 59 autor upewnia, że pomiędzy uczniami różnych wyznań komitywa była dobra i dysput o religię — żadnych. Nam się zaś zdaje, że tak b a r d z o d o b r z e w tym względzie nie było, a naprowadza nas na ten domysł ustęp także z tejże wizyty Twardowskiego (l. c. p. 348) p. t. przyczyny osłabienia religii i sposób temu zaradzenia, zapisany w wizycie szkoły słuckiej.

Następnie autor zaznacza (p. 62), że kalwini słuccy zawładnęli biblioteką jezuicką; w rzeczywistości było inaczej: w r. 1816 przeniesiono ją do Wilna i przyłączono do biblioteki uniwersyteckiej 2,426 dzieł ze zbiorów jezuickich, a w Słucku zostawiono tylko 136 dzieł do użytku szkolnego (wizyta szkoły słuckiej przez Rudominę w 1816, manuskrypt, ale i Twardowski (l. c.) także wspomina o wysłaniu książek do Wilna).

Nadto są jeszcze niektóre drobne niedokładności u autora pamiętnika: Kościół wschodni uroczystość t. zw. Pokrowy, t. j. Opieki M. B., świętuje nie 1 września (p. 91), lecz 1 października; rodzina Daszkiewiczów h. Korybut nic nie ma wspólnego z książętami litewskimi (p. 25), jak to dowodnie wykazał Wolff (cf. »Kniaziowie litewsko-ruscy«); województwo nowogródzkie z częścią trockiego stanowiło Ruś Czarną, jak wiadomo, a nie Białą (p. 12).

Niekiedy napotykamy niejasne wyrażenia; np. na str. 20 powiada: chór śpiewaków trojczańskiego klasztoru (prawosławnego) tak dobrze wykonywał religijne śpiewy, ż e w w i e l k i e ś w i ę t a k a t o l i c k i e.... zapraszano go dla podniesienia uroczystości. Jakto do kościoła, czy gdzieindziej?!

Mówiąc o przełożonej monasteru św. Eliasza (p. 22—23) Kochanowiczowej (monasteru prawosławnego), która przed wstąpieniem do zakonu była wdową, wylicza po imieniu jej córki i jedną nazywa Te-

resą; tymczasem, jak wiadomo, w kościele wschodnim niezjednoczonym z Rzymem takiego imienia niema i nigdy go na chrzcie nie dają

W dodatkach (101—110) autor umieścił wspomnienie o Ludwiku Rozwadowskim, znanym niegdyś ziemianinie litewskim, wychowańcu Uniwersytetu wileńskiego, dziedzicu Botoczyc w powiecie słuckim, krótką notatkę o Arturze Niepokojczyckim, generale rosyjskim, ale katoliku i korespondencyę Jelskiego o Słucku w 1888 r. wydrukowaną w *Kraju.*

Całość pamiętników o Słucku, pomimo tych usterek i czasem braku ścisłości, przedstawia się z dodatniej strony i czyta się z przyjemnością, należy się więc wdzięczność szanownemu wydawcy za ich wydrukowanie i zachowanie od zagłady.

Przypiski i wszelkie objaśnienia do tego pamiętnika pochodzą od wydawcy, który wykazał w tem wiele wiedzy i oczytania wszechstronnego. Zwróciliśmy jednak uwagę na parę małych niedokładności.

Szanowny wydawca nazywa Rogniedę księżniczką pskowską (p. 13), a była ona — połocką; mówiąc o władyce dyzunickim pińsko-turowskim Abrahamie, nazwisko jego podaje — Stahoński (p. 19); u Stebelskiego (»Ostatnie prace«) czytamy o tym episkopie: Abraham, Grek, z tytułem biskupa stagońskiego; na str. 45 powiedziano, że w Koronie miały Maryawitki jeden tylko klasztor w Częstochowie, a był i drugi jeszcze w Berdyczowie; Hieronima-Floryana Radziwiłła mianuje tylko chorążym w. l., zarzucając p. Jelskiemu, że go nazywa podczaszym (p. 109); ten Radziwiłł był podczaszym od r. 1739, a chorążym od 1750 r. (cf. Wolffa: »Senatorowie i dygnitarze«, str. 203, 293).

Dodał także od siebie wydawca notatkę, bardzo interesującą, o Zofii, ostatniej z książąt słuckich, Januszowej Radziwiłłowej, która uczyniła hojny zapis na farę katolicką w Słucku, że do zamążpójścia mogła ona być katoliczką, idąc za matką Kiszczanką, pono katolickiego wyznania (Zofia jednak pochowana w cerkwi dyzunickiej). Motywy tego rozumowania i tej hypotezy bardzo są dobrze ułożone; mówi tu p. B. J. K. także o zamiarze proszenia o dyspensę w Rzymie dla Zofii (była krewną Janusza Radziwiłła). O tej dyspensie wspomina również Wolff (»Kniaziowie lit.-ruscy« p. 335) jako o fakcie; Janusz Radziwiłł prosił 20 lipca 1600 r. papieża o dyspensę. Wolff czyni dziwny dodatek przytem: »z prawem, aby Zofia pozostała w wierze wschodniej«. Jeżeli zaś Zofia wyznawała dyzunię, więc co znaczy dyspensa dla kalwina z prawosławną?

Wołyniak.

Z piśmiennictw obcych.

Essais de philosophie religieuse. Par *le P. L. Laberthonnière.* 2-e éd. Paris. Lethielleux. 1903. Str. XXXI i 330.

Zdaniem autora (XIII) ma być nie trudno odszukać myśl przewodnią, dającą charakter jednej całości 7 artykułom dość różnej treści i w różnych czasach powstałym (1891—1902), a złączonym w niniejsze dziełko. Istotnie z odnalezieniem myśli przewodniej, pół biedy; gdy idzie o jej określenie z jaką taką jasnością i precyzyą, niejednemu krytykowi wzdychać przyszło pod brzemieniem nazbyt trudnego zadania, a w rezultacie każdy rzecz zrozumiał inaczej, na co i sam ks. L. narzeka [1]. Do tej niejasności przyczynia się zapewne i to, że z góry oczekiwać nam każą: »beaucoup moins un exposé de doctrine, qu'une préoccupation et une attitude« (XIV). Dodajmy, że samo pole badania nie jest zbyt określone, skoro »la préoccupation est celle de l'éternel problème de la destinée humaine« a »l'attitude est celle de la recherche«. Jakkolwiek bądź — filozoficzno-apologetyczny system ks. L. zdaje się przedstawiać mniej więcej jak następuje.

Do rzeczywistego bytu nie docieramy ani za pomocą pojęć, ani za pomocą zmysłowego poznania. To, co czujemy zmysłowo, to subjektywne stany duszy naszej; to co myślimy przez pojęcia, to nie rzeczywistość, ale czcza i zimna abstrakcya. Co nazywamy »światem«, to projekcya na zewnątrz, subjektywnego stanu duszy [2]. Przekonanie,

[1] Wśród wielu innych tak pisze Billot o dogmatyzmie moralnym: »Frustra quaeres apprehendere inconsistentem et fugitivam doctrinae umbram, quae ne quidem in mente suorum auctorum determinata habet lineamenta, sed debebis esse contentus vagis generalitatibus...« *De sacra traditione.* Romae 1904. Str. 102.

[2] »L'être ne peut être atteint ni par la sensation, ni par la pensée proprement dite. En effet ce qui est senti comme tel, ce sont des états d'âme; et ce qui est pensé, comme tel, c'est de l'abstrait ou du général. Ce n'est ni par la sensation ni par la pensée comme telles, que l'être nous est donné«. (45) »L'être n'est ni une chose sentie, ni une chose pensée« (82). »Concevoir et affirmer l'existence d'autres êtres ne resulte donc pas, d'une perception sensible, comme le supposent les empiristes, ni d'un instinct, comme le supposent les fidéistes, ni d'un travail d'abstraction comme le supposent les idéalistes« (90—91). »Ce qui caractérise le dogmatisme illusoire c'est donc d'attribuer, soit aux sensations, soit aux idées comme telles, une existence en soi ou de les considérer comme représentant adéquatement des existences en soi. Selon les uns il semble qu'il n'y a qu'à ouvrir les yeux du corps, selon

że docieramy do bytu za pomocą czy to pojęć, czy zmysłów, że pojęcia jako takie mają wartość objektywną, jest naiwnością i snem ducha, snem, w który popadają wszyscy empiryczni i idealistyczni dogmatyści, nie umiejąc za pomocą krytyki, otrząsnąć się z tego prymitywnego stanu umysłu [1]. Krytyka burzy dogmatyzm tą prostą uwagą, że gdyby przez zmysły lub pojęcia wchodziła do nas rzeczywistość zewnętrzna, każdy musiałby mieć te same i pojęcia i zmysłowe wrażenia, niemożliwy byłby błąd i illuzya [2]. Nadto, gdyby prawda przychodziła do nas z zewnątrz, jako coś gotowego, byłaby dla nas nie oswobodzeniem, ale niewolą i gwałtem, przeczyłaby temu, co jest myślą przewodnią filozofii nowszej, że musimy mieć autonomię czyli tę pewną samoistność w zakresie poznania, bez której nie bylibyśmy »osobami« [3]. Myliłby się jednak, ktoby sądził, że wrażenia zmysłowe i po-

---

les autres, les yeux de l'ésprit, pour saisir la réalité en elle-même et dans sa fixité. Mais le monde, ainsi imaginé ou ainsi conçu, monde de sensations ou monde d'idées, n'est que la projection d'un état d'âme, d'une manière d'être et d'une manière de voir. En le posant et en l'affirmant comme une réalité en soi, fixe et stable, c'est soi — même avec sa manière d'être et sa manière de voir, qu'on pose et qu'on affirme« (47—48). »Le monde sensible des empiristes, n'est rien de plus que leurs sensations, le monde intelligible des idéalistes n'est aussi rien de plus que leurs idées« (59). »Ce que j'appelle e monde c'est ma représantation; ce que vous appelez le monde, c'est également votre représantation« (81).

[1] »Le dogmatisme est dans tout ésprit humain un état initial... dans la vie réfléchie on doit le critiquer et le dépasser« (23). »Le dogmatisme illusoire... résulte d'un attachement au phénomène et au relatif (en prenant) le phénomène pour de l'être et le relatif pour de l'absolu. Ce dogmatisme — là pour quiconque en a fait la critique, apparaît comme une naïveté et un sommeil de l'ésprit. Sous sa forme empirique il consiste à croire que c'est par les sensations, que nous atteignons l'être, et que nous en connaissons la nature. Sous sa forme idéaliste, c'est aux idées comme telles qu'il attribue une valeur ontologique« (44, 45).

[2] »Si par la sensation ou par la pensée, ainsi que souvent on a l'air de le supposer, nous étions comme envahis par une réalité exterieure, on ne s'expliquerait pas qu'il pût y avoir des erreurs et des illusions. Si nos sensations et nos idées étaient un décalque de la réalité en nous, chacun devrait avoir les mêmes sensations et les mêmes idées« (45, 46).

[3] »Si le désir, d'être conduit déductivement, par une chaîne de raisons... jusqu'à l'affirmation pleine et totale de la vérité... pouvait se réaliser, la vérité alors s'imposerait à nous. Mais si elle s'imposait, nous ne la posséderions pas, elle nous posséderait seulement; nous la subirions, elle nous façonnerait malgré nous; nous n'aurions plus d'autonomie, nous ne serions plus des personnes« (125).

jęcia a nawet i rozumowania nie mają żadnej funkcyi w procesie poznania prawdy. Mają funkcyę i to nieodzowną, lecz nie taką, jaką im dotąd przypisywała filozofia o intelektualistycznym pokroju. Pojęcia nie tylko, że nie wprowadzają do podmiotu prawdy z zewnątrz, ale owszem nabierają rzeczywistości i prawdy z wewnątrz pod wpływem, nie rozumu jako takiego ale woli. Wola wpływając od zarania świadomości ludzkiej nie na sądy tylko ale i na utworzenie pojęć, nadaje poznaniu rzeczywistość żyjącą i wewnętrzną, rzeczywistość naszego moralnego życia, naszej moralnej wartości, rzeczywistość, bez której pojęcia nasze byłyby pustemi ramkami pozbawionemi treści [1]. Zachodzi pytanie, co

---

»L'idée fondamentale qui, malgré toutes les divergences, s'est affirmée plus énergiquement que jamais, à travers la philosophie moderne, à savoir qu'il n'y a pas de vérité pour l'homme qu'il ait à subir, parceque cette vérité alors serait pour lui une compression au lieu d'un épanouissement, l'ésclavage au lieu de la liberté, la mort au lieu de la vie, cette idée nous l'acceptons en pleine connaissance de cause (XVI) (et non) comme une concession à un préjugé temporaire« (116). »La vérité n'est pas une chose toute faite qui tombe d'en haut dans l'ésprit. Quand on en parle comme d'une notion qui existerait objectivement audessus de nous et hors de nous on est encore dupe d'une abstraction« (106). »La vérité se fait en nous et bien que ce ne soit pas nous qui la fassions, elle se fait néamoins avec notre concours... elle se donne, mais elle ne s'impose pas« (119).

[1] »En disant que ce qui est senti ce sont des états d'âme, et que ce qui est pensé c'est de l'abstrait ou du général nous ne voulons nullement insinuer que les sensations et les pensées ne sont que de pures phantasmagories sans rapport avec la réalité« (45), »Je n'ai jamais dit que la connaissance était illusoire« (128). »Y-a-t-il quelqu'un qui ait jamais admis que la volonté agissant comme volonté pure et sans intelligence prend possession de la vérité? Il est bien clair que ceci n'a pas de sens. Nous pensons en voulant et nous voulons en pensant« (127). »La volonté n'agit point à part de l'intelligence. Elle intervient dans la formation même des idées et dès le premier eveil de la conscience; elle n'affirme pas l'être après coup quand l'intelligence lui a fourni des objets par les idées« (128, 129). »Notre pensée s'alimente dans la réalité vivante et intérieure« (46). »Ce n'est pas par les idées que la réalité vient en nous, mais c'est par nous au contraire, par notre action, que la réalité vient en elles« (47). »C'est donc que du dedans nous mettons nous — mêmes ce qu'il y a dans nos idées; nous mettons en elles ce qu'il y a en nous. Et quand je dis ce qu'il y a en nous, j'entends ce qu'il y a en nous par volonté et librement, c'est à dire dans notre vie morale« (47). »Pour que des idées soient nôtres et pour que ce soient vraiment des idées il faut les avoir vécues. Nous avons à y mettre la vérité de notre vie et de notre attitude. Autrement elles sont comme des cadres qui restent vides« 46). »La vérité explicite qui se trouve dans la vie réfléchie doit toujours

to jest ta prawda, ta rzeczywistość życia, która przez wolę udziela się poznaniu. Jest to oryentacya i szczery zwrot woli ku Bogu czyli miłość [1]. Poznajemy byt rzeczywisty i utwierdzamy się w bycie jedynie wychodząc ze siebie z ciasnej sfery swego egoizmu a utwierdzając się przez miłość w Bogu. Bez Boga nie istnieje pewne poznanie żadnej rzeczy. Ani o samych sobie ani o niczem innem nie możemy mieć pewności zupełnej, póki siebie i innych nie utwierdzimy w Bogu. Rzeczywisty byt bowiem musi być czemś jednem i czemś stałem, a jedność i stałość tylko w Bogu i przez Boga osiągnąć możemy. Poza Bogiem wszystko rozpadać się musi i ginąć w wielości i znikomości fenomenów. Stąd całe życie ludzkie jest dążeniem do prawdy, a prawdę stwierdza się zupełnie i całkowicie dopiero gdy się Boga w życiu przyszłem posiądzie [2]. Co się zaś tyczy istnienia Boga, które jest podwa-

---

plus ou moins retarder sur la vérité implicite qui se trouve dans l'attitude franche et dans les bonnes dispositions de la volonté« (54).

[1] »La connaissance de l'être ne nous vient pas par le dehors. Pour connaître l'être au dehors il faut commencer par le connaître en soi-même. C'est par la connaissance de l'être en nous que nous pouvons avoir la connaissance de l'être extérieur à nous« (40). »Pour aller à la vérité nous avons donc à nous mouvoir du dedans« (38). »Pour connaître vraiment et pleinement Dieu et les autres êtres il faut les trouver en soi. Mais pour les trouver en soi il faut s'ouvrir à eux et les laisser entrer« (47). »La démarche essentielle et décisive (pour aller à la vérité) c'est de modifier sa manière de voir en modifiant sa manière d'être, en acceptant Dieu librement au plus profond de soi-même». Pour s'épanouir dans la vérité en se fixant dans la certitude et la possesion de l'être, le tout est d'accepter Dieu, de s'ouvrir à Lui toujours plus profondément« (109, 110).

[2] »Vouloir être par Dieu c'est le prendre pour fin c'est ce concentrer et se fixer en Lui par l'amour. Toute certitude d'être qui a une autre base que celle-là est illusoire et toujours prête à s'effondrer« (72). »Quand nous voulons être sans nous mettre au-dessus du temps, nous attribuons une plénitude et une fixité feintes aux choses qui nous séduisent ou aux idées que nous avons élaborées. Nous nous donnons ainsi l'illusion de l'être; avec des groupements de phénomènes instables nous faisons des absolus. Mais l'apparence de l'être n'est pas l'être« (61). »Ne vivre que dans le temps c'est s'écouler avec le flot des phénomènes. Ce n'est pas être« (60). »Je ne puis affirmer que je suis d'une affirmation solide, qu'en affirmant qu'il est et que je suis par Lui, car c'est seulement en Lui et par Lui que je puis réaliser l'unité et la permanence qui me donne droit d'affirmer mon être; et c'est seulement quand je suis unifié et fixé en Lui que je puis dire: je suis, avec une certitude qu'aucune déception ne saurait ébranler« (63). »L'égoisme est la nègation des autres êtres comme tels« (93). »C'est par égoisme, qu'on nie les autres êtres, c'est par désintéressement qu'on les affirme« (95). »Pour croire à leur

liną wszelkiej pewności, nie poznajemy go ani intuicyą, ani instynktowo, ani drogą rozumowania, ale stwierdzamy jego byt naszą własną moralną doskonałością życia, co właściwie nazywa się wiarą [1]. Cały ten system nosi miano moralnego dogmatyzmu, a jest zespoleniem w jedno krytycznej i ascetycznej metody dla wyzucia się ze wszystkiego, co względne i fenomenalne, a dojścia do tego, co rzeczywiste i absolutne [2].

Dodać wreszcie należy, że ks. L. całkiem seryo broni się od zarzutu nowości nauki, owszem jest tego zdania, że dogmatyzm moralny jest jedynym i koniecznym wyrazem chrześcijańskiego ducha, podczas gdy dogmatyzm intelektualny jest zabytkiem pogańskiej myśli filozoficznej [3].

Istotnie nowości tu niema, bo mamy do czynienia z szeregiem grubych a bynajmniej nie po pierwszy raz występujących filozoficznych i teologicznych błędów, źle ukrytych pod mglistą szatą, rzekomo wzniosłego, a niezdrowego mistycyzmu. Że wola ludzka ma znaczny udział w formacyi, nie pojęć, lecz sądów, o tem z dawna wiedziano.

être, pour dire: ils sont, comme pour dire: je suis, il faut les fonder en Dieu comme il faut s'y fonder soi-même parce que, sans Dieu rien ne peut être et que sans Dieu ancune certitude n'a de garantie« (102). »L'amour est donc le premier et le dernier mot de tout. C'est en aimant qu'on sort de soi et qu'on s'élève au-dessus de son individualité temporelle. C'est en aimant qu'on trouve Dieu et les autres êtres et qu'on se trouve soi-même« (110). »Notre certitude d'être ne peut pas avoir de force et de solidité, que lorsqu'elle a passé par l'épreuve, et l'épreuve c'est la vie toute entière« (71).

[1] »L'affirmation de Dieu comme l'affirmation de nous-mêmes est action vivante. Ce n'est par le résultat d'une vision suprasensible, c'est encore moins la conclusion d'un raisonnement, parce que Dieu n'est pas une abstraction mais une réalité. On croit en Dieu et cette manière de s'exprimer est significative« (76). »Pour connaître Dieu il faut Lui ressembler, et on le connaît dans la mesure où on lui ressemble. C'est en vivant Dieu que l'âme apprend à le connaître et qu'elle affermit sa croyance en Lui« (78, 79).

[2] »Le dogmatisme moral... pratiquement c'est la mise en oeuvre de la méthode critique et de la méthode ascétique pour se dépouiller de toute relativité dans la manière d'être et dans la manière de penser« (108).

[3] »Il ne faut pas chercher les autres êtres dans le dehors spatial et temporel, ni non plus dans ce qu'on a appelé l'intelligible, ce qui n'est que de l'abstrait. Le dogmatisme qui prétend encore les trouver ici ou là vieux reste de la pensée antique en lutte contre la pensée chrétienne, achève de mourir sous les coups répétés de la critique. Laissons les morts ensevelir leurs morts« (81). Podobna myśl powtarza się często a jej przeprowadzeniu służy całe dziełko: *Le réalisme chrétien et l'idéalisme grec.* Paris. Lethielleux. 1904.

Żeby pojęcia nabierały rzeczywistej wartości objektywnej pod wpływem woli dopiero, żebyśmy w pojęcie to wkładali, czem moralnie jesteśmy, jest wprost niedorzecznością. Pojęcie jako takie jest tylko subjektywnem odtworzeniem objektywnej, fizycznej czy metafizycznej rzeczywistości i niczem więcej. Ks. L. pod wpływem Kanta zatracił fundamentalną w zdrowej filozofii zasadę objektywności poznania, przejął się fałszywą z gruntu teoryą immanencyi, a że nie chciał stąd się wydostać z Kantem lub Secretan'em drogą postulatów moralnych, stworzył najdziwaczniejszy system affirmowania bytu moralnem życiem, system, który musi się rozpaść w kawałki przez to samo, że się go z możliwą jasnością przedłoży. Proszę mi powiedzieć, jak ja poznaję *par dedans*, jak ja wypełniam treścią mojego moralnego życia pojęcia, czy to papieru, na którym piszę, czy to pokoju, w którym mieszkam, czy słońca, co mi świeci przez okno, czy całego świata, co mnie otacza. Apelować w tej mierze do św. Franciszka z Assyżu, który w najwyższej ekstazie miłości we wszystkich stworzeniach upatrywał jakby braci i siostry, ze wszystkiem się łączył dla uwielbienia Boga, ma tak mało sensu jak w kwestyach logiki krytycznej przytaczać Tauler'a i Ruysbrock'a, św. Teresę i św. Jana od Krzyża. Notabene trzeba tylko wziąć w rękę tego ostatniego, aby się przekonać, jak on budował teologię mistyczną na zdrowych i jasnych podstawach »intelektualistycznej« filozofii chrześciańskiej. Że mistyk pod swoim kątem widzenia może powiedzieć, że świat jest ułudą, że w Bogu tylko byt i prawda — to każdy rozumie doskonale nie jako negacyę objektywności poznania lub rzeczywistości skończonego bytu, ale jako wyraz tej prawdy, że wola ludzka tylko w Bogu spocząć może bezpiecznie i stale, że tylko z Bogiem być w szczęściu wiecznem jest bytem prawdziwym. Te same zaś zdania przeniesione w kąt widzenia logiki krytycznej, i pomieszane np. z kancyańską teoryą fenomenów i noumenów nie tylko tracą swój zdrowy sens, ale nabierają sensu pod każdym względem fałszywego. Grubym jest błędem wciągnięcie poznania Boga w poznanie wszystkich innych rzeczy nawet własnego bytu; błędem jest przeczenie możliwości rozumowych dowodów istnienia Bożego; pełno błędów zawiera to, co można nazwać ks. L. ontologią czyli teoryą bytu. Samo określenie bytu jest zupełnie fałszywe. O rozróżnieniu rzeczywistości od fenomenu niema co mówić, bo autor nigdzie jasno nie tłumaczy, co przez to rozumie. Do systemu apologetycznego ks. L. powrócimy na innem miejscu i ocenimy go razem z głośną teoryą Blondel'a *et consortium*. System jego pseudofilozoficzny, który przedłożyliśmy dzisiaj, usuwa się właściwie

z pod krytyki i filozoficznej oceny raz dlatego, że każda krytyka musi stać na stanowisku »intelektualizmu«, powtóre dlatego, że krytyka musi supponować choć jako tako określone pojęcia, nie skłębiony i zamazany obraz czegoś, czego sam autor najniewątpliwiej nie rozumiał, jak może się każdy przekonać, kto sumiennie zestawi ze sobą: *Le dogmatisme moral* i *Eclaircissements sur le dogmatisme moral,* gdzie w odpowiedzi na krytykę ks. L. wikła się i pląta najniemożliwiej. Ocena zamiarów i pobożności autora do nas nie należy. Nie wątpimy zresztą, że pod tym względem niema mu nic do zarzucenia. Ale jeśli tak jest, jest to tylko jeden dowód więcej, że całkiem czem innem jest pobożność i wysoka moralna wartość duszy, całkiem czem innem filozoficzna prawda.

Ks. J. Rostworowski.

La France au dehors. T. V. Missions d'Afrique. Par *R. P. Piolet.* Armand Colin. Str. 511.

Do niedawna ulubiona od uczniów część świata, dziś już przedstawia bogate pole pracy dla geografów — i dla misyonarzy. Zdawałoby się, że Sąd Ostateczny jest blizko, niema już bowiem prawie dzielnicy na tym kontynencie, w którejby nie zabłysnął znak krzyża. Zapory w różnej proporcyi, ale te same mniej więcej, co w Indyach: zabójczy klimat, islam i protestantyzm z dodatkiem w krajach podzwrotnikowych ludożerstwa i fetyszyzmu a w stronach podlegających protektoratowi Francyi utrudnień masońskiego rządu. Te ostatnie najwięcej czuć się dają w dawnej Maurytanii, Algierze i Tunisie. Tu chrześcijaństwo kwitło obficie w pierwszych wiekach naszej ery za rzymskich a zwłaszcza bizantyńskich czasów, jak świadczą obok dziejów Kościoła, szczątki przepysznych bazylik odgrzebywanych z pod piasku. Heretyccy Wandale zniszczyli tu dużo, islam zaś zniszczył wszystko, co było chrześcijańskiem i rzymskiem w ludności osiadłej w północnej Afryce. Wpływ jego atoli był mniejszym wśród okolicznych koczujących ludów, dlatego też całe szczepy, jak Tuaregowie i Kabylowie poddały mu się tylko częściowo. U każdego z nich znać ślady dawnej wiary: u Kabylów spotyka się znak krzyża a przy niezaprzeczonej wyższości moralnej nad Arabami uszanowanie dla pogardzanych przez islam: pracy i kobiety. Tuaregowie — feudalni rycerze (często *Raubrittery*) brzegów Sahary noszą krzyż na klejnotach, strojach, rękojeści sztyletów i mieczy, jako jedyny tatuowany znak na swej osobie; nie znają wielożeństwa, odprawiają spowiedź powszechną... W tych warunkach

zdawałoby się, iż ewangelizacya wśród nich będzie łatwą. Byłaby nią w istocie gdyby nie polityka rządu paryskiego i to pomimo zmian ludzi i systemów u steru prawie od początku zaboru. Rząd mianowicie uznał od razu wszystkich krajowców za mahometan i objął ich bez różnicy w swoją akcyę wojenną. Po zwycięstwie zaś wszystkim narzucił Koran i jego prawa, niemniej jak język arabski, pomimo, iż go Kabylowie nie znali, znać nie chcieli a wielu Berberów mówiło, iż się czują bliższymi Francuzów niż Arabów, bo ojcowie ich pamiętali chrześcijan lub sami byli synami chrześcijan. Ustanowiwszy zaś w ten sposób islam rząd wytknął sobie jako nieubłaganą regułę pielęgnowania go i chronienia od wszelkich prób nawrócenia, nawet od chrześcijańskiego wpływu. Wynik był logiczny, bo krajowcy widząc obojętność urzędników dla własnej religii zakonkludowali, że jej nie mają wcale i jęli gardzić Francuzami za ich niewiarę. Taki stan rzeczy zastał kard. Lavigerie w r. 1867.

Podobnie misye Jezuitów w Kabylii, obiecujące świetne wyniki musiały być wskutek akcyi masońskiej zaniechane. Miłość Boża wszakże zna rozmaite sposoby. Ks. Lavigerie postanowił działać jedynie miłosierdziem; założony przezeń Zakon Białych Ojców przybrał arabską mowę, arabski strój i, na zewnątrz, arabskie zwyczaje. I dziś, wbrew systemom polityczno-masońskim, wszystkie wrota stoją misyonarzowi otworem. Białe Siostry mają wstęp do kobiet i dzieci a rzeczywistość niejednokrotnie zadaje kłam paradoksowi stawianemu za dogmat: jako nawrócenie z islamu na chrystyanizm jest rzeczą niebywałą i niemożliwą. Jest ono niewątpliwie utrudnione, jak wszędzie, kolorytem patryotycznym francuskim. W Tunisie, dzięki kard. Lavigerie, protektorat francuski zwyciężył wpływ Anglików i Włochów. Są tam obecnie dwie stacye misyjne: Kartagina i Thibar.

W Sudanie mniej jest przeszkód ze strony rządu a więcej ze strony bardzo żywego mahometanizmu zaszczepionego w starem państwie Songhoisów na tle prastarej cywilizacyi przyniesionej z Egiptu, u innych ludów zaś z nawyknień do łupiestwa i gwałtów. Początki mimo to były piękne: w 6 lat powstało 8 stacyi a z tych jedna w starożytnem Tombuktu. Stąd młody przełożony Białych Ojców ks. Hacquard puścił się z porucznikiem Hourstem w słynną podróż eksploracyjną do ujścia Nigru, znaną czytelnikom *Przeglądu* z szczegółowego opisu [1]. Po powrocie O. Hacquard otrzymał święcenia biskupie; już wszakże

[1] »Cywilizacya murzyńska nad Nigrem«. *Przegląd* 1901 r.

po paru latach przyszło opłakiwać zgon jego a zarazem nowy impuls dany Islamowi przez gniew krajowców przeciw okupacyi francuskiej.

W Senegalu i Kongo początki misyi uświęcone były śmiercią mnogich pracowników Bożych ginących od klimatu, od nędzy, od ręki ludzkiej lub pazurów zwierza. Dziś jeszcze w niektórych miejscach misyonarz musi stać wciąż na stanowisku obronnem, często opuszczać swą misyę i wracać według chwilowego usposobienia wodzów lub mniej lub więcej prawego i taktownego postępowania Europejczyków. Jest on przyrodzonym pośrednikiem pokoju, nieraz arbitrem w wewnętrznych sporach krajowców, cywilizatorem wprowadzającym obok światła wiary, ulepszoną naukę rolnictwa, nieznane źródło dobrobytu i — przewagę wpływu francuskiego.

Ta dążność patryotyczna objawia się mniej jaskrawo w Ugandzie, wielkiem cesarstwie Mtesy, tak sympatycznie opisanego niegdyś przez Stanleya. Widziany bliżej a zwłaszcza dłużej przez misyonarza ów uprzejmy despota okazuje się mniej sympatycznym, bo nie szczerym, lawirującym politycznie między mahometanizmem ze strachu przed Arabami a chrześcijaństwem w nadziei zysku od białych tak, iż przedwczesna jego śmierć przestaje budzić żal, zwłaszcza, gdy po nim wstępuje na tron syn jego Muanga, rokujący lepsze nadzieje. Wiara już bardzo rozszerzona za Mtesy, mianowicie wśród wyższych klas narodu, czyni teraz co dnia większe postępy. Nie brakło jednak na podżeganiach arabskich i protestanckich. Dość, że rozpoczęła się serya prześladowań, przeplatanych buntami poddanych pogan. W nieszczęściu Muanga wracał do rozumu a raczej szukał przytułku w misyi; zwycięski mordował bez litości możnych poddanych i dworzan. Męczennicy konali dzielnie, konała zwłaszcza młodzież, której apostolstwo najwięcej zyskało nawróceń; luźny hufiec paziów królewskich zdobył, na wzór pierwszych chrześcijan, palmę męczeństwa. Po paziach przyszła kolej na wodzów. Nuanga wpadał w istny szał z bojaźni: chrystyanizm był dziełem białych a cesarz drżąc o niepodległość swego kraju usiłował bronić jej od europejskiej przewagi, której pierwiastki, jakoby zwiastuny burzy widział gromadzące się dokoła. Gryzł się, nie sypiał i wydawał mordercze rozkazy zrazu tylko przeciw katolikom. Misyonarzy protestanckich parękroć więził, ale mimo, iż wielu mieli prozelitów, nie zabijał ich aż do chwili, gdy przyszła wieść o zbliżaniu się nad Albert Nyanza Stanleya i Emina paszy. Wtedy prześladowanie objęło wszystkich chrześcijan: »Bassomi (ten co się modli) — to wróg!« —

brzmiało hasło po całej Ugandzie ze wszystkich pogańskich i mahometańskich ust. Wnet jednak rozkiełznany żywioł zwrócił się przeciw swemu władcy; Muanga musiał uciekać; uciekli i misyonarze ze swoją gromadką sierót. W następnym roku (1889) szala przechyliła się znowu. Muanga przywrócony na tron dzięki katolikom udzielał im wszelkich wolności, a z kolei mahometanie musieli się chronić w oddali. Nastąpiła chwila spokoju i wielkiego rozrostu wiary: liczba katolików dochodziła 12.000 a cesarz choć nieochrzczony brał udział w pobożnych procesyach. Przestraszyło to protestantów, pragnących na swoją stronę przeciągnąć korzyści zwycięstwa. Już poprzednio ministrowie ich wezwali byli dla Muangi pomocy przedstawiciela wschodnio-afrykańskiej kompanii angielskiej Jaksona, ale ten zamiast amunicyi posłał sztandar W. Brytanii z żądaniem traktatu o niemożliwych warunkach. Wprawdzie za wpływem O. Lourdel'a, dzielnego misyonarza, który zniósłszy wszystkie burze, zmarł w chwili nastania ciszy — doszło było wówczas do uczciwego handlowego układu, teraz jednak, na wezwanie pastorów przybył nie już Jakson, ale inny wojowniczy agent tejże kompanii, Lugard, w otoczeniu nubijskiej gwardyi Emina oraz hufca dobrze zbrojnych krajowców. Ten wzniósł sobie fort, ustawił armatę i rozdawszy broń protestanckim poddanym Muangi, rozpoczął bój (styczeń 1891). Pierwszy szturm oczywiście uderzył w misyę, gdzie tuliła się gromada starców, kobiet i dzieci; pomimo dzielnej obrony katolików, liczba przemogła, budynki stanęły w płomieniach a Ojcowie Biali byliby polegli, gdyby sam Lugard nie był ich ocalił i pod eskortą wprowadził do fortu. W parę dni później wysłał ich do cesarza schronionego na wysepce z bezbronnym tłumem; nieśli propozycye znów niemożliwe, więc gdy Muanga odmawiał, ustawiono na przeciwnym brzegu armatę i zaczęto bombardować nieszczęsnych zbiegów. Wśród ścisku każdy pocisk trafiał; drugi ajent kapitan William stał przy dziale z lornetą a tymczasem wysłane przezeń łodzie z innej strony dobijały do wyspy. Na widok napastników misyonarze pod gradem kul rzucili się między nich a ich ofiary; zbici, odarci z części odzienia, sponiewierani, zostali znów pojmani jako jeńcy wojenni. Skończyło się na internowaniu Muangi i misyonarzy w najnędzniejszej części Ugandy. Mahometanie wyszli tłumnie ze swego ukrycia. Katolicy jednak nie dali za wygranę; tłumy ich po 700 i 800 ludzi pielgrzymowały do księży po naukę i sakramenta, aż w r. 1893 zaświtała wolność pod postacią komisarza królewskiego Sir Gerald Portal. Muanga odzyskał

koronę pod protektoratem angielskim, spory stronniczo-religijne zostały zażegnane ustanowieniem przy osobie cesarza, dwóch ministrów: katolika i protestanta. W rok potem Biali Ojcowie odstępowali pole działania w Ugandzie misyonarzom angielskim, ci zastali tam 10.000 neofitów, 60.000 katechumenów i 5 stacyi. Ogromne terytoryum zostało wtedy podzielone na trzy wikaryaty. Odtąd byłby spokój, gdyby Muanga oburzony doznaną niesprawiedliwością, nie był powstał przeciw Anglikom; potężny ruch zagrażał przewadze brytańskiej, którą jedynie przechylenie się na jej stronę partyi katolickiej ocaliło od całkowitego pogromu. Podobnie, gdy wybuchnął bunt Nubijczyków pociągających za sobą część mahometańską mieszkańców, znów katolicy uratowali sztandar angielski. Pomimo to po smutnym końcu Muangi, Anglicy osadzili na tronie maleńkiego księcia protestanta pod opieką trzech ministrów, z których jeden tylko jest katolikiem. Szczęściem, usługi oddane przez katolickich księży wśród tej epoki wojen, zarazy i głodu nie pozostały bez skutku a bezstronność angielska zapewnia religijną swobodę. Obecnie misya Ugandy liczy się do najpomyślniejszych na świecie.

Jedną z głównych czynności misyonarzy w Środkowej Afryce jest wykupno niewolników, zwłaszcza dzieci obojga płci, które wychowane i nawrócone tworzą coraz liczniejsze stadła chrześcijańskie osiedlone w pobliżu zakładów misyjnych tak, aby upraszczając swe poszczególne grunta mogli się wzajemnie popierać i bronić. Zwalcza się też w ten sposób jeden z najtrudniejszych przy nawracaniu szkopułów, to jest wielożeństwo. Sam Mtesa zatrzymał się przed nim równie jak przed groźbami Arabów: pewnego dnia zaś, gdzie zdał się zmiękнąć na dobre rzekł z rozrzewnieniem: »Macie słuszność, zachowam ich tylko dwie!« U Kafrów zaś gra większą jeszcze rolę obawa śmieszności. W ciągłej styczności z Boerami, Anglikami i różnej narodowości poszukiwaczami złota, słysząc obok katolickiej wykładaną wiarę na sposób przeróżnych sekt, słuchają chętnie nauk a potem wróciwszy do swoich, natrząsają się z opowiadania i opowiadającego. Rzeczywista ich nazwa jest Bantu, a Kafr czyli Kafir jest przezwiskiem danem im przez mahometan, tem samem co *giaur*. Że Europejczyków nie lubią, dziwić im się nie można, bo trudno im zrozumieć, że wśród ludzi wyzyskujących ich pracę i ich kraj, są i tacy, którzy pragną żyć dla nich. Apostolstwo wszakże choć nie łatwe nie jest niemożliwem i dało już pocieszające wyniki. Boerowie też są mniej zacięci w protestanty-

zmie, niż o nich powiadają. Chętnie ślą swoje dzieci do szkół katolickich a nawet zmiany wiary im nie bronią. W Pella nad rzeką Orange istniała dawniej misya protestancka, lecz wkrótce opustoszała dzięki posuszy i buntowi Buszmanów, a wtedy O. Gaudeul z Misyi afrykańskich otrzymał łatwo w r. 1875 od rządu angielskiego pozwolenie zajęcia ich miejsca. Misya wprawdzie stała na pustce, ale wnet dokoła niej skupiły się domy Boerów tak, iż niebawem trzeba było zawezwać w sukurs Oblatów św. Franciszka Salezego. Dziś wikaryuszem apostolskim w Pelli jest zasłużony ks. Simon; posiada tam piękny kościół i ogromne pole działania. Liczba katolików codziennie wzrasta.

Większem jeszcze polem jest Natal, istny raj ziemski co do wdzięków natury i żyzności gleby. Ludność mieszana, złożona z 65.000 Europejczyków, Boerów i Anglików, 70.000 sprowadzonych kulisów hinduskich i 800.000 Kafrów. Jak wszędzie, najłatwiej trafić do nich miłosierdziem. Rząd angielski popiera prace misyonarzy na każdym kroku i czyni mądrze, bo miał z nich podczas poprzednich i najświeższych walk dzielną wysługę. Wobec względnie znacznej liczby Irlandczyków używano dla nich misyonarzy za kapelanów wojskowych; w szpitalach rządowych lekarze protestanci prosili o pomoc zakonnic; w wojnie r. 1881 biskup Jolivet został przez Boerów pojmany. Nazwisko jego brzmi na każdej karcie dziejów katolickich Natalu; zaraz po tej wojnie znużony pracą nad siły uprosił podział olbrzymiej swej dyecezyi na trzy prefektury, co pozwoliło mu oddać się gorliwiej apostolstwu na mniejszym obszarze. Przed paru laty obchodzono solennie jego 50-letnią rocznicę kapłaństwa i wtedy rzucając wzrok w tył mógł obliczyć rozmiary swojego działania: tam gdzie zastał był 6 księży, 3 Braci, 8 zakonnic, 5 kościołów i 1 klasztor jest dziś 114 księży, 384 Braci, 867 zakonnic, 46 internatów szkolnych i 26 eksternatów. W okolicy Grahamstown Trappiści pod wodzą znanego misyonarza-publicysty O. Franza wzbudzają pracą swą podziw protestantów, mają 18 stacyi i liczą na tysiące nawrócenia wśród Kafrów. W miastach Durban, Ladysmith, Newcastle, Maritzburg — głośnych z niedawnych walk — Siostry Nazaretanki i Dominikanki obsługują szkoły i szpitale; ogółem katolików w Natalu jest około 11.300.

W Bloemfontein do połowy XIX wieku liczono zaledwie 100 katolików i jednego księdza. W miarę jak zaczęto kopać dyamenty a liczba poszukiwaczy wzrastała, jęli też wśród nich pracować misyonarze odciągając choć na chwilę ich myśli od monomanii zysku, gro-

madząc zwłaszcza wkoło siebie ich dzieci, zostawiane najczęściej na opiece Bożej. Powoli też w Kimberley rozwinął się ogromny zakład misyjny. W Transwaalu apostolstwo szło bardzo słabo do roku 1877, gdzie chwilowe opanowanie kraju przez Anglię dozwoliło na natychmiastowe rozwinięcie się misyi. Wzrost ten zaś był trwałym, bo Anglicy wycofując się zastrzegli traktatem wolność religijną.

Nie starczy nam miejsca dla opisu różnych innych afrykańskich misyi; podane jednak liczby i fakta świadczą dostatecznie o olbrzymim, cudownie szybkim postępie wiary na »czarnym kontynencie«. Świadczą też chwalebnie za rządem angielskim, budząc nadzieję, iż za samą pomoc udzielaną krzewieniu katolickich misyi Bóg pozwoli temu najsilniejszemu dzisiaj z narodów otworzyć własne oczy na światło, którego innym nie skąpi.

T. Wodzicka.

Les théories modernes de la criminalité. *Delassus.* Science et religion. Études pour le temps présent. Paris Str. 63.

Niedawno przedstawiliśmy na łamach *Przeglądu* główne linie walki w dziedzinie prawa karnego, walki podobnej czy do walki *der Stürmer und Dränger* przeciw literaturze niemieckiej XVII i XVIII wieku, czy do walki klasyków z romantykami u nas. Dziełko, które mamy przed sobą przedstawia również temat podobny.

Dr. Delassus przedstawia naprzód punkty wytyczne nauki szkoły klasycznej. Grupuje wnioskowanie doktryny tej w tych kilku zdaniach. Człowiek popełnił przestępstwo. Miał swobodę popełnienia go, więc może za nie odpowiadać, więc jest poczytalny. A zatem winien uledz karze, chyba że będzie wykazane, że jego wolna wola była ograniczona lub unicestwiona przez okoliczności patologiczne, biologiczne logiczne, społeczne: w tymto przypadku należy liczyć się z tymi czynnikami »celem sprawiedliwego ocenienia czynu«.

Kreśląc teorye przeciwne zaczyna od Lombrosa. Rozróżnia u niego kilka doktryn. Przedewszystkiem teorya dziedziczności. Przejęty nauką ewolucyonistów szuka Lombroso pierwiastków składających jaźń ludzką w tworach niższego rzędu, roślinach i zwierzętach, gdzie znajduje już pierwsze zaczątki instynktów zbrodniczych. Stąd wniosek, że człowiek ma zbrodniczość we krwi, że z tem piętnem przychodzi na świat.

Delassus rozbiera w dalszym ciągu typ tego urodzonego przestępcy Lombrosa. Rozpatruje jego cechy anatomiczne, fizyologiczne,

fizyognomiczne i psychiczne. Zajmuje się również pojęciem Lombrosa, że w przestępcy odzywają się złe instynkty człowieka pierwotnej epoki, dzikiego i zarania życia, dzieciństwa.

To pierwsza doktryna szkoły Lombrosa.

Drugą kategoryę doktryny Lombrosa i jego szkoły stanowią teorye uważające przestępcę za chorego, a przestępstwa za wynik obłąkania, epilepsyi, histeryi, neurastenii i t. d.

W końcu zatrzymuje się autor pokrótce nad teoryą socyologiczną.

Z powyższego widoczna, że autor podając przegląd teoryi spółczesnych w naukach kryminalnych, nie starał się ich wyczerpać. Najobszerniej, zbyt może nawet obszernie stosunkowo do uznanej obecnie wartości omawia doktrynę szkoły Lombrosa. Wiemy, że Lombroso, to dźwięki już przebrzmiałe, że kryminaliści odmówili już publicznie i uroczyście nauce jego naukowego uzasadnienia, po jej gruzach poszli dalej. Utrzymała ona swoje stanowisko w historyi nauki prawa karnego, nie można jej już jednak uważać za *une théorie moderne*. Nie można nic mieć przeciw omawianiu szkoły Lombrosa, jeśli jej się wyznaczy stanowisko, jakie rzeczywiście posiada, traktuje jako zabytek historyczny. Autor postąpił inaczej. Mówiąc o *théories modernes de la criminalité*, lwią część pracy poświęca Lombrosie, na kilku stronnicach zaledwie wspominając o tem, co obecnie jest aktualne, rozwija się i wzmaga, o szkole socyologicznej prawa karnego. Żeby jeszcze mówiąc o tej ostatniej wysunął na pierwszy plan Liszta lub rodaków swych przynajmniej Tardea i Prinsa. Autor jednak zadawalnia się jedynie wzmianką o Lacassagne'u, tamtych, mających większe znaczenie w nauce, wybitniejsze stanowisko jako twórcy szkoły, pomijając milczeniem. A godziło się wspomnieć coś i o Ferrim, w którego nauce widzimy pierwsze idee szkoły socyologicznej.

Z drugiej strony na pochwałę autora przyznać trzeba, że naukę szkoły Lombrosa ujął bardzo trafnie, wyodrębnił z niej owe przedstawione trzy grupy przyczyn przestępności.

Jeśli się mówi o teoryi kryminalnej, to przedstawienie przestępcy, jego woli, skłonności i t. p. nie wyczerpuje pojęcia teoryi karnej. Do tego należy i uzasadnienie kary, jej racyi bytu, słuszności i potrzeby. Tej strony autor nie dotyka, choćby należało dla dokładności i tej kwestyi poświęcić kilka uwag, przedstawić stan tej sprawy we współczesnej nauce.

Przychodzimy wreszcie do ostatecznych konkluzyi autora. Stoi

on na stanowisku, na które i my się piszemy, stanowisku szkoły klasycznej: każe przyjąć wolność woli u przestępcy i jego odpowiedzialność za czyn zbrodniczy. Wnioski swe ubiera przytem w formę kategorycznego imperatiwu, kończąc, że to jest stanowisko Kościoła katolickiego.

Zupełnie słusznie. Jednak Kościół katolicki, jego najlepsi szermierze walcząc w obronie najbardziej podstawowych nawet dogmatów wiary przeciw przeciwnikom posługującym się danemi naukowemi używają równej broni, wytaczają do boju argumenty zaczerpnięte również z arsenału wiedzy. Inaczej nie może być mowy o przekonaniu czy przeciwników czy nawet swoich wyznawców, których wiarę mogły osłabić silne nieraz z pozoru rozumowania przeciwnej strony. Tego autor nie czyni, bo trudno nazwać poważnym argumentem anegdotę o owym Anatolu, który tyle wiedział o swojej osobie, że się nazywa Anatol i mierzy 1 m. 72 cm. lub parę ogólnikowych zdań. Powie nam ktoś jednak, że autor, jak sam twierdzi, pisał dzieło nie naukowe lecz mające za cel popularyzacyę wiedzy. Owszem: ale i czytelnicy nie fachowi nie będą wierzyli na słowo, będą chcieli racyi nie tak głęboko naukowych, więcej popularnych, przystępnych dla ich umysłów w tym kierunku mniej wykształconych; ale bądź co bądź i dla nich potrzeba uzasadnienia. Nie należy tak źle sądzić o czytelnikach dzieł popularnych; mogą to być ludzie inteligentni, myślący głęboko, chcący tylko w sposób łatwy zapoznać się z wynikami wiedzy w dziedzinach, dla których dokładniejszego wystudyowania brak im czy czasu czy potrzeby.

Dr. Adam Bielecki.

Der letzte Scholastiker. Eine Apologie von *dr. K. Krogh - Tonning.* Freiburg, Herder 1904, (VIII, str. 228).

Apologia scholastycznej teologii — oto charakter tego dzieła. Autor, znany konwertyta, dał się już przed 10 laty poznać jako znawca średniowiecznej scholastyki, w pracach wydanych przez Akademię Umiejętności w Chrystyanii *Die Gnadenlehre u. die stille Reformation* (1894) i *De gratia Christi et de libero arbitrio* (1898). Badania te przedewszystkiem obracały się około kwestyi łaski, a w szczególności roztrząsały pytanie, czy można Kościół katolicki oskarżać o pelagianizm, jak to protestanci powszechnie czynią. W tych dawniejszych rozprawach miał Krogh-Tonning przedewszystkiem na oku starszą scholastykę, której

głównym przedstawicielem jest św. Tomasz z Akwinu; obecnie dzieli się z publicznością wynikami swych studyów nad scholastyką późniejszą, mogącą się poszczycić mężem, godnie zamykającym szereg scholastyków κατ' ἐξοχήν, Dyonizym Kartuzyańskim. Był to teolog i asceta, nie mający sobie równego w XV wieku; słynął z encyklopedycznej swej wiedzy, pewności w kwestyach teologicznych, bystrości umysłu w poznawaniu potrzeb ówczesnego chrześcijaństwa, a zwłaszcza ze zręcznością, z jaką umiał łączyć scholastyczne studya z mistyką. Teologowie, zarówno katoliccy jak protestanccy, oddają mu wielkie pochwały, a papież Eugeniusz IV miał o nim po przeczytaniu jednego z jego komentarzy powiedzieć: *Laetetur mater Ecclesia, quae talem habet filium.* Że Dyonizy był pisarzem nadzwyczaj płodnym, o tem świadczy nowe wydawnictwo wszystkich jego dzieł, mających objąć 48 tomów [1]. Krogh-Tonning opiera się na wydanych w r. 1899 księgach: *Summa fidei orthodoxae* oraz *Dialogion* zawierających dogmatykę Dyonizego, i zwraca wyłącznie uwagę na naukę jego o łasce, chcąc w ten sposób nawiązać swe studyum do dawniejszych badań i zakończyć je rozbiorem pojęć »ostatniego scholastyka«. Wskutek tego dzieło wspomniane stanowi niejako ostatnią część trylogii, stojącej w obronie nauki o łasce tak, jak ją scholastyczna teologia wogóle podała, i zadającej kłam oskarżeniom tejże teologii o pelagianizm czy półpelagianizm.

Widocznem jest, że dzieło d-ra Krogh-Tonninga musi nosić na sobie cechy polemiki, ale polemika ta jest tak pełna godności i miłości, że może służyć za wzór w nieuniknionych kontrowersyach. Luter miał na myśli nie samą tylko reformę obyczajów Kościoła, która bez wątpienia była naglącą potrzebą już XV wieku, ale domagał się r e f o r m y n a u k i Kościoła. Wobec tego Krogh-Tonning wykazuje, że wprawdzie i nauka potrzebowała reformy, ale nie nauka Kościoła, tylko nauka pewnej szkoły, mianowicie nominalistów, w łonie których objawiały się rzeczywiście półpelagiańskie dążności. Atoli teologia katolicka potępiła kierunek nominalistyczny i nie solidaryzowała się nigdy z tą szkołą, przeciw której protestanci słusznie podnoszą zarzut pelagiańskich błędów. Szkoda, że Krogh-Tonning nie uwzględnił dzieła Denifflego o Lutrze [2]; byłby tu znalazł wyjaśnienie, dlaczego Luter mógł

---

[1] *Dionysii Cartusiani Opera omnia.* (Monstrolii 1896). Dotąd wyszło 22 tomów.

[2] *Luther und Luthertum in der ersten Entwicklung quellenmässig dargestellt.* Mainz, Kirchheim 1904.

reformę nauki Kościoła uważać za potrzebną. Denifle właśnie wykazał, że Luter nie znał wcale scholastyków, lecz tylko Okkama i Biela, najgłówniejszych szermierzy nominalizmu.

Autor nie zapuszcza się we wszystkie szczegółowe zagadnienia nauki o łasce, ale uwzględnia główne punkty sporne, które za to oświetla szczegółowiej na podstawie oryginalnego tekstu Dyonizego. W ten sposób praca jego zyskuje zarówno na prostocie i przedmiotowości, jak na sile dowodowej. W 9 rozdziałach przesuwają się tu przed oczyma naszemi zestawione obok siebie poglądy katolickie i protestanckie, co do przeznaczenia, odkupienia, łaski, usprawiedliwienia, pokuty, wiary, cnoty, zasługi, nadziei, dozwalając czytelnikowi, by sam wyciągnął odpowiednie wnioski. Ale nie na tem koniec: dzieło Krogh-Tonninga ma założenie donioślejsze, aniżeli to tytuł wskazuje. Chcąc bowiem uprzedzić zarzut, że teologiczna poprawność w dziełach naukowych nie koniecznie świadczy o poprawności w pojęciach chrześcijańskiego ludu, które zatem mogły być przesiąknięte półpelagianizmem, stawia autor obok ściśle teologicznej nauki Dyonizego tę literaturę, która bezpośrednio stanowiła duchowy pokarm ludu, mianowicie utwory popularno-ascetyczne, a w ten sposób podaje najpewniejszy przyczynek do zarysu duchowej fizyognomii całego społeczeństwa chrześcijańskiego w owej epoce. Liczne ustępy, wybrane z celniejszych dzieł ascetycznych XV w. pozwalają znowu wyrobić sobie własne zdanie, nie zaś tylko zapoznać się z refleksyami autora.

Po każdym rozdziale kładzie Krogh-Tonning uwagi własne w t. zw. ekskursach, które cechuje gruntowna znajomość teologii katolickiej zarówno jak protestanckiej we wszystkich stadyach. Protestantyzm dzisiejszy pod wielu względami różni się od luteranizmu XVI wieku. Już od Melanchthona datuje się w nim etyczna reakcya przeciw niepłodnej nauce »wielkiego reformatora«, która z swą wiarą bez uczynków i przywłaszczoną sobie wyłącznie przez ufność sprawiedliwością Chrystusa Pana nie mogła wystarczyć na podwalinę moralnego poglądu na życie. Reakcya ta, czyli cicha reformacya, jak ją Krogh-Tonning nazywa, zbliża protestantyzm coraz więcej do katolicyzmu, bo dokonywa się na podstawie przyjętych napowrót, choć nieświadomie, pierwiastków katolickich, nie drogą logicznej ewolucyi zasad Lutra, ale dzięki szczęśliwej niekonsekwencyi i protestu sumienia przeciw pierwotnemu protestantyzmowi. Przyznają to sami nawet protestanci — niektórzy, rozumie się, z ubolewaniem — widząc, że dzisiejsza ich teo-

logia prawi o dobrych uczynkach, o karze doczesnej i o czyścu, o wolności woli, żywej wierze i t. p.

Wobec tych zalet praca Krogh-Tonninga ma nie tylko wartość dogmatyczną i apologetyczną, ale nadto kulturalną, i godnie może stanąć obok dawniejszych, cennych dzieł teologa północy.

E. Matzel.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Przyszła koronacya M. B. Pocieszenia we Lwowie.

Przed kilku miesiącami był Lwów widownią niezwykłego tryumfu Matki Bożej i równocześnie widownią tryumfu wiary, ożywiającej mimo wszystko liczne rzesze narodu; wszystkie stany podały sobie ręce, by na pierwszym polskim kongresie maryańskim godnie uczcić Niepokalaną Dziewicę w Jej roku jubileuszowym — za kilka tygodni będzie to samo miasto świadkiem niemniej świetnego, choć może nie tak głośnego tryumfu, bo świadkiem koronacyi słynącego łaskami obrazu »Matki Boskiej Pocieszenia«, znajdującego się we lwowskim kościele XX. Jezuitów. Od roku 1717, w którym pierwsza złota korona spoczęła na skroni obrazu jasnogórskiego, będzie to z rzędu trzydziesty czwarty obraz ukoronowany na ziemi polskiej. Za staraniem arcypasterza dyecezyi, który w Rzymie wyrobił potrzebny dekret, za staraniem przełożonych i księży zajętych przy jezuickim kościele, którzy pracą długich lat dążyli do wskrzeszenia zapomnianego w burzach i zawiejach politycznych i religijnych nabożeństwa do tego obrazu, skutkiem wreszcie ofiarności wiernych dobiegła sprawa do szczęśliwego końca; 28 maja jedna korona więcej uwieńczy obraz cudowny. Koronacya ta nie ma cech wyłącznie religijnych, nie będzie tylko świadectwem z jednej strony nadzwyczajnych

łask, jakie Matka Boska na ziemię naszą zlewa, a z drugiej dowodem, jak naród polski wiernie przy Królowej Nieba stoi — będzie ona miała i charakter narodowy. Z tym obrazem łączy się wspomnienie jednej z piękniejszych chwil w naszej przeszłości, bo tu po raz pierwszy, wkrótce po głośnym ślubie Jana Kazimierza, zabrzmiało w r. 1656 tak drogie wezwanie »Królowo Korony Polskiej, módl się za nami«, wypowiedziane wobec króla i dworu po trzykroć przez nuncyusza papieskiego. W wielkiej części narodu dobrze zrozumiano tę stronę przyszłej uroczystości, i dlatego nie zadziwi tu niesłychana ofiarność, z jaką wszyscy grosz wdowi składają, aby godnie do koronacyi się przyczynić, a ofiarność to tem żywiej świadcząca o głębokiej wierze i miłości, że takie trudne życia warunki spotykamy w kraju. Wszystko więc przemawia za tem, że ta trzecia we Lwowie koronacya (pierwsza w kościele OO. Dominikanów miała miejsce w r. 1751, druga w katedrze łacińskiej w 1776) wypadnie odpowiednio i to nie tylko pod względem religijnym i moralnym, lecz i pod względem zewnętrznego blasku i świetności. Wszystko, na co w naszych warunkach może się zdobyć przemysł i sztuka, składa się, aby godnie uczcić ten dzień; freski Tad. Popiela, rzeźby w bronzie Antoniego Popiela, witraże krakowskie, plany i pomysły prof. Talowskiego i radcy Zacharjewicza, pendzel prof. Kühna, praca znanych polskich firm i warsztatów, łączą się, by stworzyć godny nowy przybytek dla cudownego obrazu, i by pamięć o koronacyi przekazać przyszłym pokoleniom.

Uwagi o rozdziale Kościoła i państwa we Francyi.

Rozprawy nad ostatecznem przeprowadzeniem rozdziału państwa od Kościoła w parlamencie francuskim już się rozpoczęły; dzienniki informują nas dostatecznie o pojedynczych posiedzeniach, ograniczymy się więc w naszem sprawozdaniu tylko do kilku ogólniejszych uwag. Pierwsze obrady przyniosły pewne niespodzianki; zdawało się, że przeciwnicy rozdziału są liczniejsi, jak sądzono. Słowa potępienia odzywały się nie tylko z obozu katolickiego, ale i z pomiędzy sfer liberalnych i nawet innowierczych; najznamienniejszem było w tej mierze wystąpienie dawnego prezydenta ministrów, protestanta

Ribota, który ostremi słowami napiętnował dzisiejszą politykę francuską wobec Kościoła. Dalszy przebieg wypadków pokazał jednak, że nie chodziło tu bynajmniej o uwzględnienie religijnych potrzeb ludności, o zapobieżenie wielkiej krzywdzie, która miała na Kościół spaść, jednem słowem o przekonania religijne, ale wyłącznie i jedynie o względy oportunistyczne. Przeciwnicy ustawy liczą się w polityce wewnętrznej »z przyzwyczajeniami ludu« (z mowy Ribota), w polityce zaś zewnętrznej z wpływami Francyi, szczególniej na Wschodzie (tamże). »Moi wyborcy, wołał deputowany Perroche, nie troszczą się wiele o praktykowanie obowiązków religijnych, ale ilu z pomiędzy was, panowie z lewicy, nie udaje się do kapłana, gdy chodzi o pobłogosławienie waszego małżeństwa, o pociechę dla konających, o modlitwę za zmarłych«! Brzmiało to wcale pięknie, ale i tu chodzi jedynie o formalność zewnętrzną: tak wypada. »Francya, pisze radykał i socyalista Charles Bos, ma swoje odwieczne tradycye. Szczerze wierzących katolików nie dużo liczy, ale wielka część jej dzieci stoi przy swych przyzwyczajeniach«. Takie racye niewypływające z głębokiego przekonania, lecz ze względów czysto zewnętrznych i formalnych, nie są i nie mogą być decydującemi dla olbrzymich wrogich zastępów.

Dla zwolenników rozdziału jest nawet projekt Brianda, wolność Kościoła zupełnie krępujący i uniemożliwiający, jeszcze za łagodny. »Między religią a polityką, pisze Bérenger w *Action,* jest niemożliwy sojusz filozoficzny lub polityczny. Wolna myśl musi przeciwko wszelkim religiom walczyć, nie może z żadną z nich zawrzeć pokoju, dopóki religia dla ludzkiej myśli nie stanie się tem, czem się stała alchemia dla chemii... Dlatego jest rozdział wojną, piękną i sprawiedliwą wojną ducha przeciwko wszystkim uprzedzeniom i dogmatom. Musimy uznać, że tu o wojnę chodzi, szczycić się nią, jako jednem z najwznioślejszych historycznych zadań. Ogólne prawo głosowania nie pozwoli się pod tym względem sprowadzić z raz wytkniętej drogi. Wybory 1906 r. dokonają się pod hasłem: ‚precz z księżmi'«. Ostrzejsze jeszcze słowa padają z innych organów socyalistycznych, wolnomularskich i radykalnych, a wobec takiego stanu rzeczy katolicy i ich prasa stoją z założonemi rękami.

Prasa konserwatywna wynosi zaledwie piątą część dziennikarstwa francuskiego i rozpada się przytem na niezliczone obozy; słusznie też zarzuca generał Rebillot katolikom w organie regalistów *Soleil*, że brak im nie tylko na zrozumieniu znaczenia prasy, ale i na ofiarności dla dziennikarstwa. »Wydają rocznie niesłychane sumy na bale, zabawy wieczorne, wyścigi i przyjemności, nie ofiarują jednak niczego dla prasy. Oni, którzy żyją w swoich zaśniedziałych tradycyach, odcięci od dążności i kierunków czasu, abonują wprawdzie swego *Gaulois* lub *Soleil*, nie rozumieją jednak potęgi opinii publicznej; wzdychają co najwięcej, wznosząc ręce ku niebu: *où allons-nous, ma pauvre France?* Że jednak tę »biedną Francyę« możnaby zdobyć modną bronią ducha i że ta broń istnieje w prasie, tego dotychczas jeszcze nie zrozumieli«. Te i inne słabe strony katolików francuskich poruszaliśmy nie raz już jeden w *Przeglądzie*, dlatego dłużej się nad niemi zastanawiać nie będziemy, łatwo jednak pojąć, jak trudnem jest w takich warunkach położenie Kościoła, nie znajdującego poparcia w sferach świeckich a pozostawionego wyłącznie sobie samemu.

Biskupi francuscy z pięciu kardynałami na czele wypowiedzieli już otwarcie swoje poglądy na całą sprawę, czy w listach pasterskich, czy też w pismach do prezydenta wystosowanych; wszyscy uznają wprawdzie, że dotychczasowe stosowanie konkordatu jest niemożliwe, ale nie mniej stanowczo wypowiadają się przeciwko rozdziałowi. Cóż to jednak pomoże? Cóż pomoże, że arcybiskup Algieru utrzymuje, iż przeprowadzenie nowego prawa znaczy dla Algieru upadek chrześcijaństwa, a zwycięstwo islamu, iż kardynałowie zwracają uwagę na fakt, że przygotowująca się ustawa wywoła w swej konsekwencyi uciemiężenie i ujarzmienie Kościoła, kiedy o to przecież na pierwszem miejscu chodzi, bo hasła o wolności i równości dziś nikt we Francyi na seryo nie bierze, a przynajmniej go do katolików nie stosuje. Jedynym dotychczasowym pozytywnym wynikiem protestu episkopatu jest fakt, że głosy biskupie, które dotychczas nigdy nie wychodziły po za granice odpowiednich dyecezyi, a w dyecezyach po za granice probostwa, dostają się do ogółu, gdyż wszystkie pisma, najbardziej nawet skrajne, jak *Lanterne*, *Aurore*, *Action*, *Humanité*,

przytaczają je w wyjątkach lub w całości, aby z nimi polemizować lub je zbijać — tym jednak sposobem ci, którzy o istnieniu biskupa nie wiedzieli nawet, słyszą jego napomnienia i przestrogi; może niejeden z nich weźmie je sobie do serca, ale wogóle mała to pociecha.

Nie mniej jasno zaznaczył swoje zapatrywanie na całą sprawę Ojciec św. w alokucyi do kardynałów i kardynał sekretarz stanu w audyencyi udzielonej przedstawicielowi *Matin*'u. Obaj potępiają dążność francuskiego rządu, uznają nieszczęście, jakie skutkiem ustawy na Francyę i na Kościół spadnie, obaj starali się o zapobieżenie katastrofie; postępowanie papieża w sprawie biskupa z Dijonu, w sprawie nominacyi patryarchy w Jerozolimie i przedstawiciela swego w Konstantynopolu wykazuje niezbicie, że nie po stronie Kościoła leży wina.

Po ukończeniu generalnej dyskusyi przyjęto dotychczas 422 głosami przeciwko 45 pierwszy paragraf projektu Brianda, opiewający: »rzeczpospolita poręcza wolność sumienia i przyzwala na wolne wypełnianie obowiązków religijnych, o ile nie sprzeciwiają się one porządkowi publicznemu«. Ten ustęp brzmi bardzo niewinnie a nawet łudząco, ale trzeba pamiętać, że tu chodzi o Francyę, w której słowo w o l n o ś ć ma inne znaczenie, jak gdzieindziej; to uznają sami nawet Francuzi. Radykał Maret pisał niedawno: »my musimy zawsze rozwiązywać jeden problem, a mianowicie: jak uwolnić naród, a jednak go ujarzmić. Chcemy uwolnić państwo od Kościoła, ale nie Kościół od państwa. Całe nasze prawodawstwo jest urzeczywistnieniem tej gramatycznej reguły, że wyjątek regułę potwierdza. Wyjątki, które przy wolności robimy, są tak liczne, że sama wolność zostaje przez nie n i e s ł y c h a n i e p o t w i e r d z o n ą«. Deputowany Lemire utrzymuje: »nie możemy przeprowadzić rozdziału, gdyż jest on możliwy tylko we wolnym kraju«. Progresista Benoist idzie jeszcze dalej: »Amerykanie mają prawa, my wyjaśnienia, oni mają czyny, my frazesy. Twierdzicie: rzeczpospolita zapewnia wolność sumienia, dobrze, ale jak? przez kogo? jakim sposobem«? Jak rząd zresztą tę wolność n. p. dla wojskowych rozumiał, jest powszechnie znanem. Po pierwszym więc paragrafie nadzwyczajnych rzeczy spodziewać się nie można.

Z demokracyi chrześcijańskiej i ze spraw włoskich.

List Ojca św. do kardynała Svampy wywołał w obozie niezależnych chrześcijańskich demokratów wielkie niezadowolenie. Wyrazem tego niezadowolenia jest rezolucya rzymskiej grupy, utrzymująca, że nagana była niezasłużona i pozbawiona wszelkiej podstawy, ponieważ stronnictwo w rzeczach moralności i wiary ulegało zawsze papieżowi, a tylko na polu socyalno-politycznem dążyło do niezależności. Dlatego też postanawia grupa rzymska papieża osobnem *memorandum* lepiej o sprawie poinformować, stanowisko swoje wyświecić i równocześnie podać środki, jakiemi się będzie posługiwała.

Rezolucya ta opiera się w wielkiej części na fałszywych przypuszczeniach. Dążności niezależnych demokratów są w Rzymie dobrze znane, sami się z niemi przecież nie kryją, nie potrzeba więc bliższych i dokładniejszych informacyj. W działalności znów socyalno-politycznej trudno, niepodobna prawie, odróżnić element socyalno-polityczny od elementu religijnego i moralnego. Z gruntu zaś fałszywem jest twierdzenie, że papież żąda, aby k a ż d a działalność polityczno-socyalna bezpośrednio od biskupów zależała; temu sprzeciwiają się inspirowane artykuły, ogłoszone w rzymskiej *Civiltà* a zdążające do wykazania potrzeby utworzenia socyalno-politycznego centrum włoskiego, na wzór centrum niemieckiego, które niezależnie od kierownictwa biskupów takie jednak wielkie oddało Kościołowi przysługi. Znana zresztą Piusa X roztropność niemożliwej rzeczy wymagać nie może; Włochy liczą 260 biskupów, gdyby więc cały ruch bezpośrednio od nich zależał, o jedności jego nie mogłoby być mowy. Że na razie w myśl papieża ruch socyalny został poddany pod jurysdykcyę biskupów, to łatwo zrozumiałe, gdyż wszelka organizacya socyalna we Włoszech była dotychczas organizacyą kościelną i z Kościołem ściśle się łączyła. Zresztą katolicy nie dorośli tam jeszcze do akcyi samodzielnej. Ich prasa, rozdzielająca się jak i oni na s t a r ą i m ł o d ą, toczy z sobą otwartą, nieprzejednaną walkę. Brak jedności w ich obozie; Wenecyanie nie chcą nic wiedzieć o Longobardach, ci o Piemontczykach, a Piemontczycy o Neapolitańczykach i tak dalej w nieskończoność. O działalności katolików rozstrzygają nie wielkie idee, ale partykularyzm i wpływy subjektywne i osobiste;

gdy przed kilku tygodniami wybierano w większem mieście włoskiem radnych miejskich, powstrzymali się katolicy od wyboru, ponieważ w liście radnych nie było ich wodza — tym sposobem utracili dziewięć krzeseł. Murryści znów odpierają wprawdzie z oburzeniem, i zdaje się słusznie, zarzut, że dążą do religijnego rozdwojenia, z drugiej jednak strony podburzają rzeczywiście przeciwko episkopatowi, szerzą krańcowo-reformatorskie idee i skłaniają się zbytnio do socyalnej demokracyi, i co najgłówniejsze, przyznają sami, że nie są w stanie sprostać swoim zadaniom. W *Corriere del Polesine* stwierdzają otwarcie: »stoimy dopiero na początku naszej organizacyi, wielu z pomiędzy Naszych niema jeszcze jasnego pojęcia o autonomii i o wielkiej trudności leżącej w tem, by jasno rozgraniczyć stosunek między nami a władzą kościelną, między organizacyą naszą a oficyalną organizacyą katolicką«. Nie trudno więc chyba pojąć w takich warunkach postępowanie Piusa X.

Mimo to zapowiadają Murryści, że nie opuszczą swej drogi a to dla historycznego prawa swego istnienia, głoszą blizkie już zwołanie swego kongresu do Bolonii i oświadczają wyraźnie, że są »politycznymi wrogami konserwatywnej partyi katolickiej, która nie jest wprawdzie oficyalnie ukonstytuowaną, lecz występuje pod maską katolickiej działalności«. Wreszcie, i tu już dochodzą do zenitu, odwracają kota ogonem, twierdząc, że właściwie potępionymi nie są oni, nie Bertini ani Murri, lecz Meda, Mauri, Crispolti, *Osservatore*, *Civiltà* i t. d. Że »niezależni« idą naprzód po wytkniętej drodze, wykazuje także fakt, że swój w Ankonie wychodzący organ *Patria* zamienili na wielki polityczny dziennik *Italia nuova*, w którym, jak przyznają, chcą w rzeczach religii, stać przy religii kraju, w polityce przy konstytucyi a w kwestyach socyalnych przy demokracyi. Wogóle myślą o zreorganizowaniu swojej prasy. Dla organu *La Lega Lombarda* utworzyło się konsorcyum pragnące umieścić 300 akcyi po 1000 fr., aby pismo odpowiednio do wymagań czasu przekształcić, dla *Osservatore cattolico* chce znów osobny komitet zebrać 100.000 fr., by tym sposobem dziennik podnieść.

Równocześnie tworzą w Turynie baron Ricci des Ferres,

adwokat Mauri i markiz Crispolti wielkie katolickie stowarzyszenie pod nazwą »Związek piemoncki«. Jego celem organizacya polityczna a dąży on do tego, by przy najbliższych wyborach dał katolikom okazyę do brania udziału w tychże celem obrony zasad socyalnych i religijnego pokoju. Wzywa więc wszystkich katolików Piemontu, by do związku przystępowali i w przyszłości wszelkimi dozwolonymi środkami dopomogli do zwycięstwa katolickim kandydatom. Związek liczy na poparcie sfer liberalnych, o ile przynajmniej nie są one owiane duchem antyklerykalnym lub wolnomularskim, przyrzekając równocześnie, że poprze kandydatów liberalnych tam, gdzie katoliccy żadnych widoków mieć nie będą. Równocześnie też zaznacza, że jeżeli godność stronnictwa będzie tego wymagała, powstrzymają się członkowie od wyborów po poprzedniem porozumieniu się z władzą kościelną.

W tym samym czasie, w którym katolicy między sobą się wadzą, zerwała się przeciw nim mała burza w parlamencie. Deputowanym włoskim nie podoba się udział katolików w wyborach, jak wogóle cały świeży ruch dążący do brania udziału w życiu publicznem; na takie zarzuty odpowiedział i słusznie, minister Tittoni, że katolicy przystępując do urn wyborczych, nie prosili rządu ani o radę, ani o pozwolenie, a Fortis dodał, że rząd wystąpił przeciwko ruchowi przeciwstawiając kandydatów liberalnych katolickim. Udział katolików nie zaważy w parlamencie, a rząd swych zasad i postępowania szczególniej w kierunku polityki kościelnej bynajmniej zmienić nie myśli. Co do tej polityki, streszczającej się ostatecznie w rozwiązaniu t. zw. kwestyi rzymskiej, wyłonił się ostatnimi dniami nowy, naiwny projekt, ten mianowicie, aby papieżowi dać udzielne państwo w ziemi św. »Wszystkich Włochów i wogóle wszystkich katolików świata prosimy o uznanie i poparcie wysokiego planu, tego mianowicie, aby uzyskać tę część Palestyny, gdzie znajduje się miejsce urodzenia Zbawiciela i oddać ją na własność temu, który jest przedstawicielem Chrystusa i Jego pełnomocnikiem. Zwrócimy się do wszystkich rządów Europy a przedewszystkiem do rządu włoskiego z prośbą o wywarcie moralnego i dyplomatycznego nacisku na sułtana, aby tę część Palestyny, która ma przypaść w udziale papieżowi, ogłosił eks-

terytoryalną«. Anonimowy autor kończy twierdzeniem, że upierać się dziś przy prawach papieża do Rzymu, nie przyniesie żadnych korzyści ani dla Kościoła ani dla Włoch.

Jest to już szósty z kolei projekt rozcięcia gordyjskiego węzła [1], utopijny jak i inne, stwierdzający jednak, że rychłe wyjście z tego labiryntu leży wszystkim na sercu.

Epilog walki o zasadę: »cel uświęca środki«.

31 marca 1903 r. obiecał poseł do niemieckiej rady państwa, ks. Dasbach, na zgromadzeniu w Rixdorf 2.000 guldenów każdemu, »kto udowodni, że zasada: cel uświęca środki znajduje się w pismach jezuickich«. O nagrodę pokusił się eksjezuita hr. Hoensbroech w obszernym w miesięczniku *Deutschland* ogłoszonym artykule p. t. *Der Zweck heiligt die Mittel. Mein Beweismaterial gegen Kaplan Dasbach;* artykuł ten wyszedł później w rozszerzonej odbitce. Rozstrzygnąć miał sprawę sąd polubowny, złożony z profesorów uniwersytetu; ponieważ jednak między przeciwnikami nie doszło w sprawie sądu polubownego do porozumienia, uznał hr. Hoensbroech tem samem rzecz za wygraną i zażądał od ks. Dasbacha nagrody wraz z przynależnymi procentami [2]. Krajowy sąd w Trewirze, przed który Hoensbroech sprawę wytoczył, odrzucił jego skargę 7 czerwca 1904 r.; ten postępek sądu nie wyświecił jednak kwestyi, ponieważ stwierdzono tam jedynie, że chodzi tu o taki rodzaj zakładu, który nie może być przedmiotem sądowej skargi. Kwestyi, czy Jezuici rzeczywiście podobnej zasady uczyli czy nie, sąd nie rozbierał ani nie rozstrzygał. Hoensbroech zwrócił się więc do ósmego cywilnego senatu wyższego sądu krajowego w Kolonii, który zaczął rozpatrywać sprawę 16 marca b. r. a dopiero 30 marca wydał wyrok uwalniający ks. Dasbacha i odrzucający pretensye hr. Hoensbroecha.

Sędziowie kolońscy lepiej zrozumieli ważność kwestyi od trewirskich i starali się wniknąć w głąb rzeczy, chodziło im więc przedewszystkiem o jasne sformułowanie rzekomo jezuickiej

---

[1] O innych patrz *Przegląd,* sierpień 1904, str. 300 sq.

[2] *Przegląd* 1904, kwiecień str. 150 sq.

zasady, sformułowali ją też w ten sposób: cel uświęca środki = każda sama w sobie moralnie zła czynność staje się moralnie dozwoloną przez to, że służy do osiągnięcia dobrego celu — na taki sposób pojmowania rzeczy zgodzili się i ks. Dasbach i hr. Hoensbroech. »Kto więc ubiega się o nagrodę — pisze sprawozdanie sądowe w umotywowaniu wyroku — musi udowodnić, że w jakiemkolwiek miejscu jezuickich pism znajduje się wyraźnie i ogólnie wypowiedziana zasada, (choć nie temi samemi słowami), że każda w sobie zła czynność staje się moralnie dozwoloną przez to, że służy do osiągnięcia dobrego celu« Hr. Hoensbroech utrzymywał, że to właśnie udowodnił w swej broszurze; sąd wykazał mu wprawdzie, że stanął on w sprzeczności z samym sobą, gdyż na str. 97 broszury pisał, że w odpowiednich cytatach jezuickich niema mowy o tem, że każda w sobie zła czynność,staje się moralnie dozwoloną przez zastosowanie jej do dobrego celu, przeciwnie, że zajmują się one jedynie pojedynczemi, ściśle określonemi czynnościami, które w pewnych tylko warunkach stają się dozwolonemi, — ponieważ jednak zmienił teraz swoje zapatrywanie, przeszli członkowie sądu do roztrząsania przytoczonych przez Hoensbroecha wyjątków z dzieł jezuickich. Tu od razu dwa nasunęły się sędziom pytania. Pierwsze, czy materyał zebrany przez oskarżającego jest wystarczający, tak że można sobie z niego wyrobić prawdziwe zdanie o nauce jezuickiej. To pytanie zatwierdzono jednogłośnie dla tego, że Hoensbroech będąc przez dziesięć lat członkiem zakonu mógł poznać jego naukę, a ponieważ wystąpił z zarzutami publicznie, chciał otrzymać nagrodę i rozstrzygnąć ostatecznie niejasną kwestyę, musiał przypuszczalnie zebrać to wszystko, co wogóle w tej sprawie powiedzieć się dało. Chodziło więc przedewszystkiem o odpowiedź na drugie pytanie, czy w przytoczonych ustępach udowodnił zasadę w jej powyżej przez sąd, oskarżonego i samego siebie przyjętem znaczeniu — i tu zmieniło się posiedzenie sądowe w rodzaj lekcyi perypatetycznej z jej metafizycznemi rozróżnieniami i rozumowaniami; sędziowie zapuścili się w bardzo subtelne kwestye i rozstrzygali je na prawdę z taką bystrością i logiką, jakiejby im niejeden scholastyk pozazdrościł. Rozbierali jeden po drugim wszystkie przez hr. Hoens-

broecha przytoczone cytaty z autorów jezuickich, wykazując za każdym, że nie udowadnia on twierdzenia oskarżyciela. »W żadnym z przytoczonych ustępów — kończy wyrok sądowy — niema wypowiedzianej zasady, że każda w sobie moralnie zła czynność stanie się moralnie dozwoloną przez to, że służy do osiągnięcia dobrego celu. Oskarżyciel więc nie dał wymaganego przez oskarżonego (ks. Dasbacha) dowodu. Jego pretensya do otrzymania przyrzeczonej nagrody jest dlatego nieuzasadnioną«, uzasadnionem jest za to odrzucenie skargi.

Taki wynik procesu zastał wielką część prasy niemieckiej nieprzygotowaną, nie spodziewała się ona podobnego załatwienia rzeczy; to też dziennikarze, przeważnie żydowscy, jako najbardziej kompetentni w tej sprawie, udzielają, prawda, że po niewczasie, sędziom licznych wskazówek, jak właściwie powinni byli na rzecz się zapatrywać i z jakiego stanowiska ją sądzić. Gdyby hr. Hoensbroech zechciał jeszcze skorzystać z swego przywileju i odesłać rzecz do najwyższego sądu Rzeszy w Lipsku, trybunał prawdopodobnie z tych łaskawie mu przez żydowską prasę udzielanych wskazówek, korzystać nie będzie. Dla ludzi poważnie i bezstronnie rzecz bierzących i zgłębiających, sprawa jest załatwiona, dla ogółu — nie, gdyż ograniczonych zawsze będzie pełno na świecie, a na złą wolę i upór nie ma lekarstwa. Tacy powtórzą sobie za *Berliner Tageblatt'em* głębokie, o szczególniejszej bystrości umysłu i dobrej woli świadczące zdanie: »jesteśmy dalecy od tego, by przeceniać ważność samej kontrowersyi, zastrzegamy się jednak przeciwko temu, by z uwolnienia Dasbacha wyprowadzać wnioski, przedstawiające w dodatniem świetle moralność zakonu Jezuitów«. Kubek w kubek to samo pisało z okazyi naszego zeszłorocznego sprawozdania »Walka o zasadę: cel uświęca środki« w jednym z kwietniowych numerów ubiegłego roku *Słowo Polskie;* pokrewne duchy wszędy w swych poglądach i pragnieniach się spotykają.

Ks. Wiktor Wiecki.

Ze świata odkryć i wynalazków

Aktyn X. — Ciśnienie światła. — Olbrzymia plama na słońcu. — Śmierć sławnej żaby. — Nowy przykład ruchu rośliny.

W dziedzinie promieniotwórczej należy zaregestrować odkrycie znowu nowej substancyi, chociaż teoretycznie już przewidzianej. Odkrycie to interesujące jest dla nas także i z tego względu, że dokonał go nasz rodak, dr. Tadeusz Godlewski, chociaż na obcej ziemi i w obcem laboratoryum. By znaczenie jego dobrze zrozumieć, trzeba cofnąć się nieco w przeszłość, jakkolwiek wcale nie daleką, bo zaledwie kilka lat wynoszącą. W r. 1900 William Crookes badając własności ciał promieniotwórczych, napotkał w pierwiastku zwanym uran na fakt bardzo ciekawy. Kiedy mianowicie rozpuścił to ciało w wodzie i do roztworu dodał węglanu amonowego, wydzieliła się niezmiernie mała ilość substancyi, nierozpuszczalnej w tym roztworze. Gdy ją oddzielono od roztworu i zbadano jej własności promieniotwórcze, przekonano się, że działanie jej jest bardzo energiczne, że rozkłada sole srebra na płycie fotograficznej setki razy silniej, niż to czyni odpowiednia ilość uranu, chociaż uran należy do ciał wybitnie promieniotwórczych. Do podobnych rezultatów dojść można zapomocą jednego jeszcze sposobu, tj. przez rozpuszczanie azotanu uranowego w eterze.

To, co najbardziej w tem doświadczeniu uderza, jest fakt, że zapomocą czysto chemicznych środków następuje rozdział, czy rozkład uranu, który jest pierwiastkiem, a więc ciałem, według teoryi chemicznych niedającem się już rozłożyć. Pierwiastek ten rozszczepiono na dwa ciała, mające już odmienne własności chemiczne, gdyż n. p. jedno z nich rozpuszcza się w węglanie amonowym, drugie zaś jest w nim nierozpuszczalne, a nadto różniące się bardzo wybitnie swemi własnościami promieniotwórczemi. Podczas gdy to ciało nowe działa energicznie na płytę fotograficzną, pozostała masa główna uranu traci w stopniu wysokim swą dawną siłę. Otrzymano więc niewątpliwie nową substancyę, środkami wprawdzie chemicznymi, lecz przewodnikiem i drogowskazem były tu wyłącznie własności promieniotwórcze. Nowemu temu pierwiastkowi, czy substancyi, nadał Crookes nazwę uranu X, bo przypomina ona działaniem swem promienie X; znak zaś jej chemiczny jest UrX.

Należało przypuszczać, że zjawisko to nie jest w przyrodzie

jedynem. Jakoż już w dwa lata później Rutherford i Soddy [1] wykryli istnienie analogicznej substancyi u innego promieniotwórczego pierwiastka, mianowicie u toru. Z roztworu wodnego można tor strącić za dodaniem amoniaku. Po odparowaniu odczynnika otrzymuje się ślady substancyi, która wysyła promienie kilka tysięcy razy obficiej, niż ta sama ilość czystego toru, gdy tymczasem oddziaływanie samego toru, od którego tę nową substancyę odzielono, maleje do połowy. Otrzymaną tak substancyę silnie promieniotwórczą, nazwał Rutherford, analogicznie do Crookesa, torem X, ThX.

Pozostało teraz do zbadania, czy i inne ciała promieniotwórcze, a więc rad i odkryty w r. 1899 przez Debierne'a aktyn *(actinium)*, podobnych substancyi nie zawierają. U radu tego nie znaleziono, natomiast z różnych okoliczności wnosić było można, że istnieje aktyn X. W pracowni Rutherforda już od wielu miesięcy czyniono nad tym przedmiotem badania [2], a mianowicie używano do doświadczeń substancyi otrzymanej przez Giesla, zupełnie identycznej z aktynem Debierne'a. I właśnie przed kilkoma tygodniami doniósł do londyńskiej *Nature* [3] wymieniony wyżej fizyk polski T. Godlewski, pracujący obecnie w laboratoryum prof. Rutherforda w Kanadzie, że przewidziany przez tegoż profesora aktyn X udało mu się rzeczywiście otrzymać. Gdy mianowicie aktyn rozpuszczono w kwasie solnym i do roztworu tego dodano amoniaku, aktyn strącił się, tj. wydzielił się z roztworu w postaci stałych cząsteczek, zaś z rozpuszczalnika można było otrzymać niezmiernie małą ilość substancyi przeszło sto razy silniej promieniotwórczej, niż sam aktyn, podczas gdy strącony w roztworze aktyn, stracił prawie zupełnie swe promieniotwórcze własności.

We wszystkich tych wypadkach mamy do czynienia z substancyami oddzielonemi metodami czysto chemicznemi, nie z jakichś ciał złożonych, lecz z pierwiastków, tj. ciał, o których chemia nauczała, że metodami chemicznemi rozłożyć się nie dadzą. Pod względem chemicznym różnią się też od swych pierwiastków macierzystych, bo gdyby tak nie było, nie możnaby ich sposobami chemicznymi od tamtych oddzielić. Mają one nadto wszystkie tę charakterystyczną własność, że ich dzielność promieniotwórcza nie jest stałą, lecz maleje dosyć szybko, tak, że po upływie mniejwięcej trzydziestu dni, niknie zupełnie. Ciała

---

[1] *Philosophical Magazine* 1902 Wrzesień i Paźdz.
[2] *Philosophical Transactions* Sec. A, V. 204, str. 190.
[3] *Nature* 1905, p. 294.

pierwotne natomiast, z których tamte zostały wydobyte, a więc czysty tor, uran i aktyn, z początku wysyłają słabe, nieraz ledwo dostrzegalne promienie, lecz ta ich siła ustawicznie wzrasta i to w tym samym stosunku, w jakim siła odpowiedniej substancyi X maleje. To też w chwili, gdy substancye X zdolność promieniotwórczą straciły zupełnie, te już ją całkowicie odzyskały i znowu można z nich wydobyć tę samą, co poprzednio, ilość substancyi X.

Możnaby sądzić, że substancye X tworzą jakąś tylko mięszaninę z pierwiastkami, od których je odszczepiono. Lecz przeciwko temu przemawia zjawisko, że gdy chemicznie czysty tor, lub uran rozdzielimy na część silnie promieniotwórczą i drugą, prawie zupełnie nieczynną, to po pewnym czasie na głównej masie pierwiastka znowu możemy tej samej operacyi dokonać, otrzymamy taką samą porcyę substancyi X. A nadto przekonano się, że zwykłe bodźce, przyspieszające, lub opóźniające reakcye chemiczne, jak ciepło i światło, żadnego nie wywierają wpływu na szybkość wzmagania się siły promieniotwórczej u samego n. p. toru, ani też na jej zmniejszanie się u toru X. Czy w temperaturze wysokiej, czy bardzo nizkiej, jak n. p. w temperaturze płynnego powietrza, zjawiska powyższe odbywają się w tempie tem samem. Z tych powodów przyjmuje się dziś ogólnie jedynie możliwe z dotychczas znanych tłumaczenie, podane przez Rutherforda, z którem czytelnicy mieli już sposobność się zapoznać. Atom ciała promieniotwórczego jest, według tej teoryi, zbiorem cząstek, trzymających się razem pod wpływem pewnych sił wewnętrzych, jemu właściwych. Jednak od czasu do czasu w tym, lub owym atomie ta równowaga zostaje zerwana i jedna z takich cząstek składowych odrywa się od całości. Jest to prawdopodobnie cząstka, stanowiąca promień α, która, jak wiadomo, ma masę dwa razy większą, od masy atomu wodoru i po opuszczeniu atomu, naładowana jest elektrycznością dodatnią. Łatwo zrozumieć, że atom taki toru, z którego jedna cząstka ubyła, nie może mieć tych samych własności, co atomy całkowite, a przedewszystkiem brak mu stałości, gdyż jego wewnętrzna równowaga została naruszoną. Stąd odpadają od niego dalsze cząstki, atom ulega powolnemu rozkładowi, przez co staje się ciałem silnie promieniotwórczem. Takie to atomy, umniejszone o jedną cząstkę, tworzą substancyę X.

Teorya ta w sposób prosty i zupełnie zadawalniający tłumaczy zarówno zdolność promieniotwórczą czystych pierwiastków, jak i wszyst-

kie inne zjawiska, jakie tu obserwowano. Przedewszystkiem jest rzeczą oczywistą, że takie nadwyrężone atomy znajdować się muszą w niektórych przynajmniej pierwiastkach istniejących w przyrodzie i one właśnie są źródłem owych promieni, jakie w tych pierwiastkach odkrywamy. Zapomocą opisanych wyżej działań chemicznych oddzielamy je, chociaż nie wszystkie, od atomów nienaruszonych, które też po dokonaniu tego rozdziału, promieniotwórczych własności nie wykazują wcale, lub tylko o tyle, o ile pozostały jeszcze między nimi rozkładające się już atomy. Ponieważ jednak ten proces rozkładu atomów odbywa się ciągle, więc wśród masy atomów wiele z nich ulegnie zębowi czasu, przez co ciało z nich złożone staje się znowu promieniotwórczem coraz wybitniej. Wzrost ten jednak jego siły nie jest bez granic, owszem nastać musi wkrótce stan trwały, atomy bowiem nadwyrężone ulegają dalszemu rozbiciu, nastąpić więc musi równowaga pomiędzy tworzeniem się nowych, a wyniszczaniem się starszych partykułek substancyi X.

Zapytaćby się można, z ilu atomów ulecieć musi po jednej cząstce α, ażebyśmy przyrządami naszymi wykryć zdołali własności promieniotwórcze jakiegoś ciała? Pytanie to zdawałoby się niedyskretnem, bo zawiele wymagającem — a jednak i na nie genialna teorya Rutherforda dała odpowiedź [1]. Obliczono różnemi, od siebie niezależnemi metodami, że wystarcza na to zupełnie, by w każdym gramie toru ulegało takiemu rozkładowi nie więcej, jak sto tysięcy atomów na sekundę. Jest to więc ilość stosunkowo niezmiernie drobna, bo prawie trylionowa część wszystkich atomów, zawartych w jednym gramie toru.

Najczulszym środkiem analizy, jakim nauka dotychczas rozporządzała, była waga analityczna i zwłaszcza spektroskop. By jednak zapomocą tych, choćby z największą precyzyą wykonanych przyrządów, wykryć powstanie substancyi X, musiałby proces rozkładu odbywać się przez wiele tysięcy lat, naturalnie jeszcze w założeniu, że produkta rozkładu nie ulegałyby dalszemu przekształcaniu się, jak to w rzeczywistości się dzieje. Tymczasem zapomocą elektroskopu wykryć możemy zmianę, jaka się odbywa w gramie toru w ciągu jednej tylko sekundy, co więcej, przyrząd ten reaguje już na zmiany, wywołane rozkładem jednego tylko atomu, gdyż możemy wykryć promieniowanie jednej stu tysięcznej części gramu toru. Nie tylko więc teoretyczne poglądy uległy wobec zjawisk promieniotwórczych znacznemu rozwo-

[1] Rutherford: *Radioactivity,* Combridge 1904, p. 194 sq.

jowi i zmianom, lecz i ilościowe pomiary, które, jak wiadomo, są konieczną podstawą prawdziwego postępu nauk ścisłych.

* * *

Teorya światła interesowała zawsze ludzi myślących i już w starożytności o nią się spierano. Przez cały ciąg historyi snuły się zawsze dwa obrazy, mające przedstawiać prawdziwą naturę światła. Jedni utrzymywali, że ze świecących ciał wychodzą niezmiernie drobne cząstki materyalne, które biegną w prostym kierunku i uderzając w końcu o narząd wzroku, sprawiają w nas wrażenie światła. Była to tak zwana teorya emisyjna, do której wyznawców zaliczyć należy nawet Newtona. Druga teorya, która od początku ośmnastego wieku stanowczą bierze nad tamtą górę, zwie się teoryą falową, według niej bowiem światło rozchodzi się zapomocą fal. Cząstki ciała świecącego drgając szybko i regularnie, wzbudzają w eterze, ośrodku niewidzialnym, wypełniającym cały wszechświat, fale mechaniczne, działające na nasz wzrok. W drugiej połowie XIX wieku Maxwell, oparty na pracach Faradaya, zmodyfikował, lub raczej zmienił tę teoryę, stawiając znaną powszechnie teoryę elektromagnetyczną światła. Drgające cząstki źródła światła wzbudzają wprawdzie w eterze fale, będące może jakiemiś peryodycznemi zmianami stanu napięcia tegoż, lecz są to fale elektryczne, odznaczające się tylko tem, iż są bardzo krótkie.

Widoczną jest rzeczą, że teorya emisyjna i elektromagnetyczna stoją na dwóch niejako przeciwnych biegunach, a jednak doszły obie co do pewnego zasadniczego zjawiska do zupełnie identycznych wniosków. Skoro promienie światła są jakby rojem gwałtownie biegnących, materyalnych cząstek, to należy oczekiwać, że światło padając na powierzchnię jakiegoś nieprzeźroczystego ciała, musi wywierać nań pewne mechaniczne ciśnienie. Tak sądzili zwolennicy teoryi emisyjnej, a sławny astronom Kepler próbował nawet w r. 1619 wytłumaczyć zapomocą ciśnienia światła słonecznego zjawiska obserwowane na odwróconych od słońca ogonach komet. Jednak bardzo liczne i o ile umiano, jak najczulszymi przyrządami dokonywane doświadczenia, dawały zawsze rezultat ujemny, nie zdołano nigdy wykryć choćby najlżejszego mechanicznego działania światła. Tak n. p. Bennet zawieszał bardzo delikatne źdźbło na pojedynczej nitce pajęczej i umieszczał je w naczyniu szklanem, z którego powietrze możliwie dokładnie wypompowano. Do jednego końca tego źdźbła przyczepiał papierek, na który zapomocą soczewki kierował snop światła słonecznego, jednak bez

skutku. Nie udanie się tych doświadczeń było jednym, chociaż wcale nie jedynym dowodem nieprawdziwości teoryi emisyjnej światła.

Lecz także i Maxwell na podstawie teoryi elektromagnetycznej wywnioskował, że światło padając na przedmioty nieprzeźroczyste, musi wywierać na nie pewien nacisk, a nawet z całą dokładnością obliczył wielkość tego nacisku dla danego natężenia światła. Jak wiadomo, światło jest jedną z form energii. Otóż według Maxwella ciśnienie wywarte przez światło na jednostkę powierzchni jest numerycznie równe ilości energii, zawartej w jednostce objętości ośrodka, w którym się fale świetlne rozchodzą. Według tego prawa obliczyć można, że światło słoneczne wywiera na metr kwadratowy powierzchni naszej ziemi ciśnienie wynoszące 0·41 mg., a więc niespełna pół kilograma na kilometr kwadratowy. Jest to siła tak mała, że nie można było mieć wielkiej nadziei, by się kiedykolwiek udało istnienie jej wykazać doświadczalnie. Mimo to nie dano za wygraną, czyniono liczne próby, a nawet fizyk angielski Crookes wynalazł przy tej sposobności radyometr, przyrząd znany dziś powszechnie, w którym rodzaj wiatraczka, umieszczonego w rozrzedzonem powietrzu, obraca się pod wpływem promieni cieplnych.

Pierwszym, którego badania pomyślnym uwieńczone zostały wynikiem, był uczony rosyjski Lebedew. Dokonał on w r. 1900 szeregu niezmiernie subtelnych doświadczeń, które co najmniej jakościowo wykazały, że światło, padając na ciała nieprzeźroczyste, rzeczywiście wywiera na nie mechaniczne ciśnienie. Przyrząd jego składał się z naczynia szklanego, w którem koło wspólnej osi zawieszono 4 lub więcej krążków metalowych, o średnicy 5 mm, zaś o grubości rozmaitej, od jednej dziesiątej do jednej setnej części milimetra. Jako źródła światła używa silnej lampy elektrycznej łukowej, której promienie, skupione zapomocą soczewek, rzucano na owe płytki. Powietrze w naczyniu rozrzedzono tak, że pozostało ciśnienie, wynoszące mniej niż jedną milionową część ciśnienia atmosferycznego. Wyniki bardzo licznych doświadczeń Lebedewa różniły się najwyżej 20% między sobą i między cyframi, jakie się powinno otrzymać według teoryi Maxwella.

W dwa lata później uczeni amerykańscy Nichols i Hull[1] ogłosili prace nad tym samym przedmiotem, które nic już więcej do życzenia nie pozostawiają, bo tylko o 1% odstępują od wartości, przewidzianych przez Maxwella. Bliższe opisanie ich badań nie przedstawia szer-

[1] *Physical Review* 1901, p. 307.

szego interesu, posługiwali się oni bowiem metodami podobnemi do tych, jakich używał Lebedew.

Nie ulega więc dziś wątpliwości, że światło działa na ciała materyalne nie tylko chemicznie, lecz także i mechanicznie, a jakkolwiek oddziaływanie to nie jest wielkie, to jednak w przypadku rozległej powierzchni oświetlonego przedmiotu i silnego natężenia światła, może dojść do wcale znacznych rozmiarów. Tak n. p. z pomiarów wyżej opisanych i z teoryi wynika, że światło słoneczne ciśnie na ziemię z olbrzymią siłą 560 tysięcy kilogramów, a więc sprawia takie skutki, jak gdyby na powierzchnię ziemi położono 560 ton. Odpowiednie działania wywierają oczywiście wszystkie ciała niebieskie na siebie.

Zachodzićby mogła wątpliwość, czy siły te nie wywołują jakich zamieszań, perturbacyi w biegu planet. Otóż wobec ogromu mas ciał kosmicznych, działanie to światła jest znikająco małe. Prof. Jäger podaje, że ziemia znajdując się pod działaniem odpychającem promieni słońca, otrzymuje przyspieszenie jednej bilionowej części centymetra na sekundę. Ażeby to lepiej sobie uzmysłowić, wystarczy powiedzieć, że ziemia posuwając się takim ruchem, odbyłaby drogę jednego centymetra po upływie 400 tysięcy lat. Jasną jest rzeczą, że wobec ruchów planet, niezmiernie szybkich, odbywanych pod wpływem olbrzymich sił grawitacyjnych, nie mogą minimalne takie przesunięcia, spowodowane ciśnieniem światła, odgrywać żadnej roli, ani też wchodzić w rachubę. Natomiast wpływ ten światła na masy pyłu kosmicznego, które we wszechświecie są rozsiane, z pewnością jest bardzo wybitny. Czy jednak zapomocą ciśnienia światła można, jak to przypuszczał Kepler, wytłumaczyć w sposób zadawalniający zachowanie się komet, o tem wielu badaczy bardzo wątpi.

W każdym razie istnienie ciśnienia światła udowodniono, stwierdzono doświadczalnie fakt, który teorya przewidziała lat temu kilkadziesiąt. Jest to więc niezaprzeczenie tryumf nowy rozumu ludzkiego. Zauważyć jednak trzeba, że ten sam fakt dostrzeżony przed kilkuset laty, służyłby do poparcia teoryi emisyjnej światła, a więc wprost przeciwnej teoryi Maxwella. Mamy tedy przed sobą ilustracyę, z jaką ostrożnością i krytyką brać trzeba rezultaty nawet nauk doświadczalnych, gdy chodzi o budowę pomostu między teoryą a rzeczywistością.

* * *

Astronomia opisowa ma do zanotowania prawdziwy rekord w plamach słonecznych. W miesiącu lutym b. r. można było okiem nieu-

zbrojonem obserwować plamę na słońcu tak wielką, jakiej nie widziano jeszcze nigdy, przynajmniej od czasu, odkąd zaczęto badać przedmioty i zjawiska kosmiczne zapomocą lunety. Ażeby przedmiot jakiś był dla oka naszego dostrzegalny, musi jego pozorna długość wynosić, jak wiadomo, 50 sekund, to znaczy, że linie proste, poprowadzone od naszego oka do krańców owego przedmiotu, zawierać mają między sobą kąt 50 sekund. Oczywiście, im przedmiot bardziej od nas odległy, tem kąt pod którym go widzimy jest mniejszy, tem więc większy powinien być sam przedmiot, by wogóle był widzialny. I tak obliczono, że przedmiot znajdujący się na słońcu, posiadać musi długość 36.000 kilometrów, by był widzialny pod kątem 50 sekund. Otóż plama obserwowana w lutym, wymagania te znacznie przewyższyła. Jej wielkość pozorna 252 sekund wykazuje, że zajmowała ona pas 180.200 kilometrów długości, czyli 15 razy dłuższy, niż średnica naszej ziemi, a przyciemniający 1/8 część średnicy słońca. Wprawdzie w r. 1858 pojawiła się na słońcu plama 230.000 kilometrów długa, lecz była ona znacznie węższa od obecnej, której średnią szerokość podają na 102.000 kilometrów. To też, gdy plama z r. 1858 zaciemniała jedną 36 część tarczy słonecznej, rozciągłość tegorocznej wyniosła 29 część tejże. Bezwzględna wielkość powierzchni plamy lutowej ocenia Moreux, który te daty podaje [1], na 13 miliardów kilometrów kwadratowych, a więc możnaby wygodnie pomieścić na niej około sto takich krążków, jak nasza ziemia. Przypuszczać należy, że zjawisko kosmiczne tych rozmiarów nie przeszło bez wpływu na naszą planetę, zwłaszcza pod względem meteorologicznym.

* * *

Czasopisma przyrodnicze [2] podają za *British Medical Journal* nekrolog zmarłej niedawno żaby, bezsprzecznie najsławniejszej że współczesnych jej towarzyszek, którą jako osobliwość przedstawiano na kongresie fizyologicznym w Waszyngtonie i która przez długi czas zajmowała sobą uwagę fizyologów. Sława ta jej datuje się od roku 1899, kiedy fizyolog dr. Willer postanowił doświadczalnie poprzeć swą teoryę, że siedliskiem »świadomości i chcenia« u zwierząt jest mózg. Wybór padł na naszą zieloną bohaterkę, której ów badacz wyciął obie półkóle mózgowe. Operacya powiodła się doskonale, lecz dla psychiki żaby

[1] *Comptes Rendus* 1905, str. 8.

[2] *Revue générale des Sciences* 1905, p. 144.

pociągnęła najfatalniejsze skutki. Biedną żabkę ogarnęła zupełna apatya i brak wszelkiej inicyatywy do tego stopnia, że nawet nie czuła pociągu do przyjmowania pokarmu i assystent zakładu fizyologicznego musiał ją codziennie karmić w ten sposób, że otworzywszy jej szeroko paszczkę, wpychał jej w gardło zapomocą szczypczyków kawałek mięsa głęboko, by spowodować odruch mechaniczny mięśni połyku. Żaba prawdopodobnie widziała, nerwy bowiem i ośrodki optyczne były nienaruszone, lecz na zjawiska nie reagowała. Leżała ona spokojnie w naczyniu szklanem, w którem ją chowano, poruszając się tylko o tyle, o ile jakieś mięśnie potrzebowały wypoczynku, jak to czyni człowiek śpiący. Gdy ją dotykano, poruszała się, lub nawet skakała przez chwilę; puszczona do wody, pływała tak długo, dopokąd nie znalazła twardego podłoża, na którem mogłaby spocząć, przewrócona wreszcie na grzbiet, nagłym ruchem wracała do zwykłej pozycyi. Sama jednak z własnego popędu nie wykonywała żadnych czynności.

* * *

Niedawno w czasopiśmie [1], będącem organem niemieckiego towarzystwa botanicznego, opisano świeżo odkryte zjawisko wybitnych ruchów, wykonywanych samowolnie przez roślinę, nie podrażnioną żadnym widocznym bodźcem. Mianowicie Molisch, stojąc nad bujnym, blizko pół metra wysokim okazem rośliny zwanej *oxalis hedysaroides*, której nasienie przywiózł ze sobą z Jawy, dostrzegł, że od czasu do czasu raz ten, raz ów listek nagle opuszczał się na dół. Przy bliższem zbadaniu pokazało się, że zachodzi tu znany w fizyologii roślin samowolny ruch rośliny, tylko że nigdzie nie spotkano się z nim w stopniu tak uderzającym, jak u tego gatunku. Listki opisują tu kąt wynoszący 30 do 40 stopni w ciągu jednej sekundy, przyczem koniec listka opada nieraz o 2 cm. ku dołowi i to bądź jednym skokiem, bądź kilkoma drgnieniami. Powrót natomiast listka do pierwotnego położenia odbywa się znacznie wolniej, bo potrzeba na to przynajmniej 5 minut.

Jako przykład roślin, wykazujących podobną własność, przytaczano dotychczas *desmodium gyrans*, pochodzącą z nad Gangesu, która w ciepłem i wilgotnem powietrzu zatacza kręgi swemi listkami, jakby wzniesionemi ku niebu ramionami i to dosyć szybko, bo całkowity obrót nie trwa dłużej nad jednę do trzech minut. Drugim takim okazem jest nasza koniczyna, tylko że jej trójlistki urządzają sobie tę

[1] *Berichte der deutschen botanischen Gesellschaft* t. 22, str. 372 sq.

gimnastykę w nocy, gdyż za dnia oglądać się muszą za chlebem codziennym, to jest przybierać takie położenie, jakie ze względu na światło jest najkorzystniejsze. Wiadomo bowiem, że zawarta w roślinach zieleń tylko pod wpływem światła przysparzać może organizmowi skrobi, owego najważniejszego materyału odżywczego i zapasowego. Zresztą wahania listków koniczyny są znacznie wolniejsze, zakreślenie łuku wynoszącego 120 stopni, wymaga od dwóch do czterech godzin czasu.

Mechanizm, który umożliwia roślinie wykonywanie tego rodzaju ruchów, jest już dzisiaj dokładnie zbadany. Na ogonku listka rośliny takiej, istnieje w pewnym punkcie lekkie nabrzmienie, jak gdyby staw członkowy u zwierząt, około którego wahania wspomniane się odbywają. Miejsce to pod względem budowy swej wewnętrznej, histologicznej, znacznie się różni od innych części tegoż ogonka i jest bardzo dobrze celowo przystosowane do zadania, które ma spełniać. Jeżeli przetniemy poprzecznie ogonek liścia, zobaczyć można pod mikroskopem, że w tkance jego ułożone są zwykle wokółko twarde, sztywne i zdrewniałe włókienka. Tu zaś, w miejscu stawowem, te włókienka skupiają się razem w jedną, mocną, lecz bardzo giętką nitkę, która tu przechodzi wzdłuż ogonka przez sam środek, a otoczona jest naokoło delikatnemi, cienkościennemi, jednak bardzo silnemi komórkami. Wyobraźmy sobie, że te komórki z jednej strony nitki osiowej się znajdujące, kurczą się, podczas gdy ich sąsiadki ze strony przeciwnej nitki stają się dłuższemi. Nastąpić wtedy oczywiście musi przegięcie nitki ku komórkom krótszym. Przedłużanie się takie i skracanie tych komórek okładkowych rzeczywiście istnieje, a przyczyną jego bezpośrednią jest tak zwany turgor, czyli wewnętrzne napięcie komórki, które pochodzi od znanego dobrze w fizyce ciśnienia osmotycznego.

Mianowicie zawartość komórki składa się zwyczajnie z substancyi żywej, zorganizowanej, zwanej plazmą, a nadto prócz innych, mniej istotnych części, z jądra i płynu, zwanego sokiem komórkowym. Wszystko to otoczone jest ścianami komórki, utworzonemi przeważnie z tak zwanego błonnika, czyli cellulozy, tej samej, która dziś w przemyśle tak rozległe znajduje zastosowanie. Sok komórkowy jest to woda, w której rozpuszczone są rozmaitego rodzaju kwasy, sole i cukry. Cząstki soli zawarte w takim roztworze, mają, jak wiemy z fizyki, własność szybkiego rozchodzenia się w czystej wodzie, z którą roztwór zetkniemy, podobnie jak gaz rozchodzi się gwałtownie w próżni, i to nawet wtedy, gdy od wody oddziela je przegroda, przyczem na przegrody te wywierają ciśnienie.

Jeżeli n. p. pęcherz, napełniony roztworem soli kuchennej, zanurzymy do czystej wody, zauważymy wkrótce, że objętość pęcherza się zwiększy, a błona jego silnie się napręży. Otóż podobny zupełnie objaw napotyka się często u komórek roślinnych. Pod wpływem ciśnienia osmotycznego pęczniejąc one, przyczem parcie wewnętrzne dojść może do wprost zdumiewających rozmiarów, bo do dziesięciu, piętnastu, a nawet dwudziestu atmosfer. W komórce więc takiej większa nieraz panuje prężność, niż w kotłach najpotężniejszych maszyn parowych. Zauważyć jednak trzeba, że takie wewnętrzne napięcie, czyli, jak się w botanice mówi, turgor komórki, nie jest zjawiskiem czysto fizycznem, wchodzą tu w grę, według zdania najznakomitszych powag naukowych, także siły życiowe komórki, bo najpierw obserwować ten turgor można tylko u komórek żywych, a powtóre, co najważniejsza, komórki pozbywać się go mogą bez widocznych zewnętrznych przyczyn fizycznych, jakby zależnie od swego upodobania.

Nie wszystkie komórki roślin, a przynajmniej nie wszystkie w jednakim stopniu, mogą nabierać turgoru. Własnością tą jednakże wybitnie obdarzone są komórki, znajdujące się naokoło owego włókna osiowego, biegnącego wzdłuż opisanego wyżej stawu ruchowego ogonka liścia. Łatwo zrozumieć teraz, że gdy tylko komórki po jednej stronie włókna się znajdujące, przybiorą stan turgoru i wydłużą się, inne zaś pozostaną niezmienione, wtedy przechylą cały listek w przeciwną stronę. Do wykonania więc ruchu takiego zespolić się muszą dosyć skomplikowane zjawiska, nic też dziwnego, że potrzeba na to dłuższego czasu, a nagłe i szybkie poruszenia u *oxalis*, opisane na początku, budzić muszą prawdziwe zainteresowanie.

Ks. F. Hortyński.

Ze świata literatury.

W sprawie dwu Zimorowiczów.

W zeszłym roku powzięto we Lwowie myśl uczczenia uroczystym obchodem rzekomej trzechsetnej rocznicy urodzin Szymona Zimorowicza, jako autora znanych powszechnie »Roksolanek«. Aby wykazać niewłaściwość podobnego obchodu napisałem od dawna zapowiedzianą rozprawę, w której, jak sądzę, udowodniłem na podstawie licznych danych, że Szymon wcale »Roksolanek« nie pisał i urodził się

nie w r. 1604, ale dopiero z końcem 1608 lub początkiem 1609 r. Rozprawę wręczyłem Redakcyi *Przeglądu*, która jednakże nie mogła jej całej ogłosić natychmiast, głównie z powodu licznych prac, od dłuższego już czasu w tece redakcyjnej zalegających. Ulegając tylko mej prośbie, zgodziła się Redakcya na natychmiastowe wydrukowanie części najbardziej aktualnej, datę urodzin Szymona obszernie omawiającej, przyczem wystósowano nawzajem prośbę do mnie, bym przerywając swe wywody dodał dla lepszej informacyi czytelników *Przeglądu* jeszcze krótkie *resumé* wyników, do jakich dochodzę w dalszej części rozprawy. Tak też w istocie postąpiłem, ogłaszając w *Przeglądzie* w zeszycie za lipiec artykuł p. t. »W sprawie jubileuszu sielankopisarzy lwowskich« [1]. Aby jednak nikogo w błąd nie wprowadzać, zastrzegłem się wyraźnie po stwierdzeniu daty urodzin, że w »tem miejscu zmuszeni jesteśmy przerwać na razie tok naszych wywodów« i ustąpić pierwszeństwa innym pracom do Redakcyi dawniej nadesłanym. »Jedynie tylko — brzmią dalsze słowa moje najwyraźniej wydrukowane — dla chwilowego zaokrąglenia całości i dla wygody czytelników *Przeglądu* podajemy jeszcze słów kilka o tem, co zawiera nierównie obszerniejsza reszta rozprawy, oczywiście na razie bez żadnego bliższego uzasadnienia«.

Po takiem zastrzeżeniu się i wyjaśnieniu sprawy nie przypuszczałem nawet, aby ktokolwiek mógł mnie inaczej zrozumieć i wystąpić z zarzutami, zanim reszta rozprawy ukaże się istotnie drukiem. Tymczasem p. Jarecki, który już pierwiej usiłował bronić autorstwa Szymona i wystąpił z karkołomną hipotezą, że nietylko »Roksolanki«, ale nawet część »Sielanek« pochodzi od tegoż — nie czekając na wydrukowanie dalszej części rozprawy ogłosił świeżo w *Pamiętniku literackim* (rocznik III, str. 596—602) artykuł p. t. »Spór o dwu Zimorowiczów«. W artykule tym p. Jarecki oświadcza najpierw ku memu zdumieniu, że ja dowodów stale i teraz odmawiam, a następnie polemizuje nietylko z częścią rozprawy w *Przeglądzie* wydrukowaną, ale także i z owem krótkiem, bliżej nieuzasadnionem *resumé*, a więc walczy z argumentami, których jeszcze wcale nie znał, a walczy w ten sposób, że powtarza w kółko wywody przez siebie już dawniej opowiedziane. Postępowanie podobne krytykuje się samo i uwalnia mnie od polemiki przynajmniej w kwestyi argumentów w *Przeglądzie* drukiem nie po-

[1] Redakcya dodała od siebie »Spór o dwu Zimorowiczów«, ze względu na owo krótkie końcowe streszczenie dalszych wywodów.

danych. Zresztą ukazała się już tymczasem w handlu księgarskim całość mojej rozprawy (p. t. »Kto jest autorem »Roksolanek« pod imieniem: Szymon Zimorowicz wydanych?«), jako odbitka z XL-go tomu Rozpraw wydziału filologicznego Akademii Umiejętności w Krakowie. Do tej więc rozprawy odsyłam ciekawych czytelników, gdyż znajdą tam nietylko razem zebrane wszystkie argumenty, na których się opieram, ale także obszerną i wyczerpującą analizę poprzednich wywodów p. Jareckiego.

Po stwierdzeniu tego i zaznaczeniu jeszcze dodatkowo, że p. Jarecki najfałszywiej sobie przedstawia Józefa Zimorowicza i że temuż nigdy nie przypisałbym »szczerego złotego serca«, przystępuję do tego, co mi jedynie uczynić wypada, t. j. do odparcia zarzutów, jakie poczyniono ustaleniu daty urodzin Szymona, czyli tej części rozprawy, którą istotnie w *Przeglądzie* drukowałem. Muszę to zaś uczynić dlatego, ponieważ chodzi tu o kwestyę nader ważną dla historyi literatury polskiej i ponieważ milczenie moje, jak się przekonałem w innym wypadku, mógłby sobie ktoś zupełnie mylnie wytłumaczyć.

Czytelnicy przypomną sobie, że chodzi tu o tekst nagrobku, czy Szymon umarł 21 czerwca 1623 r. *XX annos supergressus*, jak jest dotąd na znakomicie przechowanej tablicy marmurowej, czy *XXV annos supergressus*, jak czytamy u Starowolskiego *Monumenta Sarmatarum* (nie *Sarmatorum!!*), Józefa Zimorowicza *Viri illustres* i w *Mausolea ac epitaphia* czyli dodatku do świeżo przezemnie na jaw dobytego rękopisu OO. Dominikanów krakowskich z drugiej połowy XVII (nie XVIII!) wieku. Pan Jarecki dziwi się, dlaczego pierwej przypuszczałem pomyłkę raczej na nagrobku, niż w *Viri illustres*, a teraz sądzę przeciwnie, i wpiera we mnie, że na zasadniczą zmianę przekonania wpłynęła przedewszystkiem poprawność ortografii łacińskiej na tablicy marmurowej. Otóż tak wcale nie jest. Ortografia grała tu rolę szczegółu ubocznego a rozumowanie moje jest zupełnie inne, dla nieuprzedzonego [1] całkiem jasne i, jak mi się wydaje, nierównie więcej logiczne.

Pierwszeństwo oddawałem dziełku *Viri illustres* dopóty, dopóki byłem przekonany, że mamy tu z powagą Józefa do czynienia. Obecnie zmieniłem zdanie, bo przekonałem się, że Józef przepisał tylko lub przepisać polecił nagrobek ze Starowolskiego i że winowajcą jest nie on, ale Starowolski lub jakieś wspólne źródło. Na ten rezultat poło-

[1] Takim np. okazał się p. Ignacy Chrzanowski, gdy omawiał pokrótce mój artykuł w nr. 11 »Książki«, za listopad 1904.

żyłem najgłówniejszy nacisk i zaznaczyłem go rozstrzelonemi czcionkami. Doszedłem zaś do niego w następujący sposób:

Najpierw stwierdziłem, że tablica marmurowa wzbudza w nas najpełniejsze zaufanie, jako nigdzie nieuszkodzona i znakomicie przechowana. Potem zaznaczyłem dokładnie, jakiemi literami napis wyryto i na ile wierszy go rozłożono, nie po to, jak powiada p. Jarecki, aby utrzymywać, iż formę nadawał mu Józef a nie rzeźbiarz, choć mogło i tak być, ale dlatego, aby uwydatnić różnicę między formą nagrobku na tablicy a w dziele Starowolskiego. Przedstawiłem wreszcie, że styl nagrobka przypomina żywo barokową i napuszystą łacinę Józefa, i że nie popełniono żadnego błędu w pisowni łacińskiej, jakto się przecież bardzo często zdarza na innych nagrobkach, które zdaje się wyłącznie na inteligencyę i sumienność kamieniarza. Stąd wyprowadziłem chyba słuszny wniosek, że »widocznie nad wszystkiem czuwała troskliwa ręka Józefa, który, jak sam powiada, ułożył cały napis«. Pan Jarecki nie wierzy temu i pyta, »gdzież dowód, że dla dopilnowania rzeźbiarza Józef jeździł do Krakowa?«, przypuszczając raczej, że Józef posłał ten napis, rozumie się chyba pocztą lub przez okazyę. Otóż odpowiadam na to, że nie twierdzę wcale, aby Józef umyślnie w tym celu jeździł do Krakowa. Pan Jarecki tego widocznie nie wie, lecz ja mu mogę służyć dowodami, że Józef nie raz, ale kilkanaście razy był w Krakowie, bądź jako obrońca sądowy i pełnomocnik wierzycieli i kupców, bądź dla spraw osobistych, prywatnych. Nie potrzebował zatem posyłać napisu przez pocztę lub okazyę, gdyż miał nieraz sposobność załatwienia sprawy na miejscu.

Okoliczności powyższe zmusiły mnie do przyjęcia, że do napisu na tablicy marmurowej musimy mieć najpełniejsze zaufanie. Teraz z kolei stwierdziłem, że teksty nagrobka u Starowolskiego, w *Viri illustres* i *Mausolea* przedstawiają znowu typ jednolity, zupełnie odmienny, i na podstawie równie drobiazgowego, jak przedtem, porównania doszedłem do wniosku, że wszystkie trzy pochodzą bądź pośrednio bądź bezpośrednio z jednego, bliżej nam nieznanego, wspólnego źródła. Najważniejszym w tym całym wywodzie jest fakt, że Józef do swego dziełka kazał przepisać nagrobek wprost ze Starowolskiego, do czego się zresztą sam przyznaje. Panu Jareckiemu jest to jednak niewygodne; dlatego twierdzi, że Józef używał tylko Starowolskiego krytycznie, skoro uzupełnił liczbę nagrobków i podał jeszcze trzy, które Starowolski opuścił *per ablepsiam* (ślepotę, przeoczenie) *quandam*. Otóż wyrażenie *per ablepsiam* odnosi się wyłącznie do faktu przeoczenia na-

grobków innych Lwowian, z których Józef wybiera jedynie trzy, *ut decuriam expleat*, nie ma zaś zgoła nic wspólnego z faktem dosłownego, bezpośredniego przepisania siedmiu poprzednich nagrobków, jakie przytoczył Starowolski. Fakt ten ostatni tłumaczę niezwykłą pobieżnością w pośpiesznie opracowanem dziełku *Viri illustres*, tudzież sędziwym już wiekiem 74-letniego Zimorowicza w czasie drukowania utworu.

A zatem, wnioskuję chyba logicznie, mamy przed sobą z jednej strony nieuszkodzony napis na tablicy marmurowej, a z drugiej nie powagę Józefa, ale jakiś nieznany nam bliżej odpis nagrobku. Oczywiście w takim wypadku nie mogłem się chyba wahać w wyborze i oddając bezwarunkowe pierwszeństwo napisowi na tablicy marmurowej, doszedłem do wniosku, że Szymon Zimorowicz (*recte* Ozimek) w chwili zgonu liczył dopiero lat 20 i rodził się zatem nie w r. 1605 ale z końcem 1608 lub początkiem 1609. Pomyłkę kopisty starałem się przytem jeszcze wytłumaczyć zbytniem ścieśnieniem liter na tablicy marmurowej, właściwością rycia litery U jako piątki rzymskiej (V) zaraz w następnem słowie SVPERGRESSVS, tudzież udowodnieniem na podstawie przechowanego nam rękopisu, że OO. Dominikanie przy przepisywaniu nagrobków nie przestrzegali potrzebnej drobiazgowej ścisłości i dokładności.

Z powyższych danych wynika, że stwierdzenie prawdziwości daty na tablicy marmurowej muszę uważać za f a k t, a nie żadną hipotezę, jak p. Jarecki łaskawie wyraża się. Ten fakt, powiadam dalej, pozostaje w najzupełniejszej zgodzie z wyrażeniami Józefa w »Sielankach«, że Szymon umarł jako »upieszczone dziecię«, »w pół wiosny jarej«, »w pierwszej zieleninie«, wyrażeniami, które oczywiście p. Jarecki tym razem uważa za »przesadne tylko określenie«, choć w innych wypadkach, gdy mu to wygodne, umie budować na słowach nierównie mniej dobitnych.

Sądzę zatem, że rozumowanie moje, jako ostrożnie i ściśle na rzeczywistych szczegółach oparte »usunęło« właśnie »dotychczasowe wątpliwości« i w połączeniu z innemi danemi, jakie mamy do rozporządzenia, uprawniło mnie w dalszym rzędzie do wniosku, że żywot Szymona przedstawia się w istocie nader skromnie. Muszę przytem dodatkowo zauważyć, że p. Jarecki myli się, jeśli cokolwiek buduje na okoliczności, iż Szymon na $1^1/_2$ roku (nie na »dwa lata«) przed śmiercią sprawował »urząd« *vicenotarii iudicii civilis*. Znaną jest tytułomania Polaków czasów obecnych i minionych — w t y m w y p a d k u zresztą nawet zgoła n i e p r z e s a d n a. Każdego, nawet świeżo zacią-

gniętego dyurnistę sądowego zwano, jak wiadomo, podpiskiem i przyznawano mu analogicznie w aktach tytuł *vicenotarii*. Nie piastował więc Szymon »żadnego urzędu«, ale po ukończeniu szkoły lwowskiej był niczem więcej, tylko takim według wyrażenia się teraźniejszego dyurnistą, i to dyurnistą mieszczańskiego, ławniczego sądu lwowskiego, mającego nawet nierównie mniejszą agendę, niż konsularny czyli radziecki.

Na podstawie powyższych danych mogłem śmiało utrzymywać, że jest nieprawdopodobnem, aby Szymon wśród podobnych okoliczności, bez przechodzenia przez szczeble stopniowego rozwoju, zabłysnął od razu jako poeta, »niezwykłym talentem obdarzony« i stworzył pieśni, jak się okazuje, obecnie coraz więcej podziwiane. Dodałem: analogie z czasów wysokiego napięcia umysłowego niczego nie dowodzą, bo na taką, choćby na mniejszą skalę, epokę nie zanosiło się wcale w ówczesnym Lwowie. Oczywiście nie szło mi tu wcale o żadną genialność pomysłów i t. d., choć p. Jarecki Józefa na wypadek gdyby był autorem »Roksolanek«, nazwał (l. c. str. 596) ukrytym geniuszem literackim — ale o prawdopodobieństwo, czy w podobnych warunkach znajdującemu się młodzieniaszkowi można przypisać choćby tylko »wykończenie szczegółów« »niesłychaną subtelność uczuć, delikatność w oddaniu najmniejszych ich odcieni, niemal poszczególnych drgnień serca«, słowem »najpiękniejsze w swoim rodzaju arcydzieło, jakie zna dawna liryka nasza«. Choćbyśmy bowiem te objawy subjektywnego zachwytu p. Jareckiego po głębszej, nie abstrakcyjnej analizie utworu zredukowali nawet do właściwej miary, to jeszcze to, coby zostało, czyniłoby nieprawdopodobnem autorstwo młodzieniaszka, wśród takich warunków wychowanego. Możliwem jednak przecieżby było i z tą możliwością licząc się, przeszedłem do dalszych argumentów, które wykazały, że to, co mi się nieprawdopodobnem wydawało, nie istniało także nigdy w rzeczywistości.

Dr. Korneli Heck.

Listy z Warszawy.

II. Prasa warszawska.

Prasa warszawska zaczyna się odzywać swobodniej, wyraźniej. Był czas, kiedy prasa warszawska (między r. 1870 a 1890) roz-

padała się na dwa wielkie odłamy, na starą i młodą. W ramy »starej« wsuwano wszystkie odcienia zachowawcze, właściwie idealistyczne, nazwa »młodej« obejmowała wszystkie odcienia postępowe, właściwie pozytywistyczno-materyalistyczne.

Smutne doświadczenia ostatniego zbrojnego powstania z r. 1863 oddziałały na społeczeństwo polskie wytrzeźwiająco. Synowie ostatnich romantyków zrozumieli, że droga krwawa nie prowadzi do rezultatów dodatnich, do polepszenia bytu i postanowili skierować całą swoją energię do spokojnej pracy społecznej, do tak zwanej pracy organicznej, pracy u podstaw. Rzucono się do wzmocnienia materyalnej podstawy społeczeństw, do podniesienia handlu, przemysłu, rolnictwa, słowem do pomnożenia bogactwa kraju.

To była część pierwsza dodatnia programu młodych. Dodatnia, bo społeczeństwu znękanemu niezwykłemi wrażeniami i zubożałemu przez wojnę, należał się wypoczynek i obfitszy kęs chleba.

Ale usiłowania, podjęte w kierunku podniesienia dobrobytu, nie stwarzają nigdy epoki czy prądu narodowego, bo nie są zdolne do zapalenia, do rozentuzyazmowania szerszych mas. Tę zdolność posiadają zawsze tylko jakieś idee, jakieś wyższe cele ludzkie, jakieś nowe hasła polityczne, ogólno-społeczne, filozoficzne.

Wiadomo, że w Europie zachodniej panował od r. 1850 t. zw. pozytywizm, który poczęty we Francyi, przeniesiony z nad Sekwany do Anglii, rozlewał się powoli po całym świecie cywilizowanym. Dotarł on i do Warszawy właśnie w chwili, kiedy się »młodzi« rozglądali chciwie za jakiemiś nowemi hasłami. Pozytywizm, który obiecywał tak dużo, który opierał się tylko na rozumie i doświadczeniu, przypadł do smaku »młodym trzeźwym«, zgadzał się doskonale z ich chłodną praktycznością i dlatego objęli go miłośnie z całem oddaniem bezkrytycznej, gorącej młodości.

To była druga, ujemna część programu »młodych«. Ujemna, bo zrywała gwałtownie nić ciągłości historycznej i wychowała pokolenie bez bojaźni Bożej, rzuciwszy w kraj wielkie mnóstwo nowych idei, z których wypełzł szpetny gad płaskiej bezwyznaniowości i nienasyconej niczem żądzy zmysłowego używania.

Krzewicielem nowych haseł był w Warszawie *Przegląd Tygodniowy*, redagowany przez Adama Wiślickiego, bardzo zdolnego i rzutkiego redaktora, który umiał chwytać w lot wszystkie nowinki. Z pomocą przybyły mu później: *Prawda*, *Nowiny* i *Ateneum*. Kampanię ze »starymi« prowadził Aleksander Świętochowski, utalentowany pisarz, cięty

polemista, przy którego boku stali: Piotr Chmielowski, Józef Kotarbiński, z początku także Julian Ochorowicz (później umiarkowany) i cały legion drobniejszych szermierzów, dziś zapomnianych.

»Starzy«, czyli właściwie idealiści, nie wiedzieli na razie, co z tym fantem począć. Byli oni w istocie starymi wychowańcami gasnących ideałów, trochę już skostniali w swoich pojęciach i dlatego nie umieli wniknąć w treść nowego światopoglądu, dopiero gdy bezradną falangę prawdziwych starych odświeżyły, wzmocniły siły nowe, latami młode a przekonaniami umiarkowane, kiedy z obozem starych złączyli się pisarze młodsi, którzy nie ulegli nowinkom Europy zachodniej, rozpoczęła się wrzawa polemiczna. Organami tych neokonserwatystów, jak ich przeciwnicy nazwali, były: *Niwa* i *Słowo*. W pismach tych walczyli z pozytywistami: ks. Wład. Dębicki (wówczas świecki, profesor gimnazyum), ks. Jan Gnatowski (wówczas także świecki), Władysław Olendzki, Aleksander Rembowski, Mścisław Godlewski, Stefan Godlewski i Teodor Jeske-Choiński (polemista stronnictwa). Poglądy młodokonserwatystów podzielała w pewnej mierze antysemicka *Rola*, redagowana przez Jana Jeleńskiego.

Dziś należy pozytywizm warszawski do nieboszczyków; zgasł on w sile wieku męskiego, zatruty rezultatami swojej doktryny.

»Trzeźwi« wierzyli i głosili, że handel, przemysł, zawody techniczne, zajęcia praktyczne wogóle podniosą dobrobyt całego społeczeństwa. Wzgardzony przez dawniejsze pokolenia handel i przemysł wynieśli na wysoki piedestał obywatela, posłannika, budowniczego szczęśliwej przyszłości. Nie tylko publicyści, ale także poeci i powieściopisarze składali hołd wszelakiej praktyczności. Młoda Orzeszkowa poświęciła wszystkie siły swoje apoteozowaniu inżynierów, przemysłowców i t. d.

Tymczasem okazało się po pewnym czasie w praktyce, że handel i przemysł ani myślą o jakiejkolwiek ofierze obywatelskiej, o posłannictwie publicznem, lecz są prostymi samolubami, których ideałem, bożyszczem jest rubel, a celem życia pogoń za tym rublem.

Pierwsze rozczarowanie...

Pozytywiści wierzyli i głosili, że wiedza ścisła, doświadczalna jest potęgą czarodziejską, która otworzy ostatecznie zamkniętą szczelnie bramę raju pełnej świadomości. Odrzucili pysznie bojaźń Bożą, »jako przeżytek umarłej raz na zawsze przeszłości«, odsunęli na bok intuicyę, wzgardzili wszelką metafizyką, ufając tylko rozumowi ludzkiemu, eksperymentowi i obserwacyi.

Tymczasem załamali wkrótce sami mistrzowie kierunku ręce zwątpione, zrozpaczone (Littré, Spencer, Mill, Du Bois Raymond), przyznając się jawnie do pomyłki.

Drugie rozczarowanie...

Pozytywiści mówili tyle, tak bezustannie o nauce, o jej potędze, o jej znaczeniu, o jej przyszłości, że szerokie masy uwierzyły po swojemu w tę potęgę, w to znaczenie. Ubogi rzemieślnik, oficyalista, sklepikarz odejmował sobie od ust, harował, pracował, zapożyczał się, rujnował, aby syna posłać do szkół, w tej nadziei, że gdy jego dziecko skończy szkoły, przebrnie przez uniwersytet o głodzie i chłodzie, gdy »zostanie panem«, wówczas zapłaci mu wszystkie trudy, całą nędzę jego życia z procentem lichwiarskim. Ale nauka nie prowadzi do świątyni Złotego Cielca, nie daje majątku a nawet dobrobytu. Kto nie kocha nauki dla niej samej, ten nie powinien się zaciągać w szeregi jej sług, bo zamiast słodyczy znajdzie w niej gorycz proletaryatu inteligentnego.

Trzecie rozczarowanie...

Z tych trzech rozczarowań złożyło się bankructwo pozytywizmu, a z bankructwa programu wyłoniły się jego skutki naturalne: zniechęcenie, pesymizm.

Bankructwo pozytywizmu odjęło znaczenie jego organom, jego wyrazicielom w prasie i usunęło potrzebę jego wojujących przeciwników. Od r. 1890 mniej więcej ustała w prasie warszawskiej wrzawa polemiczna i nastał spokój wypoczynku.

Z chwilą gdy prawdziwi publicyści, gdy szermierze idei, takich czy innych, stali się niepotrzebni, wtargnęli do prasy warszawskiej gromadnie kupcy. Przez lat dziesięć nie było w Warszawie ani konserwatystów ani postępowców, białych i czerwonych, takich i owakich, nie było organów stronnictw, lecz tylko dzienniki informacyjne, wydawane przez kupców gwoli łowienia prenumeratorów. Echa walki o idee odzywały się od czasu do czasu w jakimś tygodniku, ale były to echa słabe, bez dawniejszej siły i doniosłości.

Prasa warszawska rozpadła się po r. 1890 znów na dwa odłamy, z których jeden (znaczna mniejszość) przemawiał jeszcze od czasu do czasu wyraźnie, chcąc czegoś, dążąc do czegoś, drugi (znaczna większość) starał się głównie o bezbarwność, by pozyskać jak najszersze koło prenumeratorów. A że większość w kraju jest katolicka, zachowawcza, przeto pomijała bibuła bezbarwna bardzo starannie wszystko, coby mogło obrazić uczucia czytelników. Wytworzyło się stąd złudze-

nie o zachowawczości wielu pism, które nie skruszyły w obronie idei konserwatywnych ani jednej kopii. *Bisness* bywa chytry i umie schować pazury.

Rozumie się, że prasa kupiecka, sklepik, jak każdy inny, obywa się doskonale bez talentów pisarskich. Nie tylko ich nie potrzebuje, ale obawia ich się wprost, mogliby bowiem wyrazistością swoich przekonań zaszkodzić »interesowi«. Do obsługi przeciętnej ciekawości wystarczają najzupełniej zwykli urzędnicy redakcyjni: reporterzy, tłumacze, przerabiacze cudzych, a jak u nas, zagranicznych artykułów, rutynowani sprawozdawcy, słowem cały ten personał, bardzo potrzebny w każdej redakcyi, lecz nie wchodzący nigdzie do historyi prasy, bo nie umiejący nic wysnuć z własnej głowy.

W ostatnich latach robiła większość prasy warszawskiej wrażenie pustyni. Wiadomości, wiadomostki, informacye, telegramy, powtarzane najczęściej dosłownie we wszystkich pismach, pisane źle, niedbale, na kolanie... Całą ambicyą redaktorów było jak najszybsze podawanie owych wiadomości. Nigdzie ani odrobiny oryginalnego słowa. Wszędzie rozpaczliwa płytkość, płaskość, pospolitość...

Trochę ruchu do tego spokojnego bagienka wprowadzili moderniści, którzy się usadowili w *Chimerze* i w *Ateneum*, ale tylko trochę.

Wtargnęli do Warszawy z wielkim łoskotem pod wodzą Stanisława Przybyszewskiego i Zenona Przesmyckiego (Miriama). Mówili głośno i dużo o nagiej duszy, o Nietzschem, Beaudelairze, Norwidzie, o wszechpotędze sztuki. Słuchano ich uważnie, dysputowano o ich różnych modernizmach i przestano wkrótce mówić. Dlaczego? Bo reforma ich nie posiadała dość siły i treści do porwania za sobą, do roznamiętnienia szerszych kół, choćby tylko przeciętnej inteligencyi.

Moderniści i dekadenci w ścisłem znaczeniu wyrzekli się z góry wpływu na szersze masy. Zamknąwszy się w ciasnem kółku formułek estetycznych, w granicach sztuki, wyrzuciwszy za nawias swojego programu wszelką pracę społeczną i narodową, służyli tylko drobnemu odłamowi ludności wielkomiejskiej, nielicznym u nas estetom w rodzaju Petroniusza lub pozującym na wykwintnych estetów, na »arystokratów ducha« Petroniuszkom płci obojej. Otoczyła ich gromadka zblazowanych rzeczywiście lub sztucznie młokosów, »zmęczonych życiem« przed poznaniem życia i tłum cywilizowanych żydówek, klaskających zawzięcie wszelkiej nowości. Naród, wielka masa starszej inteligencyi, zarówno zachowawczej, jak postępowej, zachowywał się chłodno, obojętnie wobec sztuk łamanych poetyki dekadencko-modernistycz-

nej i wobec mglistych dziwactw symbolistyki. Nie jesteśmy jeszcze społeczeństwem tak przecywilizowanem, by nas takie »wykwintności« mogły zająć, by nam były potrzebne.

Oglądaliśmy się w Warszawie daremnie za jakiemiś nowemi hasłami, któreby zelektryzowały całe społeczeństwo i wstrzyknęły do arteryi wyjałowionej prasy świeże soki. Aż nagle dokonała tego dzieła siła niespodziewanych wypadków. Wojna z Japonią i ruch reformatorski, który ogarnął całe państwo rosyjskie, przebudził i nas z uśpienia. Od pewnego czasu krzątą się znów prasa, zakasuje rękawów, temperuje pióra, ożywia się, zaczyna śmielej przemawiać. W przewidywaniu przyszłych reform tworzą się stronnictwa, grupują się osobistości tych samych przekonań. *Goniec poranny i wieczorny,* zmieniwszy właścicieli i redaktorów, wywiesił flagę demokratyczną, *Kuryer codzienny,* wyszedłszy z rąk p. Stanisława Libickiego, stał się skrajno-postępowym, *Dziennik dla wszystkich,* nabyty przez Jana Jeleńskiego, redaktora *Roli,* przyznaje się do wyraźnej barwy katolickiej. Wszystkie pisma zaczynają pomieszczać t. zw. artykuły zasadnicze, dysputują, rajcują. Literatura, sztuka, nauka, filozofia poszły w kąt. Na pierwszy plan wysunęły się polityka i sprawy społeczne, które obecnie wszystkich zajmują,

Rozczytując się w tem, co się u nas dziś pisze i wsłuchując się w to, co się mówi, uderza przedewszystkiem ogólny chaos pojęć, dróg, celów, środków. Wszystko się poplątało, pomieszało, wywróciło na nice. W tym chaosie nie widzi się planu, nie słyszy się głosu rozważnego.

Gorączka »gadania«, wygadania się ogarnęła społeczeństwo, przywykłe od lat kilkudziesięciu do milczenia. Gadają więc wszyscy powołani i niepowołani, a najgłośniej, najwięcej niepowołani. I słusznie skarży się Aleksander Świętochowski: »Dwunastoletnie dzieci w kajetach kaligraficznych piszą na dwu liniach odezwy do narodu; histeryczni narwańcy stają przy zwrotnicach ruchu społecznego i wekslują na tory, na których on niechybnie rozbić się musi, gadatliwe mamy rozstawiają swoje warty przy skarbcach dobra ogólnego, specyaliści w grze bilardowej i karcianej, którzy ani jednego dnia nie zmarnowali na myślenie socyologiczne, mianują się mężami stanu, nadewszystko zaś każdy rezonujący próżniak, każdy frazesowy blagier, każdy pyszałek, którego ambicya nie karmi się żadnem trwalszem zadowoleniem, każdy z owych ledwie dostrzegalnych punktów ludzkich uważa się za

środek, koło którego krążyć powinien »świat najdonioślejszych spraw bieżących«.

W ciche jezioro naszych stosunków wpadł ogromny kamień wypadków historycznych i spłoszył wielkie mnóstwo żab. I żaby rechocą mniemając, iż rechotaniem wpłyną na owe wypadki. Gada od kilku miesięcy cała Warszawa, cały kraj, gada chaotycznie, naiwnie, nie licząc się z warunkami rzeczywistemi, które nie od nas zależą.

Społeczeństwo, odwykłe od spraw politycznych i społecznych w szerszym stylu zaskoczone nagle wypadkami wielkiej doniosłości, nie umie się »połapać« w sytuacyi, nie umie obliczyć spokojnie swojego *debet* i *credit,* nie zdaje sobie sprawy z tego, czego można dosięgnąć a czego nie można.

Chaos ten powiększa teroryzm żywiołów radykalnych, zmierzających do swoich celów z bezwzględnością głodnej bestyi. Strach przed teroryzmem radykalizmu zamyka usta żywiołom umiarkowanym, rozważnym, zdumionym tem, co się dzieje. Jesteśmy obecnie świadkami szczególnego widowiska. Milionowe miasto drży przed gromadką tajnych agitatorów, nikt nie ma odwagi oprzeć się temu teroryzmowi, bo nikt nie ma ochoty narazić się na zemstę podziemnych władców.

A jednak trzeba, żeby się żywioły umiarkowane zszeregowały, żeby powstało znów nowe stronnictwo zachowawcze, któreby uspokoiło wzburzone, podniecone umysły, rozpatrzyło się spokojnie w sytuacyi i przeciwdziałało wpływom radykalizmu.

Bo ten radykalizm sięga dalej, głębiej, aniżeli się zdaje. Nie tylko, że rozzuchwalił żydów, z natury swojego położenia skorych zawsze do wszelkiego mącenia wody, nie tylko, że zbałamucił robotników fabrycznych i służbę, tu i owdzie i chłopów, ale poprzewracał nawet w głowie dzieciom, uczniom, niedorostkom. Jest śmiesznością poddawać się bez żadnego oporu samowoli dzieci, a na tę śmieszność patrzy Warszawa.

Zachowawcy warszawscy drzemali w latach ostatnich drzemką zniedołężniałej starości. Nie robili nic a nic publicystycznie, ani społecznie w celu powstrzymania szalonego rozpędu pojęć radykalnych, informowali swoją publiczność niedbale, oschle, bez talentu i temperamentu, przeżuwali leniwie stare, przeżyte formułki i dlatego zasłużyli słusznie na to, czego się doczekali: nikt się nimi nie zajmuje, nie zwraca na nich uwagi, nie liczy się z nimi. Radykalizm trzyma dziś w ręku ster spraw krajowych, gospodaruje, rządzi, prowadzi lud

miejski i wiejski, żydów, młodzież, drwiąc sobie z żywiołów umiarkowanych.

Byłby czas, żeby się zachowawcy warszawscy przebudzili z drzemki wygodnej i starali się oczyścić »nowe prądy« z ich chwastów i brudów. W chwili, kiedy się prasa postępowa zaczyna ruszać na dobre, okazała się znów potrzeba, konieczność świadomej nowych czasów, powstrzymującej wybryki radykalizmu prasy zachowawczej.

Od czasu ustania walki między »młodymi« a »starymi« zmieniło się u nas bardzo dużo. Walka szermierzów pozytywistycznych zamilkła wprawdzie — oni sami, dojrzawszy, uspokoiwszy się wsiąkli w liczny u nas zastęp żywiołów umiarkowanych — ale siew ich nie zmarniał, jak się neokonserwatystom zdawało. Zatrute bałwochwalstwem jednostki, ubóstwieniem ludzkiego »ja« ziarna ich, rozrzucone szeroko, padły w dusze młodego pokolenia i powschodziły bujnie. Materyalistyczny światopogląd ujarzmił szerokie masy inteligencyi i nieinteligencyi, rozbudził, uświęcił samolubstwo, rozpętał namiętności zwierzęce, drzemiące w każdym człowieku, podniecił różne nieszlachetne apetyty, nauczył lekceważenia uczuć religijnych, pogardy dla wszelkiej powagi lat, doświadczenia, zasługi, buntu przeciw rodzicom, poniewierania pokoleń starszych przez młodsze, płaskiego bluźnierstwa. Modernizm ze swoją lubieżnością i dekadentyzm z doktryną Nietzschego pomogli niewątpliwie materyalizmowi, chociaż mianują się jego przeciwnikami.

Tworzy się nowe społeczeństwo, a jak zawsze, kiedy się coś nowego buduje, panuje ogólny zamęt, chaos. W ten chaos powinna wejść ręka porządkująca, oddzielająca świadomie ziarna od chwastów, a tą ręką porządkującą nie może być radykalizm, z natury swojej zawsze przenamiętny, jednostronny, zbyt gwałtowny. Dzieła tego dokonać może tylko sternictwo umiarkowane, nie zrywające nici ciągłości historycznej, wiążące potrzeby nowe z tradycyą przeszłości, oparte na religii i porządku społecznym. Ale to stronnictwo umiarkowane powinno być czujne, czynne, świadome nowych prądów, które wstrząsają krajem.

Teodor Jeske-Choiński.

Druk ukończono 6 maja 1905 r.

UKAZ TOLERANCYJNY.

Z chaosu wydarzeń, na jakie już przeszło od roku patrzymy, wyłonił się wreszcie fakt pozytywny i to, dodajmy, wypadek przełomowego znaczenia, jakim jest podpisany przez cara Mikołaja II tolerancyjny ukaz.

Co najpierw na myśl przychodzi, to pewne zastrzeżenie. Tyle już razy, w ciągu stuleci, Rosya najuroczystsze w tej dziedzinie spraw religijnych robiła obietnice, które później okazały się płonnemi, a nadto ukaz obecny powstaje w takiej chwili krytycznej, pod grozą takich ciosów, z zewnątrz i z wewnątrz, na jakie Rosya jeszcze nigdy wystawioną nie była, że brak temu ukazowi tej rękojmi pewności, jakie do podobnych manifestów gdzieindziej przywiązujemy. Ma się obawę, że, przy zmianie losu, ukaz pójdzie drogą jaką szły w tym kraju wszystkie prawie dotychczas w chwil, krytycznej, wydawane reformatorskie ukazy, kiedy to wraz z jakiem takiem przywróceniem równowagi państwowej, pozostawał z rozporządzenia tylko cień pierwotnej myśli, a po jakimś przeciągu czasu, tylko martwa litera.

Pierwsze chwile po ukazaniu się tolerancyjnego edyktu, są tego rodzaju, że zdają się rozpraszać wszelkie niedowierzania i wątpliwości. W różnych stronach cesarstwa i królestwa, zwłaszcza na terytoryum dawnej unickiej dyecezyi chełmskiej, rozpoczął się ruch religijny, ożywiony, prawie gorączkowy. Patrzymy na objawy, od długiego lat szeregu w tamtych stronach niewidziane. Metropolita Szembek zapowiada wizytacyę swojej dyecezyi, wi-

zytacyę taką odbywa biskup lubelski. Cała podróż biskupa lubelskiego jest jednym nieprzerwanym tryumfalnym objazdem; w głównych jej punktach gromadzą się tysiące ludzi z różnych i to odległych stron kraju i wśród enturyastycznych owacyi, uroczystości, w najgłębszem poruszeniu dusz tak, iż miejscami tłumy całe opanowuje jeden jęk radosnego rozrzewnienia, łączą się z swym Arcypasterzem. Takich i tym podobnych objawów wiele, jak, naprzykład, zapoczątkowana akcya celem restauracyi kilku zamkniętych kościołów albo budowy nowych — lub te znamienne okólniki kilku biskupów do duchowieństwa, pouczające, jak postępować z tymi, co chcą przejść na łono Kościoła katolickiego. Najwspanialszy widok tego religijnego ruchu przedstawiają okolice, zamieszkałe przez Unitów chełmskich. Zaraz na drugi dzień, po pojawieniu się ukazu, roją się gościńce i drogi Podlasia od ludu który spieszy do katolickich kościołów, by zgłosić do nich swoją przynależność. Pielgrzymki te trwają tygodniami, a wynik ich taki, że w jednej chwili znikają całe parafie prawosławne. Co podnosi znaczenie tych wypadków, to to, że nie tylko opuszczają prawosławie tak zwani »oporni«, ale i »wątpliwi«, ci nawet, którzy uchodzili dotąd za pewną podporę rządowej religii w tych stronach. A któż opisze to wszystko, co się w głębi dusz podlaskich, w sercu tych wielkich wyznawców wiary przez te dni działo i po dziś dzień dzieje. Listy, które stamtąd rąk naszych doszły, są łzami pisane. Cała te dwa miesiące po ukazie, to doprawdy jedna chwila jakiejś religijnej ekstazy, jakiegoś zwycięskiego a nadziemskiego upojenia. Każda najdrobniejsza sposobność do objawienia swej wiary, każda najmniejsza funkcya religijna, jak pogrzeb dziecka przez księdza katolickiego prowadzony, zmienia się w jednej chwili w tryumfalną demonstracyę tłumów. Tam, gdzie niema kościołów, lub gdzie kościoły zamknięte, gromadziły się w miesiącu maju wsi całe pod krzyżami polnymi, uginającymi się pod kwieciem i światłem i śpiewały litanię i pieśni. W jednej miejscowości przyjechał ksiądz katolicki, aby zaopatrzyć dwu ciężko chorych Unitów. W jednej chwili mieszkańcy wsi otaczają księdza i z pieśnią na ustach, ze światłem w ręku, w olbrzymiej procesyi, odprowadzają go pod dom umierającego. W tej samej miej-

scowości był pogrzeb, ale chwilę tylko towarzyszyła mu smutna pieśń kościelna. Po tej chwili wszelkie konwencye, przepisy, musiały ustąpić przed rozpierającem serca uczuciem radości; na cmentarzu rozległa się tryumfalna pieśń Zmartwychwstania: »Wesoły nam dziś dzień nastał«.

Ale równorzędnie z tymi objawami religijnej swobody, a raczej tolerancyi, zjawiają się od czasu do czasu na tem pogodnem niebie i chmury. Obawy, czy ukaz tolerancyjny wejdzie w całej pełni w życie, nie są płonne. Z jednej strony duchowieństwo prawosławne, zaniepokojone niepomiernem umniejszeniem swego stanu posiadania, zaczyna się krzątać i działać, a nie mając w swem ręku prawnego środka, chwyta się nieraz bardzo nieprawnych, jak kłamstwo, i inne pokrewne sposoby — z drugiej strony biurokracya, gdzie może, robi trudności, uciekając się do niedomówień, jakich w ukazie pełno. Możnaby już urządzić bardzo ciekawy zbiór z pomysłów komentatorskiej sztuki, na jakie w tej sprawie zdobyło się czynownictwo, stawiając trudności przy wykładzie religii w języku ojczystym, lub nie chcąc wpisywać Unitów w księgi urzędowe. W ostatniej chwili dochodzi nas wiadomość, że do jenerał-gubernatora Maksymowicza przyszło pismo z Petersburga, w którem car wyraźnie zaznacza, że każde namawianie do opuszczenia prawosławia jest czynem podpadającym pod kodeks karny. Już to jedno może całe znaczenie tolerancyjnego ukazu ogromnie umniejszyć.

Jest coś jednak, co jakąś daje sankcyę temu aktowi. Oto, wypadki zewnętrzne, zwłaszcza zaś wewnętrzne w Rosyi, zaszły już tak daleko, że całkowity powrót do pierwotnego stanu może już nie jest możliwy. Spodziewane zmiany w państwowym ustroju rosyjskim mogą wisieć w powietrzu jakiś jeszcze dłuższy czy krótki czas, ale po ludzku rzeczy biorąc, już w powietrzu rozpłynąć się nie mogą. Mogą najbliższe dni przynieść na chwilę bardzo nawet silne rozczarowanie, bo jak ostatnie wieści głoszą, reakcya biurokratyzmu bierze znowu górę na dworze cesarskim, ale już samo to rozpaczliwe przerzucanie się z jednej skrajności w drugą, jest niezbitym dowodem, że dotychczasowy system jest stanowczo zachwiany.

To jest podstawa, na której, w tej sprawie, z dość wielką ufnością w przyszłość, oprzeć się można. Tak przynajmniej sądzić każe zwyczajny bieg rzeczy. Nie wchodzimy oczywiście w dalsze kombinacye i przewidywania, które przypuszczają, że obecny ukaz tolerancyjny jest tylko pierwszym etapem sprawy religijnej, po którym dalsze, coraz pomyślniejsze, nastąpią.

Na tej podstawie opierając się, przyznajmy, że stoimy wobec aktu wielkiej doniosłości.

Nie jest to jeszcze akt, któryby dawał pełnię swobody religijnej; do tego jeszcze daleko. Prawosławie pozostaje i nadal na naczelnem stanowisku i ze wszech stron jest otoczone opieką państwową. Przywileje zaś dane innym wyznaniom, a zwłaszcza, o co głównie w tym wypadku nam chodzi, katolicyzmowi, nie tyle są przywilejami, jak raczej usuwają tylko pewne szczególne nadużycia rządu i to nie wszystkie najważniejsze.

Dla przeglądu sprawy ważną jest rzeczą rozpatrzyć te paragrafy ukazu i związanej z nim uchwały komitetu ministrów, które odnoszą się do katolicyzmu, i jako takie, nas najwięcej obchodzą.

Paragraf pierwszy ukazu uznaje, »że odstąpienie od wiary prawosławnej do innego chrześcijańskiego wyznania lub doktryny nie podlega prześladowaniu i nie powinno pociągać za sobą żadnych niekorzystnych następstw co do praw osobistych i obywatelskich, a ci, którzy odpadną od prawosławia po dojściu do pełnoletności, uważani być mają za należących do tego wyznania lub doktryny, które sami sobie wybrali«. W związku z tem postanowieniem pozostaje ten ustęp paragrafu drugiego, który orzeka, że »w razie zmiany wyznania przez oboje małżonków, dzieci, które nie skończyły 14 lat wieku, idą za religią rodziców«.

Odnosi się też tu paragraf trzeci, na mocy którego »osoby zaliczone do prawosławia, a w rzeczywistości wyznające tę chrześcijańską wiarę, do której oni sami lub przodkowie ich należeli, mają być na życzenie wyłączeni z prawosławia«.

Czem są te paragrafy najpierw dla tych, którzy stali się najbardziej godni zmiłowania Bożego, dla Unitów chełmskich, mówić nie potrzebujemy. Równo lat temu trzydzieści, jak urzędowo ogłoszono, że Unia w państwie rosyjskiem istnieć przestała;

ileż przez tyle lat mąk i udręczeń przeszli ci, co wiernymi do końca swojej religii zostali! Ale nie tylko dla nich koniec udręczenia się zbliżył. Otwiera się też nowa doba dla tych, co w męskiej lub żeńskiej linii są potomkami dawnych unitów w guberniach litewsko-ruskich, o których, niestety, tak gruntownie u nas zapomniano. Odnoszą się te ustawy dalej i do tych, co zrodzili się z małżeństw mieszanych katolicko-prawosławnych, lub pochodzą z nich w drugiem, nieraz w trzeciem pokoleniu. W iluż to, skutkiem tego, sumieniach ustanie to straszne rozdwojenie, jakie w dotychczasowych warunkach istniało, ustawiczna walka między najgłębszem i najistotniejszem przekonaniem i uczuciem a zewnętrznymi pozorami.

Ustaje też ten wyjątkowy stan, jaki nawet na dzieci w powijakach rozciągał się, kiedy to dzieci niewiadomych rodziców lub podrzutki należało chrzcić w wyznaniu prawosławnem. Paragraf czwarty postanawia, by »zezwolić chrześcijanom wszystkich wyznań, przyjmowane przez nich na wychowanie niechrzczone podrzutki i dzieci rodziców niewiadomych, chrzcić według obrządków swojej wiary«.

Następny, odnoszący się do naszej sprawy, paragraf 13, reguluje sprawę budowy i restauracyi kościołów. Dotychczas sprawa ta podpadała bezwzględnie pod wyroki administracyi państwowej, która znowu czyniła ją zależną od pozwolenia duchownej władzy prawosławnej. W iluż to wypadkach, z tego względu, całe okolice były pozbawione kościoła, bo, albo nie pozwolono na budowę nowego, albo odmówiono pozwolenia na restauracyę. Na Litwie zaś i w kraju południowym nie tylko budowa kościoła, ale i postawienie krzyża przydrożnego było rzeczą zakazaną. Gdy krzyż ze starości nadgnił i runął, zjeżdżała komisya, spisywała protokół, a szczątki palono. Obecnie przychodzą ulgi. Czytamy, że »dla pozwolenia na budowę i wznowienia odnawiania świątyń i domów modlitwy wszystkich chrześcijańskich wyznań, koniecznem jest: *a)* zgoda władzy duchownej odnośnego wyznania, *b)* istnienie koniecznych funduszów, *c)* wypełnienie technicznych wymagań ustawy budowlanej«. »Wyjątki z tego ogólnego prawa, o ile będą

uznane za konieczne, mogą być ustanowione jedynie w porządku prawodawczym«.

Bardzo ważnym tak pod względem religijnym jak narodowym jest czternasty paragraf. Postanawia on, że »we wszystkich zakładach naukowych wykład religii obcych wyznań chrześcijańskich i innowierczych odbywać się będzie w języku ojczystym uczących się, przyczem wykład winien być powierzony osobom duchownym odnośnego wyznania, tylko w razie ich nieobecności nauczycielom świeckim tego samego wyznania«.

Tyle ukaz. Dwie jeszcze zmiany na lepsze znajdujemy w odnośnej przez cesarza zatwierdzonej uchwale komitetu ministrów.

Najpierw ma być wstrzymane obowiązkowe zamykanie klasztorów rzymsko-katolickich w guberniach Królestwa Polskiego. Druga zmiana odnosi się do egzaminów alumnów w seminaryach katolickich, najpierw, co do współudziału przedstawiciela zarządu naukowego przy egzaminach ostatecznych, następnie co do egzaminu z języka rosyjskiego, to ostatnie odnosi się też do doby poegzaminowej, dzięki czemu ci duchowni, którzy nie wypełnili wymagań co do zdania egzaminów ostatecznych, mogą mimo to spełniać obowiązki duchowne w dyecezyi. W ten sposób sto pięćdziesięciu sześciu księży, którzy nie posiadają egzaminu z języka rosyjskiego, mają w tej chwili otwarte pole do pracy.

Oczywiście, że poza temi ulgami, pozostaje jeszcze cały szereg potrzeb, i to pierwszorzędnego znaczenia, których spełnienie dla należytego rozwoju katolicyzmu jest niezbędne. Nie zapominajmy jednak, że taka całkowita zmiana na lepsze nie dokonywa się zazwyczaj odrazu, ale zwolna. Stąd początek, pierwszy krok, jest wypadkiem wielkiego znaczenia. A zwłaszcza, gdy porówna się ten stan, jaki obecnie, na podstawie ukazu układać się zaczyna, z dobą minioną, to znaczenie jego jest widoczne. Po ciemnej nocy pierwszy świt.

To jeden moment sprawy: ukaz w stosunku do wyznawców katolicyzmu, żyjących obecnie pod panowaniem rosyjskiem.

Jest też drugi moment, i to o wiele ogólniejszego znaczenia. A jest nim to, że Rosya jest spadkobierczynią spuścizny bizantyńskiej, że dzisiaj w niej właściwie upostaciowany jest kościelny Wschód,

że zatem z niniejszym edyktem, przyznającym każdemu członkowi prawosławia swobodny wybór religii, rozsypywać powoli zaczyna się ten nieprzebyty mur, jaki przez tyle stuleci rozdzielał Kościół na dwie wrogie połowy: wschodnią i zachodnią. Główna ważność tego edyktu, to znaczenie jego dla całego chrześcijaństwa. Tak często przez zachodni Kościół podnoszona i tak gorąco przezeń upragniona, a tak uparcie i tyle razy przez Kościół wschodni odrzucana, idea kościelnej jedności, na nowe wchodzi drogi. Tem samem, że usunięty jest zewnętrzny przymus, wiążący gwałtem sumienia, tem łatwiej i prędzej spełnić się może wola Chrystusa: *ut unum sint.*

W tem oświetleniu rośnie znaczenie tego edyktu, a wzrośnie jeszcze bardziej, gdy uwzględni się pewne, odnoszące się tu, okoliczności. Kiedy obejmie się myślą ten fakt, że rosyjskie imperyum zajmuje piątą część ziemi, i, że w krew i kości tego imperyum weszło prawosławie, jako najistotniejszy wraz z samodzierżawiem jego czynnik, gdy doda się nadto, że, jak niedawno jeszcze temu, wobec zewnętrznego ogromu potęgi rosyjskiej sądziło się, nie było na razie ludzkiego środka, któryby istotą tej potęgi mógł wstrząsnąć, to edykt taki, wobec tych danych, w związku z zewnętrznemi przyczynami, które go wywołały, nabiera opatrznościowego znaczenia. Inne edykty tolerancyjne, które na ogół do nowożytnej historyi należą, albo miały przed sobą bardziej ograniczone terytoryum i zarazem czysto lokalne znaczenie, albo, opierając się, jak w tej ostatniej epoce, na obojętności religijnej i błędnym liberaliźmie, więcej sprawie religii szkodziły, aniżeli przyniosły korzyści. I zakres i dodatnie znaczenie dla religii stawiają ten ukaz w pierwszym rzędzie tego rodzaju edyktów. Gdyby tylko za słowami poszło wykonanie, gdyby za pierwszym krokiem poszły następne i sprawę, załatwioną w tym ukazie połowicznie, pociągnęły w stadyum pełnej, w dodatniem tego słowa znaczeniu, swobody religijnej, to edykt niniejszy, jako pierwszy krok do tego stanu rzeczy, stanąłby doniosłością swoją zaraz tuż po edykcie Konstantyna Wielkiego, który chrześcijaństwo z katakumb wyprowadzał.

I jeszcze jedna myśl, co do ekonomii Królestwa Bożego na

ziemi. W chwili, kiedy na Zachodzie zaognia się coraz bardziej walka państwa z Kościołem, kiedy Kościołowi we Francyi, jeżeli nie na zawsze, to przynajmniej na dłuższą chwilę, grozi utrata dotychczasowego stanu posiadania, i tak już uszczuplonego nadmiernie, — równocześnie, najniespodziewaniej w świecie, na wschodnim krańcu Europy otwierają się przed katolicyzmem nowe widnokręgi. Straty w jednem miejscu uzupełnia Opatrzność nabytkami w drugiem.

Ks. J. Pawelski.

DZISIEJSZA PSYCHOLOGIA NA KONGRESIE RZYMSKIM

(26—30 kwietnia b. r.).

Pomimo obszaru i różnorodności w dziedzinie psychologii, pomimo ciągłych zdań, iż trzeba pole psychologii koniecznie dzielić na pasma od siebie niezależne *(il faut découper le vaste champ de la Psychologie),* zwyciężyła tendencya utrzymania kontaktu między spornymi nawet kierunkami nauk, mających styczność z psychologią, i znalazła swój wyraz w utworzeniu Związku Psychologów wraz z centralnym instytutem, oraz w organizacyi peryodycznych zjazdów. Pierwsza instytucya jest może stalszą i ma może obszerniejszy zakres, podzielony na działy psychologii zoologicznej, patologicznej, kryminalnej i psychologii »Zjawisk psychicznych«, oraz na wytwarzające się powoli działy psychologii w stosunku do sztuk, do wychowania, do historyi, antropologii i etnografii. Zjazdy zaś międzynarodowe, gromadzące niejako na chwil parę przedstawicieli różnych nauk, mających styczność bliższą lub dalszą z psychologią w ścisłem tego słowa znaczeniu, nie mogą się bawić w tak subtelną specyalizacyę i do zapasów naukowych wyznaczyć mogą ledwo cztery główne areny: 1) psychologii eksperymentalnej w stosunku do anatomii, fizyologii, psychofizyki i neurologii; 2) psychologii introspektywnej w stosunku do nauk filozoficznych; 3) psychologii patologicznej, obejmującej psychoterapię oraz naukę o hypnotyzmie i suggestyi, wreszcie 4) psy-

chologii pedagogicznej i socyalnej, niezawsze szczęśliwie połączonej z psychologią kryminalną.

Już z tego powierzchownego szkicu łatwo wywnioskować, jak różnorodny materyał wchodzi w grę poszczególnych grup. Stąd też nigdzie może otwarciej nie spotykają się na terenie takich zapasów filozof, przyrodnik, lekarz, artysta, prawodawca i pedagog i nigdzie może bardziej nie ścierają się właśnie te skrajne poglądy, które ciągle rozbijają się o przeróżne frakcye kwestyi życiowych.

Pisząc o kongresie rzymskim, zastrzegamy się, iż nie tyle będziemy mówili sami, co zestawiali najnowsze zapatrywania chwili i mężów chwili, zapatrywania na samym kongresie wyrażone, a będziemy się tylko starali najważniejsze z nich uchwycić, ugrupować i oczyścić z balastu szczegółów. Między innemi pomijamy sprawę własnych badań i własnych przyrządów, służących do celów psychologicznych.

Rozpoczynamy od pytania, czy istnieje dusza, któreto pytanie z natury rzeczy zawsze wysuwało się, a i teraz wysunęło na pierwszy plan. Oczywiście daleko jeszcze było w tej kwestyi do pojęć ustalonych i wszechstronnie uzasadnionych. Tłumaczy się to tem, że nie wszystkie kierunki, zwłaszcza te, które coś bardziej stanowczego w tym względzie mogą powiedzieć, były reprezentowane. Ale poza tem niektóre przekonania były bardzo charakterystyczne. Streścić niektóre odpowiedzi na to pytanie jest rzeczą niepodobną, bo są to sprawy tego rodzaju, o których można słusznie powiedzieć, że lepiej nic nie mówić, niż mówić *des choses en l'air*. Możemy raczej podkreślić, że na arenie dyskusyi spotkali się zarówno ci, dla których zakres duszy jest wyłączną kryjówką szarlatana i analfabeta, jak i ci, dla których, nawet z punktu widzenia przyrodniczego, kwestya nieśmiertelności duszy i istnienia pierwiastków nadnaturalnych nie jest rzeczą niemożebną. »Żaden dowód«, powtarzano za Rückerem, »nie przemawia przeciwko istnieniu substancyi, różnej od tego, co zwiemy materyą. Podług innych żaden dowód nie przedstawił faktu, iż nie może być materyi mniej materyalnej, niż to, co nazywamy materyą, bardziej subtelnej, której między-

cząsteczkowa kohezya, mówiąc po przyrodniczemu, której system wewnętrznych sił, nie mógłby posiadać tego stopnia solidarności i stałości części składowych, aby nie mogła zachować autonomii poza podłożem materyi w naszem pojęciu. Oto w tych umysłach rodzaj pomostu między nauką o nieśmiertelności duszy, a przyrodniczo pojętą nauką o autonomii czegoś, co nie jest materyą, a od materyi może się oddzielić. Oto często powtarzający się na kongresie wyraz tego kierunku, iż jest cały szereg dziedzin, ściśle złączonych z historyą ludzkości, którym nauka zaprzeczyć nie może. Z obowiązku bezstronnego sprawozdawcy musimy atoli zaznaczyć, że naprzeciw powyższych wywodów potężny zawsze istnieje zastęp badaczy, analizujących »duszę zwierzęcą«, »duszę roślinną«, a nawet sposoby przenoszenia swoich sił psychicznych na twory niższego rzędu, na sposób dzisiejszych fakirów. Wyrazem takich badań jest zgłoszony na zjazd odczyt Favre'a z Paryża »o wpływie człowieka na istoty żyjące«, w duchu znanych poprzednich publikacyi tego autora, jak n. p. »pracy o wpływie rąk ludzkich na życie roślin«, której jedną z najważniejszych bądź co bądź podstaw jest kardynalny punkt wyjścia, że »niema w naturze rzeczy nienaturalnych«.

Pomijamy tu z wyliczonych badań na razie kwestyę duszy zwierzęcej, którą poruszymy poniżej, a zaznaczamy tylko, że między obozem tych, dla których niema rzeczy ponadzmysłowych, a wpierw wymienionym obozem tych, którzy mówią, że niema powodu ich zaprzeczać, skoro nie udowodniono naukowo, że nie istnieją, wyłania się coraz bardziej w ostatnich czasach obóz trzeci, pośredni, który analizuje tę nieuchwytną siłę po części środkami naturalnymi, po części, gdzie już tych braknie, filozoficznem uzupełnieniem niedokończonej teoryi przyrodniczej. Podług tych istnieje »dusza«, lecz są to tylko »zbiory zorganizowanych i transformowanych energii kosmicznych« lub »zbiory cząstek, nie będących innego pochodzenia co siły materyalne, lecz mogących częściowo się rozpaść, przyczem wychodzi na jaw własność permanencyi poza materyą« (będąca niejako synonimem nieśmiertelności). Te przeróżne elementy natury materyalnej sklejają badacza wymienionej kategoryi, zwłaszcza gdy mówią o duszy,

kitem, który zowią charakterem lub wolą, uzbrojoną w czucie, pamięć i rozum, wolą, która ma być pierwiastkiem rozpuszczonym w całym wszechświecie, która nawet »stworzyła« wszechświat zdaniem Sabatier'a i prowadzi go do coraz wyższych celów, sama wzmacniając się swojem dziełem wśród ewolucyjnego pochodu tegoż wszechświata.

Oto próbki teoryi i dyskusyi, zaczerpniętych u obu krańców psychologii przyrodniczej i filozoficznej, a nietrudno w nich dojrzeć pewnego krążenia koło tego nieuchwytnego jądra, które jest słońcem planetarnego systemu wszystkich zjawisk psychicznych.

Że nauka nawet skrajnie przyrodnicza może być »rewolucyjna«, lecz winna być »ostrożna«, oto zdanie Richet'a, którego inauguracyjny odczyt o przyszłości psychologii stanowił jeden z głównych punktów atrakcyjnych; nie możemy uporczywie negować faktów, wykazanych drogą badań i nie możemy z góry stawić trudności sprawom, które nie zgadzają się z dotychczasową teoryą, boby to było głoszeniem, że nasza dzisiejsza teorya ma wartość objektywną, metafizyczną, bezwzględną. A obok tego zdania wielkiego nowoczesnego przyrodnika, zalecającego rewolucyjnej nauce ostrożność, a we wszystkich swoich pracach nie bez powodu omijającego zgrabnie analizę metafizycznego podłoża ludzkiej jaźni, niech nam wolno będzie, niby dalekie echo, przypomnieć słowa autora dzieła o »Bezreligijnej przyszłości«: *Devant la Science moderne, l'immortalité demeure.*

Z kwestyi, czy istnieje dusza, najłatwiej nam tu przejść do pytania, u kogo dusza się znajduje? I to pytanie było przedmiotem roztrząsań, a jak wspomnieliśmy wyżej, tomy możnaby już napisać o duszy zwierzęcej, o duszy roślinnej, o duszy zwierząt niższych i wyższych. Takim przynajmniej tytułem posługiwali się na kongresie niejednokrotnie badacze, należący do grupy psychologii zoologicznej, a nie do nas tu należy dyskusya nad sprawą, o ile właściwie do ścisłej psychologii należą ich badania nad pamięcią ryb, węchem mrówek i ruchami samoobronnymi robaków. Są to niewątpliwie dla przyrodnika fakty niezmiernie doniosłej wagi, a dla psychologa niezmiernie interesujące przyczynki do poglądu na całą skalę ewolucyjnego rozwoju władz instynktu,

lecz niejednokrotnie zjawiska czysto materyalne zbyt przesadnie bywały wcielane w ramy pojęcia duszy. Pan Piéron, znakomity badacz tego, co bywa nazywane duszą zwierząt niższych, zwracał n. p. uwagę, iż zjawisko, opisane przez Pénard'a, jakoby pewien rodzaj Héliozoariów pod wpływem grożących im bodźców przybiera z psychicznego uczucia »strachu« kształt kulisty, jest zjawiskiem czysto-materyalnego wpływu bodźców mechanicznych lub chemicznych na pierwoszczę komórek, a nie należy zaraz w tem widzieć świadomej akcyi psychicznej. Zanotujmy tu zdanie Bierrliet'a, który wykazać pragnął, że wszystkie istoty organiczne i nieorganiczne mają rodzaj pamięci, lecz że z Ribot'em odróżnić należy pamięć »organiczną« od ścisłego pojęcia pamięci »psychicznej«, z któremto wyrażeniem schodzi się poniekąd proponowana przez Edinger'a nazwa »pamięci intelligentnej«.

Jeżeli pod kątem tych zastrzeżeń i podobnych przypatrywać się będziemy zdobyczom t. zw. psychologii zoologicznej, to niewątpliwie dla każdego będzie ona zbiorem interesujących faktów. I ryba Mac Intosh'a, która pamięta dobre pokarmy, i Pagellus Dantan'a, który odróżnia osoby, i mrówka Piérona, u której węch zastępuje topograficzną oryentacyę, i nawet papuga Nattera, która ściśle identyfikuje przedmioty z podsuniętemi jej nazwami — wszystkoto są niezmiernie interesujące rzeczy, o ile z jednej strony nie są opisane w celach nienaukowych przez nieskrupulatnych badaczy, a z drugiej strony, o ile się z nich nie wyciąga za daleko idących wniosków. W pierwszym wypadku bowiem schodzimy na prostą anegdotę »o karpiach we Fontainebleau«, w drugim zaś wprowadzamy jeszcze większe zamieszanie do pojęć psychologicznych o duszy, i tak spornych. Trudno po prostu, nawet ze stanowiska praw przyrody, postawić na równi taką »duszę« niższego tworu, który prawdopodobnie pod wpływem phototropizmu lub gry cieniów dąży do najwyższej i najdalszej skały, bo »ma tam mieć uczucie zadowolenia« *(Sentiment de bien-être)*, z duszą człowieka, u którego widok takiej ładnej skały nadbrzeżnej, wśród pięknego oświetlenia i otoczenia, rzeczywiście wzbudza cały świat wrażeń, wyobrażeń, uczuć i sądów. Dlatego

też w ostatnich czasach poważniejsi psychologowie i przyrodnicy, utworzywszy cały system naukowy taktyzmu i tropizmu ruchów i reakcyi istot niższych, pozbawionych właściwego układu nerwowego, otrząsnęli się od analizowania ich życia przez pryzmat jakiegoś egzagerowanego antropomorfizmu i zastrzegają się, że, badając życie ustrojów, używać będą wprawdzie wyrazów ogólno-biologicznych, lecz bez względu na to, jakie one mają znaczenie w psychologii człowieka. Kto bowiem jest metafizykiem, do każdego słowa najprostszego wpakuje metafizykę, a łatwiej powiedzieć po prostu, że zwierzę obróciło narząd wzroku, aby coś »zobaczyć«, chociaż to zobaczenie może grubo się różnić od skomplikowanego procesu wrażeń wzrokowych człowieka, niż n. p. użyć zwrotu, ze zwierzę wykonało odruch »fotomotoryczno-choroidalny«. Co się zaś tyczy zwierząt wyższych, mających układ nerwowy, czynności, mające podkład psychiczny, różnią się według zwolenników psychologii zoologicznej znacznie ilościowo od czynności duszy człowieka, lecz nie jakościowo, co do rodzaju zjawiska. Tak przynajmniej w ich imieniu wyraża swe zdanie Piéron; natomiast Bohn, idąc za teoryami Nuel'a, bada i opisuje wszelkie czynności zwierząt, nie wchodząc w to, czy one mają podkład nieuchwytnej, psychicznej świadomości, czy też nie, nie twierdząc i nie zaprzeczając, »jak ów astronom, co badając ruchy gwiazd, nie chce stwierdzić, a nie śmie zaprzeczyć istnienia Stwórcy«.

W związku z tem pozostaje inna, szeroko na kongresie omawiana kwestya, odnosząca się do nauki o lokalizacyi funkcyi psychicznych, którato nauka drogą doświadczeń dla każdej władzy psychicznej stara się wyznaczyć miejsce jej materyalnej rezydencyi, a o której na innem miejscu *Przeglądu Powszechnego* mieliśmy sposobność pisać. Nie możemy powstrzymać się tutaj od kilku uwag ciekawych o najnowszych postępach tego działu wiedzy, z których wynika, że całokształt tego gmachu nie jest właściwie skończony. Już od kilku lat zwracano uwagę, że ryby, które nie mają rozwiniętego telencephalium, mają przecie pamięć i poznanie, a więc może kora mózgowa nie jest siedzibą tych władz, za jaką dotąd uchodziła. Obecne doświadczenia Scia-

manny z Rzymu nad małpami wykazały, że kora mózgowa rzeczywiście nie może być uważaną jak dotąd, wedle Flechsiga i innych, za centrum psychomotoryczne intelligencyi *(centri di ideazione);* może raczej ona jest drogą przewodnią lub punktem węzłowym, przeznaczonym do dewiacyi prądów mózgowych pochodzenia sensytywnego; w każdym razie, skoro wycięcie obu płatów czołowych nie sprowadza zmian w zachowaniu, przyzwyczajeniach i tresurze, nie należałoby uważać dotychczasowych pól assocyacyjnych Flechsiga za prawdziwe ośrodki myśli *(centri ideativi* o *centri di dignità superiore).* Sprawa ta cała narobiła wiele rumoru, a do bliższego zbadania jej wybrano komisyę międzynarodową, w skład której wchodzi między innymi tenże sam Flechsig, który otwierał zjazd odczytem o fizyologii kory mózgowej i teoryach woli i intelligencyi. Uważaliśmy też za stosowne fakt ten jako nowy i aktualny podkreślić i wyróżnić z pośród ogromu faktów z nauki o lokalizacyi i ewolucyi tejże lokalizacyi. O ile bowiem ogół czytelników ma wyrobione pojęcie o nauce ewolucyi organizmów i stosunku tejże do filozofii i religii, a tem samem już i o wartości nauki o »ewolucyi duszy zwierzęcej«, o tyle nie każdemu są dostępne nowsze fakty, które na tę naukę wpłynąć muszą. Nie wszystko w psychologii da się nożem udowodnić, powiadał już ongi Bohn, bo nawet we fizyologii wycięcie jakiejś części układu nerwowego i zniszczenie przez to n. p. ruchu pewnego narządu nie jest dowodem, iż ta część układu nerwowego jest przyczyną, ośrodkiem i siedliskiem tego ruchu, bo może być ośrodkiem czuciowym, powodującym zmiany odruchowe, lub wydzielniczym, powodującym przemiany chemiczne. Illustracyą do tego przypuszczenia są świeże, dopiero co przytoczone doświadczenia Sciamanny, a jeżeli skalpel przyrodnika nie tak łatwo może wykazać siedzibę zjawisk materyalnych, o ileż ostrożniejszym trzeba być we wyciąganiu wniosków o siedzibie władz psychologicznych. Racyę miał Hachet, gdy mówił: »ostrożnie z nożem w psychologii«; racyę może poniekąd miał i Mérégaux, gdy odpowiedział, że »do psychologii całkiem nie potrzeba uczonej wiwisekcyi«. Bo zaiste między Toussenel'em, romansującym nad mową jaskółek, a apodyktyczną pewnością neofitów psycho-

zoologii, trudno utrzymać ścisłe medium, lecz właśnie *medium tenere beati.*

Na obszernych bardzo podstawach psychologii filozoficznej i niejako wewnętrznej autoskopii oparł Sollier z Paryża swój odczyt *sur la conscience et ses dégrés,* którym teraz z kolei rzeczy chwil kilka poświęcić chcemy, przechodząc z kwestyi istnienia duszy do omówienia jej głównych cech i przymiotów. Granice świadomości i nieświadomości są zmienne i mało znane, twierdzi autor, a badania nad omniprezencyą i omniabsencyą świadomości nie doprowadziły nas do ścisłych rezultatów. Pomijamy na razie świadomość własnej jaźni *(la conscience du moi),* a przechodzimy do świadomości zwyczajnej. Przedewszystkiem w zakres jej wcielić należy prócz wszystkiego, co świadomie czynimy, te stany, które błędnie nazywamy nieświadomymi, jakoto zjawiska życia organicznego lub akty automatyczne, które przedstawiają bardzo nizki stopień świadomości, lecz nie są nieświadome. Tych stopni jest dużo, a o ile trudno jest śledzić ich zależność równocześnie z filogenicznym rozwojem mózgu, o tyle łatwo je rozwinąć ontogenicznie lub obserwować jej zmiany u jednostki rozwiniętej wśród jednego i tego samego zjawiska psychologicznego (pamięć, assocyacya myśli, wola, sensacya). Teoryi odnośnych do świadomości jest kilka; przedewszystkiem teorya o sumowaniu się drobnych podniet, nie wywołujących z osobna stanu świadomego w całość, wywołującą stan świadomy; następnie teorya o związku stanów świadomych i nieświadomych, czego dowodem regresye osobowości u zbudzonych ze snu histeryczek; wreszcie teorya fizyczna świadomości Herzena, wiążąca ściśle produkcyę świadomości z dezintegracyą komórkową mózgu, która jednak wedle Sollier'a nie ma zastosowania do wszystkich wypadków, n. p. do fazy reintegracyjnej w pewnych wypadkach mózgowej inhibicyi. Pól świadomości jest właściwie dwa, wszerz i wgłąb; pierwsze odpowiada większej lub mniejszej ilości ośrodków mózgowych, przyczem uwzględnić należy zarówno *maximum* czynności danego centrum, jak i hierarchię odpowiadających sobie wrażeń i stanów molekularnych. Każdemu zjawisku odpowiada bowiem stan molekularny o różnem napięciu, a jeżeli dane centrum

stan napięcia tylko słaby może mieć, to świadome będą tylko te wrażenia, które odpowiadają danemu stanowi napięcia molekularnego. Tak samo się ma rzecz z innemi napięciami, a stanów całkiem nieświadomych niema, bo świadomość nie znajduje się u szczytu objawów życia mózgu, lecz towarzyszy każdemu stopniowi tej hierarchii. Nadto, jeśli rzeczywiście stan czynności każdego centrum mózgowego indywidualnie wytwarza świadomość, można mówić o świadomości fragmentacyjnej i o lokalnych świadomościach, jak się n. p. mówi o lokalnej pamięci. Wogóle biorąc, świadomość nie jest zatem zjawiskiem autonomicznem ani prymordyalnem, niezależnem; nie jest również epifenomenem, gdyż istnieje nawet, gdy jej nie widzimy, a wystarcza zmniejszyć napięcie działalności mózgu, aby ujrzeć jako świadome zjawiska takie, które zwykle nazywamy nieświadomemi.

Temat świadomości osobistej i definicyi osobowości jest znowu tak obszerny, że tylko pobieżnie można streścić główne punkty wytyczne nowszych zapatrywań. Pozwolimy tu głównie mówić Sollier'owi i Richet'owi. Co to jest osoba ludzka? pytają oni. Oczywiście określenia tego nie można uważać za ścisłe określenie filozoficzne, będzie to tylko zestawienie pewnych stanów psychicznych, składających się na osobowość. Otóż podług tych autorów, przedewszystkiem składa się to pojęcie ze świadomości, że jestem tem, a nie czem innem, która jest główną podstawą osobowości: dalej z pamięci, bez której osobowość byłaby pojęciem kruchem (czego dowodem starość, amnezya i t. d). Wreszcie z wrażliwości na bodźce zewnętrzne i wewnętrzne *(cenesthesia)*, otrzymanej drogą systemu nerwowego zmysłów wzroku, słuchu, powonienia, smaku, dotyku, oraz zmysłu mięśniowej siły i równowagi. Osobowość zmienia się pod wpływem bodźców świata zewnętrznego, zadając poniekąd kłam przysłowiu, iż »szaty nie czynią człowieka«, bo człowiek przejmuje się charakterem szat, w ogólnem tego słowa pojęciu. Zmienia się jeszcze bardziej pod wpływem różnych wyobrażeń, różnych bodźców wewnętrznych natury fizycznej lub psychicznej, różnych wpływów chorobowych, a może nawet wydawać się w różnych chwilach, iż jest wprost podwójną, tak jak w wypadku Felidy, obserwowanej przez Azama,

lub w romansie Claretie'go; te ostatnie wypadki nie są niczem dziwnem, lecz polegają na częściowem, względnem zapomnieniu pewnych wrażeń, na systematycznej, połowiczej amnezyi lokalnej. Podobne stany podwójnej osobowości wywoływali Braid, Puysegur, Delenze zapomocą hypnotyzmu, a hypnotyzm wywołuje to właśnie drogą amnezyi, drogą niepamięci na rzeczywisty stan rzeczy lub pewną tegoż część w organizmie, który, zdaniem Richeta, posiada »senną łatwowierność« i gotów chętnie uwierzyć, że wszedł w »cudzą skórę« do połowy lub całkowicie. Taka połowiczna dyssocyacya osobowości zdarza się i bez wpływów suggestyi, niejako dobrowolnie, a może przebiegać następczo lub równocześnie, to znaczy, że ta sama osoba może się czuć niejako podwójną, albo w różnych chwilach, albo w tej samej chwili, staczając wewnętrzne walki między wyobrażeniami i wymaganiami tych dwóch osób wewnętrznych. Znane są pod tym względem ciekawe wypadki »teatotekera«, który kolejno był nałogowym pijakiem i apostołem wstrzemięźliwości; panny Beauchamp, która sama sobie posyłała węże pocztą, aby zrobić przykrość »jakiejś pannie Beauchamp« i dostawała potem ataków histeryi przy odbiorze przesyłki; pani Piper, która równocześnie i logicznie odgrywała rolę d-ra Phinnit'a, praktykującego w Metzu i Amerykanina Pelhama, a dopiero po rzeczywistej śmierci Pelhama nagle stała się wyłącznym prawdziwym Pelhamem, i wiele podobnych innych wypadków. Nie miejsce tu ani czas rozbierać krytycznie te stany nawpół chorobowe, a przynajmniej będące przejściem do nawpół chorobowych; są one interesującym przyczynkiem statystycznym, illustrującym teorye przyrodniczo-psychologiczne o podwójnej osobowości i zmianach osobowości pod wpływem stanów niepamięci. Jeszcze dalej idącem jest porównanie niepamięci histerycznej z niepamięcią umierającego, oraz rememoracyi czyli odwrotnego przypomnienia sobie faktów życiowych wśród konania z rememoracyjną regresyą osobowości histerycznej wśród zbudzenia. Co do tego ostatniego faktu rememoracyi, każdy z nas poniekąd dobrze go zna ze zjawisk snu, będącego już wedle dawnego przysłowia obrazem konania i śmierci; co się zaś tyczy pierwszego faktu dyssocyacyi osobowości, rów-

nież znanym jest nam trochę z życia codziennego, bo wszak słusznie może powiedziano, że ciągle dobrowolnie rozszczepiamy swoją osobowość na rolę aktora i świadka własnych czynów, lub na rolę rzeczywistą i udaną wobec świata, mając zawsze w sobie *une certaine part de comédie, si véridiques, si francs, si loyaux, que nous soyons.*

Wspaniałą z kolei rzeczy całością pod względem wszechstronności metod był na kongresie rzymskim wykład Sommera z Giessen o badaniu wszelkich ruchów i postaw, wyrażających pewne uczucie lub percepcyę pewnych wrażeń. Szereg fotografii zwykłych wyrazu twarzy lub fotografii kinematograficznych przebiegu zmian wyrazu twarzy, szereg opisów subjektywnych wrażenia i objektywnych skutku, jakie wrażenie wywołało, szereg przyrządów do uchwycenia, a nawet mierzenia czyto tonu głosowego, czy głębokości bruzd czoła zmarszczonego, czy innych ruchów mięśniowych, będących zewnętrznym ruchowym wyrazem jakiegoś uczucia *(Ausdrucksbewegungen)*, złożyło się rzeczywiście na wspaniały całokształt obserwacyi tego rodzaju, które, będąc najbogatszemi może co do treści, nie mają jednak tej pretensyonalności, aby z jakiegoś drobnego faktu eksperymentalnego wysnuć całego gmachu teoryi psychologicznych.

Obok tej kolosalnej pracy musimy nadmienić doświadczenia Krügera z Lipska, z prawdziwie niemiecką drobnostkowością i ścisłością przeprowadzone nad melodyą mowy i stosunkiem tejże do wyrażonych przez mowę pojęć i uczuć, przyczem w grę wchodzi wysokość tonu, kierunek i ilość stopni tonacyjnych, przebieg melodyi w czasie i rytm tejże, oraz pracę Guimarainsa z Paryża nad czasem trwania tych przeróżnych czuć i wrażeń, które drogą różnych ruchów na zewnątrz okazujemy. Dla samej ciekawości przytaczamy kilka przykładów, zestawionych przeciętnie z bogatej statystyki obserwacyjnej; najdłużej trwają skutki bólu, potem emocyi estetycznej, mniej znacznie gniewu i radości, najmniej strachu. Czy te dane aproxymatywne mogą mieć znaczenie ogólnikowe, sam czytelnik łatwo osądzi, gdy rozważy, ile mamy różnic indywidualnych, szczepowych, narodowych, a nawet i pobocznych wpływów u jednego

i tego samego indywiduum. Nadmieniliśmy je jednak, mówiąc o całokształcie badań nad wrażeniami i sposobami badania ich przebiegu co do czasu i formy, a pozostawić musimy dla braku miejsca i czasu na boku luźne uwagi o poczuciu różniczkowem wrażeń estetycznych u różnych ludów. Wreszcie dla zaokrąglenia tej całości psychologii introspektywnej w stosunku swoim do doświadczeń psychologii eksperymentalnej, wspomnimy, zanim przejdziemy do działu psychologii socyalno-pedagogicznej, o klasyfikacyi Shanda, który z wielką pracowitością na olbrzymim materyale zebrał 35 sposobów lub raczej 35 grup, w które się dadzą wcielić sposoby wyrażania naszych uczuć i wrażeń, oraz objawiania naszej woli. Język polski nie posiada nawet niektórych tak subtelnych różnic, jak *I will* lub *I might* na pojęcie »ja chcę«, lub *I must* i *I shall*, które nie zupełnie odpowiadają naszym pojęciom »muszę« i »powinienem«. Zresztą cytowanie tych 35 empirycznie utworzonych grup, na mocy przeciętnych z większego statystycznego materyału wyciągniętych, nie prowadziłoby nas tu do niczego, a wymieniliśmy tę sumienną pracę z obowiązku sprawozdawczego i staraliśmy się w ten sposób naprzeciw prac francuskich o nader szerokim zakroju i polocie, dotyczących obszernego zakresu takich pojęć, jak wola, osobowość, uwaga, świadomość i t. d., przeciwstawić mrówczą, drobnostkową pracę eksperymentalną Niemców i Anglików. Z tego samego zestawienia zdaje się nam przebijać indywidualność w pojmowaniu i badaniu spraw duszy, nie tylko u jednostek ale i u narodów, indywidualność, która dowodzi, jak trudno uogólniać i narzucać drugim psychologiczne prawa własne. Słuchając tych różnorodnych wywodów, wśród których Francuz, mimo swoich laboratoryów przyrodniczych i muzeów, przecież ma zawsze jakąś ekspanzywną dążność do szerokich frazesów i górnolotnych pojęć, podczas gdy Niemiec chciałby nożem drobnostkowego badania na szczególiki pokrajać sprawy ciała i duszy, aby je potem w wyrafinowany ułożyć system, mimowoli przychodziło nam ciągle na myśl, że taka psychologia kongresu jest najlepszym obrazem psychologicznej indywidualności jednostek i narodów, wśród której tak trudno narzucić indywidualności duszy ramy przyrodni-

czych teoryi i uogólnić mądrym frazesem zawiłe sprawy niezbadanych praw.

O tejto indywidualności duszy jednostek w stosunku do otoczenia, o tem, o ile ją powinno wychowanie wykształcić lub stłumić dla celów ogółu, pomówić musimy z kolei rzeczy, przechodząc z granic psychologii introspektywnej jednostek do szerszych granic psychologii socyalnej i pedagogicznej.

Ponieważ z »psychologią socyalną i pedagogiczną« złączono, jak wspomnieliśmy, nie bez podstaw, ale i niezupełnie fortunnie, w ostatnich usiłowaniach organizacyjnych psychologię kryminalną, przeto obok zasadniczych spraw wychowania i religii znaleźliśmy i na zjeździe rzymskim pomiary kraniometryczne zbrodniarzy, oraz fotografie włóczęgów.

Analizując nowsze prace z dziedziny psychologii kryminalnej i ich krytykę, odnosimy to wrażenie, że teorya autora *Homo delinquens*, w podstawach zachwiana, a w szczegółach wszechstronnie szarpana, przeszła niejako łagodnie w stadyum psychologii zbrodniarza z ogólnego stadyum psychologii zbrodni. Nie mówimy dziś przesadnie o teoryach, które zbrodnię tak jakby usprawiedliwiały i nie tworzymy systemów anatomicznych tejże zbrodni w sposób nieraz fantastyczny. Aleśmy wnikęli w duszę zbrodniarza, podzieliliśmy na kategorye jego czyny i motywy tych czynów, postaraliśmy się zbliżyć do jego życia psychicznego nie z poza zielonego stolika sędziów po zbrodni, lecz z poza doniosłego całokształtu obserwacyi nad »usposobieniem« jeszcze przed zbrodnią. Nie mogąc zaprzeczyć istnieniu nawyczek, dziedziczności, namiętności, chorób umysłowych, hysteroepilepsyi i epidemicznego przykładu, podaliśmy raczej rękę pedagogii i socyologii, a w ten sposób w dziełach i odczytach Lombroza i jego uczniów, obok luźnych spostrzeżeń antropometrycznych, coraz mniej wysunęły się na pierwszy plan opisy anatomiczne, a coraz bardziej wpływ takich czynników, jak wychowanie, zatrudnienie, bogactwo, alkoholizm i t. d. I dlatego autor, który w pierwszem swem dziele o zbrodni kategorycznie w zbrodniarzu widział biologiczne powtórzenie się ssawca z niższego stopnia ewolucyj-

nego, w dziele nowszem o zbrodni politycznej zastrzega się już, że niema prawie urodzonych zbrodniarzy politycznych. Taka przynajmniej wydaje się nam w ogólnych zarysach ewolucya nauk Lombroza i jego uczniów o ewolucyi zbrodni. Psychologia kryminalna oddaliła się nieco od antropologii kryminalnej, a zbliżyła się raczej do pedagogii psychologicznej, o której z kolei rzeczy słów kilka.

Psychologia winna, zarówno zdaniem inauguracyjnego odczytu James'a z Londynu, jak i poszczególnych dyskusyi w sekcyi socyologicznej, poddać pedagogii reguły, któreby zapobiegły zaburzeniom umysłu i charakteru. Reguły te winny być oparte na studyum faktów psychopatologicznych i odporności organizmu w epoce rozwoju mózgowego. Wychowanie winno zatem być zastosowane do pojemności psychicznej mózgu, do stopnia wrażliwości, do potęgi uczucia, nawet w wychowaniu publicznem winna być zachowaną klasyfikacya kategoryi intellektualnych, choćby drogą osobnych klas lub nawet zakładów. Wreszcie winno być wychowanie publiczne, nie tylko ze względów zdrowotności, ale nawet ze względów psychologicznych, poddane pod nadzór etyczny i lekarski odnośnych inspektorów. Tylko przy współdziałaniu psychologii z pedagogią da się u każdego indywiduum wyrobić pewną użyteczną skłonność do odpowiadającego jego wrodzonym zdolnościom kierunku nauk, sztuk lub przemysłu

Tyle w krótkości o zadaniach psychologii pedagogicznej, zadaniach, które każdy zresztą dobrze zna i odczuwa, a których stanowisko tylko wobec nowszych prądów zaznaczyć chcieliśmy. Trudno nieco streścić nowsze prądy psychologii socyalnej. Przedewszystkiem jeden odłam uczonych upiera się przy tem, że wychowanie, a więc i pedagogię oprzeć należy wyłącznie na socyologii, a nie na psychologii, projektując w ten sposób rozłam między temi dwiema gałęziami wiedzy. Cel wychowania ma bowiem być socyalny i zmieniać się wśród zajęć, szczepów, narodów i epok. W miarę potrzeb lokalnych ma się rozwijać inicyatywę, siłę fizyczną, odporność, intelligencyę i t. d., a więc w każdej danej osobie ustalić i ukonstytuować niejako ten system idei, uczuć i praktyk, który z niej utworzy jednostkę socyalnie

użyteczną. A że pierwiastki takiej użytecznej jednostki socyalnej nie istnieją w prymitywnem założeniu człowieka, we wrodzonych jego pierwiastkach, zdaniem tejże grupy myślicieli, należy do danych celów socyalnych idywiduum każde przekształcać, a nie wykształcać. Abstrahując już od tego, że ów odłam myślicieli neguje wszelką psychologię indywidualną, to jednak pod względem wyboru środków wychowania i środków poznania natury ludzkiej powraca przecież do psychologii.

Drugi odłam uczonych zastrzega się znowu, iż pod tytułem psychologii socyalnej lub kollektywnej »przeszwarcowano« w ostatnich czasach pojęcie mistyczne olbrzymiego mózgu, złożonego z naszych drobnych mózgów, o odrębnej jakiejś jaźni socyalnej, różnej od naszych osobistych świadomości. Prawda, że przez kolejne stopnie rodziny, szkoły, szczepu, narodu, każdy powoli wzrósł od tej psychologii jednostki do psychologii dziesięciu, stu, tysięcy i milionów jednostek; nie można jednak tak łatwo stworzyć sobie nieuchwytną jakąś całość socyalną bez nazwy i celu, do której każdy, gdy się zbliży, zostaje wciągnięty suggestywnie i stopiony, jak kruszec, w całej masie zmieszanych indywidualności. Owszem: w psychologii socyalnej należy ściśle rozróżnić: wpływ jednostki na jednostkę i na zgromadzenie, wpływ zgromadzenia na jednostkę i zupełnie różny stosunek jednostki do tłumu, do publiki, nieukonstytuowanej w jakieś ścisłe zgromadzenie; dalej warunki, wśród których z jednostek robi się tłum, a z nieukonstytuowanego tłumu zgromadzenie o pewnych wybitnych celach, które albo jest sumą dodatnich warunków psychologicznych jednostek, albo, jak to już mawiał Wolter, *disent et font plus d'énormes sottises que les particuliers;* wreszcie należy rozróżnić i uwzględnić cały szereg tych danych, które przy działaniu jednostki na jednostkę lub na tłum odgrywają wybitną rolę, jakoto wola, charakter, nieśmiałość, warunki zewnętrzne, racya logiczna i poza-logiczna, identyczność religii, wychowania i pochodzenia i t. d. Nie jest to więc rzeczą tak łatwą w kilku górnolotnych frazesach streścić zadania psychologii socyalnej, usuwając na podrzędny plan psychologię indywidualną, a zdaniem większości postępowych psychologów, należy tę szeroko pojętą »In-

ter-psychologię« oprzeć właśnie na »Intra-psychologii« jednostek, tak, jak dziś się łączą psychologia filozoficzna, introspektywna jednostek z psychologią porównawczo-eksperymentalną. Spojrzyjmy np. na rozwój aktualnej dziś kwestyi alkoholizmu; odróżniając poszczególne cechy indywidualne szczepów i narodów, zastosowano źle czy dobrze w Skandynawii system Gothenburga, ustawę zakazującą w Stanach Zjednoczonych, monopol w Rosyi; w Anglii przecież, gdzie monopol sprzeciwiał się swobodnemu pojęciu o handlu, system Gothenburga nie odpowiadał potrzebom, jako opierający się na komunalnych monopolach, a ustawa zakazująca tylko rozjątrzyłaby moc tajemnych spelunek; zastanowiono się nad zaprowadzeniem znanego *Public House Trust'u*; już w sąsiedniej Francyi budzą i budziły się poważne u psychologów wątpliwości, czy robotnik francuski podda się temu ostatniemu systemowi, który jest właściwie licencyonowanym monopolem towarzystw, aprobowanych przez władzę i część ludności. Na tym jednym przykładzie widzimy dosadnie, jakie ma znaczenie indywidualizowanie potrzeb i warunków nawet w takiej nauce, która chciałaby łączyć wszystkie potrzeby i warunki w jeden wspólny warunek bytu. To też możemy streścić dążenia nowoczesnej, postępowej a racyonalnej psychologii socyalnej w tem, że, opierając się na socyologii, ekonomii politycznej, etnologii z jednej strony, a psychologii introspektywnej własnego ja jednostek i narodów z drugiej strony, stara się dla prawodawcy, filozofa i socyologa stworzyć podkład rzeczywisty pod zamierzone ulepszenia i reformy, oparty przedewszystkiem na realnych badaniach statystyki, które w jej ręku stały się rodzajem subtelnego miernicze go instrumentu psycho-fizyki socyalnej.

Psychologia socyalna, w szerszem pojęciu tego słowa, niejednokrotnie wreszcie musi się zetknąć z kwestyą religii, a sprawę tę psychologii religijnej, jako jedną z najważniejszych, zostawiliśmy na sam koniec naszego szkicu. Jakie stanowisko zajęła psychologia religijna w świeżych publikacyach psychologicznych Instytucyi centralnych, oraz w świetle ostatnich międzynarodowych obrad? Ciężko nam tu trochę wyznać, że psychologię religijną stara się dużo uczonych zepchnąć z toru sprawy

objektywnej prawdy religijnej na strony pozytywne badania fizyologicznego, genetywnego, porównawczego i dynamicznego, warunków ewolucyi, biologicznej religii, która ma być zwykłą funkcyą życiową.

Tak pojęta psychologia religijna musiała z natury rzeczy postawić pytania, czy potrzebną jest wogóle religia i wiara i modlitwa, i musiała przecież na nie odpowiedzieć, że religia jest historyczną cechą ludzkości, a modliwa, choć peryodyczna, choć zależna od warunków przeróżnych i przyczyn indywidualnej emocyi, jest potrzebą, jest stanem psychologicznym, jest takim wykrzyknikiem duszy, jak mowa jest nim dla ciała. A wiara, o której był Sokołow powiedział, że jest zupełnie naturalną funkcyą ludzkiego umysłu, czyż nie jest wobec przeróżnych teoryi i prądów dzisiejszych potrzebą psychologiczną każdego zakątka naszego »ja«. Według psychologów angielskich, wiara ma nawet poza pierwiastkiem idealnym wybitną dążność za uczuciem realnem, a będąc zostawioną wolności, jest przecież obowiązkową. Nie możemy też nie uznać bezstronnie, że wśród całej masy psychologów, opierających szeroki zakres swoich badań z jednej strony na wierze realnej, a z drugiej na Tertullianowskiem *Credo quia absurdum*, z jednej strony na formach konkretnych rzeczywistości, a z drugiej na abstrakcyi niedostępnej zmysłom, coraz więcej badaczy z przeróżnych punktów widzenia schodzić się musi w tem twierdzeniu, że wiara jest konieczną.

Tem twierdzeniem o konieczności wiary kończę ten szkic o stanowisku i prądach psychologii, tak jak się one przedstawiły na ostatnim zjeździe międzynarodowym. A jako cienie i kształty podobne bywają u zorzy i u zachodu, takeśmy u początku niniejszego szkicu wyszli z granic spraw nadnaturalnych i do wiary w te sprawy powrócili, po zatoczeniu wielkiego koła, które zawsze tam się kończyć musi, gdzie się zaczęło, a właściwie mówiąc, bez początku jest i bez końca.

Dr. J. Zanietowski.

Rzym w maju 1905.

KONSTANTYN I METODYUSZ.

(Dokończenie).

Cały rok 878 i 879 schodzi Janowi VIII na ciężkiej walce. I gdybyż to była walka z jednym jakimś, choćby najsilniejszym przeciwnikiem! Ale tak nie jest! Jan VIII znalazł się w położeniu człowieka, który w niebezpieczeństwie szuka oparcia, chwyta się wszystkiego i wszystko mu się z pod nóg wysuwa i z rąk wymyka. Chce koniecznie złemu zaradzić, ratunku szuka w polityce, ale i ta zawodzi. Kolejno przesuwają się wszyscy: Boson, Karol Otyły i Karloman. Ze wszystkimi Jan VIII rokuje, wszystkim obiecuje cesarską koronę, wszystkich o pomoc wzywa — lecz napróżno! W południowych Włoszech zamęt wzrasta, a Saraceni coraz stają się groźniejsi, papież musi im nawet roczny płacić haracz. I podróż Jana VIII do Francyi 878 r. do niczego nie doprowadza. Karolingowie nie mogli już nikomu pomocy użyczyć. Bezradni, sami jej zanadto potrzebowali. Przekonał się o tem aż nadto papież po obiorze królem włoskim Karola Otyłego, na którym się ostatecznie zawiódł. Tak się przedstawiają stosunki na Zachodzie. Na Wschodzie tymczasem do wielkich zmian przyszło: w końcu 877 roku umarł Ignacy i zaraz następnego roku cesarz Bazyli Focyusza przywrócił do łask i posadził na patryarszym tronie. Każdy łatwo pojmie, w jak bardzo trudnem położeniu znalazł się Jan VIII. Nie uznać Focyusza i zająć stanowisko Mikołaja I i Hadryana II, bezwątpienia było to, co się samo narzucało. Jan VIII tego jednak nie uczynił. — Focyusza uznał, a jak sam pisał, dla

miłosierdzia przebaczył. Cesarz obiecywał przeciw Saracenom pomoc, a nawet jej dostarczył, co więcej obiecywał i z Bułgaryi ustąpić. Obietnice tak mało kosztują! Jan VIII pochwycił się tego, pomoc Greków przeciw Saracenom była rzeczywistą — co do Bułgaryi mógł się on łudzić. Przecież zapisywał ciągle zwoje pergaminu i słał do Borysa licznych posłów. Widocznie nie zrzekł się jeszcze myśli jej odzyskania. Postanowił więc zgodzić się na to, czego odmienić już nie mógł i może nie czuł się nawet na siłach. Pozyskani przez Focyusza legaci papiescy: ten sam biskup Paweł z Ankony i Eugeniusz z Ostyi, oraz kardynał Piotr uczestniczyli w słynnym synodzie Focyusza, który, zwołany do Carogrodu, trwał od listopada 879 roku do stycznia roku następnego. Zewnętrznemi oznakami czci i supremacyi musiał się Jan VIII zadowolnić ostatecznie — to zasłaniało istotną przegranę i istotne ustępstwa! Cesarstwo wschodnie stanowczo tedy wzięło górę — tam się z Zachodu przeniósł punkt ciężkości. Mógł się nawet na to żalić Karol Otyły, ale przeszkodzić temu nie mógł, sam bowiem bezsilny, nikomu w niczem pomódz nie był w stanie. Polityczna więc konstelacya jak najpomyślniej się dla Metodyusza zapowiadała! Oddziałało to i na teologię! Poprostu Jan VIII, gdyby był nawet chciał nie mógł, przecież teraz potępiać Metodyusza z powodu pochodzenia Ducha świętego! Wiemy, jak ta sprawa stała. Wszczynać o nią spór, ogłaszać za dogmat »filioque« i wcielać do nicejskiego symbolu było to zerwać z dotychczasowem oględnem postępowaniem Leona III, a uledz i kapitulować przed duchowieństwem frankońskiem — i to w najbardziej niestosownej chwili! W Rzymie nigdy nie lubiono i nie chciano tych kwestyi poruszać [1] — a obecnie już mniej, niż kiedykolwiek. Nie jest pewnem, czy powracający z Konstantynopola posłowie mogli brać udział w owym sądzie nad Metodyuszem, gdyż nie wiemy dokładnie kiedy wrócili [2]. Jeżeli brali udział, to musieli powiedzieć,

[1] Migne CXXIX, str. 517.

[2] Hergenröther: Photius II, str. 573. Langen III, str. 249. Byli oni jeszcze w Carogrodzie 12 marca. Hergenröther mówi (str. 549), że się wybierali w powrotną drogę pod koniec marca, stanęli zaś w Rzymie — w sierpniu. Droga do Rzymu mogła trwać miesiąc lub mało co więcej — trochę to więc

że byli oni obecni i nie protestowali przeciw uchwale zastrzegającej nienaruszalność nicejskiego symbolu; jakże więc teraz miał ktokolwiek w Rzymie, prócz oczywiście Wichinga, przeciwko nieuzupełnionemu symbolowi nicejskiemu protestować? Status quo musiało być i nadal hasłem Rzymu i teraz i później jeszcze. — A o cóż to pytano Metodyusza? O symbol nicejski. I nie było w tem nic szczególnego; było to właściwie powtórzenie owego wyznania wiary. Metodyusz właściwie po raz drugi powtarzał, co już był powiedział i pismem stwierdził przy doręczeniu paliusza, żadnej osobnej formuły dla niego ani wówczas ani teraz nie stwarzano [1] — to trzeba zrozumieć i raz zerwać z mniemaniem, że Metodyusz wykonywał w Rzymie jakieś szczególne przysięgi — nikt ich bowiem od niego nie wymagał i wcale nie żądał [2]. Jan VIII i wszyscy doskonale z tego zdawali sobie sprawę, że z tą jedną sprawą Metodyusza wiąże się inna powszechnego znaczenia i powszechnej doniosłości, którą wypadałoby pierwej rozstrzygnąć, woleli więc niedomówić w tym wypadku, niż powiedzieć za wiele.

Msza słowiańska nie nastręczała takich trudności, nie była bowiem ani tak drażliwą sprawą ani tak ważną. Zresztą można się było powołać na zezwolenie Hadryana. Niewiele tutaj zaważy twierdzenie — zresztą błędne, że list tego papieża do Kocela i Rościsława jest nieautentycznym, gdyż w każdym przecież razie

---

za długo! Langen znowu, sądzę, zbyt wcześnie kładzie ich powrót na koniec marca. Mogli oni wrócić w maju lub czerwcu, a w takim razie mogli nawet być sądowi obecni. Odpowiedź papieża na listy cesarza i Focyusza pochodzi z sierpnia 880 roku. Por. Migne CXXVI, n. 296 i n. 297, str. 900.

[1] Por. Migne CXXIV, n. 2, str. 652. Jaffé-Wattenbach n. 2986. List Jana VIII do Wiliberta arcybiskupa kolońskiego w 873 roku w sprawie paliusza. Papież mówi, że professio fidei nie jest dostateczną, nie zawiera ona bowiem: sanctarum universalium synodorum, in quibus fidei nostrae symbolum continetur, nec decretalium pontificum Romanorum constitutorum, secundum morem feceris mantionem. Co do samego udzielenia paliusza por. Mansi XIV. Consulta Bulgarorum cap. 40, oraz synod Jana VIII w Rawennie 877, XVII, str. 53. Był on niezbędnym dla arcybiskupów.

[2] Zresztą sam tekst pisma Jana VIII z 879 r. pośrednio temu przeczy. Mowa tam, że Metodyusz: verbis et litteris professus est, a nie np. sacramento lub iuramento firmavit. To samo znowu powtarza i list Jana z 880. O przysiędze niema tam mowy.

trudno zaprzeczyć, jak wiemy, że Hadryan II zezwolił na mszę słowiańską — ten fakt zawsze pozostaje pewnym! A jeśli tak jest, cóż prostszego, że Metodyusz na to pozwolenie się powołał i wyjednał cofnięcie tymczasowego zakazu, oraz ponowne uznanie języka słowiańskiego za kościelny i liturgiczny. Tutaj obie strony: i papież i Metodyusz mogli bez żadnych niedomówień, otwarcie i zasadniczo całą tę kwestyę postawić i rozstrzygnąć, co też i uczynili.

Wszystko jednak nie poszło tak łatwo. Bezwątpienia, jak wiemy, taki oportunizm w kwestyi »filioque« nie był bez stron ujemnych, powiedzmy od razu: zostawiał broń w ręku Rzymu — inny papież mógł jej użyć, ów miecz Damoklesa wisiał więc i nadal nad głową arcybiskupa Moraw, jak Metodyusza teraz papież nazywał. Na razie wszelako, t. j. dopóki Jan VIII żył, sprawa ta nie groziła już ponownym wybuchem. Prócz kwestyi teologicznej natury pozostawała inna jeszcze, bardziej bieżąca, praktyczna, a pierwszorzędnej, decydującej wagi. Chodziło jeszcze mianowicie o wzajemny stosunek obrządków: słowiańskiego i łacińskiego — i ten stosunek koniecznie należało uregulować, jakieś stalsze zasady i modus vivendi dla obu tych obrządków obmyślić.

Jan VIII o tem nie zapomniał; w swym liście do Swiętopełka, który już znamy, wspomina on o kanonach t. j. postanowieniach, które powziął oczywiście w tym względzie i które Metodyuszowi doręczył.

Znamy z nich tylko te, które papież »ad usum« Swiętopełka w liście podaje, lecz muszą być one najważniejsze. I tak np., jeśli Świętopełk i jego witezie (iudices) chcą mszy łacińskiej słuchać, ma być ona dla nich odprawianą. Jan VIII wyświęcił na biskupa Nitry Wichinga, na później odkładając wyświęcenie trzeciego biskupa — z niczem więc i Wiching nie odszedł. Widocznie prosił o to papieża Swiętopełk, który pragnął zorganizowania morawskiego Kościoła. Pragnął tego samego i Metodyusz — tylko nie tego, co się stało, gdyż wiedział jasno do czego to doprowadzi! Przewidywał on, że Wiching teraz głowę podniesie i hardo mu się we wszystkiem stawiać będzie — w tym duchu musiał papieża ostrzegać. Jan VIII rozkazał tedy Wichingowi być swemu

arcybiskupowi we wszystkiem uległym, jak chcą kanony. Metodyusz bowiem, jak to wyraźnie i dobitnie papież zaznaczał, miał powierzone sobie duszpasterstwo. Wyraźniej jeszcze przebija ta chęć zabezpieczenia Metodyusza z następnego postanowienia papieża: Jan VIII zawiadomił księcia Moraw, iż wszyscy księża i dyakoni, którzy w granicach jego państwa przebywają, bądź Słowianie bądź jakiegokolwiek innego pochodzenia, mają być posłuszni we wszystkiem arcybiskupowi, a gdyby zaś nieposłuszni ośmielili się wzniecać niezgodę i stali się powodem odszczepieństwa i zgorszenia, po trzechkrotnem wezwaniu wedle ustaw, które papież dał Metodyuszowi, z kraju wypędzeni być mają.

Takto wyglądało wszystko na piśmie — że zgoła inną będzie rzeczywistość, czyż kto mógł powątpiewać? Każdy z góry powie: wszystko stanie się inaczej: Wiching, zostawszy biskupem, jeszcze bardziej głowę podniesie i hardo się postawi i na Świętopełka jeszcze większy wpływ posiędzie. Księża wreszcie »innego pochodzenia« — oczywiście łacińscy niemieccy duchowni, także podburzeni przez Wichinga, nie będą swemu arcybiskupowi i mimo poleceń papieskich posłuszni — a czyż Świętopełk użyczy arcybiskupowi swej opieki i precz ich z granic Moraw wypędzi? Z pewnością nie! To jasne jak słońce! Tak się też wszystko »co do joty« wypełniło.

Oczyszczony ze wszystkich zarzutów Metodyusz, wracał na Morawy na ciężką i twardą a nieuniknioną walkę. Taka była już jego dola! Przecież po wyświęceniu w Rzymie na arcybiskupa, niebawem dostał się do niemieckiego więzienia! Dziś się nie łudził, zaskoczonym nie był jak wtedy. W wypełnienie poleceń Jana VIII nie wierzył, lecz cóż z tego, kiedy nie mógł przysporzyć środków obrony!

Trudno odgadnąć, o ile sam Jan VIII zdawał sobie sprawę, że wszystkie jego polecenia zostaną martwą literą. Tak się jednak stało. I tym razem sprawa Kościoła słowiańskiego zasadniczo rozstrzygniętą nie została. Wszystkie dawne, głęboko tkwiące przyczyny niezgody działały dalej, z większą tylko jeszcze siłą i natężeniem. Widocznem jest, że msza słowiańska stawała się religią prostego ludu. Sam Świętopełk i jego dwór lgnął do innej, łaciń-

skiej. Wobec tego i sam spór o mszę łacińską mimo postanowień Jana VIII przycichł tylko, również jak i kwestya pochodzenia Ducha świętego. Słowem, w gruncie rzeczy wszystko pozostało jak było!

Aby mogło być inaczej, należało wybrać drogę inną, nie pośrednią, która w tym wypadku wcale się nie okazała najlepszą; słowem należało: albo znieść zupełnie Kościół słowiański i zaprowadzić jednolity łaciński obrządek, albo przeciwnie należało tylko uznać słowiański. Oba one obok siebie żadną miarą nie mogły współistnieć. Wielce to było trudnem przy obopólnych, dobrych nawet chęciach, a cóż dopiero dziać się musiało, kiedy zamiast dobrej woli nienawiść dzieliła oba obrządki! Żadna ze stron walczących nie myślała ustępować drugiej, wiemy, że Metodyusz do ustępstw nie był skłonnym, nicby one zresztą nie pomogły! Widocznie opierając się na słowach i piśmie Hadryana II, występował bardzo ostro przeciw tym, którzy ganili i nie uznawali mszy słowiańskiej. Prawo miał za sobą [1]. I w tym wypadku bowiem rzecz cała przedstawia się daleko prościej: Hadryan II, skoro tylko uznał mszę słowiańską, musiał zarazem potępić tych, którzy wbrew temu uznaniu przeciw niej występowali. To jest przecież zwykła klauzula uchwał i postanowień papieskich, msza słowiańska wyjątku z pod tej reguły nie stanowiła. Wychodząc z tego punktu, każdy, który na mszy słowiańskiej nie chce być obecnym, bo jej mimo nakazu papieża nie uznaje, podpada karom kościelnym. Takiemi karami musiał też Metodyusz grozić i musiał niejednokrotnie groźby w czyn wprowadzać. Wiching i niemieccy duchowni aż nazbyt często dawali zresztą do tego powody. Jan VIII chciał działać tutaj widocznie pośredniczącо i łagodząco, zrobił też ustępstwo dla Świętopełka i zastrzegł wyraźnie, że może on słuchać mszy łacińskiej, która ma być odprawianą w jego obecności. To ustępstwo wszelako nie było nawet tak wielkiem, jak się wydaje. Inne pośrednie było daleko groźniejszem. Czyż można sobie wystawić, że Wiching sam odprawiał mszę słowiańską? To byłby

[1] Według najstarszego tekstu, który t. z. Nestor przechował, ustęp końcowy brzmi: kto będzie ganił pismo słowiańskie da будетъ отлучонъ отъ церкве дожде ся исправить.

absurd! Nie tylko wszakże sam jej nie odprawiał, lecz w swej dyecezyi odprawiać zabraniał i księży słowiańskich pod okiem arcybiskupa Metodyusza nie dopuszczał do kościelnych funkcyi. A czyż Metodyusz mógł na to patrzeć spokojnie? Księży owych brał on w obronę, nieposłusznych chciał wydalać, wzywał przeto Świętopełka o pomoc, Świętopełk zaś, jawny stronnik Wichinga, niczem go zbywał! Słowem, położenie kościelne na Morawach musiało się stać wprost niemożliwem!

Krótką była radość ludu morawskiego, o której Żywot wspomina, a gniew i żal jego przeciwników, skoro odczytano list papieża Jana[1]. Bardzo prędko wszystko do dawnego stanu wróciło, tak, że ostatecznie śmiało powiedzieć można: wyrok przychylny uzyskany w Rzymie umożliwił jedynie Metodyuszowi dalszą walkę, której wynik wcale a wcale pewnym nie był. Zaraz po powrocie na Morawy zaczęła się ona. Świętopełk, być może zawiedziony w swoich nadziejach i niezadowolony z wyroku Jana VIII, nie krył się ze swojemi uczuciami wobec arcybiskupa i poczynał też sobie z nim jak z wrogiem. Metodyusz zaś musiał go mieć, jak zawsze, za grzesznika, niewolnika swych żądz i chuci[2] — a nadto gromił za nieposłuszeństwo wobec siebie i wobec rozkazów papieskich. Biskup Wiching jątrzył, podburzał, rozszerzał różne kłamliwe wieści. O posłuszeństwie oczywiście i uległości w tych warunkach i mowy nawet być nie mogło! Metodyusz czuł, że polecenia Stolicy Apostolskiej nie bardzo go już obronić mogą. Wiching znowu zdawał sobie sprawę, że tak bardzo liczyć się z niemi niekoniecznie trzeba! Doszło do tego wreszcie, że już niespełna w rok, bo w kwietniu 881 roku, Jan VIII musiał odpowiadać na żale i skargi, które Metodyusz do Rzymu zanosił.

Mamy tylko odpowiedź papieża. Wśród zapewnień o swej życzliwości, pociesza Jan VIII arcybiskupa Moraw i każe

---

[1] Żywot § XII. Nie wspomina on o podróży Metodyusza do Rzymu, lecz mówi jedynie o zarzutach, które mu jego wrogowie czynili i o potwierdzającym liście papieskim. Jest to list znany nam już z 880 roku. I tu Żywot jest wiarogodny!

[2] Te szczegóły opowiada Żywot Klemensa Bułgarskiego, str. 289.

znosić przeciwności, zachęca do wytrwania, »któż bowiem przeciw mnie, jeśli Bóg mój ze mną?« — mówi papież, przypominając nagrodę w przyszłem życiu za doznane smutki i zawody. Dalej przechodzi Jan VIII do faktów. Stwierdza raz jeszcze prawowierność Metodyusza i co ciekawe dodaje: nie posyłaliśmy żadnych innych listów do Świętopełka jak tylko ten, o którym wiesz, że mu był doręczonym, ani też jawnie lub tajemnie owemu biskupowi nie poleciliśmy, aby działał inaczej, niż jakeśmy uchwalili, abyś przeprowadził[1]. O ileż zaś trudniej dać temu wiarę — ciągnie dalej papież — abyśmy przysięgi od rzeczonego biskupa wymagali, z którym wcale nie mówiliśmy lekkomyślnie w tej sprawie! Wreszcie zapewnia papież, że za wszystko, co biskup ów przeciw tobie wbrew prawu popełnił, nie omieszkamy pociągnąć go do zdania sprawy przed nami, oraz złamać jego uporu, sądu naszego wyrokiem wejrzawszy w rzecz całą[2].

To pismo papieskie odsłania nam wiele ciekawych szczegółów i pozwala bliżej wejrzeć w sprawę: najpierw pokazuje się z niego, że Wiching nie tylko głosił, że mu papież dał potajemne instrukcye i polecił mieć na oku Metodyusza i śledzić go i podpatrywać, ale że sfałszował pismo papieskie do Świętopełka, w którem rzekomo to właśnie papież donosił i wyjaśniał! Pokazuje się dalej, że Metodyusz skarżył się na swego nieposłusznego i opornego sufragana i apelował wprost do Rzymu, papież zaś przyrzekał zawezwać go przed siebie i sprawę całą rozsądzić! Że to prawdą jest, co Jan VIII pisał — a fałszem co mówił Wiching, nie potrzeba długo dowodzić. Nie można też w żaden sposób robić z Wichinga, jak to np. prof. Brückner czyni, bogobojnego, świątobliwego, spokojnego kapłana, obrońcę katolickiego Kościoła, którego chytry Grek Metodyusz tylko prześladuje. Tak zgoła nie było, a kto tego nie widzi, widzieć nie chce, jak często

---

[1] Pastrnek n. 9: et neque aliae litterae nostrae ad eum (Suentopelcum) directae sunt, neque episcopo illi palam vel secreto aliud faciendum iniunximus et aliud a te peragendum decrevimus.

[2] Pastrnek n. 9. G. Friedrich n. 25. Należy uwzględnić poprawkę Assemana tak, jakto Friedrich czyni, koniecznie tego sens zdania wymaga. Por. Migne CXXVI, n. 319, str. 928.

bywa, i usuwa z drogi wszystko, co może przeczyć jego wywodom! Wiching postępował bezwzględnie i w środkach nie przebierał, jak niegdyś biskupi bawarscy sądzący Metodyusza — podać sobie oni ręce mogą! Tylko wobec wyroku Stolicy Apostolskiej Wiching czuł, że nie wszystkiego siłą dokona — potrzebował mieć prawo, a choćby cień prawa za sobą — a ponieważ go nie miał, więc się nie cofnął przed sfałszowaniem listu do Świętopełka i rozgłaszaniem fałszywych wieści o tajnem poleceniu papieża. Wówczas nie przykładano zresztą tej miary, co my dzisiaj, do takiego postępku! Że zaś on to zrobił, więcej jak pewna. Jan VIII takich poleceń mu nie dawał i podwójnej gry nie prowadził. Prawda, dawał i on tak samo, jak i jego poprzednicy, tajemne dodatkowe instrukcye swoim legatom, które mieli ustnie wypowiedzieć. Nie wszystko się przecież pisze i nie wszystko napisać można. Tak sobie poczynali Mikołaj I i Hadryan II, o ile zachodziła potrzeba [1]. Jan VIII wcale nie gardził tym środkiem w rzeczach polityki. Nie brak nam na to dowodów: są to tajne zlecenia dawane posłom, o których wspominają nawet pisma papieskie do Bozona, do Karlomana, do Karola Otyłego, do Sedeslawa księcia Kroatów [2]. Wszystko to są wszakże środki w polityce nieledwie że dozwolone, a Jan VIII, jak wiemy, dobrym był politykiem! Najgorszym przykładem takiej podwójnej gry nawet w sprawach kościelnych jest to, na co Hadryan II zezwolił: w sprawie Hinkmara z Laon pisał list do biskupów, nalegając na jego przybycie do Rzymu, a tymczasem w tym samym liście wspomniane są jakieś tajne instrukcye — i faktem jest, że Hinkmar, jak wiemy, nigdy w Rzymie już nie był [3]. Wszystko to prawda — tylko się o jednem zapomina: nikt nie pisze takiego listu, jaki napisał

[1] Mansi xv, n. 150, str. 784, n. 473, str. 321,

[2] Migne cxxvi, n. 723, str. 1010, n. 341, str. 615, n. 854, str. 1120.

[3] Mansi xvi, n. 134, str. 858. Qualiter aut quando, vel veniat vel adducatur, seu interim custodiatur praefato confratri nostro communi legato Actardo archiepiscopo vobis in mandatis et alia clandestina commisimus manifestanda. W podobnem położeniu co Metodyusz znalazł się w 1102 r. i święty Anzelm. Henryk I oświadczył, że jego posłowie w Rzymie otrzymali inne tajemne ustne instrukcye, co się w tym wypadku okazało nieprawdziwem.

Jan VIII do Metodyusza, jeśli ktoś inny (w naszym wypadku Świętopełk) ma list jego własny a wręcz przeciwny, który w każdej chwili pokazać może! Nic nie zmuszało Jana VIII do dania zaprzeczenia na piśmie — mógł on doskonale milczeć, nie odpowiadać na skargi Metodyusza lub w ostatecznym razie odpowiedzieć ogólnikowo, — ale przedewszystkiem milczeć, skoro zaś nie uczynił tego i zaprzeczył wszystkiemu na piśmie, musiał istotnie nie dawać takich instrukcyi, o jakie go Wiching pomawiał, była to bowiem broń w ręku Metodyusza zbyt niebezpieczna!

Jan VIII, który zresztą w końcu 882 roku umarł, nie postępował tedy nielojalnie względem Metodyusza, w części ze względów polityki, bo to się nie da zaprzeczyć[1]. Inna rzecz tylko, czy go chciał do ostatka bronić? Widzieliśmy, że stworzył on sam w znacznej mierze położenie bez wyjścia, z gruntu fałszywe. Uczynił to, ulegając może prośbom samego Świętopełka lub ze względów na duchowieństwo bawarskie Grekom wrogie — to rzecz inna, niemniej fakt pozostał faktem! I teraz zbytecznem jest pytanie: czy zawezwał Wichinga do Rzymu? Z góry można przewidzieć, że nie: istotnie do wytoczenia i przeprowadzenia ostatecznego sprawy znowu nie przyszło, podobnie jak pierwej w 873 r. tylko z innych powodów! Wiching i Metodyusz w Rzymie już po raz drugi nie byli!

Ostatnie lata Metodyusza były nad wyraz ciężkie. Otoczony wrogami, bez pomocy znikąd, walczył — zwątpiwszy już może nawet o zwycięstwie. Nieugięty jak niegdyś wytrwał przecież do końca, wiernych na Morawach nie opuścił. Jeździł tylko do Carogrodu w 882—884 roku, może już tam szukając jakiegoś oparcia. Mówili bowiem nieprzyjaciele, natrząsając się z jego opuszczenia: i cesarz jest zagniewany srodze i życia by Metodyusza pozbawił, gdyby go w ręce dostał[2]. W Carogrodzie, gdzie stanął

---

[1] Podobnie w X wieku odegrała ona bardzo znaczną rolę w stosunkach kościelnych Dalmacyi. Murko: Die slavische Liturgie an der Adria. Oester. Rundschau II, 1905, str. 166.

[2] Żywot § XVII. Kto wie, czy Jan VIII nie wiedział nawet o tej podróży? Por. Lâpotre: L'Europe et le Saint-Siège a l'époque carolingienne. 1895, str. 157.

po latach tylu, doznał wszakże dobrego przyjęcia. Patryarcha Focyusz i cesarz zatrzymali nawet jednego z uczniów Metodyusza wraz z księgami słowiańskiemi, zdaje się bowiem, ta bytność arcybiskupa Moraw była w związku z wprowadzeniem mszy słowiańskiej w Dalmacyi, która znowu teraz chyliła się ku wschodniemu cesarstwu [1]. Do Moraw wrócił jednak Metodyusz, nawracając jeszcze po drodze jakiegoś króla Węgrów, t. j. jakiegoś naczelnika plemiennego tych koczowników, którzy się już wówczas nad Dunajem w pannońskiej nizinie pojawić mogli [2]. Po powrocie ostatniem jego dziełem bylo dokończenie przekładu na słowiańskie Pisma świętego.

Zbliżała się nareszcie coraz bardziej śmierć. Metodyusz ją przeczuwał i naprzód już wybrał i naznaczył z pośród uczni następcę imieniem Gorazda, Słowianina uczonego, biegłego w znajomości ksiąg słowiańskich oraz łacińskich i prawowiernego. Zebrawszy wszystek lud, odprawił po raz ostatni uroczyste nabożeństwo w Palmową Niedzielę 885 roku, błogosławił cesarza, księcia i duchownych, poczem w trzy dni umarł, pochowany z wielką czcią, a przez uczniów i przez wszystek wierny lud szczerze opłakiwany. Nad jego zwłokami odprawionem zostało nabożeństwo po łacinie, po grecku i po słowiańsku — we wszystkich trzech językach, po raz także ostatni.

Nadszedł dzień Zmartwychwstania, Wielkanoc, ale nie dla słowiańskiego Kościoła. Nie miał się on odrodzić, lecz przeciwnie musiał na zawsze z Moraw ustąpić. Biskup Wiching i niemieckie łacińskie duchowieństwo ze zdwojoną energią przystąpiło teraz do ostatecznej rozprawy [3]. Uznać Gorazda, było to sprawę przegrać, to też za każdą cenę do tego nie mogło ono dopuścić — i postawiło na swojem. Wybuchły teologiczne swary i kłótnie,

[1] Konstantin Jireček: Die Romanen in den Städten Dalmatiens. Denkschriften d. Akâd. d. Wissenschaften in Wien. XLVIII, 1902, str. 49.

[2] Żywot § XVI. Za zupełnie nieuzasadnione uważam przypuszczenie prof. Brücknera, że — to był Arnulf, z którym się Metodyusz widział, choć wyraźnie Żywot mówi »korolî ongrski«. Skąd, po co i na co miał się Metodyusz zjeżdżać z Arnulfem? Tytuł »króla« nadawano dość często w IX i X wieku różnym pogańskim władcom, podobnie jak my dzisiaj.

[3] Mówi to wyraźnie Żywot Klemensa Bułgarskiego, str. 282.

Swiętopełk, sam wątpiący, kazał przysięgać, kto jest prawowiernym? Przysięgę wykonali niemieccy łacińscy duchowni bardziej do przysięgi skorzy, zwolennicy Gorazda od swej nauki o pochodzeniu Ducha świętego odstąpić nie chcieli, choć była ona odmienną od łacińskiej i przysięgać nie mogli. Po tem, co zaszło, wybuchło prześladowanie, prowadził je nawet już nie sam Świętopełk, podówczas nieobecny, lecz prowadzili z całem zapamiętaniem i zaciekłością niemieccy duchowni. Wtrącono naprzód do więzienia Gorazda wraz z uczniami, a potem, snać nie wiedząc, co z nimi dalej czynić, odstawiono pod strażą do Bułgaryi i z granic Moraw wygnano. Biskup Wiching nie zaniechał wezwać pomocy Stolicy Apostolskiej i sam udał się do Rzymu bronić swojej sprawy. Stefan V, człowiek bogobojny, lecz ciasny i pod wpływem Arnulfa, był podówczas papieżem. Zwycięstwo więc było łatwe, a jednak i tym razem Wiching do zwycięstwa pomógł sobie fałszywem przedstawieniem rzeczy.

Stefan V wysłał do Moraw dla przeprowadzenia i rozpatrzenia na miejscu całej sprawy trzech legatów, zaopatrzywszy ich, jak zwykle, w commonitorium, oraz w list do Świętopełka. Dziwnych i niebywałych rzeczy dowiadujemy się z obu tych dokumentów! Papież potępia Metodyusza i zakazuje uznawać Gorazda jako następcę [1]. Poucza też długo i szeroko Świętopełka o pochodzeniu Ducha świętego, a także i o poście. Obawiał się on widocznie co do tego błędnych nauk i polecił je wyplenić. Lecz nie na tem koniec! Papież stanowczo potępia i zakazuje odprawiania mszy słowiańskiej, i — najwyraźniej mówi, nawet dwa razy to powtarza, jakoby Jan VIII zabronił Metodyuszowi odprawiania mszy słowiańskiej, a Metodyusz na grobie świętego Piotra przysięgał, że jej odprawiać nie będzie — brzydzi się też jego krzywoprzysięstwem [2]. I słusznie, tylko że Metodyusz krzywo-

[1] Pastrnek 260. Commonitorium cap. XIII.

[2] Ibid. str. 264. List do Świętopełka. Divina autem officia et sacra mysteria ac missarum solemnia, quae idem Methodius Slavorum lingua celebrare praesumsit, quod ne ulterius faceret supra sacratissimum beati Petri corpus iuramento firmaverat, sui periurii reatum perhorrescentes nullo modo deinceps a quolibet praesumatur. Commonitorium str. 260, cap. XII. Missas

przysięzcą nie był! Aż nadto widocznie pokazuje się, że Wiching papieża w błąd wprowadził — i to jeszcze w jaki! Jan VIII tylko raz zakazywał, jak wiemy, odprawiania mszy słowiańskiej, a mianowicie w 873 roku, wtedy, kiedyto wysyłał biskupa Pawła z Ankony! Z tego Wiching ukuł zgoła nieprawdziwą opowieść, jakoby Jan VIII zabronił mszy słowiańskiej, a Metodyusz się jej odprzysięgał, przyczem zataił przyzwolenie Jana VIII z 880 roku. Jest to bardzo dziwne, ale łatwiej to przypuścić, niż, że Stefan V był z Wichingiem w zmowie [1]. Tak czy inaczej, w żadnym tylko razie nie można przypuścić, że sam fakt jest prawdziwy, gdyż w takim razie należałoby przyjąć, że Jan VIII po roku 880 po raz drugi zabronił mszy słowiańskiej. Otóż Metodyusz w Rzymie już nie był, a gdyby nawet i był, to Jan VIII w rok np. po uznaniu słowiańskiego języka, nie mógł odwoływać swego własnego pozwolenia! Nie mamy zresztą żadnego śladu, aby tak było — a przecież gdyby podobne odwołanie istotnie przyszło do skutku, o jakiś dokument bodaj sam Wiching byłby się postarał. Tymczasem takiego dokumentu wcale nie posiadamy, z tej prostej zresztą przyczyny, że nigdy nie został wydany! Okruszyna prawdy wystarczyła, aby rzecz całą tak przeinaczyć i tak łatwo papieża w błąd wprowadzić! Podstęp się udał, przyśpieszył on i ułatwił zwycięstwo — o to zaś właśnie chodziło. Zdaje się, że podobnie i w drugim jeszcze wypadku tak samo mała cząstka prawdy posłużyła do kłamliwego przedstawienia rzeczy: Metodyusz mógł Wichinga jako nieposłusznego skarżyć do Rzymu i zawiesić w czynnościach kościelnych, mógł wreszcie zgodnie z kanonami przedsiębrać kroki przeciw opornym i nieposłusznym duchownym, z tego zaś Wiching znowu ukuł broń przeciw zmarłemu i obwieścił, jakoby rzucał on klątwę

---

quae Sclavorum linguà idem Methodius celebrare praesumsit, quamvis decessoris sui temporibus domni videlicet Iohannis sanctissimi papae iuraverit se ea ulterius non praesumere, apostolica auctoritate ne aliquo modo praesumatur, penitus interdicit. Por. Lâpotre: L'Europe et le Saint-Siège a l'époque Carolingienne. 1895. str. 129. Uważam list do Świętopełka za autentyczny. Zgodność całych zwrotów z listem Jana VIII do Świętopełka dowodziłaby tylko, że je oba jeden pisał, używając tych samych kancelaryjnych formuł.

[1] Przyjąć natomiast można, że Wiching był w tajemnej zmowie z kimś z otoczenia papieża. To się często zdarzało!

przeciw katolickiemu Kościołowi![1] W żadnym razie biskup Wiching, działający wbrew rozkazom i poleceniom Jana VIII, nie był równoznaczny z katolickim Kościołem! Grube te kłamstwa wszelako zrobiły swoje: przyśpieszyły tok sprawy, którą tym razem Stolica Apostolska nie roztrząsała, lecz bez dalszych dochodzeń przecięła.

Każdy spodziewać się może po tem zwycięstwie Wichinga a porażce słowiańskich uczniów Metodyusza, iż na Morawach zaprowadzoną została hierarchia kościelna łacińska, którą Świętopełkowi musiał Wiching obiecywać. Mógł on sam tak łatwo zostać arcybiskupem na miejscu wypędzonego Gorazda! Tymczasem stało się inaczej. Biskup Wiching opuścił Morawy, udał się do cesarza Arnulfa — został w 893 r. nawet jednym z najwyższych dostojników jego dworu, ni mniej ni więcej tylko — kanclerzem! Ten sam potężny opiekun Wichinga, cesarz Arnulf wyjednał dla niego w kilka lat później biskupstwo passawskie. Protegowany ex-biskup Nitry niedługo wszakże zasiadał na tej nowej biskupiej stolicy. W r. 899 synod biskupów bawarskich deponował go — i odtąd Wiching przepada bez wieści. Każdemu musi się to wszystko wydać przecie podejrzanem! Bezwątpienia też prócz wszystkich teologicznych sporów o pochodzeniu Ducha świętego odgrywały rolę jakieś polityczne intrygi w tem wszystkiem, co się na Morawach stało. Bądź co bądź, Wiching za blizkim jest Świętopełkowego wroga Arnulfa, za blizkim był on i dla współczesnych, bo nawet o brak wierności dla księcia Moraw posądzali go już oni podówczas — i być bardzo może — posądzali słusznie![2] Cobyśmy powiedzieli o duchownym

---

[1] Stefan V mógł mieć na myśli Metodyusza, pisząc do Świętopełka: Anathema vero pro contemnenda catholica fide qui indixit in caput redundabit eius. Mógłby to być wszelako i zwrot ogólny, nie znaczy on bowiem, jak chce prof. Brückner: Klątwa zaś, którą za wzgardzenie wiary katolickiej (Metodyusz) rzucił, spadnie na własną głowę jego, — lecz: kto klątwę rzucił za wzgardzenie katolickiej wiary, spadnie na głowę jego, t. j. tego, który ją rzucił. Por. ks. K. Czaykowski: Z powodu nowego poglądu na apostołów słowiańskich. Przegląd Powszechny 1903, str. 408.

[2] Stefan V pisze do Świętopełka: Wichingum — vobis — ad regendam sibi commisam ecclesiam remisimus quia fidelissimum eum tibi et pro te satis sollicitum in omnibus agnovimus. A więc musiał Stefan V zapewniać Święto-

niemieckim, który przebywa lata całe np. przy boku naszego Łokietka, jest jego zaufanym, a naraz potem udaje się do Krzyżaków i u nich jest w łaskach? Lepiej też i bezpieczniej Wichinga nie bronić! Człowiek, który z taką zaciętością pracował nad upadkiem słowiańskiego Kościoła na Morawach, był nasłany i nie nie jest wart obrony.

Takie były koleje obu soluńskich braci Konstantyna i Metodyusza i takie były losy ich dzieła, któremu siebie oddali w ofierze. Wiemy, z jakich przyczyn nie zdołał się na Morawach Kościół słowiański utrzymać. Ustąpił nie bez walki, lecz nie zginął, odżył w Bułgaryi, a później na Rusi dalekiej. Odżył także na Zachodzie, lecz powiedzieć trzeba: z Zachodu przeszedł na Wschód, tam się najbardziej zakorzenił — i wschodnim już pozostał.

VI.

Historya, jak życie, zna przedewszystkiem czyn, z nim się liczy i nim zajmuje. Wszelkie zamiary, zamysły i usiłowania w życie nie wcielone, muszą przed nim zblednąć i ustąpić. A przecież mimo to wszystko historya także się musi z zamiarami liczyć, także o nich pamiętać, bo i one bez śladu w niej nie mijają! Nie giną w niej nawet te, które nigdy nie przekroczyły progu rzeczywistości, które się z nią nie zetknęły, tem więcej nie giną te, które o byt, choćby nieszczęśliwie, krótką chwilę walczyły i które rzeczywistość musiała dopiero niweczyć i rozbijać. Z tych pozostaje więcej — pozostaje choćby materyał zdatny do podjęcia kiedyś w przyszłości nowej budowy.

Takim zamiarem, któremu nie było danem wśród walk i przeciwności zdobyć sobie trwałego istnienia, było, jak wiemy, apostolstwo soluńskich braci wśród zachodnich Słowian. Krótkotrwałe ich dzieło uległo zniszczeniu, ale przecież nie zniknęło i nie przepadło bez śladu. Ktoś zapytać może, czemu się to dzieje, iż właśnie to dzieło poronione i niezdolne do życia, tak bardzo do tej chwili obchodzi historyków, uczonych, a nawet wykształcony ogół? Czemu, po tylu wiekach, każdy, który o nich pisze, powinien się wystrze-

---

pełka o jego wierności? Oczywiście te zapewnienia nie wiele mają wagi. ciekawe tylko, że były potrzebne!

gać i pilnować, aby się nie stać stronniczym i niesprawiedliwym? Nietrudna odpowiedź na te wszystkie pytania: apostolstwo obu braci musiało poruszyć jakieś bardzo zasadnicze i głębokie zagadnienie nierozwiązane wówczas — i nierozwiązane dziś jeszcze mimo tylu wieków, które przeszły ponad ich dziełem zniszczonem.

Każdy z nas wie, że tak jest w istocie. Zagadnienie owo, to ni mniej ni więcej tylko rozdział słowiańszczyzny między wschód i zachód, między dwa Kościoły, dwie cywilizacye, słowem dwa odrębne, nieprzejednane, wrogie sobie światy. Nieprzejednane na długie wieki, choć może nie na zawsze.

Olbrzymie przestrzenie: od wierzchowin Wołgi i Dniepru po Łabę, a od Baltyku po morze Egejskie w IX wieku należały do Słowian. Szeroko się na tych obszarach rozsiadła rzesza wieloimiennych, a różnych kulturą i organizacyą plemion, których mnogość wzbudzała podziw geografów arabskich IX i X wieku, oraz niemieckich kronikarzy. Wszyscy oni mówili o rozbiciu słowiańskiego szczepu, o ciągłych walkach, które plemiona owe między sobą wiodą, a nawet jeden z nich powiedział: gdyby się z sobą Słowianie nie kłócili, świat by do nich należał. Istotnie przyznać trzeba, iż od rozwiązania tego pytania: co się stanie z całem tem mnóstwem plemion słowiańskich, jak się one dalej rozwijać będą, zależały w znacznej mierze przyszłe losy Europy. A właśnie podówczas t. j. w IX wieku, oraz przez następny dziesiąty wśród tej rozbitej i swarliwej rzeszy licznych plemion na kilku punktach począł się objawiać ruch, zmierzający do stworzenia trwalszych i znaczniejszych organizacyi państwowych. Była to więc chwila przełomu, od niej zależała przyszłość.

Żaden dziejowy przełom nie przychodzi łatwo, a osobliwie trudnem i mozolnem jest przekształcenie i przemiana ustroju plemiennego na państwowy. Jest to okres wewnętrznych wstrząśnień, krwawych starć i wojen. Takim on też był u Słowian, bo takim być musiał — historya nie zna i nie robi nigdy wyjątków! Przyczyny, dla których powstawały wśród owej rzeszy plemion słowiańskich i ich kosztem państwa, są rozliczne i nie tu miejsce je badać. Nigdzie prawie nie łączyły się owe plemiona, jakby należało oczekiwać, w sposób, który się nam dzisiaj wydaje naj-

prostszym i niejako naturalnym, t. j. na zasadzie tylko blizkości ich pokrewieństwa. Nie działo się tak, bo w gruncie rzeczy nie był to wcale sposób najprostszy i naturalny. Tylko więc wskutek podboju normandzkiego doszło do szybszego choć nietrwałego zjednoczenia plemion wschodnich ruskich, językowo blizkich, ale wśród których znaczne ujawniały się kulturalne różnice. Gdzieindziej owo jednoczenie i skupienie już tak łatwo nie poszło. Nic w tem nie masz dziwnego. Rozliczne i różnorodne czynniki musiały tu w grę wchodzić, nie wytworzyło się też np. jedno wielkie państwo, obejmujące wszystkie plemiona zachodnie słowiańskie lub jedno jedyne, w któregoby skład weszły liczne plemiona Słowian południowych. Pod wpływem różnorodnych czynników tu i owdzie powstawał mir, który wciągał i chłonął otaczające plemiona, — a one znowu dobywały wszystkich sił, aby się mu oprzeć i opierały często skutecznie. Stąd walka zacięta, długa, krwawa, na śmierć i życie, inna niż dawne plemienne utarczki i łupiezkie wyprawy. Wszystkie te plemiona słowiańskie i nowo powstałe lub powstające państwa zachowują się względem siebie jak plemiona i narody obcych szczepów. Różnicy tu niema i każdy historyk, chce czy nie chce, przyznać to musi. Polacy, t. j. świeże państwo polskie walczy z Czechami i Pomorzanami z równą zaciętością jak z cesarstwem niemieckiem, a oni walczą z niem. Każdemu w tych walkach chodziło przedewszystkiem o obronę samoistnego bytu, bo mało ich to obchodziło, na rzecz czyją się ten byt traci. Walczą też plemiona przeciw państwom, walczą młode państwa przeciw nim i między sobą. Te nieodzowne walki ostatecznie utrudniały i w wielu wypadkach uniemożliwiły stworzenie naprawdę silnych a przedewszystkiem trwałych państw słowiańskich. Inaczej być nie mogło — z historyi znamy tylko to, co już jest historyą, a zapominamy o całych wiekach bezimiennej, powolnej, długiej pracy dziejowej, która stworzyła w zaraniu istnienia całego szczepu plemienny ustrój i plemienne różnice, kto wie zresztą czy nie tak stare jak i sam szczep, a w każdym razie o wiele i o wiele starsze, niż to przypuszczano. Zbyt to była odwieczna budowla, aby ją mogło było jedno wtrząśnienie zniweczyć. Walki też, aby ją zniszczyć i walki, aby zachować, należą do naj-

krwawszych. Znamy wrogie stosunki Polaków i Czechów, przypominam też dawniejsze dzieje państwa kroackiego Ludewita i jego walki nie tylko z Frankami ale — już wówczas z owym Borną, księciem jednojęzycznych Serbów. Słowiańszczyzna południowa i półwysep bałkański jest również krajem odwiecznych antagonizmów i nienawiści, gdzie się tak mało w gruncie rzeczy pod tym względem zmieniło! Najwspanialsze karty, naprawdę wielkiego, światowego znaczenia — to panowanie Symeona Wielkiego i walki bułgarskiego państwa z cesarstwem wschodniem. Mogli w nich Słowianie zdobyć Carogród, tak jak Germanowie zdobyli Rzym! Ale w tych walkach któż stoi po stronie Greków i Bizancyum? Nie kto inny, jak Serbia. Walki też Symeona z Serbią należą do najzaciętszych. Są wprost i bez obłudy: eksterminacyjne. Mimo chwilowych zwycięstw i powodzeń Symeon przecież, jak wiemy Serbii nie zniweczył, Serbów nie wytępił i do Adryatyku nie doszedł. Słowianie mu dojście zamknęli! Ktoś wszakże powiedzieć może: są to »bratobójcze« walki, tak zacięte, bo się między braćmi toczą o wspólne dziedzictwo. Otóż jest to tylko frazes i nic więcej! Polska byłaby dążyła tak samo do zajęcia Czech — a Czechy do zajęcia Śląska i Polski — Bułgarya zaś do zajęcia Serbii, choćby to nie były kraje zamieszkałe przez Słowian. Tutaj szło o konieczną i nieodzowną ekspansyę, o rozszerzenie swej własnej sfery działania kosztem innych. A w tego rodzaju historycznych zjawiskach rozstrzyga przedewszystkiem geografia nie rasowe pokrewieństwa lub antagonizmy, które ona zwykle dopiero stwarza i roznieca. Słowianie od tego wyjątku bynajmniej nie stanowili.

Proces tworzenia się państw w ciągu IX i X wieku nie łączył tedy, ale dzielił szczep słowiański. Każde z nich skupiło większą lub mniejszą liczbę odrębnych plemion — to prawda, ale każde z nich wystąpiło zaraz do walki z sąsiedniem. Walka ta wybuchła od źródeł Dniepru i Wołgi — po Łabę i Dunaj, słowem na całym obszarze, na którym Słowianie się rozsiedli. Czy na to rady nie było, czy tak musiało pozostać? W gruncie rzeczy sądzę, że nie było, faktem jest zresztą niezaprzeczonym, że w tym a nie innym kierunku poszły dzieje ludów słowiańskich, nie różniąc się zresztą wcale od historyi ludów zupełnie sobie obcych, co dowo-

dzi, że była to droga historycznej konieczności! Jeden czynnik mógł był przeciwdziałać może temu prądowi, ale i on powstał, aby zniknąć niebawem. — Tym czynnikiem mogła być wspólna słowiańska kultura, tę zaś podówczas na religii oprzeć tylko było można. Każdy odgadnie, że taką bezwiedną może próbą było właśnie apostolstwo obu soluńskich braci, próbą nieudaną, ale w każdym razie próbą o wielkiej dziejowej doniosłości.

Słowianie znaleźli się w podobnem położeniu, jak niegdyś ludy germańskie: musieli się i oni zapożyczyć — ale dwa nie jedno mieli źródła, skąd się zapożyczyć mogli: Rzym i Bizancyum. Zapożyczyli się wyłącznie albo z Rzymu albo z Bizancyum i to ostatecznie sprawiło, że się rozłam nie wyrównał, nie znikł, ale się pogłębił i utrwalił. Misya morawska Konstantyna i Metodyusza w swoich najdalszych skutkach miała temu zapobiedz i przyznać trzeba, przez chwilę mogło się nawet zdawać, że istotnie spełni to wielkie dziejowe zadanie. Przedewszystkiem położenie Moraw środkowe, na węźle niejako wiążącym północ z południem i wschód z zachodem, sprzyjało wytworzeniu się takiego ogniska, a przedewszystkiem sprzyjało promieniowaniu tej kultury na inne kraje słowiańskie, gdyby istotnie mogła się była ona ostać dłużej i rozwinąć. Jak już wiemy, stało się jednak inaczej. Podwalin do przyszłej kultury słowiańskiej wspólnej a odrębnej nie było można stworzyć, jak nie było można stworzyć jednego wielkiego słowiańskiego państwa — i jedno i drugie prawie już na równi było niemożliwem.

Porównywują często Metodyusza z apostołem Germanii Bonifacym. Otóż to porównanie posłużyć może jedynie do wykazania nie analogii — lecz różnic. Przedewszystkiem uderza jedna zasadnicza różnica. Wielki apostoł Germanii oparł się wyłącznie i jedynie o najsilniejszą organizacyę, która na świecie istniała, o Kościół rzymski — spadkobiercę dawnej organizacyi światowładnego rzymskiego imperyum. W jej duchu zawsze i stale działał z bezwzględną konsekwencyą, żelazną wolą, energią i wytrwałością, ale też nie bez pewnej zaciętości i zbytniego pedantyzmu, z którego się otrząsnąć nigdy nie był w stanie. Bez walki się nie obyło. Św. Bonifacy nie od razu mógł zapanować nad sytua-

cyą, jednak w końcu wszystko przezwyciężył i dopiął swego. Konstantynowi, a bardziej może jeszcze Metodyuszowi także nie brakło energii, nie brakło i żelaznej woli, a powiedzmy nawet, i pewnej zaciętości, a mimo to nie dopiął Metodyusz, czego zamierzał. Dlaczego tak się stało? Oto ich wspólnemu dziełu, które Konstantyn obmyślił, a Metodyusz miał w czyn wprowadzać, brakło trwałej podstawy, na którejby się ono oprzeć mogło.

O podstawy, o ich trwałość musi chodzić zaś każdemu, który buduje. Św. Bonifacy znalazł tę podstawę bez trudu w ścisłem przymierzu i związku z Rzymem. Rzym mu jej użyczył! — A nasi bracia soluńscy: Konstantyn i Metodyusz o co się oni opierali? O Rzym — czy może o Bizancyum? — czy między Wschodem a Zachodem wybrali i czy wogóle wybór był tu możliwy?

Otóż w chwilach najważniejszych, decydujących z początku o Carogród i o Wschód, skąd przecież pochodzili, a później o Rzym, o Zachód, do którego się zwrócili i na którego stronę przeszli; a wreszcie pod koniec życia Metodyusz chylił się znowu ku Wschodowi. Mieć dwie podstawy zamiast jednej a niewzruszonej znaczy dwoistość! Dwoistość zaś musi zawsze wytwarzać chwiejność w działaniu. Możność zmiany i wyboru często nie jest przywilejem, nie była też nim i w tym wypadku. Obaj bracia, a szczególniej Metodyusz nie mógł jak Bonifacy bez wahania, bez dłuższych chwil namysłu i niepewności zdążać prosto do raz wytkniętego, niezmiennego celu. Miał on chwile wewnętrznej rozterki, a nawet zwątpienia, dla zachowania też dzieła, któremu wszystko poświęcił i dla którego, nieugięty, znosił prześladowania, mógł się nieraz ważyć i bić z myślami, jaką drogę ostatecznie wybrać? Grek z pochodzenia i wychowania zwrócił się do Rzymu wraz z bratem — pod koniec zaś życia pełnego walk i zawodów zbliżył się znowu do Carogrodu, do Focyusza, *de nomine* tylko z Rzymem pojednanego. Ale wrócił po przegranej! Ta przegrana, to był sojusz z Rzymem i z Zachodem, a myśl ta, która się wyłoniła w ciągu misyi obu braci, była najbardziej zasadniczą, najważniejszą, gdyż z nią się łączyły właśnie początki owej wspólnej o Wschód i Zachód opartej słowiańskiej kultury.

Konstantyn i Metodyusz, podejmując się misyi na Morawach,

wyszli z ciaśniejszej greckiej sfery. Niezaprzeczenie genialny pomysł przekładu Pisma świętego na język słowiański, aczkolwiek był podwaliną do stworzenia kultury słowiańskiej, początkowo nie był powzięty z inną myślą, jak tylko ściśle religijną: chodziło o skuteczność nauczania i nic więcej. I msza słowiańska, choć już była śmiałą innowacyą, nie wybiegała jeszcze tak dalece poza cele kościelne i mogła się była łączyć z Kościołem wschodnim, bo przypominam, do tego odłamu powszechnego Kościoła należeli obaj bracia. Wiemy, jaki obrót rzeczy później wzięły. Papież — a był nim jeden z największych — Mikołaj I nie chciał stracić Moraw i misyi słowiańskiej — obaj zaś bracia spostrzegli, że się bez Rzymu nie zdołają obyć. W przeciwieństwie do niego nie zostawali i każdej chwili zwrócić się mogli, zwrócili się nawet w chwili, kiedy jeszcze sprawa Focyusza dzieliła Rzym i Carogród, kiedy trzeba było między nimi wybierać. Wiemy, wśród jakich warunków przyszło do uznania przez papieża języka słowiańskiego za język liturgiczny, wiemy, co się działo później, jakie zajadłe walki staczało duchowieństwo niemieckie z nowopowstającym słowiańskim Kościołem. To duchowieństwo, które od Rzymu radykalniejsze i ze względów politycznych i kościelnych parło zawsze nie do zgody, lecz do zerwania ze Wschodem, nie mogło ze względów przedewszystkiem politycznych ale nawet i teologicznych spokojnie patrzeć na powstający Kościół słowiański. Wiemy nakoniec, jak papiestwo Metodyusza brało w obronę, aż wreszcie jak opuściło. Były to wszystko w gruncie rzeczy walki o utrzymanie owego jednoczącego, pośredniego stanowiska, tak do zachowania trudnego! Powtarzam: sprowadzać w tej walce wszystko wyłącznie i jedynie do »gry« politycznej ze stron obu, do błędu taktycznego nie można. Tak być nie mogło choćby już dla tego, że tu o religię chodziło. Dla Konstantyna, a także z pewnością i dla Metodyusza, obu bardzo gorąco wierzących, było to coś więcej, niż gra polityczna, to zadzierzgnięcie ścisłych węzłów z Zachodem, z Rzymem bez zerwania ze Wschodem, bo pamiętajmy, zerwanie z Focyuszem nie było jeszcze zerwaniem z greckim Kościołem. Obu braci, jak wiemy, z nim łączyło pochodzenie, wychowanie, tradycye kościelne i umysłowe i całe

prawie życie tam spędzone! Słowem, byli oni duchem Grecy i nigdy nimi być nie przestali. Konstantyn np. w owej ciężkiej ostatniej chorobie, na którą zapadł w rzymskim klasztorze, mówił: »Teraz nie jestem już sługą cesarza ani sługą niczyim«. Trzeba więc było aż zbliżającej się śmierci, aby zerwać z tą cesarską służbą; pojęcie godne Greka z tych czasów! Ale przecież ten sam Konstantyn modlił się o jedność Kościoła i mówił znowu »Boże wszechmogący zachowaj wszystkich w jedności i uczyń rzeszę wielką, zgodną w wierze świętej«. — A ta jedność bez Rzymu dokonać się nie mogła i umierający apostoł Słowian wiedział o tem doskonale i bez Rzymu, owej »opoki żelaznej«, według słów Metodyusza, ani jej widział ani pragnął widzieć. Zresztą bez Rzymu nie była ona możliwą, to jasnem było dla obu, tymczasem, jak wiemy, nie do tej upragnionej i wymownej jedności, lecz do odszczepieństwa coraz było bliżej, aż wreszcie do niego doszło. Ale tego w żaden sposób współcześni nie mogli przewidzieć — to był dalszy zakryty dla nich bieg wypadków. Niestety zaś był to zarazem właściwy problem, właściwe zagadnienie, które za wszelką cenę należało rozwiązać, a którego rozwiązać nikt nie był naprawdę w możności ani wówczas ani później. Zadanie było zbyt trudne. Wschód i Zachód — to nietylko geografia — to prastare historyczne pojęcia, a zarazem odwieczne odrębności i antagonizmy, do dziś dnia jeszcze niewyrównane. Kościół nawet mimo swej całej jedności przejął te różnice, które się już bardzo wcześnie zaznaczają, a które z biegiem czasu zaznaczały się coraz bardziej i nie przestały zaznaczać. Powiedzmy też: w tym antagonizmie Wschodu i Zachodu tkwiło coś zasadniczego, coś, co się nie dawało rozłożyć i o ten właśnie antagonizm musiało się rozbić dzieło obu braci. Z pewnością, nie zdając sobie i nie mogąc zdać zupełnie jasno sprawy, Konstantyn, a później Metodyusz szli przeciw temu wielkiemu prądowi, który dzielił a nie łączył oba Kościoły i obie cywilizacye. Chwilami mogło się im zdawać tak jak i współczesnym, że płyną w innym kierunku, że zgodę osiągną — tymczasem było przeciwnie. Historya, jak życie, jest konsekwentną, ale tylko jeśli chodzi o bardzo długie okresy. Tej

konsekwencyi zaś nie widać, jeśli chodzi o krótsze. Wówczas występują na powierzchnię różnorodne zdarzenia, z których można odmienne wyprowadzić wnioski od tych, które my wyprowadzamy, znając wynik końcowy. To jest zupełnie jasne. Każdy objaw historyczny jest ścieraniem się, jest walką, a w walce, osobliwie długiej, to jedna, to druga strona bierze górę i zdawać się może, iż to ostateczne zwycięstwo. Na takie różne epizody walki patrzył właśnie Konstantyn, a później Metodyusz. Zdawać się im nawet mogło chwilami, że papiestwo zapanuje nad sytuacyą, że odszczepieństwo usunie. Oczywiście mam tu na myśli papiestwo Mikołaja I, oraz jego następcy Hadryana II. Czyż kto ze współczesnych mógł przewidzieć wobec tego zupełnego, jak się zdawało, zwycięstwa, że będzie ono krótkotrwałe. To papiestwo istotnie miało jeszcze warunki i miało środki do utrzymania się na swem stanowisku uniwersalnem, obejmującem chwilami Wschód i Zachód. Ale, jak wiemy, przy końcu działalności Metodyusza, u schyłku jego życia, pojawiają się coraz wyraźniej znamiona upadku papiestwa i Rzymu. Odbił się ten upadek później i na stosunkach ze Wschodem. A właśnie przedewszystkiem uniwersalnego papiestwa potrzebowali obaj bracia! Bez niego ostać się nie mogli. Po Mikołaju I zaś i Hadryan II nie był już w stanie odzyskać utraconego znaczenia. Inaczej być nie mogło; w tem wszystkiem jednak to nas obchodzi, że dzieło podjęte przez obu apostołów Słowian musiało z konieczności być zależnem od daleko ogólniejszych i donioślejszych dziejowych wydarzeń. Jak często bywa, klucz sytuacyi nie znajdował się jedynie tylko w państwie Świętopełka lub przedtem Rościsława i Kocela, lecz w Rzymie i Carogrodzie. Kierować zaś ani nawet wpływać na bieg tych ogólno-dziejowych wypadków obaj bracia oczywiście nie mogli. To stanowczo przechodziło ich siły. Tem więcej przechodziło to, co właściwie czynili. Płynęli oni, a może raczej próbowali płynąć przeciwko temu ogólno-dziejowemu prądowi, a prąd taki daje sobie zawsze bardzo łatwo radę z wysiłkiem niebacznych jednostek, które często, nie zdając sobie sprawy, przeciw niemu płyną — przechodzą nad niemi do porządku dziennego — i to zwykle szybko.

Dał też sobie on radę, jak wiemy, i z dziełem obu braci, które swych twórców na Morawach nie przeżyło. Wszelka synteza Wschodu i Zachodu okazała się niemożliwą, a taką syntezą musiał być właśnie ów nowy Kościół słowiański! Przyszło też do tego, do czego przyjść musiało. Wyłaniające się z plemiennej rzeszy młode państwa słowiańskie musiały pójść za ogólnym historycznym prądem i one się więc rozdzieliły i dostały pod wyłączny wpływ bądź Rzymu, bądź Bizancyum, to znaczy pod wpływ Zachodu lub Wschodu. Innej drogi, innego wyjścia dla nich zgoła nie było.

Wobec tej dziejowej konieczności powstaje już tylko kwestya, coby się było stało, gdyby mogło było po śmierci Metodyusza przyjść na Morawach do stanowczego zerwania z Rzymem, na co się zanosiło — i czy nie mogła być osiągnięta owa jedność religijna i kulturalna Słowiańszczyzny przez Kościół grecki? Wielkiej doniosłości czynniki: geograficzne położenie ludów słowiańskich przemawiało prędzej za tem, niż za Rzymem i Zachodem. Prędzej przecież Morawy mogły zostać wschodniemi, niż wówczas np. Ruś zachodnia. Jeśli zaś to było możliwe, coby owa jedność była Słowiańszczyźnie przyniosła? Czy tak bardzo była upragnioną i zbawienną, jak to twierdzą niektórzy uczeni?

Nad trumną Metodyusza odprawiano, jak wspominałem, nabożeństwo w trzech językach: po łacinie, po grecku i po słowiańsku — można było jednak przewidywać bardzo blizki czas, w którym łacińskie nabożeństwo, łacińska msza odpadnie, kiedy nie będzie już można jej odprawiać razem z grecką i słowiańską, a kiedy przeciwnie trzeba będzie między niemi wybierać, a wtedy którąż Gorazd, ów następca Metodyusza miał wybrać? To pewna, że nie byłby nigdy poświęcił słowiańskiej, a nie poświęcając jej byłby został już tylko przy drugiej, greckiej. Rzym w owej dobie zanadto ulegał wpływom frankońskim, niemieckim i mimo pozornie dobrych stosunków ze Wschodem kurczył się coraz więcej. Kto wie zresztą, czy za Jana IX nie byłoby przyszło do jakiegoś chwilowego przychylniejszego zwrotu, w każdym razie bardzo krótkotrwałego, za jego uległych cesarstwu następców byłoby wszakże przyszło znowu do nowych sporów i zatargów — pozosta-

wał więc zawsze tylko jeden Kościół wschodni! Wszystko popychało nowy Kościół morawski i świeżą jego hierarchię, aby nie w Rzymie już, jak dawniej, ale w Carogrodzie szukać oparcia i ochrony. Ostateczny wynik tego zwrotu musiał być w każdym razie zawsze ten sam: po dłuższych lub krótszych wahaniach nowy Kościół morawski nie byłby mógł zajmować owego pośredniego stanowiska, lecz byłby musiał zostać greckim, aby módz zostać słowiańskim, podobnie jak później Kościół bułgarski i ruski stały się wschodnimi, jedynie tylko z liturgicznym językiem narodowym.

Morawy, jak wiemy, były bardzo ważnym posterunkiem, zdobywając je dla swoich wpływów byłby Kościół wschodni, a z nim i grecka kultura zdobyły nie tylko jak później daleką wschodnią Ruś lub na półwyspie Bałkańskim położoną Bułgaryę, ale państwo w środkowej Europie, a wskutek tego i możność dalszego oddziaływania na sąsiednie bliższe i dalsze słowiańskie plemiona i kraje. Carogród musiałby stanąć prędzej czy później do walki z Rzymem o te nowe obszary, niepozyskane jeszcze dla chrześcijaństwa i kultury — i kto wie, czy w tej walce nie byłoby zwycięstwo przy nim zostało? Pół Europy duchowo musiałoby wówczas jemu a nie Rzymowi podlegać; co romańskie i germańskie byłoby łacińskiem, a co słowiańskie greckiem. Słowiańszczyzna byłaby osiągnęła jedność, jedność nie z Rzymem ale z Bizancyum, ta jedność byłaby jej zapewniła język narodowy w Kościele, to znaczy w średnich wiekach w całem duchowem życiu. Tak się, jak wiemy, nie stało. W przededniu upadku niepodległe jeszcze Morawy przyjęły hierarchię ale łacińską, Rzym więc i bez najścia Węgrów zwyciężył. W każdym jednak razie powiedzieć trzeba: była możliwość skierowania dziejów Słowiańszczyzny na inne tory; owa chwila, kiedy się to ważyło, była wielkiej doniosłości dla przyszłych losów całego cywilizowanego świata.

Trudno odtwarzać same możliwości, a niebezpiecznie chcieć przepowiadać i przesądzać nieznany bieg historyi. Na szczęście w tym wypadku historya Rusi i Bułgaryi, obu krajów słowiańskich, które z religią razem przejęły bizantyńską kulturę, może posłużyć za przykład, na którym pokazać można, jaka przyszłość cywilizacyjna byłaby czekała i resztę słowiańskich ludów, gdyby

były przyjęły tę samą, co one kulturę? Oczywiście nie wszystko będzie można odtworzyć, różnice wszędzie są nieuniknione i tu więc byłyby się okazały, ale sądzę, że główne linie rozwoju byłyby w każdym razie zostały te same.

Każdy wie, jak świetne były początki Rusi kijowskiej, jak, wszedłszy w poczet ludów chrześcijańskich, zajęła wśród nich od razu miejsce bardzo poczesne. Ta szybkość rozwoju istotnie każdego musi zastanowić. Oczywiście nie wszystko w niem jest tak raptownem i nagłem, jak się nam dziś wydaje. Kijów był już przed przyjęciem chrześcijaństwa bogatym handlowym grodem, dzięki swemu geograficznemu położeniu, w każdym jednak razie i w tym dawniejszym pogańskim okresie to, co było kulturą, pochodziło również z Bizancyum. Z przyjęciem chrześcijaństwa wpływ ten oczywiście się wzmógł i objął prócz kultury materyalnej także umysłową. Przyznać trzeba, rozkwit tej kultury był pełny i bogaty. Świeżo nowrócony lud, sam książę Włodzimierz i jego najbliżsi następcy pełną dłonią czerpali z tych skarbów nauki i sztuki, które znaleźli u Greków, a które wraz z greckiem duchowieństwem szły teraz na Ruś; pojawiła się też niebawem w Bułgaryi i słowiańska liturgia wraz z przekładem Pisma św., dokonanym przez Konstantyna i Metodyusza. Stanęły w Kijowie murowane cerkwie o złocistych mozaikach, mnisi poczęli pędzić żywot pustelniczy, modlić się — ale i przepisywać i pisać. Powstają obok tłumaczeń i przeróbek różnych bizantyńskich pisarzy pierwsze żywoty świętych, pierwsze historyczne roczniki i kroniki, słowem, powstaje od razu ruch religijny, umysłowy, nie uboższy, jeśli nawet nie bogatszy od współczesnej zachodniej kultury, Kijów wzbudza też podziw u niemieckich pisarzy, a na dalekim Zachodzie umieją sobie o nim różne dziwy opowiadać.

Ta stara kultura ruska opierała się w znacznej mierze, jak to zaznaczyłem, na dawniejszej kulturze wschodnio-słowiańskiej, a mianowicie na bułgarskiej. Dzieło Metodyusza i Konstantyna nie zginęło, przez Bułgaryę dostało się i na daleką Ruś, aby tam stale już pozostać. Razem z wzmożeniem się bułgarskiego państwa podczas jego iście bohaterskich zapasów z cesarstwem wschodniem, kiedy Symeon Wielki kładł rękę na koronie Konstantyna,

aby ją na swe czoło włożyć, i później za najbliższego następcy Symeona mimo poczynającego się upadku państwa Bułgarya stała się ogniskiem sztuki, nauki i kultury. Symeon, ów pół-Grek, jak go współcześni nazywają, budował okazałe cerkwie i pałace, przebierał siebie i dwór w bogate bizantyńskie szaty, co więcej, sprowadzał uczonych greckich i sam tłumaczył podobnie jak Alfred Wielki angielski jakieś komentarze do Pisma św. Wypędzeni z Moraw uczniowie Metodyusza przynieśli zaś później z sobą przekład Pisma św. i język liturgiczny słowiański. Niezależny Kościół bułgarski mógł się więc nawet pochwalić własnym, nie greckim liturgicznym językiem.

Rozwój cywilizacyjny Bułgaryi i Rusi rokował jak najlepsze na przyszłość nadzieje. Niestety wszakże owe świetne początki zostały bez dalszego ciągu, młodzieńcze owe ludy nie dotrzymały wszystkich zapowiedzi i nie ziściły nadziei, cały ów ruch kulturalny, jak szybko powstał, tak szybko zaczął słabnąć — aż osłabł zupełnie, po okresie gorączkowej prawie działalności nastał przez długie lata okres zastoju, zacofania i martwoty. Jak to dziwne zjawisko objaśnić? Łatwo odnaleźć przyczyny, jeśli o Bułgaryę chodzi. Upadek polityczny, upadek państwa spowodował upadek narodowej kultury. Bułgarya przegrała wielką stawkę, sięgała po cesarstwo i chciała je posiąść, w tej walce uległa, i pokonana, musiała znosić obce panowanie, które na niej strasznie zaciężyło. To jest dostateczna przyczyna upadku starej, bułgarskiej kultury, nie sądzę zresztą wcale, aby była wyłączną i jedyną, ale w każdym razie przyznać trzeba, że była bądź co bądź najgłówniejszą i zakryła niejako wszystkie inne. Trudniejsza sprawa z Rusią. Na karb zewnętrznych wypadków złożyć nie można upadku jej kultury. Ruś przecież takich kolei jak Bułgarya nie przechodziła! Prawda, tatarskie panowanie musiało bardzo ujemnie wpłynąć na cały jej rozwój, nikt temu nie przeczy, lecz pamiętajmy, pierwsze objawy tego zastoju już się były zaczęły objawiać przed najściem Tatarów — a co najważniejsza, trwał on tak bardzo długo już po zupełnem wyzwoleniu Rusi, która, rosnąc w znaczenie i siły, przecież żadną miarą otrząść się z owego zastoju duchowego nie mogła. W każdym więc razie tatarskie panowanie mogło się je-

dynie przyczynić do pogorszenia stanu, ale go wywołać żadną miarą nie mogło. Były więc jakieś inne złego przyczyny!

Przedewszystkiem należy zapytać, co się stało z tem źródłem, z którego Ruś czerpała, należy się zapytać o samą grecką, bizantyńską kulturę i o jej dalsze losy i koleje.

Owo źródło, jak wiemy, biło bardzo obficie w X i XI w., nie przestało bić i w XII, ale na tem i koniec, Bizancyum stanęło i dalej już nie poszło. Każdy poważny uczony wie dzisiaj aż nadto dobrze, iż cesarstwo wschodnie nie było wcale owem zgniłem, wiecznie upadającem państwem, synonimem starczej niemocy i rozsypującem się się próchnem. Wiemy już dzisiaj, jak wielkie ma ono zasługi dla europejskiej cywilizacyi i wiemy, ile mu ona zawdzięcza. Wpływ tej starej, świetnej kultury byłteż bez wątpienia większy w okresie wczesnego średniowiecza, niż później nawet w epoce odrodzenia. W tej epoce dawniejszej było to, powiedzieć można, jedyne źródło wysokiej naprawdę kultury, przy której każda inna ówczesna musiała blednąć. Ale oddając jej wszystko, co oddać należy, musimy powiedzieć, że to, co stanowiło jej wyższość, a mianowicie jej starszeństwo, dojrzałość i zasobność, to stało się w znacznej mierze powodem jej następnego zastoju i wyczerpania. Nie zapominajmy bowiem, że była to bardzo dawna helleńska kultura, z której nagromadzonych skarbów i dorobku korzystali średniowieczni Grecy. Czerpali oni z tych skarbów pełnemi rękoma, uczyli się ze starych ksiąg, komentowali je i przerabiali, przyczem dawną filozofię zastąpiła teologia, do której bizantyńscy Grecy wprowadzali wszystkie subtelności swej myśli, od tylu już wieków wyszkolonej i wyćwiczonej. Byłoby przesadą twierdzić, że nic swego nie dawali, bezmyślną ta ich robota wcale a wcale nie była, dawali oni więcej swego, niż się nam zdaje, a raczej niż się nam zdawało — to pewna, ale jak niegdyś odsądzono Bizancyum od wszystkiego — tak obecnie można się obawiać zbyt silnej znowu reakcyi i bądź co bądź też powiedzieć należy: Grecy średniowieczni zbyt twórczymi nie byli i prawdę powiedziawszy, mając to, co otrzymali w spuściznie po wielkich przodkach, trudnoby im bardzo było sprostać im i dorównać, żyli też oni głównie

ze swej dawnej bogatej spuścizny. Kto przystępował do ich Kościoła i wiarę od nich przyjmował, stawał się przez to samo uczestnikiem owej bogatej, starej kultury, mógł z niej czerpać, ile chciał i ile zdołał, mógł czerpać ciągle i ciągle przerabiać, lecz prawie zawsze wzory pozostały te same. Trudno było iść z nimi razem naprzód, bo oni sami bardzo naprzód nie spieszyli, a nawet w swym pochodzie zwalniali kroku. Powoli ta ich wielka cywilizacya, pod wpływem zresztą politycznego upadku, kostniała, stygła i upadała i na nią musiał wreszcie nadejść czas wyczerpania po tylu wiekach twórczej działalności. Inaczej Zachód i narody zachodnie. Z początku na poły barbarzyńskie, musiały długo i mozolnie zdobywać i tworzyć swoją sztukę, swoją kulturę, opartą także zresztą na wzorach starożytnych. Były one na dorobku, kto się do nich zaliczał, ten z nimi razem z trudem i mozołem powoli zdobywał kulturę — i posuwał się naprzód. Naprzód szedł i sam Kościół zachodni i samo zachodnie społeczeństwo. Kościół przebywał wraz ze społeczeństwem różne koleje, okresy upadku, walk zaciętych, rozwoju i rozkwitu, z trudem też wielkim i mozołem wcielał Zachód w życie swoje ideały, szukając nowych form społecznego bytu. Przesunęły się kolejno na dziejowej widowni: państwo frankońskie, feudalizm na jego gruzach powstały. I znowu z nim walczący później król i miasta i stanowa organizacya, której Wschód wcale nie zna, a wreszcie przesunęły się wielkie postaci papieży takich, jak Grzegorz VII i Innocenty III, Bonifacy VIII, cała wielkość średniowiecznego Rzymu i rzymskiego Kościoła. Cesarstwo wschodnie upadało tymczasem wśród walk o istnienie. Formy społeczne zostały prawie te same, ten sam cesarz, w teoryi tak samo absolutny, tylko słabszy faktycznie. I sam zresztą Kościół wschodni stanął, o nic nie walczył i po nic nie sięgał. On, który niegdyś poruszał wszelkie najbardziej subtelne i oderwane teologiczne zagadnienia, który dociekał najskrytszych tajemnic wiary, który myślą był na wszystkich szczytach i błądził po wszystkich jej zaułkach — ten Kościół także skostniał i stał się podobny do człowieka, który tylko w wyobraźni zwiedzał najodleglejsze kraje, a w rzeczywiści nie ruszył się z miejsca i nic w czyn nie zamienił, przeciwnie nawet okazał się w gruncie rzeczy

więcej konserwatywny i do starych form przywiązany, niż Kościół łaciński, któremu przecież różne innowacye zarzucał.

Widać zupełnie jasno z tego, co powiedziałem, że ów grecki nauczyciel ludów słowiańskich, które przyjęły z Bizancyum religię i kulturę, ustał w owym wiecznym, ciągłym pochodzie ku wyższym formom bytu, to oczywiście musiało wpłynąć i na dalszy kulturalny rozwój Rusi, bo o nią tu głównie chodzi — ale ktoś się słusznie zapytać może: dlaczego ten uczeń, który już miał tyle w ręku, nie szedł sam dalej, czemu nie snuł i nie rozwijał tej kultury, którą już posiadł — czemu i on się zatrzymał? W tem właśnie leży zagadnienie. Widocznie potrzebował on innego, może dłuższego, bardziej stopniowego wychowania, skoro sam jeszcze nie zdołał przerobić i zamienić na swoje własne form obcych, które otrzymał. Nauczyciel zaś mógł w niego wpoić wszystko, całą wiedzę i erudycyę, nie mógł tylko wpoić jednego: samodzielności, bo jej sam nie miał lub miał za mało, zresztą wzory, których dostarczał, były może za doskonałe, za skończone, a tem samem niezdolne do dalszej ewolucyi, łatwiej je też było bez końca powtarzać, niż nowe tworzyć. Kto wie, czy ów rozwój nie był zresztą za szybki, czy młody uczeń nie przyswoił sobie zbyt łatwo wszystkiego — a nawet, powiem więcej, czy nie za wiele mu dano. Rozwój narodów zarówno jak jednostek ma przecież swe własne prawa, po których idzie i który się nie daje zamknąć w zbyt łatwej formule czy formułce, praw zaś tego rozwoju gwałcić bezkarnie nie można. Ten zbyt szybki rozwój, nie zasilany później z powodów, które już znamy, mógł się przyczynić do tego, że Ruś, sama sobie zostawiona, nie rozwijała się dalej przez długie wieki, jest jednak i inna więcej uchwytna jeszcze tego przyczyna. Oto fakt z początku tak korzystny i na który największy nacisk kładą ci, którzy podnoszą wschodnią kulturę, zaważył niekorzystnie na dalszym rozwoju ludów słowiańskich wschodniego wyznania. Mam tu na myśli nie co innego, jak k o ś c i e l n y j ę z y k s ł o w i a ń s k i! Ową tak ważną zdobycz obu naszych apostołów. Może się to wydać komuś dziwne, choć wydać nie powinno, po tem szczególniej, co w tej materyi powiedział już prof. Brückner, ale tak jest istotnie: głównie jeśli nie

jedynie zacofaniu Rusi winien własny język liturgiczny, bo co do Słowian południowych, to i tym razem znowu stosunki polityczne komplikują kwestyę. Tylko zaraz dodać muszę: nie wyłącznie, winno temu bowiem w znacznej mierze ukształtowanie się stosunków w reszcie Europy, a nie tylko to, co się na samej Rusi jedynie działo, o czem się zwykle zapomina.

Przypomnijmy sobie tylko, jakie stosunki panowały w ciągu średnich wieków w całej Europie. Kiedy dzisiaj, każdy naród w swym własnym języku pisze, począwszy od poezyi, a skończywszy na dziełach naukowych i każdy rozwija swą własną kulturę, nie zrywając wcale z kulturą ogólną, bez której obejść się nie może — w średnich wiekach było inaczej: łacina zapanowała wszechwładnie i ona była jedynym uznanym językiem kultury i cywilizacyi. Nie było to wcale tak złe, jakby się zdawało i jak to wielu uczonych stara się przedstawić. To my dzisiaj dopiero możemy zostawać ze wszystkimi w ciągłej wymianie i możemy iść każdy z osobna a przecież wszyscy razem. W średnich wiekach nie było to zgoła możliwe. Brak kultury materyalnej, brak komunikacyi i handlu i wogóle niemożność opanowania i użytkowania sił przyrody, kładły takiej wymianie nieprzeparte nieraz materyalne zapory, trzeba było albo przyjąć ów język wspólny — łacinę, chcąc żyć życiem umysłowem całej Europy, albo pozostać w zupełnem odosobnieniu i zupełnem od świata odcięciu. A przecież takiego zupełnego odcięcia nikt nie zniesie, bo ten, który ma cokolwiek do powiedzenia, powie prędzej czy później i obcych wpływów się nie lęka, musi zaś w każdym razie brać udział w powszechnej, uniwersalnej kulturze, aby z niej módz czerpać. Przykład takiego odcięcia i złych jego skutków dostarcza dawna kultura anglo-saska. I w Anglii pod koniec IX wieku za panowania Alfreda Wielkiego przyszło do wytworzenia bardzo bogatej miejscowej kultury — i co ciekawsze, kultury, posługującej się angielskim językiem. I cóż się później stało? Mimo nawet tego, że łacina, prawie zupełnie zresztą zapomniana, pozostała w Kościele, przecież, podobnie jak na Rusi — nastąpiło wyczerpanie, tylko mniej długie, a co gorsza, nastąpiło zupełne odosobnienie i nieodłączne z niem na pewien czas obniżenie kulturalnego poziomu.

Przyznają to zresztą bardzo wyraźnie sami angielscy uczeni i nie wszyscy też widzą jedynie powód upadku tej kultury w napadach Duńczyków. Owa kultura anglo-saska, odcięta od innych i znikąd nie zasilana, nie mogła się ostać wobec uniwersalnej łacińskiej nie mogła wytrzymać z nią konkurencyi, nie była sama tak silną i tak samodzielną, aby zerwać z ową jedyną uniwersalną kulturą, którą zasilali wszyscy i przeciwstawić jej swoją własną. Ta łacińska uniwersalna kultura tak była bezpośrednio związaną z Kościołem, że kto z nią zrywał i z nim zrywał zarazem. Ale może właśnie należało zrobić ten krok stanowczy i zerwać zupełnie z Kościołem łacińskim lub nawet greckim i zarazem wytworzyć zupełnie nowe formy religijnego i cywilizacyjnego bytu? Otóż ciekawem jest, że ci Słowianie, którzy poszli za grecką wschodnią kulturą, byli dosyć blizko tego właśnie stanowczego kroku, uczynili go nawet w znacznej mierze, ale nie sądzę, aby na tem dobrze wyszli — i to więc nawet ostatecznie zawiodło.

Bułgarzy w średnich wiekach stali się heretykami *par excellence,* sama ich nazwa oznaczała wprost heretyka, dawne »błędy« Paulicyanów i Manichejczyków wznowił w X wieku pop Bogomil i odtąd jego nauka stała się w samej Bułgaryi bez mała powszechną, skąd rozchodziła się po świecie szeroko i daleko. Bogomilizm miał widoki powodzenia wśród ludów słowiańskich. Stary dualizm manichejski, którego początki tkwią w prastarym dualizmie irańskim, być może, wykazywał pewne podobieństwo z dawną religią pogańskich Słowian, a zresztą tak łatwo zawsze objaśniał odwieczną, dręczącą zagadkę, skąd się bierze zło na świecie, iż mógł się stać niebezpiecznym rywalem chrystyanizmu. Był on wschodnią herezyą, którą Słowianie południowi przyjęli i która się wśród nich prawie wyłącznie szerzyła — weszli już więc oni byli w znacznej mierze na tę drogę i kto wie, czy nawet niezawisłe i silne państwo bułgarskie dałoby sobie było z nią radę — lub nawet czyby chciało ją stłumić? Co więcej, bogomilizm, który się trzymał Słowiańszczyzny wschodniego wyznania, musiał robić postępy także i na Rusi. Wskazuje to folklor ruski, z którym tak się silnie zrosły okruchy bogomilskiej, manichejskiej kosmogonii, Czemu się nie rozszerzył więcej, jest to dosyć ciemna kwestya,

w którą tutaj oczywiście wchodzić nie można, ale w każdym razie to jedno jest pewnem, że prócz Słowiańszczyzny południowej i Ruś także okazywała w tym kierunku pewne skłonności. Że podobnie, jak jej dawni nauczyciele Bułgarzy, na tę drogę zupełnie nie weszła — niema tak dalece czego żałować.

Trzeba być bezstronnym: heretycy średniowieczni, przedewszystkiem Albigensi, tak blizcy Bogomiłów, zasługują na nasze współczucie w całej pełni, a prześladowania, które znosili w obronie swej wiary i swych przekonań muszą podziw wzbudzać; ale dodać należy: te przekonania i ta ich odmienna wiara, nie była wcale wyższą od panującej. Tkwiły w niej bądź co bądź jakieś poglądy i pojęcia, których źródłem był mglisty mistycyzm z głębi Azyi przyniesiony. Nie można dawać wiary we wszystkiem ich oskarżycielom — na to zgoda, ale w każdym razie jedno, zdaje mi się, bez wahania powiedzieć przecież można: zdrowszy, mniej wyłączny, bo nie na ezoteryzmie oparty, był Kościół chrześcijański i to tak dobrze zachodni jak wschodni. Mimo np. usunięcia przez Bogomiłów hierarchii kościelnej, nie waham się też twierdzić, że w gruncie rzeczy Kościół prawowierny był bardziej demokratyczny, bo był bez tajemnic, we wszystkiem i dla wszystkich dostępny. Jest to oczywiście tylko dalekie porównanie, ale w tych wczesnych manichejskich herezyach średniowiecznych tkwiły niektóre rysy, przypominające najogólniej dawniejszy kult Mitry i jego współzawodnictwo z chrześcijaństwem, z chrześcijaństwa bowiem niewiele owe sekty zostawiały, choć się chrześcijańskiemi mieniły. Nie podaję tych możliwości za więcej niż są — że są one dalekie, każdy łatwo spostrzeże, ale w każdym razie śmiało powiedzieć można jedno: oto ta droga, na którą w znacznej mierze weszła już była Słowiańszczyzna południowa, wyprzedzając poniekąd Zachód, a która groziła i Rusi, nie była tą drogą, na której czekały ją wielkie cywilizacyjne zdobycze. To wczesne zerwanie z Kościołem i to tak bardzo radykalne, bardzo daleko idące, nie byłoby postępem i powieść się nie mogło, a my dzisiaj żałować tego nie potrzebujemy.

Zachód łaciński tymczasem w przeciwstawieniu do greckiego wschodu uczył dłużej, ale narody, które przeszły przez jego

twardą szkołę, mogły w każdym razie same rozwijać dalej tę kulturę, której im udzielił. Prawda, pisaliśmy długo po łacinie, ale czy można sumiennie dzisiaj powiedzieć, iż fakt np., że Mistrz Wincenty pisał w XII wieku swą kronikę po łacinie, wpłynie tamująco, niekorzystnie na późniejszy rozwój języka polskiego, jednego przecież z najbardziej wyrobionych literacko języków słowiańskich? Jeśli Ruś ma swoją kulturę z XI wieku — to Polacy, Czesi, Kroaci mają swoją, począwszy od XV wieku, która tak świetnie się rozwinęła w ciągu następnych. Rey, Kochanowski, Skarga i tylu innych, a w Kroacyi Gundulić i cała plejada poetów dramatycznych, warci są starych kronikarzy ruskich lub kościelnych traktatów i komentarzy bułgarskich. Wujek zaś nie ustępuje tłumaczeniu Pisma świętego na język staro-bułgarski — bezstronnie można to powiedzieć! Wszyscy oni mogli wywrzeć wpływ bezpośredni, gdyż byli bliżsi językiem i treścią, niż np. kronikarze lub pisarze kościelni ruscy z XII i XIII wieku! Kto się chce przekonać, jak dalece kultura i język XVI wieku do dziś dnia są żywe, niech zajrzy do dzieł wielkich romantyków polskich i do dzieł żyjących polskich pisarzy. To są wszystko objawy pierwszorzędnej wagi i doniosłości, których nie wolno pomijać! Powiedzmy też od razu: Ruś, a właściwie Wielkie Księstwo Moskiewskie, jedno jedyne z państw słowiańskich na schyłku średnich wieków rozwiązało pomyślnie problem państwowy. Jak? W to oczywiście nie wchodzę, ale jedno podnieść muszę, a mianowicie: stać już było ówczesną Rosyę na postawienie ideału państwowego, istotnie mogła ona być dziedziczką spuścizny po wschodniem cesarstwie, mogła mieć to poczucie i pełną świadomość swej dziejowej misyi, w czem Kościół był jej tak bardzo pomocnym. Nie stała się wszakże dziedzicem g r e c k i e j k u l t u r y i stać się nie mogła. Nastąpił niejako podział: Wschód, t. j. jego jedyna przedstawicielka Rosya wzięła myśl państwową późno grecką — Zachód, grecką dawną umysłową kulturę. On też jeden mógł z niej skorzystać i snuć ją dalej. Bogata religijna literatura polemiczna, szczególniej na Rusi, t. j. tam, gdzie się wschodnia ruska kultura zetknęła z polską zachodnią łacińską, choć cenna i doniosła, nie mogła przecież wszystkiego zastąpić i wszystkich

braków zapełnić. Rosya też odrodzenia umysłowego, takiego, na jakie zdobył się Zachód, nie miała i powiedzmy, nie stać ją było na nie. Nie lekceważę wcale tych objawów kultury, widocznych wówczas na Rusi i w Rosyi, ale ostatecznie powiedzieć trzeba: daleko było jeszcze tym objawom i tym próbom do tej pełni rozwoju, którą Zachód jeden osiągnął. Wiekowe odosobnienie i nieodłączne z niem obniżenie kultury zemściło się na słowiańskim Wschodzie, zostawiony sam sobie Kościół wschodni słowiański za trudne miał zadanie, dorównać wszystkim i stanąć z narodami zachodnimi, sam, z samoistną, własną, odrębną, a równą zachodniej kulturą — świecił więc nieobecnością. Znacznie też później, nie skądinąd jak z Zachodu Rosya brała wzory i z Zachodem pod względem kulturalnym połączyć się i do niego przystąpić musiała.

Może ktoś wszakże powiedzieć: z tym rozwojem i rozkwitem umysłowym narodów słowiańskich, zresztą jak wielu innych, łączy się w znacznej mierze i wyzwolenie z pod wpływów łaciny, reakcya przeciwko niej, a nawet więcej, bo wprost reakcya i walka z kościołem łacińskim. Rozpoczyna ją przecież nie kto inny, jak Huss, wiąże się ona z odrodzeniem narodowem słowiańskich Czech, a i w Polsce reformacya jest jednym z ważnych bardzo czynników w ówczesnem życiu duchowem. Tak jest istotnie. Mówiłem już wszelako, że kościół zachodni uczył i wychowywał dłużej — wychowywał — to znaczy nie niszczył zarodków samodzielności, na które przyszłość czekała. To się stało samą siłą rzeczy, nie był to bowiem pedagog, działający z całą świadomością, ale chcąc czy nie chcąc, doprowadził do tego, a nie innego rezultatu. Po uniwersalizmie średniowiecznym przyszła kolej na rozwój odrębny europejskich narodów, ten rozwój był wynikiem, następstwem wszystkiego, co się przed nim działo. Wyłonił się on z epoki poprzedniej. Tymczasem z kultury greckiej, tak bogatej, zostawiającej zawsze więcej pola dla samoistnego rozwoju, nie wyłoniła się później żadna już kultura narodowa, a to, co w niej naprawdę wielkiego zostało, Zachód odziedziczył. Były to owe świetne początki bez dalszego ciągu, podczas kiedy na Zachodzie początki były ubogie, ale zato wynagrodził to ubóstwo rozwój późniejszy. Nie

da się także zaprzeczyć, że odrodzenie z XV i XVI wieku łączyło się z opozycyą religijną i to prawie wszędzie w Europie, ale nie zapominajmy, że wielkich dziejowych zagadnień trudno rozwiązać drogą łatwych, pokojowych ustępstw i kompromisów. Kościół zachodni może w każdym razie to jedno powiedzieć, że europejskie społeczeństwa są jego wychowańcami. Niezawsze one dzisiaj o tem pamiętają, ale pamiętać musi każdy bezstronny historyk.

Nikt niczego nie cofnie i nikt niczego nie odmieni z przeszłości — pozostać ona musi taką, jaką była; fakt rozdziału Słowiańszczyzny między te dwie cywilizacye pozostanie faktem spełnionym, a odrębna cywilizacya, którą ten rozdział wytworzył, drogą dla każdego narodu spuścizną. Jeżeli ludy słowiańskie wszakże, które poszły za Wschodem, mogą podnosić starszeństwo swej kultury i być z tego dumne, to ludy słowiańskie, które poszły za kulturą zachodnią, mogą podnosić znowu swoją kulturę późniejszą, sądzę też, że nie mają one powodu żałować, że z Zachodem poszły, bo ostatecznie w wielkim cywilizacyjnym pochodzie Zachód zwyciężył i on jeden pozostał.

Karol Potkański.

POD DZISIEJSZĄ APOLOGETYKĘ.

LIBERALNY KATOLICYZM[1].

W niedawnym sporze o książkę Prof. Ehrhard'a »Der Katholizismus und das zwanzigste Jahrhundert« odegrało wielką rolę jedno słowo, w nieskończoność prawie powtarzane w najróżniejszych tonach: »liberalny katolicyzm«. »Dzieło Ehrhard'a jest manifestem liberalnego katolicyzmu«, twierdził jeden obóz krytyków za ks. Roesler'em C. ss. R.[2], obóz, któremu wtórował i spory zastęp głosów biskupich. »Ehrhard jest nasz! Dalej pod sztandar przez Ehrhard'a wzniesiony« wołała głośno i zgodnie prasa libe-

[1] Rozprawa niniejsza miała być początkowo ostatnim rozdziałem poprzedniego naszego artykułu: »Z nowych kierunków myśli katolickiej — na tle broszury *Pestis perniciosissima*«. Rzecz jednak tak urosła w ciągu pisania, że dla uniknięcia dysproporcyi podajemy ją jako osobną całość. Artykuł poprzedni, z osobnem zakończeniem, osnutem na kilku myślach niniejszej rozprawy, wyszedł w odbitce, jako pierwszy zeszyt nowego wydawnictwa: »Broszury o chwili obecnej«.

[2] »Prof. Ehrhard's Buch ist die feinste und vornehmste und darum die bedeutendste Parteischrift, die der liberale Katholizismus seit seiner Niederlage durch Pius IX. und das Vaticanum in deutscher Sprache hervorgebracht hat«. Najpierw w Wied. Vaterland'zie z 19 stycznia 1902, potem w formie broszury »Der Katholizismus — nach Prof. Ehrhard« Hamm in W. 1902 str. 70. Por. także »Zeitschrift für kath. Theol.« t. 26, str. 297—322 i 607—619, gdzie podaje ks. Hofmann nazwiska krytyków tego samego będących zdania. Najbardziej polecić należy Grisar'a »Das Mittelalter einst und jetzt«. Herder im B. 1902.

ralna z *Neue freie Presse* na czele [1]. »Protestuję przeciw temu« tak jednym i drugim odpowiadał Ehrhard, »żeby mój kierunek teologiczny mianem liberalnego katolicyzmu piętnować. Ja potępiam liberalny katolicyzm, tak, jak go Kościół potępia; chcę być katolikiem i niczem więcej, katolikiem bez żadnych dodatków; trzymam się nie liberalnego, ale umiarkowanie-postępowego kierunku; nie widzę powodu, aby od niego odstępować i nikomu nie pozwalam nadawać temu kierunkowi ubliżającej, źle brzmiącej nazwy [2]«.

Dyskusya toczyła się żywo, niemal gwałtownie; Ehrhard w kolejnych wydaniach swej książki modyfikował po trochu zdania, które były głównie kamieniem obrazy — ale zawiódłby się był zupełnie, ktoby w licznych pismach, krytykach, antykrytykach i replikach, w tym sporze wydanych, miał był nadzieję znaleźć odpowiedź na ogólne, zasadnicze pytanie: co też to jest liberalny katolicyzm? Padały zarzuty, po zarzutach z równą szybkością następowały odpowiedzi, przeważnie polegające na energicznem zaprzeczeniu twierdzeń przeciwnika, ale kwestya zasadnicza, z niemałą szkodą naukowego postępu, zaledwie tu i ówdzie była dotknięta.

---

[1] »Neue freie Presse« 7 marca. »Die weitaus grosse Mehrheit der Laienwelt, soweit sie der liberalen Weltanschauung anhängt, hat dem Gegensatz zum Trotze, in welchem sie zu den kirchlichen Grundanschauungen des Autors steht, mit ihrem Beifall nicht zurückgehalten«. »München. allgem. Zeit.« n. 26 pisze o krytykach Ehrhard'a wyżej wymienionych: »Eines nur werden diese Angriffe zur Folge haben, dass alle intelligenten deutschen Katholiken sich immer zahlreicher um das von Ehrhard entfaltete Banner scharen werden, um das Banner des von Ehrhard selbst so bezeichneten katholischen Liberalismus«.

[2] »Ich verurteile den liberalen Katholizismus so, wie ihn die katholische Kirche verurteilt, ich verwahre mich aber dagegen dass die... gemässigt — fortschrittliche... theologische Richtung, der ich huldige, der von der Kirche verurteilte liberale Katholizismus sei«. »Ich erhebe den Anspruch auf den Namen eines Katholiken ohne jeden beschränkenden Zusatz«. »Ich spreche meinem Kritiker jedes Recht ab die Richtung, der ich huldige, als liberalen Katholizismus zu verdächtigen« itd. Por. »Liberaler Katholizismus?« str. 85, 87, 314, 316 i »Das religiöse Leben in der kath. Kirche« Freib. im B. 1904 str. VIII.

Czemu to przypisać? Wszakże obustronnie nie zbywało na dobrej woli do gruntownego, naukowego roztrząśnienia sprawy! nie zbywało i na zdolności do określenia, subtelnego scharakteryzowania idei, choćby nawet i bardzo nieuchwytnej i skomplikowanej! A jednak cała dyskusya nie przyniosła w tej mierze owoców, jakich można było się spodziewać.

Dlaczego?

Oto rozległa kwestya liberalizmu i liberalnego katolicyzmu, kwestya, powiedzmy od razu, która całą historyę XIX wieku przenika, kwestya, której spór Ehrhard'owski był jednym drobnym epizodem tylko, ta kwestya nie da się zgoła, albo raczej nie da się jeszcze dzisiaj rozwiązać doktrynalnem, spekulatywnem rozróżnieniem i określeniem pojęć. Wspaniale, głęboko, głosem najwyższej w Kościele powagi określił Leon XIII w encyklice *Libertas*, w czem może, w czem nie może rozumnie wolność ludzka domagać się swobody, uzupełnił to określenie szeregiem innych encyklik, w których ogólne zasady zastosował do poszczególnych zakresów umysłowego i praktycznego życia, a jednak — nawet wśród katolików bynajmniej nie jest zamknięta dyskusya, nie są przecięte spory. Bo wchodzi tu w grę nie teoretyczne jakieś zagadnienie, nie abstrakcyjna idea, ale żywy, konkretny, a niezmiernie potężny prąd, od lat stu przeszło krążący po społeczeństwie, prąd, który wyważył z dawnych posad i wprowadził w stan olbrzymich, wiekowych zapasów dwie wielkie osi, na których się obraca życie i jednostki i ludzkości całej — autorytet i wolność.

Rok 1789 mimo wszystkie swoje i zbrodnie i śmieszności i fałsze, upoił świat ideą, która, gdyby nie miała w sobie nic życia i prawdy, nie mogłaby była stać się pozytywnym czynnikiem, działającym potężnie przez cały wiek XIX, a działającym nie tylko destruktywnie. Pierwiastów złych, destruktywnych, oczywiście w niej nie brakło, owszem, że bardziej wpadały w oczy szumowiny i męty, które ta rzeka toczyła, wielu poważnym zresztą myślicielom był liberalizm uosobieniem wszelkiego zła, kierunkiem nie tylko antychrześcijańskim, ale i antyboskim, jeśli tak wyrazić się wolno, buntem przeciw wszelkiemu porządkowi i prawu,

dążnością do zerwania wszystkich więzów moralnych, nienałożonych wolą samego człowieka. Inni, jeśli ograniczymy się do wierzących katolików, przyznawali, że liberalizm doprowadził do wielu błędów i nieszczęść, ale nie mogli zgodzić się na to, aby przewodnią jego ideę potępić. »Liberalizm jest przecież affirmacyą wolności, a na wyraz: wolność bić musi żywiej każde szlachetne serce; liberalizm dąży do większego poszanowania ludzkiej osoby, a w tem przecież niema nic antychrześcijańskiego, to wypływa owszem z nauki chrześcijańskiej i każdy katolik w tym sensie do liberalizmu przyznawać się może« [1].

Ta różnica sądów o liberaliźmie, wypływająca z odmiennych nastrojów umysłów i serc względem autorytetu i wolności, jest jednym z objawów tych dwóch odrębnych kierunków w katolicyzmie, z których jeden chce się nazywać katolicyzmem czystym, powiedzmy raczej, konserwatywnym, z których drugi jest nazywany, bo rzadko bardzo sam sobie tę nazwę nadaje [2], katolicyzmem liberalnym. Pierwszy wysuwa naprzód autorytet, drugi wolność. Że jednak ta ogólna idea wolności w liberaliźmie katolickim występuje na jaw w najróżniejszych i formach i odcieniach i stopniach, że różnymi czasy działa na różnych polach i różne przechodzi fazy, nie podobna wydać o tym kierunku mniej więcej dokładnego sądu, jeśli się poprzednio nie rzuci okiem na ogólne przynajmniej zarysy jego dziejów. A może nawet w tym przedmiocie bardziej niż w jakimkolwiek innym historya minio-

---

[1] Por. np. Schell »Die neue Zeit und der alte Glaube«. 1898 str. 37 i n. »Ich verstehe unter dem ächten Liberalismus nichts Antichristliches sondern mit Erzbischof Ireland und P. Hecker den Kampf für das ächtchristliche Princip des unveräusserlichen Rechtes der freien menschlichen Persönlichkeit...«

[2] Vous me rangez parmi les catholiques libéraux, si souvent blamés par le S. Siège? — Vous avez tort, je ne suis pas des leurs, mon libéralisme n'a rien de répréhensible; je suis l'un des enfants, les plus sincères de l'Église catholique. Ainsi s'éxpriment, pris les uns après les autres, presque tous les libéraux catholiques«. Petitalot »Le syllabus«. Paris 1877, str. 256. »Alle halten sich in jener Halbheit und Unklarheit des Ausdruckes, die immer die Ausflucht offen lässt: Die Ansicht, die ihr da angreift, verwerfe ich auch. Aber sie ist nicht die meinige. Mich habt ihr völlig missverstanden«. A. M. Weiss »Die religiöse Gefahr«. 2—3 wyd. 1904. str. 335.

nych dopomagać może do postawienia we właściwem świetle dzisiejszych prądów.

Narodził się właściwy liberalny katolicyzm w chwili, kiedy Lamennais, już od dłuższego czasu zerwawszy w duchu z rojalistycznemi przekonaniami, puszczał w świat płomienne pismo *Progrès de la révolution.* »Żądamy wolności dla Kościoła«, pisał już w przedmiocie »wolności sumienia, wolności prasy, wolności nauczania«. »Nieograniczonej wolności potrzeba na to, aby prawdy, które mają uratować świat, o ile to jest możebnem, rozwinęły się tak, jak się rozwinąć powinny«. »Postępom liberalizmu niema co się dziwić«, pisał na innem miejscu«; jest to całkiem naturalny bieg rzeczy, a w planach Opatrzności jest to droga ku zbawieniu. Religia, wtłoczona w dawną polityczną budowę, która była dla niej więzieniem prawdziwem, odzyska swój wpływ przez to, że wolność wywalczy«. »Zapytasz mnie może, czego ja żądam«, pisał do Berryer'a, który go błagał o pomoc w ratowaniu tronu, »zapytasz, czy ja pragnę tryumfu liberalizmu? Tak jest! ja chcę tego właśnie, bo liberalizm, lubo niedorzeczny w doktrynie, bezwzględny w namiętności, ślepy w zamiarach — po gwałtownych wstrząśnieniach, może po ciężkich zbrodniach, jednej sprawie dopomóc do zwycięstwa i może i musi: sprawie wolności, a wolność wybawi świat, bo zawsze i na każdy sposób doprowadzić musi do wolności Kościoła«. »Mamy się bać liberalizmu? Zróbmy go katolickim, a społeczeństwo zmatwychwstanie«.

Rewolucyę lipcową powitał Lamennais, jeśli nie z zapałem, to z wyraźnem zadowoleniem. 16 listopada tego samego roku pod godłem *Dieu et la liberté* wychodził, raczej wybuchał pierwszy numer *Avenir'a.* Myśli przewodnie tego jedynego w swoim rodzaju pisma, które w ciągu 13 miesięcy istnienia rozlewało się po Europie całej ciepłą, potężną falą, dadzą się sprowadzić do kilku punktów, tworzących program tej pierwszej fazy katolickiego liberalizmu. »Idea wolności tak potężnie opanowała umysły, że niema co myśleć o jej pohamowaniu. Zamiast tamować rzekę wolności, niech Kościół rzuci się śmiało w jej nurty, niech stanie na czele postępu, niech głosi swobodę równie donośnie jak zwolennicy rewolucyi, a zaświta nowa era odrodzenia dla religii i dla

ludzkości. Bo duch wolności jest prawdziwym duchem chrystyanizmu! Bóg jest wolności Bogiem! Dawne skojarzenie politycznego i religijnego porządku było dla Kościoła ciężką niewolą. W tym dawnym systemie, bezpowrotnie już minionym, nie mógł Kościół sił swoich rozwinąć należycie, nie mógł zdobyć sobie należnego miru, zrażał do siebie ludzi, z natury szukających wolności. Jeżeli dziś Kościół potrafi zrozumieć znaczenie chwili i swoje obecne zadania, jeżeli rozdzieli się od państwa, a poda rękę spragnionym wolności ludom, w wolnem współzawodnictwie z prawdą błąd musi ulegnąć i na gruzach dawnego porządku powstanie nowy świat wolny, a w nieograniczonej wolności zarazem przesiąknięty zasadami ewangelii« [1].

W tym pierwszym manifeście liberalnego katolicyzmu dźwięczą już niektóre nuty, które w innych fazach tego samego systemu dźwięczeć nam będą dalej, ale nie słychać w nim jeszcze jednej nuty, nuty najfałszywszej ze wszystkich, a później niestety bardzo głośnej — nuty antypatyi do Rzymu, tego delikatnego *los von Rom*, z którem spotkamy się niebawem. Lamennais i jego zwolennicy oddani byli papieżowi całem sercem; pełne były szpalty *Avenir'a* zapewnień, bez wątpienia szczerych, nieograniczonej dla Stolicy św. miłości i posłuszeństwa [2]. Prawda — że

---

[1] Często spotykamy się ze zdaniem, że wiele idei Lamennais'go, wtedy przedwczesnych i stąd potępionych, podniósł później papież, autor *Rerum novarum*. Ma to zdanie coś prawdy za sobą, jeśli się odnosi do planów socyalnej działalności Kościoła, które pominęliśmy tu z umysłu, bo do naszego przedmiotu nie należą. Lamennais okiem niezaprzeczenie genialnem dostrzegł pierwsze objawy zaczynającej się wtedy kwestyi socyalnej, tej kwestyi czwartego stanu, która w dotychczasowych rewolucyach, w łonie trzeciego stanu powstałych, zaledwie zaczynała świtać. Zrobiwszy zaś to spostrzeżenie, pragnął już wtedy, by Kościół zajął się prawami robotnika i dolą klas pracujących. Jednakowoż myśli Leona XIII, mimo pewnych podobieństw, różnią się od planów Lamennais'go całkiem zasadniczo, nietylko spokojem i umiarkowaniem, ale całą filozoficzno-teologiczną podstawą.

[2] Nawet nieomylność papieża, którą Montalembert miał zwalczać później namiętnie prawie, wyznali niejednokrotnie redaktorowie *Avenir'a*. Por. *Granderath „Geschichte des Vatikanischen Konzils"*. t. z. 1903 str. 575. Gdy w czasie soboru zwolennicy nieomylności przypominali to Montalembert'owi i wytykali mu sprzeczność między dawnem a dzisiejszem przekonaniem, wydał na parę dni przed śmiercią ów, smutnej sławy list, gdzie mówi: »les

wtedy jeszcze nie wątpili w młodzieńczym zapale, że papiez pójdzie, że musi pójść drogą przez nich wytkniętą, że podejmie ich myśli i obronę ich sprawy, która w gronie episkopatu francuskiego nie mało liczyła przeciwników, ale w każdym razie: *tout par le pape et pour le peuple* było ich hasłem. Lecz to usposobienie nie miało potrwać długo. We Francyi mnożyły się przeciwności, Stolica św., lubo często wzywana o pomoc, poważne zachowywała milczenie. W duszy Lamennais'go Rzym zasnuwał się mgłą, a jemu się zdawało, że to papiestwo brnie w ciemność. »Strapiony jestem głęboko«, pisał jeszcze przed Rzymską podróżą, »zachowaniem Rzymu. Spojrzyj na Synai! Góry świętej nie okrywają jasne chmury, gdzieby huczał grzmot i świeciła błyskawica — ciemna, wilgotna mgła osiadła szczyt święty, a w tej mgle martwa cisza! Jedno słowo stamtąd mogłoby złamać fale błędu! Oni wiedzą o tem, ale milczą! Obawa przed królami! Milczą i drżą tam, skąd światu przyjść mogło zbawienie!« W sercu autora tych słów, choć sam sobie sprawy nie zdawał, już wrzały i kipiały lawy tego wulkanu, co miał wybuchnąć parę lat później w *Paroles d'un croyant* i *Affaires de Rome.* Mimo to, jadąc do Rzymu po ostatnią decyzyę, gdy Montalambert podniósł wątpliwość, że może zostaną potępieni, rzucił mu śmiałą odpowiedź: »Nas potępić nie mogą«. *Avenir* już od jakiegoś czasu był zawieszony; przyszła encyklika *Mirari;* pierwszy okres liberalnego katolicyzmu, najkrótszy i bądź co bądź najbardziej uroczy ze wszystkich, był zamknięty.

Montalembert i Lacordaire, choć pierwszego z nich kosztowało to walki nie mało, poddali się Stolicy św. absolutnie i bez zastrzeżeń. Jednakże wino, którem Lamennais poił swą szkołę, było zbyt mocne, aby mogli wytrzeźwieć zupełnie. U jednego w mowach parlamentarnych i całej kampanii o wolność nauczania, u drugiego w słynnych konferencyach przebijał się tu i ówdzie ton zapożyczony z *Avenir'a*, wszelako aż do śmierci Grzegorza XVI

---

docteurs ultramontains, immolent la justice et la vérité, la raison et l'histoire en holocauste à l'idole qu'ils se sont érigée au Vatican«. Por. *Collectio Lacensis* T. 7. kol. 1385 i nn.

zachowali się obaj w takiej mierze, że z Rzymu nie miano im nic do zarzucenia. Tylko starego papieża niepokoił ogień Montalembert'a i znajdował, że *parla bene, me deverebbe parlare meno* [1].

Tymczasem przez Europę szedł płomień, płomień, nie tylko rewolucyi, który miał wzniecić jeszcze mnogie pożary, ale płomień podobnych ruchów katolickich, jakie *Avenir* i jego Liga wywołały we Francyi. W Niemczech już od dłuższego czasu skupiało się katolickie odrodzenie około nazwiska wielkiego Görres'a, który, stosunkowo wcześnie ochłonąwszy z liberalnych porywów, oddał swe potężne pióro na usługi Kościoła [2]; Irlandya pod O'Connell'em walczyła zwycięsko o polityczne i religijne swe prawa; w Szwajcaryi Sonderbund rozpaczliwą walką zastawiał się mężnie za wiarę przodków. Belgia, uzyskawszy konstytucyę, 1831 roku, zupełny rozdział Kościoła i państwa, wolność związków i wolność nauczania, a zatem *la liberté comme en Belgique,* co było przez długi czas ideałem francuskich katolików, starała się pokazać Europie, jak korzystną dla Kościoła stać się może wolność zupełna. Niestety próba pomyślnie nie wypadła. We Włoszech krążyły wśród wielu katolików prądy, rzekomo skierowane do odrodzenia religii i kraju, które jednak siłą rzeczy, choć wbrew myśli swoich autorów zbiegły się z dążeniami Mazzini'ego i Cavour'a w tę falę, co uderzyła później o Porta Pia.

W ruchu liberalno-katolickim włoskim przybywa nam znowu jeden odcień, który znajdziemy w następnych fazach tego samego

---

[1] Lecanuet: *Montalembert* T. II. 1899. str. 292.

[2] Temu lat 20 w stuletnią rocznicę urodzin wielkiego człowieka pisano o Görresie z protestanckiego obozu: »In Görres' Leben muss mann nach Aufschlüssen spähen über die grosse katholische Bewegung, die in diesem Augenblick aus der chronischen Krankheit in eine acute übergangen ist«. I jest to niewątpliwie prawdą. Potężny ruch katolicki niemiecki głównie jemu zawdzięcza istnienie. Ale też Görres raz nawrócony nie paktował z duchem wieku jak współczesne głowy ruchu katolickiego we Francyi, którym się nie udało stworzyć obozu choć w części tak silnego. O liberalnych marzeniach młodości sam pisał później z właściwą sobie szczerością: »Meine Jugend hat manche Irrthümer der Zeit getheilt; der stärkste, der mich jetzt noch nicht ganz verlassen hat, war immer der, dass ich meinen Zeitgenossen mehr zutraute, als sie zu leisten vermochten«. Polit. Schrift. IV. 601.

kierunku, charakterystyczny dla drugiej połowy naszego wieku, naturalny i może zbawienny w porządku politycznym, niebezpieczny na polu religijnem, duch nacyonalizmu. *L'unità d'Italia è un grido universale, e a questo grido non v'ha un solo italiano, a cui non palpiti il cuore* — pisał ks. Rosmini w dziełku o zjednoczeniu Włoch, dodanem do głośnej swojego czasu Reformschrift *Le cinque piaghe della santa chiesa*. Zjednoczenie Włoch wyobrażał sobie Rosmini jako konfederacyę państw monarchicznych, lecz konstytucyjnych, pod supremacyą papieża. Dla Kościoła żądał większego uduchownienia przez dobrowolne wyzucie się z posiadania dóbr ziemskich, większej niezależności od politycznych instytucyi, zbliżenia między klerem a ludem, współudziału wiernych w wyborze biskupów i proboszczów, nieśmiało narzucał myśl narodowego języka w liturgii. Te myśli reformatorskie, którym towarzyszyły nieudane próby odrodzenia filozofii chrześcijańskiej, ujrzały światło dzienne dopiero po roku 48, lecz na dłuższy czas przedtem działały już w poufałem kółku przyjaciół, skąd miał je rozszerzyć głównie Manzoni i Massimo d'Azeglio. Równocześnie rzucił we wrzące i bez tego umysły włoskie bawiący podówczas w Belgii na wygnaniu, filozof-marzyciel ks. Vincenzo Gioberti, płomienne dzieło *Del primato morale e civile degli Italiani*, które niebawem jak burza przebiegło Włochy całe, krzewiąc wraz z ideą narodową ideę rewolucyjną o silniejszem daleko niż u Rosminiego demokratycznem zabarwieniu. Powiedziano wtedy, że idea włoska, która aż dotąd nazywała się »Mazzini«, odtąd nazywać się będzie »Gioberti«. Istotnie daremne już były marzenia autora o supremacyi papieża nad zjednoczonemi Włochami i poetyczny obraz tej supremacyi, której dzieło o prymacie zamykał — daremne były szczere czy nieszczere *amori papali*, jak pogardliwie mawiali Mazziniści — niesłychane owacye, jakie w całych Włoszech spotkały Giobertego po powrocie do kraju ze strony rewolucyi, później teka ministeryalna ofiarowana mu przez Karola Alberta, pokazała, czyj młyn obracać miały te ciepłe a mętne wody [1]. —

[1] Rzecz charakterystyczna, że wszyscy niemal przywódcy ówczesnej partyi liberalno-katolickiej we Włoszech albo piastowali teki ministeryalne w Turynie, jak Gioberti, Balbo, d'Azeglio, albo stali z dworem turyńskim

U Gioberti'ego przybywa nam jeszcze jeden rys wybitnie charakterystyczny dla późniejszych dziejów liberalnego katolicyzmu — antypatya, prawie nienawiść do Jezuitów[1].

Tymczasem zdawać się mogło na chwilę, że marzenia liberalno-katolickiego obozu przejdą w rzeczywistość. Po Grzegorzu XVI, który wraz z kardynałem Lambruschini zdawał się uosabiać w sobie stary »reakcyjny« państwowo-kościelny system, wstępował na tron papieski Pius IX. Opowiadał on później w zaufanem kółku przyjaciół bajkę o chłopcu, co znalazłszy sposób wywołania złego ducha, nie zdołał potem go wypędzić. »Tym chłopcem ja byłem«, dodawał papież, »a złym duchem — rewolucya«. Nie ulega wątpliwości, że Pius IX łudził się zrazu nadzieją, że pewne ustępstwa na rzecz wolności, że miłość jego gorącego serca i urok jego osoby zażegnają burzę, pod której naporem już drżały podstawy dawnego porządku. Pierwsze kroki jego panowania, szeroka amnestya, obietnica reform w państwie kościelnem sprawiły, że serca liberalnych katolików całego świata zabiły żywiej. Nawet rewolucya 48 roku nie wytrzeźwiła ich od razu. Papież już był opuścił wieczne miasto, gdy Ventura wraz z Barnabitą Gavazzi rzucał się w wir rewolucyi rzymskiej, odprawiał w dzień Wielkiejnocy nabożeństwo u św. Piotra, podczas którego Mazzini siedział na tronie papieskim i w głośnej namiętnej mowie 27 listopada święcił pamiątkę »męczenników wiedeńskich«, poległych w tamecznem powstaniu. Lacordaire w Paryżu wcześniej jeszcze wraz z Ozanam'em, Maret'em, Coeur'em, de Coux i kilku innymi w wysoce demokratycznem piśmie *L'ere nouvelle* wznawiał, jak się zdawało, świetne dzieje *Avenir'a*. »Wierzymy mocno«, tak pisano zaraz w pierwszym numerze, »że rewolucya obecna jest nie tylko

---

w stosunkach, jak Rosmini. Wiadomo zresztą, że nawet Cavour podszywał się chętnie pod hasła liberalnego katolicyzmu, zwłaszcza pod imię Montalembert'a; pisał też do Santa Rosy z Paryża, że byłby niewątpliwie gorącym katolikiem, gdyby idee ks. Coeur i jego obozu znalazły w Kościele ogólne uznanie. Por. Cavour. Fr. X. Kraus. 1903. str. 87.

[1] Lamennais żywił te same uczucia głównie od chwili, gdy gotowało się w nim odstępstwo. Montalembert w tym czasie był zakonu wiernym przyjacielem i obrońcą, mimo, że krytyki mu nie szczędził. Lacordaire był mu trochę niechętny, ale tego mało okazywał na zewnątrz.

dozwoloną, ale zamierzoną przez Boga; wierzymy, że jest jednym z ruchów społecznych najgłębszych, najpłodniejszych, najgodniejszych szacunku, jakie świat kiedykolwiek widział«. »Z uniesieniem witamy«, pisano w parę dni później, »ostateczne zwycięstwo demokracyi dzisiejszej. Jest ona dziełem i Boga i nowych czasów i geniuszu ludzkiego, nosi na sobie wszystkie cechy sprawy słusznej i świętej. Gdy Bóg-człowiek wypowiedział słowa: jesteście braćmi; nie przyszedłem, aby mi służono, ale, aby służyć; kto jest przełożonym, niech będzie sługą wszystkich — rzucił fundamenty pod nowy ustrój społeczny, który drogą ustawicznego rozwoju i postępu miał przeobrazić się w demokracyę dnia dzisiejszego«. Montalembert wtedy jaśniej patrzał na rzeczy[1]. Niebawem i Lacordaire miał oprzytomnieć.

Tymczasem w duszy papieża, bawiącego na wygnaniu w Gaecie, dokonywał się przewrót. I on robił to doświadczenie, które za Görres'em zrobić miało wielu poważnie myślących: »Zanadto zaufałem współczesnym ludziom i kierunkom«. Od tryumfalnego wjazdu do Rzymu, otwartego przez armię Oudinot'a, datuje się ten prąd, na który silną ręką popchnął Kościół Pius IX, prąd, zmierzający przez ogłoszenie dogmatu Niepokalanego Poczęcia i Syllabus do Watykańskiego soboru, prąd niezawodnie opatrznościowy, jak pokazała historya, choć nie wszystkim miał być »na powstanie«, bo działał i działa jeszcze w Kościele jak wielki kamień probierczy, »wydobywając na jaw myśli wielu serc«, sprawując rozdział umysłów na dwa, wybitnie różne obozy. W r. 1850

---

[1] 28 maja 1848, głęboko strapiony obrotem, jaki brała rewolucya, której zresztą od początku nie dowierzał, tak pisze do Mérode'a: »Toutes mes croyances politiques sont ébranlées, pour ne pas dire détruites. J'ai dévoué les vingt plus belles années de ma vie à une chimère, à une transaction entre l'Église et le principe moderne. Or je commence à croire, non seulement que la transaction est impossible mais que le principe moderne est bien exclusivement, l'oeuvre de Voltaire et de Rousseau et l'antipode du christianisme«. Dodawał wprawdzie »Cependant mes idées ne sont pas encore arrêtées sur ce point. J'attends. L'éxemple de Pie IX sera concluant« — ale tych ostatnich słów niestety nie dotrzymał, jak zaraz zobaczymy. Lecanuet l. c. str. 401.

zaczynała wychodzić *Civiltà cattolica*[1]; poszły na indeks dzieła Rosmini'ego[2], Giobertego i wspomniana mowa Ventury, otwierał się szereg tych poważnych allokucyi papieskich, z których później złożono Syllabus, owszem od r. 1852 pracowano nad planem samego Syllabusu.

Aż do tej chwili dominowała w liberalnym katolicyzmie idea wolności, idea wyzwolenia i ludów i Kościoła z rzekomych więzów dawnego porządku. Odtąd zacznie przeważać idea opozycyi do »reakcyjno-centralistycznych« dążeń Piusa IX, idea, w której, rzecz dziwna, spotkają się i pogodzą kierunki bardzo różne barwą i z odmiennych źródeł wynikłe.

Jedno z tych źródeł znajdziemy w Niemczech.

Z początkiem XIX w. pod zgubnym wpływem racyonalizmu i rozpanoszonych idei Febroniusza; pod jarzmem ucisku ze strony protestanckich panujących, teologia i filozofia katolicka w Niemczech pogrążona była w głębokim upadku. Zaczęło pracować nad jej podźwignięciem grono ludzi bardzo niepospolitych: Möhler, Klee, Kuhn, Staudenmaier, Welte, Döllinger, Hefele, stali na czele odrodzenia. Byli to jednak przeważnie »autodydakci«, a jeśli w jakiej nauce, to w teologii jest wprost zgubnem rozluźnienie organicznych związków z tradycyą szkół katolickich, zwłaszcza wobec

---

[1] Wspominamy o założeniu Civilty, bo między latami 1850 a 70 odegrało to pismo rolę rzeczywiście bardzo wybitną na tem właśnie polu, które nas w tej chwili zajmuje. Protestanci, Döllingerianie, liczni liberalni katolicy chcą uważać rok 50 za moment »przymierza« między kościołem a Jezuityzmem, przymierza oczywiście najnieszczęśliwszego dla Kościoła. »Pius IX« pisze Döllinger w r. 1878, »schloss gleichsam ein Connubium, einen Bund zwischen den Zielen und Anschauungen des Papsttums und denen der Jesuiten«. *Kleinere Schriften.* Stuttgart. 1890 str. 582.

»Seit seiner Rückkehr von Gaeta warf sich Pius IX den Jesuiten rückhaltslos in die Arme und vertauschte, von ihnen völlig beherrscht, seine früheren patriotischen Anwandlungen mit den strengsten reaktionären Bestrebungen. Das Wirken des Ordens fällt von dieser Zeit an mit dem des Papstes und des Ultramontanismus so völlig zusammen, dass ihre Geschichte eine gemeinsame ist«. *Realenc. f. prot. Theol. und Kirche*, wyd. III t. 8, 1900 str. 779. Powtarza się ta piosnka aż do znudzenia.

[2] Dzieła te w r. 1854 z indeksu usunięto; dopiero gdy filozoficzne błędy tego autora później szerzyć się zaczęły, Leon XIII potępił 40 zdań z pism jego wyjętych, o czem wspomnieliśmy już wyżej.

nieuniknionych a silnych wpływów protestanckiej filozofii i teologii, na jakie z natury rzeczy jest wystawiony fakultet teologiczny katolicki przy uniwersytecie protestanckim. Żeby już pominąć milczeniem grube zboczenia Hermes'a, Günther'a, Froschammer'a, z których każdy pociągnął za sobą na bezdroża plejadę pomniejszych umysłów — powstawał około połowy wieku kierunek, który sam sobie nadawał miano »der deutschen katholischen Wissenschaft«, kierunek naukowo wybitny, lecz nie całkiem po kościelnemu usposobiony. Charakteru tej partyi nie możemy lepiej oddać jak słowami oficyalnego sprawozdania, które nuncyusz Meglia 22 września 1868 r. przesyła z Monachium kardynałowi Caterini. »Wszyscy niemal profesorowie teologicznych fakultetów na niemieckich uniwersytetach i wszyscy z małymi wyjątkami duchowni, odznaczający się pewną sławą naukową, uważają sobie za zaszczyt należeć do obozu t. z. niemieckiej wiedzy. Mają oni na oku postęp naukowy, ale na tej drodze postępu chcą się obracać z pewną niezależnością i swobodą, szanując dogmat ściśle określony, lecz lekceważąc różne podrzędne punkta nauki kościelnej; stare scholastyczne metody odrzucają jako średniowieczne zabytki, niezgodne z postępem dzisiejszych czasów [1]; usiłują katolicką metodę teologiczną o ile możności upodobnić do protestanckiej, rzekomo w tym celu, by pierwszej zapewnić przewagę, i dlatego tak wielki kładą nacisk na biblijne, filologiczne, historyczne nauki, że dla rzeczywistej pozytywnej teologii mało zostaje miejsca i czasu. Moralną właściwością tego stronnictwa jest duma. Stąd niechęć do »tamującej postęp powagi«, stąd lekceważenie orzeczeń Kongregacyi rzymskich, stąd wynoszenie »uczonego« wykształcenia uniwersyteckiego w Niemczech ponad wykształcenie seminaryjne, jakie duchowieństwo odbiera gdzieindziej, stąd uczucie politowania i pogardy dla naukowości innych narodów, dla włoskiej, francuskiej seminaryjnej teologii, która ich zdaniem nie wyszła jeszcze z lat dziecięcych. Tem się tłumaczy, że cała ta partya obstaje za zakładami naukowymi zależnymi od rządu,

[1] Z innego założenia wychodząc, dochodzili równocześnie francuscy tradycyonaliści do podobnego metody scholastycznej lekceważenia. Usposobienie jednak Bautain'a, Bonnetty i innych było zupełnie różne.

bo w nich większej spodziewa się swobody, a opiera się założeniu uczelni, któreby podlegały zarządowi biskupów [1]. Tak n. p. u naczelników tego stronnictwa trafiła na silny opór piękna myśl założenia czysto katolickiego uniwersytetu w Niemczech, któryby stał pod wyłącznem kierownictwem episkopatu« [2].

Kierunek, temi słowy scharakteryzowany z niezmierną trafnością, szerzył się mniej więcej od połowy wieku, dochodził do punktu kulminacyjnego na słynnym zjeździe uczonych w Monachium [3], który Döllinger rozpoczął głośną mową »o przeszłości i przyszłości katolickiej teologii« 28 września 1863 [4]; po wydaniu Syllabusu i encykliki *Quanta cura* w roku następnym, przechodził

---

[1] Kto pragnie dowodów na te słowa nuncyusza, niech weźmie do ręki pisaną w r. 1865 pracę Döllinger'a »Die Speyrische Seminarfrage und der Syllabus«. *Kleinere Schriften.* 1890. str. 197 i nn. W tej pracy odnajdzie się myśli i nastrój umysłów prawie identyczny z tym, który wyszedł na jaw niedawno w sporze o fakultet teologiczny w Strassburgu i całkiem świeżo w odczycie prof. Merkle *Die theologischen Fakultäten une der religiöse Friede.* Wissensch. Beil. z. Germania. nn. 8—11. 23, II. — 16, III. 1905.

[2] Prawie cały ten list przedrukował Cecconi w swej historyi Wat. sob. t. II, sez. I, str. 386 i nn.

[3] Zjazd zwołali Döllinger, Haneberg, Alzog. Wywołał on ostrą naganę Piusa IX w liście do arcybiskupa monachijskiego z dn. 31 grudnia tego samego roku. Zresztą już od szeregu lat raz po raz zmuszony był Pius IX wkraczać w błędne mniemania teologów niemieckich, tak, że gorzko uskarżał się Döllinger w r. 1865. »Die deutschen Gelehrten sind für den *Monde*, welcher die Stimmung der hierarchischen Kreise in Rom beherrscht, nebulose Querköpfe und schwerfällige Pedanten. Von ihrer Literatur, ihren vermeintlichen Forschungen und Entdeckungen ist daher nicht weiter Notiz zu nehmen, es müsste denn, des Exempels wegen und um nicht aus der Uebung zu kommen ein deutsches Buch an dem Pilori des Index zu befestigen sein«. l. c. str. 204, 205.

[4] »Die Reihe«, mówił Döllinger, »die vornehmste Trägerin und Pflegerin der theologischen Disciplinen zu werden ist endlich an die deutsche Nation gekommen... Das Charisma der wissenschaftlichen Schärfe und Gründlichkeit, der rastlosen in die Tiefe dringenden Forschung und der beharrlichen Geistesarbeit ist uns Deutschen einmal gegeben. ... In Deutschland also haben wir künftighin das Heimatland der katholischen Theologie zu suchen. — Das alte von der Scholastik gezimmerte Wohnhaus ist baufällig geworden — es will in keinem seiner Theile mehr den Anforderungen der Lebenden genügen. ... Die Kette der wissenschaftlichen Tradition, an welcher Jahrhunderte Theologischer Thätigkeit sich gehalten uud orientirt haben, ist gebrochen. So muss durch einen Neubau geholfen werden. — Die deutsche Theologie hat den Beruf die getrennten Konfessionen einmal wieder

w stadyum zaostrzonej do Rzymu opozycyi, aż nareszcie pęknięcie wrzodu, wśród silnej gorączki, która udzieliła się potrochu całemu społeczeństwu [1], sprowadził sobór Watykański. Niemała liczba zwolenników tego kierunku odpadła wtedy na rzecz sekty staro-katolików, ale idee przez nich rzucone, jak niebawem zobaczymy, miały ich przetrwać i dzisiaj podnieść głowę w bardzo podobnej formie. Reakcyę naukową w duchu kościelnym podjęli głównie Hergenröther, Stöckl, Heinrich, Scheeben, Moufang, Jörg i t. d., a nadewszystko Jezuici niemieccy bardzo płodną literacką pracą, której organem były i są po dziś dzień *Stimmen aus Maria Laach.*

Ten krótki rzut oka na Niemcy między 50 — 70 rokiem dał nam poznać nowy odcień liberalizmu katolickiego. O ile francuski, belgijski, włoski liberalizm, który omawialiśmy wyżej, nosił na sobie ślady silnego wpływu idei wolności przez rewolucyę podniesionej i starał się ją zastosować w dziedzinie polityczno-kościelnej, o tyle niemiecki zdradza wpływ nauki protestanckiej i temu wpływowi zawdzięcza anty-romańskie i anty-autorytatywne zabarwienie, które przedewszystkiem na polu naukowem objawia.

Z czemś podobnem spotykamy się w Anglii. Tu jednak mniej nas obchodzi ruch z niemieckim prawie identyczny, skupiający się około czasopisma *Rambler,* później *Home and Foreign*

---

in höherer Einheit zu versöhnen. — Die zweite Bedingung (dazu) ist dass die katholische Lehre — das Wesentliche, Bleibende, scharf unterscheide von dem Zufälligen, dem Vorübergehenden, und den der Idee fremdartigen Auswüchsen« itd. Cytowaliśmy nie tylko dla poparcia sądu nuncyusza Meglia, ale dlatego, że te myśli z dzisiejszemi liberalno-katolickiemi zasadami uderzające i pouczające mają podobieństwo. *Klein. Schrift.* str. 161—196.

[1] Por. wyd. w r. 1869 prawie heretyckie pismo »An die Katholiken Badens«, adresy wystosowane tegoż roku do biskupa trewirskiego od »katolików« Bonn i Koblencyi itd. Granderath. l. c. t. I. str. 208 do 231. Rzecz smutna, że Montalembert z uniesieniem się wyrażał o zuchwałym i bardzo antykościelnym adresie z Koblencyi. »Je ne saurais vous dire« pisał 10 lipca »combien cette remarquable manifestation m'a touché et réjoui: elle est sans défaut pour le fond et la forme. J'en signerais volontiers chaque ligne. J'ai cru voir un éclair perçant les ténèbres, j'ai enfin entendu une parole virile et chrétienne au milieu des déclamations et des flatteries dont on nous assourdit«. Coll. Lac. T. VII, kol. 1181 c. d.

Review, w którem John Acton, uczeń Döllinger'a, wraz z Ryszardem Simpson i kilku konwertytami podnosili sztandar liberalnej nauki[1]. Uwagę naszą ciągną ku sobie przedewszystkiem dwie śliczne a bardzo odrębne osobistości, które liberalny katolicyzm dnia dzisiejszego z dumą umieszcza na swem drzewie genealogicznem, Newman i Manning.

A najpierw — czy jest słuszna ta pretensya liberalnych katolików, żeby tych dwóch książąt Kościoła zaliczać do »swoich«? Zdawałoby się, że nie. Wszakże Manning należał do gorących zwolenników Syllabusu i Watykańskiego soboru, wszak popierał przeciw *Rambler'owi Dublin Review*, gdzie ultra-konserwatywny i aż nazbyt surowy w przywiązaniu do powagi kościelnej Ward toczył wojnę z każdym cieniem liberalizmu, wszak dysharmonię między nim a Newman'em pojmowano jako konflikt szczerego, rzymskiego katolicyzmu, z resztkami protestantyzmu, które miały rzekomo pozostać na dnie duszy wielkiego oratoryanina[2]! I z drugiej strony, wszakże Newman ośmdziesięcioletni, w chwili gdy dostawał kardynalski kapelusz, będzie mógł powiedzieć z całą szczerością, że życie jego było jedną walką z liberalizmem! A jednak w obu tych duszach coś dźwięczało, coś, czegobym w n i c h s a m y c h nie śmiał nazwać liberalno-katolicką nutą, co jednak

[1] Thureau-Dangin tak charakteryzuje ich kierunek: »Prétendant se renfermer dans un domaine de science laïque, où l'autorité religieuse ne leur paraissait pas avoir à intervenir ces écrivains abordaient hardiment les problèmes de philosophie de critique, d'histoire, et y donnaient les solutions les plus libérales sans s'inquieter s'ils étaient toujours en accord avec les idées jusqu'alors admises chez les catholiques. Leur thèse fondamentale était la nécessité d'user dans ces études, d'une liberté absolue. — Ils se piquaient d'être de leur temps, se disaient fiers de ses progrès, jaloux de ses conquêtes... Non content de réagir contre les thèses rétrogrades quelques'uns de ces écrivains semblaient prendre une opinion d'autant plus en gré, qu'elle était plus opposée à la tradition. Tout ce qui venait de Rome leur paraissait volontiers vieilli et démodé. — Le libéralisme du *Rambler* tenait plus de l'école allemande, que de l'école francaise, plus de Döllinger que de Lacordaire et de Montalembert«. »La renaissance catholique en Angleterre«. T. II. Paris 1903, str. 320 i n.

[2] Tak np. Pressensé: *Manning* Paris. Perrin 1896. Praca jest jednostronna w wynoszeniu Manning'a, bo napisana w obronie pierwszego przeciw niegodnym zarzutom i insynuacym E. Purcell'a »Life of. Cardinal Manning«. London 1896.

przeniesione do umysłów mniej szerokich, do serc mniej czystych i świętych, łatwo wpaść mogło w ten ton i istotnie wpadało. Co to takiego? Twórca Amerykanizmu O. Hecker mawiał: »Je voudrais ouvrir les portes de l'Église aux rationalistes; elles me semblent fermées pour eux. Je sens que je suis le pionnier, qui ouvrira la voie. Je suis entré dans l'Église en contrebande«. »Et il aurait voulu abolir la douane, ouvrir largement le port[1]...« dodaje biograf. Podobny nastrój umysłów względem protestantyzmu panował u dwóch naszych wielkich konwertytów oxfordzkich. U Manninga wyszło to na jaw głównie w piśmie o dziewięciu przeszkodach, które źle wpływają na rozwój katolicyzmu w Anglii[2], u Newman'a na różny sposób objawiało się przez całe życie. Obaj doszli byli do wiary też potrochu *par contrebande*, nieprowadzeni przez Kościół, nie pod kierunkiem kościelnej nauki, ale własną pracą, własnem wyrobieniem, pod wyłącznym wpływem łaski Bożej. Nic dziwnego przeto, że gdzieś na dnie duszy zostały im nieświadomie, nie przekonania, nie uczucia, ale reszty tych wrażeń i nastrojów, jakie u protestanta i Anglika w dodatku wywołują pewne specyficznie katolickie i romańskie instytucye, nauki, zwyczaje. Manning nie żywił tych uczuć na punkcie nieomylności papieskiej i związanej z nią »centralizacyi rzymskiej«, owszem tutaj aż raził delikatną duszę Newman'a kategoryczną i bezwzględną affirmacyą tych prawd wobec protestantów, ale natomiast katolickie instytucye były mu za mało »duchem«, za mało »życiem«, były mu trochę za martwe i sztywne, zanadto objektywne i zewnętrzne, jeśli tę myśl tak uzupełnić wolno; on czuł głęboko rzecz prawdziwą w pewnym sensie, ale

[1] »Vie du P. Hecker«, p. 348.

[2] Te przeszkody w myśl Manning'a przedstawiają się jak następuje: 1) Brak wykształcenia u kleru. 2) Powierzchowne kaznodziejstwo. 3) Mała znajomość Pisma św. u laików. 4) Pretensya katolicka, że tylko Kościół rzymski posiada monopol łaski, ducha chrześcijańskiego, moralności, miłości. 5) Wygórowany sakramentalizm. 6) Urzędniczy biurokratyzm duchownych. 7) Skłonność do sporów teologicznych i 8) wysuwania naprzód punktów spornych nauki katolickiej i protestanckiej. 9) Jezuityzm. Purcell. l. c. t. 2 rozdz. 27. Łatwo pojąć, z jakim entuzyazmem powitali to pismo Schell i jego obóz.

łatwo podległą egzageracyi i spaczeniu, że »duch«, że subjektywne wyrobienie i pęd duszy ku Bogu więcej znaczą, niż objektywne instytucye i litera doktrynalnych orzeczeń. Newman, ze swej strony posiadając w swej ślicznej, gorącej a subtelnej duszy sztukę czucia uczuciem drugich, pojmowania rzeczy pod kątem widzenia drugiego — starał się usilnie, by niczem nie zrazić, nie odtrącić od katolicyzmu tych serc i umysłów, nad których pozyskaniem całe życie pracował i stąd niechętnie patrzył czy to na starania o ogłoszenie dogmatu nieomylności [1], czy to na wszelki rygoryzm dogmatyczny [2]. To usposobienie Newman'a nie doprowadziło go nigdy do konkretnych błędów teologicznych [3], ale było niewątpliwie, słusznie czy niesłusznie, kamieniem obrazy dla wielu angielskich katolików, było i powodem pewnej niełaski Rzymu, która nie ustąpiła aż z wstąpieniem na tron papieski Leona XIII. Idee obu kardynałów miały odezwać się w Amerykanizmie i to w formie znacznie zbliżonej do grubego, wyraźnego błędu.

Tymczasem we Francyi zamach stanu z dn. 2 grudnia 1851 sprowadzał koniec rzeczypospolitej, a wznawiał już po roku drugie cesarstwo, zrazu Kościołowi przychylne. Jednakże loża, która po Rosminim i Giobertim objęła była wyłączne kierownictwo nad ideą jedności włoskiej [4], umiała cesarzowi i głośno i po cichu,

---

[1] List do biskupa Ullathorne, w którym Newman oświadczał się przeciw ogłoszeniu dogmatu nieomylności, był listem czysto prywatnym, który jedynie drogą niedyskrecyi dostał się do dzienników i wywołał radość w liberalnym, a niepokój w katolickim obozie. Ton listu był dość gwałtowny ale, jak zawsze, chodziło Newman'owi nie o siebie ale o drugich, aby im drogi do kościoła nie zacieśniać.

[2] Por. piękne studyum o Newman'ie Bremond. *L'Inquiétude religieuse.* Paris. Perrin. 1903. str. 230—255.

[3] O trochę luźnej teoryi inspiracyi przedstawionej w artykule »Nineteenth Century« Luty 1884, której po encyklice »Providentissimus Deus« trzymać się już nie można — niema co wspominać. Jego teorya ewolucyi dogmatów wydana w r. 1845, zaczęta w r. 1843 sławną mową w dzień oczyszczenia Matki Boskiej, na razie tylko budziła obawy katolików, dziś zdobywa sobie zupełne uznanie. Por. Newman: »Le dévoleppement du dogme chrétien« par Bremond. Paris. Bloud. 1905.

[4] Dla idei pokrewnych duchem Rosmini'emu pracowali jeszcze później Pantaleoni, Passaglia, Curci (obaj exjezuici) Luigi Tosti.

ale stanowczo przypominać powzięte dawno zobowiązania i dane obietnice. Szereg skrytobójczych zamachów [1] burzył w duszy Napoleona III — nie wiadomo czy własne dobre zachcianki, czy obce zbawienne wpływy, czy może rozmyślnie a fałszywie przybraną rolę opiekuna Kościoła. Ten przewrót polityczny we Francyi [2] i ta zmiana usposobienia u cesarza miały silnie zaważyć na kolejach liberalnego katolicyzmu w tym kraju.

Okazyą gwałtownych sporów w obozie katolickim, sporów, które popchnęły Montalembert'a i jego kierunek w fazę wyraźnej opozycyi do Rzymu, był niewątpliwie Ludwik Veuillot. Zawzięty wróg rewolucyi, po Napoleonie III, owszem po jego dążeniach absolutystycznych spodziewając się złamania ruchów rewolucyjnych we Francyi i w Europie oddał swe pióro w usługi cesarstwu; sercem całem zakochany w Rzymie i w Piusie IX, całą energią swej żołnierskiej ale i po żołniersku bezwzględnej natury rzucił *Univers* w fale tego prądu, co od roku 50 płynął na świat z Watykanu. Programem jego i celem wszystkich wysiłków był nie rozdział, ale harmonia dwóch władz: kościelnej i państwowej, a jako ideał tej harmonii, przedstawiał sobie zawsze dawną chrześcijańską monarchię »z Bożej łaski«.

Montalembert przeciwnie. Choć nigdy nie był przestał walczyć w obronie interesów Kościoła z zimnym i obojętnym dla religii rządem Ludwika Filipa, sercem, rzecz dziwna, pozostał wiernym tej epoce »liberalnego« królestwa, bo ona stosunkowo najlepiej odpowiadała jego polityczno-kościelnym ideałom, może i dlatego, że patrzała na najświetniejsze tryumfy parlamentarnej jego działalności. Jak bolał głęboko nad rewolucyą lutową, tak zamach stanu przyjął niechętnie, z goryczą w sercu. Z tą samą

---

[1] 28 kwietnia 1855 Pianori; 8 września tegoż roku Bellemare. 2 lipca 1857 odkryto spisek Tibaldego, Grillego, Bartolottego; 14 stycznia 1858 Orsini i Pietri.

[2] »La politique allait faire le tourment des dernières années de Montalembert... de proche en proche elle allait le pousser lui cet admirable catholique dans une opposition chagrine et ardente, non pas à l'Église, mais au grand courant providentiel, qui entraînait alors l'Église vers le but que chacun sait«. Études. t. 92. str. 580.

niechęcią, na nalegania nuncyusza i kilku biskupów, przyjmował udział w komisyi doradczej, ale już po miesiącu podawał się do dymisyi, zrażony konfiskatą dóbr Orleanów. Od tej chwili zacznie się opozycya do rządu, do Veuillot'a i jego kierunku, a niestety i do Rzymu, którego myśli *Univers*, mimo wszystkich swoich gwałtowności, przeprowadzał najwierniej. Pod wpływem tej opozycyi dojrzewało w duszy Montalembert'a i jego zwolenników: Foisset'a, Lacordaire'a, Cochin, Lenormant, i innych wielu około czasopisma *Le Correspondant* skupionych, to giętkie, niejasne, na posiewie myśli Lamennais'go zrodzone hasło, które długo uchodziło za program liberalno-katolickiego obozu *L'Église libre dans l'état libre* — innemi słowy, system, który Kościół toleruje jako fakt, potępia jako zasadę, a tem bardziej jako ideał: państwo jako takie bezwyznaniowe; równouprawnienie wszystkich wyznań; wolność słowa, pióra, nauczania, stowarzyszeń, aby religia katolicka nie osobliwą opieką władzy państwowej, ale zwycięstwem we wolnem współzawodnictwie zdobyła sobie przewagę. Tym myślom, które już wyraźnie przebijały w piśmie *Intérêts catholiques au XIX siècle*, wydanem w r. 1852, dał Montalembert najgłośniejszy wyraz na kongresie katolickim w Malines w sierpniu 1863 r. »Kościół«, wołał mówca i to wołał, aby nakreślić program działalności katolickiej »nie może być wolnym, jak tylko w łonie ogólnej wolności. Każde zwiększenie wolności politycznej musi wyjść na pożytek Kościoła, każde jej ścieśnienie musi wyjść na jego szkodę. Z czterech wielkich swobód [1], jakie konstytucya wasza dała Belgii w dziedzictwo, światu na wzór do naśladowania, niema ani jednej, któraby nie była nieodzowną katolikom całego świata. Katolicy dlatego tylko słabsi są od swych przeciwników, że jeszcze nie wzięli udziału w wielkiej rewolucyi, która zrodziła nowe społeczeństwo, która dała ludom nowe życie. Gdybym miał odwagę, powiedziałbym śmiało tym dwom potęgom, jakiemi są religia i wolność. Nie bójcie się siebie; zbliżcie się ku sobie i niech błogosławieństwo religii udzielone wolności położy wreszcie koniec niepokojom i walkom, rozrywającym ludzi, co

[1] Wolność nauczania, stowarzyszeń, prasy, kultu.

wam poświęcili swe życie«[1]. Zanim w roku następnym Syllabus i Encyklika *Quanta cura* przyniosły oficyalną odpowiedź Rzymu na myśli Montalembert'a[2], innego rodzaju poważne upomnienie spotykało go z Turynu, gdy Cavour w pełnym parlamencie swoje plany rzymskie pokrył jego nazwiskiem i zasadą *libera chiesa in libero stato*. Prawda, że na to ubliżające uznanie przyszła odprawa ze strony Montalembert'a, pełna siły i szlachetnego oburzenia, ale odpowiedź nie była dostateczna, bo chociaż »państwo« w jego »myśli« było raczej »ludem czy krajem«[3], logika żądała zastosowania zasady, a zastosowania zgoła innego nawet i wtedy, gdy idea państwowa Rouss'a, ustępowała miejsca idei Hegla, wcielonej w Bismarck'u czy Cavour'ze[4].

Do najzawziętszych Veuillot'a przeciwników należał Dupanloup, od 49 r. biskup Orleanu. Dawniej zdeklarowany wróg Lamennais'go i jego planów, później, pod wpływem Montalembert'a i jego przyjaciół, przeszedł całkowicie do ich obozu. A była to natura niezmiernie żywa, trawiona gorączką działania i to bynajmniej nie wystarczało mu działanie ciche, on musiał koniecznie działać rozgłośnie, szeroko, w charakterze głowy stronnictwa, w ustawicznej szermierce duchowej[5]. Zauważono słusznie, że

---

[1] Por. Stimmen aus Maria-Laach t. VII. 187 i nn.

[2] Mowa z Malines miała pójść na indeks; nalegał na papieża w tej mierze zwłaszcza świątobliwy Msgr. Pie, biskup Poitiers, z wielu innymi, ale Pius IX nie miał odwagi publicznie i pod własnem nazwiskiem potępić człowieka, któremu Kościół tyle był winien.

[3] Bardzo charakterystyczny jest ten ustęp z listu do Cavour'a: »Telle que j'avais énoncé cette formule: l'Église libre dans l'état libre, elle ne pouvait signifier autre chose, que l'Église fondée sur les libertés publiques. J'aurais certainement mieux fait de dire: L'église libre dans un pays libre... en effet l'état c'est enfin et sourtout le pays et le peuple... Un état libre n'a donc jamais signifié un gouvernement maître de faire ce qu'il veut et ne peut vouloir dire autre chose, qu'un pays libre. L'église libre dans un pays libre, j'ai dit que c'était là mon idéal.« l. c.

[4] O ciekawym wpływie Heglizmu na zjednoczone królestwo włoskie w latach 55—70 por. *Katholik* rocznik 48.

[5] Emil Ollivier tak rozpoczyna charakterystykę biskupa Orleanu: »Bossuet ayant été surpris au fond de son jardin par un orage, tandis que ses abbés, la soutane retroussée, gaignaient un abri, n'accéléra pas le mouvement majéstueux de son pas. »Mais Monseigneur, lui cria-t-on vous vous

Dupanloup w każdym liście pasterskim, w każdem nieomal słowie mówionem czy pisanem zwracał się do wszystkich katolików nie tylko Francyi lecz świata. Łatwo zrozumieć, że przy takiem usposobieniu lekka antypatya, jaką biskup już zdawna względem Veuillot'a odczuwał, że drobne spory, jakie ich już dawniej dzieliły wobec nowego kierunku i ducha Univers'a, musiały przejść w nienawiść prawie, która przetrwała nawet szlachetny zgon dziennika w r. 60, na lat 7 zawieszonego cesarskim reskryptem, za obronę praw Stolicy św., po wydrukowaniu encykliki *Nullis certe verbis*. Na smutne epizody tej walki lepiej rzucić zasłonę.

Tymczasem rozwijały, a raczej piętrzyły się wzburzoną falą te wielkie wypadki historyczne, co wypełniają karty dziejów drugiej połowy XIX w. Napoleon III z opiekuna Kościoła już się był zmienił w protektora jedności włoskiej, pod jego okiem i z jego pomocą drapieżny Piemont z północy i południa coraz cieśniejszem kołem otaczał państwo papieskie. Magenta i Solferino utorowały drogę zaborowi Legacyi; Castelfidardo i zdobycie Ankony otwarły Marchie i Umbryę, na lat 10 zostawał już papieżowi skrawek tylko dziedzictwa św. Piotra. Europa mówiła sobie po cichu nie tylko o państwie kościelnem, ale w kołach akatolickich i o samem papiestwie, co kilka lat przedtem Mikołaj I powiedział był o Turcyi, że to jest stary, schorzały człowiek, który umiera.

Inne myśli żywiono na Watykanie. Pius IX, już od lat kilkunastu śledząc pilnie symptomy ruchów, które wstrząsały światem, dochodził do przekonania, jakto sam zresztą wypowiedział, że »mimo wszystkich postępów cywilizacyi, mimo zewnętrznego blasku, społeczeństwo współczesne cierpi na raka, co gryzie i trawi jego wnętrze«. Z objawami tej choroby walczył już był przez czas dłuższy, czuł, że godzina wybiła, aby stanowczym ciosem uderzyć w sam korzeń złego i przynajmniej katolików mniej lub więcej zarażonych chorobą otrząsnąć, skupić

---

mouillez!«. »Un évêque — répondit Bossuet, ne court jamais«. Msgr. Dupanloup n'est pas ainsi: il court toujours vers quelque chose ou contre quelqu'un«. »L'église et l'état...« I. 442.

w jednym obozie, zaznaczyć im dobitnie i wyraźnie stanowisko, jakie zająć mają wobec błędów współczesnych. 8 grudnia 1864 r. krótka i stanowcza, niezmiernie poważna siłą kontrastu panującego między słabością polityczną a duchową potęgą papieża, wspaniała olbrzymią ufnością w nadprzyrodzone siły Kościoła — wychodziła encyklika *Quanta cura*, a z nią razem rozsyłał kardynał Antonelli do wszystkich biskupów świata długo i starannie przemyślany i opracowany Syllabus.

(Dok. nast.)

Ks. J. Rostworowski.

Głos Cerkwi Ruskiej o plutokratycznym liberalizmie.

(Dokończenie).

Nie można powiedzieć, żeby głosem swojego metropolity Cerkiew ruska wyraźnie wzywała do walki czy z socyalizmem czy z liberalizmem. Wyraźnie wzywa do pracy dodatniej, do troski o dobrobyt warstw upośledzonych; nie wydaje szczególnych przypisów co do walki czy odporu przeciw nikomu. Mimo to w liberalizmie daje widzieć głównego wroga społecznej pracy chrześcijańskiej.

Nawet niektóre występy książąt Kościoła, najmniej skrępowane względami na przyjęte drogowskazy, przecie nie uniknęły w tej mierze utartego zwyczaju: jeszcze dały uczuć, że to pod grozą niebezpiecznego wichrzycielstwa nawołują do społecznej pracy pod chorągwią Leona 13-go; ksiądz metropolita ruski na niczem innem nie oparł swoich zachęt do pracy społecznej, jak na widoku słabych i uciśnionych pod przewagą i przemocą możnowładców pieniężnych. Pewny był, że nikt o nim nie powie: został demokratą z rodowych przesądów przeciw warstwom arystokratycznym!

Następuje spokojny opis demokracyi socyalnej i zwięzła rozprawa z jej bezbożnemi hasłami, jawnie wypowiadanemi na Zachodzie, mniej odsłanianymi już w Polsce, tem mniej na pobożnej Rusi. Potem czytamy wykład demokratycznych haseł Kościoła:

»Oddać każdemu to, co mu się należy, każde jego prawo uszanować, to podstawa wszelkiego ładu, do którego wiedzie nauka Kościoła. Kościół nie umie, nie może być stronniczym, nie umie i nie

może nigdy nikomu służyć do osiągnięcia jego celów; każdego prawa broni, każdemu powtarza jego obowiązki.

»Bogatszym i pracodawcom przypomina obowiązek uszanowania godności ludzkiej i przeznaczenia do synowstwa Bożego. Zakazuje obchodzić się z robotnikiem jak z niewolnikiem. Praca w świetle chrześcijańskiej doktryny przynosi człowiekowi cześć, bo jest środkiem do przyzwoitego utrzymania życia, nie jest poniżeniem człowieka. Praca człowieka — to część jego życia, nie towar, którego cena rośnie albo maleje według popytu. Nieludzkością jest i ciężką krzywdą nadużywać ludzkiej pracy, a grzechem, który woła o pomstę do nieba, zatrzymać robotnikowi zasłużoną płacę (Jak. 4, 5). Nie godzi się równać człowieka z przedmiotami zysku i oceniać go podług wartości, którą przedstawia jego siła. Zapłata za pracę winna być sprawiedliwą. Oznaczenie jej miary zależy od wielu warunków. To jednak rzecz pewna, że ani Boże, ani ludzkie prawo nie pozwala uciskać ubogich, ani korzystać z ich trudnego położenia i niedostatku.

»Teorya o pracy, której broniła szkoła liberalnych ekonomistów, jest pewnie fałszywa, kiedy może jako sprawiedliwej bronić tak nizkiej płacy, która równa się najskrajniejszej nędzy. Teorya ta uważa pracę za towar, której wartość oznacza proporcya popytu i przedaży. Podług tej teoryi sprawiedliwą jest każda płaca, której robotnik może osiągnąć, a którą pracodawca jest zmuszony dawać, bez względu na to, czy jest sprawiedliwa proporcya między robotą a zapłatą. Płaca tak oznaczona przy wielkiej konkurencyi robotników może schodzić przez licytacyę *in minus* do niemożliwie nizkiej granicy.

»Ta teorya służyła systemowi kapitalistycznemu i oddawała robotników fabrycznych w niewolę konkurencyi pożerającej wszystkie małe przedsiębiorstwa, i przez to odbijającej się z konieczności na robotnikach. Dziś ogólnie uznana jest przez ekonomistów za złą i niesprawiedliwą.

»Zastąpiła ją chrześcijańska nauka o pracy i zapłacie.

»Kontrakt o pracę jest takim: robotnik obowiązuje się oddać pracodawcy swoje usługi za umówioną zapłatę. Robotnik bierze na siebie obowiązek swoją pracą, swojemi wiadomościami i siłą i czasem przynieść pracodawcy ten pożytek, jakiego mu potrzeba w produkcyi. Pracodawca obowiązuje się za robotę dać sprawiedliwie umówione wynagrodzenie. Robotnik, oddając pracę, oddaje niejako cząstkę swojego życia, oddaje jeden dzień, który bezpowrotnie mija zbliżając go do śmierci; oddaje swoje siły i zdrowie, jakby cząstkę swej istoty na usługi, które te siły i zdrowie zużywają w części tak, że przez pożywienie i sen wracają, ale i tak, że z czasem zużywają się. Naturalne prawo sprawiedliwości wyższe i świętsze od wszelkiej umowy żąda przeto, żeby była zachowana równość między pracą a zapłatą, tj. między tem, co robotnik pracodawcy, a tem, co ten robotnikowi daje.

»Do zachowania tej równości potrzeba przedewszystkiem, aby robotnik, oddający robotę porządną i pożyteczną, miał to, czego potrzeba na utrzymanie życia przez ten dzień. Do utrzymania zaś należy wikt,

pomieszkanie i ubranie, to jednak nie wystarcza, bo robotnik musi utrzymać rodzinę, albo przynajmniej dopełnić do wysokości utrzymania grosz zarobiony jakimkolwiek sposobem przez dzieci i żonę.

»Potrzeba mu prócz tego zaoszczędzić sobie z zapłaty dnia tyle, aby miał utrzymanie w czasie, w którym nie ma zarobku, w czasie choroby, na starość.

»Nadto robotnik pracowity musi sobie zarobić sześciodniową pracą na utrzymanie w dzień odpoczynku po pracy, a prawo Boże, dopełniając prawo natury, nakazuje święcić dzień niedzielny. Sprawiedliwość przeto dla tych dwóch przyczyn domaga się, żeby płaca przewyższała sumę konieczną na utrzymanie życia. Płaca niższa będzie niesprawiedliwa i nawet w razie dobrowolnie pod naciskiem nędzy zawartej umowy o płacę niższą, pracodawca byłby obowiązany do restytucyi aż do tak oznaczonej wysokości.

»Takie oznaczenie płacy jest tylko granicą, niżej której bezwarunkowo staje się niesprawiedliwą, i o tyle też ma wtedy cechę wstrzymanej robotnikowi należnej zapłaty, tego grzechu wołającego o pomstę do nieba«.

Opis demokracyi chrześcijańskiej zajmuje ledwie nie połowę listu całego. Tu znowu uderza to samo, co ciągle. Czcigodny pisarz staje po stronie pozbawionych opieki: wzywa i możnowładców pieniężnych do chrześcijańskiej uwagi na potrzeby słabych, i słabych do obrony przed kodeksem i rządem pieniężnictwa; ale czy wiele może oczekiwać po wysiłkach warstw słabych w obronie przed krzywdą możnych? Niewątpliwie do wszystkich przedsiębiorstw w myśli samoobronnej wzywać trzeba warstwy uciśnione; ale czy wynik dzisiejszych zapasów demokracyi z plutokracyą zależy głównie od wysiłków strony słabej? czy nie zależy w mierze nierównie większej od pracy Kościoła nad plutokracyą? czy nie potrzebuje koniecznie, żeby w zwartych zastępach plutokracyi Kościół wyszukiwał coraz więcej chrześcijan, coraz silniej opamiętywał sumienia, coraz liczniej opamiętanych odwodził od obrony kodeksu niesprawiedliwego, przeprowadzał ich pod chrześcijańską chorągiew demokracyi i nad osłabioną wszechwładzą pieniężnictwa zapewnił zwycięstwo warstwom wyzyskiwanym?

Tego właśnie silnego nacisku na sumienie plutokratów dotąd nie można było spotykać w występach wielu dostojników kościelnych przy ich hasłach demokratycznych. Ksiądz metropolita halicki zamieszcza kilka ustępów o obowiązkach warstw słabych;

jasną wypowiada naukę o obowiązkach biedaków; mówi, że Cerkiew uczy cierpliwości; wyjaśnia nieunikniony fakt nierówności ekonomicznej; przedstawia w nędzy następstwo grzechu pierworodnego; przypomina ubogim obowiązek sprawiedliwości, zgody i miłości; pociesza ich uwagą, że Cerkiew Boża podnosi przez zgodę majątkowo i obyczajowo. Mówi tyle biedakom najwyższy zwierzchnik ich duchowny, ale nierównie więcej mówi warstwom bogatszym. Wszak ostatecznie żadne dzieła samopomocy zawodowej bez współudziału warstw majętnych nie dojdą do skutku. Zachęcać nędzarzy do samopomocy a nie wstrząsać zaraz w możnych sumienia dla opłakańców: to przypomina ów wyrok, którym apostoł potępia samolubów za słowa: »jesteś głodny biedaku? o, pójdźże najeść się!... zimno ci? a, ogrzejże się co prędzej!... oczywiście na to nie wypłacę tobie złamanego halerza«.

Wielebny arcypasterz na to przeznaczył właściwą treść swojego wykładu o demokracyi, aby ocucać sumienia pracodawców: więc wyjaśnia zasadę braterstwa ludzi, wykłada pracodawcom ich obowiązki, rozwija chrześcijańską naukę o pracy i zapłacie, wydaje wyrok na zwykłe umowy o pracę, przedstawia sprawiedliwą zapłatę, poleca wzgląd na potrzeby duchowe robotników, opisuje obowiązki duchowieństwa jako pracodawców, podaje naukę o zasadniczej sprawiedliwości chrześcijańskiej w stosunkach z najemnikami, nie kryje ciemnych stron ludzkiego zakonu sprawiedliwości i nie zaprzecza, że tej cnoty świat w doskonałym stopniu nie widzi, ale za to nalega, żeby sumienie uzupełniało wszystko, o czem milczy sprawiedliwość ludzka w stosunkach społecznych, podaje uchwytne wypadki, w których ustawa niesprawiedliwa pozwola mocnemu krzywdzić słabych: jedynie sumienie z nauką Kościoła przeszkodzi bezprawiom wobec Boga, uprawnionym przez ustawę i zwyczaje. I wyprowadzone z tych zasad wnioski zdołają ocucić sumienie niejednego z ludzi majętnych, ukołysane do snu wolnomyślnym kodeksem. Nie brak tu tych wniosków, jasno wyłuszczonych, o sprawiedliwości bez sumienia, o niezbędnej potrzebie miłości, o sprawiedliwych i prawnych krzywdach i prostej drodze do prawdy, o sumieniu społecznem, o niebezpieczeństwach bogactw i groźbach przeciw nim wypowiedzianych w kazaniu na

górze i w listach apostolskich, o prawie tylko względnem właściciela a nie zgoła nieskrępowanem do majątku i o przepisach, jak trzeba dóbr używać.

Po wykładzie demokratycznych zasad Leona 13-go arcybiskup wchodzi w przegląd wskazówek najważniejszych dla samych pracowników społecznych i do tej pracy usilnie wzywa swoje duchowieństwo; wspomina znowu o najistotniejszych częściach tej pracy, o których już z początku listu potrącił, ale wyznacza im zakres czysto gospodarczy, zdolny podnieść wprost dobrobyt. Wskazówki księdza metropolity Szeptyckiego dla pracowników społecznych zawierają same tylko przepisy zawodowe, a dotyczą ledwie nie wyłącznie duchowieństwa: mniej przytem muszą obchodzić ogół, prócz wskazówki jednej, zdolnej zająć dziś wielu czytelników: mianowicie zasady o udziale duchowieństwa w polityce.

Demokracya czerwona nie cierpi ze sobą współzawodnictwa chrześcijańskiej demokracyi w zabiegach o poprawę stosunków; arystokracya żółta czasami jeszcze silniej niż przed pracą przewrotowców drży przed hasłem Leona 13-go; z dwóch tedy źródeł płyną okrzyki, że trzeba przy rozprawach społecznych odebrać głos zwłaszcza wybitniejszym pracownikom duchownym, wszak księża milczeć mają w polityce. Oczywiście zgorszeni udziałem duchowieństwa w politycznych pracach, nie odróżniają pojęć, dziś zawartych w dwuznacznym wyrazie: nie zwracają uwagi, że wyraz »polityka« przekroczył dawne swoje pojęcie z 16-go stulecia, przeszedł dziedzinę zarządu państwem, obejmuje już nie zatargi tylko międzypaństwowe albo stosunki władców z ościennemi mocarstwami: dziś polityka wchodzi także w dziedzinę społecznego samorządu i w stosunki śródpaństwowe między mieszkańcami, godzi współzawodnictwa warstw obywatelskich śród narodu na polach ustawodawstwa gospodarczego. Oczywiście międzypaństwowa polityka wspólnie z potęgą zbrojną uprawia swój zakres najmniej zbliżony do zagonów pracy kościelnej; w tem pojęciu międzynarodowem, polityka najdalej leży od obowiązków duchowieństwa. Przeciwnie wśródpaństwowa polityka dotyczy wielu żywotnych potrzeb obywatelstwa i wkracza w dziedzinę, na której

miłośnik swojej ojczyzny ma prawo wywierać wpływ narodowy bez przeszkody z tego powodu, iż może służy ołtarzom; w tem pojęciu śródpaństwowem, polityka nie mniej, niż każde gdzieindziej pole zasług obywatelskich, zająć może czas nieurzędowej pracy duchowieństwa. Żadna polityka, ma się rozumieć, ani międzypaństwowa ani śródpaństwowa, nie wchodzi w obręb właściwych prac duchowieństwa w żywocie pustelniczym.

Tu nakoniec trzeba uważać, że żadna polityka, jak to z naciskiem wykłada ksiądz arcybiskup, choćby stosowna dla duchowieństwa w życiu domowem, nie śmie towarzyszyć księdzu »ani w kościele, ani w konfesyonale, ani w żadnym stosunku proboszcza do wiernych«. Więc arcypasterz wyjaśnia, że temi słowami wcale nie piętnuje wogóle wszelkiej polityki, jakoby niezgodnej ze stanem kapłańskim. Tak nie jest. Przeciwstawia księdza w jego życiu domowem — nie jego życiu na widowni szerszej, obywatelskiej, ale jego obowiązkom kapłańskim. I tę zasadę głosi: ksiądz nie może być politykiem w kościele, nie śmie polityki mieszać do kazania ani do żadnych stosunków swoich, jako duszpasterza, z wiernymi, nie śmie nadużywać kościelnej pracy w zamiarach politycznych: jednak może, a czasem wprost powinien brać udział w życiu obywatelskiem. To samo odnosi się do pracy ekonomicznej.

»Nie możemy, rzecz oczywista, — pisze czcigodny arcypasterz, — usuwać się od polityki, bo to jeden z naszych obywatelskich obowiązków, ale jeszcze mniej możemy usuwać się od obowiązku naszego stanu, chociażby najmniejszego, i w każdej, chociażby zupełnie ekonomicznej i materyalnej sprawie, musimy być przedewszystkiem kapłanami.

»Stanowczo fałszywym i szkodliwym jest kierunek: zaniedbywanie strony społeczno-ekonomicznej. Kościół tych spraw doczesnych i materyalnych nie lekceważy, przez nie prowadzi do wiary i moralności. Ksiądz, który na żądanie parafian nie chce otworzyć czytelni, sklepiku, śpichlerza gminnego i podobnym instytucyom jest przeciwny, nie odpowiada swemu stanowisku ani powołaniu. Rzecz to prawie niemożliwa, by miał we wsi prawdziwy wpływ i nie miał przeciwników, nawet pomiędzy najlepszymi parafianami, bo ludzie po wsiach, którzy upominają się o tego rodzaju ogólnie pożyteczne instytucye, to zwyczajnie najlepszy element we wsi«.

Nie szczędzi też zachęt dostojny arcybiskup dla księży do

pracowitej nauki i wiedzy zawodowej o gospodarce społecznej i dobiega do końca listu słowami do duchowieństwa:

»Ze względu na aktualność tej pracy i tej sprawy, nieraz jeszcze do niej wrócę. Dziś idzie mi przedewszystkiem o to, by powiedzieć, do jakiej miary uważam ją za rzecz ważną, żeby tych z Was moi bracia Kapłani — którzy w tym kierunku usilnie i szczerze pracujecie, w Waszych usiłowaniach utwierdzić, a ustrzedz przed omyłkami, któreby mogły stać się w następstwach niebezpiecznemi; tych zaś, którzy nie zdają sobie sprawy z doniosłości tej akcyi, albo dla jakichkolwiek przyczyn usuwają się jeszcze od niej, stanowczo na tę drogę skierować«.

* * *

Z radośną dumą Małopolska wymienia swojego Arcybiskupa, który w niezapomnianym liście rozwinął nad naszym krajem demokratyczną chorągiew Leona 13-go. Dziś nie naszą dumę narodową podnosi widok arcybiskupa demokraty, bo z innej to katolickiego Kościoła owczarni pasterz zabiera głos, ale głos ten radować nas może, jako śmiało przez ruską Cerkiew wypowiedziane hasło Kościoła w obronie słabych przed kodeksem niesprawiedliwym.

Widok to nie ten, na który uczyły nas spoglądać ostatnie wieki ubiegłe. Wszak przywykliśmy przy społecznych przewrotach widzieć pasterzów Kościoła pierwszą podporą kodeksu i ładu zagrożonego, pierwszą pastwą ludu żądnego swobód a nie życzliwymi po jego stronie doradcami, nie podporą przeciwników kodeksu.

Bo też stulecia owe, z wyjątkiem ostatniego, przechowały po księgach praw spuściznę chrześciańskiego ducha w gospodarce społecznej. Dla tej wówczas zgody, co do zasad, między kościelną ustawą i kodeksem świeckim, każdy Muenster czy Pankracy albo inaczej zwany wódz na wojnie chłopskiej musiał spotkać przeciw sobie sprzymierzonych obrońców kodeksu, jednych z bronią u boku, drugich z krzyżem na piersiach.

Świeżo ubiegłe stulecie rozdzieliło ustawodawcze porządki od Kościoła, umyśliło z potęgi chrześcijaństwa i z narodu pracowitego przesunąć środek równowagi społecznej na bezwyznaniową potęgę plutokracyi, zaprowadziło ład, którego podporą Kościół

być przestał, obrońcą być nie może: Rzym wraca zwolna na stanowisko swoje dawne, z doby jeszcze, kiedy kiełznał rozstrój wśród średniowiecznych rycerzy.

Wtedy w niejednem państwie świeckiem stosunki, dopiero nawiązywane, między stolicą a krajem jeszcze nie zdążyły określić, dokąd sięga już obowiązek względem wprowadzonego siłą wypadków kodeksu dworskiego, gdzie jeszcze krajem rządzi zwyczaj swobodny. Wtedy przy zatargach między samowolnem dworactwem a ziemiaństwem, przyrodzone prawo nieraz przemawiało za narodem wprzęganym do jarzma: wtedy Kościół za przyrodzonem prawem stawał po stronie obywateli, żądnych swobody.

Na chwilę można w tem miejscu opuścić widownię wypadków nowożytnych i cofnąć wzrok aż po dawne zawiązki dziejów znanych nam najbliżej: przy początkach Polski ujrzymy zwierzchników Kościoła raz po raz nie dworakami, tylko przewódcami społeczeństwa w oporze przeciw stolicy i jej kodeksowi. Wycieczka taka, choć daleka, może nie być niestosowną, aby tu uwidocznić, że nie dopiero od słów Leona 13-go, ale już od czynów długiego rzędu biskupów, przed wiekami, dawno Kościół znał walkę przeciw ładom niesprawiedliwym, za ktorymi widział powagę stolic i dworów.

Niesprawiedliwie wyrokują kodeksy najczęściej w dobie zmiany nagłej stosunków, którą zaskoczone ustawodawstwo potrzebuje czasu, aż wybrnie z odmętu. Właśnie doba dziejowego przełomu i zwrot społeczeństwa od ustroju rodowego do powagi mocarstwowej wyrabiały u przodków naszych pojęcie berła i jego potęgi, kiedy między niedostrojone żywioły wszedł Kościół. W chwili takiej o zamęt nie trudno. Powaga berła jeszcze świeżego, bo ledwo z przed kilkudziesięciu lat, dopiero nabywała wpływu i ustalała swoje rządy. Zdołała pod wojskowymi znakami Polan z nad Gopła spoić przy ich stolicy, jakby jedno ciało przy głowie, plemiona sąsiednie na Kujawach i na Śląsku, na Powiślu górnem i na Mazowszu. Ale potęga ta nowa, prócz spójni wojskowej, nie dokazała jeszcze wiele wśród plemion nawykłych odrzucać cudze rozkazy. Uznana, aby przodowała wspólnym drużynom na wojnie, nie zyskała jeszcze pełnomocnictwa od

ziemian, aby do nich sięgać rozkazami aż w domowe zacisze. Mogła powagą najzbrojniejszego ramienia wkraczać w sprawy społeczne, ale jeszcze nie poparłaby takiego kroku powagą przyjętej ustawy.

Prócz wojskowych potrzeb, powierzonych zarządowi polskiego berła, spojone plemiona zapobiegały przeróżnym, innym potrzebom, na drogach utartych odwiecznym zwyczajem i urządzały sobie życie według patryarchalnych zasad na rozkazy głów rodu.

Gdzie wtedy dworzanom ze stolicy wysyłanym tylko zbrojne ramię, a nie moc ustawy otwierała wstęp do narodu z rozkazami, tam jeszcze głowa rodu, zwany starostą, władał w pradziadowski sposób swojem pokoleniem, osiadłem na wspólnocie rodowego majątku w ujeździe, i nie składał władzy aż przy śmierci w ręce następcy, którego sam mianował. Do spraw międzyrodowych, do sądów, do rozkładu na ujazdy ciężarów i danin dla pogotowia wojennego, do obowiązkowej obrony swoich obszarów przed najazdem, do wszelkich narad w nagłych przygodach nie stolica wkraczała swoją powagą, tylko wystarczali starostowie z całego opola. Dwór tylko osobiście wezwany podczas objazdów kraju wykonywał sądy w sprawach obywatelskich.

W takiej dobie do naszych krajów i ziem wszedł Kościół. Znalazł berło dotąd szanowane, bo samo szanowało jeszcze ustrój starodawnych rządów, ale coraz pewniejsze własnych sił, mogło łatwo przekraczać coraz dalej pierwotny zakres własnego obowiązku i prawa: miało zaraz znaleźć w Kościele przeszkodę. Po Mieczysławie (962—992) i Chrobrym (992—1025) nie ciężył jeszcze narodowi Gnuśny (1025—1034), a tem mniej Odnowiciel (1041—1058), ale już dokuczliwie zaciężył Śmiały (1058—1080). Biskup Stanisław Szczepanowski musiał poskromić »niesłychanie pysznego« mocarza, tak samo jak po spokojnym Hermanie (1081—1102) naprzeciw Krzywoustego (1102—1138) stanąć musiał arcybiskup Marcin gnieźnieński, jak arcybiskup Jakób naprzeciw syna jego Władysława (1138—1143) w obronie młodszych braci. Tylko przeciw Kędzierzawemu (1143—1173) niewiadomo, czy który biskup prowadził wraz z Jaksą Gryfem niezadowolnionych, ale

oburzeni samowolą i zdzierstwem Mieszka Starego (1173—1177) znaleźli przodownika w biskupie krakowskim Gedeonie i pod przewodem Kościoła na zjeździe w Łęczycy spisali najważniejsze zasady zgody między społeczeństwem a berłem Kazimierza Sprawiedliwego (1177—1194). Jego syn Leszek (1194—1227) zawdzięczał berło biskupowi Pełce i niczem nie zakłócił zgody w kraju, a metropolita gnieźnieński Henryk wymógł na Laskonogim i udziałowych książętach cześć dla ustaw. Aż znowu, nawet jeden z najmniej dbałych o krzywdy bezbronnych, Paweł krakowski biskup, przecie stanął po stronie rozżalonych na niesprawiedliwe wyroki Wstydliwego (1227—1279) i przewodził Sandomierzanom przeciw uciążliwemu dla nich, zniemczałemu Leszkowi Czarnemu (1279—1288). I jak dziad Leszka, Konrad Mazowiecki, w rozpędach swawoli spotkał Iwona biskupa przed sobą, tak i brat, Łokietek (1288—1333) najprzód duchowieństwu zawdzięczał główną podporę, ale winien wybryków rozpasanej drużyny i własną ręką zadawanych krzywd, pogromcę znalazł najprzód w Jędrzeju, biskupie poznańskim, a następnie w Nankierze, krakowskim, a potem wrocławskim biskupie; obłożony klątwą stracił berło; upokorzony przed Kościołem odzyskał je wraz z koroną. I za Kazimierza Wielkiego (1333—1370) znalazło biskupstwo krakowskie Baryczkę, gotowego żywotem przepłacić opór stawiony bezprawiom mocarza, aż przecie określony już dokładniej kodeks we Wiślicy ustalać mógł równowagę wśród nieokiełznanych żywiołów.

Słowem długo doba piastowska i bez przerwy wytężała siły, nim zdołała pozakreślać wyraźniej obręby dwojakiej władzy: starszej, którą z ustroju słowiańskiego przechowywali rodowo ziemianie, i nowszej, wykonywanej w stolicy. Rzadko zawierały ze sobą rozejm, odkąd raz poszły obie potęgi w zapasy, zaczęte ze śmiercią jednego męczennika, biskupa Szczepanowskiego, zakończone ze śmiercią drugiego, księdza Baryczki. Nie tylko obiema temi wytycznemi postaciami w przebiegu walki Kościół zaznaczył swoje stanowisko, ale też wszystkiemi, z któremi, jak wymieniono, na czele szli ziemianie zawsze, o ile wiemy, kiedy tylko wytrącili berło z ręki zbyt ciężkiej; ani razu nie spotykamy Kościoła w dworskiem stronnictwie przeciw ziemianom w chwili przełomu. Kościół w tych wypad-

kach nie występował przeciw istotnej powadze dworu, tylko przeciw niebezpieczeństwu, zawieszonemu i nad samym dworem, i w następstwach nad całym krajem; samą powagę berła podtrzymywał właśnie tem, iż powstrzymywał je od wybryków bezprawnych i samowolnych, strzegł je przed tą wieczną pokusą, w którą wpadają władcy bezwzględni i ciągną za sobą narody w drogę upadku [1].

Takie widzimy stanowisko Kościoła, opisane na kartach roczników naszych, ale nie w dziejach każdej doby każdego narodu. Już u sąsiadów naszych zachodnich widzimy, że imperyalizmowi służyło duchowieństwo w średnich wiekach za przeciwwagę przeciw niekarnemu rycerstwu. Nie w tego duchowieństwa ślady widzimy, że dziś kroczą biskupi demokraci: mają przed sobą wzory piękniejsze w dziejach Kościoła.

Niedostrojone w średnich wiekach stosunki weszły w karby już dawno. Spór o zakres wpływu dwóch powag przed wiekami już ustał. Ustała wtedy potrzeba dla Kościoła, żeby na czele gnębionych szedł do walki przeciw samowoli stolic i stanowisk naczelnych, póki nie nastał nowy roztrój między kodeksem wolnomyślnym a gospodarczemi potrzebami społeczeństwa. Nie zaradziły dotychczas zamętowi dostatecznie najnowsze wysiłki prawodawstwa w walce o poprawę doli wydziedziczonych. Jak w średnich wiekach, tak znów dziś chrześcijański ruch wśród demokracyi wygląda od Kościoła dostojnych chorążych, aby wydrzeć berło arystokracyi żółtej i zabezpieczyć sobie źródła dochodu wbrew wolnomyślnym kodeksom. Kościół na głos Leona 13-go tych chorążych dostarcza i staje znowu na widowni walk o prawa uciemiężonych warstw chrześcijańskich przeciw wolnomyślnym warstwom ciemiężkim, staje do walki o kodeks, godny chrześcijańskich społeczeństw.

I Kościół zyskać może w tych zapasach nowych to samo,

---

[1] Por. »Dzieje Polski za Piastów« d-ra F. Konecznego i »Historyę« prof. Szujskiego, który nieraz mówi, np. Ks. 3 ustęp 1-y: »Kościół jako przedstawiciel cywilizacyi, tak moralnej jak materyalnej, musiał dążyć do osłabienia ciężkich i niedozwalających na rozwój prawdziwej kultury, praw książęcych, a wyłamując się sam z pod tych praw, utorował drogę innym stanom«.

co dawniej zdobywał w tylu przeprawach, z których wychodził zwycięsko. Wyrabiać najprzód w sobie musi ludzi przejętych głęboko chrześcijańskim poglądem na dobra doczesne.

Wszak wie, że — jak wyraził ks. Badeni w *Przeglądzie* słowami świątobliwego zakonnika — sam Kościół przez nikogo tyle nie uspokoi zawieruchy społecznej, ile przez naśladowców Chrystusa, gotowych pójść boso z krzyżem w ręku uczyć ubóstwa. Potężny takimi bojownikami Kościół zdoła przeprowadzić swoją myśl społeczną wysiłkiem własnym, bez pomocy, jakby z miłosierdzia użyczanej, władz bezwyznaniowych. Tą drogą zdoła Kościół prowadzić przeciętne społeczeństwo na wyższe stopnie dobrobytu, zamiast żeby po tych stopniach szły pod obłoki same tylko jednostki, i poprowadzi drogą własnych zwycięstw nad potęgą plutokracyi, zamiast od niej dostawać prawo do ścieżek wyznaczanych łaskawie.

I we właściwej walce przeciw kodeksowi dzisiejszego ucisku, prawie na sprzymierzeńców przeciw arystokracyi żółtej wyglądać mogłyby, a przynajmniej nie na przeciwników, demokracye obie: czerwona i chrześcijańska, gdyby czerwona istotnie miała na widoku poprawę kodeksu niesprawiedliwego, a nie mrzonki nieuchwytne i nie walkę z żadnem przykazaniem boskiem. Wtedy możnaby życzyć, żeby demokracya socyalna coraz więcej szczerych bojowników o prawa wydziedziczonych łączyła napowrót z chorągwią chrześcijańską, bo pod tą chorągwią dla nędzarzy nadzieja zwycięstwa nad liberalną plutokracyą błyszczy coraz jaśniej, bo już jeden po drugim z najdostojniejszych pasterzy Kościoła nie poprzestaje na trosce, żeby owczarnię swoją karmić chlebem słowa Bożego, żeby zaprawiać ją w zwycięskie boje o Królestwo przedewszystkiem niebieskie. Nadzieja rośnie na widok tych wodzów bożych, którzy bojowników swoich ćwiczą także do walki przeciw kodeksowi bezprawia, aby zdobyli w dodatku do skarbów wiecznych, także na tej ziemi potrzebne dobra doczesne. Wszak obietnicę tego dodatku mają z Ust najpewniejszych.

Ks. K. Czaykowski.

WOJNA[1].

NOWELA.

Rozterka w sercu Maniusi zaczęła się od chwili, kiedy jej tatę, pana Wołodkiewicza, powołano na wojnę.

Tata był oficerem i oczywiście musiał iść bić się, skoro wojna była wypowiedzianą. Ale Maniusi nie mogło się pomieścić w główce, dlaczego ludzie wymyślili wojnę. Zapytać taty o to zawczasu Maniusia się nie domyśliła; o! bo ona była wtenczas zupełnie jeszcze głupiuchną dziewczynką: ciągle tylko grymasiła i płakała i nie mogła zadać tacie żadnego rozsądnego pytania. Prawda i to, że wtenczas wszyscy płakali: i mama i niańka Maremiana[2] i babcia — babcia nie tylko że płakała, ale się i gniewała, mówiąc: »Wrócę do domu, odjadę do kraju«... Ale Maniusia dobrze wiedziała, że babcia nie odjedzie i że oni nie mają już ani swego domu ani swego kraju.

Kiedy w długie zimowe wieczory babcia siadała do książki i czytała: »Litwo! ojczyzno moja», i dalej: »Panno święta, co Jasnej bronisz Częstochowy« — Maniusia myślała sobie, »dla-

---

[1] Autorką tej nowelli jest Rosyanka, w swojej literaturze już dość wybitne zajmująca stanowisko. Utwór niniejszy, nigdzie jeszcze nieogłoszony, przeznaczyła autorka wyłącznie dla naszego miesięcznika. Podpis jest oczywiście pseudonimem. *Redakcya.*

[2] Jest to rosyjska ludowa forma imienia: Maryanna.

czegoto Panna święta nie zachowała ojczyzny?« i raz nawet zapytała babcię: »czy to Panna święta nie kochała ojczyzny?«

Babcia z początku się zamyśliła, a potem się rozgniewała: »Nie nudź!«

Tak samo powiedziała i mama i Maniusia więcej nie nudziła. Ale dlaczego, dlaczego ona nie zapytała się wtenczas taty, czemu ludzie wymyślili wojnę?!

I doprawdy, dlaczego oni wymyślili tę wojnę? — myślała sobie Maniusia. Kiedy nie było wojny, był piękny dzień, był tata i była mama.

W tym dniu ona szła ulicą w puszystej białej salopce z białą mufeczką w rękach i w takimże kapturku, który Maremiana nazywała: »Ka-por«.

Wszyscy się w nią wpatrywali i mówili: moja droga, moje kochanie, a dwoje dzieci na Długiej ulicy, zobaczywszy ją, nawet się posprzeczały. Chłopczyk, popatrzał na nią i powiedział: »moja!« A dziewczynka, co z nim szła, odpowiedziała: »nie, to moja, twoja większa«.

Dzieci się zatrzymały, a po ich zagniewanych minkach Maniusia się domyśliła, że zaraz zaczną wojować.

Szła prędko obok niani, oglądając się raz po raz w tył i w końcu rzekła: »jakie te »ditiatki« zabawne!

— »Djetki« — poprawiła niania — po rusku trzeba mówić »dietki«!

— A ja nie moskiewka! Ja nie chcę mówić »dietki«.

— No, dobrze, dobrze — uśmiechając się, powiedziała niania — nie chce panienka, to i nie trzeba.

Maniusia się uspokoiła i przyszła do domu w wesołem usposobieniu, spowodowanem sprzeczką »dietek«.

Tak, to był piękny dzień... Tata spotkał się z nią na progu i podniósłszy wysoko w górę, przycisnął mocno do piersi: »Moje złotko, moje kochanie!«

Mama spojrzała na Maniusię i pobladła.

— Kaziu! Ty chcesz powiedzieć?

Tak...

Tata chciał coś powiedzieć, ale prędko się odwrócił i wyszedł.

. . . . . .

W nocy Maniusia klęczała w łóżeczku i złożywszy rączki, patrzała na obraz »Panny Świętej«.

Moja kochana, droga... Moja jaskółeczko! szeptała Maniusia, zapatrzywszy się w obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, który czczą nie tylko katolicy, ale i prawosławni, i przed którym piastunka Maremiana uważała za swój obowiązek co wieczór zapalać lampkę. — Moje kochanie, moje serdeńko... Zrób tak, żeby nie było tej wojny!

Panna Święta uśmiechała się i dziewczęciu się zdawało, że z Jej ust cienkim strumykiem płynie srebrzysty promień i szepcze dziwnie czule: »Wkrótce, wkrótce, moje kochane dziecię, wkrótce nie będzie wojny«.

— To dobrze, ja Ci wierzę, uspokoiła się Maniusia i zasnęła.

Po tygodniu tata pojechał na wojnę razem z mamą.

Mama miała na głowie białą przepaskę, a na ręku czerwony krzyż. Poprowadziła Maniusię do obrazu i przeżegnała:

— Oto twoja Mama! Pamiętaj o Niej i módl się

— Tak, tak — w zamyśleniu rzekła Maniusia. — Ja wiem...

— Co ty wiesz, moje najdroższe dziecko?

Maniusia chciała powiedzieć, o czem mówił srebrny promień, ale się rozmyśliła i zamiast odpowiedzi uśmiechnęła się i w jednej chwili rzuciła się mamie na szyję.

Tata z mamą odjechali. A Maniusia została sama z babcią i Panną Świętą.

Dni płynęły za dniami.

Przestała się śmiać, bo jej się strasznie nudziło. Ale porankami bywały jeszcze niekiedy chwile szczęścia; bywało to wtenczas, kiedy Maniusia słuchała, o czem mówi srebrzysty promień, kiedy myślała o Najświętszej Pannie.

— Ona mię kocha...

— Matka Boska mię kocha, moja droga, kochana! — szczebiotała dziewczynka z uczuciem głębokiego zadowolenia i ukrytego głęboko w serduszku pokoju.

Jej się zdawało, że Najświętsza Panna kocha ją bardziej, niż inne takie same małe »dietki«; ale dlaczego tak się jej zdawało — tego Maniusia nie wiedziała.

Kiedy podchodziła do obrazu Panny Świętej, między nim a nią naciągała się jakaś cienka, niewidzialna nić i sprawiała w całej istocie dziewczęcia drżenie niewytłumaczonego zachwytu.

— O moja kochana! O moja bieluchna... k o t e c z k o ! — prosiło się na język, ale Maniusia nie wypowiadała: może to grzech, i Panna Święta by się obraziła.

Ale Panna Święta patrzała na nią po dawnemu swojemi miłemi kochającemi oczyma, chociaż, jak się Maniusi zdawało, czytała wszystkie jej myśli.

A o szarej godzinie Maniusia siadała w babcinym fotelu, przy oknie, w które powoli zaglądał wieczór.

Ona ten półmrok teraz lubiła dlatego, że zmierzch i cisza dziwnie harmonizowały z jej usposobieniem.

Po zasypanym śniegiem parkanie łaził duży, bury kot. To oderwało na chwilkę jej myśl od taty i mamy i od wojny, a zwróciło ją do małych kociątek, co były w kuchni, które ona nazywała »koci«. »Takie śliczne, miluchne kocie«.

A babcia stała się jakaś gniewliwa, zła.

— Czego się babcia gniewa? — pytała Maniusia. — Babcia się gniewa, że wojna?

— Nie pytaj się, daj mi pokój. Jak będziesz nudziła — to pojadę, a ciebie zostawię kacapom.

— A co to jest kacap?

— Chłop.

— To ten, co przychodził do nas do kuchni i prosił chleba?

— Tak.

— No to ja się go nie boję. On taki dobry!

Na noc Maniusia usypiała swoją lalkę i przyśpiewywała jej, nazywając ją kacapem.

— Śpij mój kacapku, chciało ci się jeść i dali ci obiad. Śpij mój kochany kacapku.

Na dziecięcą wyobraźnię działały tylko zewnętrzne dźwięki, a słowo kacapek wydało się jej takie miłe, takie czułe.

»Babcia się złości dlatego, że wojna«, myślała sobie dzieweczka w czasie długich, zimowych wieczorów, leżąc w swojem białem łóżeczku. »Mój tata, to jej dziecko, a on pojechał na wojnę«.

— Babciu! dlaczego ludzie wymyślili wojnę? — zapytała na drugi dzień staruszkę. — Kto chciał wojny?

— Cicho bądź!

— Babuniu najdroższa, dlaczego jest wojna, dlaczego?

— Bo car chciał wojny.

Maniusia się zamyśliła.

— A czy on ma dziecko?

— Ma.

— A gdyby mój tato był carem, toby nie chciał wojny...

— Tak, tak, onby nie chciał.

Maniusia kiwała swoją śliczną ciemno-kędzierzawą główką i powtarzała: »On kocha swoje dziecko, onby nie chciał.

— Milcz już, głupie dziecko! — zawołała babcia, otrzymawszy tego dnia list z czarną obwódką.

. . . . . .

Maniusia była zdziwiona. Ona nigdy nie widziała swej babci tak gniewną.

— Brr... czego się babcia gniewa?! — zawołała i Maniusia na babcię, ale, zobaczywszy w jej oczach łzy, natychmiast zapomniała o swoim gniewie i w jednej chwili rzuciła się babci na szyję i zaczęła płakać.

— Najmilszej babunieczce nie trzeba się naprzykrzać! Ona staruszka. Jej dziecko, mój tata, pojechał na wojnę!

— Niema już taty, niema! — zawołała babcia, przycisnąwszy kurczowym uściskiem do piersi swoją Maniusię.

Maniusia otworzyła szeroko oczy, popatrzyła, ale zaraz się uspokoiła i odsunęła się od staruszki.

— Jakie też babcia straszne bajki wymyśla... Brr... jak babci nie wstyd?

Ale upłynął miesiąc i Maniusia się przekonała, że babcia nie mówiła bajek. Bo po pierwsze wróciła mama, taka blada, wychu-

dzona, w grubej żałobie, a powtóre, skoro ujrzała Maniusię, to tak samo krzyknęła, jak babcia: Niema już taty! i zaszlochała.

A babcia pobiegła po wodę i kiedy przybliżyła szklankę do maminych ust, to prawie wszystka woda się porozlewała. Ale to ani kapeczkę nie było śmiesznem i Maniusi chciało się, strasznie się chciało zapłakać.

Mama wzięła ją na kolana i długo, długo całowała i płakała; ale Maniusia nie śmiała zapłakać.

»Niema już taty!« To było nad siły, ale płakać nie mogła, bo przez ten miesiąc »babcinej bajki« Maniusia tak dużo wylała łez, że ją już oczy bolały i doktór powiedział, żeby się nie ważyła płakać, jeśli nie chce oślepnąć.

Wieczór odeszła od mamy do dawnego swego dziecinnego pokoiku, podeszła do Panny Świętej i długo w milczeniu na Nią patrzała.

Ale Panna Święta nic nie mówiła.

— »Dlaczego Ty milczysz?!« — wyrwał się nakoniec z ust Maniusi bolesny, przygłuszony krzyk. W jej chorych, jaskrawo błyszczących oczach zażegł się jakiś płomyk, lecz natychmiast przygasł. — Tyś... Maniusia szybko się obejrzała, jak gdyby się bała, czy jaki nieproszony świadek nie usłyszy tego strasznego słowa, które, tylko co miało wypaść z jej dziecięcych ust.

Ale w pokoju nie było nikogo.

Była cisza.

Dziewczynka znów spojrzała na Pannę Świętą i jej oczy na nowo zajaśniały jaskrawym, świecącym, jakimś fosforycznym blaskiem.

— Ty... niedobra! — wyrwało się jej i na złamanie szyi, jak gdyby zląkłszy się pogoni, wybiegła z pokoiku.

. . . . . .

Ale w nocy, kiedy zasnąwszy u boku Mamy, przebudziła się i pomyślała o swoim tacie, z jej chorych oczu, mimowoli pociekły gorące łzy i biedne śliczne oczki poczuły ból.

— O, tato! O, tato!

Lecz jej tata spoczywał daleko i nie słyszał swego »kochania«...

Maniusia obróciła się twarzyczką do śpiącej mamy i westchnęła. »Oto twoja Mama — przypomniało się jej — nie zapomnij o Niej i módl się«.

Głuche, tłumione łkania bolu i tęsknoty, urazy i rozczarowania zamarły w niej, nie zdążywszy przybrać się w jakąś określoną myśl. »O, Panno Święta! Panno Święta!!«

Lecz jakaś niewyraźna nadzieja, niby jasna gwiazdka, zaświeciła dziewczęciu w pomroce nocy. »Moje złotko, kochanie!«

Cichutko, w obawie, aby nie rozbudzić mamy, z pośpiechem i wzruszeniem zsunęła się z łóżka i obumierając od niepojętego chaosu uczuć, wbiegła do swego pokoiku, do Panny Świętej.

W pokoiku po dawnemu cicho i smętnie, lecz światełko lampki wciąż drga i drga...

— O, moja najdroższa, kochana, moje serduszko! O, daruj że mi, daruj swej Maniusi! — popłynęły z ust dziewczęcia miękkie, tęskliwe błagania.

Główkę schyliła ku ziemi, czołem uderza w posadzkę.

— Tyś niewinna... Przebacz!! Tyś i swojego Syna kochała bardzo, jak mnie kochał mój tata, a jednak i Twój Syn umarł... a potem zmartwychwstał... i mój tata zmartwychwstanie... O tato, tato!...

I długo, długo jeszcze w ciemnym pokoiku słychać było tęskną melodyę biednego dziecięcego serduszka, długo, długo brzmiała w powietrzu ta melodya, w której tak wiele czuć było tęsknoty nie dziecięcej, tak wiele głębokiego i bez wyjścia nieszczęścia:

— »Tyś niewinna... Nie gniewaj się na mnie«.

Maja.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Polska literatura agrarna w XX wieku.

V.

Władysław Grabski: »Zasady związków rolniczych ze względu na potrzeby mniejszych gospodarstw». — Leon Lisowski: »O potrzebie reformy kredytu rolnego». — Ludwik Krzywicki- »Stowarzyszenia spożywcze». — Waliszewski: »O syndykatach rolnych u nas«. — Aleksander Rembowski: »Towarzystwo królewskie gospodarczo-rolnicze». — Władysław Grabski: »Historya Towarzystwa rolniczego« 2 tomy. — Stefan Richter: *Das landwirthschaftliche Vereins- und Genossenschaftswesen.* — Dimitz: *Die Forstvereine.* — Jan Hupka: »Zawodowe stowarzyszenia rolnicze«, — Leopold Caro: »Zawodowa organizacya rolników«. — Stefan Pawlik: »Pruskie Izby rolnicze ze szczególnem uwzględnieniem Izby rolniczej w Poznaniu«. — Al. Dąmbski: »Nasza organizacya rolnicza« — Br. Dulęba: »Zawodowe stowarzyszenia rolników w Austryi«.— Dr. Fr. Stefczyk: »Sprawozdanie z podróży dla zbadania spółek rolniczych; Rolnicze spółki magazynowe«. — Dr. Tadeusz Kudelka: »Z ruchu spółkowego w Austryi«. — Krosiński: »Wiejskie kasy pożyczkowe systemu Raiffeisena«. — Dr. Karol Kolischer: »Organizacya kredytu w Galicyi«. — Dr. Stanisław Kozicki: »O kredycie i towarzystwach kredytowych dla włościan i rzemieślników«. »Kredyt krótkoterminowy dla włościan«.

Prof. Simonenko w pracach warszawskiego Komitetu statystycznego zarzucił towarzystwom rolniczym, że włościanie do nich nie należą; odpowiedź na jego wywody jest treścią rozprawki p. Władysława Grabskiego [1], w której autor wykazuje, że przyczyną tego

[1] »Zasady związków rolniczych ze względu na potrzeby mniejszych gospodarstw« (Prace Sekcyi Rolnej za II półrocze 1902 r., str. 9—25).

ujemnego stanu rzeczy wzięcie gubernii za podstawę terytoryalnego zakresu działania towarzystw. Pan Grabski przemawia za potrzebą tworzenia organizacyi miejscowych, powiatowych, a nawet mniejszych w razie potrzeby, na co rząd obecnie nie pozwala, natomiast wolno zakładać spółki udziałowe, złożone z włościan i z intelligencyi miejscowej, które mają na oku ściśle określone gospodarcze cele: zakupno towarów na wspólny rachunek członków, przeróbkę mleka i t. d. W najnowszych czasach powstało dość dużo spółek tego rodzaju. Wieś Wola Bukowska w powiecie miechowskim pod wpływem miejscowej szlachty dała początek przez założenie »Jutrzenki« *(nomen omen)*, której organizacyę i działalność wielokrotnie opisywano [1].

Obecnie powstaje coraz więcej spółek włościańskich, rodzą się jak grzyby po deszczu, »Zorza«, która zasłużyła się propagowaniem tego ruchu, oblicza ich liczbę na sto kilkadziesiąt. Ten szybki postęp zawiera jednak w sobie pewne niebezpieczeństwa; często włościanie nie mają na oku celów rolniczych, lecz po prostu dążą do zakładania sklepiku z towarami kolonialnymi i bławatnymi, potrzebnymi do codziennego użytku pod firmą spółki włościańskiej. Pan Stefan Jankowski [2] słusznie ostrzega w krótkim a treściwym odczycie przed łączeniem sklepików ze spółkami rolniczemi. Powołując się na przykład galicyjskich Kółek rolniczych, autor dowodzi, że sklepik raz założony wyczerpuje działalność spółki, która przestaje być czynną na innych polach, a wreszcie zanika, ponieważ sklepik traci charakter spółkowy i staje się własnością prywatną. Dlatego też p. Jankowski doradza, ażeby dla zadosyćuczynienia potrzebie sklepików zakładano osobne wiejskie stowarzyszenia spożywcze, co jest jedynie racyonalnem.

Jak już nadmieniłem, towarzystwa rolnicze są w swych operacyach handlowych stowarzyszeniami spożywczemi, które zakupują towary w gospodarstwie potrzebne na wspólny rachunek członków celem oszczędzenia kosztów pośrednictwa przez nawiązanie bezpośrednich stosunków z producentem lub kupcem *en gros* i przez uzyskanie odpowie-

---

[1] Posner l. c. str. 44—50, oraz Stan. Woyczyński: »Wrażenia z wystawy miechowskiej«. Warszawa 1904, str. 20. Pan Woyczyński zwraca się z gorącem wezwaniem do szlachty, ażeby popierała tworzenie spółek włościańskich, a głos jego nie jest bynajmniej głosem wołającego na puszczy. Udział obywatelstwa w tej pracy społecznej jest daleko żywszy jak w Galicyi, gdzie ciąży prawie wyłącznie na księżach.

[2] »Handel i sklepikarstwo w spółkach włościańskich« (»Prace Sekcyi rolne« za I półr. 1904. Warszawa 1904, str. 93—99).

dnich rabatów. Pan Leon Lisowski [1] zachęca syndykaty do rozszerzenia swego zakresu działania na zorganizowanie zbytu produktów gospodarstwa rolnego (str. 23). Organizacya zbytu jest w daleko wyższym stopniu interesem spekulacyjnym, bardziej zależnym od zmiennych konjunktur targu, to też nawet za granicą, gdzie asocyacye rolnicze mają duży zapas doświadczenia i są finansowo silniejsze, mamy do zanotowania mało przykładów udałej sprzedaży produktów na wspólny rachunek członków poza współdzielczą sprzedażą nabiału i jego przetworów. Pan Lisowski chce założyć bank, któryby udzielał stowarzyszeniom kredytu na ten cel, radziłbym być na razie ostrożnym w kupowaniu akcyi tego banku. Bardziej do przekonania trafiają mi rady pp. Dzierzbickiego we wspomnianej rozprawie i Juliusza Waliszewskiego [2], którzy przestrzegają nasze młode instytucye przed zbyt pośpiesznem powiększaniem obrotów, a zwłaszcza przed zbyt hojnem szafowaniem kredytem wekslowym.

Towarzystwa rolnicze w Królestwie zakupują towary potrzebne członkom w ich wytwórczej działalności, natomiast nie handlują przedmiotami codziennego użytku; za granicą istnieją zwłaszcza w Danii i w Szwajcaryi związki rolników dla zakupna na wspólny rachunek także i towarów korzennych, bławatnych i t. p., potrzebnych członkom. W Galicyi zadanie to miały spełniać sklepiki Kółek rolniczych, przeszły jednak przeważnie na prywatną własność jednostek i utraciły charakter korporacyjny. Pan L. Krzywicki zajmuje się w swej obszernej pracy [3], wydanej nakładem jednego z warszawskich stowarzyszeń spożywczych w chwalebnym zamiarze zyskania u nas zwolenników dla tej idei, prawie wyłącznie bardziej rozpowszechnionemi zagranicznemi miejskiemi stowarzyszeniami spożywczemi, pomieszcza jednak także ciekawe i pożyteczne wiadomości o u nas niemal nieznanych duńskich i szwajcarskich wiejskich stowarzyszeniach spożywczych w znaczeniu powyżej określonem.

Badając bliżej przyczyny wydatnej działalności towarzystw i stowarzyszeń rolniczych w Królestwie, która tak wiele zyskuje w porównaniu z galicyjskiemi, łatwo stwierdzić, że długoletnia, chlubna tradycya wspólnej pracy w związkach zawodowych odegrała w tym wypadku

---

[1] »O potrzebie reformy kredytu rolnego« (»W naszych sprawach« t. III. Warszawa 1902, str. 215—241).

[2] »O syndykatach rolnych u nas« (»W naszych sprawach« tom III. Warszawa 1902, str. 358—381).

[3] »Stowarzyszenia spożywcze«. Warszawa 1903, str. 372 i 76 illustracyi.

znaczącą rolę, że wpływ przeszłości, a nawet wzorowanie się na niej są bardzo widoczne. Nie umniejszając znaczenia prac, stawiających sobie za zadanie uświadomić nasze społeczeństwo o doniosłych objawach wspólnej, zawodowej działalności rolników poza granicami Polski, musimy przecie jako wielką zasługę podnieść dążności, których celem wyświetlić nasze własne dzieje, przypomnieć to, co nam przeszłość przekazała, nawiązać nić tradycyi, zerwanej przez czynniki od nas niezależne.

Szkic p. Aleksandra Rembowskiego[1] zaznajamia nas pokrótce z pierwszemi znanemi próbami na ziemiach polskich wytworzenia stałej instytucyi, pracującej systematycznie nad podniesieniem rolnictwa i obroną jego interesów. Pan Wł. Grabski wystawił w swem dziele[2] piękny pomnik wszechstronnej działalności towarzystwu, któremu przewodniczył Andrzej Zamoyski. Założenie autora potwierdza to, cośmy poprzednio powiedzieli, pisał bowiem swą książkę »w nadziei, że stanie się ona zarówno dokumentem prawdy, jak zarodkiem czynów, ku podniesieniu obecnego położenia rolnictwa zmierzających«.

Właściwie tylko tom drugi poświęcony jest dziejom Towarzystwa Rolniczego, tom pierwszy daje nam wyczerpujący obraz otoczenia i warunków, wśród których przyszło działać twórcom pamiętnej organizacyi. Pańszczyzna stanowi cechę znamienną ówczesnych stosunków agrarnych, jej zniesienie stało się głównym tematem obrad Towarzystwa Rolniczego, to też rozmaite fazy kwestyi pańszczyźnianej w wieku XIX zapełniły znaczną część pierwszego tomu.

Pańszczyzna okazała się przestarzałą, nie tylko jako instytucya społeczna, ale wystąpiła także na jaw jej niezgodność z postępami techniki rolniczej, którymi autor szczegółowo się zajmuje. Pierwsza połowa XIX wieku zaznaczyła się zasadniczemi zmianami, które dadzą się najogólniej określić jako zastąpienie trójpolówki gospodarstwem płodozmiennem. Ograniczanie ugoru, uprawa koniczyny i roślin okopowych wysuwają się na pierwszy plan, jako główne objawy zmienionych poglądów. Rozszerza się uprawa ziemniaków i gorzelnictwo, owczarstwo staje się rentownym interesem, nieco później buraki i cukrownictwo wywalczają sobie należne im stanowisko. Zmieniony tryb

---

[1] »Towarzystwo Królewskie gospodarczo-rolnicze». *Biblioteka Warszawska*, kwiecień 1901.

[2] »Historya Towarzystwa Rolniczego 1858—1861 r.« tom I, str. XXIX i 633, tom II str. XLV i 482. Warszawa 1904.

gospodarstwa, jego większa różnorodność wymagają głębszej orki, muszą zatem wejść w użycie silniejsze sprzężaje, ulepszone narzędzia. Sztuczne nawozy, melioracye łąkowe, drenowanie są dalszymi krokami na drodze szybkiego podówczas postępu techniki rolniczej. Ani ilość, a zwłaszcza ani niezmiernie nizka jakość pracy pańszczyźnianej nie mogą dotrzymać kroku zmienionym wymogom gospodarstw folwarcznych, czego najlepszym dowodem, że obok robotników pańszczyźnianych corazto częściej występuje robotnik rolny, płatny wedle dobrowolnej umowy obu stron. Zwiększone dochody gospodarstw folwarcznych objawiają się rugowaniem włościan, umożliwionem ustawami Księstwa Warszawskiego z r. 1807, które dały włościanom osobistą wolność, ale osłabiły ich prawa do ziemi, dopiero w roku 1864 rząd ukrócił rugowanie włościan; p. Gr. oblicza na milion morgów obszar gruntów włościańskich, włączonych do folwarcznych w czasie od 1819 do 1864 roku.

Przedstawiwszy w ten sposób dzieje techniki rolniczej i przebieg sprawy pańszczyźnianej, autor opisuje dolę ludności rolniczej, oraz zastanawia się nad położeniem gospodarstw folwarcznych i włościańskich ze szczególnem, nieomal monograficznem uwzględnieniem Gostyńskiego i Łowickiego, jako najwybitniejszych typów kultury rolnej folwarcznej, względnie włościańskiej. Tom pierwszy zawiera także obraz usiłowań i prac, poprzedzających założenie Towarzystwa Rolniczego, a wytwarzających w społeczeństwie przekonanie o potrzebie wspólnej, zawodowej działalności. Mamy na myśli dzieje Towarzystwa gospodarczo-rolniczego (1810—1812, 1815—1817), założenie czasopisma *Roczniki gospodarstwa krajowego* w roku 1842, określone przez autora jako »początki pracy organicznej«, zjazdy klemensowskie, powołane do życia przez Andrzeja Zamoyskiego.

Zasługą Towarzystwa Rolniczego było zlanie w systematyczną całość i doprowadzenie do zupełnego rozwoju zawiązków lepszej przyszłości, zawartych w tych działaniach przygotowawczych, wśród których wyrobił się program i grono przywódców. Iście zdumiewająca wszechstronność i obfitość dobrze obmyślanych, a równie dobrze wykonywanych prac Towarzystwa tłumaczy się w znacznej mierze gruntownością działań przygotowawczych. Pierwszą troską nowej instytucyi stało się dążenie do poprawy techniki rolniczej, szerzenie fachowej wiedzy, przysporzenie krajowi ludzi obeznanych z zasadami racyonalnego gospodarstwa; oto zakreślenie celów, świadczące o trafnem zrozumieniu zadań asocyacyi rolniczej. *Roczniki gospodarstwa krajowego* stały się organem

Towarzystwa, w którym badano i popularyzowano najważniejsze zagadnienia z zakresu rolnictwa. Zarząd Towarzystwa utworzył biuro, złożone z wybitnych sił fachowych stale płatnych. A więc założono stacyę chemiczno-rolniczą, której kierownik trudnił się głównie badaniami gleboznawczemi, utworzono posadę technika leśnego, inżyniera melioracyjnego, przedewszystkiem dla ułatwiania członkom drenowania, kształcono przyszłego klasyfikatora owiec. Celem systematycznego prowadzenia doświadczeń nawozowych i innych, zarząd Towarzystwa wydzierżawił folwark Służew pod Warszawą. Szczególny nacisk kładł zarząd na rozdawnictwo stypendyów fachowych. Próby konkursowe maszyn rolniczych zwłaszcza pługów, łączone stale z konkursami i premiami dla najsprawniejszych oraczy, miały za zadanie rozpowszechnić najracyonalniejsze narzędzia.

Nie zapominano o wystawach, ale za przykładem Francyi uznano za najważniejszy sposób dojścia do zamierzonego celu nagrody honorowe, rozdawane albo za całość gospodarstwa albo za poszczególne jego działy, np. za najlepszą oborę, owczarnię i t. d. Działalność handlowa rozpoczyna się później i nie wysuwa się na pierwszy plan, ale to, co zapoczątkowano, miało racyę bytu. Towarzystwo poczyniło kroki celem zreformowania wadliwego sposobu notowania cen produktów rolniczych na targu warszawskim, oraz podjęło się komisowej sprzedaży okowity i bydła na rachunek członków. Zarząd Towarzystwa chciał przyjść w pomoc rolniczym domom zleceń, podówczas licznie powstającym, a spełniającym te zadania handlowe, których dziś podejmują się syndykaty i stowarzyszenia przez kształcenie na swój koszt ludzi fachowo uzdolnionych do zarządzania temi instytucyami. Popierano zawiązywanie »Towarzystw wzajemnej pomocy w razie gradobicia«.

Dowodem zrozumienia obowiązków społecznych były usilne starania podniesienia gospodarstw włościańskich, aczkolwiek chłopi do Towarzystwa nie należeli, za pośrednictwem konkursów rolniczych, wydawnictw popularnych, zakładania ochron wiejskich i innych sposobów poprawa doli robotników rolnych i czeladzi była przedmiotem poważnych badań, natchnionych dobrą wolą przyjścia im w pomoc; i tak wyrazem dążeń do poprawy opłakanych stosunków mieszkalnych było rozpowszechnienie planów i kosztorysów na domy robotnicze, odpowiadające nowoczesnym wymogom i racyonalnie zbudowane. Zarząd Towarzystwa rozpisywał konkursy nie tylko na najlepsze urządzenia techniczne, ale nagradzał także »najlepsze urządzenie stosunków ze

służącymi i wszystkimi mieszkańcami włości«, występował przeciwko rozpijaniu ludności dla podniesienia dochodów z gorzelni.

Punktem kulminacyjnym społecznych prac Towarzystwa było zniesienie pańszczyzny, za którem przemawiała przeważna większość; początkowo chciano ją zastąpić oczynszowaniem, z biegiem czasu godzono się nawet na dzierżawy wieczyste, idea uwłaszczenia zwyciężyła za późno; w każdym razie reformy Wielopolskiego dawały włościanom mniej, jak im Towarzystwo przyznać chciało.

Dobrze świadczy o kierownikach Towarzystwa stała dążność oparcia swych prac na dokładnej znajomości kraju, rozumieli, oni o czem dziś jeszcze tak często zapominają domorośli autorowie i obrońcy rozlicznych reform socyalnych, że trzeba dokładnie zapoznać się z istniejącym stanem rzeczy, zanim się ułoży plan poprawy. Liczne opisy gospodarstw, sprawozdania o stanie rolnictwa, nadsyłane systematycznie przez korespondentów, tworzą jeden z najobfitszych działów w bogatych, rękopiśmiennych, starannie uporządkowanych archiwach Towarzystwa, których umiejętne wyzyskanie stanowi jednę z wielkich zalet niepospolitego dzieła p. Grabskiego, zwłaszcza dla dziejów techniki rolniczej te rękopisy były jednym z najważniejszych źródeł, o ile ich autor nie mógł wyzyskać w toku opowiadania, streścił je w obszernych przypiskach.

Zdaje mi się, że p. Grabski osiągnął cel, który sobie zakreślił, nie tylko wyjaśnił przeszłość, ale dał nam książkę zasługującą na jak największe rozpowszechnienie przedewszystkiem wśród rolników, pogłębi bowiem niezawodnie zrozumienie zadań asocyacyi rolniczej i świadomość obowiązków społecznych większej własności wobec innych warstw ludności wiejskiej. Książka p. Grabskiego dzięki wytrawnemu sądowi autora jest nie tylko pracą naukową, ale i czynem obywatelskim.

»Historya Towarzystwa Rolniczego« wykracza poza ramy bieżącej polityki i administracyi agrarnej zakreślone w mojej rozprawce, obejmuje bowiem dzieje techniki rolniczej, mówiąc o stanowisku sejmu w r. 1830 wobec sprawy pańszczyźnianej i o rozwiązaniu Towarzystwa przez Wielopolskiego, staje się historyą polityczną, to też nie chodziło mi o jej wyczerpującą krytyczną ocenę. Z drugiej strony nie mogłem pominąć pracy p. Grabskiego, która rzuca tyle światła na współczesne stosunki rolnicze w Królestwie, zajmując się ich najbliższą przeszłością, i której celem wpłynąć na podniesienie poziomu pracy w towarzystwach i stowarzyszeniach rolniczych.

Pan Stefan Richter poświęcił część swej pracy [1] asocyacyi rolniczej w Galicyi (str. 613—624), przyczem korzystał wyłącznie z materyałów, dostarczanych mu przez krakowskie Towarzystwo Rolnicze i lwowskie Tow. Gospodarskie; krótki zarys dziejów tych dwóch instytucyi ma charakter nieco kronikarski, nie daje ich rzeczywistego obrazu. Wiązankę szczegółów o galicyjskiem Towarzystwie Leśnem we Lwowie zawiera rozprawka p. Dimitza [2] (str. 447—449), której autor podnosi słaby udział wielkiej własności w pracach towarzystwa.

Zbawienne skutki asocyacyi rolniczej, przedstawiane we wspomnianych, przeważnie mniej udałych rozprawach, skłoniły rząd austryacki do przedłożenia Radzie Państwa w jesieni 1903 r. projektu ustawy o »zawodowych stowarzyszeniach rolniczych« *(Landwirthschaftliche Berufsgenossenschaften)*. Projekt pierwotny był nader radykalny, dążył do przymusowego tworzenia miejscowych stowarzyszeń, które miały podejmować zadania ściśle gospodarcze, trudnić się zakupem towarów i sprzedażą wytworów rolniczych i dostarczaniem kredytu, wogóle niemal wszystkiemi zadaniami, wchodzącemi w zakres asocyacyi zawodowej w najszerszem tego słowa znaczeniu. Ustawa uchwalona przez Radę Państwa w roku 1902 nie porzuca zasady przymusu, ale stawia związkom zawodowym zadania ciaśniejsze, dzięki też temu łatwiejsze do urzeczywistnienia.

Związki zawodowe w tej nowej formie zbliżone są do pruskich Izb rolniczych, ich głównem zadaniem, podobnie zresztą jak Izb handlowych i przemysłowych, obrona zawodowych interesów, a więc troska o należyte ukształtowanie stosunku między władzami publicznemi a robotnikiem, oraz współdziałanie w zapoznawaniu robotników z korzyściami zrzeszenia gospodarczego i stosowania racyonalnej techniki. Związki tego rodzaju nie potrzebują być ściśle miejscowe, to też ustawa z roku 1902 dopuszcza tworzenie związków krajowych, nieopartych o powiatowe i gminne. Zaszła także zmiana w duchu autonomicznym, gdyż wejście w życie nowej ustawy stało się zawisłem od wydania uzupełniającej ustawy krajowej, a zatem od zgody sejmu.

---

[1] *Das landwirthschaftliche Vereins- und Genossenschaftswesen (Geschichte der österreichischen Land- und Forstwirthschaft* 1848—1898 Supplementband I Hälfte S. 509—653. Wien 1900).

[2] *Die Forstvereine (Geschichte der öst. Land- und Forstwirtschaft* IV Band S. 440—486. Wien 1899).

Rozprawy posła na sejm Jana Hupki[1] i d-ra Leopolda Caro[2] poświęcone są wykazaniu potrzeby wydania uzupełniającej ustawy krajowej. Poseł Hupka w roku poprzednim wypracował projekt ustawy krajowej o Izbie rolniczej, ogłoszony wraz z uzasadnieniem w sprawozdaniach krakowskiego Towarzystwa Rolniczego. Gdy jednak Rada Państwa nadspodziewanie uchwaliła ustawę o zawodowych stowarzyszeniach, poseł Hupka opracował projekt uzupełniającej ustawy krajowej, przyczem pojął nową instytucyę tak, jak ją Józef Badeni pomyślał i sejmowi przedstawił w roku 1876, a jak ją urzeczywistnił rząd pruski w ustawie o Izbach rolniczych. Zgodnie z tem założeniem autor zadowalnia się utworzeniem na razie zawodowego stowarzyszenia dla Galicyi zachodniej z siedzibą w Krakowie. Projekt ustawy poprzedza rzut oka na dzieje tej myśli w kraju, oraz uzasadnienie potrzeby reformy trudnościami, z któremi ma do walczenia dzisiejsza organizacya rolnicza.

Dr. Caro stara się wykazać bezpodstawność zarzutów, podnoszonych przeciw myśli wydania ustawy tej treści dla Galicyi, broni zasady przymusu i dowodzi, że utarty pogląd, jakoby ustawa musiała pozostać martwą literą z powodu braku ludzi, zdolnych kierować nową organizacyą, jest niesłusznym. Autor sympatyzuje raczej z szerszem pojęciem zawodowych stowarzyszeń, bardziej zbliżonem do pierwotnego projektu, przemawia zatem za organizacyą powiatową.

Prof. dr. Pawlik[3] jest także zwolennikiem zastosowania ustawy państwowej w Galicyi, a celem poparcia tego poglądu daje nam obraz działalności Izby rolniczej w Poznaniu.

Z powodów przeważnie politycznych sfery decydujące zadowoliły się zwiększeniem zasiłków krajowych dla obu towarzystw rolniczych i dla towarzystwa Kółek rolniczych, odraczając opracowanie ustawy krajowej. Pan Aleksander Dąbski[4] i dr. Bronisław Dulęba[5] doradzają w swych rozprawkach ten sposób rozwiązania trudności, później urzeczywistniony, który jednak nie jest osiągnięciem celu

---

[1] »Zawodowe stowarzyszenia rolnicze«. Kraków 1902, str. 54.

[2] »Zawodowa organizacya rolników« Kraków 1902, str. 30, (odbitka z *Przeglądu Powszechnego*).

[3] »Pruskie Izby rolnicze« ze szczególnem uwzględnieniem kosztów i zakresu działania Izby rolniczej w Poznaniu. Lwów 1902, str. 16.

[4] »Nasza organizacya rolnicza«. Kraków 1903, str. 15 (odbitka z *Przeglądu Polskiego*).

[5] »Zawodowe stowarzyszenia rolników w Austryi«. Lwów 1301, str. 32.

zakreślonego w ustawie o zawodowych stowarzyszeniach. Nie wiadomo, czy zasiłki krajowe będą mogły być równie wydatne, jak dodatki do podatków, nakładanie dodatków jest większą gwarancyą samodzielności, zawodowe stowarzyszenia byłyby oparte na udziale interesowanych daleko szerszym, jak w obecnie istniejących korporacyach. To też problem racyonalnej organizacyi rolniczej jest i nadal otwarty.

Jednym z problemów najściślej związanych z nauką o asocyacyi jest kredyt rolniczy, przekonano się bowiem, że miejscowe spółki są znakomitem źródłem kredytu osobistego włościańskiego, a towarzystwa kredytowe ziemskie stosunkowo tanim sposobem zaciągania pożyczek hypotecznych. Galicyjski Wydział Krajowy rozpoczął pracę około poparcia miejscowych stowarzyszeń kredytowych wydaniem podręcznika, napisanego przez Dyrektora patronatu, d-ra Franciszka Stefczyka, którego część pierwsza (str. 1—46) zawiera ogólny pogląd na istotne zadania instytucyi tego rodzaju. Autor jest zdania, że spółki mogą obok zadań ściśle kredytowych podejmować się niektórych innych usług kooperacyjnych, n. p. zakupu nasion i nawozów sztucznych na wspólny rachunek członków. Pomyślny rozwój spółek, znajdujących się pod opieką patronatu, wywołał potrzebę ściślejszego ich połączenia, celem wzajemnej wymiany pieniędzy przez lokowanie nadwyżek, uzbieranych w kasach spółek na wspólny rachunek bieżący, a fruktyfikowanych wypożyczaniem spółkom, które udzielają więcej pożyczek, jak ogólna suma wkładek oszczędności przez nich zebranych. Chcąc zapoznać się z zakrajowymi i zagranicznymi centralnymi związkami spółek, odbył dr. Stefczyk podróż dla zbadania tych urządzeń w Bawaryi, w Hesyi i w Austryi Dolnej i zastosowania swych spostrzeżeń w kraju. Pouczające wyniki badań zawierają alegata sejmowe [1].

Równocześnie autor badał spółki magazynowe dla wspólnej sprzedaży zboża, wyprodukowanego przez członków w Prusach, Bawaryi i w Austryi. Wspomniane sprawozdanie zawiera także rzecz o tej formie kooperacyi, ogłoszoną drukiem z pewnemi zmianami w wydawnictwach Towarzystwa Kółek rolniczych [2], a napisaną ze znajomością rzeczy, właściwą pracom d-ra Stefczyka.

---

[1] »Sprawozdania z podróży d-ra Franciszka Stefczyka do Niemiec i Austryi Dolnej dla zbadania spółek rolniczych i centralnych dla nich organizacyi«. (Alegat VIII do sprawozdania Wydziału krajowego l. 17718/902, str. 30 w 8-ce.

[2] »Rolnicze spółki magazynowe«. Lwów 1901, str. 51.

Dr. Tadeusz Kudelka[1] zajmuje się w swych artykułach niemal wyłącznie wiejskiemi spółkami kredytowemi systemu Raiffeisena, zakładanemi w krajach koronnych Austryi z wyłączeniem Galicyi. Autor przedstawia sposób popierania tych instytucyi przez krajowe władze autonomiczne, który stał się wzorem dla naszego Wydziału krajowego.

Wiązankę nowych szczegółów o niemieckich stowarzyszeniach kredytowych, przeznaczonych dla rolników, zawiera rozprawka d-ra Wł. Krosińskiego[1], zachęcająca nasze społeczeństwo, a zwłaszcza intelligencyę do gorliwego zaopiekowania się temi instytucyami. Trochę bałamutnie określa autor zakres ich czynności, albowiem uważa za możliwe nawet prowadzenie gospodarstwa na wspólny rachunek członków. Kasy systemu Raffeisena znalazły jeszcze jednego zwolennika w osobie d-ra Karola Kolischera[3], bezprzedmiotowe są uwagi, zwrócone przeciwko rzekomym przeciwnikom działania na tem polu, albowiem autorowie zbiorowej broszury: »Kredyt włościański«[4] nie zwalczali idei miejscowych spółek dla oszczędności i pożyczek, a przestrzegali tylko przed zbyt daleko sięgającą pomocą Wydziału krajowego, którąby mogła okazać się szkodliwą dla samopomocy społeczeństwa i domagali się całkiem słusznie, ażeby, tworząc nową instytucyę, nie zapomniano o potrzebie zreformowania kas pożyczkowych gminnych — jedno drugiego nie wyklucza, to też zarzuty d-ra Kolischera polegają na nieporozumieniu.

W najnowszych czasach dr. Stanisław Kozicki[5] ogłosił dwie rozprawki, propagujące dostarczenie krótkoterminowego kredytu włościanom drogą asocyacyi. Autor dowodzi, że organizacya kas pożyczkowych gminnych w Królestwie jest wadliwą i nie czyni zadosyć istniejącym potrzebom, przedstawia pokrótce to, co zrobiono w Niemczech i w Galicyi dla racyonalnego rozwiązania problemu, wreszcie streszcza ustawodawstwo rosyjskie o »towarzystwach pożyczkowo-

---

[1] »Z rolniczego ruchu spółkowego w Austryi« *Przegląd Powszechny* I wk. 1901, str. 489—504, II kw. str. 299—312 i str. 440—448.

[2] »Wiejskie kasy pożyczkowe systemu Raiffeisena«. Lwów 1902, str. 24.

[3] »Organizacya kredytu w Galicyi«. Lwów 190, str. 146.

[4] Zeszyt VII wydawnictw klubu konserwatywnego. Kraków 1899, str. 81.

[5] »Kredyt krótko-terminowy dla włościan«. Warszawa 1904, str. 15, oraz »O kredycie i towarzystwach kredytowych dla włościan i rzemieślników«. Warszawa 1904, str. 50.

oszczędnościowych« i »towarzystwach kredytowych«. Pierwsze z nich zbliżone są do galicyjskich zaliczkowych, natomiast towarzystwa kredytowe opierają się na systemie Raiffeisena: nie mają udziałów, a zatem także i dywidendy, kapitał potrzebny na rozpoczęcie działalności uzyskują drogą pożyczki, udzielanej przez założycieli i przez Bank Państwa, który wykonywa nad niemi nadzór przez swoich inspektorów. Jako przykład rozpatruje dr. Kozicki w sposób monograficzny założenie i funkcyonowanie towarzystwa kredytowego w Płońsku.

Dr. Adam Krzyżanowski.

Spis klasztorów unickich Bazylianów w województwie wołyńskiem. Ułożył *Wołyniak* (z czterema rycinami). Kraków 1905 (W 8-ce. str. 145 i XXVI).

Znany z prac historycznych, zwłaszcza o zakonie bazyliańskim na Rusi i Litwie, Wołyniak, obdarzył nas ważnym przyczynkiem do dziejów tego zakonu i unii Cerkwi ruskiej z Rzymem. Objął tylko Wołyń, naliczył w nim 40 monasterów reguły św. Bazylego. Prawie wszystkie założone były w XV i XVI wieku, jak: białostocki, czetwertyński, dermański, drohobuski, w Dubiszczach, dwa monastery w Dubnie, dwa w Horodyszczach, jeden w Hoszczy, Kołodeznej, dwa w Krzemieńcu, jeden w Lubarze, dwa w Łucku, jeden w Mielcach, w Milczy, Nizkieniczach, Perekałach, w Poczajowie z XIII wieku, Stożku, Strakłowie (założ. 1665 dla prawosł.), w Tuminie (założ. 1635 dla prawosł.), Turupinie, w Włodzimierzu (monaster spaski), w Zahajcach, Zahorowie, Zbarażu (założ. 1486), Zimnie (monaster świętogórski z XI wieku), w Złoczowie pod Dubnem i Żydyczynie (założony w XIII wieku). Te prawie wszystkie monastery przyjęły unię dopiero pod koniec XVII i w pierwszej połowie XVIII wieku.

Dla Bazylianów unickich założono na Wołyniu w tym czasie tylko 7 monasterów: w Gródku pod Równem, w Ostrogu, gdzie 1777 r. Bazylianie objęli pojezuickie kolegium z kościołem i szkołami, w Poddębcach, w Puginiu, Szumsku, Turkowiczach, Werchach, w Włodzimierzu monaster drugi w XVII wieku.

Autor narzeka na brak źródeł domowych, które zniszczały wskutek napadów tatarskich i wojen rozlicznych, albo ukrywają się jeszcze w niedostępnych dla niego archiwach Żyrowic, Wilna, Supraśla; ratuje się więc źródłami rosyjskiemi, ogłoszonemi np. w *Wiadomościach eparchyi wołyńskiej*, w *Archiwum jugo-zapadnoj Rossyi*, w *Archeograficzeskim Sborniku*, w *Archiwum poczajowskiem* Teodorowicza, w rozprawach

Wasyla Abramowicza Zwerinskiego i t. d., posługując się przytem pracami Stebelskiego, Guépin'a, Tołstoja i Pamiętnikami Siemaszki. Pomimo to na wielu miejscach stwierdza z godną uznania sumiennością że pewności nie ma, tylko domyśla się, przypuszcza.

Z tego pracowitego »Spisu« pokazuje się jasno, że monastery bazyliańskie aż do przyjęcia unii wlokły byt mizerny. Książęta ruscy i majętna szlachta fundowali je jedną ręką, a drugą zabierali ich dobra lub rozganiali. Czasem ich spadkobiercy zagarnęli część albo całą fundacyę. Nierzadko sami władycy, chciwi na poważne archimandrye (opactwa), dokuczali mnichom. Ci także, skąpo zaludniając monastery, nie odznaczali się ani nauką ani cnotą zakonną. W nieładzie i rozprzężeniu zostawało wszystko, więc też i przyjęcie unii nie od razu się dokonało i nie zawsze szczerze.

Dowiadujemy się też ciekawego szczegółu. Wygnani rewolucyą z Francyi OO. Trapiści znaleźli przytułek w państwie cesarza Pawła I. I oto 24 Trapistów zamieszkało w archimandryi dermańskiej, od września 1799 do wiosny 1800, urządziwszy tam szkołę dla 29 swoich Francuzów. Druga gromadku 33 Trapistów osiedliła się w tymże czasie w archimandryi żydyczyńskiej pod Łuckiem i utrzymywała szkołę dla 27 uczniów (Francuzów przeważnie, miejscowych było tylko 10). Na ich utrzymanie wydał archimandryta, O. Floryan Korsak 9114 złp. (str. 15, 144).

Aby suchy ten »Spis« uprzyjemnić, ozdobił go autor 4 rycinami, dodawszy do nich »objaśnienia« (str. I—XXVI). Są to trzej Bazylianie-męczennicy OO. Eliasz Andruszkiewicz, Jonasz Sołtanowski, Januaryusz Daszkiewicz, a czwarta Bazylianka Antonina Leśniewska, zmarła dopiero 1885 r. u swych krewnych pod Mińskiem.

Drobny to ustęp z »aktów unii« na oryginalnych dokumentach, które autor częścią od ś. p. Edmunda Liwskiego otrzymał, częścią sam nagromadził, skreślony, rzewny i budujący.

Ks. S. Załęski.

Dekadentyzm a religia katolicka w lirykach Kazimierza Przerwy-Tetmajera. Skreślił *ks. Józef Koterbski.* Tarnów 1904.

Praca, której podjął się w tej broszurze ks. Koterbski, należy z pewnością do bardzo niewdzięcznych: chodziło mu o zestawienie i napiętnowanie wszystkich myśli sprzeciwiających się religii, które wypowiedział w swoich poezyach lirycznych p. Tetmajer. Strona literacka jest tu całkiem pominiętą, co wydaje mi się brakiem bardzo

dotkliwym, sądzę bowiem, że argumentacya autora stałaby się bardziej zajmującą i więcej rzuciłaby światła na przedmiot przez niego traktowany, gdyby wykazał na tym przykładzie, jak niekorzystnie oddziaływa na poezyę tendencya antyreligijna. Polemika teologiczna i filozoficzna nie jest rzeczą wyobraźni twórczej; najzdolniejsi więc nawet poeci nie potrafią napisać nic pięknego, kiedy występują w obronie jakiejkolwiek herezyi i uderzają na Kościół. Przestają oni wtenczas tworzyć, a zato podają nam w formie wierszowanej treść prozaiczną. Tego rodzaju krytyka przemówiłaby prędzej do przekonania czytelników Tetmajera i możeby samego poetę powstrzymała na drodze, przez niego obranej, kiedy przeciwnie ocena, wychodząca ze stanowiska teologicznego, a nie uwzględniająca przymiotów estetycznych jego poezyi, wywoła niezawodnie zarzut wyłączności i ciasnej jednostronności. Przeciwnicy Kościoła nie zechcą nawet przeglądnąć tej rozprawy, ludzie zaś wierzący odczytają wprawdzie z zadowoleniem niejeden argument autora, ale zadadzą sobie pytanie, czy było rzeczą potrzebną wyławiać te wszystkie niedorzeczności i walczyć tak poważnie z poronionymi płodami poety?

Gdzieniegdzie jednak wypowiada autor ogólnikowe twierdzenia, które i w naszych oczach nie mają siły przekonywującej: i tak czytamy zaraz na stronie 2-giej zapewnienie, że Polak nie może całkiem stracić wiary katolickiej, że »niedowiarstwo polskie« jest »tylko bezsensowem naśladowaniem zagranicznych pisarzy, zwłaszcza francuskich«. Słyszałem już wprawdzie nieraz zdania tej treści, ale sądzę, że byłoby to wprawdzie rzeczą bardzo pocieszającą, gdyby nie było między Polakami niedowiarków, że jednak jest ich niestety dosyć, nawet wielu, chociaż zapewne mniej jak we Francyi. Natura ludzka jest ta sama u wszystkich narodów i wszędzie okazuje się skłonną ze znanych nam pobudek do odrzucenia religii, jeżeli jej jarzmo zaczyna ciężyć. Muszę zaś dodać otwarcie, że ton, w którym autor w tym ustępie i w wielu innych przemawia do błądzącego poety, razi mię bardzo niemile, a zwłaszcza nie na miejscu jest zarzut ignorancyi, oparty na tej racyi, że poeta, pisząc o Zmartwychwstaniu P. Jezusa, przedstawia je w sposób całkiem niezgodny z Pismem św. (str. 36); z tej samej racyi możnaby tysiące innych, bardzo uczonych ludzi uznać za nieuków. Inne znowu zarzuty polegają na niezrozumieniu myśli właściwej krytykowanego poety, a zwłaszcza nie poznał się autor na ironii, zawartej w wierszu p. n. »Pielgrzym«:

Gdziekolwiek zwrócę wzrok, wszędzie mi jedno;
Na północ pójdę, czy na południe:
Wszędzie napotkam cień od spieki słońca
I znajdę studnię.
Wszędzie nad głową znajdę dach śród nocy
I wszędzie mogę za grosz kupić chleba —
I nawet nie wiem, czego ludziom w życiu
Więcej potrzeba?

Przytoczywszy ten drobiazg literacki, którego wartość jest bardzo wątpliwa, którego jednak oczywiście nie można brać na seryo, bo jeżeli komu, to z pewnością p. Tetmajerowi nie wystarczy do szczęścia dach nad głową, studnia i kęs chleba! woła autor z tryumfem (str. 36): »A więc wszystkie ideały religijne, a nawet ideały, zostające u niewierzących, ideały patryotyczne, u poety nie mają miejsca. Kosmopolityzm i zezwierzęcenie jakieś tak go objęły w swe kleszcze, iż byle miał cień, studnię, dach i jedzenie, więcej niczego mu nie potrzeba!«

W IV tomie poezyi Tetmajera zaznacza się, jak stwierdza sam autor, »postęp ogromny«. Poeta bowiem odczuwa znowu potrzebę wiary, a nawet przemawia w niektórych wierszach jako człowiek wierzący, jak np. w słowach (»W milczeniu«):

O Boże! wszakże indziej kędyś jest stworzony
Na niedostępnych głębiach jakiś inny świat,
Świat prawdy, dobra, ciszy, bez win i bez spłat,
Bez krzywd i bez pamięci o krzywdzie zrządzonej.

Albo w cyklu: »Qui amant«:

Wiem, że Madonna tam jasna i cicha
Ludzkiemu szczęściu słodko się uśmiecha
I błogosławi anielstwem swej twarzy
Łódź, co się u stóp Jej na morzu waży.

Tu nastręczało się szczególnie dużo sposobności do wykazania, że poezye Tetmajera stwierdzają także swoim sposobem prawdziwość słów Tertuliana: *O testimonium animae naturaliter christianae!* Z tych sposobności skorzystał rzeczywiście autor, ale trochę za mało, bo przeważnie podaje nam tylko cytaty, wymyśla coraz nowe zwroty dla dosadnego napiętnowania nierozumu »dekadenta« i uczy go elementarnych rzeczy z katechizmu i Biblii.

Przyznając zatem jak najchętniej, że o rozprawie autora można powiedzieć wiele dobrego, że przebija się w niej na każdej stronicy

gorliwość o chwałę Bożą, gorąca miłość ojczyzny i najszlachetniejszy idealizm, ośmielam się zarazem wypowiedzieć życzenie, żeby przyszłe jego prace odznaczały się większą starannością w doborze wyrażeń i argumentów.

Ks. A. Pechnik.

Z piśmiennictw obcych.

Christus- und Apostelbilder. *Weis-Liebersdorf.* Einfluss der Apokryphen auf die ältesten Kunsttypen. Mit 54 Abbild. Freiburg in Breisgau. Herdersche Verlagshandlung.

Przy badaniach nad genezą najstarszych wizerunków Chrystusa i Apostołów nasuwa się mimowoli pytanie, czy nie zachodzi jakiś stosunek między nimi a pismami apokryficznemi, które przecież cieszyły się w pierwszych wiekach chrześcijaństwa bardzo wielkiem znaczeniem. Tą kwestyą, dotychczas niezbadaną, zajął się Weis-Liebersdorf i wyniki swych badań złożył w pracy, omawiającej w dwóch oddzielnych częściach genezę typu Chrystusa i Apostołów.

Jak wiadomo, dwa typy Chrystusa spotykamy w sztuce starochrześcijańskiej, jeden młodzieńczy, bez brody, drugi człowieka w sile wieku, brodaty. Pierwszy jest niemal wyłączny w trzech pierwszych wiekach chrześcijaństwa, drugi znajduje szersze zastosowanie dopiero od wieku IV i powoli zyskuje przewagę nad pierwszym. Genezą i wzajemnym stosunkiem tych typów zajmowało się wielu i dość powszechnie godzono się na to, by w młodzieńczym typie widzieć kreacyę pojęć kościoła katolickiego, typ zaś brodaty uważać za idealny portret Chrystusa, stworzony przez Gnostyków. Otóż do wprost przeciwnego rezultatu dochodzi autor i to na podstawie wybitnych cech typu młodzieńczego, tj. piękności oblicza i młodzieńczej, a nawet chłopięcej, postawy. Te bowiem cechy zrożumiałe są w nauce Gnostyków o człowieczeństwie Chrystusa i występują jasno w teofoniach dziejów apostolskich (św. Piotra, Jędrzeja, Jana i innych), które noszą na sobie znamię gnostycyzmu, i w których Chrystus występuje zawsze jako wdzięczny, jasny, uśmiechnięty, często dwunastoletni młodzieniaszek, zwany krótko »Pięknym«, podczas gdy przeciwne wyobrażenia Chrystusa znajdujemy u katolickich teologów aż do św. Chryzostoma i Hieronima.

Daleko więcej trudności przedstawia typ Chrystusa brodaty. Wedle autora nie rozwinął się on z typu młodzieńczego, a pojmować go należy jako idealny portret Chrystusa. Już de Rossi i Schultze odnosi jego genezę do legend i pism apokryficznych, ale dopiero Weis-Liebersdorf gruntowniej zajął się tą kwestyą. Na podstawie aktów Piotra i Pawła, historyka Euzebiusza i innych danych, odnosi ten typ do portretowych opisów Chrystusa, które z czasem, mnożąc się coraz więcej, rozpowszechniły i ustaliły typ Chrystusa z brodą, z długimi, rozdzielonymi na boki, włosami i z nimbem otaczającym głowę.

Z pomiędzy Apostołów najwięcej typowemi są przedstawienia Piotra i Pawła, którzy zwykle razem występują. Ich cechy typowe określa autor nie na podstawie znanych watykańskich medalionów, ale przy pomocy reliewów z sarkofagu Bassus'a (które autor uważa za najstarsze wizerunki obu Apostołów), srebrnej szkatuły z kościoła San Nazaro w Medyolanie i trzech innych reliewów. Wszystkie te pomniki pochodzą z czasów przednicejskich i mimo różnic (jednostajność w przedstawieniu św. Pawła jest większą, niż przy św. Piotrze) tę mają wspólną cechę, że kontrast w przedstawieniu Apostołów jest na nich stale przeprowadzony. Ta cecha naprowadza przy badaniu genezy tych typów na domysł, że jej źródłem jest jakieś ludowe podanie. Tymczasem odnośne pisma apokryficzne dają pod tym względem słabe oparcie dla św. Pawła, a prawie żadnego dla świętego Piotra. Dlatego prawdopodobniejszem wydaje się autorowi, że ten kontrast wyniknął z artystycznej potrzeby wprowadzenia rozmaitości w kompozycyę.

Dla innych Apostołów ani literatura ani sztuka nie stworzyła stałych obowiązujących typów. Z pewnem wyróżnieniem traktuje tylko postacie Bartłomieja, Andrzeja, Jana (na ewangelistę Marka przeniosła typ św. Pawła), — i to właśnie autor w końcowym rozdziale omawia.

Całe studyum Weis-Liebersdorfa opiera się, jak łatwo zauważyć, na zdefiniowaniu typów i interpretacyi odnośnej literatury, czyli na sztuce staro-chrześcijańskiej i współczesnej literaturze apokryficznej. Jedną i drugą znamy tylko w części z zabytków, które do naszych czasów, a raczej do naszej wiadomości doszły. Autor z tymi zabytkami jest dobrze obznajomiony, korzysta z nich przy pomocy rozległych wiadomości z zakresu historyi kultury i sztuki staro-chrześcijańskiej. Pod tym względem studyum autora posiada wielką wartość. Inna rzecz, jeżeli chodzi o wartość niejako absolutną. Każdy rok przynosi coś nowego, zwłaszcza ze sztuki pierwszych wieków chrześcijaństwa (sam autor nie mógł już w tekście uwzględnić trzech nowych odkryć), a te

przyrosty są nieraz tego rodzaju, że burzą hipotezy z wielkim mozołem i uczonością zbudowane. Wprawdzie przy ścieśnionym zakresie pracy autora taka ruina jest może wykluczoną, ale całkiem możliwe są modyfikacye i uzupełnienia jego poglądów.

Wreszcie jedna jeszcze uwaga, tycząca wspomnianego zakresu pracy. Autor, rozświetlając genezę typów Chrystusa i Apostołów, jest zapewne dalekim od tego, by ją chcieć wpływem samych apokryfów tłumaczyć; jest to tylko jeden z czynników wpływających na skrystalizowanie owych typów. Okrom tego działać tu musiały i te czynniki, których owocem jest sztuka późno-rzymska i staro-chrześcijańska. Jak dotąd niema zgody, a nawet toczy się ożywiona polemika o pojmowanie i pochodzenie tych sztuk; w tę kwestyę autor nie wchodzi, lecz wyniki jego badań każą raczej Wschód, niż Rzym uważać za kolebkę sztuki staro-chrześcijańskiej.

Ks. B. M.

Der Jesuitismus. *Von Pilatus (dr. Viktor Naumann).* Eine kritische Würdigung der Grundsätze, Verfassung und geistigen Entwicklung der Gesellschaft Jesu, mit besonderer Beziehung auf die wissenschaftlichen Kämpfe und auf die Darstellung von antijesuitischer Seite. Nebst einem literarhistorischen Anhang: Die antijesuitische Literatur von der Gründung des Ordens bis auf unsere Zeit. Regensburg, G. I. Manz. IX u. 591 S.

»Kwestya, którą za dni naszych przedewszystkiem należy rozstrzygnąć, nie opiewa »Babel czy Bibel«, ani »Lojola czy Luter«, ale streszcza się w tem pytaniu: Czy mimo wszelkiej kłótni, wszelkiego sporu nie możnaby znaleźć jakiejś drogi do wzajemnego porozumienia się tak, iżbyśmy, szanując polityczne i religijne uczucia odmiennie myślących, mogli wspólnie pracować nad wielkiem społecznem dziełem miłości bliźniego«. Temi słowy, wyjętemi z przedmowy dzieła, zaznacza Pilatus, jaki postawił sobie ideał życia, jaki cel miał na myśli w swem badaniu ustaw Towarzystwa Jezusowego, oraz zdradza w pewnej mierze osobiste swoje zapatrywanie na świat. Daleki od przekonań katolickich, w których upatruje więzy krępujące indywidualność człowieka, stroniąc równocześnie od wybujałego subjektywizmu, który opanowuje dzisiejszy protestantyzm, Pilatus szuka drogi środkowej i widzi ją w umiarkowanych oczywiście zasadach wolnomyślnych. Nie podlega żadnej wątpliwości, że uczony i zdolny pisarz posiada umysł szczery i szlachetny, miłujący wyłącznie prawdę i szukający uszczęśliwienia społeczeństwa w duchu hasła: »Prawda was zbawi«. Niespra-

wiedliwe zarzuty, podniesione przeciw Towarzystwu Jezusowemu przez hr. Hoensbroecha, byłego członka tego zakonu, obraziły jego poczucie moralne i zmusiły do walki z oszczerstwem. Dał już przedtem *ex-jezuicie* dzielną odprawę w otwartych listach, wydanych pod tytułem: *Quos ego! Fehdebriefe wider den Grafen Paul Hoensbroech;* obecnie bada pozytywnie w historyczno-krytycznem studyum ustawodawstwo, zasady i duchowy rozwój zakonu. Pilatus nie sympatyzuje z Towarzystwem Jezusowem, jego zasadami i dążnościami, owszem uważa je za przeciwnika swego poglądu na świat, ale za przeciwnika rzetelnego i wielkiego, który dla obrony swego ideału dzielnie walczy i wszystko znosi i cierpi. Takito przeciwnik, powiada Pilatus, zasługuje, by się rozprawiono z nim, ale niestety płonąca już przez 300 z górą lat nienawiść nie pozwala jeszcze na zasadnicze zwalczanie zakonu i jego zasad. Przedwstępnym i nieodzownym warunkiem do zwalczania Towarzystwa Jezusowego nie dla jego »złych« uczynków lub »niemoralnych pojęć«, jakie ignorancya, a czasem złość przeciwników mu podsuwają, ale dla jego metody naukowej, oraz jednostronnego pojmowania religii w ciasnych granicach katolicyzmu, jest zapewnienie mu tolerancyi i sprawiedliwa ocena jego celu, ustaw i właściwego ducha. Tymczasem oszczerstwa, systematycznie rzucane przez trzy wieki na zakon, przybrały w oczach uczonych, a nawet niektórych zawodowych historyków tak poważny zakrój, iż uważa się je powszechnie za prawdę, a nikt nie zada sobie trochę trudu, by błędne wyobrażenie o Jezuitach sprostować na podstawie autentycznych źródeł i dokumentów. »Wygodna metoda odpisywania i wypisywania dawniejszej literatury bez krytycznego badania źródeł nigdzie nie zapuściła głębszych korzeni jak w dziedzinie, będącej obecnie przedmiotem moich studyów, a co smutna, kopiści tego rodzaju skrzętnie i pozornie uczenie przepisywują odnośniki, wykazujące niby własnym trudem wynalezione źródła, przyczem nierzadko się zdarza, że ten lub ów nie zna zgoła ani cytowanego przezeń autora ani wzmiankowanego jego dzieła. Te same fałszywe cytaty, te same błędne mniemania przechodzą dziedzicznie z pokolenia na pokolenie przez wieki całe jako cenna ojcowizna, której prawdziwej wartości szczęśliwi spadkobiercy nigdy nie dochodzili«.

Pilatus wie, że nie rozprószy zastarzałych przesądów, owszem, że ściągnie na siebie obelgi, podejrzenia i oszczerstwa miasto uznania swych rzetelnych dążeń, ale mimo to chce służyć prawdzie, chociaż jej służba nie popłaca. Kto przeczytał ten gruby tom, przyzna autorowi, że niełatwej podjął się pracy. Nie mamy tu na myśli trudności

w zbieraniu odnośnej, nader obszernej i często nie bardzo dostępnej literatury — zebrał przeszło 1700 źródeł — uwzględniamy tylko ogrom przedwstępnych wiadomości, nieodzownie potrzebnych do zrozumienia treści i do przedmiotowego ocenienia »katolickiej myśli«. Pilatus musiał pilnie ślęczeć nad historyą i ustawodawstwem zakonów, musiał obznajomić się równie dobrze z filozofią scholastyczną i nauką Ojców Kościoła, jak z mistyczno-ascetycznemi pismami średnich wieków, by wydać sprawiedliwy sąd na tle psychologicznych i kulturalno-historycznych momentów. I sprostał temu zadaniu. Wolnomyślny protestant tak głęboko zrozumiał katolicyzm, tak daleko sięgnął do wnętrza serc katolickich, jak chyba nikt dotąd z akatolików, chociaż prawdą jest, że teolog dogmatyk i moralista, tudzież znawca ćwiczeń duchownych św. Ignacego i zakonu Towarzystwa Jezusowego, nie zawsze się zgodzi z jego zapatrywaniami. Nadto na każdym kroku daje dowody, że jest nie tylko znakomitym historykiem, ale także subtelnym psychologiem.

Właściwe studyum rozpoczyna się od głębokiej, ciepło i jasno napisanej charakterystyki św. Ignacego Lojoli, opartej na źródłach, z obozu przyjacielskiego i nieprzyjacielskiego wybranych. Krótki ten zarys fizyognomii zakonodawcy obznajamia czytelnika z ideałami świętego, jego talentem organizatorskim, praktyczną jego ascezą, oraz hasłem, które przenika całą tę postać, *ad maiorem Dei gloriam*. Prawda, że ideał wcielony w Ignacego nie przypada do gustu wolnomyślnemu autorowi, mimo to, patrząc się nań bez przesądu ze stanowiska katolickiego, na którem duch jego staje się jedynie zrozumiałym, i oceniając go na tle ówczesnej epoki, daje wymowny wyraz podziwu i czci, jaką ma dla męża konsekwentnego w zasadach i niezłomnego w przeprowadzeniu swoich zamiarów. Na tem psychologicznie pojętem tle wyłania się niespożyte dzieło rycerza z Lojoli, złożone w ćwiczeniach duchownych, w celach Towarzystwu Jezusowemu wytkniętych i w ustawodawstwie tegoż zakonu. Kontemplacyjny, a przytem tak niezmiernie praktyczny charakter Ignacego cechuje cały jego zakon. Swą znajomość Towarzystwa Jezusowego zaczerpnął autor z rozmaitych źródeł, a zatem z dokumentów autentycznych, jakimi są encykliki papieskie, instytut zakonu, reguły tegoż i dekreta kongregacyi generalnych, następnie z listów i wyznań pobożnego zakonodawcy, z ust nieprzeliczonych jego synów duchownych, nareszcie z mów, zaczepek, oszczerstw, kłamstw tysięcy jego przeciwników dawniejszych i dzisiejszych (str. 348). »Praca moja — powiada — pokazała mi, że Rzym posiada w nim najpotężniejszego swego szermierza, oraz, że jest on przedstawicielem tego

zapatrywania na świat, które jednostkę, oddającą się na jego usługi, pobudza do wytężenia wszystkich indywidualnych sił i wolę osobistą usiłuje ujarzmić w sobie i we wszystkiem na wyłączną korzyść woli Bożej«.

Pisząc nie historyę zakonu, ale historyę walk przeciw Jezuitom, czyni autor z olbrzymich materyałów odpowiedni wybór, który w ogólnych rysach przedstawia prawdziwy obraz zakonu na tle »wojny jezuickiej«, od pierwszego niemal dnia jego istnienia aż do dzisiejszego czasu. Walki te, prowadzone nie tylko przez innowierców, ale także przez całe zastępy katolików, mają cechy naukowe, etyczne, a także i polityczne.

Chemnitz, Osyander i Leyser otwierają szereg przeciwników na polu naukowem. Książka Chemnitza, teologa, świadczy na każdej stronie, że autor jej jest wielkim polemikiem, bystrym myślicielem, ale z drugiej strony widać, że polemika Chemnitza jest komedyą, zwróconą przeciw katolicyzmowi, nie zaś przeciw Jezuitom. Dość szeroko rozwodzi się Pilatus nad kontrowersyą Moliny, oceniając ją na tle historyi kulturalnej XVI wieku, jako reakcyę przeciw pojęciom protestanckim. Następuje nadzwyczaj zajmujący rozdział: Walki we Francyi. Francya — to klasyczna arena prześladowań i walk z Jezuitami. Pilatus nie tylko regestruje tu i konstatuje fakta, ale stara się je wyzyskać na podstawie psychologii narodu. Do zasadniczego przeciwieństwa nacyonalnego indywidualizmu Francyi wobec organizacyi Towarzystwa Jezusowego przyłączają się nieprzyjazne od razu stosunki Sorbony i parlamentu paryskiego, przeważnie dla metody wychowawczej zakonu, która musiała wytworzyć zastęp księży i uczonych oddanych Rzymowi. Z walką literacką łączyła się walka polityczna. Wystarczy wspomnieć, iż wówczas kwestya Hugenotów wywołała religijno-polityczne spory w każdej niemal wiosce i gminie, by zrozumieć, jak podatny tu był grunt do polemiki z Jezuitami, zwłaszcza za burzliwych czasów Henryka IV. Z kolei przychodzą Niemcy. Tu w XVI i XVII w. widzimy w szeregach przeciwników zakonu tylko akatolików; burza ze strony niemieckich katolików datuje się dopiero od XVIII wieku, w którym racyonalizm w łonie Kościoła znajduje coraz więcej zwolenników. Zniesienie zakonu przez Klemensa XIV było wynikiem tych rozmaitych walk i, można powiedzieć, psychologicznem następstwem owych czasów. Na końcu opisuje autor wskrzeszenie zakonu, oraz nowe i najnowsze walki przeciw niemu aż do dziś dnia.

Pilatus sumiennie opracował własne materyały, zużytkował szczę-

śliwie pewne rezultaty innych badaczy i mnóstwo podaje punktów widzenia, które świadczą o jego uczoności, dalekim wzroku i bystrości umysłu. Historyków fachowych i zwalczających zakon w dobrej wierze i szlachetnie krytykuje spokojnie i przedmiotowo, jak każe sprawiedliwość, uzupełnia ich poglądy i prostuje błędy. Inaczej obchodzi się z pamflecistami z profesyi i złośliwymi nieprzyjaciółmi zakonu. Dla nich ma tylko pogardę i nie szczędzi im zgryźliwej często satyry lub odprawia ich z ironią i dowcipem. Wszędzie jest mężem konsekwencyi, który dla idei swojej gotów jest poświęcić wszystkie swe siły i energię woli. Miłośnik prawdy, chociaż jej szuka po manowcach, który dla wszystkich chce być sprawiedliwym i pracować nad dziełem socyalnej miłości bliźniego, który z ręką na sercu może wyznać, że świadomie nigdy nie zboczył z prawej drogi, zasługuje na uznanie i szacunek każdego dobrze myślącego człowieka. Katolik atoli spogląda z pewnym smutkiem na tę postać i, wnikając w psychologię tej duszy, rozumie lepiej, że wiara jest darem Bożym, łaską i że do wiary nie wystarcza sam rozum. Pilatus zdaje się stronić *a priori* od Kościoła i jego zasad, jakto podsuwa nam kilkakrotne jego zapewnienie, wyrażone już w *Quos ego!*, że nie należy do tej gminy, która pobożnie się modli przed ołtarzem i przed kapłanem, Boga zastępującym, wyznaje z żalem swe grzechy, i że »do niej nigdy należeć nie będzie« (str. 482).

Dodatek »Literatura antyjezuicka« od założenia zakonu aż do naszych czasów nie jest dodatkiem w zwykłem tego słowa znaczeniu, lecz dziełem samoistnem, zbiorem i oceną najważniejszych (ok. 400) antyjezuickich prac. Każdy historyograf literatury i kultury zdoła zrozumieć wartość tego dodatku, obejmującego przeszło 200 stron, dla badań w swojej dziedzinie. Psycholog znajdzie tu bardzo ciekawe szczegóły, pozwalające mu sięgnąć w głębinę ludzkich namiętności, zwłaszcza w sferach uczonych, oraz w prądy całych epok.

Drugi dodatek zawiera zajmującą polemikę, którą autor prowadził z Dahnem i Franciszkaninem O. H. Holzapfelem, oraz w ścisłym związku z tematem tej książki stojące omówienie dzieła prof. Heinera przeciw Hoensbroechowi. Pożądany spis imion i rzeczy zamyka obfite w treść dzieło.

Praca oparta na tak licznych źródłach, a przytem zgoła krytyczna, nie jest lekturą nużącą i monotonną. Autor jest bez kwestyi jednym z najlepszych stylistów, który dzieło swoje zdołał okrasić humorem i nadzwyczajną siłą słowa. Nadto komiczne próbki pamfle-

tów i paszkwilów przeciw Jezuitom z rozmaitych wieków i krajów, zręcznie rozsiane po całem dziele, sprawiają, że czyta się je jak powieść. Pilatus pragnie, aby praca jego dostała się przedewszystkiem do rąk akatolików, by złożyli prastare przesądy i sądzili sprawiedliwie o Towarzystwie Jezusowem, ale niestety nie tylko *Catholica non leguntur,* ale i *Acatholica,* skoro chcą stać na stanowisku sprawiedliwości i tolerancyi wobec Jezuitów, spotykają się z uprzedzeniem. W tym względzie znamiennym jest szczegół, który podaje Pilatus, że jakiś docent uniwersytetu, który przychylnie ocenił jego dzieło *Quos ego!,* z 70 słuchaczy, jakich liczył, stracił natychmiast 50. Sprawiedliwość wymaga, by wyrazić przyjacielowi prawdy najszczersze uznanie.

E. Matzel.

Geschichte des Deutschtums im Lande Posen unter polnischer Herrschaft. Von *Dr. Erich Schmidt,* Oberlehrer in Bromberg. Mit 25 Abbildungen und 2 Karten. Bromberg, Mittlersche Buchhandlung. (A. Fromm) 1904, 8-ce, str. 12 i 442.

W przedmowie autor (którego oczywiście nie można identyfikować z berlińskim germanistą o temsamem imieniu i nazwisku) przyznaje, że jego książka obok naukowego zadania ma także i narodowe cele. »Zwraca się ona do wszystkich Niemców w naszej prowincyi i poza nią, ma im uświadomić, że w krajach pomiędzy Wisłą i Odrą stawiają nogę na starym niemieckim gruncie, że wszystko, co w naszej wschodniej monarchii posiada wartość kulturalną, z niemieckiego ducha powstało. Ma niemieckiego czytelnika napełnić radosną dumą z własnego narodowego żywiołu, ma przeciwdziałać temu tchórzliwemu fatalizmowi, któremu się zdaje, iż musi wyrzec się utrzymania na wschodzie stanowiska, zdobytego niemiecką siłą i przezornością«. W tej myśli poczęte dzieło zaufania w polskim czytelniku nie budzi. A jednak w rezultacie książka okazuje się lepszą, niż pierwsze jej wrażenie. Naprzód trzeba przyznać p. Schmidtowi, że, zapewniając niemal uroczyście w tej samej przedmowie: »Każdy uczciwy polski czytelnik musi przyznać, że nigdzie nie kierowało piórem uprzedzenie, a tem mniej nienawiść obcego narodu«, przynajmniej w drugiej części przyrzeczenie to spełnia: nienawiści, inwektyw tu niema, chociaż uprzedzenie jednak dość jest widoczne. Lecz co ważniejsza, obszerny tom przynosi wiele pouczającego materyału, opracowanego udatnie i zajmująco. Oparty o sumiennie cytowane niemieckie i polskie źródła, autor rozwija dzieje niemieckiego osadnictwa w W. Ks. Poznańskiem. Sięga więc naprzód

aż do zamierzchłych czasów przedhistorycznych, kiedy starożytni Germanowie tutaj mieli swe siedziby. W czasie wędrówek ludów opuścili je, a pustką stojące obszary zajęli Słowianie, którzy, jak w zastępstwie autora sprawozdawca pozwala sobie podkreślić — ziemi nikomu nie wydarli. Za Ottona I zależność całej Polski, a więc i tych zachodnich kresów od Niemiec jest wielka, zwłaszcza na polu spraw kościelnych i politycznych, wnet jednak, dzięki energii i narodowemu poczuciu polskich władców, stosunek się rozluźnia. Potrzeba osadników po polskiej stronie, a niemieckie parcie na wschód z drugiej strony powodują w XII, XIII i XIV wieku niemiecką emigracyę do Polski, zwłaszcza do Wielkopolski. Pan Schmidt w tych ustępach jest najdokładniejszym. a wszechstronne przedstawienie politycznego, gospodarczego stosunku kolonistów do właścicieli ziemi jest ogromnie cenne. Oczywiście w miarę wzrostu narodowej świadomości w Polsce konflikt z Niemcami był nieuchronnym; jego skutkiem jest nie tylko sławny pogrom grunwaldzki, ale i osłabienie niemieckiego napływowego żywiołu w Poznańskiem. Dopiero w epoce reformacyi i wojny 30-letniej, Polska, spokojna i tolerancyjna, jest znowu ziemią obiecaną niemieckich przybyszów, którzy tak się mnożą, że odwrócenie się ogólnego nastroju narodu w XVII i XVIII stuleciu i na tych obcych fatalnie się odbija. Tak, że niemiecka przymieszka w Poznańskiem byłaby niewątpliwie uległa zgubie, gdyby po rozbiorach kraj nie był się dostał pod niemieckie panowanie.

Oto są wyniki badań autora. Z zastrzeżeniami, które zaraz poczynimy, można te wywody przyjąć, bośmy przecież nigdy nie twierdzili, jakoby w Poznańskiem nie było od dawnych czasów Niemców; z drugiej zaś strony sam autor stwierdza, że od VI wieku Słowianie byli trwale tubylcami i to nam wystarcza. Lecz p. Schmidtowi musi się wytknąć zaraz z początku błąd, który w innych okolicznościach byłby co prawda zaletą książki. Autor mianowicie niejednokrotnie nie ogranicza się do przedstawienia dziejów Niemców w Poznańskiem, lecz obejmuje całokształt polsko-niemieckich stosunków, przez co w niedość ostrożnym czytelniku może powstać zbyt wielkie wyobrażenie o działalności Niemców w Poznańskiem, kiedy tu mowa o Polsce wogóle. (Może umyślnie dla wywołania tej illuzyi, p. Schmidt przekracza ramy swego zadania). Powtóre zaś uzupełnić trzeba wywody autora tam, gdzie wymownie milczą: oto p. Schmidt, niewątpliwie bardzo pracowity, nie może zebrać wiele dowodów i świadectw narodowej kultury niemieckiej na polskiej ziemi, chociaż ustawicznie o wyższości

Niemców nad Polakami mówi. Nie wiemy również, co się z tymi niemieckimi osadnikami działo, czy pozostali Niemcami, czy się spolonizowali? Raz tylko (na str. 296) mówi o »uderzających zmianach imienia i narodowości« (niemieckiej na polską), przypisując je — polskiej kobiecie, polskiej żonie. Jedno jednak przeświadczenie góruje w końcu, godne uwagi i polskiego i niemieckiego czytelnika dzieła p. Schmidta. To przeświadczenie o tolerancyi, ludzkości, niemal życzliwości, jaką Polacy, panowie tej ziemi, zawsze okazywali Niemcom, przybyszom, czasem wezwanym, czasem nieproszonym gościom. Nawet w chwilach wybuchów narodowych nieporozumień rząd polski nigdy tych Niemców nie gnębił, nie prześladował, owszem brał ich w obronę n. p. Władysław IV, niejednokrotnie przez autora z tego powodu szlachetnym zwany). Tak się działo Niemcom w Poznańskiem pod polskiem panowaniem; a jak się dzieje Polakom w Poznańskiem pod niemieckiem panowaniem?

Materyał illustracyjny jest obfity, nieraz bardzo pożądany (n. p. mapy i plany niemieckich osad z XIII i XIV w.), częściej, mimo całej wagi, pozostający w jaskrawej sprzeczności z tekstem, n. p. gdy ilość odnośnych illustracyi stoi w odwrotnym stosunku do szczupłości wykazanych śladów niemieckiej kultury umysłowej w Poznańskiem.

Dr. Józef Flach.

Biełorussy. *Karskij E. Th.* Tom I. Wwiedienije w izuczenije jazyka i narodnoj słowiesnosti; s priłożeniem dwóch kart (Ottisk iz »Wileńskawo Wriemiennika«). Warszawa, str. X, 466.

Nie do dawnego czasu pracowaliśmy sami tylko nad Białorusią, równie jak nad sąsiednią Litwą, Żmudzią i Inflantami. Kiedy jednak nieubłagany wróg — czas poczynił liczne szczerby w szeregach pracowników, oddaliśmy innym te ziemie do zbadania, skoro nie było świeżych sił, które byłyby zdolne poprowadzić dalej zaczęte dzieło. Jeszcze lata ostatnie przyniosły nam parę tomów pomnikowego dzieła M. Federowskiego »Lud białoruski«, wydawanego kosztem Akademii Umiejętności krakowskiej, lecz nieukończonego dotychczas. Czy po tem wydawnictwie nauka nasza da nam co nowego, wątpić należy, ile że nic o tem nie wiadomo, ażeby kto oddawał się badaniu Białoruszczyzny, że wszelkie prace nad tym ludem muszą ograniczać się badaniem języka ludowego i folkloru, to wynika z natury rzeczy samej. Wszak Białoruś, biedna i zapomniana przez nas, nie wydała ze swego łona jednostek, któreby działały pośród niej, wszakżeż ona nie dała

ani samodzielnej literatury artystycznej ani niczego, co nosiłoby na sobie piętno kultury. Naród opuszczony i konserwatywny aż do przesady nie miał siły ani sposobności do stworzenia czegoś, co zapewniałoby mu pewne, choćby skromne miejsce w dziejach cywilizacyi nowożytnej. Stąd też wszystko, co stanowi jego dorobek umysłowy i kulturalny, zawiera się w jego pieśniach i podaniach, zwyczajach i obrzędach, w języku przedewszystkiem, który jest zawsze i wszędzie zwierciadłem, odbijającem wiernie poziom umysłowy pewnego narodu. I mimo tak szczupłego zakresu, w jakim można badać to plemię słowiańskie, ze wstydem wyznać trzeba, że prace nad niem przeprowadzone, dotychczas są bardzo skąpe i mało wyczerpujące. Jeszcze jako tako jest z białoruskim folklorem, o ile chodzi o zbiory surowych materyałów. A jeśli zechcemy wziąć pod uwagę badania językowe lub też porównawcze studya etnograficzne, przekonamy się rychło, jak niewiele uczyniono w tym kierunku.

Wydając omawiane dzieło, a raczej tom jego pierwszy, zamierzył profesor warszawski dać podręcznik dla tych, którzy chcieliby poświęcić się badaniom białoruskiego narzecza i poezyi ludowej. Będąc z zawodu językoznawcą, zajął się przedewszystkiem stroną językową narzecza, przyczem postanowił szeroko omówić fonetykę, morfologię i składnię. Poza tem zaś chciał dać w swojej pracy materyał dla białoruskiego słownika, dotychczasowy bowiem słownik Nosowicza nie odpowiada wcale swemu przeznaczeniu ani też nie jest zupełny. Ażeby jednak można było przystąpić do ułożenia dokładnego słownika, trzeba naprzód zakreślić dokładne granice osiedlenia Białorusinów, zwrócić uwagę na główne elementy, jakie weszły w skład języka, poddać krytycznemu rozpatrzeniu dotychczasowe materyały językowe. Taki właśnie cel zamierzył sobie autor. Że osiągnął go w całej pełni, to po niedługiej rozwadze staje się zupełnie jasne. Ponadto też udało się mu zdążyć o wiele dalej; dzieło jego bowiem może przynieść nie mniejszą korzyść każdemu badaczowi białoruskiego folkloru. A że życie Białorusa kryje w sobie wiele przeżytków dawno zamierzchłej i zapomnianej przeszłości, przeto z książki prof. Karskiego może korzystać także prawnik, studyujący poglądy prawne i ekonomista, badający życie ludowe w najobszerniejszem tego wyrazu znaczeniu.

W zasadzie jednakże nie można nazwać z autorem omawianej książki, tak, jak on sobie tego życzy, nie można nazwać jej podręcznikiem. Ażeby uniknąć wszelkich możliwych nieporozumień, zaznaczę, że podręczniki zazwyczaj oparte są na rezultatach badań obcych. Nie

podobna tedy stosować tego terminu do dzieła prof. Karskiego. Jest ono bowiem pracą samodzielną, przynoszącą mnóstwo nowych rezultatów jakich darmobyśmy szukali u innych, którzy zajmowali się przed nim. Białorusią. Jest ono owocem mozolnych poszukiwań, osobiście czynionych, jest pracą na wskróś oryginalną, ale nie podręcznikiem, skleconym z badań cudzych. I co jeszcze uwagi godnego jest w tej książce? Oto to, że pisana gładko, bez niepotrzebnego balastu naukowego, tak, iż łatwo może zainteresować czytelnika nawet niefachowego, któremu obce jest językoznawstwo czy folklor. Nadewszystko zaś należy z naciskiem podnieść, że autor obznajomił się doskonale z literaturą przedmiotu, która wcale nie była szczupła, że nie pominął nawet błahych drobiazgów, niekiedy małoznaczących. Wszystko zaś to przyczynia się wielce do tem lepszego, tem gruntowniejszego zbadania zagadnień, jakie zamierzył rozwiązać.

Za największą zasługę poczytane być powinno prof. Karskiemu ułożenie mapy etnograficznej plemienia białoruskiego. Ile w taką mapę musi się włożyć żmudnej pracy, ile trudu, łatwo pojmie każdy, jeśli zważy, iż żaden naród słowiański nie ma dotąd dokładnej karty etnograficznej. U nas projektów co do polskiej mapy etnograficznej było dotąd wiele, więcej niż potrzeba. Nawet na III Zjeździe historyków polskich w Krakowie w r. 1900 zapadła uchwała, domagająca się gwałtownie takiej mapy. Radość jednakże z uchwały była krótka, gdyż poza samą uchwałą niczego w tej mierze nie uczyniono, choćby siłami zbiorowemi. A tu — jednostka ułożyła mapę etnograficzną Białorusi, sama jedna bez niczyjej pomocy! I to właśnie poczytuję za największą zasługę prof. Karskiemu, za najważniejszą zdobycz naukową całego dzieła. O tej właśnie kwestyi, rozwiązującej pytanie, jakie jest rozsiedlenie Białorusinów, mówi prof. Karski na samym początku swojej pracy. Z pomiędzy szczegółów, jakie zostały w tym pierwszym rozdziale omówione, zasługuje na baczniejszą uwagę oznaczenie granic osiedlenia Białorusów w guberniach: witebskiej, kurlandzkiej, kowieńskiej, wileńskiej, grodzieńskiej i suwalskiej. Zarazem rozpatrzył się autor w rozsiedleniu najbliższych sąsiadów Białorusów, a mianowicie: Polaków, Litwinów i Łotyszów, poczem oznaczył granicę południową z Małorusami w gub. grodzieńskiej, mińskiej i czernihowskiej, oraz granicę wschodnią z Wielkorusami w gub. orłowskiej, kałuskiej, smoleńskiej, twerskiej i pskowskiej. Na tychto podstawach oparł autor swoją mapę Białorusi, która jest pod każdym względem dokładna, co zawdzięcza nie tylko autopsyi autora, lecz także do

pewnego stopnia innym uczonym, którzy starali się określić granice etnograficzne innych narodów, a mianowicie Anonimowi, który w swojej pracy »Obszar języka litewskiego«, drukowanej w »Materyałach antropologiczno-archeologicznych« Akademii Umiejętności, starał się określić rozprzestrzenienie języka litewskiego, a także po części pracy Woltera *Spiski nasieliennych miest Suwalkskoj gubiernii* (cytuję z pamięci!). Obie te jednak prace były tylko pomocniczymi środkami przy samem przedsięwzięciu i nie mogą w niczem ująć zasługi prof. Karskiego, który i tak nie od dzisiaj zajmuje się rzeczami białoruskiemi (żeby tylko przypomnieć dawniejsze jego rozprawy *Obzor zwukow i form biełorusskoj rieczi* Moskwa 1886, lub też *Kistorii zwukow i form biełorusskoj rieczi* Warszawa 1893). Kiedy też my zdobędziemy się na podobną mapę?

Rozdział drugi zajmuje się osiedleniem terytoryum białoruskiego w czasach przedhistorycznych. Zwłaszcza uwzględnione zostały świadectwa starożytnych pisarzy: Herodota, Ptolomeusza, Tacyta.

Od tej materyi przechodzi autor do omówienia języka ruskich plemion, które zamieszkiwały terytoryum białoruskie w dawnych wiekach, wykazując zarazem zapożyczki od Finnów. Część ta jest zbyt specyalna, to też nie będziemy się nią dłużej zajmowali.

W dalszym ciągu przechodzimy do czasów historycznych, kiedyto wszystkie białoruskie plemiona znalazły się pod panowanie litewskiem i kiedy ostatecznie ukształtował się język białoruski, zapożyczając sporo z języka litewskiego i łotyskiego. Następnie rozwodzi się autor obszernie nad polonizmami, jakie do białoruszczyzny dostały się z języka polskiego, kiedy Białoruś wraz z Litwą dostała się pod panowanie polskie. Przy tej sposobności zaznacza autor zapożyczki z języka hebrajskiego, celtyckiego, greckiego, łacińskiego, rumuńskiego gockiego, niemieckiego i języków wschodnich.

Wykazawszy stosunki, jakie łączyły Białoruś z Moskwą, oraz wpływ języka rosyjskiego na białoruski, przechodzi autor do podziału narzeczy białoruskich.

Dla zawodowych etnografów najcenniejszy jest rozdział siódmy, w którym prof. Karski zestawia wszystkie prace folklorystyczne, jakie zostały dotąd ogłoszone o Białorusi. Zaczynając zbiorami najdawniejszymi, którymi możemy się pochlubić, bośmy ich dokonali najpierwsi, przechodzi autor kolejno wszystko, co najważniejsze. W ostrożności swej notuje nawet drobnostki, nawet obszerniejsze recenzye. Literatura ludoznawcza białoruska, nawet ta, która ukazała się w polskich

wydawnictwach, jest mu dokładnie znana. Możnaby wprawdzie zaznaczyć parę opuszczeń, ale te są tak nieliczne i w niczem nie przyczyniające się do obniżenia wartości przeglądu prof. Karskiego, że ich wyławianie i wykazywanie zakrawałoby na prostą szykanę. Wprost jestem z podziwem dla pracowitości prof. Karskiego, że zdołał tyle nowych prac wydobyć z ukrycia lub nowe przypomnieć, o których mało lub nic nie wiedzieliśmy. Dość będzie, jeśli zechcemy porównać zestawienie prof. Karskiego z ostatnim tomem »Historyi ruskiej etnografii« Pipina, a ujrzymy, ile tu nowych, tam niewspomnianych rzeczy odnajdzie się. Już to samo zasługuje na szczególniejsze uznanie i podniesienie. Z zestawienia porównawczego pieśni ludowych białoruskich może skorzystać wiele każdy, kogo interesuje sposób transkrypcyi wyrazów obcych łacińskiemi czcionkami. Ogółem wziąwszy — rozdział ten jest bardzo bogaty w treść i nowe przyczynki do dziejów słowiańskiej etnografii, w której my jedno z pierwszych miejsc dzierżymy niezaprzeczenie.

Dwa końcowe rozdziały zajmują się pomnikami dawnego białoruskiego piśmiennictwa, oraz utworami nieludowego pochodzenia, napisanymi w języku białoruskim.

Cały ten tom kończy się alfabetycznym spisem osób oraz miejscowości, ułożonym bardzo porządnie, bez którego wprost nie możnaby się obejść w tem dziele.

Że drugi tom przyniesie nie mniej od omawianego nowych spostrzeżeń, o tem ani chwilę nie wątpię. Życzyć należałoby, iżby na dalszy ciąg nie trzeba było czekać zbyt długo i aby strona typograficzna dzieła wyglądała porządniej.

Dr. St. Zdziarski.

Sur la branche. *Pierre de Coulevain.* Paris. Calman Lévy. Str. 468.

Dziwna książka, pełna ślicznych myśli, głębokich spostrzeżeń i dzikich paradoksów. Powieść w formie pamiętnika, otwiera pole do rozumowań, którychby inne założenie nie zniosło. Jest ich wiele, ale tak zajmujących, że ani chwili nie wzbudzają przesytu. Wiele też bardzo życia, wiele barw i wiele uczucia. A pomimo to i właśnie dlatego książka ta może się stać nieco niebezpiecznem czytaniem dla niebardzo dojrzałego umysłu. Treść przedstawia kobietę 50-letnią, która po 16 latach najszczęśliwszego małżeństwa, straciła męża podwójnie, gdyż śmierć jego odkryła jej zdradę jego i własnej siostry stryjecznej, przyjaciółki lat dziecinnych — Koletty. W gniewnej roz-

paczy przeklęła pamięć męża i przeszłość całą, zerwała wszelkie dawne związki i przepędziwszy parę lat na dalekich wędrówkach, osiadła — jak ptak na gałęzi — w numerowanem mieszkaniu paryskiego hotelu. Stąd może, wolna od wszelkich trosk powszednich, studyować życie w drugich i w sobie, a z badania tego pewnego dnia wyłania się talent pisarski. Pierwsza powieść idzie do druku i zyskuje niespodziewaną sławę — pseudonim Jean Noël na skrzydłach prasy rozchodzi się po całym świecie. Obecnie dla niej każdy rys charakteru, każdy ruch ludzki, każdy wyraz staje się dokumentem, a sama sława jej ułatwia czerpanie tych dokumentów z najszlachetniejszych źródeł. Autor tedy jest szczęśliwy, ale rana w sercu kobiety wciąż krwawi, aż raz nieprzewidzianie spotyka się u wód z Kolettą — i z jej synem. Spotyka się i przebacza, bo widzi, że ta siostra stoi u wrót grobu, bo wie, że całe jej późniejsze życie było najszlachetniejszem zadosyćuczynieniem za chwilę słabości.

Uciekłam na wieś, opowiada jej Koletta. Tam znalazłam naszego proboszcza, prawdziwego lekarza dusz. Nie zadał mi żadnej pokuty, kazał o przeszłości zapomnieć i otwarł przedemną ogromne pole działania dla bliźnich. Koletta spełniła zadanie, dziś cała okolica błogosławi jej imię, mąż niedawno skonał w jej objęciach, a jej samej tylko tego ostatniego przebaczenia potrzeba, by spokojnie zawrzeć powieki. Przed śmiercią atoli powierza kuzynce pieczę moralną nad synem, który, nie widząc, iż wzbudza w niej podwójne uczucie pociągu i wstrętu, adoptuje natychmiast tę odnalezioną ciotkę i tuli się do niej sercem i duszą. Tak więc samotna kobieta, ceniąca nadewszystko swą niezawisłość, widzi się mimowolnie znowu ujętą w sieć stosunków rodzinnych. W końcu książki umiera, wypełniwszy w całej pełni obowiązki przybranego macierzyństwa. Do ostatniego dnia spisuje swoje wrażenia z prawie nieprawdopodobną siłą woli i przytomością umysłu; do ostatniej chwili też wysnuwa swą tezę — prawdziwą ale naciągniętą aż do fałszu. Wierzy w Opatrzność, kierującą każdem poruszeniem naszej duszy i ciała i tworzącą z nas nieodpowiedzialne narzędzia. Bóg, według niej, wymaga od nas tylko dobrej woli do współdziałania z Jego wolą; zasługą jednak naszą jest tylko to, żeśmy żyli i cierpiali. *Faire de la vie,* tj. silnie czuć lub działać jest wyrażeniem powtarzającem się często, równie jak i wyraz *exteriorisation,* tj. działanie na zewnątrz nie tyle czynem co zapomocą sympatycznych prądów, promienienia i tym podobnych niezbadanych jeszcze czynników. Domyśla się w nas sił jeszcze w nas nieznanych, a działających przez nas bez przyłożenia

naszej woli; powiada, że twór Boski w nas jest bez porównania większy i doskonalszy, niż nam się wydaje, ale że ludzkość ledwie wychodzi z dzieciństwa, a człowiek, który był na ostatku stworzony, będzie też na ostatku poznany, po odkryciu wszystkich innych tajemnic przyrody. Niema co powtarzać innych sofizmatów wkładanych pod pióro powieściopisarki. Jest ona katoliczką, a raczej nią się być mieni, a równocześnie umysł jej jest Pantheonem, przyjmującym rozliczne obce bogi i usiłującym zespolić je w całość. Milszą jest bez porównania, gdy, nie błąkając się po kwestyach wolnej woli, metampsychozy lub nawet Komunii św., gdzie złączenie się z obecnością Boską czyni zależnem od podniesienia duchowego człowieka (tak jakby nie Bóg schodził do nas, ale my wznosili się do Niego), gdy zamiast wyszukiwać połączenia między siłą nowo odkrytego r a d u, a pojęciem nieśmiertelności wodzi w koło siebie badawczem okiem i udziela nam swych spostrzeżeń. Jednem z nich jest ciasność horyzontu, w jakim obraca się myśl kobiety romańskiej, nie widzącej, gdy jest cnotliwą, nic poza mężem i dziećmi i dlatego czepiającej się uporczywie tych ostatnich, gdy godzina rozstania wybije — skąd zbyt często zasłużona reputacya teściowych lub też, gdy jest płochą, pogardzającej wszystkiem, co wychodzi poza sferę jej strojów, miłostek i zabaw. Amerykanka podróżująca dla ciekawości i wrażeń, uciekająca nieraz z gorączkowego wiru życia swojej ojczyzny dla chwilowego spoczynku w starym świecie sztuki - wydaje się wobec niej dziwadłem; Słowianka ze swem skupieniem ducha i wielkiemi falami egzaltowanych uczuć — anachronizmem. Autor życzy jej przewiewu świeżego powietrza, ukazuje ideał dziewczyny w Francusce z szczodrą przymieszką krwi anglosaksońskiej. Chwali sposób życia, myślenia i wychowania panujący nad Tamizą, dziwi się tylko, czemu dzieci, cudne z urodzenia, przekształcają się między 15 a 20 rokiem życia w całkiem niełądnych ludzi. Mógłby jeszcze dodać, że w ostatnich czasach procent ludzi zdatnych do wojska zmalał w sposób zastraszający i to pono wskutek nadużycia zabaw sportowych, zbawiennych, gdy użyte w miarę, ale tak, jak jest obecnie, pożerających wiele czasu i sił fizycznych: podobnie natężenie sił umysłowych u nałogowych szachistów zjada w bezcelowej szermierce zdolności, któremiby się mogli dobrze ludzkości zasłużyć...

Jest też w rzekomym pamiętniku dużo opisów miejscowości z charakterystyką żyjących w nich lub przejezdnych mieszkańców, czy to miejsc kąpielowych, czy wsi lub dworów we Francyi. Jest opis wsi z nad brzegów Loiry, wsi pięknej, bogatej a bezwyznaniowej, bez

mszy, bez dzwonów, bez krzyża w świeckiej szkole. Autor nie gorszy się — mówi tylko, że żywioł bezwyznaniowy jest oschły i brzydki.

Wielu obecnie ludziom chrystyanizm zdaje się potrzebnym dla względów estetyki. Czysto-chrześcijańskiem bowiem nie możemy nazwać pióra, kreślącego zdanie, że »Zło jest dobrem, którego nie rozumiemy« *le mal est un bien, quae nous ne comprenons pas.* Wyraz ten jest uwieńczeniem tezy, uwalniającej człowieka od wszelkiej odpowiedzialności złożonej hojnie na karb kierującej nim siły. Gdyby nie owo naciąganie, owo krążenie w błędnem kole własnych rozumowań, możnaby powieść tę polecić jako jeden z lepszych i czystszych objawów nowszego piśmiennictwa.

T. Wodzicka.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Koronacya lwowska.

Koronacya cudownego obrazu »Matki Boskiej Pocieszenia« w lwowskim, jezuickim kościele nie tylko ziściła nasze, w zeszłym numerze *Przeglądu* wyrażone oczekiwania, lecz owszem przewyższyła je. Fakt to tem bardziej znamienny, że tu i ówdzie dawały się słyszeć pewne, pozornie słuszne powątpiewania, czy nadzieje nie zawiodą. Wszak zaledwie ośm miesięcy upłynęło od chwili, gdy Lwów zgromadził na pierwszym kongresie maryańskim tysiączne zastępy w swych murach. Dwie uroczystości o tym samym zakroju, rozdzielone tak krótką przestrzenią czasu, to chyba za wiele na jedno i to samo miasto. Na szczęście przewidywania nie sprawdziły się i po raz drugi dał Lwów dowód, że żyje w nim jeszcze gorące przywiązanie do wiary i N. Panny. Czytelników, pragnących się bliżej zapoznać z ceremoniami koronacyjnemi, odsyłamy do dzienników, które, i to znowu jest bardzo charakterystycznem, zamieściły obszerne i nader sympatyczne sprawozdania; pisma szczególniej lwowskie zapełniły niemi całe stronice. Co nas szczególniej mile w koronacyi uderzyło, to gromadny w niej współudział wszystkich sfer. Duchowieństwo trzech obrządków, w wielkiej części z pasterzami swymi na czele, podało sobie ręce, aby godnie uczcić tę niezwy-

kłą chwilę; najwyższe władze rządowe i autonomiczne wraz z licznie reprezentowanymi posłami i przedstawicielami starych polskich rodów, polskiej nauki, intelligencyi i z tłumami ludu, dodały uroczystości zewnętrznego blasku, tak, iż bez przesady można powiedzieć, że ceremonia nosiła na sobie charakter uroczystości narodowej i objęła w jednem uczuciu religijnem wszystkie sfery polskie i w tem tej koronacyi znaczenie moralne a zasługa tych, którzy ją zainicyowali i do szczęśliwego doprowadzili końca.

Arcybiskup i młodzież.

Ksiądz arcybiskup Bilczewski nie ustaje w pracy nad polską młodzieżą. Po znanym, serdecznym liście, który wskazywał młodym ideały życiowe, jakie pierś ich ożywiać powinny, następuje praktyczne utwierdzenie w tych wzniosłych zasadach — pielgrzymka polskiej młodzieży do Rzymu. To fakt wprost epokowy, może jedyny w swym rodzaju w historyi — dla wszystkich uczestników pielgrzymki pamięć o niej z pewnością na całe życie zostanie i niejednego od zboczenia na manowce ustrzeże. I nie była to tylko głęboko oryginalna, ale przedewszystkiem głęboko prawdziwa myśl, wygłoszona w przemówieniu arcypasterza do Piusa X, że, jak niegdyś dzieci utworzyły krucyatę, aby zdobyć grób Pański dla chrześcijaństwa, tak dzisiaj dzieci zawsze wiernego Kościołowi narodu idą do Rzymu, aby zdobyć serce Ojca i zaczerpnąć męstwa i otuchy do walk przyszłego życia. Myśl ta znalazła oddźwięk w sercu Ojca św., powtórzył On ją w swej allokucyi, a gorące, szczere i serdeczne przyjęcie młodocianych pielgrzymów przez papieża musiało zjednać Jemu a przez Niego i Kościołowi wszystkie serca.

Za tę opiekę i miłość, jaką ks. arcybiskup otacza polską młodzież, należy mu się cześć i wdzięczność od wszystkich i wszystkie lepsze żywioły w kraju tę wdzięczność dla niego czują — żal tylko, że pewien odłam tej właśnie młodzieży, która tyle doznaje dowodów ojcowskiego serca ze strony arcybiskupa, w zamian za miłość rzuca mu w twarz jadem nienawiści i wstrętnego lekceważenia. Nie należymy wprawdzie do tych, którzy po *Promieniu* spodziewają się poszanowania cudzych przekonań i uznania dobrej woli — takie poglądy i pojęcia leżą poza horyzontem jego współ-

pracowników —, nie przypuszczaliśmy jednak, że nawet *Promień* potrafi iść tak daleko, jak poszedł w swej niby odpowiedzi, danej na list arcybiskupa. Wolno każdemu mieć swoje przekonania, jeżeli wogóle u współpracowników *Promienia* o jakichkolwiek wyrobionych przekonaniach mowa być może, nie wolno jednak człowiekowi szanującemu siebie być gburem, chyba, że koniecznie pragnie, by go za takiego miano; poza stronnictwem *Promienia* niewielu się jednak znajdzie takich, którymby podobne postępowanie przypadało do gustu. Zle stoi ze sprawą, dla której obrony potrzeba grubiaństwa i wstrętnych insynuacyi; gorsze jeszcze wydają sobie świadectwo ci, którzy taką bronią walczą. Może ten fakt otworzy wreszcie oczy nie tylko rodzicom, ale tym przedewszystkiem, którzyby mogli coś zdziałać w tej sprawie, a którzy dziwnie są nieczuli na podobne objawy.

Wilhelm II rycerzem orderu św. Grobu.

Pewną niespodziankę przyniosło światu odznaczenie cesarza Wilhelma wielkim krzyżem orderu św. Grobu. Niektóre z gazet, zapominających, że trzeba wpierw wymieść przed własnym progiem, udzielały z tego powodu Piusowi X dużo wielce zbawiennych rad, niewiele brakowało, a bylibyśmy słyszeli, że tu chodzi o *communicatio in sacris;* tymczasem proch spalił na panewce, dobre rady minęły się z celem. Orderu św. Grobu nie daje papież i w tym też wypadku go nie dał; rozporządza nim patryarcha jerozolimski i on przesłał wysoką tę oznakę cesarzowi Niemiec. Rola Piusa X w tej sprawie ograniczała się jedynie do przyzwolenia na udzielenie dekoracyi. Bezpośrednią racyą tego nieoczekiwanego odznaczenia była wdzięczność za bądź co bądź wielki dar, jaki katolikom niemieckim przed kilku laty zrobił Wilhelm II, ofiarując im na własność pamiątkowe i święte dla chrześcijan miejsce *Dormitio Sanctae Mariae Virginis.*

Uroczystości w Metz nie można odmówić jednak pewnego, może nawet wielkiego znaczenia, tem bardziej, jeżeli uwzględnimy obecne stosunki we Francyi. Protestancki monarcha ma słowa szczerego uznania nie tylko dla Leona XIII, ale i dla Piusa X; w jego otoczeniu znajduje się dwóch kardynałów i dwóch bisku-

pów — to mimowoli nasuwa porównanie z Francyą. O ile wybór w Metzu zależał od wolnej woli papieża, świadczyłoby to tylko, że Ojciec św. obecnie mniej się okazuje dla Francyi uprzedzającym — to łatwo zrozumieć. Taktyka znów Wilhelma była w tym wypadku pewnym rodzajem *coup d'état.* Dwie wybitne katolickie uroczystości w Metzu w przeciągu jednego roku, świadczące o tem, że cesarz umie uznać i uszanować przekonania katolickie, mogą mu z pewnością więcej zjednać serca katolików alzackich i lotaryngskich, aniżeli długie lata wymuszonej przynależności i odstręczą ich w tej samej mierze od dawnej ojczyzny, przeciwko Kościołowi walczącej.

Czy można z uroczystości w stolicy Lotaryngii wyprowadzić jakieś wnioski w sprawie protektoratu francuskiego na Wschodzie? Ostatni ustęp z mowy cesarza: w odznaczeniu »widzę węzeł, który mnie z religijną działalnością chrześcijan w Ziemi świętej łączy«, nasuwa mimowolnie pewne w tym kierunku przypuszczenia; samo zaś udzielenie orderu św. Grobu świadczy, przynajmniej tyle, że na Wschodzie uznają i aprobują ochronę, jaką Niemcy dają swoim podwładnym. Że znowu postępowanie Francyi w przeciwstawieniu do postępowania Niemiec znaczenie pierwszej w Oriencie o tyle zmniejsza, o ile powiększa znaczenie Niemiec, o tem niema, zdaje się, dwóch zdań. Tak też rozumieją i pojmują całą rzecz pisma francuskie. »Wręczenie wielkiego krzyża orderu św. Grobu przez kardynała Koppa i wygłoszone z tej okazyi mowy, pisze *Temps,* oznaczają dalszy postęp dzieła, nad którem Niemcy na Wschodzie cierpliwie i wytrwale pracują, dzieła, którego dotychczasowym rezultatom przeczyć byłoby śmiesznem, które od 1890 r. prowadzi się z dziwną konsekwencyą. Wybór Metzu dla wręczenia orderu nasuwa przypuszczenie, że Stolica św. mniej jest skłonna dzisiaj do zostawienia Francyi jej przywilejów, jak była niegdyś. Jeżeli Pius X na tej drodze dalej pójdzie... wtenczas sukces Niemiec oznaczać będzie upadek wpływu francuskiego na Wschodzie«. Podobnie zapatruje się na sprawę *Jourral des Debats.* Te same mniej więcej wnioski wyciągają z uroczystości i gazety niemieckie, stwierdzając, że dni w Metzu spo-

wodują w Francyi przynajmniej zastanowienie się nad jej obecną polityką kościelną.

Na pewnym zato odłamie czasopism protestanckich sprawdza się w całej pełni przysłowie: »strach ma wielkie oczy«. Mowa cesarza, która bardzo się różni od mów wygłaszanych np. w Ewangelickim Związku, nasuwa im na myśl przypuszczenie, że skłania się on zbytnio do katolicyzmu; *Reichsbote* znowu przypuszcza, że Rzym, sprzymierzając(!) się z Niemcami, pragnie je zawikłać w wojnę z Francyą, ponieważ po klęsce Francyi spodziewa się upadku obecnego rządu i nowego wzrostu katolicyzmu; *Magdeburgische Zeitung* wyprowadza wreszcie prawdziwie karkołomne wnioski: »Niemcy i Anglosasi mają zastąpić jako giermkowie i obrońcy papieskiego Kościoła szczepy romańskie. Dziękujemy za takie zadanie. Jeżeli Kościół papieski, jak wszelkie ludzkie dzieło, chyli się ku upadkowi, możemy mu tylko zawołać: ‚niech umarli grzebią umarłych'«.

Przed wyborami w Holandyi.

Stojąca przed wyborami Holandya przedstawia ciekawy widok ścierania się dwóch elementów: chrześcijańskiego, łączącego w sobie wszystkie pierwiastki, stojące na stanowisku wyznaniowem i idące ręka w rękę z gabinetem Knijpera, i antychrześcijańskiego, skupiającego w swoim obozie to wszystko, co z pod wpływu wyznaniowego się wyzwoliło i do obalenia obecnego rządu zdąża. Jedną z przyczyn ruchu wywołanego przeciwko Knijperowi, to definitywne przyjęcie przez pierwszą izbę prawa o wyższych zakładach naukowych, a przez drugą prawa o szkołach wyznaniowych. Prawa te, pozwalające uniwersytetom wyznaniowym na nadawanie stopni, a przyznające szkołom wyznaniowym, utrzymywanym wyłącznie przez protestantów lub katolików, subwencye państwowe, zostało uchwalone mimo szalonej agitacyi stronnictwa liberalnego, wolnomyślnego i socyalistycznego. Że Knijper wypowiedział otwartą walkę wszelkim żywiołom przewrotowym i bezwyznaniowym i że tę walkę energicznie prowadzi, tego mu liberalizm holenderski darować nie może, a mimo to, nie chcąc nawet, musi uznać jego zasługi. Najbardziej prawie liberalne pismo *De Gids* twierdzi, że obrady te-

raźniejsze różnią się od zeszłorocznych, jak dzień od nocy. »O ile nizko stały one w roku ubiegłym« (gdy większość była liberalną), »o tyle wyżej stoją teraz« (gdy większość jest chrześcijańską). Silniej jeszcze wyraża się Buijtendijk, zasadniczy dawniej wróg obecnego prezydenta. »Dzisiaj, gdy rządzi ministeryum, które zwalcza energicznie ducha przewrotu, dzielnie broni powagi państwa, przeszkadza krzewieniu się niewiary, wspomaga szkoły chrześcijańskie i sprzyja misyom, które położyło koniec niejednemu złemu, jakie się działo i jakie tolerowano za dawnych rządów — zapominają o tem ludzie, którzy siłą swych zasad powinni stać po stronie obecnego gabinetu, ponieważ to się dzieje pod rządami Knijpera. Takie postępowanie jest małostkowem i zbrodnią wobec Boga, narodu, kraju i domu panującego«.

Swoją drogą połączone stronnictwa lewicy, a więc staroliberali, Unia liberalna, wolnomyślni demokraci, socyaliści i anarchiści przygotowują się wszelkiemi siłami, by przy wyborach w czerwcu b. r. przeprowadzić ministeryum radykalno-socyalistyczne. Wyniku wyborów przewidzieć wprawdzie nie można, zdaje się jednak, że tym razem ich usiłowania spełzną jeszcze na niczem. Najmłodsze stronnictwo polityczne, tak zwana partya narodowo-historyczna, zbliża się coraz więcej do prawicy. Solidaryzowała się ona dotychczas z partyą staro-liberalną, odkąd jednak ta ostatnia przyrzekła przy wyborach swe poparcie sprzymierzonym wolnomyślnym, demokratom i socyalistom, zarysowała się głęboka przepaść między temi stronnictwami. Tak zwani antyrewolucyoniści, którzy w prezesie gabinetu, dr. Knijperze mają swego wodza, zwołują zgromadzenia i wykazują na nich zgubny wpływ lewicy — cała lewica, o ile się różni w poszczególnych częściach swoich programów, ma jednak ich zdaniem dwa styczne punkty: jest dziecięciem rewolucyi francuskiej i zwalcza rząd, ponieważ chce z polityki usunąć chrześcijaństwo. Katolicy idą jednogłośnie za Knijperem; niedawno na zgromadzeniu w Loosduinen postanowili oddać głosy na antyrewolucyonistę, gdyż sami nie mają tam dostatecznej siły, aby przeprowadzić wybór swego kandydata, a chodzi im o to, aby wszelkimi sposobami Knijpera u steru rządu utrzymać. Ta taktyka zażąda może od katolików

niemało ofiar, ale w tym wypadku jest jedynie możliwa; jedność musi panować między sprzymierzonemi rządowemi stronnictwami i muszą iść sobie na rękę, jeżeli chcą dojść do celu. Wogóle hasło: »baczność! na prawo!« rozbrzmiewa coraz częściej, a jest ono tem ważniejsze, że pewne elementa, którym wiele na tem zależy, chciałyby wprowadzić rozdwojenie w szeregi rządowe, które z małymi wyjątkami wchodzą między sobą w kompromisy. Wyrazem tych powyżej określonych pragnień jest broszurka: »Czy papież i Jezuici mają rządzić Holandyą? Poważne słowo o kandydatach ultramontańskich, zwrócone do wyborców antyrewolucyjnych«. Ten szesnaście stron zawierający pamflet, którego autor, rozumie się, pozostał w ukryciu, zawiera tyle potwarzy na Kościół katolicki rzuconych, ile się wogóle na szesnastu stronach zebrać i powiedzieć dało. W kołach wykształconych wyborców broszurka ta nie zaszkodzi — te czasy dla Holandyi już minęły — między gminem zato nie przejdzie z pewnością bez wrażenia, ale równocześnie wpływowe sfery postarają się o to, by i tam jej działalność sparaliżować, a przynajmniej osłabić.

Z życia katolickiego w Szwajcaryi.

Ciekawy przyczynek do historyi rozwoju katolicyzmu w Szwajcaryi podaje ostatnia szwajcarska statystyka z r. 1900. Ludność krajowa pod względem swego wyznania składa się z 12.264 (czyli 0,4%) żydów, 7.358 (czyli 0,2%) osób różnych lub nieznanych wyznań, 1,916.157 (czyli 57,8% protestantów i 1,379.664 (czyli 41,6%) katolików. Od pięćdziesięciu lat wzrosła więc ludność katolicka z 971.809 na 1,379.664, protestancka z 1,417.786 na 1,916.157, żydowska z 3.145 na 12.264. Wzrost żydów podniósł się w tym czasie z 0,1% na 0,4%, katolików z 40,6% na 41,6%, podczas gdy procent protestantów obniżył się z 59,3% na 57,8%. Ludność katolicka przeważa w kantonach Unterwalden (98,7%), Wallis (98,4%), Tessin (98%), Schwyz (96,7%), Uri (96,1%), Appenzell Inner-Rhoden (93,8%), Zug (93,1%), Lucerna (91,5%), Fryburg (84,8%), Soloturn (68,9), St. Gallen (60,1%), Genewa (50,6%); w powyższych kantonach nie mieszkają katolicy rozproszeni na całem terytoryum, lecz skupiają się tylko w pewnych jego częściach, tak, że tam nawet, gdzie tworzą $^9/_{10}$

ludności, znajdują się niektóre osady wyłącznie protestanckie. Podczas kiedy katolicy dają aż w ośmiu kantonach przeszło $^9/_{10}$ ludności, dochodzą protestanci do tego samego procentu w jednym jedynym kantonie, a mianowicie w Appenzell Ausser-Rhoden.

Na terenie, w którym przeważa język niemiecki, mieszka 62,0% protestantów i 37,5% katolików, na terenie francuskim 57,1% protestantów i 42.1% katolików, na terenie romańskim 40,8% protestantów i 59,1% katolików, na terenie wreszcie włoskim 2,9% protestantów i 96,7% katolików.

Przyrost katolicyzmu znać we wszystkich kantonach, z wyjątkiem Aargau. Tak wzrośli katolicy w Zurychu z 2,7% na 18,7%, w Schaffhausen z 4,0% na 17,8%, w Waadt z 3,5% na 13,1%, w Neuenburg z 7,9% na 14,0%, w Genewie z 46,4% na 50,6% (protestanci dają tam 47,1%). Statystyka ta porusza dużo jeszcze ciekawych rzeczy i warto tyle przynajmniej zaznaczyć, że urzędowa *Schweizerische Statistik* przypisuje w zeszycie 112, str. 23 większą liczbę dzieci w rodzinach katolickich i mniejszą ilość dzieci nieślubnych między katolikami wpływowi spowiedzi.

Mimo, że katolicy są więc w Szwajcaryi wcale poważnym elementem, z którym rachować się trzeba, wypadły dla nich ostatnie wybory w kilku kantonach niezbyt pomyślnie — tak np. w Uri, gdzie katolicy tworzą 96% całej ludności. Pisma katolickie rozbierają przyczyny tego faktu i znajdują je nie w stosunkach religijnych, lecz politycznych, a przedewszystkiem w organizacyach katolickich konserwatywnych, które »siłą swych wielkich historycznych tradycyi osłabiają własną działalność i nie umieją się zastosować do nowych warunków i prądów«, tem bardziej, że w sferach ludowych, na których przedewszystkiem opierać się trzeba, wytwarzają się coraz więcej i silniej przekonania demokratyczne. »Nie odzyskamy nigdy większości w kantonach, piszą *Neue Züricher Nachrichten*, jeżeli bez zastrzeżeń i stanowczo nie staniemy na gruncie chrześcijańsko-socyalnym i nie wyrzekniemy się pańskich i przestarzałych zachcianek... Przyszłość szwajcarskiego konserwatywnego stronnictwa nie w tem leży, by zostało i nadal konserwatywnem, lecz by się przemieniło w chrześcijańsko-socyalne«. Wogóle ruch, dążący do tego, żeby w akcyi kato-

lickiej stanąć na gruncie chrześcijańsko-socyalnym, potęguje się z dnia na dzień tak dalece, że nawet stare stowarzyszenia zarzucają swoje dawne nazwy a biorą nowe, odpowiedniejsze obecnemu położeniu. Tym sposobem przyjął na generalnem zgromadzeniu w Zurychu Katolicki związek ludowy rezolucyę, uchwalającą zmianę nazwy na Związek chrześcijańsko-socyalny, ponieważ, jak się wyraził jeden z mowców, Baumberger, dawna nazwa była źle obrana, osłabiała szeregi własne i skupiała wrogów przeciwko związkowi. »W polityce kościelnej jesteśmy z gruntu konserwatywnymi, w polityce państwowej chcemy być demokratami i ludźmi postępu, w polityce socyalnej stoimy wiernie przy sztandarze chrześcijańsko-socyalnym. Nie jesteśmy ani opozycyonistami ani rządowcami, lecz kierujemy się odpowiednią naturą wniosków«.

Niemałe równocześnie zdziwienie wywołał fakt, że na konferencyę dla ochrony robotników, która zakończyła się w Bernie 17 maja, nie zaproszono, wbrew tradycyi, przedstawiciela Stolicy świętej. Rada związkowa stała, przynajmniej pozornie, na stanowisku, że udział Rzymu nie jest w konferencyi wskazany dlatego, ponieważ chodzi tu o zjazd, na którym przedstawiciele państw mogliby zawierać traktaty w imieniu tychże państw; mimo to zwróciła się Rada w tej sprawie do różnych mocarstw. Monarchia austro-węgierska, jak donosi *Kölnische Volkszeitung*, sprzeciwiła się wprost udziałowi Stolicy św. w obradach, a Francya zarezerwowała sobie wolność wysłania lub niewysłania swych delegatów na wypadek, gdyby Rzym został zaproszony. Postępowanie Francyi jest łatwo zrozumiałem, nawet względnie delikatnem, postępowanie Austryi musi co najmniej wywołać zdumienie, w tak dziwnem świetle przedstawia dwulicowość jej polityki.

Z ruchu katolickiego we Włoszech.

Rzymska *Civiltà* ukończyła już długą seryę artykułów, w której ks. Pavissic omawia potrzebę socyalnej pracy na gruncie konstytucyjnym, czyli potrzebę utworzenia socyalnego centrum dla katolików. Ostatnie słowa artykułu są jednak gorzką skargą na obecne stosunki we Włoszech. »Jak wygląda u nas w kraju? Na północy lud jest lepiej wykształcony

i poinformowany i bierze żywy udział we wszystkich sprawach publicznego życia; u nas zaś, przedewszystkiem na prowincyi, czyż nie żyjemy jakby w wiekach średnich? Jak długo panować będzie we Włoszech obecna niejasność i niepewność co do istoty i granic religijnego i politycznego charakteru publicznej pracy ze strony katolików, czyż można nawet marzyć o jednomyślnym i zgodnym kierunku katolickiego życia? »Brak rozumiejącej potrzeby ludności organizacyi katolickiej daje się coraz więcej odczuwać. Kiedy z okazyi ostatniego strejku kolejowego rozdzielano między lud ulotne odezwy, wzywające do pracy i malujące w czarnych lecz prawdziwych kolorach nędzę, w jaką robotnicy skutkiem strejku popadli, nie znalazło się między podpisami, umieszczonymi na końcu wezwania, ani jedno nazwisko katolickie. I jak się tu dziwić, gdy wieśniacy z okolic Werony wołali do swego postnego kaznodziei: »Stwórzcie dla nas organizacye; będziemy wprawdzie i nadal chodzić na mszę św., ale, chcąc dojść do naszych praw, musimy się łączyć z socyalistami«. Wszędzie więc brak jedności, konsekwencyi, a niestety i inicyatywy. Tę ostatnią, choć bardzo niejasną i niezgodną, można znaleźć chyba tylko w obozie autonomicznej chrześcijańskiej demokracyi, którą sobie Murri na przyszłość w ten sposób wyobraża: druga grupa zachowa swój charakter wyznaniowy, nowa polityczna grupa dążyć będzie do zorganizowania katolików dla wyborów parlamentarnych, a Związek ludowy rozpocznie zapomocą popularnej agitacyi kampanię przeciwko socyalnej demokracyi.

Że wogóle katolicy za mało się sprawami życia katolickiego interesują, potwierdza między innemi fakt, że w przeciągu kilku miesięcy drugie już pismo katolickie rzymskie *La Vera Roma* (pierwszem była *La Voce dellà Verità*) z braku poparcia upadło; oprócz *Osservatore Romano* ma więc dzisiaj Rzym katolicki tylko jeszcze *Giornale di Roma*, którego redaktorom zarzucają jednak spekulacyę dziennikarską.

Ciekawym wreszcie do zrozumienia stosunków włoskich przyczynkiem jest pojawienie się trzech prac, pióra nieznanych wprawdzie, lecz podobno poważnych osobistości. Jakiś anonim wydał broszurkę p. t. »Pius X. Jego dzieła i zamiary«, napisaną

w duchu mocno reformatorskim, a w której ostro atakuje kler włoski; inny puścił w obieg *Fiat pax,* w którem zajmuje się rozwiązaniem sprawy państwa kościelnego, proponując oddanie Ojcu św. na własność części Palestyny; trzeci wreszcie w dziełku: »Kwestye polityczno-religijne. Uwagi rzymskiego prałata«, polemizuje częściowo z dwoma pierwszymi, podając równocześnie swoje osobiste zapatrywania, które jednak bardzo daleko, może i za daleko, sięgają. Co się tyczy sprawy państwa kościelnego, autor stanowczo obstaje za tem, że nie może być mowy o przeniesieniu siedziby Ojca św. poza Rzym, dodaje jednak zaraz: »Życie polityczne włoskie i międzynarodowe kościelne ma dziś inne ważne problemy do rozwiązania; sprawa rzymska staje wobec ważności tych nowych kwestyi na drugim planie. Najlepszem jej rozwiązaniem, przynajmniej na razie, jest, nie rozwiązywać jej wcale, oczekiwać spokojnie dalszego przebiegu rzeczy, dopóki nie ujawnią się nowe prądy w stosunkach międzynarodowych. Bo... świecka władza papieża jest problemem, który wszystkie narody zajmuje« i nie może być obojętnem dla nikogo, czy da się wynaleźć spokojny *modus vivendi* między papieżem a koroną, czy nie. Jednym z tych ważnych problemów jest dziś, zdaniem autora, kwestya niezależnych demokratów chrześcijańskich i udział katolików w publicznem życiu a przedewszystkiem w wyborach. Katolikom trzeba dać w życiu politycznem możliwie wielką i wyraźną wolność. »Albo wolno przystąpić do urny wyborczej z wyraźnem pozwoleniem najwyższej duchownej władzy, albo zupełnie od niej się powstrzymać. Nasza polityka powinna być przejrzystą i jasną, polityką zdrowego, młodego, niezależnego stronnictwa; nie chcemy bynajmniej być uniżonymi sługami konserwatystów... Chcemy jedności Włoch, ale równocześnie żądamy, by Włochy wiedziały, że Kościół rozumie dzisiejszy prąd: zdrowy, demokratyczny postęp«.

Z tych wszystkich oznak ten chyba można wyciągnąć wniosek, że o jedności w akcyi katolickiej na razie jeszcze nie może we Włoszech być mowy.

Ks. Wiktor Wiecki.

Stowarzyszenia robotnicze w Krakowie.

Jakkolwiek u nas bardzo często słyszy się i czyta o związkach i organizacyach robotniczych, to jednak wyznać trzeba, że na próżnoby się mozolił ten, ktoby chciał znaleźć szczegółowy i wyczerpujący obraz ruchu robotniczego w naszym kraju. Niezawodnie podobna praca musiałaby w dzisiejszych stosunkach napotkać na znaczne przeszkody z powodu braku odpowiednich publikacyi i materyałów, to też byłoby bardzo pożyteczną rzeczą zbierać bodaj z mniejszych terytoryów odnośne daty, gdyż w ten sposób może się powoli przygotować podstawa dla prac większych i obszerniejszych. Cząstką takiego przygotowania może być podany niżej rzut oka na stan stowarzyszeń robotniczych w Krakowie, oparty na dość wprawdzie mozolnie zebranych, ale w każdym razie możliwie najpewniejszych datach.

Chcąc sobie wytworzyć należyty obraz ruchu robotniczego w Krakowie, należy przedewszystkiem odróżnić od stowarzyszeń katolickich z jednej strony takie same stowarzyszenia socyalistyczne, z drugiej zaś strony organizacye wyłącznie izraelickie (częścią zawodowe, częścią ogólne). Jeżeli się bliżej przypatrzymy powyższym związkom, to uderzają nas pewne cechy charakterystyczne, które tu w pierwszej linii podnieść należy.

I tak w organizacyi socyalistycznej uderzają dwa ciekawe momenty: Z jednej strony widać w niej dążność do przystosowania stowarzyszeń robotników do stosunków lokalnych i potrzeb poszczególnych zawodów, z drugiej jednak strony nici całej tej organizacyi, napozór tak bardzo rozczłonkowanej, zbiegają się w rękach czynników centralnych, obejmujących często swem naczelnem kierownictwem nawet wszystkie kraje koronne. Organizacya socyalistyczna polega na tem, że związek pewnej kategoryi robotników rozpada się na grupy, obejmujące jeden lub kilka sąsiednich krajów koronnych, a w obrębie tych ostatnich spotykamy często jeszcze grupy względnie koła miejscowe. Obok tego istnieją także stowarzyszenia ściśle miejscowe już to o charakterze raczej politycznym, już też o celach ogólnych, jak »Postęp«, gdzie się udziela członkom pomocy prawnej w sprawach spornych, pomocy wzajemnej dla pozbawionych pracy i t. d. (Patrz szczegółową tabelę *A)* na str. 432, 433 i 434).

A)

Socyalistyczne				Katolickie			
Nazwa stowarzyszenia	Liczba członk. w r.			Liczba członk. w r.			Nazwa stowarzyszenia
	1902	1903	1904	1902	1903	1904	
1. Krakowska grupa miejscowa robotników piekarskich	40	80	104	58	87	76	1. Związek katolickich czeladników piekarskich
2. Stow. robotników piekarskich i ich współpracowników dla Galicyi i Śląska	40	60	104				
3. Stow. stróżów kamienicznych	70	97	45	268	60	52	2. Katolickie Stow. stróżów.
4. Grupa miejscowa krak. Związek austr. robotników drzewnych w Wiedniu	110	145	112				
5. Gewerkschaft der vereinigten Arbeiter des Tischler- Drechsler- u. Decorateur-Gewerbes und der Hilfsarbeiter in der Holzindustrie	150	145	117				
6. Grupa miejscowa 98 Związku austr. krawców i robotników spokrewnionych zawodów	32	65	61	85	183	190	3. Katolickie stowarzyszenie pracownic konfekcyi damskich pod wezwaniem św. Antoniego
7. Grupa miejsc. 110. Kraków. Wiedeńsk. Związku krawców i robotników spokrewnionych zawodów			46				
8. Gewerkschaft der Schneider und Schneiderinnen sowie der Kirschner und Handschuhmacherarbeiter für Galizien und Schlesien	131	Chwilowo w zawieszeniu	69				
9. Krak. grupa miejsc. Związku austr. robotników żelaznych, metalurg.	40	110	132				
10. Stowarzyszenie zapomogowe dla drukarzy, odlewaczy czcionek i robotników pokrewnych zawodów	75	180	210				

i pokr. zawodów dla Galicyi, W. Ks. Krak. i Bukowiny p. n. »Ognisko«	268	310	330				
12. Stow. zawod. personalu pomocniczego drukarskiego etc. w Krakowie	160	180	220				
13. Grupa miejsc. Zw. austr. malarzy, pokostników, lakierników, robotnik. pokrewnych zawodów			35 założ. 1904				
14. Stow. zawod. robotn. malarsk. pokojowych, szyldowych, lakierniczych, szklarskich oraz innych pokr. zaw.	60	30	48				
15. Stowarzyszenie kobiet pracujących	przeważnie izrael. 35	54	158				
16. Związek stowarzyszeń robotniczych	Osób 520	580	632	Stowarzyszeń 11	17	11	4. Krak. Związek okręgowy stowarzyszeń kat. robotniczo-rzemieślniczych
17. Gewerkschaft der Bauarbeiter für Galizien u. Schlesien	73	125	70				
18. Proletaryat (polit.)	85	54	58				
19. Stowarz. robotników »Siła«	34	31	34	70	57	58	5. Stow. polsk. rękodz. »Gwiazda« pod wezwaniem Królowej Korony polsk.
20. Stow. ogólno-zawodowe »Postęp«	51	105	263	391	93	252	6. Stow. katol. »Przyjaźń« krakowska
21. Stow. »Chór robotniczy«	54	80	56				
22. Koło miejscowe w Krakowie lwowskiego stow. cukierników dla Galicyi i Bukowiny			42 założ. 1904				
23. Filia stow. robotn. introligatorskich, liniarzy, wyrabiających przybory skórzane, pudełka i szkatułki ozdobne, jakoteż i ich pomocników we Lwowie	24	31	25				
24. Stow. zawod. robotnik. przy skład. węgli, kamieniołomach, fabr. cementu i wapna oraz pokrewnych zawodów	40	Chwil. zawieszone	56				

Socyalistyczne				Katolickie			
Nazwa stowarzyszenia	Liczba członk. w r.			Liczba członk. w r.			Nazwa stowarzyszenia
	1902	1903	1904	1902	1903	1904	
				77	83	45	7. Klub maszynistów kolei
				1520	1512	1507	8. Tow. sług katolickich pod wezwaniem św. Zyty
				65	50	98	9. Stow. służby katolickiej
				329	293	290	10. Stow. pracownic w krakowskiej fabryce cygar
						96 Założ. 1904	11. Kasa porzebowa dla członków stow. katolick. krak. Związku okreg. stow. katolick. rob.-rzemieśl.
				31	18	17	12. Tow. kat. murarzy pod opieką św. Walentego a nazwą »Krakus«
				21	22	37	13. Własna pomoc dla czeladnik. Zgom. czeladnik. ślusarzy, nożown. i pilnik.
				263	269	263	14. Tow. dla pomocy rękodzielnik. i przemysłowców
				67	84	84	15. Wzajemna pomoc kat. kucharzy.
						18 Założ. 1904	16. Stowarzyszenie polskich pomocników księgarskich
				70	57	58	17. Stowarzyszenie katolickiej młodzieży rękodzielniczej »Praca« pod opieką św. Józefa
				25	20	30	18. Zakład św. Jadwigi

W Krakowie stowarzyszeń socyalistycznych było w r. 1904 24. Liczyły one wogóle:

w roku 1902	członków	2.380
» 1903	»	2.462
» 1904	»	3.027

Wśród powyższych 24 stowarzyszeń znajduje się także »Postęp«, mający cechę specyalnie żydowsko-socyalistyczną. Wprawdzie wszystkie związki socyalistyczne liczą poważną ilość izraelitów wśród członków, jednakowoż »Postęp« ma pod tym względem specyalne znamię.

Jeżeli przejdziemy do szczegółowych podziałów, to dadzą się rozróżnić wśród powyższych stowarzyszeń:

a) zawodowych krakowskich	7
b) ogólnych krakowskich	5[1]
c) grup lokalnych związków krajowych	6
d) grup lokalnych związków austryackich	6
Razem	24

Z tych pod względem ilości członków stoją na pierwszem miejscu ogólne krakowskie, które liczyły ich w 1904 roku 938. Po nich idą zawodowe krakowskie (638 członków), grupy lokalne związków krajowych (640) i wreszcie grupy lokalne związków austryackich (503). Najliczniejszym jest »Związek stowarzyszeń robotniczych«, liczący w 1904 r. członków 632. Po nim idzie »Ognisko« o 330 członkach. Najmniej członków, bo tylko 25, liczyła »Filia Stowarzyszenia robotników introligatorskich, liniarzy, wyrabiających przybory skórzane, pudełka i szkatułki ozdobne, jako też i ich pomocników«.

W ośmiu związkach da się stwierdzić zmniejszenie się liczby członków w r. 1904 w porównaniu z rokiem poprzednim. To ubywanie członków jest jednak zrównoważone równoczesnym znacznym wzrostem innych związków. Naogół ma się to wrażenie, że agitacya odgrywa w życiu organizacyi socyalistycznych wybitną rolę, czego dowodem wahania w ilości członków z roku na rok w znacznej części stowarzyszeń.

Co się tyczy stowarzyszeń wyłącznie żydowskich, to istniało ich w r. 1904 w Krakowie 12, z tego ogólnych 7, a zawodowych 5. Do zadań tej kategoryi stowarzyszeń należy już to pielęgnowanie ducha religijnego, już to krzewienie idei narodowo-żydowskiej, już też kształcenie i pomoc wzajemna. Uderzają wśród nich dwa zwłaszcza

[1] 1 żeńskie »Stowarzyszenie kobiet pracujących« przeważnie izraelickie.

związki: 1) Tow. dla dorosłych analfabetów i 2) Stowarzyszenie bezpłatnego pośrednictwa pracy, założone w r. 1903. Ruch syonistyczny na tle narodowo-żydowskiem powołał do życia takie związki, jak w Stow. pracujących kobiet narodowo-żydowskich »Judyta«. Co się tyczy pięciu żydowskich stowarzyszeń zawodowych, to powstanie ich i istnienie tłumaczy się w znacznej części stosunkami, panującymi w naszych cechach. Jak wiadomo, przeważna ich część opiera się przyjęciu do swego grona żydów. I tak cech szewców na 220 członków w latach 1902 i 1903 nie miał ani jednego żyda, kiedy spis przemysłowy z 3 czerwca 1902 r. naliczył żydowskich majstrów szewskich 76, a t. zw. chałupników 48. Tem się tłumaczy powstanie stow. »Chewra Sandlers«, szewców żydowskich, mającego na celu utrzymywanie domu modlitwy, książek religijnych i p o m o c w z a j e m n ą. Tak samo nasz cech rzeźników na 92 członków w r. 1902, a 89 w r. 1903 nie miał także ani jednego żyda wśród członków. Następstwem tego jest stow. ku wsparciu rzeźników żydowskich »Samoche zychwe cedek«. Natomiast cech krawców miał w r. 1902 na 256 członków 110 żydów, a w r. 1903 na 287 członków 122 żydów. Obok tego jednak istnieje stow. krawców żydowskich »Chajtim«. Nadto istnieją jeszcze zawodowe Stow. czeladników piekarskich wyznania mojżeszowego »Aufim«, tudzież »Stow. ku wsparciu subjektów handlowych wyzn. mojż. w Krakowie« (Patrz tabl. *B)* na str. 437).

S t o w a r z y s z e ń k a t o l i c k i c h było w Krakowie 21, liczących w r. 1902 członków 3.642, w r. 1903 członków 2.675, w r. 1904 3.475. Jeżeli te cyfry porównamy z ogólną liczbą członków stowarzyszeń socyalistycznych, to uderza nas ten objaw, że w ostatnich trzech latach ogólna ilość członków stowarzyszeń katolickich przewyższa liczbę członków związków socyalistycznych, w ostatnim roku o 149 osób. Rozstrzyga tutaj bez wątpienia »Tow. sług katolickich pod wezwaniem św. Zyty«, wykazujące

w roku	1902	członków	1.520
»	1903	»	1.512
»	1903	»	1.507

Z drugiej strony nie można pominąć milczeniem tego spostrzeżenia, że, o ile ogólna suma członków stowarzyszeń socyalistycznych stale z roku na rok się zwiększa, o tyle liczba członków związków katolickich spadła w roku 1903 o 967 osób, w r. 1904 podniosła się wprawdzie znowu o 700 osób, lecz nie osiągła już cyfry z r. 1902, wykazując o 167 członków mniej.

B) Stowarzyszenia wyłącznie izraelickie.

Nazwa stowarzyszenia	Liczba członk. w r.			Cele stowarzyszenia
	1902	1903	1904	
»Schorur Umonin« weachi Eser	206	210	208	Kształcenie i pomoc wzajemna
Stow. czeladników piekarskich wyznania mojżeszowego			50 Założ. 1904	Utrzymywanie domu modlitwy i bibliot. relig. i pomoc wzaj.
Stow. ku wsparciu subj. handl. wyznania mojżesz. w Krakowie	140	100	120	Dobroczynność i pomoc wzajemna
Stow. pracujących kobiet narod. żyd. Judyta		73 Założ. 1903	123	Krzewienie narod. żyd. idei, kształcenie i pomoc wzaj.
Towarzystwo dla dorosłych analfabetów			180 Założ. 1900	Szerzenie oświaty, bezpł. czytelnia popul. i bezpł. odczyty
Czytelnia »Ruth«	47	56	69	Krzewienie ducha narod. żyd., wykształcenie, życie towarzyskie
»Schir«, Chór młodzieży żyd.		43 zał. 1903	55	Pielęgnowanie muzyki, odczyty i wiecz., bibliot.
Stow. »Chajtim« krawców żyd.	50	55	55	Utrzymywanie domu modlitwy, książek rel., pomoc wzajemna
Stow .»Chewra Sandlers« szewców żyd.	60	37	22	
Stow. ku wsparciu rzeźników żyd. »Samoche zychwe cedek«	80	50	50	
»Achdus«	115	142	171	Stow. ku wzaj. wsparciu i kształceniu robot. żyd. i urzędników pryw.
Stow. bezpłatnego pośrednictwa pracy		70	80	

Przechodząc do szczegółów, zaznaczyć należy, że pośród wspomnianych 21 stowarzyszeń katolickich było:

a) Związek okręgowy stowarzyszeń robotniczych 1
b) zawodowych lokalnych . . . . . 13 [1]
c) ogólnych miejscowych 6
d) Zakład dla szwaczek i krawcowych samotnych 1
Razem 21

[1] W tem 4 żeńskie.

Z pośród tych stowarzyszeń wyróżnia się swem zadaniem i organizacyą »Związek okręgowy stowarzyszeń katolickich robotniczo-rzemieślniczych«, który w listopadzie r. z. liczył 1427 członków. Wspomnieć tu także należy o kasie pogrzebowej członków stowarzyszeń katolickiego Związku okręgowego, założonej w r. 1904 przez ks. Mytkowicza.

Co do innych stowarzyszeń, to pierwsze miejsce ze względu na liczbę członków zajmują stowarzyszenia zawodowe, liczące w r. 1904 członków 2690. Nadmienić jednak trzeba, że liczono tu także Stow. sług św. Zyty. Po nich idą stowarzyszenia ogólne miejscowe (członków 755 w roku 1904). Wreszcie na szczególną uwagę zasługuje istniejący już osobny zakład pod wezwaniem św. Jadwigi, rozporządzający wspólnym domem dla katolickich szwaczek i krawcowych samotnych.

Wśród stowarzyszeń, katolickich wyszczególnić należy Stowarzyszenie sług św. Zyty, które utrzymuje własny sklep z towarami, służącymi do ubioru, sprzedawanymi wyłącznie członkom towarzystwa. Stowarzyszenie pracownic konfekcyi damskiej pod wezwaniem św. Antoniego również uczyniło pierwszy krok w kierunku wytwórczości, utrzymuje bowiem pracownię, w której stara się dostarczyć zajęcia płatnego dla członków stowarzyszenia, chwilowo pozbawionych pracy.

Ze stowarzyszeń, nie posiadających wyraźnej katolickiej firmy, zwrócić należy uwagę na Stowarzyszenie ekspresów, którego członkowie pracują na wspólny rachunek i utrzymują własne wozy meblowe. Najwyżej ze wszystkich stowarzyszeń miejscowych stanęło pod względem wytwórczym stowarzyszenie: Związek katolickich krawców, założone i prowadzone przez ks. Jana Minkińskiego od r. 1899. Stowarzyszenie to, umiejętnie założone według systemu Schultze-Delitsch, od razu rozwinęło się pomyślnie i przetrwało dotychczas dzielnie wszelkie próby i w rozwoju okazuje coraz bardziej dodatnie rezultaty.

Jedyne w kraju rękodzielnicze stowarzyszenie wytwórcze (nie licząc rozwijającego się w kraju koszykarstwa, koronkarstwa, usiłowań w zakresie tkactwa i wyrobu zabawek) posiada Związek już dziś osobną własną filię (nie odrębne stowarzyszenie) we Lwowie i skład gotowych ubrań w Stanisławowie.

Do stowarzyszenia należą tak krawcy, t. j. majstrowie, a szczególnie czeladnicy, jak i osoby z intelligencyi, które wniosły udziały do stowarzyszenia.

Do stowarzyszenia należy około 40 osób z intelligencyi i dawniej do 100 krawców, liczba tych ostatnich jest obecnie mniejsza, związek

nie jest bowiem jeszcze w stanie dostarczyć wszystkim roboty, a wykluczyć musiał ze stowarzyszenia robotników socyalistycznych, którzy nie okazali się dobrymi robotnikami. Prawo do otrzymania roboty posiada tylko fachowy członek stowarzyszenia, który się okazał dobrym robotnikiem.

Poza tem każdy fachowy członek musi przebyć czas próby dla ocenienia jego kwalifikacyi fachowej. Obrót roczny Związku doszedł w r. 1904 do 400.000 K, obrót w Filii lwowskiej wyniósł 100.000 K.

Związek doznał już poparcia ze strony c. k. Ministerstwa handlu, od którego otrzymał 10.000 K pożyczki, a następnie uzyskał także pożyczkę z Wydziału krajowego w wysokości 30.000 K, z czego dotąd w regularnych ratach zwrócił 18.000 K. Członkowie Związku otrzymują pracę na sztuki i są płatni od odrobienia części ubrania. W sezonie martwym wyrabiają gotowe ubrania na skład. W tym wypadku pobierają niższą zapłatę, w każdym jednak razie wyższą, niż płacą hurtowne firmy wiedeńskie chałupnikom np. na Morawii.

Przeciętny zarobek dobrego robotnika wynosi w sezonie 60 złr. miesięcznie. Najlepsi robotnicy mogą dojść w ożywionym sezonie i do 100 złr. miesięcznego dochodu.

Wogóle podniósł związek znacznie stosunki ekonomiczne swoich członków, z których niejeden już i zdolność do kapitalizowania uzyskał.

Kwestya odparcia zalewu tandetą wiedeńską naszego miasta i kraju mówi sama za siebie, zdolność zaś Związku do spełnienia tago zadania, jakoteż i zaspokojenia wybrednych wymagań zagwarantowana jest corazto większem rozszerzaniem się agend Związku i jego dobrą organizacyą, jako też doborem głównych pracowników, a szczególnie doborowych przykrawaczy.

O wpływie założenia Związku wystarczy nadmienić, że wkrótce upadło 6 firm izraelickich i chociaż przeciwnicy Związku wszelkimi środkami walczą przeciw Związkowi, chociaż spowodowali secesyę pewnej liczby członków Związku, chociaż naprzeciw Związku powstały 2 sklepy konkurencyjne — to jednak dotąd Związek wyszedł z tych zapasów zwycięsko i nigdy nie padnie, jeśli tylko publiczność nadal własny — a tak niezmiernie żywotny — interes rozumieć będzie. Poza tem istnieje nader doniosły zamiar założenia podobnego wytwórczego Związku dla szwaczek i hafciarek, a możliwy byłby także i dla szewców, chociaż w tej gałęzi ze względu na jej naturę, trudniej już o pomyślny ekonomiczny rezultat.

C) Stowarzyszenia zawodowe

(obojętne pod względem wyznaniowym i politycznym)

Nazwa stowarzyszenia	Liczba członk w r.		
	1902	1903	1904
1. Tow. wzaj. pomocy kelnerów	168	159	156
2. Stowarzyszenie posługaczy publ.	67	66	
3. Pierwsze galic. stow. maszynistów. werkführerów, mechaników i monterów	51	76	72
4. Stow. drukarzy »Siła«	126	130	135

Obraz nie byłby zupełny, gdybyśmy nie wspomnieli jeszcze o czterech zawodowych stowarzyszeniach, które możemy określić, jako bezbarwne pod względem politycznym i wyznaniowym. Są to 1) Tow. wzaj. pomocy kelnerów, 2) Stow. posługaczy publicznych, 3) Stow. drukarzy »Siła«, tudzież 4) Pierwsze galicyjskie stow. maszynistów, werkführerów, mechaników i monterów. Liczyły one razem w r. 1904 członków 738.

Jeżeli teraz zbierzemy razem wyniki powyższych dat statystycznych, to widzimy, że według stanu z r. 1904 stan stowarzyszeń robotniczych w Krakowie przedstawiał się w następujący sposób

1) katolickich	21	członków 3.475
2) socyalistycznych.	24	» 3.027
3) żydowskich	12	» 1.446
4) zawodowych obojętnych .	4	» 738
Stowarzyszeń . . .	61	członków 8.686

Jeżeli stosunek powyższych stowarzyszeń przedstawimy procentowo, to na ogólną cyfrę członków wszystkich stowarzyszeń robotniczych w Krakowie w r. 1904 przypada na stowarzyszenia katolickie 40·02, na socyalistyczne 34·85, na żydowskie 16·69.

Widzimy zatem, że katolickie stowarzyszenia robotnicze okazują bezwarunkowo wielką żywotność i rozchodziłoby się tylko o to, żeby tej sile dodawać ciągle nowych soków przez należytą i rozumną organizacyę. W obozie socyalistycznym widzimy dążność do tego, aby cha-

rakter międzynarodowy samej organizacyi przystosować do potrzeb lokalnych i wymagań poszczególnych zawodów. Również wśród izraelitów uderza bezwarunkowo zrozumienie dla znaczenia asocyacyi społecznych. Doskonale dopomaga w tem izraelitom organizacya socyalistyczna, ale i poza nią widzimy odrębne związki, gruntujące się jednak w znacznej części na pierwiastku religijnym, a po części i żydowsko-narodowym.

Z prawdziwą radością należy powitać ten znamienny objaw, że w ostatnich czasach występują u nas coraz częściej ludzie silnej woli, którzy z całem zrozumieniem rzeczy działają na polu związków i stowarzyszeń. Działalność ich, często już nawet obfita w znaczne owoce, których nie trzeba szukać dalej, jak u nas w Krakowie, dostarcza nam niespożytego dowodu, że przy dobrej i rozumnej organizacyi da się i u nas wszystko przeprowadzić. A że w tej organizacyi i we wspólnej pracy leży podstawa powodzenia — dowodem organizacya socyalistyczna i izraelicka. Nam brak było tej organizacyi i zdolności administracyjnej zawsze, czas zatem najwyższy, byśmy po tylu ciężkich doświadczeniach nareszcie raz już tę umiejętność zdołali sobie przyswoić, bo tylko wtedy ziści się modlitwa Krasińskiego, byśmy mogli »własnymi czynami wskrzesić siebie samych«.

K. K.

Przegląd artystyczny.

»Secesya«. — Walka o dawne ideały w sztuce. — Wystawa jubileuszowa w Krakowie. — Rzeźba zyskuje przewagę nad malarstwem. — Tatry Wyczółkowskiego. — Wyspiański: Świetlica i Dom lekarski. — Portreciści polscy. — Pejzaże Dąbrowy.

Oburzają się nasi artyści-malarze najnowszego kierunku i ich recenzenci, patrzący wyłącznie ich oczyma, a powtarzający pochwycone ich tylko opinie, na termin »secesya«, wynaleziony i przyjęty początkowo właśnie przez artystów samych w chwili, gdy wzięli rozbrat z dawnym światem form artystycznych, gdy nowa myśl zapaliła się w ich głowach i skierowała na nowe niebywałe drogi. Wyspiański wierszem satyry — wyśmiał i wydrwił to miano. A przecież o cóż się rozchodzi? nie o rzecz samą, lecz denominacyę, nie o młode dziecko, lecz o jego imię. Zbytto kwestya zdaniem naszem podrzędna, by kruszyć o nią kopię, by się nią zajmować obszerniej. Tu jednak po-

wiedzmy z naciskiem: że artyści protestujący nie dają natomiast żadnej nazwy, bo jej nie pragną. Nazwa przynosi im może na razie materyalną szkodę, więc okoliczność ta czyni sprawę zrozumiałą. Ale dla zrozumienia nowego kierunku określenie »secesya« przyjęło się, ono zamyka w sobie utarte pojęcie i mimo wszelkich protestów rodziców chrzestnych tj. artystów samych niewątpliwie utrzyma się, bo już dziś stało się własnością szerokich mas. Chyba że znów zjawi się nowa nazwa, nowy termin, który wyprze dawny. Przeciw nazwom stylu gotyku, rokoka, empire, i t. p. możnaby również niejedno powiedzieć, tymczasem wprowadzenie innej nazwy byłoby poprostu daremnem usiłowaniem, walką z wiatrakami.

Walka o kierunki sztuki nie ustaje. Historyk sztuki śledzi z zaciekawieniem rezultaty tej walki, bada te objawy i stara się wyrobić objektywny sąd. Podziwia niezmiennie starych mistrzów, nie rzuca słów potępienia na dawne arcydzieła, uznaje prawo bytu artysty starych zasad, ale też bez zaślepienia szuka za nowym postępem, nowymi środkami wypowiadania się i nową formą artysty (bez obrazy) »secesyonisty«, Nie jest to zjawisko odosobnione tylko u nas, walka ta wre i gdzieindziej i może nawet zacięciej sroży się między obcymi. Ot niedaleko w Wiedniu:

Przedstawiciel owej niecierpianej przez secesyonistów »secesyi« Klimt wywołał znów w świecie artystycznym wiedeńskim żywą wymianę zdań, ministeryalnych pism i protestów. Ministerstwo oświaty jeszcze za czasów min. Madeyskiego oddało do wykonania dekoracyjne malowidła do auli uniwersytetu wiedeńskiego dwom artystom: Matschowi, zwolennikowi starego kierunku i jego przyjacielowi secesyoniście Klimtowi za kontraktem. Dziwne zestawienie indywidualności artystycznych, stojących na przeciwległych biegunach, jak można było z góry przewidzieć, musiało się spotkać po wykonaniu z walką dwóch żywiołów wprost przeciwnych, nieznoszących swego sąsiedztwa. Biurokratyzm austryacki, jak zawsze niekonsekwentny, pragnący i w sztuce godzić przeciwieństwa, nie mógł zadowolnić żadnej strony. Klimt po wystawieniu w Secesyi wied. alegoryi, przedstawiających: filozofię sprawiedliwość i medycynę, napotkał się z protestem profesorów, który w słowach bezwzględnych i stanowczych potępił sztukę Klimta. Niezadługo Klimt za dzieło potępione przez grono profesorów otrzymał wielki złoty medal w Paryżu. To jednak nie wzruszyło bynajmniej zwolenników starych, utartych i wygodnych dróg, walka trwała dalej, aż doprowadziła do tego, że minister Hartl na jednogłośną propozycyę

profesorów Akademii sztuk pięknych w Wiedniu, którzy na opróżnionej katedrze malarstwa pragnęli mieć Klimta, odpowiedział odmownie. Rozgoryczony artysta zwraca teraz 30.000 K. ministerstwu i powiada, iż obrazów przeznaczonych dla uniwersytetu nie wyda. Ministerstwo oświaty odpowiedziało wtędy stanowczo, że obrazy są własnością jego nie artysty. Wogóle zauważyć się daje w ministerstwie oświaty chwiejność i niepewność, w nominacyach błędy niczem nieusprawiedliwione, jak nominacya profesorem Akademii sztuk pięknej wiedeńskiej Marschala, którego marny biust na wystawie krakowskiej, przedstawiający Menzla, aż nadto dał nam pojęcie o bardzo nizkim jego poziomie artystycznym.

W Wiedniu ministerstwo oświaty zbyt pochopnie obsadza katedrę medailerstwa drugorzędną siłą i wywołuje formalny bunt tamtejszej Akademii, oburzenie uczniów, protest profesorów i strejk, który kończy się zawieszeniem działalności profesorskiej nowo-mianowanego. Natomiast w Krakowie katedra rzeźbiarska nie może znów doczekać się stabilizowania posady profesora-rzeźbiarza. Profesor Konstanty Laszczka, który prowadzi naukę rzeźby, talentem wybił się na czoło naszych zastępów rzeźbiarskich, a znakomitemi pracami i wykształceniem sił nowych dowiódł zdawna, jak umie kierować uczniami, a mimo tego ministerstwo wcale nie spieszy się z jego nominacyą. Dzieła Laszczki posiadają zawsze właściwy wyraz zadumy, na czole maski ludzkiej, szeroko i śmiało modelowanej i w jej oczach siedzi myśl, która widza pociąga i przykuć do siebie potrafi. Jego tegoroczna serya masek, biustów i figur to dzieła niepoślednie, w nich w białej lub czerwonej palonej glince uwięzione drga życie i wygląda dusza ludzka. Niesłychane podobieństwo portretowanych postaci z daleka pozwala je poznać, a podkreślenie wyrazu znamiennego podnosi rys w ich twarzy najbardziej zajmujący i charakterystyczny, taką n. p. jest przepyszna maska ks. dr. Pawlickiego, artystki W, lub też biust pani Noskowskiej. Dla nadania wyrazu i stworzenia typu nie zawaha się artysta powtórzyć zboczenia natury, zwłaszcza studya ócz, ust, czoła są u niego ze szczególną swadą oddane.

Rok 1904 był u nas rokiem wystaw — krakowskie Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych święciło 50 rok swego istnienia i urządziło wystawę jubileuszową. Już od lat wielu nie zdarzyło nam się widzieć tyle naraz nagromadzonych dobrych rzeźb na salach krakowskiego pałacu sztuki, jak wtedy. I gdyby nagroda Barczewskiego, jaką rozporządza Akademia umiejętności była rozszerzoną na plastykę, to w roku

ubiegłym rzeźba po raz pierwszy odniosłaby palmę zwycięstwa nad malarstwem. Uczeń prof. Laszczki, pan Jan Szczepkowski, po dwakroć obesłał obficie wystawę w r. 1904 i zadokumentował swymi utworami płodność swego dłuta, ale co ważniejsza znakomity jego talent objawił się świetną obserwacyą ruchu i typu. Dwa te kapitalne przymioty przedziwnie połączył on w rzeźbie (niestety tylko w tak kruchym materyale jak gips) »Dziewki«. Grupa czterech dziewuch wiejskich porusza się szeregiem naprzód, odświętnie ubrane wracają z fary, wesołe, rozbawione, szydzące jedna z drugiej, związane ruchem i wyrazem w jednolitą grupę, w której żadna nie zatraciła swego odrębnego akcentu, a razem stanowią plastyczną całość, jakby z jednego wyciosane były monolitu. Są one przytem szczerze polskie w całej charakterystyce ruchu i typu. Dzieło artysty zakupiło Muzeum narodowe. Ale nietylko w grupie, ten sam temperament twórczy powtarza się również w portretach, a przedewszystkiem w pełnym życia i energii biuście redaktora d-ra Starzewskiego — biust jest prawdziwie mistrzowskiem dziełem. W portretach walczy z krakowianinem Szczepkowskim o lepsze Henryk Glicenstein, bawiący w Rzymie; wykwintny i subtelny, przewybornie modelujący biusty, zwłaszcza kobiece, jak panny d'Anunzio, córki słynnego włoskiego poety. Tyle w tej bronzowej główce dziewczęcej, zakupionej przez Muzeum narodowe, wdzięku, subtelne dotknięcia dłuta taki nadały jej urok, że mimowoli powraca się do niej i podziwia rzeźbiarski utwór rzetelnego talentu.

W rzeźbie francuskiej zaznaczył się w latach ostatnich ruch ku studyom animalistycznym, znalazł on i między polskimi rzeźbiarzami swoich zwolenników. Obok prof. Laszczki, który dał w bronzie dobrze wymodelowanego, w spokoju stojącego »capa«, wystawił Ludwik Puszet z niemałym talentem wyrzeźbioną głowę merynosa z obory oporowskiej, a przytem wystawił z werwą i prawdą skomponowaną grupę »śmierci zająca«. Kościotrup pochwycił za słuchy szaraka i uniósł w powietrze: śmierć zmiotła go z ziemi drgającego i wyprężonego — czy ma to być usymbolizowanie kulki myśliwskiej, która trafia i uśmierca w lot biegnącego zająca — lub ot fantazya artysty — rzecz obojętna. Bądź co bądź, grupa ugnieciona w wosku czy plastelinie jest znakomitą i wróży o artyście niepospolicie uzdolnionym, którego dalszego rozwoju wyczekujemy ufni w jego sukcesy. Poprawne konie Mazura i Raszki mówią o sumiennych studyach, ale najbardziej związane z właściwością talentu były z niepospolitą obserwacyą ruchu zwierzęcia i jego ogólnego kształtu grupy zwierząt wyszłe z pracowni p. Jana

Góralczyka ze Lwowa. Jego konie, ciągnące sanie i wozy pod górę, zjeżdżające na dół, wypoczywające po znojnej pracy, stada pędzone spętanego, rogatego bydła, tłoczący się »kerdel«, skacząca ze skały kozica, koty i myszy, króliki i żaby — noszą na sobie piętno życiowej prawdy — tak to zaklęte w swym rzucie i skamieniałe zwierząt ciała. A jednak brakuje tym tak pysznie uchwyconym w ruchu stworzeniom niejednokrotnie im właściwej w pyskach fizyognomii, w której przebija się zwierzęcia usposobienie, jego instynkt i natura. Woły jego mają czasami wyraz cielęcy w mordach, koty jakąś fizyognomię nie kocią. Mimo wszystko niezwykłym ruchu i bryłowatości obserwatorem jest p. Góralczyk.

Na czas wystawy jubileuszowej Wyspiański urządził staraniem i kosztem towarzystwa »Sztuka« świetlicę w popielatym kolorze. Pod względem kolorystyczym była świelica ładną i modną, ornament z geranii t. zw. »kaczkowanych krakowiaków«, jak każda ozdoba pomyślana przez Wyspiańskiego był oryginalnym, natomiast sprzęty: owe »siedziska« i ławy nadawałyby się raczej na scenę do Bolesławowej świetlicy niż tutaj, bo prócz archaicznego wyglądu nie zalecały się niczem jako godny naśladowania mebel. Piękne były »zasłony« z sukna kęckiego z dzierganiem p. Heleny Czeremugi. Na szarem tle korzystnie odbijały też rzeźby i obrazy.

W dziale malarstwa imię Leona Wyczółkowskiego, zeszłorocznego laureata Akademii Umiejętności, znów zabłysło nowym blaskiem. Jest on pierwszym, który odczuł urok naszych ojczystych gór z ich turniami, jeziorami, kosodrzewiną, mgławicami i jak powszechnie mówiono »odkrył Tatry«. Od »Czarnego stawu«, tak szczerze i prawdziwie, a tak skromnymi środkami malowanego i »Morskiego oka«, pełnego efektów światła i barwy powiał czar poezyi i szczerej prawdy. Zwłaszcza kapitalnem dziełem był »Czarny staw«, na którego wód powierzchnię kładł się martwy blask skalnych zwałów, które zwieńczyły się naokół niego. Z początkiem tego roku nowa serya tatrzańskich widoków przysnutych szerokiemi ławicami śniegu była znakomitym rezultatem pobytu artysty na studyach zimową porą w Zakopanem. Łatwość i opanowanie środków technicznych przez artystę, który wskutek bajecznej pracowitości nabrał niesłychanej wprawy i szybkości w malowaniu, pozwala mu odtworzyć bezpośrednio wrażenia cudnego krajobrazu tatrzańskiego, tak nadzwyczajnie szybko zmieniającego swój wygląd wskutek ciągłej zmiany stanu pogody, zatem oświetlenia i kolorytu.

Twórczość dyrektora Akademii sztuk pięknych Juliana Fałata

nie miała tym razem szczęśliwych chwil. Pejzaże czy portrety jego wyglądają, jakby były nie malowane lecz zmywane farbą, brakuje im dawnej intenzywności tonów, owych zdecydowanych, tak dobrze rozważonych barwnych plam. Smutną jest również muza profesora Jana Stanisławskiego, od lat bowiem wyczekujemy daremnie od utalentowanego artysty objawienia się znów jego działalności jakimś wybitniejszem dziełem; tymczasem otrzymujemy drobiazgi bez głębszego znaczenia, w których ledwo że zamigoce jednym jakimś rysem jego niezaprzeczony talent. Niedopisali w ubiegłym roku i inni towarzysze »Sztuki«, bo prócz wybitnie dobrej podobizny »chorej matki« Wojciecha Weissa nie widzieliśmy nic, coby wybijało się w »świetlicy« nad zwykły poziom. Dopiero z początkiem tego roku ożywił jej ściany Stanisław Wyspiański »Systemem słonecznym Kopernika«. Projekt witrażu przeznaczony do klatki schodowej domu lekarskiego w Krakowie. W mozaice barwnych szkieł przedstawił artysta chwilę obalenia dawnego systemu słonecznego Ptolomeusza przez Kopernika. Po świetlanych drogach ekliptyki krążą światy. Helios, uosobienie słońca, znieruchomiał, przybrał postać Apolina ujarzmionego i spętanego geniuszem polskiego myśliciela, potężna zjawa Heliosa zajmuje środek obrazu, a wokoło niego zawodzą kręgi światy, którym bieg około słońca wyznaczył Kopernik. Z prawej Wenus, pod stopą słońca legła Gaja (ziemia), obok niej blada kołuje Selene (bogini księżyca), dalej leci Merkury wierny towarzysz słońca, zaś ponad nim bieży jak i jego poprzednik jasną drogą ekliptyki »ognisty« Mars. Stworzenie systemu kopernikowskiego jest zasługą świata chrześcijańskiego, więc rysy Heliosa przypominają Chrystusowe oblicze. Zaprawdę pięknie rozwinął artysta-poeta myśl średniowiecznej zdobyczy umysłowości polskiej.

Obok kartonu na witraż trzydzieści studyów, wśród których nastrojowe krajobrazy z widokiem na Kopiec najwięcej budziły zachwytu, zapełniły świetlicę. Pragnę tutaj bodaj słów kilka wspomnieć o nowym domu lekarskim w Krakowie, dekorowanym według Wyspiańskiego pomysłu. Za wielką należy poczytać zasługę prezesowi komitetu budowy profesorowi Julianowi Nowakowi, że pozostawił artyście swobodę w urządzeniu i dekoracyi domu. Tutaj więc mógł artysta pozostać sobą i konsekwentnie przeprowadzić swoje oryginalne projekty. Trudno mi być bezwzględnym zwolennikiem tego pomysłu dekoracyjnego, kiedy widzę w dekoracyi pewne niekonsekwencye, które ostatecznie artyście dla oryginalności popełnić było wolno, lecz mnie nie cieszą. Mimo pietyzmu, jaki uczuwam na widok szczerze oryginalnego

utworu, nie mogę pochwalać łączenia w metalowych ozdobach balustrady klatki schodowej motywów liści kasztanowych, ciętych w gładkiej polerowanej i niklowanej blasze z naturalistycznie traktowanymi przepysznymi kwiatami. Rysunek sam dla siebie łodyg, kwiatów i liści jest prześliczny, to wyznaję, ale ani łączenie tak różnych od siebie pod względem plastycznym motywów ani kolorystyczne ich zestawienie nie zaspakajają mnie. Przeciwnie dekoracya ścienna, zwłaszcza klatki schodowej i w popielatym kolorze utrzymanej czytelni z jej malowanym sufitem z wieńcem róż są niezwykle piękne. Sala posiedzeń, w której polichromia zasłony, galerya, meble ściśle wykonane według dyspozycyi Wyspiańskiego pozostaną świadectwem jego bujnej pomysłowości. — Portret polski ma już wyrobione imię, ma przedstawicieli tak dobrze znanych u swoich, jak zagranicą. Nie chciałbym być portretowanym przez Wyspiańskiego, jeżelibym miał zamiar zostawić przyjemną dla mej rodziny pamiątkę. Przeciwnie zaś, gdy chodzi o dzieło sztuki, w którem posłużyłbym artyście za temat do stworzenia obrazu portretowego, w którym artysta pragnąłby uwydatnić jaki z charakterystycznych rysów formy lub ruchu i bez oglądania się na zatracenie podobieństwa nadałby mu szczególniejsze znaczenie. Stwarza on wtedy obraz natchniony swoją wyobraźnią, subjektywizmem, który więcej mówi o artyzmie i tendencyi portrecisty, niż o modelu. Takich właśnie studyów dostarczył Wyspiański cały szereg i spotkał się z ostrą krytyką widzów, domyślających się widzianych przez siebie prototypów, a uważających je raczej za karykaturę, niż podobiznę.

Jacek Malczewski, jako filozof i symbolista niewyczerpany w pomysłach, stworzył niepospolitej piękności dwa symboliczne portrety miłosiernych matron polskich, których serca czułe na biedę ludzką, a umysł wrażliwy na cuda natury. W przepysznym rysunku widzimy siedzące w zadumie na tle łanów zboża i jasnego nieba panie w otoczeniu dziecięcych wdzięcznych postaci i ptasząt polnych.

Portrety Malczewskiego pomysłem i rysunkiem tak wyszczególniały się z pośród innych, iż bezsprzecznie zajęły między portretami wystawionymi w r. 1904 najpierwsze miejsce. Po portrecie pendzla p. Weissa, o którym już wspomnieliśmy, niezwykłą siłą wyrazu i śmiałością techniki odznaczały się portrety Olgi Boznańskiej: w portrecie malarza Hirszenberga, nikłego, o wązkich ramionach semity, w zamyślonej twarzy siadła myśl na czoło, a w oczach zaduma. Inny zaś jej portret p. Gackiej, który zyskał w Paryżu uznanie, więził widza

charaterystyką postaci. Boznańska nie pochlebia w nim wcale swemu modelowi, daje malowanej szerokimi kleksami twarzy grymas w ustach, może ostatecznie prawdziwy, ale niepochlebny. Portret przedewszystkiem ogromnie kobiecy i ten szczegół w portretach Boznańskiej jest zawsze tak silnie zaakcentowany, pierwiastek kobiecy tak znakomicie scharakteryzowany, że podobizny w tym kierunku mogą iść o lepsze z niezrównanymi francuskimi portretami.

Znany portrecista profesor Kazimierz Pochwalski, to stary monachijczyk, hołdujący starej manierze, dawnym środkom i efektom malarskim. Że niemi zyskać można niewątpliwy aplauz nietylko w szerokich warstwach, dowiódł tego portretem b. ministra Zaleskiego, Namalował go artysta w postawie stojącej, z czarnego tła patrzy z płótna poważnie głowa dyplomaty, przypruszona siwizną — i robi efekt, jak robiło go tysiące innych malowanych w ten sam sposób portretów. Wykwintna technika malarska artysty i żywe podobieństwo portretowanego, to wysoce cenne przymioty, które nie zawodzą i każą chętnie zapomnieć o braku oryginalności pojęcia.

Znaczny postęp znaczy się w pejzażach Eugeniusza Dąbrowy, który powoli wyzwala się z objęć słodyczy, jaką przepajał dawniej swoje krajobrazy — i szczerzej zżył się z naturą. Jego »Jesień«, siejąca złote liście olszyn, zakupiona przez Muzeum lwowskie, była doskonale odczutą i na płótnie uwięzioną. Toż samo wiosenne widoki, wystawione obecnie, noszą na sobie piętno wybitnej zdolności i rozwoju artysty, zwłaszcza topniejące śniegi z przedzierającą się przez nie omszoną żółtą darnią są wybornie zaobserwowane i nastrój szarych dni polskiej zimowej okolicy doskonale oddany.

Z młodych sił Kazimierz Sichulski, brutalny w fakturze, ale tęgi w odczuciu plam barwnych, dał na wystawę orkę, zaś obecnie szereg studyów realnych z Huculszczyzny.

Na reszcie dzieł wystawionych w przeszłym roku znać pewne w całości obniżenie, powtarzanie znanych już rzeczy; tak n. p. Wincenty Wodzinowski powtarza na starą, bardzo starą nutę »Wesele idzie«, Piotr Stachiewicz powtarza stare motywy »Widma pracowni«, Edward Okuń pod wpływem starych mistrzów daje obraz nowoczesnych pijaków, a Tadeusz Rybkowski lepiejby zrobił, gdyby swe widoki zamków chronił przed światłem dziennem. *Leonard Lepszy.*

Druk ukończono 6 czerwca 1905 r.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

Strona

O. Henryk Jackowski T. J. Przez *ks. Stanisława Załęskiego T. J.* . . . . . 1*— 4*

Refleksye z powodu wojny rosyjsko-japońskiej. II. Przez *d-ra Wł. Czerkawskiego* . . . . . 5*—24*

Z naszych spraw społecznych. Nowy projekt reformy ubezpieczenia robotniczego. Przez *ks. Leonarda Lipkego T. J.* 1 168

Spór o »Bogurodzicę«. Przez *d-ra Kornelego Hecka* . 16

Pod dzisiejszą apologetykę. Z nowych kierunków myśli katolickiej (Na tle broszury prof. M. Zdziechowskiego »Pestis perniciosissima«). (Dok.) Przez *ks. J. Rostworowskiego T. J.* 29

Wagneryanizm i wagnerzyści. Przez *Walerego Gostomskiego* 57

Refleksye z powodu wojny rosyjsko-japońskiej. (Dok.) Przez *d-ra Wł. Czerkawskiego* . . . . . 1*—20*

Kilka uwag lekarza w sprawie wychowania. Przez *d-ra Henryka Jordana* 145

Głos Cerkwi Ruskiej o plutokratycznym liberalizmie. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* 156 369

Konstantyn i Metodyusz. (Dok.) Przez *d-ra K. Potkańskiego* 183 310

Ukaz tolerancyjny. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.* . . 1*—8*

Dzisiejsza psychologia na kongresie rzymskim (26—30 kwietnia b. r.) Przez *d-ra J. Zanietowskiego* 293

Pod dzisiejszą apologetykę. Liberalny katolicyzm. Przez *ks. J. Rostworowskiego T. J.* 346

Wojna. Nowella. Przez *Maję* 381

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

Str.

Z POETYCKIEJ NIWY: St. Wyspiański: »Achilleis«. Sceny dramatyczne.— Tenże: »Akropolis«. Dramat w 4 aktach. — Tenże: »Noc listopadowa«. Sceny dramatyczne. *(Antoni Mazanowski)* 73

POLSKA LITERATURA AGRARNA W XX WIEKU IV. *(Dr. A. Krzyżanowski)* 82

KLASZTORY KARMELITANEK BOSYCH W POLSCE, NA LITWIE I RUSI. Ich początek, rozwój i tułactwo w czasie rozruchów wojennych w XVII wieku. Rzecz osnuta na kronikach klasztornych. I. Klasztor św. Marcina. II. Klasztor S. M. Teresy i św. Jana od Krzyża. *(A. Rejowicz)* 93

Z POETYCKIEJ NIWY: St. Kobyliński: »Ironia«. Tragedya. — Tenże: »Beati«. Tragedya. — A. Kallas: »Nędza«. Dramat. — Tenże: »Wśród swoich«. Sztuka ludowa. — Kazimierz Przerwa-Tetmajer: »Poezye« V. — Ardens: »Ognie i błyski«. Poezye. — J. Szczerota: »Bożymir«. Utwór sceniczny wierszem. — M. Sandoz: »Legendy z życia Najśw. Maryi Panny«. — Denker Jerzy: »Z młodego serca«. — Tatarówna Stefania: »Poezye Buddha«. — J. Pietrzycki: »Refleksy światła«. *(Antoni Mazanowski)* 220

PRZYCZYNKI DO SŁOWNICTWA POLSKIEGO. Aleksander Brückner. *(Dr. St. Dobrzycki)* 231

ANALIZA PSYCHOLOGICZNA OBJAWÓW WOLI. Napisał dr. Władysław Witwicki. *(Ks. dr. Aleksander Pechnik)* 235

WSPOMNIENIE O SŁUCKU. Wydał B. J. *(Wołyniak)* 238

POLSKA LITERATURA AGRARNA W XX WIEKU. V. *(Dr. A. Krzyżanowski)* 388

SPIS KLASZTORÓW UNICKICH BAZYLIANÓW W WOJEWÓDZTWIE WOŁYŃSKIEM. Ułożył Wołyniak. *(Ks. St. Załęski T. J)* 399

DEKADENTYZM A RELIGIA KATOLICKA W LIRYKACH KAZIMIERZA PRZERWY-TETMAJERA Skreślił ks. J. Koterbski. *(Ks A. Pechnik)* 400

Z piśmiennictw obcych.

DOCTRINA RUSSORUM DE STATU IUSTITIAE ORIGINALIS. Dr. Georgius B. Matulewicz. *(Ks Jan Urban T. J.)* 95

LES SYSTÈMES SOCIALISTES ET L'ÉVOLUTION ÉCONOMIQUE. Par Maurice Bourguin. *(Ks. dr. Aleksander Pechnik)* 102

MOHAMMED UND DIE WELTGESCHICHTLICHE BEDEUTUNG ARABIENS. Hubert Grimme *(Wołyniak)* 107

DER GREGORIANISCHE GESANG. Eine Studie über die Echtheit seiner Tradition. P. Coelestin Vivell.O. S. B. *(Adolf Cybiński)* . . 109

ESSAIS DE PHILOSOPHIE RELIGIEUSE. Par le P. L. Laberthonnière. *(Ks. J. Rostworowski T. J.)* 241

LA FRANCE AU DEHORS. T. V. Missions d'Afrique. Par R. P. Piolet. *(T. Wodzicka)* 247

LES THÉORIES MODERNES DE LA CRIMINALITÉ. Delassus. Science et religion. Études pour le temps présent. *(Dr. Adam Bielecki)*. . 253

DER LETZTE SCHOLASTIKER Eine Apologie von dr. K. Krogh-Tonning. *(E. Matzel T. J.)* 255

Str.

Christus- und Apostelbilder. Einfluss der Apokryphen auf die ältesten Kunsttypen. Weis-Liebersdorf. *(Ks. B. M. T. J.)* 405

Der Jesuitismus. Eine kritische Würdigung der Grundsätze, Verfassung und geistigen Entwicklung der Gesellschaft Jesu, mit besonderer Beziehung auf die wissenschaftlichen Kämpfe und auf die Darstellung von antijesuitischer Seite, nebst einem literar historischen Anhang: Die antijesuitische Literatur von der Gründung des Ordens bis auf unsere Zeit. Von Pilatus (Dr. Viktor Neumann. *(E. Matzel T. J.)* 405

Geschichte des Deutschtums im Lande Posen unter polnischer Herrschaft. Von Dr Erich Schmidt, Oberlehrer in Bromberg. *(Dr. Józef Flach)* 410

Biełorussy. Karskij E. Th. Tom I: Wwiedienije w izuczenije jazyka i narodnoj słowiesnosti; a priłożeniem dwóch kart. *(Dr. St. Zdziarski)* 412

Sur la branche. Pierre de Coulevain. *(T. Wodzicka)* 419

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

KWIECIEŃ.

Sprawy Kościoła: Pius X o niezależnych demokratach chrześcijańskich. — Przyczynek do obecnych stosunków francuskich. — Z Holandyi. — Z ruchu religijnego w Anglii. — Z Japonii. — Ze spraw szwajcarskich. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* . . . 111

Arcybiskup między młodzieżą. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* . 121

Pogadanka artystyczna. O przeszłości zamku krakowskiego i sprawie jego restauracyi. (Dokończenie). Przez *Leonarda Lepszego* . 126

Listy z Warszawy. I. Przez *Teodora Jeske-Choińskiego* 139

MAJ,

Sprawy Kościoła: Przyszła koronacya M. B. Pocieszenia we Lwowie. — Uwagi o rozdziale Kościoła i państwa we Francyi. — Z demokracyi chrześcijańskiej i ze spraw włoskich. — Epilog walki o zasadę: »cel uświęca środki«. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 259

Ze świata odkryć i wynalazków: Aktyn X. — Ciśnienie światła. — Olbrzymia plama na słońcu. — Śmierć sławnej żaby. — Nowy przykład ruchu rośliny. Przez *ks. F. Hortyńskiego T. J.* 270

Ze świata literatury: W sprawie dwu Zimorowiczów. Przez *dr-a Kornelego Hecka.* 280

Listy z Warszawy: II. Prasa warszawska. Przez *Teodora Jeske-Choińskiego* 285

CZERWIEC.

Sprawy Kościoła: Koronacya lwowska. — Arcybiskup i młodzież. — Wilhelm II rycerzem orderu św. Grobu. — Przed wyborami

Str.

w Holandyi. — Z życia katolickiego w Szwajcaryi. — Z ruchu katolickiego we Włoszech. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* . . 420

STOWARZYSZENIA ROBOTNICZE W KRAKOWIE. Przez *K. K.* 431

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY: »Secesya«. — Walka o dawne ideały w sztuce. — Wystawa jubileuszowa w Krakowie. — Rzeźba zyskuje przewagę nad malarstwem. — Tatry Wyczółkowskiego. — Wyspiański: Świetlica i Dom lekarski. — Portreciści polscy. — Pejzaże Dąbrowy. Przez *Leonarda Lepszego* 441

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: KS. JAN PAWELSKI.